

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1888.

TOM I.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIX.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1888.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Февраля 1888 года.



SPIS RZECZY.

1. RZECZY SPOŁECZNE I SPÓŁCZESNE.

2. NAUKI PRZYRODNICZE.

3. PSYCHOLOGIA.

4. LITERATURA.

5. BELETRYSTYKA.

6. HISTORYA.

7. ARCHEOLOGIA.

8. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



PROTEKCYONIZM.

Czytając w dziennikach spółczesnych, tak swojskich jak i zagranicznych, ciągłe nawoływanie do opieki nad rozmaitemi gałęziami przemysłu krajowego; czytając sprawozdania z posiedzeń chociażby tylko naszego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, na których producenci domagają się podwyższenia ceł na swoje wyroby, ażeby je zabezpieczyć od konkurencyi zagranicznéj: mimowolnie przychodzi na myśl zapytanie, czy się narody chcą odgraniczyć chińskim murem, i czy takie żądanie specyalnéj dla siebie opieki rządu zgodne jest z zasadami dobréj polityki ekonomicznéj?

Gdy te dążenia porównamy z tém, co się działo nie daléj jak przed ćwiercią wieku, przekonamy się, że społeczeństwa dzisiejsze stoją na wprost przeciwnym biegunie z ówczesnemi pragnieniami, kiedy to wolna wymiana była hasłem wszystkich stronnictw i teoretyków postępowych. Zastanawiając się nad przyczynami téj zmiany w dążeniach ludów i rządów, postawilibyśmy na pierwszém miejscu panujące w całym niemal świecie przesilenie ekonomiczne, grożące upadkiem w wielu krajach rolnictwu, przemysłowi fabrycznemu i rękodzielniczemu. Jeżeli znów zapytamy, jakie przyczyny spowodowały owo powszechne przesilenie, odpowiedzą nam, że między innemi główną przyczyną tego stanu jest nadprodukcya.

Widzimy tedy w świecie ekonomicznym zjawisko dziwne: mianowicie, że gdy w jednych punktach przemysłowych znajdują się magazyny napełnione wielką ilością rozmaitych towarów, w drugich ludzie nie mają co jeść, czém się odziewać i zaspakajać najprostszych potrzeb życia. Jest to niewątpliwie objaw patologiczny dzisiejszéj organizacyi pracy; trudno wszakże uwierzyć, ażeby głów-

ną przyczyną tego zła społecznego była nadprodukcya dóbr materyalnych. Przyczyny każdego faktu są zwykle bardzo liczne, jedne na wierzchu leżące i dla wszystkich widome, inne głębiéj ukryte i zaledwie gruntowniéj myślącym zrozumiałe. Otóż przyczyny obecnego przesilenia ekonomicznego należałoby może szukać nie tyle w nadprodukcyi dóbr ekonomicznych, co w nieprodukcyjnéj konsumcyi dóbr już wytworzonych, w olbrzymich wydatkach na uzbrojenia kolosalnych sił lądowych i morskich, w niszczących wojnach i wynikającéj z nich następnie chęci odwetu, w marnowaniu żywych sił ludzkich, spożywających bezczynnie owoce pracy gromadzone przez rąk miliony, nareszcie w długach państwowych, zastraszających najbujniejszą wyobraźnię swoją potworną olbrzymiością. Gospodarz, który pożycza na rachunek i odpowiedzialność już nietylko dzieci, ale wnuków i prawnuków, musi zginąć; państwa i narody, gospodarujące taką metodą, mogą nie zginąć zaraz, w drugiém lub trzeciém pokoleniu, jednakże gotują sobie niechybny rozkład i upadek w odleglejszéj przyszłości. Uwagi na ten temat przychodzą niejednemu teoretykowi lub statyście, ale nie widzą oni sposobu powstrzymania swoich społeczeństw od coraz szybszego posuwania się ich w jakąś przepaść, w któréj teraźniejsze organizacye polityczne, ekonomiczne i społeczne mają utonąć. Jest-to, mówią, fatalizm; są to przekleństwa złych czynów, żadna ludzka mądrość nie zdoła odwrócić wyniku, jaki z nagromadzonych premis nastąpić musi. Tymczasem, nim się to pesymistyczne proroctwo ziści, dajcie pieniędzy na opłatę procentów, na zwiększenie sił zbrojnych, na przeróbkę karabinów, na proch, który nigdy nie zamaka, a posiada pięć razy większą siłę wybuchową i pięć razy mniéj kosztuje od dotychczasowego. Co się stanie z rolnictwem, z drogami i mostami, ze sprawiedliwością i oświatą—wszystko to są fraszki wobec grożącéj i zapowiadanéj jakiejś katastrofy powszechnéj, do któréj każdy chce się zaopatrzyć jedynie w najlepszy proch i najdaléj niosące karabiny. Szkoda tylko, że nie ma pieniędzy; ale pieniądze być muszą. Wprawdzie źródła podatkowe już prawie do dna wyczerpane, wszakże póki kontrybuenci jeszcze płacą—nie ma obawy. Zresztą, od czegóż pomysłowość skarbników? Opłaty i cła, cła i opłaty od światła, które przez szyby zagląda, od ogniska, na którém jeść gotujesz, od tego, żeś się urodził, i od tego, że umrzesz. Byle dobrze szukać, jeszcze się znajdą źródła.

Kontrybuenci chcąc zadość uczynić coraz więcéj wzrastającym wymaganiom skarbu, wołają do rządów: protegujcież nasze zboże, nasz spirytus, nasz cukier, nasze żelazo; nałóżcie wysokie cła na te produkta przychodzące z zagranicy, bo nas konkurencya zabije

i podatków wam nie damy. Więc zaraz parlamenta uchwalają zmianę taryfy celnéj, powiększa się armia celników, obliczają spodziewane ztąd wpływy, a potém znów to samo, i tak bez końca. Oto błędne koło, z którego nie masz wyjścia.

Kładąc w nagłówku tytuł „Protekcyonizm", nie miałem zamiaru ograniczyć jego znaczenia do sfery stosunków ekonomicznych i nudzić czytelnika powtarzaniem zarzutów przeciw systemowi protekcyjnemu, jaki obecnie zapanował w wymianie międzynarodowéj. Wiadomości o rozmaitych cłach, premiach, patentach na wynalazki dawno wynalezione znajdzie ciekawy w pierwszéj lepszéj encyklopedyi ekonomicznéj. Zamiarem moim jest uogólnić znaczenie protekcyonizmu i rozciągnąć go do wielu innych objawów życia społecznego, wykazując zgubne jego następstwa, zwłaszcza gdy opieka zbyt długo nad pupilem się przeciąga.

Nie chcę bynajmniéj oskarżać spółczesnego pokolenia, jakoby ono dopiéro wynalazło system opiekuńczy; ale zdaje mi się, że nigdy przedtém nie widziano w nim takiego lekarstwa na niemoce wszelkiego rodzaju i stopnia, jak dzisiaj. Kto potrzebuje paska lub szczudeł, ażeby się mógł ruszać, ten oczywiście jest albo dzieckiem, albo chromym. Kto się ciągle ogląda na opiekunów, i ani sobą, ani swojém mieniem rozporządzać nie może, ten jest nieletnim. Kto pragnie, ażeby rząd był Opatrznością, któraby mu kazała i latarnie na schodach w nocy zapalać, i ulice zamiatać, i podwórze ze śmieci oczyszczać i niemal nos obcierać, ten oczywiście jest małoletnim. Oto, w czém leży źródło serwilizmu i słuszne jego skutki, protekcya, opieka. Z jednéj strony wieczne niemowlęctwo, z drugiéj nieustająca opieka.

Nadmieniłem, że protekcyonizm pojmuję nietylko jako pewien system ekonomiczny w wymianie międzynarodowéj i wewnętrznéj; lecz jako zjawisko ogólne, przejawiające się na rozmaitych polach pracy społecznéj. Przyjrzyjmy mu się zatém lepiéj.

Oto p. dyrektor, p. naczelnik téj lub owéj instytucyi mają mianować lub awansować urzędnika. Jakie pobudki będą kierowały tą nominacyą lub awansem? Może zdolność, punktualność w robocie, prawość charakteru? Nie; najczęściéj, jeżeli nie zawsze, decydują wpływy uboczne. Możny lub zażyły protektor téj lub owéj płci, serwilizm ze strony podwładnego, czasami jego czapkowanie lub gładka powierzchowność, a zdarza się nieraz i datek: takie bywają pobudki nominacyi i awansów. Że zwierzchnik potrzebuje miéć powolne narzędzia, pasujące do pewnych celów, do pewnego systematu, to łatwo rozumiéć a nawet poniekąd usprawiedliwić. Ile na tém ucierpią interesa publiczności, dobro saméj instytucyi

i charakter powoływanych tą drogą wykonawców, tego się nie bierze w rachubę. Narzędzia muszą pasować do systemu; w przeciwnym razie cel nie będzie osiągnięty. Więc muszą być takiéj lub innéj religii, pochodzenia, przekonań i t. d. Narzędzia te nieraz zawodzą majstra, cel bywa chybiony lub osiągnięty inny i wprost przeciwny spodziewanemu, ale to nie kłopocze protegujących i protegowanych. Co większa, mamy na usprawiedliwienie takiego protekcyonizmu sofistyczną moralność: mówimy, albożmi niewolno posługiwać się ludźmi wedle moich, lub nakazanych widoków? Czyliż nie daję im chleba? A przecież oddawna wiadomo, że służba wolność traci.

Tym sposobem tworzą się te chwiejne administracye rozmaitéj nazwy, na których nikt polegać nie może: zmiana zwierzchników, wstrząśnienie jakieś, odrazu zmieniają dekoracyą; republikanie stają się monarchistami lub odwrotnie, ludzie gwałtowni i bezwzględni liberalnymi o miodowém wejrzeniu i najwyszukańszych formach. Powiał inny wiatr i kogutki zwróciły się w inną stronę. Zmiana frontu usprawiedliwia się sześciorgiem dzieci, długą już służbą, niemożnością znalezienia na razie odpowiedniéj pracy, a sumienie, jeżeli jeszcze pukało, zasypia. Druga strona zupełnie rozumié położenie, wié o bezsilności narzędzi, ale o nic więcéj téż nie chodziło; hasłem tu jest krótkie i węzłowate: nie rezonować, tylko spełniać! *Ordonanzen*, *Ordonanzen!*..........

Ujemne strony protekcyonizmu w téj sferze powiększa jeszcze n e p o t y z m. Jest to tylko pewna odmiana protekcyonizmu administracyjnego, polegająca na tém, że naczelnicy otaczają się na rozmaitych podległych sobie urzędach swoimi krewnymi i powinowatymi. Nikt się temu nie może dziwić, że związek krwi naturalnie, jak mówimy, pociąga za sobą awansowanie na wakujące urzędy swoich krewnych. Moralnie obowiązani jesteśmy dopomagać swoim, a gdy się inaczéj dzieje, razi nas taka obojętność. Przypuszcza się jednak w tym razie, że z dwu lub więcéj konkurujących o urząd, krewny nasz daje największe rękojmie co do swojéj zdatności i charakteru: w przeciwnym wypadku, forytowanie krewniaka dlatego tylko, że krewny, musi wyjść na szkodę instytucyi. Otóż przyjrzawszy się wielu instytucyom, szczególniéj prywatnym, zarówno u nas jak i gdzieindziéj, przekonalibyśmy się jak wielkie mnóstwo bliższych i dalszych krewnych zajmuje najzyskowniejsze urzędy, jak tam ręka rękę myje, jak trudno rozerwać ten łańcuch nepotyzmem spojony. Ale jak tylko głównemu naczelnikowi noga się powinie, krewniaki spadają jak zwiędłe owoce, a w rozmaitych wydziałach administracyi wychodzą na jaw rzeczy nieraz bardzo szpetne. Za-

czyna się puryfikacya, redukcya, pozorowane oszczędnością; poczém w rok, lub mało co więcéj, wraca stan poprzedni, o tyle zmieniony, że owe najzyskowniejsze posady zajęli inni ludzie, mający krewnych protektorów. Tym sposobem siły najlepsze, mogące instytucyą ożywić, rozwinąć, udoskonalić, muszą szukać zajęcia w innych, mniéj dla siebie odpowiednich gałęziach pracy, albo bezużytecznie marnieją.

Najniebezpieczniejszym jednakże i brzemiennym w groźne następstwa jest protekcyonizm w zakresie pracy, na polu socyalném. Utrwala się w ostatnich czasach, osobliwie wśród narodów z dawna pod protekcyą polityczną wychowywanych, mniemanie, że państwo jest wszechmocnym czarodziejem i lekarzem wszelkich niemocy społecznych. Do państwa téż, czyli do rządów odwołują się teoretycy i pracownicy—pierwsi, ażeby wzięły w swoje ręce rozwiązanie drogą prawodawczą sprawy socyalnéj, drudzy, ażeby im dały forszus na warsztaty i narzędzia oraz zabezpieczyły na starość, chorobę jako-tako znośne życie. Prąd w tym kierunku wzbiera coraz bardziéj, groza położenia znagla rządy do wydawania praw wszelkiego rodzaju i nazwy, ażeby tylko zażegnać ukazujące się w niedalekiéj przyszłości radykalne wstrząśnienie całéj budowy społecznéj. Stan czwarty, robotniczy domaga się chleba od państwa. Pochlebia to zapewne rządom, ale czy zdołają rozwiązać tak złożone zadanie, to zaledwie przyszłość okaże. Faktem jest prawie powszechne żądanie takiéj protekcyi i wiara w jéj skuteczność.

Wiadomo mniéj więcéj wszystkim, jaką drogą powstał i jak liczebnie wzrósł, osobliwie w naszym wieku, stan czwarty zwany proletaryatem. Stworzył go wielki przemysł fabryczny, a szeregi jego zwiększa corazbardziéj przemysł rolny i lichwa. W krajach przemysłowych zachodniéj Europy liczą obecnie już miliony robotników, których dola bardzo smutna słusznie porusza serca do spółczucia, a głowy myślących do radzenia złemu. Lekarstwo na chorobę wszyscy niemal widzą w opiece państwa. Objaw to nie nowy w dziejach pracy; nowość leży jedynie w tém, że gdy w wiekach poprzednich rządy protegowały kapitalistę, przedsiębiorcę, właściciela ziemskiego, zmuszając w potrzebie ludność robotniczą do pracy, regulując prawem zarobki, liczbę czeladzi i terminatorów, zakazując zmowy; w naszym wieku, za przykładem Anglii postępują w odwrotnym kierunku.

Szczery filantrop może tylko przyklasnąć téj zmianie w kierunku protekcyonizmu na rzecz wielkich mas robotniczych. Jakoż, widząc jak od początku bieżącego stulecia, najprzód w Anglii a na-

stępnie i w innych krajach, prawodawstwo bierze w opiekę pracę nieletnich i kobiet, jak znosi dawniejsze prawa zabraniające zmowy, jak reguluje dzień roboczy, ustanawia inspektorów fabrycznych, czuwa nad sanitarnym stanem gmachów fabrycznych, nad posyłaniem dzieci, zatrudnionych po fabrykach, do szkółek: widząc to wszystko, można się cieszyć, iż ci którzy niosą największy ciężar, spotykają nietylko spółczujących widzów, lecz i ulgę rzeczywistą. Jest-to wszakże jedna strona medalu; druga wygląda trochę inaczéj.

Jeżeli państwo wzięło w opiekę pracowników, chociaż i kapitalistów nie zostawiło sierotami; pytanie, jak daleko ma sięgnąć ta opieka? Czy chcąc gruntownie przeciąć wyzyskiwanie pracy przez kapitał, ma wziąć na siebie produkcyą pewnych, a z czasem wszystkich jéj gałęzi? Tak mu doradzają niektórzy teoretycy, profesorowie ekonomii. Przecież, mówią, poczty, telegrafy, koleje, kopalnie itd. są już dzisiaj przez państwo eksploatowane; czemużby tedy powoli nie miało ogarnąć i reszty? Zyskałaby na tém i publiczność i pracownicy i samo państwo, straciliby jedynie kapitaliści—a tych jest nie wielu w porównaniu z wielką masą robotników. Do tego dąży tak zwany socyalizm państwowy; ufa on we wszechmoc państwa i od niego oczekuje rozwiązania sprawy socyalnéj.

Już nieraz i bardzo gruntownie zbijano te rady teoretyków, przywodząc jako argumenta małą wydajność produkcyi przez państwo prowadzonéj, brak inicyatywy w administratorach, opieszałość urzędników niepobudzanych osobistym zyskiem do czujności itp. Nic to nie znaczy; wiara w państwo, jego mądrość i uzdolnienie do prac wszelkiego rodzaju, w jego protekcyą, ciągle się potęguje.

Niedość na tém; chcą, ażeby państwo nie tylko w swoich warsztatach zatrudniło wszystkich żądających pracy; lecz nadto, by im zabezpieczyło los na starość i w razie choroby, by ich jako bezsilnych, wyzyskiwanych przez kapitalistów, protegowało od urodzenia do grobu. Widmo wstrząśnień socyalnych skłania nawet tak wytrawnych statystów jak ks. Bismarck do prób na tém polu; chcąc nieprzyjaciela pobić, usiłuje złamać go częściowo. Może ta próba zawiedzie; zawsze jednak będzie to doświadczenie dla innych państw, ażeby je ustrzedz, lub zachęcić do prób podobnych.

Tak więc teoretycy chcą wykierować państwo na uniwersalnego protektora; ażeby to osiągnąć, muszą je wprzód uczynić uniwersalnym producentem, który za pomocą cuchthauzu i nieodpowiedzialnych dozorców uszczęśliwiać ma ludzkość w nadchodzącym XX wieku. Dawnemi czasy, a i dziś jeszcze filantropowie powołują się na ewangelią, która zaleca bogaczom, by się mieli za

szafarzów majątku swojego i wspierali uboższych bliźnich; lecz chociaż ewangelią opowiadają już dziewiętnaście wieków, nie widać, żeby egoizm bogaczów zmiękł cokolwiek: trzeba ich zatém zmusić do wykonania rad ewangelicznych i drogą podatku ulżyć nędzy wydziedziczonych. Ta przymusowa miłość bliźniego wcale się nie podoba opodatkowanym, a co większa stanowi niebezpieczny prejudykat dla indywidualnéj wolności i paraliżuje indywidualną energią człowieka, łudząc go nadzieją nieustającéj protekcyi ze strony państwa. Pochyłość, na jaką teoretycy wabią państwo, może je zaprzepaścić, jak tego bywały przykłady i w starożytności i w naszych czasach.

Gorszém od przewidywanych następstw, wynikających z protekcyonizmu państwowego, w téj sferze spraw społecznych jest odstrychnięcie się zarówno teoretyków przespołeczniaczy jak i warstw pracujących nietylko od opieki państwowéj, lecz i od samego państwa. I teoretycy socyalistyczni i warstwy ich słuchające nie chcą nic wiedziéć o dzisiejszém państwie. Jeżeli zaś mówią jeszcze o państwie, to tylko wtenczas, gdy mają nadzieję pochwycenia władzy, ażeby mogli urzeczywistnić swoje plany. Władza zaś ma, według ich życzenia „przejść w ręce proletaryatu, który środki produkcyi uczyni własnością państwa“ (*Engels*). Ale wtedy i proletaryat zniknie, ustaną wszelkie różnice i przeciwieństwa klasowe, a tém samém i państwo stanie się niepotrzebném. Państwo nie będzie zniesione, lecz obumrze. Ale jak się to stanie? Oto w krótkości tak:

Społeczeństwo dotychczasowe, rozwijające się drogą przeciwieństw klasowych, potrzebowało państwa, tj. organizacyi pozwalającéj klasie wyzyskiwaczy na utrzymanie w swoich ręku środków produkcyi i gwałtowne spętanie klasy wyzyskiwanéj za pomocą niewolnictwa, poddaństwa i pracy zarobnéj. Państwo było oficyalnym przedstawicielem całego społeczeństwa, albo raczéj téj klasy, która całe społeczeństwo reprezentowała. W starożytności państwo było przedstawicielem obywateli mających niewolników; w wiekach średnich przedstawicielem szlachty feudalnéj; w naszych czasach jest przedstawicielem mieszczaństwa (burżuazyi). Ale gdy państwo zostanie faktycznie przedstawicielem całego społeczeństwa, stanie się zbyteczném. Jak tylko nie będzie żadnéj już klasy społecznéj, któraby trzeba na wędzidle trzymać, jak tylko panowanie jednéj klasy nad drugą ustanie i walka o byt powstająca z anarchicznéj dotychczasowéj produkcyi zniknie; już wówczas i represya stanie się zbyteczną, a tém samém i władza represyjna, to jest państwo, nie będzie potrzebna. Pierwszy akt, w którym państwo wystąpi jako rzeczywisty przedstawiciel całego społeczeństwa, zagarniając w imie-

niu tegoż środki produkcyi w swoje ręce—pierwszy ten akt, będzie i ostatnim samodzielnym jego aktem, jako państwa. Wdawanie się państwa w stosunki społeczne będzie kolejno na wszystkich polach stopniowo ustawało, aż nareszcie zupełnie zniknie. Zamiast rządu nad osobami nastąpi zarząd rzeczami i dozór produkcyi. *Der Staat wird nich abgeschafft, er s t i r b t a b.*

Takie nadzieje żywią nie-ewangeliczni i nie-państwowi przespołeczniacze; nie chcą oni od państwa podarunków na zakładanie towarzystw produkcyjnych, nie chcą protekcyi ani od państwa, ani od bogaczów: hasłem ich nie miłość, lecz nienawiść i groźba. „Jesteśmy stronnikami siły, ażeby dojść do swobody, tak samo jak się posiłkujemy kaftanem w pewnych przypadkach patologicznych, by uleczyć chorego“ (*Deville*).

Inaczéj nieco deklamował nieżyjący już poeta, z którego wyżéj parę wierszy przytoczono, ale sens zawarł podobny jak i prozaik:

Die Liebe kann erlösen nicht,
Die Liebe nicht erreten.
Halt' du, o Hass, dein jüngst Gericht...

Czy protekcyonizm państwowy zdoła tę nienawiść rozbroić, czy będzie mógł zatrzymać się na téj pochyłości, na jaką wszedł w Anglii, Włoszech, a szczególniéj w Niemczech, o tém wróżyć nie śmiemy; tém mniéj o następstwach, jakieby musiały wyniknąć z powrotu do dawnych czasów.

Przejdźmy na inne pole i przyjrzyjmy się protekcyonizmowi w zakresie pracy umysłowéj.

Wiadomo, z jakiém utęsknieniem do dziś dnia niektórzy literaci, uczeni i artyści wspominają wiek Augusta w Rzymie, Medyceuszów we Włoszech, Ludwika XIV we Francyi, St. Poniatowskiego u nas. Mecenasów, począwszy od rzymskiego, także nie brakło: duchowni i świeccy na wyścigi zakładali uniwersytety, bursy, wieńczyli poetów, łożyli na druk książek, dawali chléb respektowy i przytułek adeptom Minerwy i Apollina, słowem literatura, nauka i sztuka były protegowane. Ufność w protekcyą była tak wielka, że jeszcze w naszym wieku klasycy francuscy prosili Karola X, żeby ich protegował przeciw romantykom (1829).

Ani się temu dziwimy, ani ich potępiamy: rośliny wątłe potrzebują cieplarni, a organizmy niedokrwiste—opieki. Świat literacki, naukowy i artystyczny bywał niegdyś, z małym wyjątkiem, niedokrwisty, tj. ubogi; dzisiaj ta sama trapi go choroba. Nastąpiła wszakże zmiana pod względem protekcyi, i to zmiana korzystna dla

umysłu ludzkiego: zamiast jednostek wystąpiły masy i partye, jako protektorki literatury i sztuki, które dzięki téj zmianie stały się mniéj zależne od wielkopańskiéj klamki. Przekonano się, że dawna protekcya nakładała pęta na każdą myśl dzielniejszą, że owe sławione wieki złote, pełne mecenasów, były tylko pozłacane; a gdy pozłotę odskrobała krytyka, ujrzano robaczywe drewno. Protekcya wydała pieczeniarstwo i serwilizm; niemniéj przecież i dzisiaj jeszcze niebrakłoby biorących, gdyby byli dający. Znikła stara forma protekcyonizmu, ale nastała nowa: dzisiaj protegują literatów i artystów wzrastające szeregi czytającéj publiczności i partye, koterye rozmaitéj nazwy.

Bądź-co-bądź, nowa forma protekcyonizmu pozwala pracy umysłowéj na większą niezależność; publiczność i koterye nie stykają się tak bezpośrednio z uczonymi i artystami, jak dawni mecenasi, a témsamém nie dławią ich wymaganiami hołdu i wdzięczności za udzielone łaski. Dzieła naukowe i artystyczne stały się towarem, podobnym do innych towarów; pieniądz pośredniczy między producentem i konsumentem. Stosunek obu stron interesowanych jest lepszy i pożyteczniejszy: znikli protektorowie i protegowani, została rzecz, t. j. nauka lub sztuka, jako wynik potrzeb umysłowych i objaw swobodny talentu, czasami geniuszu.

Z drugiéj strony, przy pozornéj niezależności pracy umysłowéj, istnieje niewola wynikająca niby z obrony zasad. Ażeby zostać profesorem, potrzeba wyznawać takie a takie zasady polityczne, ekonomiczne, filozoficzne i t. d. Człowiek innych zasad, chociażby był najzdolniejszym, a przez to i najpożyteczniejszym dla młodzieży, nie dostanie się do katedry. Ażeby zostać członkiem jakiegoś ciała uczonego, jakiéjś akademii, trzeba również być zaprotegowanym jako wyznawca panujących w tém towarzystwie opinii, wstrętów lub sympatyi. Umysł niezależny z pewnością tam nie trafi, a jeżeli trafi, wnet go wyrzucą. Tu jak i gdzieindziéj odbywa się dobór naturalny, selekcya, ale nie Darwinowska; nieśmiertelni czują pociąg do nieśmiertelnych. Dlatego niesłusznie, jak sądzimy, oburzał się pewien głośny pisarz niemiecki i deklamował:

Ich bin nie, Wie ein Vieh
In der Akademie auf der Mast gestanden.

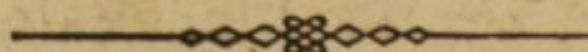
Protekcya w imie zasad dotyka nietylko katedr profesorskich i foteli akademickich, lecz także skromnego zydla dziennikarskiego. W zakresie prasy to samo się dzieje. Trzeba koniecznie trącić stęchlizną, lub pachnąć olejkiem postępu, ażeby was czytano i protegowano, ażeby raczono przyjąć waszą pracę do druku. Argumentacya, forma, ład i porządek, wszystko to nic nie znaczy; grunt w tém, żeby szlachta była zgniłą, klerykalni intrygantami, a sankiu-

loci bohaterami. To się nazywają zasady, a po niemiecku *Prinzipienreiterei*.

Koroną tego protekcyonizmu na polu pracy umysłowéj jest coraz powszechniejsze żądanie opieki międzynarodowéj nad własnością literacką i artystyczną. Kongresy literackie nie tyle radzą nad podniesieniem wewnętrznéj wartości wyrobów swojego cechu, ile nad wyciągnięciem kordonów, ażeby przypadkiem myśl jaka nie dostała się bezpłatnie z kraju do kraju. Protekcyonizm zdaje się być w naszych czasach jedyném lekarstwem na wszelkie niedomagania kieszeni i głowy. Żądają go rolnicy, fabrykanci, literaci, uczeni, artyści, aktorowie, słowem wszystkie niemal stany społeczeństwa.

Obejrzeliśmy niektóre pola pracy społecznéj i na wszystkich znaleźliśmy protekcyonizm. Zjawisko to nie nowe, ale obecnie bardzo ogólne, jeżeli nie powszechne. Dla dodania siły argumentom należałoby je poprzéć liczbami i przykładami: rzecz niełatwa, a przytém dotykająca osób i instytucyi; dlatego dobranie przykładów zostawiamy własnemu każdego doświadczeniu. Faktem jest, że wiatr polityki wewnętrznéj dmie w całéj Europie w kierunku protekcyonizmu, pomimo doświadczenia przeszłości, które mu wydało niepochlebne świadectwo. Jeszcze na polu przemysłowém, w stosunkach handlowych, można w pewnéj mierze i do pewnego czasu rozumiéć protekcyą, gdy chodzi o rozwój jakiéjś gałęzi pracy, zanim na nogi stanie; ale protekcya osób w zakresie administracyi, nauki, literatury i sztuki nie daje się racyonalnie usprawiedliwić, albowiem paraliżuje instytucye, szkodzi interesom publiczności i tworzy mierność, jeżeli nie coś gorszego. Działa ona demoralizująco na indywidua i ubezwładnia przyrodzoną energią człowieka; skoro bowiem stało się powszechną wiarą, że przez protekcyą wszystko można zrobić, i urząd pozyskać, i katedrę posiąść i rozgłosu nabyć : zamiera chęć do wyścigów, do konkurencyi i wydobywania najdzielniejszych sił ze społeczeństwa.

Cokolwiek złego mogła sprawić indywidualna konkurencya, była ona i będzie zawsze najskuteczniejszą sprężyną postępu materyalnego i umysłowego. Możemy pragnąć, by ją miarkowały względy obyczajowe, humanitarne ; ale nie potrafimy wynaleść innego bodźca, którýby tak energicznie popychał leniwą naturę ludzką do potu i znoju i czynów. Oglądanie się na protektorów, gwarantów i gwarantki wychodzi zwykle na szkodę jednostek i społeczeństw ; należy pragnąć, by każdy nosił swoję protekcyą sam w sobie i czuł odpowiedzialność za swoje postępowanie. *K.*





KRÓLOWA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

Boć nie pod miarą Bóg dawa ducha.
Św. Jan. III. 34.

Albowiemeście zapłatą wielką kupieni.
Św. Paweł. Do Koryntyan. I. 6. 20.

Cieniom
niewygasłéj nigdy pamięci
JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO,
ukochanego mego Mistrza.

OSOBY DRAMATU.

Jadwiga.
Dymitr z Goraja.
Dobiesław z Kurozwęk.
Gniewosz z Dalewic.
Jaśko z Tęczyna.
Jędrek Toporczyk.
Dowojna.
Pieś — trefniś królowéj.
Wilhelm Rakuszanin.
Suchenwirth — jego lutnista.
Nawojka — żona Dowojny.
Ofka — córka Dymitra.

Rzecz w Krakowie 1385 roku.

AKT PIERWSZY.

PIEŚ.

OSOBY AKTU.

Jadwiga, Dymitr, Nawojka, Ofka, Pieś.

Krakowski Rynek pełen przekupniów i straganiarzy. W głębi budująca się kaplica Świętéj Barbary. Od strony lewéj kruchta boczna kościoła Najświętszéj Panny.

Nawojka *(pokazując w tę stronę)*.
Tam weszła.

Dymitr.
Z oka spuścić jéj nie można.

Samopas biega, płocha, nic nie trwożna,
Ciekawa wrażeń, chciwa życia.

NAWOJKA.

Wszystko
Bawi ją, wzrusza, cieszy i zachwyca.
W poranku owym wiosną tchnącym, sama
Wiośnianym będąc rankiem, w światłach, w barwach
Pławi się, niby z gniazda gdzieś, w błękity
Skowronek wczesnym szybujący lotem.
Tak i dziś oto, z zamku nam przebrana
Z waszmości córką pierzchła w świat. Na szczęście,
Pieś, dopatrzywszy, chyłkiem pomknął za nią,
A ja w te tropy tuż.

DYMITR.

Nie mała biéda
Z tą jejmościanką, co chce być, nie tylko
Naszą, lecz także saméj siebie panią.
Już nam ją Semko porwać chciał — a teraz
Niemieckie wszędzie spotkasz tu przywłoki —
Coś to Wilhelmem trąci.

NAWOJKA.

Krążą wieści,
Że on, w moc dawnych praw swych, po jéj rękę
Umyślił sięgnąć.

DYMITR.

Co? Że tam, gdzieś, kiedyś,
Urwany biczyk i stłuczoną lalkę
Rzuciwszy znagła w kąt, dzieciaków dwoje
W męża i w żonę się bawiło, mamyż
W tém prawo jakie znać?

NAWOJKA.

A jeśli ona
Wilhelma kocha?

DYMITR.

Cóż mię to obchodzi?
Narodu swego matka, nie macocha,
Nas — niechaj nawet po nad siebie kocha.
W miłostki wietrzne że tam grają młodzi,
Bronić nie myślę — nawet — przez Bóg żywy
Bronićbym nie mógł — są przeciwne wpływy.
Mimo to, kiedyś, mądrym w siebie zwrotem,
Litwę nam ona musi dać. — Dość o tém,

Ten kusy Niemczyk, co się czas już jakiś
Skrada w koło nas, bodaj czy przypadkiem
Nie podsłuchuje.

NAWOJKA.

Ach! nie. Znam się na tém.
Dworski to dzieciuch. Byle od zachodu
W pióra i wstęgi powiał wiatr zalotny,
Natychmiast przed nim trefnéj krotochwili
Kwiatowe lecą wonie. Jestem pewna,
Do mnie miłosne jakieś ma pisanie
Ten paź rycerski.

DYMITR *(do pazia)*.

Czego chcesz, mosanie?

PAŹ *(do Nawojki)*.

Dostojna pani! Mam ci wręczyć pismo,
Które racz przyjąć.

NAWOJKA.

Cóżeś ty za jeden?

PAŹ.

Niezrównanego i najsławniejszego
W muzyce, w rymie, w śpiewie Arcymistrza,
Któremu wieńcem jasną skroń oplata
Cześć królów oraz uwielbienie świata,
Jak bądź zazdrości wszystkich godny — jestem
Niegodnym sługą.

NAWOJKA.

Jakże on się zowie?

PAŹ.

Suchenwirth.

DYMITR.

Proszę. O nim tu w Krakowie
Nie słychać.

PAŹ.

Z królów najpotężniejszego,
Z niezwyciężonych najwaleczniejszego,
Najświetniejszego, najszlachetniejszego
Pana i władcy — Pan mój być ma zaszczyt
Minnezingerem.

DYMITR.

Krótko mówiąc: czyim?

PAŹ.

Księcia Wilhelma.

NAWOJKA.

Więc że pacholiku —
Cóż mi zwiastować masz?

PAŹ.

Mój pan, od chwili
Kiedy cię ujrzał, nie zna snu, ni wczasu,
Ani spokoju, tak, że stał się cieniem
Samego siebie, i jedynie marzy:
By mu u stóp twych dozwoloném było
Z miłości umrzéć, o królowo wdzięków!
O ty świetlana! o najurodziwsza
Z dziewic!

DYMITR.

Ta pani męża ma.

PAŹ.

Cóż z tego?
Uczucie nie zna ziemskich żądz podziału —
Niebiańską tylko żyjąc czcią.

DYMITR.

To szczęście,
Bo ten jegomość, trzeba waści wiedziéć,
Ma pięść niedźwiedzią.

NAWOJKA.

Czegóż tedy żąda
Twój pan odemnie, w zamian za swe czyste
Westchnienia w moją stronę?

PAŹ.

Tylko tyle
Byś duszy jego panią być, i jego
Lutnię przystroić w barwy swe raczyła.

DYMITR.

No — to znów nie tak wiele.

NAWOJKA.

Wprzód rozpatrzę
Jego zasługi — tak mu powiédz, proszę.
A teraz — odejdź. *(Paź odchodzi).*

DYMITR.

Niechże gęś go kopnie!
Ucieszny pędrak, zręczny i układny.
Cóż to być musi pan takiego sługi!
Ja tam na dworach obcych nie bywawszy,
Ze słychu tylko pląsy i popisy
Pieśniarzy biegłych w gębie znam — bo u nas

Jedyny popis z tęgą szablą w garści.
A no! Twarzyczki gładkość dank dziś bierze,
I z powłóczystych rąbków rym szeleści,
I drobna rączka, jak chce, ku swéj cześci,
Na nitce wodzi srogich cnót rycerze.
Więc białogłowskie skoro królowanie
Ma się nam święcïć — tedy piękne panie,
Królujcie sobie, byleście mi tylko
Nie panowały.

NAWOJKA.

Puszczam precz to słowo.
Jam nawet pana mego jest królową,
I, jak waść widzisz, stać mię jeszcze na to,
Bym, bez wysiłku, byle śnieżną szatą
Wionąwszy w przestrzeń, mnogich serc tęsknoty
Chłodziła dumnie. A cóż mówić o téj,
Która skarb ręki swojéj sprzedać tanio
Ni chce, ni może. Więc się waść zastanów:
Że ta, co godna być królową panów,
Tém jest godniejsza być monarchów panią.

DYMITR.

Nie myślę przeczyć. Jednak, z królów owych
Jednego wybrać, nasza rzecz — gdyż trzeba,
Byśmy jéj rękę mogli jak najdrożéj
Sprzedać najwięcéj mającemu. Przeto
Litwę musimy za nią wziąść!

NAWOJKA.

Koniecznie
Litwę nam ona musi dać. Koniecznie!
Ale po pańsku — z własnéj woli!

DYMITR.

Przecięż,
Nie w innym celu wspólnie zabiegamy,
By się to stało. — Dość. Ja pójdę baczyć:
Czy zamek rygle ma, by Rakuskiego
Do naszéj panny mógł nie puścić szpaka,—
Ty pani jéj tu strzeż. A moje słowa,
Oby rymowe w piśmie tém gruchanie
Zagłuszyć mogło. — Tedy, bądź mi zdrowa
Królowo panów.

NAWOJKA.

Żegnaj, królów panie. (*Dymitr odchodzi*).

Ci, którym życie w dziwny traf się klei,
W poczuciu sił swych jędrne męstwo biorą.
Przywiodłam sobie męża z leśnéj kniei—
Ten nie przemocą wziął mię—lecz pokorą.
Bywało, kniaź mu ledwie karku nagnie—
Dziki był—jam go wnet zmieniła w jagnię.
Kożuchem owczym cuchnął i rogożą—
Dziś kwitnie wonny swą dziarskością hożą
Z mojéj naprawy. Odtąd, męzkie żądze
Tam wieść na pasku zwykłam, gdzie jest, sądzę,
Korzyść, i takim, ku rycerskiéj chwale,
Nic nie kosztownych łask nie szczędzę—ale
Wara od mego serca! (*rozwija pismo*).
Cóż nowego
Prawi mi wreszcie ten hołdownik nowy?
(*czyta*): „Spojrzałaś w moje oczy utęsknione"...
(*mówi:*) Zarozumialec! Chybabym spojrzała
Sobie pod stopy, gdzie on klęczał w pyle.
(*czyta daléj:*) „Spojrzałaś w moje oczy utęsknione—
„A ja, gdy w blaskach wzroku twego tonę,
„Zda mi się, czuję z rozkoszą:
„Że mam na czole koronę"...

(W téj chwili, spostrzegłszy Jadwigę wychodzącą z kruchty kościelnéj w towarzystwie Ofki — obie są w strojach mieszczek z wysokiém na głowach upięciem z kalétkami u pasa—chowa pismo w zanadrze).

Wygląda inna całkiem, niż tam weszła.
Poważna, cicha, zadumana, trwożna.
W takich to chwilach, trzeba ją, gdy można,
Zostawić saméj sobie. To orlątko,
Z błysków słonecznych, nieraz w siebie wchłania
Poczucie dumne swego panowania!
(Znika w tłumie).

JADWIGA.

Królowéj Niebios godny to zaiste
Przybytek chwały! Szyby te wzorzyste,
W których dumają święci rozmodleni—
Te wzniosłe łuki, w Niebios gdzieś przestrzeni
Ginące razem z duszą, któréj ciało
Leżące krzyżem w prochu pozostało—
Wszystko to, skoro wspomnę, że mię zową
Zazdrości godną ziemi téj królową,
Zda mi się mówić: ilem ja jest małą!

I patrz—ta wieża ukoronowana,
U szczytu której, pod jaskrawą gwiazdą,
Lechicki orzeł godzien słać swe gniazdo—
I patrz—to miasto, być wielkiego pana
Godne stolicą, w którém podziwiamy
Przybytków Bożych dwakroć po dwanaście—
Te zewsząd gmachy, te bogate kramy,
Ten gród potężny, w Niebo nad przepaście
Smocze dźwignięty—słowem, owa cała
Dziada mojego Kazimierza chwała—
Niby możebna owych dóbr utrata,
Ciężarem troski duszę mą przygniata...
Boże! Ty widzisz. Oto drżąca stoję
W dumania mego ciszy jak noc głuchéj,
Zachwiana w wierze—bo mi brak otuchy
Na pierwszym wstępie w to królestwo moje...

(słychać przegrywkę ślepego Lirnika).

OFKA.

O! słuchaj Pani. Cóż za wróżba błoga!
Ten starzec zda się dmuchać tchnieniem Boga
W zwątpienia twoje. Pieśń to pełna chwały,
Którą praojca twego niegdyś z drogi
Witano tłumnie, gdy w rodzinne progi
Wrócił odnawiać w chacie ład zmurszały.

LIRNIK.

(śpiewa, przeplatając strofy przegrywkami)

A witajże nam miły Hospodynie
W bezpańskiéj naszéj gospodzie!
Gdzieśmy na ciebie zdawna aż do ninie
Czekali w chłodzie i w głodzie!

JADWIGA.

Ach! Na mnie także, wielcy tu i mali,
Nie z mojéj winy, długi czas czekali.

LIRNIK.

Bóg ci dał imię iście szczerozłote
Między ludzkiemi imiony,
Że cobądź kazi—mierzi twoją cnotę—
Więcże nam bądź pozdrowiony!

JADWIGA.

Mnie zaś Bóg jakie imie dał? Jadwiga;
Snadź chcąc: by we mnie było ja, co dźwiga.

LIRNIK.

Bierz silną dłonią za wezwaniem Bożem
Królewskie twoje zaszczyty.
Chudobą naszą my ci dopomożem—
Lecz i ty bądź pracowity.

JADWIGA.

Będę. I tylko, przez wysiłków znoje,
Z pomocą Bożą, przyjdź królestwo moje!

LIRNIK.

Masz zrobić całym i wykupić z trwogi
Twój kraj zszarpany w kawały,
Z domu i z zewnątrz precz przepędzić wrogi,
I lud przywabić zdziczały.

JADWIGA.

Zrobię to. Toćże, krew jest nie daremnie
Łokietka oraz Chłopów Króla we mnie!

LIRNIK.

I godziwości dać mu dobre słowo
I zdarzyć ład pożądany,
By u zwycięskich Krzyża stóp na nowo
Sprośne powalił bałwany.

JADWIGA *(zasmucona)*.

Jagiełło? Myśl ta przykrém brzmieniem dzwoni...
Boże mój? Serce moje miéj w Twéj dłoni!

LIRNIK.

Pókiś ty z nami w pełni cnót i siły,
Lechia nam nasza nie zginie—
Więcże nam witaj Hospodynie miły!
Święć się nam, święć Hospodynie!—

JADWIGA *(budząc się z zamyślenia)*.

Tak. Przez was dla was, i przezemnie z wami—
Ni ja samotna—ni wy z sobą sami!...—
O! ten poranek, tak po pańsku w złoto
Słoneczne zdobny, w błękit i w wesołą
Zieloność wiosny! — ten mój lud w około,
Szumiący gwarem niby pszczół robotą,—
Wszystko to piękne jest. I jak tumany
Na widok brzasku, skoro w kraj nieznany
Przepłynąć dążą potarganą zgrają—
Tak oto z duszy mojéj precz pierzchają
Przeczucia chwiejne i obawy próżne.....
O! jakżeś mi jest, niewidomy piewcze,

Widzącym i w otuchę hojnym! Dziewczę,
Starcowi temu szczodrą daj jałmużnę.
(Ofka rzuca mu w skorupkę żółwią pieniądz złoty.)

PRZEKUPKA (*do sąsiadki*).

Błysnęło i uczciwie brzękło. To chyba córka Wójtowa.
Ale nie. Niemcy nie takie rozrzutne.

KWIACIARKA.

A do domu, panieneczki — do swego własnego — tu oto—do mnie. Patrzcie no—fijołki, hyacynty, narcyzy, laki,—różyczki wczesne, jak bliźniaki do was podobne! Proszę wybierać! W pęczkach, w wiankach, w wiązkach, w równiankach—jak sobie życzycie!

JADWIGA.

Wszystkie i więcéj, jeśli jest gdzie w mieście,
Co najpiękniejsze kwiaty wnet mi znieście,
I z nich pokotem niechaj w tym kościele
Najświętszéj Pannie pomost się uściele!
(Ofka rzuca garściami pieniądze).

GŁOSY Z TŁUMU.

Aj—ależ to jakieś bardzo wielkie panie!

STARUSZKA O KIJU (*podchodząc do Jadwigi*).

Jasnotko moja, pokaż no mi rączkę. Nie bój się—nie wezmę jéj—zaraz ci ją oddam. Tylko niech zobaczę : jak ci się też Matka Boska odwdzięczy? (*z cicha*). Śliczna rączka!—Takiéj jeszcze u nas nie bywało. To téż popisana w nadzwyczajne rzeczy. (*jeszcze ciszej*) Panienko, Panienko.

Daj mi w twe uszko ciche szepnąć słowo:
Ty albo będziesz—alboś jest królową.

Nie wyrywaj mi jéj—zaraz skończę. W tak małéj rączusi, jak tu ciężkie berło dźwigać? co? nie prawda? Więc ci koniecznie towarzysz potrzebny—czy nie? Cóż z tego—kiedy—

W serduszku twojém płonne tkwi orędzie!
Nie ten co twój, lecz ten co nasz, twój będzie.

JADWIGA (*zakłopotana*).

Moja dobra kobieto, idź już, idź—(*szuka w kalétce*).

STARUSZKA.

Nie płać mi proszę—jam już z góry zapłacona. Niech cię nam Bóg w pociesze chowa—ma On więcéj, niż rozdał. Jam nie żadna żebraczka — (*znika w tłumie*).

ŻAK (z *garnuszkiem*).

Sławetni, więcéj odemnie możni!—dajcie co łaska w pusty brzuch przyszłego kronikarza a może i biskupa! (*przekupki nakładają mu w garnczek*).

JADWIGA.

(szuka w kalétce i nic nie znalazłszy, łańcuch sobie z szyi, zrywa).

Weźcie to. Dajcie wszystkim im odemnie
Dostatek jadła. Weźcie to. Daremnie
W świecidła strojną nie chcę być—dopóki
Ten lud nie syty chleba i nauki!

PRZEKUPKA.

O! o! Także się to odzywasz moje dziecko? Naprzód, schowaj twój łańcuszek—my tu u Pana Boga w służbie. Nie tobie być karmicielką—jeszcześ na to za młoda. Chybabyś była jałmużniczką królowéj.

MULARZ (*odgarniając przechodniów*).

Ustąpcie się—bo mi popsujecie. Patrzcie no—ta tu oto stopka w glinie—widział kto drugą taką w tém królestwie?

GŁOSY.

Co? gdzie? A! prawda. Czysto dziecięca — w dłoni się zmieści.

MULARZ.

Jasiek! Lećno duchem po gips. Niech ją na podziw odleję.

GŁOSY.

Ależ to chyba sama nasza pani.

PIEŚ.

(wypadając z tłumu, z cicha do Jadwigi.)

Bierz nogi za pas ciotusiu—bo oni, widzę, nad potrzebę ciekawi. Ja ich tu czém inném zabawię. (*krzyczy:*) Héj! trzymajcie! łapcie!

GŁOSY.

Co? kogo? gdzie? jak? (*Jadwiga tymczasem znika*)—

PIEŚ.

Tylko co tu był. O! jeszcze mu się ogon mignął. Myk — już po nim!

GŁOSY.

Po kim?

PIEŚ.

Ba—nie widzieliście? Szczur z rogami.

PRZEKUPKA.

Idź ty niezdarzony—głupiemu gadaj.

PIEŚ.

Ach! Matulu — któż wypowie,
Co są warci nasi młodzi,
Skoro w starym tym Krakowie,
Nawet szczur w dzień biały chodzi
Z rogami na głowie!

ŻACY (*nadbiegając*).

Wesołek! Wesołek! Powiédz nam co śmiésznego.

PIEŚ.

A do łaciny smarkacze! Naprzód się nudzić nauczcie, a potém się bawić będziecie—jeśli wam tak znaczono.

GŁOSY (*w tłumie*).

Bodajś pękł—bodajś kark skręcił—bodaj cię zabito! Tоćże tu tylko co była nasza pani.

PIEŚ.

Wasza? Zważcież miłe sługi,
Że zmysł krótki, gdzie włos długi.
Cóż z głupiemi jak wy zrobię?
Bo czy rzecz to zdrowa:
Że was pod spódnicą sobie
Jedna dziewka chowa?

KTOŚ Z TŁUMU.

Bredzisz błaźnie. Możesz pójść w dyby. Przecież to królowa.

PIEŚ.

Królowa—to dopiero żona takiego co jest królem.

KTOŚ.

Bo i prawda.

PIEŚ.

Więc jak ją za mąż wydamy—a no, to wtedy—nie mówię.

KTOŚ.

Albo to my ją mamy wydawać? Są drudzy, mądrzejsi.

PIEŚ.

Pewnie, że was się nikt nie poradzi. Ale, swoją drogą, jednemu możecie się ucieszyć, a drugiego przyjąć z nosem spuszczonym.

KTOŚ.

A juści prawda.

PIEŚ (*włażąc na stół*).

Więc dobrze wam choćby wiedzieć: co was czeka. Jest tam tych przyszłych królów naszych kupa.

GŁOSY.

Ejże? A jacy to?

PIEŚ.

No! Opolczyk. Cóż mówicie?
Piast—a razem kum Cesarski.
Lach—a razem Ruski książę.
Szlązak—i Węgierski razem
Wojewoda. Jednem słowem—
Całą gębą wielki pan!

GŁOSY.

Takiego nam właśnie potrzeba. Niech żyje!

PIEŚ.

Co? Ten warchoł, zmiennik, matacz,
Kusy szwab, krzyżacki ciura,
Szołdra pół i pół szlachetka?—
Jako niegdyś za Łokietka
Wara Albertusie Wójcie—
Tak dziś przy tym stać się bójcie,
By wnet, mimo pełnéj kiecki,
Nie szedł precz on gość Niemiecki!

GŁOSY.

A! to go nie chcemy. Niech idzie do czarta. Innego dawaj.

PIEŚ.

Rakuszanin. Ten już chociaż
Nie przechera—jedno Niemiec
Wskróś od głowy aż do pięty.
Człek stateczny—choć nadęty.
Choć gołowąs—pan dostojny.
Mąż rycerski—choć nie z wojny.

GŁOSY.

Ha! ha! cóż nam z takiego?

PIEŚ.

Ten, nie zasięgając naszéj
Rady, gdy koszulę, jeszcze
W zębach nosił, już się wczesnym
Ślubem z naszą sprzągł królewną.

GŁOSY.

O! zaś! A to śmiałek. I cóż? Dać mu ją teraz, czy nie dać?

PIEŚ.

Ze swych zamków, górą, dołem,
Przez gawiedzie, jedzie, jedzie,
Z trąb rozdźwiękiem, z ostróg brzękiem,
Konno, dworno, z psem, z sokołem,
W aksamitach, w gronostajach,
W pióropuszach, błyskach, wstęgach,
W srebrze, w złocie...

GŁOSY.

Tak że nam gadaj. Taki niech się święci!

PIEŚ.

Aleź, gapie!
Złoto z niego ani skapie,

Bo je umié trzymać w łapie.
Kutwa i łapigrosz duży,
Byle naszéj panny wiano
Z nią czy bez niéj mu oddano,
To się za nim aż zakurzy,
A wy, wiatr ten gdzieś po świecie
Próżno potém gnać będziecie.

GŁOSY.

A to go nie chcemy. Słyszysz? Nawet o nim dłużéj nie gadaj.

PIEŚ.

Godzien rządzić swe psubraty,
Lisa i wilczycy synek,
Pludrak, mydłek, smyk, papinek,
Czart opięty, pies kudłaty!

GŁOSY.

Prawda święta! Dawaj go tu — obszarpiemy go, co się zowie. O! patrzcie. Królewny mu się zachciało — Kazimierzowéj wnuki. Nie doczekanie jego—o innym gadaj.

PIEŚ.

Semko—to już nasz! Piast prawy,
Junak setny i król kmiecy.
Z magdeburskiéj nie rad Ławy,
Nieraz Niemcom sprażył plecy,
Lub Krzyżakom kruszył gnaty.
Szlachcic butny i wąsaty.
Z Bożéj Łaski dzierży piaski,
Pod swe zboże szablą orze,
Pan wesoły — cóż, gdy goły.

GŁOSY.

Wyposażymy go naszéj panny wianem. Z chudopachołka wyjdzie na sobie-pana.

PIEŚ.

Czémbądź by go obdarzono,
Wprzód, nim on to palcem ruszy,
Żydzi porwą—gdyż po uszy
Wlazł w ich kieszeń zatłuszczoną.

GŁOSY.

Żydom poobrywamy pejsy. Chodźmy ich bić. Za mną bracia. Nie damy im naszego króla.

PIEŚ.

Kiedy to z pod ciemnéj gwiazdy
Mazur ślepy, zbytnik, raptus!

Toćże oto, w pewne rano,
Nim królewnę nam przysłano,
On, ze zgrają swych junaków,
Co się również światła boją,
Naprzód chciał nam zdmuchnąć Kraków,
A gdy to się nie udało,
W drodze, naszą pannę białą
Obskoczywszy, wziąść jak swoją.

GŁOSY.

A niechże go! Ależ to gwałtownik. W takim razie, nie ma co gadać. Nie damy mu naszéj Piastówny. Niech idzie na złamanie karku w swoje sypkie piaski i w lichą sośninę!

PIEŚ.

No, a teraz, małowiele
Pogadajmy o Jagielle.

(W dali słychać rozgłośną muzykę. Robi się zgiełk ogólny. Jedni biegną w głąb—drudzy co tchu zbierają kramy.)

WSZYSCY.

Co to takiego? Co to takiego?

KTOŚ PRZECHODZĄCY.

Rakuszanin słyszę od Podgórza wali. Ludu moc okrutna. Chodźmy patrzéć. (*Wszyscy się zrywają—nawet dziady—*)

PIEŚ (*krzycząc*).

Głupcy! obwiesie! Cóż wam dadzą za to?

RZEŹNICZKA.

Idź ty na złamanie karku—bo cię tu jeszcze przywitam.

PIEŚ (*oglądając się*).

Jakby ich rozniósł miotłą kostropatą! (*złazi ze stołu*)—
Bodaj was wszystkich przez najgęstsze sito
Prześrutowano—owszem i zabito—
Owszem i żywcem pogrzebano—potém
Pod płot rzucono i zmieszano z błotem!—

KILKA PRZEKUPEK (*do straganiarki*).

Moja kumciu serdeczna—miéjcie tu oko na nasze tobołki.

STRAGANIARKA.

A! a! Sparły was kolki?

(Wszyscy wybiegają, zostaje tylko dziad pod kościołem i straganiarka).

PIEŚ (*do niéj*).

Ten dziadek tam, to chyba ślepy?

STRAGANIARKA.

Rzepy? Ja nie sprzedaję rzepy.

PIEŚ.

Ale ja nie mówię o rzepie.

STRAGANIARKA.

W sklepie? to może i jest. Ale u mnie nie ma.

PIEŚ.

Pytała gęś prosięcia o sadzawkę, i trafiła do kałuży pod mostkiem.

Jedzie Józwowa na łopacie,
Ku Łyséj Górze. — Jak się macie?
Cóż słychać tam w chałupie? —
A na to babsko głupie:
— W karczmie od ucha rznie muzyka,
A mnie coś w prawém biedrze strzyka,
I pod kolanem łupie.
(do dziada:) Dziadku, a wy nie idziecie?

DZIAD.

Kiej nic nie widzę mój jegomość *(muzyka ustaje)*.

PIEŚ *(do siebie)*.

Widocznie widać niewidomy — bo inaczéj nie widziałby we mnie jegomościa. *(Głośno:)* Chcecie — to was podprowadzę.

DZIAD.

Nie ma tam już po co iść. Kto inny połapał groszaki.

PIEŚ.

Ten już nie rzepę, ale sprzedaje swoje kaléctwo.

Otóż przykład, jak dalece
Szły nam w korzyść stare wiece!
Szlachtę, mieszczan weź, czy kmieci,
Kto żyw, z pierwszym wiatrem leci.—
Ledwie widzi cię i słucha
Ślepy dziad i baba głucha!

Choć i ta baba poprostu tylko nie słyszała grania, a dziad omackiem by do niego nie trafił. *(Wracają tłumnie ci, co byli poszli)*.

A! co widzę. Teraz, ktoby
Chciał wymowy swéj zasoby
Dźwięczącemu zwierzyć słowu,
Toby sejm zerwany znowu
Mógł zagaić — czyli raczéj
Miałby widzów i słuchaczy.
(do nadchodzących)
Miła siostro, miły bracie,
Cóż to? Z niczém powracacie?

MIESZCZANIN.

Walili, aż grzmiało. Ale już na Stradomiu utknęli. Kurozwęcki zaparł wrota zamkowe i kazał podnieść bronę.

PIEŚ.

O! o! Taki niegościnny! Ktoby się spodziéwał?
Toż ja widzę, nie na żarty
Niemiec nos ma szkłem utarty!

MIESZCZANIN.

Nic mu to nie szkodzi. Stanął gospodą u Dalewickiego.

PIEŚ.

Byle kiedyś, o czém nie wie,
Z tym Gniewoszem nie był w gniewie.

MIESZCZANIN.

A to czemu? Pan od złota i najdroższych kamieni. A jakie pióra miał na głowie!

PIEŚ.

Mówisz, miał na głowie pierze?
Niech mu czart je garścią zbierze!

PRZEKUPKA.

Wynoś się ty wcześnie, bo ja mam pazury, które tylko co piątek obcinam, a dziś chwalić Boga czwartek dopiéro.

RZEMIEŚLNIK.

Ej ty! Jak ja cię tu zamaluję, to w rodzoném zwierciedle nie poznasz: czy to ty, czy twój nieprzyjaciel.

PIEŚ.

Hej wy drudzy! gdy wam chętka
W pięści zagrać — niechaj z prędka
Ze mną zeprze się plecyma,
Kto tu z Kurozwęckim trzyma!

KTOŚ Z TŁUMU.

Ty sam pokaż plecy — bo nam już dość twojéj opieprzonéj gęby. Wynoś się pókiś cały.

INNY.

Daj się powiesić i jeszcze podziękuj oprawcy. A nie gadałeś to sam: że oni już zrękowani?

INNY.

Panna Rakuszaninowi się należy — nie ma gadania. Idź ty z twoim Kurozwęckim gdzie was nie posiano.

PIEŚ.

Pal was czarci! Niech tam sobie
Niemiec łeb kudłaty skrobie,
Oraz mury nosem bodzie,
W które mądry wlazł obrońca —
Ty się zdrowiem ciesz, narodzie,
Od szarego twego końca! *(wychodzi)*.

AKT DRUGI.

GNIEWOSZ.

OSOBY AKTU.

JADWIGA, NAWOJKA, OFKA, DYMITR, DOBIESŁAW, GNIEWOSZ, PIEŚ.

Komnata w zamku na Wawelu.

JADWIGA, NAWOJKA, OFKA, PIEŚ.

JADWIGA *(do Nawojki)*.

Wielka rzecz! Naprzód, wiersz to wcale lichy,
Tak, że nie warto szukać z niego pychy —
A co do pisma, to je niesłychanie
Szpeci niesmaczne głosek malowanie.
(*czyta:*) „Spójrzałaś w oczy moje utęsknione,
„A ja, gdy w blaskach wzroku twego tonę,
„Zda mi się, czuję z rozkoszą,
„Że mam na czole koronę.
(mówi) Toś mu patrzała w oczy?

NAWOJKA.

Nawet nigdy
Nie przypuszczałam, że on gdzieś istnieje.

JADWIGA *(czytając)*.

„Jeśli jest prawdą, co śpiewacy głoszą:
„Że po nad naszą dolą gdzieś macoszą,
„W obłokach, zkąd ziemska kula
„Pyłem się staje z olbrzyma,
„Bóstwo, z jasnemi tak jak ty oczyma,
„Królewskie serca w dłoniach swych przytula—
„Toś mi jest Bóstwem, które serce króla
„W swéj dłoni trzyma."
(*Gniecie w garści pismo*).

Nie masz bynajmniéj z czego szukać chluby,
Bo wiedz, że ten tam twój Suchenwirt luby
Jest, mimo wszystkie rymów swych popisy,
Nieznośny, brzydki....

PIEŚ.

Głupi, stary, łysy,
Garbaty, chromy, ślepy i tam daléj.
Lecz nadewszystko to mu się nie chwali,
Że się wprzód wyrwał od swojego pana,
I że jest sługą sługi — zamiast pani.

JADWIGA.

Idź precz! Czy chcesz ty słuchać kiedy mówię?
Idź — bo na głowę rzucę ci obuwie,
I w kark ci pięścią dam i kopnę nogą.
Zła jestem. Boże! i to ludzie mogą
Żyć w nudach takich!

PIEŚ.

Pewnie, że trudno—ale cóż robić. Nie zawsze królowanie rzeczą zabawną bywa. Sam doświadczyłem tego na sobie. Oto naprzykład ów na Rynku sejm walny, zwołany przezemnie ku twéj korzyści. Cóż? Sromotnie został zerwany, z przyczyny przybycia nie w porę Rakuskiego twego gagatka.

Pchając się, depcząc, biegli tam ludkowie,
Blask jego chwały witać czcią łakomą —
Wiadomo — pełno pierza miał na głowie,
Ale co w głowie miał? — to nie wiadomo.

JADWIGA *(z gniewem).*

Miéj go w twéj opiece!
Chciałabym, żeby wiedział, jak dalece
O niego nie dbam!

PIEŚ.

Ale czy nadługo?
Dotąd, co prawda, takby się zdawało:
Jakby o ciebie *on* dbał dosyć mało —
Bo gdyby nie chciał panem być, lecz sługą,
To cię kornemi winien był pokłony
Uczcić.

JADWIGA.

Śmiertelnie został obrażony.

PIEŚ.

No juściż, jak komu drzwi przed nosem zatrzasną —

JADWIGA *(chodząc gorączkowo).*

To jawny rokosz! to gardłowa sprawa!
Natychmiast słałam przyzwać Dobiesława —
Dotąd się śmie ociągać!

PIEŚ.

Od czegożeś królowa? Każ mu łeb uciąć. Ja sam tego dopełnię; a że mam oręż drewniany—więc mu długo mogę gardło piłować, ku tém zawziętszéj twéj uciesze.

OFKA.

Ach! na mieście
Cóż za ruch! co za zgiełk!

PIEŚ.

To tak, niestety,
Fruwają czułe zdala ztąd sonety,
Oraz canzony wiatrem westchnień gnane!

JADWIGA *(w złości).*

Idźcie precz wszyscy — sama niech zostanę!
Boże mój! co za nudy!

POKOJOWIEC *(wchodząc).*

Pan dostojny
Gniewosz z Dalewic!

JADWIGA.

Ach! zostańcie proszę.
Od niego pewnie do mnie wielce miłym
Jest posłannikiem *(wchodzi Gniewosz).*

GNIEWOSZ.

Od Wilhelma księcia,
Ozdoby królów i rycerstwa chluby,
Kolano zgiąwszy, korną ci pośpieszam
U stóp twych, pani, złożyć czołobitność.
Lecz wzniosłą cześć jéj czyż wysłowić zdołam?
Wątpię — niech za mnie wymowniejszą będzie
Tych kwiatów mowa — ale nadewszystko
Woń uczuć serca prześwietnego pana,
Która w tém piśmie z pośród nich wykwita.

JADWIGA *(biorąc bukiet z listem).*

Bądź pozdrowiony, pośle dobréj wieści!
Dar twego pana dobrze się umieści.
Miłą mym oczom jest tych kwiatów mowa —
Lecz serce w sobie myśli woń zachowa. *(siada)*
Cóż? gość dostojny czy wypoczął z drogi?

GNIEWOSZ.

Zrobił mi zaszczyt, w moje nizkie progi
Gospodą wstąpić.

JADWIGA.

Czy się cieszy zdrowiem?

GNIEWOSZ.

Doprawdy, strach mię, godnie czy wypowiem
Blask, jakim wszędzie młodzian ten uroczy
Podbija serca i olśniéwa oczy.
Pan to nad wyraz dzielny i wspaniały!
Zda się, w nim wszystkie naraz się zebrały
Doskonałości, w jeden wieniec chwały!

W postaci wdzięku i w piękności twarzy
By mu kto zrównał, niechaj ani marzy
Słoneczne nasze w krajach tych podniebie...

JADWIGA.

Dość. Niech on wreszcie mówi sam za siebie.

(*Rozwija pismo i czyta:*)

DO MOJÉJ LAURY.

„Choćbym i nie chciał — tkwi w mém sercu strzała.
„Choćbym i nie mógł — z Niebios mam zachęty.
„Choćbym i nie śmiał — jam w twą stronę pchnięty.
„Choćbym nie umiał — rwie duch więzy ciała.

„Umiałbym nie chcieć — gdybyś tak żądała.
„Nie śmiałbym nie módz — alem wściągnion pęty.
„Nie chciałbym nie śmieć — alem czcią przejęty.
„Mógłbym nie umieć — lecz tyś za mnie śmiała.

„W tobie jest wszystko co nad życie cenię:
„Tyś moja wola, możność, ośmielenie,
„I umiejętność mądra nieskończenie.

„Z twych ust niech w serce spłyną mi słodycze,
„A z oczu błyski rzuć mi czarownicze.
„Od których umrzéć, bym zmartwychwstał, życzę!

PIEŚ (*do Nawojki*).

Pociesz się pani. Te wiersze ani się umywały do twoich—choć je ten sam pisał.

Że zaś dla siebie lepsze, a dla pana
Gorsze przeznaczył, rzecz to w świecie znana:
Koszula bliższa ciała, niż sukmana.

GNIEWOSZ.

Prześliczne rymy! Dźwięczne, szeleszczące
Wyznaniem trwożnem, i w zagadki uczuć
Spowite słodko w sposób tak misterny,
Jakby je z duszy wysnuł sam Petrarka!

PIEŚ.

Ach! dajże pokój! bo się wstydem spłonię.
Petrarka, człek duchowny, w cudzéj żonie
Kochał się, słyszę.

JADWIGA.

Jam nie cudzą żoną
Lecz tą, co w sercu ślubną wiarę chowa.

PIEŚ (*do Nawojki*).

Jawnogrzesznico! bij się w pierś skruszoną—
Bo to do ciebie, nie zaś do mnie mowa.

NAWOJKA.

Ci, co mi niosą swéj miłości słowa,
Tyleż witani są, co i żegnani.

POKOJOWIEC *(wchodząc).*

Wielkiego Mistrza giermek pragnie pani
Dar cenny złożyć u twych stóp.

JADWIGA.

Niech wejdzie.

PIEŚ.

Czy i ten z wierszami? *(wchodzi giermek).*

GIERMEK.

Najświętszéj Panny i Pogromcy smoka
Pokorny sługa i bojownik dzielny,
Mój pan, prześwietna pani, pozdrowienie
Raczy ci przysłać— a z niém, ku uciesze
Twych łowów, tego tu sokoła, który
Wraz z sokolnikiem swoim niech ci służy.

GNIEWOSZ.

Przepyszny raróg! Pewnie z puszcz Baltyckich
Szlachetnie rodem?

GIERMEK.

Tak; z tych ziem odwiecznie
Naszych.

NAWOJKA.

Odwiecznie?

GIERMEK.

Boskiéj woli prawem!

PIEŚ.

Zgodnie z pobożną pięścią.

GNIEWOSZ.

Zwinny, krzepki.
I pewnie tyleż sprawny. Podobnemu
Niczém w powietrzu czaple brać. Drugiego
Takiego rzadko spotkasz.

GIERMEK.

Bardzo wierzę.
Kształcony w naszéj szkole — dość powiedziéć!

PIEŚ.

I ztąd nawet jak dwie krople do Zolnera podobny. Jego ma nos krzywy i łapy szponami zdobne. W jednéj zdaje się trzymać Pomorze, w drugiéj ziemię Dobrzyńską.

NAWOJKA.

Cicho. Królowa mówi.

JADWIGA.

Mości giermku —
Twojemu panu chciéj powiedziéć proszę:
Że z jego daru być zadowoloną
Zarówno *raczę*, jak on, gdy się z niego
Dla mnie wyzuwał.

(Daje mu ręką skinienie — ten nie odchodzi.)

Czy co jeszcze więcéj
Do powiedzenia masz?

GIERMEK.

Dostojna pani!
Mój pan niepłonną żywić chce nadzieję:
Że, jako godna Loisowa córa,
A dziś, małżonka Niemieckiego władcy,
Skłonnaś, jak oni dwaj, Zakonu wierną
Być sojuszniczką.

JADWIGA *(wstając gwałtownie)*.

Jak ty śmiész zuchwalcze?
(do Piesia) Ty się z nim rozmów. Powiédz mu, że chyba
Mistrz jego mistrzem jest w przewrotnéj sztuce.
Więc, gdy z pogardą jego dar odrzucę,
Chcę, by odpowiedź wziął zarazem, która
Da z nas każdemu odpowiednie prawa —
Gdy on sam u mnie przez pachołka stawa,
Niech mi sokoła przyśle przez komtura!

PIEŚ.

Słyszałeś, własne są to moje słowa.
Ta pani, nie dla takich jest królowa
Jak ty — lecz nie bądź smutny z téj zamiany:
Jam królem głupich—więc tyś mój poddany.

GIERMEK.

Prześwietna pani! patrz—ja w pierś się pięścią
Pokornie biję. Ach! zgrzeszyłem — przebacz.
Jam jest pokoju z powołania sługą —
Zakonnik cichy.

PIEŚ.

Wiem. Zakrystyan, w komży
Z żelaznych oczek, dzwonnik w szable, klecha
Szumiącym w czubie pióropuszem zdobny,
Na trąbach w pychę dmących organista.

GIERMEK.
Jeszczem nie skończył. Pani—chciéj rozkazać,
Aby on milczał.

JADWIGA.
Daléj mów. Cóż więcéj?

GIERMEK.
Wyznaję tedy w skrusze, że jedynie,
Z chwalebnéj żądzy usłużenia tobie,
Nie to, co Mistrz mi zlecił, ale własne
Życzenia serca wyraziłem. Otóż,
Niewczesne słowa moje puść w niepamięć,
I proszę, daru mego nieprzyjęciem
Nie chciéj mię karać—bowiem wiédz, że skoro
W Malborgu naszym ztąd z powrotem stanę,
Ostrogi złote oraz pas rycerski
Mam w świetnym zysku odnieść—tak dalece
Zaszczytną rzeczą w pośród nas uznano
Moje poselstwo.

JADWIGA.
Dość już. Możesz odejść.
Wasz dar z pokornym hołdem twym przyjęłam.

PIEŚ.
W prawicy dzierżąc żerdź z kapturkiem długą,
Idź gasić świéce, mości księży sługo.
Te Deum laudamus. (*giermek wychodzi*)
Ztąd wychodząc
Zębami zgrzytał dosyć niełaskawie.
Ale za drzwiami radość go przenika,
Że zrobił swoje. Bo w téj całéj sprawie
Sokół przydatkiem jest do sokolnika,
Który to ptasznik, z ptakiem wysłan w darze,
Sam się nie lada ptaszkiem być okaże,
(*śpiewa:*) Taki samiec po nad samce,
Biegły w sztuce swéj krzyżowéj,
Świątobliwie, tuż przy klamce,
Rad spowiadać ludzkie mowy.
Rozgrzeszenie tam, wysoko!
Byleś z równą żądz otuchą,
Miał przy każdéj dziurce oko,
I u każdéj szpary ucho.

GNIEWOSZ.

Chytrzy są, dumni i nie pewni w wierze.
Szkoda. Zkądinąd dzielni z nich rycerze.

JADWIGA.

Najeźdźców raczéj zgraja!

GNIEWOSZ.

Przecięż do nas
Nie sami przyszli. Konrad, przez nich, zyskał
Mazowsza swego miedze.

JADWIGA.

Od choroby
Lekarstwo gorszém było. Już mój pradziad,
Jakbądź praszczura szczerbiec miał, w ich karki
Siekł z trudem. Syn zaś jego, gdy ów nagi
Miecz, dla pilniejszéj w domu gospodarki,
Chciał wziąść do boku,—z ujmą swéj powagi—
On—Pan—z przybłędy tymi, jakby z równym,
Szukając miru—w zamian był zmuszony
Odkruszyć cenny odłam swéj korony.
Gdy myślę o tém, to się nie daremnie
Odwetu żądzą wszystko wstrząsa we mnie!

GNIEWOSZ.

Tak. Nie wygodni to sąsiedzi. Jednak
Czy lepsi byli dawni?

JADWIGA.

Od obcego
Lepszy najgorszy sąsiad pobratymy!

GNIEWOSZ.

Podobno nie tak prawił Floryan Szary.
Gdzie niegdyś zgrzyty klęsk i łun pożary
Gościły wiecznie—tam dziś ład widzimy.

JADWIGA.

Ład? Chyba szydzisz waszmość. Wśród cmentarza
Ład się podobny nieraz widzieć zdarza,
Który grobową ciszą swą przestrasza
Bliźnięce serca. Bowiem w te mogiły
Krwi się potoki oraz łez wsączyły—
A łzy te bratnie są—a krew to nasza!

GNIEWOSZ.

Zakon żelazną pięść ma—nikt nie przeczy.

JADWIGA.

Do tego, powiesz: z licznéj książąt rzeszy

Nie jeden warchoł pomoc dać mu śpieszy,
I sam go Rzymski cesarz ma w swéj pieczy?
Lecz my, nie mamyż bliższych, niźli oni,
Współtowarzyszy doli?—Któż nam wzbroni
Z Litwą się związać?

GNIEWOSZ.

Pani—rozważ, proszę—
Czy ci się godzi sprzęgać z swoją chwałą
Ćmy bałwochwalcze? Ten od Krzyża zginie,
Kto z Krzyżem walczy!

NAWOJKA (*wybuchając*).

Mości karmazynie—
Waść z niemi trzymasz!

PIEŚ.

Dobrze. Daléj. Śmiało!
Mimo zarzutów, jakie jéj zrobiono,
Czyż ta tu pani nie jest wierną żoną?

NAWOJKA.

O walce z Krzyżem waszmość prawisz? Pewnie
Z tym, co to na nim Zbawiciela Ciało
Wśród Odkupienia krwawych Mąk wisiało?
Lecz Moc jest Boża w tém Najświętszém drewnie—
Więc nie możebna walka z takim, skoro,
Zbrojny miłością tylko i pokorą,
Do boju stawa.

GNIEWOSZ.

Właśnie tak.

NAWOJKA.

Więc jeśli
Tak jest, to nie ten wcale—przyznasz przecię—
Na białym płaszczu czarnym znakiem kreśli
Grobowe znamię. Po szerokim świecie,
Z tamtym, Wybranych Pańskich zastęp cichy,
Niósł Słowo Dobre. Ten zaś, zbrojne mnichy,
Sługi doczesnych żądz i czarnéj pychy,
Na kark wtłaczają bliźnim dłonią krwawą,
W któréj: miecz, ogień, pęto i katusza,
Bluźnierczo Boskie wykrzywiając prawo,
Wierzyć, nadzieję mieć, i kochać *zmusza*!
Więc owi, których takim nawiedzono
Krzyżem, co nie jest zbawczy lecz przeklęty,
Dziwnoż to komu, gdy krnąbrnemi wstręty
Za przemoc płacą?

GNIEWOSZ.

Pani, twą obroną
Już ich potępiasz.

NAWOJKA.

Nie skończyłam jeszcze.
Tych ludów jednak Bogi, trwogą blade,
W boleści mierzchną; gdyż ich właśni wieszcze
W swych pieśniach bliską głoszą im zagładę...
Więc kraj ten cały aż po Żmudzkie tonie,
W Kazimierzowéj niegdyś już Aldonie
Przez pół zjednany Chrystusowéj Chwale,
Nie żadnym obcym skądś przywłokom, ale
Nam się należy.

GNIEWOSZ.

Gdy go podbijemy.

NAWOJKA.

Lecz mieczem, który zwie się dobrą wiarą!

GNIEWOSZ.

Dziki to naród oraz przeniewierczy.
Któż im zaufa? Witołd już trzy razy
Wracał bałwany swoje czcić.

NAWOJKA.

Tak musiał!
Skoro w zakonie, który zgubnéj waśni
Jest mistrzem wielkim, chciano, by go właśni
Podejrzewali bracia i poddani,
Że ich wrogowi sprzedał.

GNIEWOSZ.

A więc, pani—
Ty z Litwą trzymasz.

NAWOJKA.

Tak. I wiem, co czynię.
Kiedym porwana, z musu tam w gościnie
Będąc, rzecz każdą oglądała pilnie,
W wielkoksiążęcym grodzie, w możnem Wilnie,
Zastałam rojne współwyznawców mrowie.
Kupiectwem bawią się, i nikt nie powie
By im się krzywda działa. Z dawnéj pory
Kościoły wzniosłe mają i klasztory,
I cześć ołtarzy swoich zapewnioną.
A kiedy z Nieba było mi zdarzono,
Żem, pod opieką Pańskiéj Rodzicielki,

Z Łysicy wzięte Boskie Krzyża Szczęty,
W mój kraj rodzinny niosła—sam kniaź wielki,
Z odkrytą głową, wiódł nasz orszak święty
W pielgrzymią drogę, czerń zaś trwogą blada,
Bywało, z drżeniem na kolana pada!
Więc, iż się Witołd wdał ponownie z czarty,
W tém go potępić niech się nikt nie sili—
Gdyż był chrzest jego zgoła tyleż warty,
Ile i wiara tych, co go ochrzcili.

GNIEWOSZ.

Milcz pani. Bluźnisz!

NAWOJKA.

Milcz sam. Przez Bóg żywy,
Z świętokradcami trzymasz!

GNIEWOSZ.

Twemi słowy
Do złego pani kusisz!

NAWOJKA.

Od królowéj
Z podszeptów zdradą precz doradco krzywy!

PIEŚ (*śpiewając dla ich zagłuszenia*).

Nie wierz Matulu, gdy kto gada,
Że nas jest słychać u sąsiada,
Bo świat ma język smoczy.
W serdecznéj zgodzie z sobą żyjem—
On mię sumiennie łoi kijem,
Ja mu podbijam oczy. (*wchodzi Dymitr*).
A! Bywaj w porę mości nasz podskarbi!
Wkrótce się zakon skurczy i tak zgarbi
Jak bywa silnie w grzbiet kropiona zdrada.
Idziemy na nich z Litwą.

DYMITR.

Co on gada?

JADWIGA.

Milczenie! (*do Dymitra*) Waszmość z czém przychodzisz [proszę?

DYMITR.

Pani—twój stryjec, książe na Gniewkowie,
Władysław Biały, słyszę, zmarł.

JADWIGA.

Ach szkoda!
Szczerze mi żal jest dziada Lancelota.
Na rękach niegdyś nosił mię maleńką.

PIEŚ.

Nie tak to dawno.

JADWIGA.

Władca i pokutnik,
Trubadur, pątnik, opat, rycerz błędny—

PIEŚ.

Słowem—że wszystkiém chcąc być, niczém nie był.

JADWIGA.

Zazdrosna dola cierń mu wbiła w serce!
Od kiedy żonę stracił ubóstwianą,
Sam siebie pozbył, bo jak uważano
Z sobą i z światem całym był w rozterce.
Tak to on kochał!—

PIEŚ.

Lecz nie kraj swój chyba.
Gdyż snadź praojców zbrzydła mu sadyba,
Skoro ją sprzedał. Wprawdzie, wziąwszy grosze,
Wypędził kupców, aby znów po trosze
Był nie u siebie. Ztąd w nim tylko znamy
Nieproszonego gościa.

DYMITR.

W rzeczy saméj,
Ten pan niesforny, przez swe liczne zmiany,
Raz wraz nam w państwie broił niesłychanie.
Aż wreszcie przezeń w ostry bój wyzwany
Bartosz z Więcborka, snadź na pożegnanie,
W Złotorji spornéj goniąc z nim, przy bramie,
Raz mu na zawsze strzaskał krnąbrne ramię,
Z czém tamten odszedł, by nie wrócił więcéj.
O! był szkodliwym warchoł ten książęcy!
Semka nam burzył! Ten zaś, od téj chwili
Gdy sojusznika w nim postradał, ani
Myśli już sięgać po twą rękę pani,
Tylko pokornie do twych stóp się chyli,

JADWIGA (*wstając*).

Czemuś mi czekać dał na wieść tak miłą?
O! co za radość! Temu lat nie wiele—
W Haimburgu—pomnę, jakby wczora było—
Kiedym z Wilhelmem szła, by z nim w kościele
Wymienić słodki ślub dozgonnéj wiary,
Semkowy rodzic, książe Semko stary
Swadziebnym był mi druhem oraz świadkiem.

PIEŚ.

Co słyszę? Semko sam, zdarzeniem rzadkiem,
Po kosz swój sięga? Toż tu jaki taki
Śle nam od serca wiersze, kwiaty, ptaki;
Nie mógłże w droższe niźli te podarki
Spowić swych uczuć ów jegomość jarki?—
Cóż? pewnie znowu goły jest niezgorzéj?—
Ha! więc gdy biorą, rozdawajmy kosze. (*wchodzi Dobiesław*).
Milczenie. Waszmość z czém przychodzisz proszę?

JADWIGA (*porywczo*).

Ach! jesteś przecię, mości kasztelanie!
Mów : jakiém prawem, Rakuskiego księcia,
Królowéj waszéj pana i małżonka,
Tu, w obecności mojéj, wejść na zamek
Nie dopuszczono?

DOBIESŁAW.

Miłościwa pani—
Zamek to królów naszych.

JADWIGA.

On jest królem!

DOBIESŁAW.

Ale nie naszym.

JADWIGA.

Będzie nim!

DOBIESŁAW.

Być może.
Lecz dotąd jeszcze nie jest.

JADWIGA.

Wielki Boże!
Możecież myśléć, że się stać inaczéj
Musi, niż tak jak ja chcę?

DOBIESŁAW.

Tyś jest matka
Twojego ludu. Bóg cię natchnąć raczy
Nas wszystkich szczęściem.

JADWIGA.

Niebo mam za świadka,
Żem czystéj chęci!

DOBIESŁAW.

Któż się wątpić waży?
Lecz zanim Bóg cię dał nam, byś koroną
Chrobrych jaśniała, wcześnie mi zlecono,

Abym u grodu tego był na straży,
Z którego serca nasze tak się szczycą,
Że aż stolicy sam się stał stolicą.

JADWIGA *(porywczo).*

Więc cóż? Na mieście mam, i gdzieś w skrytości
Przyjmować tego, który jak najraniéj
Związany ze mną, w domu własnym gości,
Gdy u mnie?

DOBIESŁAW.

Wolna wola twoja pani!

JADWIGA.

Grzeszysz zuchwalstwem nigdy niesłychanem!
Jednak w niepamięć puszczę twoje słowo—
Byleś je tylko cofnął.

DOBIESŁAW.

Tyś królowo
W królestwie panią — a jam w zamku panem.

JADWIGA.

A! Tak? Już spełna lat piętnaście żyję,
A jeszcze dotąd usta mi niczyje
W twarz, niepomszczonéj, tak jak ta, zniewagi
Nie śmiały rzucić! Próżno miecz bym nagi
W dłoń pochwyciła — skoro mię przestrasza
Myśl o przyszłości — bowiem, w méj potędze
Bezbronna, widzę, smutny żywot spędzę!—
Idźcie odemnie! Precz ztąd! Jam nie wasza!—

DYMITR *(zginając kolano).*

O pani! błagam — nie mów tak. My twoi —
Tyś nasza — równie w złéj, jak w dobréj doli—
I przyszłość krew nam naszych serc zespoli
Z twém szczęściem — tylko, niech cię Bóg uzbroi
W cierpliwość słodką. Wierz mi — najzupełniéj
Z nas każdy tylko swą powinność pełni.
Błagam cię — niech się mir nasz nie rozluźni—
Sama racz nie chcieć tego, czego późniéj
Żałować możesz.

JADWIGA *(mięknąc).*

Dość. Powiédzcie sami:
Czy jest zazdrości godne moje życie?
Chcieliście niegdyś, bym rządziła wami —
Dziś — nie ja wami — lecz wy mną rządzicie.—
Odejdźcie oba. Każdy spełni swoje.

Ja tak przy moich obowiązkach stoję,
Jak wy przy waszych.

(Dymitr i Dobiesław odchodzą).

PIEŚ *(wołając za nimi).*

Bo pomnijcie waście,
Że pani wasza ma lat aż piętnaście!

JADWIGA *(do Gniewosza).*

Mości starosto — musisz mi koniecznie
Opatrzyć miejsce, gdziebym—gdy nie mogę
W swym własnym domu—jawnie, okazale,
Dworno, i kiedy zechcę, mego pana
Widywać mogła.

GNIEWOSZ.

Miłościwa pani,
Jest tu w pobliżu klasztor Bosych Braci,
Z Żebrzących rzeszy.

JADWIGA.

Hojnie ich obdarzę.

GNIEWOSZ.

Krużganki mają, chłodne wirydarze,
A nadewszystko serca, w całéj sile
Oddane tobie.

PIEŚ.

Jeśli się nie mylę,
Strzeż się królowo! Klasztor to bosacki —
Łatwo bez butów można wyjść z téj schadzki.

JADWIGA.

Milcz. *(Do Gniew.)* Więc wydatków nie chciéj waszmość
I niech mi wprędce, będzie tam przyjęcie [szczędzić,
Nas dwojga godne, składnie zgotowane.

GNIEWOSZ.

Nie łatwo godnie uczcić tak dostojną
Wybranych parę. Jednak, wielce mile
Przed wolą twoją, pani, skroń mą chylę.
Co? gdyby orszak lekkich Muz skrzydlaty:
Uśmiechy, blaski, dźwięki gędźby, kwiaty?...
Przystały godom skromne krotochwile.

JADWIGA.

Tak właśnie pragnę.

GNIEWOSZ.

Dość tu czarodziejstwa
Téj cudnéj rączki, która, będąc naszą,

Własnością oraz jest najświetniejszego
Z chrześciańskich książąt.

JADWIGA.

Więc śpiesz waszmość, proszę,

GNIEWOSZ.

O niezrównane zleceń tych rozkosze!
Chciej wierzyć pani, że jest dla mnie prawem
Twój rozkaz każdy.

JADWIGA.

W sercu mém łaskawém
Usługi twoje wdzięczność już zyskały.

GNIEWOSZ.

Błagam cię — nie mów pani o zasłudze,
Bo się tu tylko własném szczęściem trudzę,
Powinność słodką pełniąc z duszy całéj.

PIEŚ.

No — idź już pełen zasług i słodyczy —
My tak życzymy i królowa życzy. *(Gniewosz wychodzi)*.

JADWIGA.

Odejdźcie wszyscy. — *(Zostaje sama)*.
Miéć coś Gniewoszowi
Do zawdzięczenia, niezbyt jestem rada.
Ten człek usłużny, równie jak i owi,
Powinność swoją pełni — tak powiada.
Z tych dwóch więc tedy któraż jest prawdziwa:
Czy nie ta czasem, co trudniejszą bywa?...

Tamci, nie pomni własnych swych korzyści,
Przy cudzém twardo stoją i są czyści —
Ten zaś sam z sobą trzyma, jak się zdaje —
Mamże z nim trzymać? —
Lecz cóż, kiedy oni
Wilhelma nie chcą!...
Tam krzyżaków zgraje
Broją, tu z puszczy róg litewski dzwoni....

Boże! dopomódz twojéj racz Jadwidze!
Gdyż ja rozstajne drogi tylko widzę....

Knecht, jakby Niemce, w twarz, grubemi słowy,
Sojusz mi rzucić śmiał obowiązkowy,
Miałżeby prawo? Tak. Ten zakon srogi
Swą niemieckością trwa, i w nasze wrogi,

Krwi polskiéj kosztem, twardo się rozrasta.
Już się nam Niemcy bujnie wdarli w miasta.
Toćże w stołecznym nawet tu Krakowie
Bój z mym pradziadem toczył wójt zuchwały!
Toćże wyrodni sprawą ich Piastowie
Odwieczne swoje oderwali działy
Od macierzystéj miedzy — i jeżeli
Samém sąsiedztwem z niemi w nich wsiąknęli,
To cóż krwi związki z tą nawałą wrażą?...

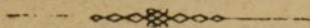
Boże mych ojców, racz mię mieć pod strażą,
Gdyż, zagrążając wzrok w te mgły złowieszcze,
Niestrojnych myśli czuję w sobie dreszcze!...—

Tylko co dzieckiem bywszy, kiedym jeszcze
Czasu nie miała wziąć w młodzieńczą duszę
Méj kobiecości wiedzę—stać się muszę
Świadomą celów matką i królową!...
Czy nie za wiele chmurna przyszłość liczy
Na moje siły?...
O! tu — na dziewiczéj
Piersi, obrączkę noszę tę godową,
Z którą mi Wilhelm dał swe ślubne słowo.
Kocham go — jegom jest — a coś mi szepce:
Czy ja nie kocham siebie w nim? O! gdyby
Módz go nie kochać!...
Nibym, w snów kolebce,
Wiejąca w światłach przez błękitów szyby—
Razem i rozkosz ze mną jest i męka,
Bo się duch we mnie przebudzenia lęka....

Boże! Ty twojéj bądź miłościw słudze—
Niech się czas jakiś choć nadzieją łudzę....

(Wychodzi zamyślona).

Felicyan.





ŚWIADOMOŚĆ I NIEŚWIADOMOŚĆ.

SZKIC PSYCHOLOGICZNY.

> Chaque état de conscience ne représente qu'une portion très faible de notre vie psychique, parcequ'il est à chaque instant soutenu et pour ainsi dire poussé par des états inconscients.
>
> Chaque état de conscience n'est en lui-même qu'une lumière sans efficacité, que la simple révélation d'un travail inconscient.
>
> *Th. Ribot.* (Maladies de la personalité).

I.

Wszelka czynność psychiczna dokonywa się w pierwiastkach nerwowych. Prawo zachowania energii, nie przedstawiające żadnych wyjątków w całéj naturze, każe nam przypuszczać, iż czynność ta jest ruchem molekularnym i że ruch ten nie może zniknąć, nie może ustać inaczéj, jak tylko dając początek innemu ruchowi. Maszyna, pracując, pochłania wprawdzie część swego ciepła, lecz zjawisko to skonstatowaném być może tylko przez kalorymetryą. Tą drogą jednak możemy się dowiedzieć jedynie o chwilowym stanie ciepłoty jakiegoś przedmiotu, ale nie o sposobie, w jaki stan ten wytworzony w nim został. Termometr ujawnić nam może do pewnego stopnia tylko chwilowy stan mózgu.

A. Gautier utrzymuje, iż świadomość nie jest formą energii, lecz percepcyą stanów wewnętrznych i ich stosunków, percepcyą formy danego stanu wrażeń otrzymanych i przekształconych w mózgu. Zwierzę w stanie myślenia jest organizmem spostrzegającym swe modyfikacye i ich stosunki. Zjawiska psychiczne są więc, z punktu widzenia obiektywnego, formami i stosunkami; z punktu zaś widzenia subiektywnego—percepcyami, obserwacyami wewnętrznemi. Świadomość jest zatém tylko odczuwaniem wrażeniowém, czyli widzeniem organizacyi wewnętrznéj, ujawniającéj swój po-

rządek i swe formy, gdy energie wewnętrzne uczynią je wrażliwemi (1).

Takie atoli określenie świadomości nie jest zgodném z dzisiejszemi wynikami nauki. Czém jest właściwie świadomość, nie wiemy; możemy tylko poznać warunki, w jakich się ona ujawnia.

Umysłowość, w właściwém znaczeniu tego wyrazu, ma swe siedlisko w szaréj substancyi mózgowéj. Zaburzenia dezorganizacyjne, występujące w téj części mózgu, przejawiają się w zaburzeniach umysłowości o tyle głębszych, o ile dezorganizacya bywa szerszą. Jeżeli pierwiastki percepcyjne zostaną zniszczone, jeżeli brak substancyi mogącéj stać się znowu siedliskiem pojęć straconych, wówczas znikną także objawy umysłowości. Ślepota, głuchota, paraliże psychiczne, wzięte pojedynczo wywołują pewien rozstrój umysłowości. Im więcéj wystąpi ich razem, tém mniéjszą staje się rozciągłość umysłowości, tém więcéj zwęża się koło możliwych pojęć.

Komórki nerwowe nie są, zdaje się, siedliskiem aktów właściwie psychicznych; są one zapewne tylko akumulatorami energii nerwowéj. Świadomość wypływa prawdopodobnie, jak to wykazują dotychczasowe badania, z drobnych pierwiastków nerwowych, oznaczonych jako takie po raz pierwszy przez Karola Robin'a, który je nazwał myelocytami (2). Właściwe zdolności człowieka genialnego gnieżdżą się w małéj ilości komórkowéj substancyi nerwowéj. „Zasady“ Newton'a i „Piekło“ Dante'go wytworzyły się zapewne—powiada Pouchet—w jednym zaledwie milimetrze sześciennym żyjącéj substancyi nerwowéj (3). Mierzenie geniuszu na milimetry jest dość ryzykowném wprawdzie i wyda się niejednemu zbyt materyalistyczném, daje nam jednak pojęcie o tém, jak małą stosunkowo jest ilość uświadamiającéj substancyi w porównaniu z ilością nieświadoméj. Pewna część tylko, wewnętrznéj pracy molekularnéj w mózgu ujawnia się w postaci myśli, reszta zaś jéj wytwarza rozmaite modyfikacye w częściach nieświadomych. Jeżeli zaś akty świadome są tylko pewnemi formami ruchu, to równoważnikami ich są zapewne akty nieświadome.

Lecz jeżeli świadomość rzeczywiście jest ruchem, to dlaczego ruch ten poznaje samego siebie nie jako ruch, lecz tylko jako coś zupełnie odmiennego? Wiedza nowoczesna konstatuje coraz więcéj analogii pomiędzy rozwojem ducha i ciała, lecz nigdy nie wykaże tożsamości ducha i ciała. Tożsamość taka jest dalekiém marze-

---

(1) A. Gautier. La Pensée. Revue scientifique 1887. I Semestre. N. 1.

(2) G. Pouchet. La Nature de la Pensée. Revue Scientifique. 1887. I Semestre. N. 6.

(3) G. Pouchet, ibid. p. 173.

niem metafizyki. Dualizm ducha i ciała występuje zawsze w nauce pomimo naszych teoryi apriorystycznych.

Mózg, dopóki krew nie przestaje w nim krążyć, nie może nie odczuwać, nie może przestać funkcyonować ani na chwilę. Jeżeli przestajemy odczuwać świadomie, to nie dowodzi to bynajmniéj, że wszystkie pierwiastki umysłowości naszéj zostały zawieszone, że wszelka czuciowość przestała istniéć. Życie umysłowe nie znika tam, gdzie istnieje życie fizyologiczne, nie opuszcza ciała, choć się nam nie ujawnia, „istnieje prawdopodobnie jak ogień pokryty popiołem", jak mówi Fouillée. Życie umysłowe trwa ciągle, pomimo snu i stanów patologicznych.

Gdy prądy nerwowe zostają powstrzymywane lub zwalniane w mózgu, wytwarzają wówczas stan świadomości. Świadomość jest więc powstrzymaną czynnością odruchową (Sieczenow). Przy powstrzymaniu szybkich prądów nerwowych świadomość bywa intensywniejszą, przy powstrzymaniu prądów zwolnionych—słabszą.

„Czynność odruchowa—mówi Spencer—jest najniższą formą życia umysłowego." Najskomplikowańsze atoli ruchy nie wyjaśnią najprostszego nawet ze stanów świadomości.

Ribot, Maudsley i inni utrzymują, iż świadomość jest czémś dodatkowém, nie koniecznie niezbędném. Lecz zwrócić należy uwagę na to, że normalna nawet czynność nerwowa nie jest pozbawioną zupełnie świadomości. Czyż bowiem komórka nerwowa może być całkiem wolną od świadomości? Tam, gdzie istnieje wrażliwość, wzruszenie, odczuwanie, musi być także świadomość. Świadomość nie jest zjawiskiem przypadkowém, lecz potrzebném i korzystném dla zachowania całości organizmu. Zwierzę szuka pokarmu, ponieważ odczuwa apetyt; ucieka przed nieprzyjacielem, ponieważ się go boi. Słabość i bezbronność w walce o byt zmusiły człowieka do wytworzenia w sobie obszernéj świadomości, dzięki któréj mógł zachować swoje istnienie.

Świadomość istnieje w każdéj komórce żyjącéj, a nawet istnieje zapewne w każdéj naturalnéj formie określonéj ciał, tak zwanych, nieorganicznych (1). Jest ona cechą i wynikiem braku równowagi zupełnéj w układzie wszelkiego bytu, cechą i wynikiem przystosowywania się stosunków wewnętrznych do zewnętrznych.

Lecz, jeżeli świadomość wszędzie istnieje we wszechświecie, to czémże jest nieświadomość i gdzie się poczyna?

---

(1) Zob. artykuł mój: *Biologia mineralna*. Przegląd Tygodniowy. 1886. N. 12. Str. 178.

II.

Komórka nerwowa posiada zdolność zachowywania w sobie śladów funkcyi w niéj się dokonywających, śladów falowań fizyologicznych, innemi słowy, posiada zdolność pamiętania tych śladów. Komórka przypomina sobie świadomie lub nieświadomie wrażenia, jakich doświadczała, podobnie jak ciało fosforescencyujące przypomina sobie światło słoneczne. Komórka jest aparatem notującym odczuwane przez siebie wrażenia. Każdy stan świadomości—mówi Maudsley—każde wrażenie zmysłowe, każdy prąd molekularny przechodzący z jednéj okolicy mózgu do drugiéj, każda reakcya mózgowa odpływająca przez nerwy ruchowe pozostawia po sobie pewną modyfikacyą pierwiastków nerwowych w grze będących, pewien rodzaj wspomnienia, odtwarzającego się tém łatwiéj, im częściéj się wznawia" (1)

„Wyładowanie nerwowe, dokonane raz w pewnym kierunku—powiada Romanes—pozostawia po sobie zmianę molekularną, mniéj lub więcéj stałą, tak, iż jeżeli następne wyładowanie po téj saméj pójdzie drodze, spotka się wówczas ze śladem poprzedzającego" (2).

W ośrodkach nerwowych człowieka jak i w rdzeniu kręgowym żaby, pozbawionéj głowy, znajdują się ślady zarejestrowane i tak ściśle z sobą połączone, iż odtworzenie się jednego budzi koniecznie inne. Żaba taka wykonywa ruchy automatycznie, nieświadomie. Człowiek posiadający obie półkule mózgowe działa także często nieświadomie, jak np. w stanie hypnotycznym.

„We wnętrzu komórek nerwowych—powiada Letourneau—istnieje pewien całokształt umysłowy, pewne urządzenie, pewien specyalny rytm molekularny, będący wynikiem niezliczonych doświadczeń dokonanych przez przodków, pewną edukacyą odziedziczoną, która w zetknięciu ze światem zewnętrznym dyktuje jednostce takie lub inne postępowanie" (3).

Zdolność subiektywnego odtwarzania się obrazów przedstawiających nam pewne przedmioty widziane poprzednio, lecz w danéj chwili nie oddziaływające na zmysł wzroku, nazywamy wyobraźnią. Każdy zmysł wejść może w stan czynny pod wpływem podniety wewnętrznéj. Wyobraźnia gromadzi wrażenia odczuwane, odtwarza je i łączy z wrażeniami nowemi, świeżemi. Zwró-

---

(1) Maudsley. Physiologie de l'Esprit. p. 27.
(2) Romanes G. J. L'Évolution mentale chez les animaux. Paris. 1884. p. 23.
(3) Letourneau Ch. L'Évolution de la morale. Paris 1887. p. 34.

cona w kierunku tego, co przypomina lub obiecuje zaspokojenie czynności życiowéj, wyrażającéj się w pewnéj dążności, wywołuje wzruszenie. Każdy organ może się stać przyczyną wzruszenia; lecz ponieważ wszystkie części ciała przyjmują udział w dążeniu do zaspokojenia potrzeb innych części, wytwarzają się więc dążenia ogólne, określone, nadające jednostce kierunek działalności,

Zwiększenie się czynności życiowéj wyraża się zawsze w rozszerzaniu się, w ruchach odśrodkowych; zmniejszenie się téjże czynności—w kurczeniu się, w ruchach dośrodkowych. Pierwsze ujawnia się w odczuwaniu przyjemności, ostatnie w odczuwaniu cierpienia. Ruch skurczowy przechodzi w ruch masowy zmiany przestrzeni—w ruch wstrętu i ucieczki. Ruch rozciągły, zbliżający ciało ku przedmiotowi dostarczającemu przyjemności, staje się ruchem pożądania i gonienia. Uczucia, wypływające ze wstrętu, połączone zatém z cierpieniem, są dośrodkowemi, egoistycznemi; płynące z pożądania, a więc przyjemne, są odśrodkowemi, altruistycznemi.

Przyjemność i cierpienie, pożądanie i wstręt dają się sprowadzić do ogólnego ruchu *woli* nieświadoméj lub świadoméj, do *chcenia życia*, chcenia zachowania całości organizmu.

Każda cząstka organizmu posiada chcenie życia. Podrażnienie jednéj cząstki wywołuje opozycyą rozlanego w całym organizmie chcenia życia, wywołuje reakcyą ruchową całego ciała. Wszystkie komórki żyjące organizmu we wzajemnéj znajdują się z sobą łączności, człowiek cierpiący cierpi więc całém ciałem. Wszystkie komórki jego czują się zagrożone w swéj egzystencyi. Wzruszenie przebiega organizm, a nawet i tłum cały, jak wiatr, wprawiający w drżenie wszystkie listki drzewa i drzew obok stojacych. Ciało nasze można porównać z masą wody: rozchodzące się na jéj powierzchni koła wskutek wpadających w nią kamieni widzialne są tylko dla blizkiego widza, prądy jednak głębokie niewidzialne są dla nikogo.

Wzruszenia bolesne głębszemi są niż przyjemne, wywołują bowiem w organizmie zaburzenia rozstrajające, naruszające równowagę organizacyi. Rozstrój daléj jest idącym niż harmonia, w wązkich wahająca się granicach. Przyjemność nigdy nie może dosięgnąć takiéj intensywności jak cierpienie, organizm bowiem częściéj znajdować się może w stanie wycieńczenia, wyczerpania i dezorganizacyi niż w stanie dobrego odżywienia i dłuższego wypoczynku od wpływu zwykłych podniet. Cierpienia są przejawami zmian organicznych, szkodliwych dla organizmu; przyjemności—zmian zbawiennych dla organizmu lub gatunku. Przyjemności pożyteczne i cierpienia szkodliwe wytwarzały się drogą doboru naturalnego.

III.

Każde wrażenie może się zapisać w organizmie, a zapisanie takie tém jest łatwiejsze i trwalsze, im organizm jest mniéj skomplikowany, im pamięć mniéj szeroką i bogatą. Dziecko i zwierzę łatwo zapamiętywa to, co raz powiedziało lub zrobiło, łatwo się przyzwyczaja. Dziecko i zwierzę powtarzają same siebie, naśladują siebie i innych. Wszystko przejść u nich może w pewien rodzaj manii. Idyoci mogą powtórzyć całe czytane wobec nich stronice. Dziecko, raz kołysane, chce być kołysaném zawsze. Jeżeli raz spróbowało piersi swéj matki, z trudnością przyzwyczaja się do smoczka.

Pewne przyzwyczajenia specyalne, połączone z pewną przyjemnością, przechodzą w skłonność dziedziczną. Przypadkowe nawet czynności stać się mogą przyzwyczajeniami dziedzicznemi. Pewien człowiek, leżąc na wznak w śnie głębokim, podnosił prawą rękę po nad twarz do wysokości czoła i opuszczał ją bezwładnie na nos. Przyzwyczajanie to przeszło dziedzicznie na syna i wnuczkę (Galton).

Dziedziczna, popędowa skłonność do pewnych czynności utrwala się coraz więcéj i czyni dany gatunek mniéj zdolnym do wykonywania innych czynności. Narody wojownicze np. stają się w pewnym stopniu niezdolnemi do prac pokojowych. Niektóre zwierzęta doszły do nadzwyczajnéj doskonałości w jednym kierunku, tak, iż możnaby nawet sądzić, że nigdy niczego się nie uczyły, gdyż nie mogą się niczego więcéj nauczyć. Inteligencya ich stała się stereotypową, nieruchomą.

Świadomość, specyalizująca się coraz więcéj, staje się automatyczną, unieświadamia się. Cmentarzyska mrówek np. tłómaczy Fouillée tém, iż pierwotnie pewne mrówki z więcéj rozwiniętém powonieniem przenosiły rozkładające się trupy swych towarzyszek do miejsca oddalonego od mrowiska. Akt indywidualny z początku stał się następnie przyzwyczajeniem gatunku dziedzicznèm, pamięcią automatyczną — instynktem.

Przyzwyczajenia, utrwalone dziedzicznie, pozostają często nawet pomimo zmiany warunków życiowych, jakim odpowiadały, do jakich były przystosowane. Pewne instytucye społeczne, pożyteczne początkowo, stały się z czasem niewzruszonemi, opierającemi się wszelkiemu postępowi.

Młode prosięta — mówi Darwin — przysiadają gdy są przestraszone, jak gdyby chciały się schować przed nieprzyjacielem, a czynią to zawsze, nawet na miejscu pustém, równém, jak to czynili ich

przodkowie wśród pól szerokich. Młode indyki uciekają na krzyk alarmujący matki, jak to czynią młode kuropatwy i bażanty, ażeby mogła ona uleciéć, chociaż już oddawna utraciła zdolność do lotu. Pies, dobrze nawet karmiony, zagrzebuje często, jak to czynią lisy, pozostające pożywienie. Zanim się położy na równéj i gładkiéj powierzchni, zakręci się kilka razy na jednem miejscu, jak gdyby chciał przygnieść trawę, by zrobić sobie z niéj posłanie. Młode barany i konie przejawiają dziś jeszcze ślady dawnych swych przyzwyczajeń alpejskich, kiedy się gromadziły i skakały po skałach najbardziéj stromych.

Bojaźń instynktywna, jaką odczuwają zwierzęta domowe przed zwierzętami dzikiemi, których nigdy nie widziały, dowodzi, z jaką uporczywością i dokładnością przekazują się dziedzicznie pewne ślady umysłowe.

Romanes utrzymuje, iż kształtowanie się instynktów możliwém jest do wytłomaczenia bez udziału pierwiastku psychologicznego. Według Wundt'a, instynkt jest nieodłącznym od materyi i stanowi jéj życie wewnętrzne. Tak rozumiany instynkt jest dążnością do zachowania całości swego bytu, jest tém, cośmy nazwali wyżéj — *chceniem życia.* Dla Lewes'a instynkt jest zdegradowaną umysłowością. Fouillée uważa umysłowość za zbyt wysoki objaw rozwoju, ażeby wyprowadzać z niéj pochodzenie instynktu. Za źródło instynktu uważa on pożądanie. Instynkt przejawia się z początku w postaci pożądania, następnie może wystąpić świadomie i wyrazić się w postaci zadowolenia i przyjemności. Lecz, jeżeli instynkt wyłania się z pożądania, skierowanego ku zaspokojeniu potrzeby, to potrzeba ta musiała być kiedyś odczutą, a więc świadomą.

Początku instynktu szukać należy w dążności, mniéj lub więcéj świadoméj, ku zaspokojeniu potrzeby, ku zachowaniu bytu. Dążność ta przejawia się pierwotnie w pożądaniu połączoném z przyjemnością. W miarę powtarzania się znajdującéj zaspokojenie dążności, przyjemność znika stopniowo, znikają także kontrasty świadomości i poczyna się automatyzm.

Istotą każdego instynktu jest potrzeba domagająca się zaspokojenia. Dziecko, jedząc, nie myśli o odżywianiu się, posiada jednak świadomość przykrości głodu i przyjemności jedzenia. Młody ptak wędrowny odlatuje na zimę do ciepłych krajów, nie z obawy przed zimném, którego nie zna wcale, lecz dlatego by zaspokoić potrzebę, któréj nie może nie zaspokoić bez doznania przykrości świadoméj. Młoda wiewiórka, nie znająca zimy, gromadzi zapas orzechów dlatego tylko, iż czynność ta sprawia jéj świadomą przyjemność.

Instynkt jest więc tém, co pobudza wszystkie jednostki danego gatunku do czynności korzystnéj w rezultacie dla tegoż gatunku, lecz nieświadoméj właściwego celu. Świadomie czynność taka przedstawia się jako akt, mający na celu zaspokojenie danéj potrzeby lub pożądania.

Lecz czémże jest właściwie nieświadoma potrzeba lub pożądanie, zaspokojenie których jest w rezultacie korzystném wogóle dla danego gatunku? Czy szeregiem wrodzonych wyobrażeń unieświadomionych, budzących się w właściwym czasie i pobudzających nieświadomie organizm do korzystéj dlań czynności?

O ile nam wiadomo, wyobrażenia jako takie nie są dziedzicznemi; dziedziczną jest tylko zdolność wytwarzania ich przy zjawieniu się ku temu sposobności. Pewne skojarzenia i stosunki odtwarzają się w systemie nerwowym noworozwijającego się organizmu do pewnego stopnia. Pierwsza percepcya nowonarodzonego organizmu znajduje już w mózgu drogi nakreślone w pewnych kierunkach, znajduje cały mechanizm gotowy do pełnienia właściwych mu funkcyi. Każda podnieta wprowadza w ruch odpowiednią grupę skojarzeń, wytwarza stan wzruszenia i wywołuje wyobrażenie, biorące stopniowo górę nad innemi i zmuszające daną istotę do wykonania pewnego czynu. Młoda kaczka np. nie ma wrodzonego wyobrażenia o wodzie; pierwsza jednak percepcya wody znajduje w jéj mózgu drogi nakreślone ku organom ruchowym pływania i budzi potrzebę zbliżenia się ku wodzie i zetknięcia się z nią, potrzebę łączącą się z pewném wzruszeniem i przyjemnością odpowiednią. Zetknięcie z wodą wystarcza do wprowadzenia w ruch całego mechanizmu pływania.

Kurczę w dwa do sześciu dni po wylężeniu drapie już ziemię, lecz wtedy tylko, gdy czuje piasek pod łapkami (Darwin). Nie drapie np. dywanu, drapie go jednak wtedy, gdy tenże piaskiem jest posypany.

Dla rozwinięcia się całego szeregu aktów odpowiednich potrzebném jest więc wrażenie początkowe. Wyobrażenie, zjawiające się w danéj chwili, zagłusza inne wyobrażenia i zmusza jednostkę do wykonania danéj potrzeby. Jest-to stan monoideizmu. Wrażenie głodu budzi instynkt poszukiwania pożywienia. Wrażenie odczuwane przez organy płciowe budzi instynkt płciowy, instynkt reprodukcyi. Człowiek nie rodzi się z wyobrażeniem całkowitem o płci odmiennéj. Dojrzewanie płciowe budzi wyobraźnię i podniętę nieświadomą w kierunku aktu miłości. Instynkt wędrowny ptaka potrzebuje pewnéj pory, ażeby się ujawnić. Gdy zbliży się pora odlotu, ptak musi wędrować. Owady przekształca-

jące się muszą prowadzić rozmaite rodzaje życia, w ścisłym znajdujące się związku z każdą z form przez nie przyjmowanych.

Ptak budujący gniazdo nie ma wyobrażenia o niém gotowego, wrodzonego. Wyobrażenie *staje się* w jego wyobraźni w miarę jego urzeczywistniania się. Świadomość tego, co ma dokonać, rodzi się dopiéro przy robocie. Natchnienie poety, artysty jest także rodzajem instynktu. Cała różnica polega na tém, że skłonności dziedziczne komórek czuciowych i ruchowych w zwierzęciu skojarzone są stale i dlatego wywołują skojarzenia obrazów określone. Zwierzę tworzy zatém dzieło formy określonéj. Człowiek, którego skojarzenia psychiczne są liczniejsze, mniéj stałe i mniéj zrównoważone, jest mniéj określony, jest więcéj rozmaity.

Cechy instynktu nie wykluczają jednak pewnéj jego zmienności, pewnéj plastyczności. Bóbr europejski nie różni się niczém od amerykańskiego; lecz gdy tamten buduje na wodzie swe mieszkanie, ten, mieszkaniec dopływów Rodanu i Dunaju, buduje długie galerye w ziemi dla uchronienia się przed ludźmi. Łatwiéj mu było zmienić instynkt niż swą formę.

Hodowla sztuczna, praktykowana przez człowieka, zmienia najstalsze instynkty pewnych zwierząt i szczepi nowe. Pies, dzięki wspólnemu przebywaniu z człowiekiem, nauczył się szczekać. Wycie jest pierwotnym jego instynktem, szczekanie—nabytym. Kaczki swojskie straciły prawie instynkt do lotu. Na Ceylonie straciły nawet instynkt do wody. Człowiek wyrabia w zwierzętach rozmaite skłonności specyalne, dla niego tylko korzystne, przekazywane dziedzicznie tak samo jak instynkty naturalne.

Oprócz instynktów ludzkościowych, rasowych, narodowościowych, istnieje w ludzkości instynkt, zmuszający każdą jednostkę do wytwarzania sobie osobowości—mówi Fouillé. Jest-to punkt, w którym instynkt zwraca się przeciw sobie, redukuje się coraz więcéj i absorbuje w potędze intelektualnéj, ruchoméj i postępowéj. Inteligencya staje się instynktem wyższym, wyższém przystosowaniem się do otoczenia szerszego, powszechnego.

IV.

Każda cząstka człowieka przejawia dążność do organizowania się, do układania się w pewien system; cały więc człowiek jest grupą rozmaitych, powiązanych z sobą mniéj lub więcéj ściśle, systemów. Gdyby organizacya systemów tych była zupełną, gdyby pomiędzy organizmem czyli jego częściami a ich warunkami egzy-

stencyi zupełna panowała harmonia, wszelkie wówczas niczém nietamowane dążności oddzielnych części znajdywałyby ujście w stałych i niezmiennych procesach życiowych całości. Organizm nasz jednak nie jest doskonałym, dążności zatém jego nie znajdują swobodnego odpływu, bywają często powstrzymywane. We wszystkich potrzebach organicznych, świadomie odczuwanych, widzimy powstrzymanie rozmaitych dążności. Wszelka przeszkoda w systematyzacyi pierwiastków psychicznych lub fizycznych, jak np. głód, pragnienie, potrzeba wydzielania moczu i kału, spółkowania i t. d. wytwarza zjawisko uczuciowe. Wzruszenia wywoływane bywają zawsze przez powstrzymanie pewnych dążności. Jako dowód tego służyć może np. przyzwyczajenie, które ułatwia percepcye i zmniejsza zjawiska uczuciowe.

Funkcye, dokonywające się swobodnie w naszym organizmie, są dla nas nieświadome; jeżeli bywają tamowane, wywołują w nas wtedy wzruszenie. Krążenie krwi, jako zupełnie doskonale dokonywające się, nie wymaga naszéj świadomości. Oddychanie mniéj jest doskonałém. Oddychając, nie odczuwamy żadnego wzruszenia, jeżeli czynność odruchowa wprowadzająca w ruch płuca, żebra, dyafragmę i t. d. nie spotyka żadnéj przeszkody. Jeżeli zaś sprobujemy powstrzymać oddychanie, lub jeżeli jakaś przeszkoda krępuje nasze ruchy, wówczas powstrzymana dążność odruchowa wywoła wrażenie duszności i przestrachu. Co się zaś tyczy odżywiania i reprodukcyi, to organizm nasz nie jest dostatecznie udoskonalony, ażeby się mógł sam żywić i sam reprodukować. Potrzebne są pewne wrażenia żywo odczuwane, ażeby zbudzić odpowiednie instynkty w człowieku, dopełniające niedoskonałości organizmu.

Żądza płciowa podniecaną bywa normalnie przez pewien szczególny stan organizmu, warunkujący dążność ku wykonaniu pewnych czynów. Powstrzymanie téj dążności, niemożliwość jéj zadowolenia dają początek zjawiskom uczuciowym. Znudzenie w okresie dojrzewania płciowego—powiada Esquirol —jest wynikiem potrzeby niewyraźnéj, przedmiot któréj nieznanym jest doświadczającéj go osobie. Potrzeba ta rodzi niepokój pogrążający w smutku, ten zaś doprowadza do znudzenia (1). Niezaspokojenie potrzeb płciowych doprowadza często, szczególniéj kobiéty, do obłąkania, nadając mu pewną cechę specyalną, zwykle *delirium* miłosnego i płciowego, idealnego lub zmysłowego (Griesinger).

Im częściéj dokonywanym bywa akt jakiś, tém łatwiéj staje się wykonalnym i tém silniejszą staje się dążność do wykonania go,

---

(1) Esquirol. Maladies mentales. I. 553.

tém łatwiéj i częściéj się budząca. Jeżeli dążność ta bywa zupełnie zaspokojoną, pozostaje ona dla nas wówczas prawie nieświadomą, instynktowną. Powstrzymanie jéj wystarcza jednak dla silnego mniéj lub więcéj odczucia odpowiednich potrzeb i mniejszéj lub większéj przyjemności przy ich zadowoleniu. Gdy dążność bywa za silną w porównaniu z możnością jéj zadowolenia, gdy zatém napotyka opór powstrzymujący ją wyraźniéj, wówczas występują uczucia takie, jak żal, boleść i t. p. trwające dotąd, dopóki trwa opór, albo dopóki dążność nie zniknie zupełnie.

Świadomość, tak samo jak uczucie i wzruszenie, jest wynikiem powstrzymania odpowiednich dążności. Akt świadomości ujawnia się wtedy tylko, gdy dążności te nie są o tyle zaspokojone, ażeby mogły nie tamować przebiegu danéj podniety, lub gdy inne jakieś warunki, jak ilość i złożoność systemów psychicznych, znajdujących się w stanie czynnym, interwencya innych dążności i wynikający ztąd zatarg, staną na przeszkodzie. Wykonywając machinalnie jakąś czynność, zaczynamy o niéj myśléć i uświadamiać ją sobie wtedy dopiéro, gdy czynność ta z jakiegoś powodu zostanie przerwaną. Czynność automatyczna staje się świadomą wtedy tylko, gdy napotka jakąś przeszkodę, gdy zostanie powstrzymaną.

Przyzwyczajenie, ułatwiając proces oddziaływania organizmu na podnietę, osłabia wrażenie i uczucie. Zapach przyjemny przestaje być odczuwanym w krótkim czasie. Przyjemność, jakiéj doświadcza oko na widok harmonijnéj kombinacyi barw żywych, zaciera się dość łatwo. To samo stosuje się do przyjemności wywołanéj przez pewną kombinacyą dźwięków, niezmiennie czas jakiś powtarzaną.

W miarę zmniejszania się podniety, czyli w miarę znikania przeszkód tamujących daną dążność, słabnie lub znika nawet zupełnie odpowiadające jéj uczucie. Największa miłość słabnie lub znika wskutek przyzwyczajenia, wskutek większego zorganizowania się dążności i zmniejszenia się tamujących je przeszkód. Mąż i żona, zakochani z początku w sobie, przestają się z czasem kochać, pozostaje w nich tylko wzajemne przyzwyczajenie się do siebie.

Gdy kochamy jakąś osobę, to znaczy, iż obraz jéj i wszystko co się jéj tyczy, związało się silnie z naszém życiem umysłowém. Miłość tém jest silniejszą, im osoba kochana, większe zajmuje miejsce w naszém życiu, im czyny jéj, uczucia i poglądy większą odgrywają rolę w organizacyi duchowych naszych przyzwyczajeń. Tworzą się wówczas nowe systemy wyobrażeń, dążności i podniet, organizujace się coraz więcéj. Śmierć osoby ukochanéj jest w takich warunkach prawdziwą dezorganizacyą osoby kochającéj, roz-

darciem jaźni, powstrzymaniem wielu systemów wyobrażeń, dążności i wynikających z nich zjawisk. Ztąd to pochodzi ta wielka siła wzruszenia, jakie wówczas ma miejsce. Łagodne i powolne powstrzymywanie dążności słabsze wywołuje wzruszenie. Tém się różni wzruszenie od uczucia. Gdy śmierć następuje po długiéj chorobie, wzruszenie bywa wówczas słabszém, pomimo, iż boleść równie silną pozostaje. Wiadomość o chorobie przygotowuje już bowiem dezorganizacyą dążności i daje początek rozmaitym nowym dążnościom; powstrzymanie ostateczne nie może być więc wskutek tego zbyt gwałtowném. Wszelkie gwałtowne i nieoczekiwane zwiększenie się podniety, czyli powstrzymanie dążności, wywołuje w nas wzruszenie. Miłość bardzo jest obfitą we wzruszenia. Wszystko, co grozi jéj lub sprzyja, wszystko, co powstrzymuje jéj dążności lub potęguje je przez poczynające się zadowolenie, wywołuje wzruszenie. Widok osoby kochanéj, głos jéj, rozmowa o niéj, jedném słowem, wszystko jéj się tyczące sprowadza gwałtowne wyładowywanie się siły nerwowéj, przejawiające się w postaci wzruszenia.

Powstrzymanie podniety nie wystarcza jednak samo do wywołania wzruszenia; potrzeba jeszcze oprócz tego, ażeby podnieta ta była dość silną. Wzruszenie wzrasta i uwydatnia się w miarę wzrastania powstrzymanéj lecz trwającéj wciąż podniety. Możemy zwalczyć słabą podnietę, nie wywołując w sobie żadnego wzruszenia; lecz jeżeli występuje ona coraz żywiéj, jeżeli wynika z potrzeby organizmu, wówczas nastąpi chwila, w któréj powstrzymanie jéj wytworzy wzruszenie lub uczucie. Przy stopniowém zmienianiu się naszych poglądów nie odczuwamy wzruszenia. Lecz gwałtownie dokonywająca się zmiana pojęć połączoną bywa zwykle z wytwarzaniem się uczuć i wzruszeń. Wszelkim naszym planom i zamiarom towarzyszą wogóle wzruszenia dość wyraźne, żywsze niekiedy nawet niż ich urzeczywistnieniu. Najsilniejszém atoli jest wzruszenie w chwili urzeczywistnienia się zamiaru; podnieta dochodzi bowiem wtedy do najwyższéj siły, podczas gdy powstrzymujące ją przeszkody nie utraciły jeszcze swéj skuteczności.

Wzruszenie nie trwa nigdy długo; najwyraźniejszą jego cechą jest gwałtowne wystąpienie zjawisk, których ono jest tylko wyrazem. Może się ono jednak wznawiać. Wzruszenie głębsze i więcéj skomplikowane posiada warunki powstawania i w więcéj pośrednim pozostaje związku z wywołującą je podnietą niż uczucie. Wyobrażenie nieoczekiwane, połączone ze zbudzeniem się pewnéj dążności, powstrzymywanéj lub dążącéj do powstrzymania innych dążności, może, tak samo jak i wrażenie uczuciowe, żywe wywołać wzruszenie.

Wzruszenia towarzyszą zawsze innym zjawiskom uczuciowym. Miłość, nienawiść, zazdrość itp. połączone bywają ze wzruszeniem, gdy znajdą się w przyjaznych lub niekorzystnych warunkach.

Wzruszenie wytwarza rodzaj inhibicyi psychicznéj: umysł traci zdolność rozumowania i wrażliwość na wszystko, co nie ma ścisłego związku z samém wzruszeniem. Owładnąć ono może całą świadomością. Jedno wrażenie wystarcza dla wytworzenia takiego stanu. Kontemplacya jakiegoś uczucia wytwarza stan podobny, wytwarza rodzaj mniéj lub więcéj trwałego oczarowania.

Miłości towarzyszy wogóle pewne wyobrażenie mniéj lub więcéj wyraźne, mniéj lub więcéj żywe osoby kochanéj. Wyobrażenie to przedstawiać się może w rozmaitéj formie, zmienia się zupełnie stosownie do tego, czy w lepszém czy w gorszém znajdujemy się usposobieniu, stosownie do tego, co robimy, co czytamy, o czém mówimy, z kim się spotykamy, stosownie do natury zbudzonego obrazu, czy to wesołego, czy smutnego, czułego czy też zimnego itd. i kombinacyi tegoż obrazu z innemi, również zbudzonemi obrazami. W miarę budzenia się nowych obrazów nowe powstają wzruszenia. Osoba, posiadająca umysł żywy i skomplikowany, odczuwa miłość w tysiącznych sposobach, lecz uczucie to pomimo swéj złożoności przedstawia się jako jedno. Wszelka namiętność, wszelkie uczucie silniejsze budzi wogóle cały system dążności warunkujących wytwarzanie się zjawisk uczuciowych dopełniających, zlewających się z wrażeniem głównem.

Jedność uczucia niknie i złożoność jego uwidocznia się w miarę dysharmonizowania się jego pierwiastków i wzmagania się w nich dążności ku wytworzeniu kilku systemów oddzielnych, niezkoordynowanych. Subiektywna jedność uczucia znika równocześnie z jednością w koordynacyi. Miłość wytworzyć może uczucie zazdrości; budzące się w takim razie dążności nowe mogą się zorganizować i wytworzyć nowy system psychiczny, wyrażający się w podejrzéwaniu, w śledzeniu badawczém itd. Miłość może się stać zazdrosną, może następnie iść w parze z zazdrością i zniknąć nawet wreszcie, ustępując miejsca wyłącznie zazdrości; dwa te uczucia bowiem nie zawsze godzą się z sobą.

Wszelkie zjawisko psychiczne usystematyzowane nie jest sumą składających je pierwiastków. Przyjemne wrażenie jedzenia dobréj jakiejś potrawy nie jest sumą wrażeń otrzymywanych przy jedzeniu każdego z osobna pierwiastków, wchodzących w skład téj potrawy. Podziw na widok jakiejś piękności nie jest sumą podziwów, jakie wywołują w nas jéj części wzięte oddzielnie. Uczucie usystematyzowane jest jednością złożoną, jest kombinacyą uczuć

rozmaitych. Przyśpieszone bicie serca, przyśpieszone lub zwolnione oddychanie, obrazy, wyobrażenia itd. wzięte razem nie stanowią jeszcze wzruszenia. Wzruszenie jest wrażeniem psychicznem stosunków wszystkich zjawisk oddzielnych pomiędzy sobą i dążnościami zorganizowanemi, spotykającemi opór w danéj chwili. Wszelkie zatém zjawisko psychiczne jest rodzajem syntezy psychologicznéj pojedynczych jego pierwiastków.

Wszystko, co wpływa na zmianę warunków wytwarzania się uczucia, wpływa również na zmianę samego uczucia. Kojarzenie się zjawisk psychicznych dokonywa się przytém bardzo rozmaicie w jednéj nawet osobie w chwilach rozmaitych; wszystko bowiem zmienne jest w człowieku, tak natura psychiczna jak i fizyczna. Uczucia, wzruszenia, wyobrażenia w wieku młodym różnią się od tychże zjawisk w wieku późniejszym. Każde wzruszenie, każda namiętność nosi na sobie cechę osobowości, wieku, płci, temperamentu i pewnych stanów patologicznych, jak: suchoty, histerya, epilepsya, nimfomania, satyriasis itd. (1).

V.

Każdy organizm posiada w sobie dążność do systematyzacyi, lecz dążność ta nie zawsze ujawnia się z jednakową energią i w jednakowy sposób. Systematyzacya taka nigdy nie jest doskonałą, nigdy nie jest zupełną odnośnie do swego celu. Człowiek jest kombinacyą systemów, pozostającą w związku z światem zewnętrznym, jest kombinacyą systemów psychicznych, mogących występować czynnie razem i zgodnie, jedno atoli zaburzenie wystarcza do wytworzenia stanów świadomości i zjawisk uczuciowych. Analizuje on wrażenia zewnętrzne, przyswaja je sobie i syntezuje, wytwarza nowe kojarzenia z otrzymywanych z zewnątrz kombinacyi, kojarzenia warunkowane stosunkami tych ostatnich pomiędzy sobą i organizacyą już nabytą, w dalszém wytwarzaniu się któréj przyjmują następnie udział.

Maszyna ludzka nie przedstawia całości harmonijnéj, doskonałéj. Zjawiska psychiczne uczuć, wzruszeń i świadomości są niedoskonałości téj wyrazem. Niekiedy wprawdzie wytwarza się w wyższéj formie organizacyi dążność, dobro jednostki mająca na celu, ale często staje się ona przyczyną nie lepszego przystosowania się organizmu, lecz jego rozstroju i upadku.

---

(1) Ustęp o wzruszeniach skreśliłem, opierając się na studym Fr. Paulhan'a: *Les phénomènes affectifs*. Paris. 1887.

Świadomość jest, jak widzimy, rezultatem zaburzenia organizmu i pewnéj nierównowagi w koordynacyi procesów psycho-fizyologicznych. Jest ona oznaką niedoskonałości, im więcéj bowiem unifikacya psychiczno-nerwowa staje się zupełną, tém więcéj znika świadomość odnośna. Świadomość zjawia się wtedy tylko, gdy wskutek pewnych okoliczności szczególnych funkcye automatyczne nie mogą się dokonywać z poprzednią doskonałością. Przyzwyczajenie zmniejsza i osłabia żywość i intensywność świadomości. Człowiek idealnéj organizacyi, tj. organizacyi najzupełniéj doskonałéj, byłby nieświadomym automatem.

„Nieświadomość—powiada H. Beaunis wielką odgrywa rolę w psychologii; zdaje mi się bardzo prawdopodobném, iż większa część dokonywających się w nas zjawisk dokonywa się bez naszéj wiedzy, co zaś jest ważném, to mianowicie, że te (nieświadome) odczuwania, wyobrażenia, na które nie zwracamy żadnéj uwagi, mogą oddziaływać jako podniety na inne ośrodki mózgowe i stać się *niewiadomym* (*ignoré*) punktem wyjścia ruchów, wyobrażeń, decyzyi *świadomych*."

„Za hipotezą tą, że wszystkie czynności nerwowe są pierwotnie świadome i przez powtarzanie i przyzwyczajenie stają się nieświadomemi, to przemawia, iż gangliony, będące u kręgowców nieświadomemi ośrodkami nerwowemi, działają u niektórych zwierząt niższych jako ośrodki odczuwań i ruchów dowolnych. W miarę rozwoju świadomość obiera sobie siedlisko w wyraźnych ośrodkach ganglionarnych a wreszcie u człowieka i ssących lokalizuje się w mózgu. U niższych nawet kręgowców istnieje jeszcze pewien rodzaj świadomości rudymentarnéj w dolnych częściach osi nerwowéj, jak w rdzeniu kręgowym żaby".

„Hipoteza ta pozwala nam zrozumiéć fakt znany w medycynie i nieobjaśnialny przez inną hypotezę, iż organiczne czynności nerwowe, nieświadome w stanie normalnym, stać się mogą świadomemi w stanie patologicznym, pewne spóźnienie w przebiegu prądu wystarcza, ażeby ośrodek nerwowy, więcéj będąc podnieconym, miał świadomość podniety, nieświadoméj w stanie normalnym" (1).

Trzy stany hypnotyczne: letarg, katalepsya i somnambulizm, według zaś podziału Ochorowicza: aideizm, monoideizm i poliideizm, mogą być sprowadzone do stanów: nieświadomości i świadomości poddanéj.

Osobowość świadoma nie przedstawia wszystkiego, co się dokonywa w ośrodkach nerwowych; jest ona słabą tylko częścią oso-

(1) Nouveaux éléments de Physiologie humaine—par H. Beaunis, Paris, 1881. II. p. 1351, 1353.

bowości fizycznej, podobnie, jak jasna świadomość jest tylko pewną częścią świadomości całkowitéj. Ztąd pozorne istnienie kilku osobowości jednocześnie zależne od granic świadomości. Ostatnie to zjawisko zależy, jak utrzymuje Ribot, od opozycyi stanów świadomości w czasie a nie w przestrzeni, nie zaprzecza jednak, iż każda połowa mózgu oddzielną posiadać może świadomość.

Taine utrzymuje, iż widział pewną osobę, jak rozmawiała lub śpiewała i pisała jednocześnie całe stronice, nie patrząc na papier i nie mając świadomości tego, co pisała. Przeczytawszy, co napisała, wpadała w zdziwienie. Charakter pisma innym był wtedy niż zwykle. Ruchy przy pisaniu zdawały się być automatyczne. Podpis wyrażał nazwisko osoby zmarłéj. Treść pisma przedstawiała ślad myśli głęboko ukrytych, których pisząca nie chciałaby ujawniać każdemu. Zjawisko to przedstawia zdwojenie osobowości (jaźni)—jednoczesność i równoległość niezależna dwóch szeregów wyobrażeń, dwóch ośrodków czynnych, dwóch osób niezależnych, znajdujących się obok siebie w jednym i tym samym mózgu i działających jednocześnie choć zupełnie odmiennie (1). Jedna z tych osób w danym wypadku działała świadomie, druga nieświadomie. Gdy jedna połowa naszego mózgu jest świadomą, druga połowa wykonywa prawdopodobnie pracę nieświadomą. Pojęcia, zjawiające się nagle w naszéj świadomości, są zapewne wynikiem owéj nieświadoméj pracy (2).

Pomimo, iż nieświadomość wyższą, jak widzimy, stanowi formę świadomości, mianowicie świadomość w stanie pewnéj równowagi, to jednak człowiek, którego dążności nie są o tyle zorganizowane, ażeby wejść w stan czynny bez wywołania zjawisk uczuciowych i świadomości, wyższym jest dla nas niż człowiek, w którym zjawiska te w słabym zaledwie wyrażają się stopniu. Rozległa świadomość i głęboka uczuciowość zwiększają wprawdzie nasze potrzeby i potęgują cierpienia nieodłączne od naszego bytu, lecz, bądź co bądź, stanowią one cechę wyższego rozwoju ludzkiego gatunku. Świadomości zawdzięcza człowiek swe dzisiejsze stanowisko w przyrodzie i tylko przez rozwijanie w sobie świadomości i kształcenie uczuć społecznych polepszyć może byt swój na ziemi.

---

(1) Taine H. De l'Intelligence. Préface. 16.

(2) Zob. artykuł mój: *Wola i Hypnotyzm*. Ateneum 1887. I. str. 15. W artykule tym jest mowa o woli ujawniającéj się świadomie. Wola nieświadoma ulega wpływom poddawania hypnotycznego, lecz tylko pośrednio. Bezpośrednio modyfikowaną być może przez magnetyzm. Porównaj także artykuł: *Hypnotyzm wobec ostatnich badań naukowych*. Ateneum. 1885. II.

Dr. Antoni Złotnicki.



POLITYCZNE I SPOŁECZNE OBYCZAJE

XVIII WIEKU

W POLSCE I W ANGLII.

Badania, dotyczące wewnętrznego ustroju Rzeczypospolitéj, przybrały ostatniemi czasy osobliwe rozmiary i wziętość w naszéj historyografii, z niedającym się zaprzeczyć dla niéj pożytkiem. Zjawisko to wiąże się wszelako i to przyczynowemi poniekąd węzłami z ogólniejszym, zasadniczym zwrotem, którego następstwem stało się radykalne przeobrażenie poglądowéj, historyozoficznéj strony naszego dziejopisarstwa. Zwrot ten, dokonany przez szkołę, która dobiła się za dni naszych pewnego rodzaju hegemonii naukowéj, nie uszedł uwagi żadnego z czytelników. Przed niedawnym czasem rosyjski historyk skreślił sympatycznėm piórem jego charakterystykę (1), uwydatniając trafnie jego punkt wyjścia: podporządkowanie zewnętrznych warunków naszego bytu i zewnętrznych przyczyn naszego upadku warunkom i przyczynom wewnętrznym, i jego konkluzyą: rozstrzygnięcie wniesionego na wokandę przed stu laty historycznego procesu w sensie obciążającym niemal wyłącznie własną naszą narodową odpowiedzialność.

Korzyści takiego przekształcenia pojęć nie dają się zaprzeczyć. Jedną z nich jest właśnie popęd udzielony wspomnianemu na wstępie kierunkowi naukowych poszukiwań. Skądinąd, jako reakcya przeciwko poprzedniemu optymizmowi, poetyzującemu najujemniejsze nawet strony naszego narodowego charakteru i historycznego zawodu, był ten zwrot pożądanym. Należy to wszelako do normal-

---

(1) Kariejew w „Wiestniku Jewropy." Artykuły przedrukowane w przekładzie polskim przez „Kraj" nr. 37 i następ. 1887 r.

nego trybu wszystkich reakcyi, że przekraczają one po za cel potrzebą sobie wskazany. W tym przypadku przyczyniły się jeszcze do udzielenia reakcyjnemu prądowi osobliwego rozpędu przypadkowe warunki, w których się on rozwinął. Mały kraik, sprzęgnięty z wielkim organizmem politycznym, ale wyrzekający się, pierwiastkowo przynajmniéj, wszelkiéj z nim solidarności, a przeto pozbawiony łączności z ogólném europejskiém życiem międzynarodowém, wyzuty z szerszych widnokręgów, odcięty niejako od świata i w sobie zamknięty—oto ognisko ruchu naukowego, z którego wyszedł prąd w mowie będący. Programem, narzucającym się społeczeństwu w tych warunkach zostającemu, musiał być partykularyzm do ostatecznych granic posunięty, kupienie się wewnętrzne, zamknięcie w wewnętrznych życiowych zagadnieniach całéj treści społecznego bytu. Odpowiednio zaś do tego programu, w tych ciasnych granicach, na tym partykularzu wyrobione, i trafnie wyrobione, pojęcie o istocie własnych teraźniejszych przeznaczeń musiało prowadzić do pojmowania w analogiczny sposób historycznéj przeszłości, stanowiącéj wspólną tegoż społeczeństwa własność z innemi oderwanemi dziś odeń organicznemi cząstkami. Za sprawą przyczyn zrozumiałych bez bliższego wyjaśnienia, a nadających związanym z tą przeszłością zagadnieniom osobliwą żywotność, mięszających na każdym kroku historyę z polityką, zrodzone tym trybem pomieszanie pojęć spotęgowało się aż do trwałego *qui pro quo*, podstawiającego systemacznie faktom, należącym do całkiem innéj sfery, do całkiem innych warunków bytu, wyobrażenia odpowiadające oportunistycznym wymogom chwili i kondycyi obecnéj. W ten sposób przyszło do pojawienia się takich dziwolągów, jak historyozoficzny lojalizm austryacki autora „Historyi wyzwolonéj Rzpltéj.“ Jeżeli zaś zjawisko to zdało się gorszącém w pierwszéj chwili, tedy zgorszenie nie było długotrwałém. Za dni naszych *szwarcgelberyzm* doczekał się już prawa obywatelstwa śród reprezentantów téj szkoły historycznéj. W charakterze historyozoficznego *credo* przeniesionym nawet został z wieku XVII do XVI (1). W ten sposób nakoniec wyrobił się ogólny kierunek krytyki historycznéj, zmierzający coraz bardziéj do obrazowania odtwarzanéj przeszłości wielkiego europejskiego społeczeństwa w kształcie jakowegoś mikrokosmosu, pozbawionego bodaj grawitacyjnéj nawet łączności z otaczającemi go światami, będącego samoistnie wszystkiém dla siebie, mającego w samym sobie racyą swojego bytu i także przyczynę swojego końca, podległego chorobom wewnętrznym,

(1) Ob. Tarnowskiego. Pisarze polityczni XVI wieku. II, str. 227.

toczącym dziś jeszcze organizm oderwanych jego cząstek, przedstawiającego jednóm słowem uderzające podobieństwo do podkarpackiéj prowincyi, cieszącéj się autonomią pod łaskawemi rządami najlepszego z monarchów, a niepokojonéj przez tromtradacyą i inne anarchiczne żywioły.....

Tryumfująca w obecnéj chwili, uświęcona i na czas długi jeszcze utrwalona zapewne teorya *zależnych*—zależnych od woli i winy naszéj — przyczyn naszego upadku ma tu swoje źródło.

Ze stanowiska oportunistyczno-partykularnego może być ona na dobie. Kwestya to polityki i policyi miejscowéj ; jéj doraźnych kombinacyi i tym kombinacyom odpowiadających potrzeb. Nauka historyi przybiera za jéj sprawą kształt katechizmowego wykładu. Był naród, któremu dobrodziejstwo boże mieszkać pozwoliło w kwiecistym i owoców pełnym ogrodzie, położonym między dwoma morzami. Wszystkiém, co w ogrodzie tym rosło, rozporządzać on mógł dowolnie, z wyjątkiem jednego drzewa, stojącego pośrodku. Na nieszczęście była to jabłoń ponętnemi jabłkami okryta. Zerwał jedno i drugie i trzecie jabłko naród grzeszny, rozlubował się w ich smaku i przyprawił się o zgubę. Jabłoń ta była drzewem wolności, a owoce zwały się sejmami, prawem *liberi veto*, obieralnością królów, swawolą polityczną, politycznóm i społecznóm zepsuciem, polityczną i społeczną anarchią. I otruł się niemi naród występny, i został skazany na wygnanie z rajskiego ogrodu, położonego między dwoma morzami, i trzéj aniołowie z ognistemi mieczami w rękach spełnili nad nim wyroki gniewu bożego. Ale zostawiono mu drogę do powrotu w progi utraconego Edenu — przez pokutę i poprawę. Byle otrząść się potrafił z pierworodnego grzechu swego, wypluł zachowany w ustach sok zatrutego owocu, i smaku jego nawet zapomniał, rajskie wrota od morza do morza staną dlań znowu otworem.

W zastosowaniu do pewnych miejscowych warunków bytu, katechizm taki może, powtarzamy, mieć swoje zalety. W szerszém natomiast zastosowaniu podlega, nawet pod względem czysto praktycznéj właściwości, bardzo poważnym zarzutom. Z zarzutami temi spotyka się przedewszystkiém jego konkluzya, oddająca interesowanym losy ich we własne ich ręce ; czyniąca ich panami swych przeznaczeń w przyszłości, jak byli nimi w przeszłych kolejach swego zawodu : konkluzya otuchy pełna, ale czy nie otwierająca drogi niebezpiecznym iluzyom ? Tém bardziéj, że jednocześnie i mocą tego samego założenia odjętą zostaje wszelka prawna podstawa ośmielonym w ten sposób narodowym aspiracyom. Naród, który sam stał się sprawcą swoich nieszczęść, wobec którego rola

żywiołów zewnętrznych ograniczyła się do wykonawczego udziału w spełnionéj nad nim historycznéj sprawiedliwości, naród taki pozbawił się oczywiście tytułu do wszelkiéj względem kogokolwiek pretensyi. Nikt mu nic nie winien. Każdemu owszem z wykonawców, a nawet każdemu z interesowanych, przysługuje nie dający się zaprzeczyć tytuł do pilnowania litery zapadłego i własnėm uznaniem strony a przyznaniem się jéj do winy uświęconego wyroku. Chyba by ujawnione zostały przez tę ostatnią nowe, drogą rehabilitacyi nabyte, tytuły i prawa. Ale kwestya to procedury dość trudnéj do przeprowadzenia w praktyce.

A teraz zarzut drugi. Jednym z najniezbędniejszych czynników wszelkiéj dodatniéj, zarówno społecznéj jak i indywidualnéj działalności jest wiara w siebie. Właśnie zaś pewien niedostatek wyrobionego w tym kierunku samopoczucia własnych sił zaznaczyć się daje dość wcześnie między charakterystycznemi i ujemnemi rysami narodowego naszego temperamentu. W rzędzie wewnętrznych, organicznych przyczyn naszych nieszczęść, czynnik to zajmujący trudne do przeoczenia, bo bardzo szerokie miejsce. Owóż zdaje się on być u przodków naszych niezawodném następstwem wykształconego na bujnéj niwie naszego politycznego życia i razem z innemi chwastami wyrosłego pesymizmu, którego niezawodném znowu echem są dzisiejsze pesymistyczne poglądy na były wewnętrzny ustrój naszego społeczeństwa. Spadek to, w teraźniejszości, drogą bardzo wyraźnego następstwa przejęty przez spółczesną nam literaturę historyczną po dawnéj naszéj literaturze politycznéj; płód, w przeszłości, przedzierzgniętéj i tu w swawolę swobody myśli i słowa. Rola naszych pisarzy politycznych od XVI do XVIII wieku inaczéj wprawdzie tłómaczoną bywa. W niemożności usprawiedliwienia jéj naturalnemi motywami, ucieczono się do nadnaturalnych. Dopatrzono się w niéj wyrazu jakowéjś zagadkowéj, fenomenalnéj przenikliwości, zazierającéj w przyszłość oczami bielmem skądinąd, w stosunku do teraźniejszości przesłoniętemi. Mistycyzm, w głębi naszych instynktów narodowych z nierównie większą pewnością zaznaczyć się dający, upomniał się tu o swoje prawa, nawet przed historykami najradykalniéj oddalonymi od mesyanistycznych tendencyi. Jesteśmy np. w wteku XVI, „Rzplta stoi jeszcze, nietylko stoi ale kwitnie, gromi nieprzyjaciół, rozszerza granice, wydaje się szczęśliwą i bezpieczną.“ Aliści cały zastęp złowrogich wróżbitów „woła jéj, że ginie, że jest bezsilną, bezbronną, zepsutą, spróchniałą, pastwą gotową dla czyhających nieprzyjaciół.“ Co to takiego? Po ludzku biorąc, nic innego jak jeden przykład więcéj nadużywanéj we wszystkich kierunkach wolności; zjawisko podobne do tego,

którego dostarcza nam za dni naszych literatura polityczna 3-éj Rzpltéj francuskiéj; jedno z nieuniknionych choć najmniéj pożądanych następstw powszechnego wyzwolenia instynktów społecznych, między któremi krytycyzm, duch obmowy, skłonność do wynajdywania plam na słońcu trzymają pierwszorzędne miejsce. — „Nie“, odpowiada dzisiejszy historyk, „to zagadka, fenomen, jeden z najbardziéj uderzających i najbardziéj niewytłómaczonych w naszéj historyi, jakiś dziwny zmysł odgadywania przyszłości, udzielony nam w zamian za brak zmysłu do oceniania rzeczywistości, instynktowy głos przeczuć“ (1)... Najwyraźniejszym, jedynym nawet owocem téj proroczéj zdolności, dostrzedz się dającym u przodków naszych, jest stan umysłowy, który tak dla społecznych jak i dla indywidualnych organizmów bywa narzędziem zguby, będąc przyczyną niemocy, a któremu na imię: demoralizacya. Owóż na koniec do analogicznego rezultatu zmierzają nieuniknienie moralistyczne tendencye nowoczesnéj naszéj szkoły historycznéj. Jéj katechizm pokuty i poprawy jest przedewszystkiém katechizmem zwątpienia, małoduszności i mazgajstwa. Nie zatapiać się w rozpamiętywania błędów i niedostatków przeszłości trzeba narodom upadłym, ale krzepić się poczuciem rozwiniętych niegdyś i niespożytych zasobów żywotnych. Posypujący sobie głowę popiołem Jeremiaszowie nie odbudowali Jerozolimy...

Są to wszelako względy opartunistycznego także charakteru, które właściwie obcemi muszą pozostawać nauce historycznéj. Z naukowego stanowiska, nie może chodzić o to, w jaki sposób przeszłość danego społeczeństwa przedstawioną być powinna, gwoli lepszemu zbudowaniu żyjących pokoleń, ale w jaki sposób przedstawia się ona w świetle bezstronnéj i bezwzględnéj krytyki. Wartość przeto teoryi o w e w n ę t r z n y c h i z a l e ż n y c h przyczynach naszego upadku zawisła wyłącznie od rezultatu badań, dotyczących wewnętrznego naszego w przeszłości ustroju. Owóż jeszcze dotychczasowym bardzo cennym pracom w tym kierunku niedostawać się zdaje jednego niezbędnego pierwiastku naukowego, który właściwie stanowić winien ich naturalną podstawę, a którym jest krytyka porównawcza. Zważmy bowiem, że rozstrzygającą w téj materyi nie może być odpowiedź na pytanie: czy byliśmy złymi, grzesznymi i na surową zasługującymi karę? Chodzić musi o to, czy byliśmy gorszymi od innych, czy suma naszych błędów i występków przeważyła dający się odszukać gdzieindziéj iloczyn? W tém bowiem tylko przypuszczeniu, suma ta jest ilością poszukiwaną i rozwiązują-

---

(1) Tarnowski, *loco citato*, II. 388.

cą problemat naszych przeznaczeń. Zważmy i to, że nawet w tém przypuszczeniu, kwestya narodowéj odpowiedzialności naszéj pozostaje drugostronną i nierozstrzygniętą kwestyą. Boć, dajmy na to: bezpośredniemi narzędziami naszego upadku było zepsucie nasze wewnętrzne, luźność obyczajów, nie trzeźwość pojęć, egoizm, swawola, rozpusta, anarchia. Zgoda; ale skąd wzięło się to wszystko u nas, i jakim sposobem rozwinęło się i spotęgowało w wyjątkowy sposób? Taka wyjątkowa niegodziwość danego organizmu społecznego, toć także zjawisko domagające się przyczynowego wyjaśnienia! Czy nie było nic wyjątkowego w naszém położeniu pośród europejskiéj rodziny społecznéj? Tak jest: „Wstąpiliśmy o pięć wieków późniéj od Zachodu na arenę jego cywilizacyi... Rzuciliśmy najlepsze nasze siły na wschód, na Ruś i Litwę, w podjętém przymusowo a możność naszą przechodzącém zadaniu kolonizacyjném... Dla obronienia się od niemieckiego *Drang nach Osten* chwyciliśmy się unii litewsko-ruskiéj, a Unia nas trawiła" (1). Oto tyleż danych, przyjętych nawet przez dzisiejszy nasz historyozoficzny pessymizm. Więc czy przypadkiem tamto nie było następstwem tego? Czy nie ztąd właśnie, z tego zaszczepienia cywilizacyjnych flanc zachodnich na niedoprawionym gruncie, z tego wytężenia najżywotniejszych zasobów narodowych w podjętém drugostronnie cywilizacyjném na wschodzie i asymilacyjném zadaniu, wzięła się owa chorobliwa bujność jednych a spółczesna atrofia drugich żywiołów narodowego życia? Bo jeżeli nie ztąd, to zkąd? A jeżeli ztąd, to co się dzieje z *zależnością* przyczyn, obciążającą jakoby naszę odpowiedzialność? Czy od nas *zależało* pojawić się wcześniéj na widnokręgu zachodniéj cywilizacyi? Czy od nas *zależało* pozbyć się germańskiego sąsiedztwa? Jeżeli za sprawą tych narzuconych nam warunków bytu, byliśmy istotnie mniéj zdolnymi do wytworzenia silnéj społecznéj i politycznéj organizacyi, skłonniejszymi do hołdowania anarchicznym popędom, gorszymi od innych jedném słowem, czy od nas zależało być lepszymi w tych warunkach?

Ale czy byliśmy gorszymi? W niezachwianém przekonaniu piszącego niniejsze kartki twierdząca odpowiedź na to pytanie, jakkolwiek zaliczyć się dająca dziś do ustalonych aksiomatów, jakkolwiek stanowiąca niejako kamień węgielny dzisiejszych historyozoficznych teoryi, jest nie mniéj przeto pozbawioną wszelkiéj racyonalnéj zasadności; jest wynikiem z jednéj strony tendencyjnego, apriorystycznego charakteru tychże teoryi, z drugiéj strony niedo-

(1) Ob. Bobrzyńskiego „Dzieje Polski" *passim*.

statecznego wprowadzenia do nauki historycznéj porównawczych danych i dostarczonego przez nie kryteryum.

Że rozbicie politycznego organizmu Rzpltéj jest w wieku XVIII nie następstwem koalicyi sił obcych i dokonanego przez nie z zewnątrz rozbioru, ale dziełem czynników swojskich i wywołanego przez nie wewnątrz rozkładu, którego początki dostrzedz się już dają w wieku XVI—to konkluzya nie tylko gnębiąca, i z praktycznego stanowiska najmniéj dla nas, zdaniem piszącego, pożądana, ale wręcz fałszywa, historycznie, naukowo bezpodstawna. Czynniki rozkładowe tego samego rodzaju, żywioły anarchiczne téj saméj natury, zepsucie, swawola, luźność obyczajów spotęgowane do tego samego stopnia widocznemi są i gdzieindziéj, w społeczeństwach, które analogicznym poniekąd warunkom bytu i rozwoju podlegają, a jednak, za przyczyną mniéj nieprzyjaznych zewnętrznych konjunktur, całkiem odmiennym przekazane są przeznaczeniom.

Takiego mianowicie i charakterystyczniejszego od innych zjawiska dostarczają, przy zestawieniu z naszą własną historyą, dzieje społeczeństwa angielskiego. Szczupła, względnie, etnograficzna podstawa, przy wielkiém wytężeniu sił w przedsięwzięciach kolonizacyjnych, olbrzymie obszary obejmujących; szybka asymilacya napływowych pierwiastków i szeroki tychże odpływ na zewnątrz; ztąd życie na wewnątrz ruchliwe i luźne zarazem; nie dający się okiełznać duch swobody; wybujałość indywidualizmów; ograniczenie władzy monarchicznéj; rozwój parlamentaryzmu; chorobliwa prawie obawa utraty zazdrośnie strzeżonych swobód i nieufność względem władzy—oto tyleż rysów składających się na uderzające podobieństwo fizyonomii historycznéj, z przypadkowym ale nieobojętnym przyczynkiem w wieku XVIII dynastyi obcéj, niemieckiéj, prowadzącéj tu i tam za sobą nowy napływ wsiąkających w organizm narodowy żywiołów.

To téż, rzucając zasłonę na dalsze obu społeczeństw koleje i losy, zatrzymajmy się przed obrazem wewnętrznego ich życia, chociażby w wieku XVIII, więc w epoce poprzedzającéj bezpośrednio z jednéj strony katastrofę ostatecznego pogromu, z drugiéj strony jednocześnie niemal osiągnięty zenit potęgi i rozkwitu. Dokonane w ostatnich czasach tam, w Anglii, prace historyograficzne, dobyte na jaw pomniki i źródła dostarczają wszelkich potrzebnych danych do takiego zestawienia, które jest przedmiotem niniejszych kartek, a które przeznaczoném się zdaje do usunięcia wszelkiéj wątpliwości z wolnych od uprzedzenia umysłów co do wartości historyozoficznych prejudykatów, obciążających tak ciężkiém brzemieniem nasze narodowe sumienie. Narody są wszędzie tém, czém

być mogą w danych warunkach; ale nigdzie nie jest im daną moc obierania dróg swoich i wybierania swoich przeznaczeń.

I.

Na tronie polskim August II; na tronie angielskim, po śmierci bezdzietnego Wilhelma Orańskiego (marzec 1702), cień królewskiego dostojeństwa w osobie bezdzietnéj Anny, z perspektywą obcéj niemieckiéj dynastyi na bliskim widnokręgu—oto znamienne tu i tam zjawiska w progach rozpoczynającego się stulecia. Tu i tam kwestya zasady monarchicznéj rozstrzygniętą już została w sensie jak największego téj zasady ograniczenia, najszerszego zaś wyswobodzenia żywiołów społecznych. Chodzi o to, jak się te żywioły ukształtują organicznie. Zmiennemi i burzliwemi są obustronnie koleje towarzyszące téj pracy wytwórczéj. Formy i barwy przesuwają się i plączą się w odsłoniętym przed nami obrazie, jak w kalejdoskopie. Trafia się jednak tam, za cieśniną kaletańską, chwila względnego skonsolidowania się efemerycznych kształtów, odpowiadająca poniekąd i u nas pewnemu zastojowi w społecznėm i politycznėm życiu, więc najdogodniejsza do zamierzonego tu poglądu. Jest nią dwudziestoletnia epoka (1722—1744) rządów Roberta Walpole'a.

„W zawodzie tego męża stanu“, pisze najgłośniejszy z pomiędzy żyjących historyków angielskich (1), „więcéj niż w zawodzie któregokolwiek z jego poprzedników lub następców, odźwierciedla się charakter polityki, którą stronnictwo Whigs'ów reprezentuje w ciągu XVIII wieku; wpływ zaś jego oddziałał w bardzo znacznéj mierze na ton i charakter rządów parlamentarnych w Anglii.“

Przypatrzmy się temu zawodowi i towarzyszącym mu politycznym a społecznym stosunkom. Zacznijmy od króla. Jest nim najpierw Hanowerczyk Jerzy I-y. Po angielsku nie umié i umiéć nie pragnie. Urodził się i pozostaje Niemcem. Skoro tylko może, ucieka do swojego Hanoweru, tak jak nasz August do swego Drezna. O ile tylko może, stara się wyzyskać swój tytuł angielskiego króla na rzecz swoich interesów hanowerskich. W r. 1712 król Duński odstępuje elektorowi Hanowerskiemu, jako elektorowi, miasta Bremen i Werden w zamian za przyrzeczoną pomoc przeciwko Szwedom. Jerzy podpisuje jako elektor, ale jako król angielski posyła flotę angielską na Bałtyk. Tyle nie potrafił dokazać nad Wisłą ani August II, ani Brühl za rządów jego następcy. W r. 1743 wielki Pitt

(1) Lecky, History of England in the XVIII-th Century. I, s. 325.

woła w izbie gmin: „Aż nadto widoczną jest już rzeczą, że to wielkie, to potężne, to trwogą nieprzyjaciół przejmujące królestwo uważaném jest tylko za prowincyą nędznego elektoratu.“ Takich słów nie usłyszał żaden z sejmów polskich. Niemieckiéj bowiem polityki ojca spadkobiercą czyni się w r. 1727 Jerzy II. Tylko łatwiéj daje się powodować Walpole'owi, który go kupuje sobie, wyjednywając dlań listę cywilną o 100,000 funtów wyższą od ojcowskiéj,—i metresom swoim, do których Walpole umié także trafić. Czasem ulega także królowéj, która dla zachowania swojego wpływu sprzyja rozrywkom małżonka, przeciwko ślubowanéj wierności wykraczającym, a nawet czyni się okolicznościowo ich dostarczycielką. Charakterystyczną jest w pamiętnikach lorda Hervey scena pożegnania królewskiéj pary przy łożu umierającéj królowéj. Ta ostatnia zaleca płaczącemu małżonkowi, ażeby poszukał sobie innéj towarzyszki życia. Na to płacz rozrzewnionego monarchy wzmaga się, i, głosem przez łkanie przerywanym, zaledwie wyjąkać jest on w stanie odpowiedź, która brzmi: „Nie będę miał metresy!“ — „A mój Boże!“ odzywa się na to królowa, „przecież to nie przeszkadza (1)!“

W rzeczywistości tedy Walpole rządzi wszechwładnie, o ile mu na to pozwalają izby, dzięki zaś środkom, któremi minister rozporządza, pozwalają mu one dużo. Jakiemi są te środki? Wymownym on nie jest. Mówi łatwo, bez przygotowania, jasno i zwięźle, zwłaszcza w materyach finansowych, ale do porywania słuchaczów nie jest zdolnym, jak późniéj dwaj Pitt'owie, lub za dni naszych Gladstone. Jest popularnym. Dzięki czemu? Dzięki zapewne najpierw swojéj stałéj, zasadniczéj, niemal ślepéj uległości względem opinii publicznéj, jéj prądów, jéj upodobań i niechęci, a zwłaszcza jéj kaprysów. W gabinecie, w łonie nawet całego swojego stronnictwa, dąży on nie mniéj stale i zasadniczo do absolutyzmu, i osięga w końcu cel zamierzony, usuwając powoli na bok wszystkie osobistości upominać się mogące o podział władzy, otaczając się samymi figurantami. Dochodzi ostatecznie do tego, że koledzy ministeryalni nie czytają nawet papierów i nie roztrząsają spraw odnoszących się do ich własnego wydziału i pozwalają na to, aby te wprost do pierwszego ministra były odsyłane i przezeń załatwiane. Czasem tylko, i to nie w formie urzędowéj, ale poufnie, najczęściéj przy stole, roztrząsa tenże z dwoma lub trzema z pomiędzy nich, potulniejszymi od innych, będący na porządku dziennym przedmiot. Czasem, w materyach prawodawczych, odwołuje się do prawników z łona opozycyi (2). Przypadkowe, coraz rzadsze protestacye

(1) Lord Hervey's Memoirs, II, 513—514.

(2) Campbell. Lives of the Chancellors, VI, 110.

kolegów, nawet téj powagi co ks. Newcastle, odpycha wszechwładny minister pogardliwie, grubijańsko nawet. Ale w obec opinii publicznéj, wobec najlżejszéj ztąd pochodzącéj wskazówki, jest miękkim jak wosk, uległym jak chorągiewka na dachu. Nie wzdryga się przed jawném nawet odstępstwem od własnych przekonań i własnych projektów prawa, chociażby osobiście narzuconych parlamentowi i zwycięsko przeprowadzonych w tegoż łonie. Takim projektem jest w r. 1731 bill o akcyzie. W przededniu ostatniego „czytania", koledzy ministeryalni, wyjątkowym przykładem do walnéj dopuszczeni narady, oświadczają się jednomyślnie za uwieńczeniem dzieła; pewnymi są znacznéj większości w obu izbach. Walpole słucha ich w milczeniu, a w końcu odzywa się: „Tak jest, izby oświadczyły się i oświadczą się jeszcze za billem, ale opinia oświadczyła się, choć niedorzecznie, przeciwko niemu. A zatém, jeżeli postanowiliście nieodwołalnie przeprowadzić ten bill, ja postanowiłem udać się do króla i prosić o uwolnienie od urzędu". I bill zostaje cofniętym (1).

Udaje mu się jednak w pewnéj mierze zjednywać dla swoich osobistych zapatrywań i zamysłów aplauz publiczny, pociągać masy ludowe za sobą. Dzięki bowiem pewnym osobistym właściwościom i przymiotom, istnieje między nim a temi masami sympatyczny łącznik. Jakiemi są te właściwości i przymioty? Przedewszystkiém jest pierwszy ten minister pierwszym także z pomiędzy łowców angielskich. Zwyczaj zawieszania prac prawodawczych w środę należy do parlamentarnego po nim spadku; przyjętym został dla uczynienia zadość jego myśliwskim upodobaniom. Wiejskie wszelako jego rozrywki nie ograniczają się na dojeżdżaniu jeleni i lisów. Łowy kończą się biesiadami a biesiady orgiami, przed których opisem cofa się pióro historyka. Hołdowanie Bachusowi należy zresztą do jego rodzinnych tradycyi. Spółcześni opowiadają o jego ojcu, że zwykł za każdym spełnianym przez się kielichem nalewać dwa synowi, „ażeby ten ostatni nie mógł w stanie przytomności patrzyć na pijanego rodzica" (2). Zapewne téż i za powrotem do miasta zdarza się mu za przykładem Bolingbroke'a, przybywać do ministeryalnego gabinetu z głową obwiązaną mokrym ręcznikiem, przeznaczonym do zwalczenia naturalnego skutku winnych libacyj (3). Tego samego rodzaju podanie przechowało się o jednym z ostatnich naszych ministrów i głośniejszych mówców sejmu czteroletniego. Ale Kazimierz Nestor Sapieha nie trzymał nigdy w swoich rękach losów

---

(1) Coxe's Walpole. I, 403—404. — (2) Coxe's Walpole, I, s. 758. — (3) Mrs Delany's Correspondence, VI. 168.

ojczyzny. Obok zaś bachusowego, stawia Walpole ołtarz równego co najmniéj nabożeństwa Wenerze. Kiedy nie gada o interesach, powiadają o nim, gada o kobiétach (1). W jaki zaś sposób gada o nich, to nie daje się powtórzyć. „Jego dwoma głównemi upodobaniami—pisze nowoczesny historyk (2) — są polityka i sprośność.“ Żyje w otwartém cudzołostwie. Mimo wczesnéj otyłości i niewdzięcznéj urody, nosi się bezprzestannie z miłosnemi oświadczeniami, którym nadaje formę najbrutalniejszą. W Houghton, wiejskiéj swojéj rezydencyi, odstrasza czasem nawet okolicznych *squires*'ów, choć nie wybrednych, bezwstydném rozpasaniem urządzanych przez się bachanalii. W chwili śmierci królowéj, żony Jerzego II, nalega na córki tego ostatniego, aby zajęły się natychmiastowém sprowadzeniem dwóch metres ojcowskich, dla rozerwania jego kr. mości; następnie zaś oświadcza głośno, że o ile dotąd był za królową przeciwko metresom, o tyle odtąd będzie za metresami przeciwko córkom (3).

I ogółem biorąc, wszystko to czyni go miłym w oczach prowincyonalnych *squires*'ów. Ale główna podstawa jego politycznego stanowiska, jego wpływu, jego dwudziestoletnich bezpodzielnych rządów pozostaje do wskazania. Jest nią — przekupstwo. Przekupstwo jawnie, otwarcie, cynicznie podejmowane, uświęcone niejako w charakterze niezbędnego czynnika działalności politycznéj, stosowane do wszystkich i do wszystkiego, zaczynając—jak to widzieliśmy już — od królewskiego dostojeństwa. Co się dzieje z królem, to dzieje się także z królową. Jak przekupił Walpole Jerzego II, tak przekupuje jego żonę, zapewniając jéj oprawę 100,000 funtów rocznego dochodu, podczas gdy współzawodnik jego, sir Spencer Compton, zdobył się tylko na obietnicę 60,000. Przekupuje i skłania do milczenia pastorów dysydenckich za pomocą donatywy królewskiéj *(Regium Donum)*, zabezpieczonéj ich wdowom. Wyzyskuje na rzecz swoich kreatur wszystkie przywileje królewskiego patronatu. Wytargowywa sumy ogromne i coraz to ogromniejsze na rzecz tajnych funduszów do rozporządzenia sobie oddanych, a używa przeważnie tych ostatnich na przekupowanie parlamentarnéj opozycyi. Przekupuje najpierw cały poczet drobnych okręgów wyborczych, w Szkocyi zwłaszcza i Kornwalii, następnie zaś trafia do pojedyńczych kieszeni i sumień w łonie parlamentu. To jego system, jego polityczne *credo*. Wyrażenie: „Każdy człowiek ma swoją cenę“, jeżeli wychodzi istotnie z jego ust, stosuje się podobno w jego myśli tylko do pewnéj grupy członków izby i brzmi: „każdy

---

(1) Lecky I, 365. — (2) Tamże. — (3) Tamże, podług pamiętników lorda Hervey.

z tych ludzi." Ale opinia publiczna przypisuje tym słowom sens ogólny i to, samo przez się, stanowi wymowną wskazówkę. Jawnie zaś stałém jego przedsiewzięciem jest zabezpieczenie sobie parlamentarnéj większości nie za pomocą zjednanego dla swéj polityki zastępu przednich mówców, pisarzy, finansistów, czy mężów stanu, doprowadzanéj do skutku koalicyi stronnictw, ani nawet uosabianych przez się ludowych aspiracyi i żądań, ale jedynie i wyłącznie za pomocą pieniędzy. Dawać i skłaniać do brania, to jego sekret. Ale sekret, z którym się nie kryje, któremu udziela owszem rozmyślnie największego rozgłosu, dla przyciągnienia nieśmiałych, z którym występuje otwarcie, dla pokonania wstydliwych. Publicznie nosi się z tém, że więcéj niż połowa członków obu izb bierze pieniądze z kasy państwa, w kształcie pensyi lub dochodów urzędowych. Publicznie chwali się tém, że odrzucenie pewnego billu kosztuje go tylko 900 funtów: 500 dla jednego członka, 400 dla drugiego, którzy obaj zresztą mieli otrzymać tę samę sumę przy końcu sesyi, a skorzystali jedynie z nastręczonéj sposobności dla upomnienia się wcześniéj o nią (1). Protestacye, z któremi czasem, choć rzadko, spotyka się ze strony nowych przybyszów, nieoswojonych z praktyką życia parlamentarnego, wywołują tylko pogardliwy z jego strony śmiech i żarty cyniczne. „Patryoci! Świątobliwi ludzie! Spartanie! Niewiniątka!" — woła głośno.

Do czego zaś służy zabezpieczony tym sposobem fundament politycznéj w izbach hegemonii? Przedewszystkiém do utrzymania Roberta Walpole'a na stanowisku wszechwładnego ministra. Zresztą polityka jego jest raczéj biernego niż czynnego charakteru i prowadzi do negatywnych głównie rezultatów (2). Finansista biegły, nie lubiący go, Jerzy I-szy odzywa się o nim: „Walpole jest w stanie zrobić złoto z niczego"—na tém polu oddaje krajowi niejakie usługi. Po za tém zostawia nawet sympatyzującym z jego osobistością historykom możność jedynie domyślania się ujemnych dla kraju ewentualności, które uniknionemi przezeń zostały. Na wewnątrz program jego jest programem bezwzględnego konserwatyzmu, niechętnego wszelkim reformom; na zewnątrz jest programem bezwzględnego pokoju, prowadzącym do faktycznéj abdykacyi wobec wielkich zagadnień polityki europejskiéj (3).

I program ten utrzymuje się przez lat dwadzieścia! I wpływ człowieka uosabiającego ten program, zapewniającego temu pro-

(1) Lord Hervey's Memoirs, II, 280. — (2) Lecky I, 327—371. — (3) Tamże. Porównaj z sądem Macaulay'a w Essay on Horace Walpole's Letters; Standhope'a w History of England; Carlyle'a w Life of Frederic the Great.

gramowi dwudziestoletnią przewagę za pomocą wskazanych środków, odbija się w całości wewnętrznych i zewnętrznych stosunków kraju trwalszém od wszystkich innych znamieniem! Przypatrzmy się tym stosunkom.

W dziejach parlamentaryzmu angielskiego rządy Walpole'a stanowią epokę. Jest on rzemieślnikiem trwałego, nawet w późniejszych latach, kompromisu między izbą gmin a tronem. Jakich narzędzi używa, wiemy już. Do téj pory rzeczy innym szły trybem. W roku 1701, przy pomocy dzielnego Sommersa, Wilhelm Orański stara się o wyjednanie subsydyów niezbędnych dla dalszego prowadzenia wojny na kontynencie i wyzyskania już osiągniętych przez nią korzyści. Izba lordów sprzyja jego widokom i usiłowaniom. Aliści w izbie niższéj z torysów złożona większość stawia Sommersa w stanie oskarżenia, odracza uchwałę subsydyów, nie dopuszcza nawet żadnego kroku, mającego na celu zabezpieczenie obrony krajowéj. Tu i owdzie w kraju odzywają się głosy nieukontentowania. Hrabstwo Kent mianowicie zgłasza się z petycyą ułożoną w energicznych ale oględnych i uszanowania pełnych wyrazach, podpisaną przez jury i znaczną liczbę *freeholdersów* miejscowych, przedstawioną przez pięciu przednich obywateli, a powołującą się na zasługi Wilhelma, na wdzięczność która należy się mu od narodu, na grożące bezbronnéj ojczyźnie klęski i przemawiającą za dostarczeniem jego królewskiéj mości potrzebnych dla bezpieczeństwa krajowego środków. Zacietrzewiona w swéj opozycyi większość nie waha się z odpowiedzią. Prawo petycyi należy do najstarszych i najsilniej zagwarantowanych przywilejów narodowych. Wpisaném zostało do konstytucyi narodowéj *(Bill of rights)*. Nie wstrzymuje to antagonistów polityki rządowéj. Petycya uznaną zostaje za skandaliczną, zuchwałą i buntowniczą; przedstawiający zaś ją obywatele dostają się do więzienia i pozostają w niém przez dwa miesiące, do końca sesyi.

Jak się to nazywa? Czy nie anarchią przypadkiem?

Było więc i tu miejsce dla tych żywiołów, które odegrały w naszéj własnéj historyi tak smutną rolę. Tylko tu, za przyczyną pewnych odmiennych warunków organicznych, a także pewnych właściwości charakteru narodowego, pierwiastek monarchiczny okazuje się wcześniéj zdolnym do osiągnięcia nad niemi należytéj przewagi. *Przejednać* opozycyi nie jest w stanie więcéj jak u nas, ani jéj *przemódz*, ale udaje się mu *przekupić* ją. Organizacya okręgów wyborczych, nadwerężona przez Cromwella w duchu reformatorskim, wskrzeszona przez Restauracyą, dostarcza pierwszéj ku temu

łatwości. „Zgniłe okręgi“ — *the rotten boroughs* — wymiecione żelazną ręką Protektora, wracają ze Stuartami do swoich przywilejów i utrzymują się już przy nich. Unia ze Szkocyą powiększa ich liczbę. „Gołe imię nieistniejącego miasta, z którego zaledwie cośkolwiek gruzów pozostało i w którém niemasz więcéj domostw nad chatę pastuszą, ani więcéj mieszkańców nad jednego pastucha, posyła do wielkiego zgromadzenia prawodawców, tyluż przedstawicieli co prowincya cała ludna i bogata“ (1). W jaki sposób wywiązują się one, te karykatury narodowéj reprezentacyi, ze swego politycznego mandatu? Część ich *należy* z dawien dawna do pewnéj liczby wielkich panów, reszta należy od równie odległéj epoki — do dającego więcéj. Jest na zbyciu. I rezolutnie, systematycznie, otwarcie Walpole staje do licytacyi. Czyni się kupcem na wielką skalę, i dzięki finansowéj swéj biegłości, zwycięża. W r. 1743 Chesterfield wymienia w łonie samego parlamentu, jako rzecz znaną, „dworskie okręgi *(courth-boroughs)*, wybierające kogo im minister wskaże, chociażby osobą zaleconą był kandydat, o którym żaden z wyborców nie słyszał pierwéj, ani go widział na oczy; gotowe do wybrania bodaj lokaja z przedpokoju pana ministra.....“ (2).

Owóż jednocześnie, za przyczyną reformy przedłużającéj do lat siedmiu trwanie każdorazowego jéj mandatu *(Septennial Act)*, po części zaś także za sprawą stałego, przez przeciąg dwudziestu lat pobytu w jéj łonie naczelnéj reprezentacyi rządowéj, w osobie Walpole'a, izba z takich obecnie składająca się żywiołów zyskuje stopniowo stanowczą przewagę nad swą starszą siostrą; w końcu zaś dobija się aktualnéj hegemonii politycznéj. Tytuł członka izby wyższéj traci powoli większą część swojego uroku i powagi. Za panowania Anny jeszcze uzyskane parostwo jest dla Harley'a, dla St. John'a znamieniem osiągniętego zenitu w ministeryalnym zawodzie. Walpole natomiast przyjmuje tytuł hrabiowski dopiéro w chwili swojego upadku; po nim zaś Pulteney przypłaca nieoględnie zajęte miejsce w zdyskretowaném gronie lordów utratą całkowitą swego wpływu politycznego (3). Izba niższa, skojarzona z dworem wiadomemi węzłami, staje się teraz wszystkiém. Zważmy jednak, że z początku i przez czas dość długi nic dodatniego nie wychodzi z tego kompromisu. Program rządowy, z którym solidaryzuje się przekupiona większość narodowéj reprezentacyi, jest to program bierny Walpole'a. Kompromis, do którego przykłada ona rękę, jest przeważnie kompromisem wzajemnéj tolerancyi. Po za sferą pojętych we właściwy sobie sposób interesów rządowych,

(1) Locke, on Civil Governement II, rozdz. XIII. — (2) Parliament. History, XIII, 30.
(3) Lecky I, 436.

pierwszy minister zostawia swéj parlamentarnéj klienteli wszelką swobodę. Używa zaś jéj ona w taki sposób, jakiego spodziewać się po niéj można. Jéj program znowu, to program najszerszego wyzyskiwania, we własnym partykularnym interesie, przysługujących sobie lub przywłaszczanych prerogatyw, przywilejów i atrybucyi. Do takich np. należy władza sądowa o bardzo luźnie określonych granicach. Właściwie podlegają jéj jedynie wykroczenia, przedstawiające charakter obrazy wyrządzonéj członkom grona prawodawczego. Ale do wykroczeń téj kategoryi zaliczone zostaje zastrzelenie królika, należącego do jednego z prawodawców, łowienie ryb w stawie należącym do drugiego i ukradzenia krowy trzeciemu (1). Podobnego rozszerzenia doczekuje się przywiléj osobistéj nieodpowiedzialności członków izby: korzystają zeń nawet domownicy i służący pojedynczych prawodawców, nietylko dla niepłacenia zaciąganych przez się długów, ale dla dopuszczania się wszelakich nadużyć, gwałtów i rozbojów (2). Jakiém zaś jest ogólne pojęcie sprawiedliwości utrwalone w gronie prawodawczém, o tém składa wymowne świadectwo niepodejrzany sędzia, stały przez lat trzydzieści trzy prezydent *(Speaker)* izby, Onslow, odzywający się publicznie z tém, że aksiomat: „słuszność jest w przyjacielu nie zaś w sprawie“ *(the right is in the friend and not in the cause)*, należy do otwarcie wyznawanych między jego kolegami (3). A oto przywiléj trzeci: cenzorowanie prasy i rozciąganie tą drogą despotycznéj juryzdykcyi nad objawami opinii publicznéj: prawnie, jeden z najmniéj uzasadnionych; w praktyce jeden z najzazdrośniéj wyzyskiwanych przez izbę. Tu zaś, jak i gdzieindziéj, wyroki jéj nie podlegają żadnéj apelacyi. Tym sposobem autor politycznych pamfletów, Steele, dostaje się na wygnanie; Tuchin doczekuje się publicznego oćwiczenia ręką kata; Wellwood, Dyer i Fogg, wydawcy dzienników, zniewoleni są do wyrażenia na klęczkach swojéj skruchy, w obliczu izby. Frymarcząca sumieniem uległość u góry, w stosunku do władzy wykonawczéj, bezsumienny despotyzm u dołu, w stosunku do mas ludowych, — oto więc bilans parlamentaryzmu w téj epoce. Anarchia zażegnaną wprawdzie została w jego łonie, ale jakim kosztem i z jakim skutkiem? Czy nawet z czysto oportunistycznego stanowiska poglądać się nam godzi zazdrosném okiem na osiągnięte tą drogą rezultaty? Spojrzyjmy na inne organy publicznego życia w téj saméj dobie.

(D. n.) *K. Waliszewski.*

---

(1) Stanhope, History of England. IV, 20—21. — (2) Tamże. — (3) Burnet's Own Times, II, 410.



UDZIAŁ
NIEMIECKIÉJ OŚWIATY PRUS WSCHODNICH
W ŻYCIU UMYSŁOWEM POLSKI.

G. C. Pisanski's—Entwurf einer preussischen Literärgeschichte—in vier Büchern—herausgegeben von Rudolfs Philippi. Königsberg 1886, str. XXIII i 722. (*)

Współudział różnoplemiennych czynników w naszém życiu umysłowém przyczynił się wielce do jego rozwoju i nadał piśmiennictwu charakterystyczną różnobarwność. Rusini, Litwini, Czesi, Niemcy zostawszy członkami społeczeństwa polskiego przynoszą na jego usługi swe różnorodne uzdolnienia i owoce duchowego dorobku. Język i poezya nasza zawdzięczają wiele wpływom czeskim i ruskim, nauka zaś zwłaszcza na polu historyi, ma wiele do zawdzięczenia niemieckim wzorom, wpływom i pracom.

Dzisiejsze stosunki nie powinny mącić bezstronności sądu o udziale kultury niemieckiéj w wytworzeniu naszego dorobku cywilizacyjnego. Owszem, bliższe rozpatrzenie się w dawniejszym stosunku obu narodowości może rzucić tém jaskrawsze światło na współczesne wypadki, świadczące o zaniku w życiu duchowém ple-

---

(1) Praca Pisańskiego, zniemczonego mazura pruskiego, nie jest nowością. Napisana pierwotnie po łacinie p. t. „Historia litteraria Prussiae" (1762—65 r.) na podstawie wykładów w uniwersytecie królewieckim, którego profesorom był nasz autor, została następnie przerobiona i obszerniéj po niemiecku opracowana. Pierwszy tom już po śmierci Pisańskiego wyszedł w 1790 r., drugi dopiero 1853 r. Obecne wydanie na podstawie oryginalnego rękopismu uskutecznił R. Philippi, archiwista w Królewcu, kosztem królewieckiego towarzystwa literackiego. Zarówno Bentkowski jak Wiszniewski przytaczają w spisie źródeł wydania z 1790 r., korzysta z niego często Jocher w swéj Bibliografii. Nikt jednak nie zwrócił uwagi baczniejszéj na książkę, zawierającą obok bogatego materyału bibliograficznego, wiele szczegółów, mogących rzucić światło na naszę życie umysłowe i piśmiennictwo.

mion niemieckich, przymiotów które im jednały szacunek i umożliwiały dobroczynny wpływ na obcoplemienną ludność. Kultura niemiecka oddziaływała na społeczeństwo polskie za pośrednictwem najrozliczniejszych czynników. Hierarchia kościelna, klasztory, kolonizacya szlachecka, wieśniacza, mieszczańska, handel, napływ żydów, osiedlenie się Krzyżaków w samém sercu Polski piastowskiéj, związki małżeńskie książąt—wszystko to torowało drogę pojęciom, obyczajom i urządzeniom niemieckim.

Wpływ ten, dosiągłszy najwyższego stopnia w drugiéj połowie XIV w. wywołuje w XV reakcyą narodową, kładącą tamę dalszemu procesowi i sprowadzającą stopniowe, spokojne polszczenie napływowéj ludności. Humanizm i kultura włoska zobojętniają na jakiś czas dla kultury niemieckiéj. Reformacya wznawia, w innéj postaci tylko, oddziaływanie ducha niemieckiego na społeczeństwo polskie. Tryumf protestantyzmu na obszarze dawnych posiadłości krzyżackich, wytworzenie się państwa świeckiego z ruin zakonu—to reakcya niemczyzny pognębionéj przez Grunwald i pokój toruński. Ten nowy organizm państwowy powstaje w chwili, gdy Polska doszedłszy szczytu potęgi politycznéj, zaczyna wstępować na drogę stopniowéj dezorganizacyi, rozprzęgania się i zanikania czynników normalnego życia państwowego. Rozpadnięcie się tak rozległego jak Polska państwa i szybkie przekształcenie drobnego księstwa pruskiego w potężną monarchią, stanowi jedną z najwymowniejszych lekcyi historyozofii. Jaskrawe światło politycznych kontrastów nie pozwoliło zwrócić uwagi na drobne, nie tak ogólnéj doniosłości, choć bardziéj dodatniéj natury, szczegóły odnoszące się do duchowego oddziaływania rozwijającego sie w Królewcu ogniska kultury niemieckiéj w przyległe i dalsze prowincye Rzeczypospolitéj. Dane zgromadzone z wielką sumiennością w pracy Pisańskiego, pozwalają nam zaznaczyć główne momenta, formy i kierunki tego wpływu.

I.

Proces psychologiczny który zwykle nazywamy wpływem duchowym polega na rozszerzaniu się pewnéj idei i zgrupowanych koło niéj pojęć z ogniska, w którém powstały lub zostały zaszczepione, na dalsze koła ludzkie. Szybkość i trwałość wpływu zależy przedewszystkiém od natury saméj idei, od środków jakimi się posługują jéj propagatorzy i stanu umysłowego kół, śród których działają.

Trzywiekowe niemal panowania Krzyżaków na obszarze między Wisłą, Niemnem i Baltykiem przygotowało tu grunt dla rozwo-

ju protestantyzmu. Podporządkowanie interesów religii i kościoła względom politycznym, sprawom świeckim, kontrast między podniosłemi zadaniami zakonu krzyżackiego a życiem jego przewodników i członków musiały obudzić śród ludności, miejskiéj zwłaszcza, cieszącéj się dobrobytem i dość wysoką kulturą umysłową, ostrą krytykę zarówno zakonu jak i hierarchii kościelnéj zespolonéj z nim węzłami politycznéj i kościelnéj zawisłości.

Przyjęcie protestantyzmu przez Albrechta i wynikające ztąd przekształcenie posiadłości zakonu w księstwo świeckie, jest niewątpliwie jednym z najdonioślejszych faktów, jakie spotykamy w dziejach północno-wschodniéj Europy, w XVI wieku. Obok swégo politycznego znaczenia fakt ten przedstawia nam niezmiernie ciekawy przykład odrodzenia rozpadającego się organizmu państwowego, przez wprowadzenie świeżych prądów duchowych, przywrócenie władzy centralnéj utraconego majestatu siły moralnéj i oparcie związku między panującym a poddanymi na wspólności nowych a upragnionych gorąco idei i ideałów religijnych.

Podniosłość nowych idei czyni je równie ważnemi zarówno dla wszystkich warstw społecznych, jak i dla różnoplemiennych kół wchodzących w skład nowego państwa. Era wypraw wojennych ubożących ludność a demoralizujących jéj panów została na długie lata zamkniętą, a natomiast rozpoczęła się nowa era pracy pokojowéj, różnokierunkowéj, wytwarzającéj nie widocznie, bez rozgłosu te zasoby materyalne, i siły moralne i czynniki polityczne, które pozwolą w przyjaznych okolicznościach przekształcić się małemu księstwu w potężną monarchią.

Ten tak doniosły w następstwach przewrót zmienił zupełnie stosunek dawnego państwa krzyżackiego do sąsiednich litewsko polskich prowincyi. Dawni wrogowie zostają przyjaciołmi, niedawni zwycięzcy uczniami. Królewiec staje się ogniskiem „prawdziwego słowa bożego“ pociągającém wszystkich propagatorów nowych pojęć religijnych i dostarczającym przyległym krajom upragnionego światła już to w kaznodziejach kształcących; się w tutejszych szkołach już to w wychodzących tu książkach religijnych polskich i litewskich.

Tu dochodzą w swéj tułaczéj wędrówce prześladowani bracia czescy. Kaznodzieje ich Walenty z Brzozowa ogłasza w Królewcu (1554) polski przekład kancyonału Hussa w wielkiéj *in folio* księdze z melodyami. Tu chronią się, znajdują przyjazne przyjęcie, głośni działacze, w sprawie reformacyi, Stankar i Vergerius—drukujący się w Królewcu swe pisma polemiczne. Łaski zjeżdża na dysputy z teologami królewieckimi a Trzycieski także nawiedza tę metropolią

protestantyzmu. Najwięcéj godną uwagi jest działalność piśmiennicza dwóch polskich protestantów, którzy schroniwszy się tu, pozostali w Prusach do śmierci, popierając sprawę swego wyznania licznemi pracami, po polsku wyłącznie ogłaszanemi. Działaczami tymi są: Jan Seklucyan wielkopolanin i Jan Maletius, podobno małopolanin—obaj lekko zbywani lub pomijani milczeniem przez historyków literatury.

Seklucyan zasługuje na wybitniejsze stanowisko w dziejach literatury jako jeden z najgorliwszych i najobfitszych pracowników na niwie powstającego piśmiennictwa narodowego. Przewaga kalwinizmu w drugiéj połowie XVI w. przyczyniła się do pozostawienia w cieniu postaci tego żarliwego wyznawcy zasad Lutra. Późniejszy tryumf katolicyzmu spotęgował jeszcze obojętność dla téj postaci. A przecież człowiek ten, obok swéj żarliwości luterańskiéj, równie gorliwie pracował nad wyrobieniem języka i utorowaniem drogi polszczyznie tam, gdzie ona była mało znaną—na Litwie, wyprzedza swą działalnością piśmienniczą Reja a pracowitością swoją, autorską i wydawniczą, ilością ogłoszonych prac przewyższa wszystkich współczesnych pisarzów polskich. Od 1540 r. do 1560 r. co rok ukazuje się jedna a często i po dwie prace Seklucyana. Prócz przekładu Nowego Testamentu, który miał dwa co najmniéj wydania w ciągu pięciu lat (1550—1555), wydał Seklucyan około 14 innych prac albo zatraconych albo stanowiących dziś rzadkości bibliograficzne. Do szeregu wyliczonych przez Sobieszczańskiego (Encykl. Orgelbr. XXIII 234) i w Bibliografii Estreichera, przydać należy jeszcze cztery najciekawsze tak ze względu na formę wierszową jak i na treść i datę, utwory opisane szczegółowo przez Pisańskiego a nieznane nawet z tytułu żadnemu z bibliografów polskich. Najdawniejszą jest: „Rozmowa o pogrzebie krzescianskym y papieskym“ (Królewiec 1547, 8. 2 ark.), będąca wierszowaną przeróbką pisemka bezimiennego, poddającego krytyce katolickie obrządki pogrzebowe i modły za zmarłych. Obszerniejszą znacznie rozmiarami pracą jest: „Kupiecz to jest kształt a podobieństwo sądu Bożego ostatecznego“ (Królewiec 1546—1 alfab. 8 ark. *in octavo*). W piśmie tém Seklucyan rozwinął wierszem dostarczony mu przez „nieznajomego“ pomysł przedstawienia człowieka w postaci kupca, który źle rozporządziwszy powierzanymi mu przez Boga skarbami, był stawiony przed sądem i skazany. Treść tę rozwija autor w formie dyalogu rozmaitych postaci, przy czém wytyka błędy i wady biskupów, kapłanów, mnichów, doktorów i innych stanów. W tymże roku, także w Królewcu, wydał: „Narzekanie Smutnei Matki Corony Polskiei“ (7 ark. w 8-ce) w którém przedstawiając rozmaite pu-

bliczne klęski (napad Tatarów, niezgodę itp.) jako karę za występki, pobudza do poprawy i do miłości dla rzeczypospolitéj. Czwarte pismo bez daty, w Królewcu téż wydane ma tytuł: „Rozmowa krótka a prosta o niektórych ceremoniach i ustawach kościelnych“ (4 ark.). Rozmowę tę prowadzi student, wracający z Wittenbergi ze swemi rodzicami, plebanem miejscowym i niektóremi innemi osobami, piętnując w niéj jako przesądy obrządki kościelne katolickie (1). Wszystkie te cztery pisma zarówno treścią jak i formą zostają w ścisłym związku z dyalogami Reja i Korczewskiego. Ten drugi zapożyczył prawdopodobnie pomysł swych rozmów od Seklucyana, wprowadza bowiem w nich również studenta syna kmiecego, który wróciwszy z Wittenbergi, prowadzi dysputę z rodzicami po polsku a z plebanem po łacinie. Widownią dyalogu jest wieś wielkopolska na pograniczu Prus, a więc strony znane dobrze i Seklucyanowi, pochodzącemu podobno z Bydgoszczy. Biografia Seklucyana i spis jego prac znajduje się w niemieckiém wydawnictwie z XVIII w. p. t. „*Preussische Sammlung*“ (T. III, 77 i nast.).

Drugi, nieznany niemal naszym historykom literatury i bibliografom, pisarz religijny i propagator luteranizmu, Jan Malecki (Maletius, Maeletius—nie wiadomo czy zwać go Małecki czy Malicki), pochodził wedle świadectwa z końca XVII w. z pogranicza Małopolski (*nobili ad Krakoviae fines genere ortus*). Przybywszy do Prus, ożenił się z Dorotą Kunicką i jako żarliwy luteranin, biegły w języku polskim, otrzymał miejsce pastora w Ełku (dziś miasteczko powiatowe, w Prusach wschod.), gdzie na udzielonym mu folwarku założył drukarnią w 1536 r. i z niéj wydał pewną ilość pism polskich z których „*multum lucis Poloniae regno illuxisse evangelio refulgente*“ (2). W 1557 ustanowiono w Ełku osobny dekanat i dziekanem (*archipresbiter*) został Jan Maletius. Syn jego Hieronim zawiadywał szkołą polską w Ełku (1546—1552), podniesioną w 1578 r. przez ks. Albrechta do stopnia szkoły średniéj, przygotowującéj do uniwersytetu królewieckiego. Druki łeckie, będące niewątpliwie pracami lub przekładami obu Maletiusów nie zostały dotąd odszukane. W bibliotece kurnickiéj znajduje się „Litania polska dla kościołów polskich księstwa pruskiego“ przez Jana Maeletiusa z uszkodzonym tytułem, będzie to prawdopodobnie druk łecki. Toż samo przypuszczać można co do dziełka z 1561 r. p. t. „Enchiridion kate-

(1) Pisański 211 i 212. Wobec prawdopodobnego zatracenia tego utworu Seklucyana, tém naglejszém byłoby przedrukowanie rozmów Korczewskiego (jedyny egzemplarz w bibliot. Czartoryskich), obfitujących w ciekawe rysy charakterystyczne stosunków wiejskich w Wielkopolsce i właściwości językowe. — (2) Pisański, 80.

chismus mały albo dziecinne kazania" (przełożone z niemieckiego przez Hieronima Maleckiego, pleb. łeckiego), które według Estreichera znajduje się w zbiorach Pawlikowskiego we Lwowie. Jedynym drukiem znanym, na którym wymienioną jest wyraźnie drukarnia łecka, jest początek (arkusz) niedokończonego wydania Nowego Testamentu w przekładzie Jana Maletiusa (Lyccae 1552). Przeważna część prac Maleckiego i druków łeckich zaginęła bez śladu. Drukarnia sama przestała być czynną widocznie, gdy koło połowy XVI wieku rozwinęły się drukarnie królewieckie. Tam drukuje od 1560 r. swe prace Hieronim Maletius, tłómacz polski ks. Albrechta, wreszcie starszy pastor w Ełku, gdzie umiera w 1584 r.

Pisma Hieronima są także wielką rzadkością; wiele początkowych zwłaszcza musiało zaginąć. Estreicher zna agendę pod tyt. „Ustawa albo porzad kościelny w Xięstwie pruskiem" (Królewiec 1560 i 1571), „Katechizm mały albo dziecinne kazania" (1561, 1593), „Katechizm większy" (defekt bez daty) i „Postylla domowa" (Królewiec 1574); przytacza też pisemko p. t. „Oznajmienie i objawienie Boga" (Królewiec 1568) i drugi raz to samo zapewne p. t. „Maelecki, Oznajmienie i zaćmienia" Królewiec 1562, wreszcie rozprawę łacińską (o czci kozła w Sudawie?), którą podaje Estreicher jako utwór Jana Maeletiusa p. t. „Libellus de sacrificiis et idolatria veterum Borussorum" (1563 r.).

Jeżeli do wyliczonych powyżej dołączymy wspomniany już kancyonał Brzozowskiego (1554), cały szereg polemiczno-religijnéj treści druków Lutomirskiego *(Confessio)*, Trzycieskiego *(De sacrosancti evangelii origine, progressu et incremento)*, liczne pisma Vergeriusa, wreszcie odrębną co do charakteru lecz duchem reformatorskim owianą pracę: Słownik łacińsko-polski Mączyńskiego (Królewiec 1563), musimy przyznać, że Królewiec w ciągu drugiéj i trzeciéj ćwierci XVI w. stanowi po Krakowie najruchliwsze ognisko polskiego życia umysłowego i religijnego, a nawet między 1540 a 1555 dorównywa małopolskiemu grodowi ilością i ważnością polskich druków. Jakkolwiek postępy kalwinizmu szerzącego się w Małopolsce i na Litwie powstrzymały propagandę luteranizmu po za obrębem Prus,—na co skarży się w jednéj z przedmów Seklucyan, jednakże to nie zmniejsza doniosłości usług oddanych sprawie narodowéj przez Seklucyana, Maleckich i ich następców. Wprowadzony przez nich do obrządków kościelnych i szkoły (szkoła polska w Ełku) język polski ocalił od wynarodowienia setki tysięcy mazurów pruskich i pociągnął śród niemieckiego lub zniemczonego mieszczaństwa licznych pracowników do zajmowania się historyą i literaturą polską, zbieraniem ksiąg i dokumentów, a wreszcie pra-

cami na polu literatury kościelnéj (kancyonały, postylle, katechizmy). Z pomiędzy trzech szkół prowincyonalnych, odpowiadających dzisiejszym gimnazyom, jedna w Ełku, przeznaczona była dla Polaków i obok przedmiotów ogólnych, dawanych po łacinie, miała wykład języka polskiego. W XVI w. było tu trzech nauczycieli (*rector*, *conrector*, *cantor*), w 1635 dodano czwartego (*prorector*), dzięki gorliwości byłego ucznia téj szkoły Baltazara v. Fuchs, który zapisał 10,000 marek, by procent od téj sumy użyty był na utrzymywanie specyalnego nauczyciela języka polskiego, mówiącego „czystą i poprawną polszczyzną“, który to język, jak się wyraża testator, jest w tym kraju bardzo w „zwyczaju i w kościołach i szkołach niezbędny“ (1). Jak długo śród protestanckiego mieszczaństwa utrzymywała się narodowość polska i jak długotrwały szeroki wpływ wywierała oświata niemiecka na życie umysłowe téj klasy, odgrywającéj tak ważną rolę w odrodzeniu umysłowém XVIII w., świadczy podany przez Pisańskiego wykaz studentów uniwersytetu królewieckiego z sierpnia 1744 r. W ogólnéj liczbie (1032) było według pochodzenia: 143 Prusaków z Królewca, 184 Niemców, 119 Polaków, 62 Litwinów, 13 Gdańszczan, 21 Elblążan, 17 Toruńczyków, 31 z innych miast Prus polskich, 17 Wielkopolan, 27 Szlązaków, 8 Łużyczan, 106 Pomorzan, 4 Rosyan, 2 Kozaków itd. Cała ta młodzież była przeważnie mieszczańskiego stanu (84 szlachty na 1032) i protestancką co do wyznania (991 luteranów, 21 reformow., 13 katolików, 6 greckiego obrz.). Jeżeli do 119 Polaków dodamy owych Wielkopolan, po części zaś synów mieszczan z Gdańska, Torunia i wogóle Prus polskich, może i niektórych Szlązaków i Pomorzan i Litwinów, to wypadnie nam co najmniéj 200 polskich mieszczan, studyujących jednocześnie w Królewcu. Kształcą się oni przeważnie na pastorów-pedagogów i prawników (591 teologów, 428 jurystów, 13 medyków).

III.

Na pierwszą połowę XVIII w. przypada nowe maximum wpływu kultury umysłowéj, rozkwitającéj podówczas w miastach Prus wschodnich i zachodnich.

W tym czasie, razem z setkami polskich mieszczan, na uniwersytecie królewieckim odbywa studya Kant, a wkrótce potém Herder (ur. w Morągu 1744).

---

(1) Pisański 264.

Te same warunki i czynniki, pod wpływem których rozwinęły się powyższe dwie potężne inteligencye, wykształciły cały legion uzdolnionych, sumiennych, a skromnych pracowników, których działalność pedagogiczna i naukowa stanowiła doniosły a nieuwzględniony należycie czynnik w naszém odrodzeniu umysłowém XVIII wieku. Ta mieszczańska inteligencya Prus i pobliskich prowincyj spełnia w życiu duchowém społeczeństwa polskiego funkcyą, do któréj inteligencyi szlacheckiéj nie uzdolniała ni szkoła, ni warunki życia. Wprawdzie światlejszym umysłom szlacheckim w XVII w. nie były obce pewne wiadomości z matematyki, astronomii, fizyki, geografii, historyi i t. p., czerpane z książek lub nabywane drogą rozmowy; wiadomości te jednak wytwarzały w umysłach bezładny aglomerat pojęć nieuporządkowanych i rzadko branych pod rozwagę. Szkoły polskie nie dostarczały umysłom usystematyzowanych wiadomości i nie zaznajamiały z metodami pracy naukowéj. Życie samo dostarczało niewiele warunków, pod których wpływem mogłoby się wyrobić pojęcie porządku i systematyczności, jako podstaw pracy umysłowéj i działalności praktycznéj. Jedyną czynnością, mogącą wprowadzić do umysłów te pojęcia i uwydatnić ich doniosłość, była praca rolnicza, któréj porządek opierał się na stałych i dość jednostajnych procesach fizycznych, a materyalne bezpośrednie korzyści służyły za skuteczny bodziec ku przestrzeganiu niezbędnéj systematyczności. Praca rolnicza była niewątpliwie ważnym czynnikiem w rozwinięciu zdolności umysłowych szlachty polskiéj w XVI w. Korzystanie z bogactw przyrodzonych gleby, wyrażające się w zakładaniu folwarków, produkcyi zboża i bydła, w wyzyskiwaniu lasów i mineralnych skarbów w smolarniach, hutach i t. p., wymagało bacznéj obserwacyi warunków fizycznych i stosowania pracy ludzkiéj do rezultatów téj obserwacyi. Rozwinięte w walce z naturą zdolności obserwowania, kombinowania własnych spostrzeżeń i wyprowadzania wniosków, w połączeniu z osiąganym przez pracę dobrobytem przygotowały grunt dla rozwoju samoistnéj działalności na innych polach, wytworzyły popęd do kierownictwa sprawami publicznemi i nierozłączną ze zdolnościami obserwacyjnemi skłonność do krytykowania istniejących stosunków zarówno politycznych jak i kościelnych. Ztąd wyszedł współczesny prawie ruch polityczny i religijny—dążenie do udziału w kierownictwie spraw państwowych i kościelnych i zreformowania obu instytucyi. Przyzwyczajona przy zajęciach rolniczych do rachowania się z czynnikami materyalnemi, poddającemi się energii fizycznéj i zapobiegliwości doświadczonego rolnika, otrzymując w krótkim stosunkowo czasie realizacyą swych zamiarów i pożą-

dane rezultaty ulepszeń i wyłożonéj pracy, szlachta polska z wielką skwapliwością i zapałem rzucała się do działalności reformatorskiéj w państwie i kościele, lecz zużywała swą energią najczęściéj na burzenie tego, co istniało, i rozprawianie o tém, co być powinno. Nie znając, nie domyślając się nawet siły tych niewidzialnych czynników duchowych, z którymi tu trzeba było się rachować, nie umiała ona ani zorganizować swéj działalności, ani skutecznie walczyć z napotykanemi siłami.

Im więcéj celów stawiamy sobie w życiu i im wyższe i donioślejsze są te cele, tém bardziéj obmyślaną, skomplikowaną i usystematyzowaną musi być nasza działalność. Szlachta polska choć sprzyjała gorąco reformacyi, ale w sympatyi swéj kierowała się więcéj materyalnemi niż moralnemi pobudkami, więcéj uczuciem niż jasnemi pojęciami, ztąd okazuje wiele energii w walce z duchowieństwem katolickiém, w oczyszczaniu kościołów, wprowadzaniu nowych obrządków, lecz gdy przychodzi jéj zorganizować nowy kościół i współudziałem swym popierać byt i rozwój instytucyi, wtedy występuje na jaw cała niedojrzałość duchowa ogółu szlachty. Ani bracia czescy, przyzwani jako organizatorowie i instruktorowie, ani Łaski, ani rozliczni cudzoziemcy nie mogą zapewnić żywotności nowéj instytucyi dla słabnącego współudziału członków. W życiu publiczném podobne widzimy zjawisko. Wywalczywszy sobie olbrzymie swobody i przywileje, nie umié szlachta ich używać. W rozwoju życia kościelnego czy państwowego główną rolę odgrywają czynniki duchowe, których zorganizowanie zależy od stopnia rozwoju duchowego jednostek biorących udział w życiu danéj instytucyi. Dzieje reformacyi przekonywają nas, jak nawet w Małopolsce, w samém ognisku życia umysłowego XVI w., uzdolnienie do systematycznéj działalności zbiorowéj było mało rozwiniętém, jak podporządkowanie pewnéj grupy pojęć, uczuć, czynności, pod ogólnie przyjęte normy, systematyczne spełnianie dobrowolnie przyjętych zobowiązań było trudném dla małopolskiego szlachcica, podziwiającego pod tym względem, jako wzór niedościgniony organizacyą braci czeskich. Cóż dopiéro będzie, gdy w życiu publiczném wezmą udział setki tysięcy szlachty, któréj umysłów nie oświecały promienie humanizmu, nie uszlachetniały podniosłe aspiracye reformacyi, szlachty, która często nie przechodziła nawet téj praktycznie kształcącéj szkoły, jaką stanowiła wydoskonalona od paru wieków praca rolnicza.

Systematyczna praca umysłowa ma w XVI wieku przedstawicieli prawie wyłącznie w mieszczanach. Kopernik, Struś, Oczko, Kromer, Modrzewski, Gliczner, Heidenstein stwierdzają tę wszędzie

spotykaną łączność między systematycznością zajęć życia miejskiego (nauczycieli, lekarzy, kupców i przemysłowców), a uzdolnieniem jednostek do prac naukowych. W miarę tego jak nienormalny rozwój stosunków społecznych, ekonomicznych i życia politycznego stłumi pomyślny rozwój miast polskich, na wiele lat jeszcze przed wielkim kataklizmem połowy XVII wieku, życie umysłowe mieszczaństwa polskiego gasnąć będzie powoli i wyda ostatni swój błysk w grupie lwowskich poetów z początku XVII wieku. Rzecz naturalna, iż przetrwa ono i rozwijać się będzie daléj tam tylko, gdzie odrębne, pomyślne warunki zabezpieczą mieszczaństwu dobrobyt materyalny i umożebnią swobodne zaspokajanie potrzeb duchowych. Warunki te posiadać będą teraz jedynie miasta Prus (królewskich i książęcych), a w części niektóre z miast wielkopolskich. Gdy z jednéj strony wojna 3o-letnia wywoła napływ do Prus wschodnich a zapewne i zachodnich, zarówno uczącéj się młodzieży (do Królewca), jak i dojrzałych przedstawicieli inteligencyi niemieckiéj, szukających tu spokojnego kawałka chleba, to znowu wojny kozackie i szwedzkie, przez ruinę ostateczną miast i mieszczaństwa polskiego na całym obszarze Rzeczypospolitéj otworzą inteligencyi i przemysłowcom miast pruskich mnóstwo stanowisk do zajęcia tak dobrze w Warszawie, jak Poznaniu, Wilnie, Lublinie i mniejszych miastach. Zcudzoziemczenie a przeważnie zniemczenie miast polskich w XVIII w. poprzedzi znacznie tę falę niemiecką, która panowanie pruskie wprowadzi w końcu zeszłego stulecia. Przybysze ci jednak, nie mając sami poczucia swéj niemieckości, uważając się za Prusaków, albo téż Gdańszczan, Elblążan, Torunian i t. p., szybko dość zespalali się z nowymi siedzibami i społeczeństwem, które potrzebując ich usług, wynagradzało im hojnie pracę i uzdolnienia. Nietylko przemysł i handel lecz i życie umysłowe w miastach większych, zwłaszcza praca naukowa, zawdzięcza swe odrodzenie w połowie XVIII w. udziałowi tych prusko-niemieckich przybyszów i Polaków wychowanych w szkołach pruskich.

Chcąc bliżéj się zapoznać z życiem umysłowém w takiém ognisku, jakim był Królewiec, rozpatrzmy się w kolejach samego Pisańskiego.

Pierwszym pokarmem dziecięcych umysłów tak dobrze Kanta, Herdera, jak Pisańskiego — rówiennika Kanta i syna pastora, podobnie jak młodszy o 19 lat Herder — była grupa pojęć pietystycznych, zaszczepionych w domu rodzicielskim przez nasiąknięte niemi otoczenie i bogatą literaturę dziecinną w tym kierunku. Szkoła umacniając i rozwijając te pojęcia i uczucia, a wraz z niemi i na ich gruncie miłość i posłuszeństwo dla władzy, ujarzmiała popędy

wyobraźni i temperamentu, wdrażając do powagi systematycznéj zarówno w licznych praktykach religijnych, jak i studyach humanistycznych, zostających w dość ścisłym związku z teologią i owianych duchem pietyzmu.

Pisański urodził się w Piszu (Johannisburg) w 1725 r. Nazwisko świadczy o polskiém pochodzeniu rodziny, w któréj zapewne znajomość języka ojczystego utrzymywała się mimo braku uczuć polskich. Potęga pietyzmu służyła za wyborny cement spajający duchowo różnoplemienną ludność państwa pruskiego. Wzmagająca się kultura umysłowa pociągała umysły ku jéj ognisku królewieckiemu, w którém język niemiecki zaczyna rugować coraz więcéj łacinę z piśmiennictwa, przez co oświata ztąd szerzona prowadzi za sobą i mimowolne niemczenie. Pisański choć uważa się tylko za Prusaka, a za ojczyznę swą Prusy wschodnie, przejdzie w końcu życia od łaciny, którą się w pracach posługiwał, do niemczyzny.

Wpływ wychowania szkolnego był potężnym, bo zaczynało się ono niezmiernie wcześnie i zostawało w zupełnéj harmonii z wpływami domowemi. Od czwartego roku życia uczęszcza przyszły uczony do szkoły w Piszu i spędza w niéj 12-cie lat, następnie 1½ roku w Węgoborku (Angerburg), gdzie rektorem jest jego wuj pastor Helwing. Dziad Pisańskiego, proboszcz i badacz przyrody Andrzéj Helwing zaznajamia go z rozmaitemi gałęziami nauk i metodami badania. Od 1742 do 1748 studyuje na uniwersytecie w Królewcu, uposażony w szczupłe stypendyum (20 talarów). Przygotowując się do zawodu duchownego, słucha przedewszystkiém licznych wykładów teologii, a prócz tego studyuje filologią, matematykę, fizykę. Dni całe przesiaduje po bibliotekach publicznych i prywatnych i za przykładem swych mistrzów czyta i czyni systematyczne wyciągi i streszczenia. Wzorem i ideałem młodego studenta jest uczony teolog Lilienthal, który w swoich pracach (*Biblischer Archivarius* i t. p.) mógł wyliczać na tysiące dzieła, które przeczytał, by się posiłkować niemi w swych studyach. Większą część tych dzieł posiadał on w swym zbiorze.

Późniejsze koleje życia tego pobożnego móla książkowego przedstawiają tylko naturalny rozwój tych w części odziedziczonych zapewne, a w części wyrobionych przez wychowanie właściwości umysłowych i moralnych. Z pietyzmem ukazującym mu w każdéj zmianie w jego losach „palec Opatrzności“, zsyłającéj bez „wiedzy i przyczynienia się młodego teologa posady, awanse i odznaczenia, łączy on serwilistyczną uniżoność względem starszych, dobroduszną uprzejmość i łagodność w stosunkach z uczniami, niezmordowaną pracowitość, erudycyą popartą przez wybornie wyćwiczoną pamięć

i łatwość słowa, płynącego mu z ust „jak woda.“ Zacząwszy swój zawód od stanowiska młodszego nauczyciela w staromiejskiéj szkole w Królewcu, dotarł do katedry uniwersyteckiéj, na któréj mógł zwiększać swe różnokierunkowe oczytanie, gdyż wykłada tu cały kurs filozofii, łacińską retorykę, miewał odczyty z historyi powszechnéj, historyi Prus, a wreszcie uzyskawszy w 1773 r. stopień doktora teologii, wykłada encyklopedyą teologiczną, dogmatykę, etykę, historyą kościoła. Jest członkiem „królewskiego niemieckiego towarzystwa“ poetów królewieckich i spełnia funkcyą urzędowego wierszopisa, uświetniającego wszystkie szkolne, miejskie i krajowe obchody i wypadki łacińskiemi i niemieckiemi wierszami. Umiera w 1790 r. na stanowisku radcy konsystorskiego, uczczony okazałym pogrzebem. Pozostałość piśmiennicza obejmuje prócz 20 mów, 105 łacińskich i 55 niemieckich okolicznościowych poezyi, 108 prac uczonych. Najobszerniejszą i najważniejszą z nich jest owa Historya piśmiennictwa pruskiego, nad którą pracował około 30 lat. Najwybitniejszą cechę umysłowéj działalności kół, w których żył Pisański, stanowi kolekcyonowanie nie tyle namiętne ile wytrwałe, rozciągające się zarówno na wszelkiego rodzaju materyalne zabytki jak i na piśmienne świadectwa, obejmujące tak dobrze szczegóły z otaczającéj natury i dziejów własnego kraju jak i z odległych stron, czasów i ludów.

Ta forma pracy umysłowéj ma licznych przedstawicieli już w XVII w. Loeselius zbiera rośliny z okolic Królewca i kolekcyą swą (761 gatunków) opisuje w dziele: „*Plantae in Borussia sponte nascentes*“ (Królewiec 1654); Michał Titius zbiera również zielnik roślin pruskich i wydaje katalog roślin ogrodu książęcego w Królewcu (1). Bursztyn, jako specyalny produkt wybrzeży Baltyku, budzi zajęcie kolekcyonistów i uczonych pruskich, którzy mu poświęcają cały szereg rozpraw. Niejaki Hartman, lekarz i przyrodnik pruski, zgromadziwszy więcéj niż tysiąc różnorodnych okazów bursztynu, zbadawszy zarówno pokłady ziemi, w kopalniach tego produktu jak i warunki, w jakich bywa wyrzucany przez morze, pomieścił rezultaty swych obserwacyi w obszerném dziele, ogłoszoném 1677 r. we Frankfurcie.

Inni zbierają minerały, osobliwości natury, narzędzia fizyczne, i astronomiczne. Najznakomitszymi przedstawicielami pracy naukowéj śród mieszczaństwa miast pruskich i związanego z nimi ściśle niemiecko-polskiego mieszczaństwa zachodnio-północnego pogranicza Wielkopolski są: Jonston i Hewelius. Nieznajomość właściwych

(1) Współcześnie w Gdańsku (1652) wydaje Michał Bernitz, lekarz nadworny Jana Kazimierza, łaciński katalog roślin z ogrodów królewskich i okolic Warszawy.

metod badania i trudności w zbieraniu okazów w kraju, dość ubogo przez naturę wyposażonym, zwróciły zbieraczów i badaczów przeważnie ku kolekcyom i studyom opartym na piśmiennych źródłach i świadectwach. W pałacu książęcym istnieje biblióteka, któréj dał początek założyciel państwa ks. Albrecht. Bogate oprawy (srebrne blachy z wytłoczonemi ozdobami) pozostały świadectwem uznania tego księcia dla umysłowych skarbów, jakie w zbiorze swym zgromadził.

Następcy jego zwiększają ciągle ten zbiór i utrzymują stale bibliotekarzy. W XVII w. stanowisko to zajmuje między innemi Marcin Sylwester Grabe, późniejszy superintendent Pomorza. Zapalony ten biblioman i erudyt zebrał własny księgozbiór liczący 6000 książek. Wszystkie te dzieła przeczytał i zaopatrzył przypiskami objaśniającemi tekst, wskazującymi odnośne do danych miejsc źródła, powpisywał sądy krytyków o każdéj książce, poprostował błędy drukarskie i autorów. Między następcami jego spotykamy trzech z nazwiskami polskiemi: Grabovius, Kowalewski (1720—21) Gorajski (1725—66) a wreszcie wielką postać Immanuela Kanta (1766—71). Obok książęcéj istnieje bogata biblioteka uniwersytecka, liczne księgozbiory szkolne, kościelne, miejskie ciągle zbogacone i użytkowane. Najciekawszym jednak pojawem są liczne prywatne księgozbiory tworzone najczęściéj z pewną specyalną dążnością i planem. Szereg ich rozpoczynają zbiory rodziny Wallenrodtów. Kanclerz Marcin von Wallenrodt dał im początek zebrawszy do 3000 dzieł i rękopisów a przy tém wiele rozmaitych rzadkości. Choć pożar pochłonął to wszystko w 1623 r., mimo to na nowo zaczął on zbierać i prowadzenie dalsze téj pracy zalecił swym synom. Obok biblioteki powstały zbiory monet, medali, obrazów. Przy końcu XVII w. pomieszczono te zbiory w specyalnym lokalu, ustanowiono stałego nadzorcę a następnie otworzono je na użytek pracujących. Z długiego szeregu (36-u) opisanych przez Pisańskiego prywatnych księgozbiorów królewieckich wymienimy tu niektóre ważniejsze.

Samuel Ernest Tschepius, pod-bibliotekarz zbiorów Wallenrodta, zbiera przeważnie polskie rękopismy i książki, odnoszące się głównie do historyi polskiéj i nie szczędzi podróży, kosztów i korespondencyi dla zdobycia jakiejś rzadkości. Załuski, bawiąc w Królewcu, oglądał zbiory Tschepiusa i znalazł mnóstwo ksiąg, jakich nie posiadał i o jakich nawet nie wiedział. Rozmiłowany w swych rzadkościach zbieracz nie chciał sprzedać napierającemu się ich Załuskiemu, tymczasem pożar (1761 r.) zniszczył wraz z domem całą kolekcyą. Na podstawie swych zbiorów napisał Tschepius obszer-

ną rozprawę o bibliach polskich, pomieszczoną w „*Preussische Zehenden*“ wychodzących w Królewcu (1740—44). Stoben, adwokat przy akademii, posiada zbiór bogaty historyków polskich, radca miejski i handlowy Liedert († 1776) zbiór druków, rękopismów, dokumentów odnoszących się do historyi Prus, Polski, Kurlandyi i Inflant. Były tu rękopismy kronik, dyaryusze sejmów, zbiory listów, genealogie rodów szlacheckich i mieszczańskich, zbiór map, rycin herbów, monet i medali. Zbiór ten został rozprzedany po śmierci właściciela. Uczony teolog królewiecki, Michał Lilienthal, posiada zbiór, o którym tak się sam wyraża (w 1740 r.): Do wielu dobrodziejstw, któremi mnie, niegodnego sługę Bóg obsypał, zaliczam mój księgozbiór. Upłynęło już 30 lat, jakem za moich lat studenckich zaczął go tworzyć od pierwszego świstka. W czasie pobytu na akademiach zagranicznych i w podróżach pomnażałem ciągle to *apparatum* i w 1711 r. sprowadziłem do ojczyzny. Pierwotnie interesowała mnie literatura, filologia, krytyka, historya i inne *studia humanitatis...* Odkąd mnie niepojęty wyrok boski w 1715 r. wbrew moim zamiarom i przewidywaniom powołał na urząd predykanta, zacząłem zbierać księgi potrzebne dla swoich zajęć.“ Chcąc znać wszystko, co się do teologii ściągało, gromadzi z usilnością wszystkie ateistyczne, socyniańskie, naturalistyczne i wogóle zakazywane dla antyreligijnych poglądów książki. Cały ten zbiór opisuje on szczegółowo z podaniem wiadomości bibliograficznych, treści, oceny własnéj i sądów innych krytyków—w trzech oddzielnych dziełach: „*Biblisch exegetische Bibliothek*“ (1740) „*Theologische Bibliothek*“ (1741) i „*Fortgesetzte theologische Bibliothek* (1744). Jest on również wydawcą naukowego czasopisma: „*Erleutertes Preussen*“ (Królewiec 1723 do 1728, 8 tomów po 800 str.) zawierającego wiele prac odnoszących się do rzeczy polskich. Profesor teologii Salthemus ma 22,000 ksiąg, w tém 300 biblii, 1500 dzieł do wykładu biblii się odnoszących, 7,500 w dziale historyi kościelnéj i politycznéj. Rzadkości same w liczbie 3202 opisał on w obszernym drukowanym katalogu (1751 r. 21 ark.) podając o każdéj książce wiadomości, zdania i anegdoty. Prócz ksiąg miał zbiór rękopisów hebrajskich, arabskich, syryjskich starosłowiańskich, ruskich. Inny prof. teologii Quandt ma 8000, Moldenhawer, także profesor i teolog, ma do 3000 samych rzadkości. Zbiór ten zniszczył pożar w 1764 r. Nie zbywało też na księgozbiorach poświęconych naukom przyrodniczym i na zbiorach przyrodniczych. Zarówno duchowni i profesorowie jak miejscy dygnitarze zbierają zwierzęta, ptaki, ryby, owady, jaja, pióra, rogi, skóry, włosy, nasiona, owoce, próby drzew, minerałów, metali, soli, bursztyn a także narzędzia astronomiczne, fizyczne, mapy itp. Przy

podobnych warunkach znajdujemy podobnych ludzi z temi uzdolnieniami i upodobaniami w Gdańsku, Elblągu, Toruniu. Tym pracownikom zawdzięczamy utorowanie drogi, dla systematycznéj pracy nad dziejami i literaturą polską. Zacząwszy od Heidensteina, najświetniejszego przedstawiciela historyografii polskiéj w XVI wieku, spotykamy na początku XVII małéj wartości kompilatora Neugebauera, który na podstawie Kromera napisał po niemiecku historyą Polski (1611 r. 2 tomy), daléj Joachima Pastoriusa (Hirtenberg), którego „*Florus polonicus*“ (Gdańsk 1641) rozszedł się w licznych wydaniach po całéj Europie, Wassenberga historyka czasów Jana Kazimierza, wreszcie Hartknocha, który w obszernéj i gruntownéj pracy przedstawił cały układ polityczny Rzeczypospolitéj (*De republice Polonica. Jena* 1687 r.—1049 str.). Na początku XVIII w. wychodzi w Lipsku pierwsze zupełne wydanie kroniki Długosza a przy niéj i Kadłubka oraz pierwsza praca o historyografii polskiéj Samuela Hoppiusa „*De scriptoribus historiae polonicae*“, wydana pierwotnie w Gdańsku 1707 a powtórnie z poprawkami Walent. Schlifa rajcy i Gabryela Grodka prof. gdańskiego. Gdańsk i Elbląg stają się widownią gorliwéj pracy nad przeszłością polską i żarliwego zbierania zabytków téj przeszłości. Liczne księgozbiory umożebniają te prace. Godfryd Lengnich rozpoczyna w 1718 r. wydawać czasopismo „*Polnische Bibliothek*“ (10 zeszytów), poświęcone rozbiorowi dzieł odnoszących się do historyi Polski i Prus, a następnie ogłosi swą główną pracę: „*Historia polona a Lecho*“ (1740) i wyda kronikę Galla (Gdańsk 1754). Tu w 1740 r. wyjdzie pierwsza historya drukarni polskich przez Hofmanna prof. w Elblągu, tu Olof ogłosił w 1744 r. swą uczoną historyą poezyi religijnéj polskiéj: „*Polnische Liedergeschichte*“ a Ringeltaube kaznodzieja w Elblągu: „*Nachricht von den polnischen Bibeln*“. Jak szeregowi prac nad historyą polską możemy przeciwstawić dopiero dzieło Naruszewicza (1780 r.), tak licznemi dziełami Niemców, poświęcanemi bibliografii i literaturze polskiéj, możemy dopiero porównywać prace Bentkowskiego, Lelewela, Bandtkiego, bo Jabłonowskiego i Załuskiego (*Museum polonium i Bibliotheca poetarum*) przedstawiają się co do metody i układu bardzo niedołężnie a Janocki, mistrz bibliografii XVIII w., należy właściwie do grupy niemiecko-polskich uczonych.

Pośredni wpływ oświaty niemieckiéj możemy też upatrywać w fakcie, że pierwsi polscy samoistni pracownicy na polu nauki (Staszyc, Śniadeccy, Surowiecki) wychodzą ze sfer wielkopolskiego mieszczaństwa. Czacki, choć rodem z Wołynia, jest potomkiem staréj wielkopolskiéj rodziny i co ważniejsza, wychowuje się w Gdańsku. Jeżeli do powyższych nazwisk dołączymy Linde'go, Grodka,

Lelewela, Bandtków—to wyczerpiemy szereg wydatniejszych przedstawicieli metodycznéj pracy naukowéj w początkach jéj odrodzenia w pierwszych dziesiątkach naszego stulecia i stwierdzimy nietylko nazwiskami i pochodzeniem tych uczonych ale metodą ich pracy, wzorami i źródłami, jakiemi się posługują, przeważny wpływ nauki niemieckiéj. Tak więc nawet w zakresie pracy nad własnemi dziejami byliśmy i dotąd przeważnie jesteśmy uczniami Niemców, niemieckim uczonym zawdzięczamy dwa najgruntowniejsze na tém polu dzieła (Historyografia polska—Zeissberga i Dzieje Polski—Roepell-Caro). Historycy naszéj literatury zajmują się głównie uwydatnieniem wpływu, jaki na odrodzenie życia umysłowego wywarła w XVIII w. filozofia i literatura francuska. Wpływ ten, występujący tak wydatnie w utworach najznakomitszych poetów i publicystów a przytém w życiu, w obyczajach dworu i wyższych klas społeczeństwa, przyćmiewał swym blaskiem cichą pracę zbieraczów i szperaczów, działalność nauczycielską i naukową grona ludzi, którzy wystąpią na widownię wtedy dopiero, gdy zniknie dwór królewski i jego błyszczące otoczenie, gdy zamilkną publicyści a w części i poeci wraz z zamknięciem areny życia publicznego.

Historya literatury powinna wyznaczyć wpływowi niemieckiemu jako ważnemu czynnikowi w rozwoju naszego życia umysłowego w zeszłém i obecném stuleciu miejsce odpowiednie jego doniosłéj roli w naszém wykształceniu naukowém i owocom, jakie wydał w zakresie pracy nad naszą przeszłością.

Bronisław Chlebowski.





KOMISYA FIZYOGRAFICZNA
W KRAKOWIE.

Dwadzieścia lat minęło od chwili zawiązania w Krakowie Komisyi fizyograficznéj, t. j. towarzystwa, mającego na celu szczegółowe badanie stosunków przyrodniczych kraju. Od 1865 r. grono członków téj komisyi nie ustało w pracy, któréj owocem są bogate zbiory, obfite materyały naukowe i dwadzieścia tomów rozpraw, publikowanych jako „Materyały do fizyografii krajowéj.“ Doniosłość zadania komisyi powinna skłonić szerokie koło do zainteresowania się jéj losami, zaś ogrom dokonanéj już dziś pracy skłonił podpisanego do przedstawienia czytelnikom historyi wspomnianego towarzystwa i wyników działalności jego. Jak jest ona wielką, pojmie każdy, gdy porówna to, co dziś wiemy o ziemi naszéj, z tém, co wiedziano, a raczéj nie wiedziano o niéj przed laty dwudziestu.

Żywy ruch przyrodniczy, jaki znamionuje drugą połowę wieku oświecenia, wywołał natychmiast w Polsce szereg usiłowań, podjętych w celu poznania przyrody naszéj. Ale klęski domowe nie sprzyjały rozwojowi nauk. Najgorzéj pod tym względem działo się w Galicyi. Warszawa, Wilno, Krzemieniec kształciły młodych przyrodników, rozwijały u młodzieży poczucie potrzeby znajomości przyrodniczéj kraju. Inaczéj Galicya. Katedry uniwersytetów w Krakowie i Lwowie zajęte były przez Niemców, niemających sympatyi u uczniów i niestarających się o nią. A chociaż ten lub ów pracował na polu naukowém, to praca ta bywała zwykle niezupełną, niewykończoną, bo brakło w kraju muzeów, któreby gromadziły zbiory przyrodnicze, brakło naukowych towarzystw, rozwijających zamiłowanie do nauki, a popierających usiłowania nielicznych jednostek, brakło wreszcie téj swobody języka, która jeżeli nie zupeł-

nie konieczną, to jednak jest bardzo potrzebną do należytego rozwoju nauk.

Brakom tym dał poraz pierwszy najdobitniejszy wyraz Wincenty Pol. Za mało są znane zasługi W. Pola około rozbudzenia ruchu przyrodniczego w Galicyi, a rzucają one niezwykle sympatyczne światło na autora pieśni Janusza. Zachęca on jednych, popiera innych, stara się skupić wszystkich, którzyby badania przyrodnicze czynić chcieli, a sam jest przykładem dla nich, gdy z barometrem w ręku, w towarzystwie Łobarzewskiego, Altha lub swoich uczniów zwiedza te okolice Galicyi, o których wówczas nic nie wiedziała nauka, gdy w „obrazach z natury“ opisuje malowniczo nieznane góry i bory. Nie przyszło mu to bez trudu i przykrości, których doznał jak każdy nowator. Żali się on w jednym z listów do żony z 1840 roku: „Uważają mnie niektórzy literaci i nieliteraci za renegata, że pracuję w zawodzie nauk przyrodniczych i nasyłają na mnie nudne obywatelstwo, protestując przeciw pisaniu geografii, a żądając, żebym pisał wiersze; powiadają dziś, iż nauki przyrodnicze, mające jedynie na celu korzyść materyalną, są wstecz przeciwne i nieprzyjazne narodowym dążnościom.“ Nie zważa jednak na protesty, a czując gorąco, czego najbardziéj brakuje krajowi, podaje 1847 r. w *Czasopiśmie Biblioteki Ossolińskich* projekt założenia „Muzeum natury we Lwowie“, którego potrzebę gruntownie uzasadnia, kierunek badań wskazuje i zbiera w jedną całość wszystko, co dotychczas na polu fizyografii Galicyi zrobiono. Atoli śród wypadków 1848 r. zapomniano o projekcie Pola, a w latach następnych mniéj jeszcze, niż poprzednio widać było ruch przyrodniczy w naszéj prowincyi. Jeszcze w 1860 roku ówczesny prezes Towarzystwa naukowego, a dzisiejszy Akademii d-r J. Majer podnosi na publiczném zebraniu, że udziałem prac przyrodniczych była u nas dotąd „jeśli nie wzgarda, to lekceważenie.“

Tak nieprawidłowy stan rzeczy nie mógł być długotrwałym. W miarę coraz większych postępów nauk przyrodniczych i w miarę coraz szerszego krzewienia się oświaty zmienić się on musiał na lepsze. Zasługę przeprowadzenia téj zmiany na lepsze w Galicyi przyznać należy w znacznéj części trzem mężom: Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu, Franciszkowi Herbichowi i Józefowi Majerowi. Pierwszy z nich, słusznie mecenasem nauk zwany, jest twórcą Muzeum przyrodniczego we Lwowie. Myśl wypiastowaną przez Wincentego Pola doprowadził on do skutku własną pracą i majątkiem. Działalności dwu drugich zawdzięcza Komisya fizyograficzna swe istnienie.

Franciszek Herbich (ur. 1791), z pochodzenia wiedeńczyk, lekarz wojskowy, zwiedził ze swym pułkiem połowę Europy. Przerzu-

cany z Wiednia do Francyi, ztamtąd do Włoch, gdzie zwiedza 27 razy Wezuwiusz, przybywa 1825 roku do Galicyi, a stąd udaje się w 1834 do Czerniowiec. Pracowity, pełen nauki i zapału botanik starał się usilnie o rozbudzenie ruchu fizyograficznego w Galicyi. Aby dać miarę człowieka, wspomnę, że gdy mu chodziło o odszukanie jakiéj rzadszéj rośliny, własnoręcznie ją rysował, obszernie (na kilku nieraz kartkach) opisywał i setki takich rysunków i opisów rozsyłał po całym kraju. Dochodziły one księży, urzędników, aptekarzy, lekarzy, nauczycieli, wzywały do poszukiwań i często wydawały pożądane owoce. Ale nie wydawały tak wielkich i licznych, jak tego pragnął Herbich. Odwracano wtedy z niechęcią oczy od świata otaczającego, kusiła poezya, nęciła historya minionych a świetniejszych czasów. Na tę obojętność dla przyrody gorzko żalił się Herbich. W jednéj z takich kart, o jakich wspomniałem, opisał dokładnie sposób zbierania pewnéj rzadkiéj rośliny, wyraża jednak w końcu wątpienie, by kto zadał sobie tyle trudu. „W Galicyi kwitnie tylko historya, archeologia, poezya; dla przemysłu, dla nauk przyrodniczych nie mają tutaj, ani zmysłu, ani zamiłowania“ dodaje. A jednak zdołał pobudzić kilkunastu ludzi w różnych stronach Galicyi do badań miejscowéj flory, udzielał im pomocy naukowéj i sam korzystał z ich spostrzeżeń. Dodać przecież należy, że byli to w przeważnéj części osiadli u nas Niemcy. W 1855 r. przesiedlił się Herbich z Czerniowiec do Krakowa, rozszerzył koło swych współpracowników, pobudzał młodych adeptów nauki i wspierał ich swą pomocą.

W Krakowie istniało od 1816 r. *Towarzystwo naukowe*, początkowo z uniwersytetem związane. Dla nauk przyrodniczych nie uczyniło ono przez lata długie nic zupełnie. Dzieli to się na trzy oddziały: 1) oddział nauk moralnych, 2) sztuk i archeologii i 3) nauk przyrodniczych, ścisłych i lekarskich, ale oddział trzeci był śród nich „sierotą“, któréj nikt nie dawał pomocy i na którą nikt nie zważał. Tak było mniéj więcéj do roku 1860, t. j. do chwili, gdy po ustąpieniu kasztelana Franciszka Wężyka, prezesem Towarzystwa został ówczesny profesor fizyologii uniwersytetu Jagielońskiego, d-r J. Majer. Jego zasługą jest rozbudzenie ruchu przyrodniczego w Towarzystwie, które poprzednio było raczéj archeologiczném, aniżeli ogólnie naukowém. W programowéj mowie, wypowiedzianéj przy objęciu przewodnictwa dnia 25 lutego 1860 r. czytamy: „Zrozumiejmy to wreszcie, że gdzie nie przykłada się ręka do uprawy tego pola (t. j. przyrodniczego) nauk, tam zaciąga się ciężki dług wobec postępu oświaty, bo zostawia się próżnia w takiém właśnie miejscu, z ktorego ludzkość winna odnosić korzyści, ża-

dném inném wysileniem ducha zastąpić się niedające. Kraj nasz, jak gdyby wysilony zdobyciem się na kilka pierwszorzędnych potęg, pozostał w tyle, dał się o wiele prześcignąć postronnym i w otrętwieniu stracił niemal poczucie swego obowiązku."

Jedną z pierwszych myśli nowo obranego prezesa było wypracowanie „powszechnéj polskiéj ziemi fizyografii", a pierwszy krok ku temu celowi uczynił on sam, opracowaniem „Literatury fizyografii ziemi polskiéj" do roku 1861. Już w 1860 roku postanowiono utworzyć w łonie Towarzystwa komisyą pod nazwą fizyograficznéj, któréj zadaniem ma być „opisanie ziemi polskiéj pod względem wszelkich przyrodniczych własności, jako to: jéj położenia, topografii szczegółowych okolic, klimatu, stanu meteorologicznego, geologii, flory i fauny." Myśl jednak nie musiała być popularną, skoro kilku lat potrzeba było do jéj urzeczywistnienia. W 1863 r. składa F. Herbich projekt działań takiéj komisyi, ale czas był znowu źle dobrany, oczy i uwaga wszystkich zwrócone gdzieindziéj. O wniosku Herbicha przypomniano sobie dopiéro w 1865 roku, i uchwalono jednomyślnie utworzenie komisyi dla wspomnianego wyżéj celu. „Do składu tejże zaproszono tymczasowo członków Towarzystwa pp. Herbicha, Altha, Czerwiakowskiego, Czyrniańskiego, Sawiczewskiego, Karlińskiego, Kuczyńskiego i Żebrawskiego, zostawiając im wolność wybrania z pomiędzy siebie przewodniczącego i ułożenia porządku czynności, jaki za najwygodniejszy uznają, oraz zapraszania do udziału w posiedzeniach swoich osób do składu Tow. naukowego nienależących." Wspomniani członkowie Tow. naukowego zawiązali dnia 4 maja 1365 Komisyą fizyograficzną.

Pierwsze chwile rozwoju komisyi żywą budzą ciekawość. W protokółach ówczesnych posiedzeń, aktach i odezwach komisyi widzimy zapał, z jakim nieliczne grono badaczy starało się poruszyć i pozyskać dla swych celów ogół. Z drugiéj strony uwaga podtrzymana jest tą okolicznością, że kierunek nadany wtedy komisyi, zdecydował o przyszłych jéj losach, pomógł uzyskać wielkie stosunkowo wyniki, a z drugiéj stony krył już w sobie pewne nieprawidłowości, które komisyi dały się we znaki w następującém dwudziestoleciu i przeszkodziły osiągnięciu całkowitemu spodziewanych owoców.

Zrozumiano, że dla spełnienia szerokiego programu potrzeba ludzi i pieniędzy. Brakowało zaś jednych i drugich.

Za pomocą odezw publicznych zainteresowano ogół, za pomocą listów i zachęty prywatnéj wezwano do współpracownictwa wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób mogli być użyteczni. Wezwano nauczycieli, księży, lekarzy, aptekarzy, leśniczych, urzędni-

ków i właścicieli dóbr, a chociaż napotkano w niejednym wypadku jedynie odmowę, to jednak nie można się było żalić na obojętność. Na rozumne i serdeczne wezwanie do wspólnéj pracy dla dobra kraju liczni obywatele pośpieszyli ofiarować z dobrą wolą to, na co ich stać było. Po upływie roku miała już komisya 120 członków, rozrzuconych po wszystkich zakątkach Galicyi.

Pomyślano wtedy o podziale pracy i podzielono się na pięć odrębnych sekcyi, z których każda zajęła się badaniem innych stosunków kraju. Powstały sekcye: 1) orograficzno-geologiczna, 2) chemiczna, 3) meteorologiczna, 4) botaniczna, 5) zoologiczna.

Sekcye ułożyły sobie szczegółowe programata zajęć i wydały instrukcye dla swych członków. Zbierały się, ile razy zachodziła tego potrzeba, a na ogólném zebraniu komisyi, które odbywało się tylko raz lub dwa do roku, załatwiano jedynie sprawy całéj komisyi dotyczące, jak wybory prezesa i sekretarza, budżet i t. d. Wskutek urządzenia takich niezależnych od siebie sekcyi, historya komisyi jest właściwie sumą historyi pojedynczych sekcyi.

O pieniądze zwrócono się do sejmu we Lwowie. Wypracowany w tym celu memoryał wraz z prośbą przedłożył d-r Majer, wówczas poseł sejmowy, na posiedzeniu z dnia 10 lutego 1866, a już 28 marca t. r. zapadła następująca uchwała:

„Dla Komisyi fizyograficznéj w Krakowie przeznacza się stała aż do odwołania kwota 1,500 złr. rocznie, pod warunkiem, że z czynności komisyi ma być Wydziałowi krajowemu sprawa zdawana.“

Miała więc już komisya zapewnione współpracownictwo i zabezpieczony byt materyalny. To umożliwiło wydanie w 1867 roku pierwszego tomu Sprawozdań, mieszczącego w sobie oprócz instrukcyi dla badaczy, 19 prac naukowych i liczne spostrzeżenia meteorologiczne. Nie zobaczył go już F. Herbich zmarły 27 września 1865 roku.

Dalsza historya komisyi nie mieści w sobie epizodów burzliwych, ani czynów głośnych. Członkowie jéj nie ustają w pracy i rok rocznie pojawia się gruby tom, zawierający ich naukowe rozprawy. W dwudziestu tomach, jakie wyszły do dziś dnia, jest umieszczonych 256 rozpraw naukowych, nie licząc w to olbrzymiéj liczby spostrzeżeń meteorologicznych. Zbiory, przez dwadzieścia lat zgromadzone, dadzą się z trudnością tylko pomieścić w siedmiu dużych salach, zajmujących drugie piętro gmachu Akademii umiejętności i stanowią bogate Muzeum przyrodnicze polskie. Liczba członków zwiększała się coraz bardziéj i doszła w 1869 r. do poważnéj cyfry 255. W krótkim stosunkowo czasie zyskała komisya poparcie w kraju, uznanie za jego granicami.

Związana z Towarzystwem naukowém dzieliła jego losy. Jak wiadomo, zostało Towarzystwo zamienione 1872 r. reskryptem cesarskim na Akademią Umiejętności. Wskutek tego zamieniła się komisya dawniéj Towarzystwa nauk. w Komisyą Akademii (1873). Zmiana ta powiększyła znacznie fundusze komisyi, ale sprowadziła pewne zmiany w jéj ustroju. Znaczna część jéj członków nic nie czyniła dla osiągnięcia celów naukowych komisyi, dlatego uznano za potrzebne zmniejszyć ich liczbę, która wskutek tego w 1873 r. spadła do skromniejszéj cyfry 91. Późniejsze zmiany w zarządzie i programie komisyi są małoważne. W 1875 roku ułożono szczegółowy, a różny nieco od pierwszego „plan badania kraju (królestwa Galicyi i Lodomeryi, tudzież w. księstwa Krakowskiego)“. W 1878 utworzono „dla uproszczenia czynności i dla ułatwienia przewodniczącemu trudnych obowiązków“ komitet administracyjny, złożony z siedmiu członków. Wreszcie w 1883 r. ułożono nowy regulamin, określający szczegółowo cele i skład komisyi, oraz prawa jéj członków. Z tego regulaminu, obowiązującego do dziś dnia, podajemy niektóre szczegóły:

§ 1. Zadaniem Komisyi fizyograficznéj jest wszechstronne zbadanie i opisanie kraju pod względem fizyograficznym.

§ 2. Do tego celu zdąża komisya:

a) przez powiększenie istniejącego Muzeum fizyograficznego i opracowanie naukowe znajdującego się w niém materyału;

b) przez ogłaszanie spostrzeżeń fizyograficznych w swoich corocznych publikacyach;

c) przez udzielanie pracownikom na tém polu zasiłków pieniężnych i dostarczanie im odpowiednich środków naukowych;

d) przez staranie się o powiększenie biblioteki Akademii dziełami z zakresu fizyografii;

e) przez zakupywanie narzędzi do badań fizyograficznych służących.

§ 3. Komisya składa się:

a) z członków zwyczajnych wydziału mat. przyr. Akademii i

b) z członków nadzwyczajnych Akad. o ile takowi zobowiążą się do udziału w pracach komisyi, oraz

c) z członków przybranych z po za grona Akademii, których komisya przedstawia, a wydział mat. przyr. zatwierdza.

Reszta paragrafów regulaminu określa zakres działania posiedzeń komisyi, jéj sekcyi, komitetu administracyjnego i t. d.

Fundusze Komisyi ograniczone były początkowo do subwencyi sejmowéj w kwocie 1,500 złr. i skromnéj sumy zbieranéj ze sprzedaży Sprawozdań. Powiększyły się one z zamianą Towarzystwa

nauk. na Akademią. Wprawdzie cofnął wtedy sejm udzieloną jéj subwencyą, a raczéj włączył ją do subwencyi wypłacanéj Akademii w kwocie 10,000 złr. rocznie, a Komisya do r. 1876 istniała jedynie przy wsparciu udzielaném jéj przez Akademią, która w zamian za nie pobierała do swéj kasy dochody zebrane ze sprzedaży Sprawozdań komisyi. Ale już 26 maja 1875 zobowiązał się wysoki sejm wypłacać rocznie Komisyi 3,000 złr. do czego w 1878 r. przybył dodatek roczny 500 złr. na badania geologiczne przeznaczony. Akademia natomiast zmniejszyła wtedy udzielane Komisyi wsparcie.

W ciągu lat dwudziestu (1865—1885) wydała Komisya 76,045 złr. 91 kr. Kwota ta znalazła następujące umieszczenie:

Druk dwudziestu tomów sprawozdań	24,274 złr.	05 kr.
Wydatki na muzeum	11,157 „	21 „
Wydatki sekcyi	39,184 „	7 „

Reszta przypada na wydatki administracyjne.

Wydatki sekcyi rozkładają się w następujący sposób:

1. Sekcya meteorologiczna . .	5,669 złr.	41 kr.
2. Sekcya botaniczna	9,543 „	59 „
3. Sekcya zoologiczna	9,201 „	72 „
4. Sekcya geologiczna	14,689 „	37 „
5. Sekcya chemiczna	80 „	— „

Wspomniałem wyżéj, że w dwudziestu wydanych tomach Sprawozdań umieszczono 256 rozpraw fizyograficznéj treści, nie licząc w to spostrzeżeń meteorologicznych. Z tych rozpraw należy 89 do zakresu sekcyi botanicznéj, 102 do zoologicznéj, 33 do geologicznéj, 11 do chemicznéj, wreszcie 21 jest topograficznéj treści.

Dołączam tutaj tablicę, która wykazuje w jakich sferach ludności doznaje komisya poparcia.

Godność członków komisyi i autorów rozpraw pomieszczanych w jéj Sprawozdaniach	Między członkami komisyi było		Rozpraw umieścili w 20 tomach Sprawozdań
	1869	1885	
Profesorowie lub docentowie uniwersytetów, członkowie Akademii	21	30	42
Profesorowie szkół średnich	93	32	61
Nauczyciele szkół ludowych	6	2	10
Uczniowie lub asystenci uniwersytetu. .	6	7	53
Urzędnicy	34	20	18
Lekarze	16	3	8
Leśnicy	18	2	6
Inżynierzy	4	1	5
Aptekarze	10	0	4
Właściciele dóbr	28	7	4
Księża	32	9	4

Przechodzę do działań sekcyi.

Sekcya meteorologiczna. Celem jéj jest zgromadzenie materyałów potrzebnych do opracowania klimatologii Galicyi. Gromadziła ona spostrzeżenia meteorologiczne, fito i zoofenologiczne, stanu wód w rzekach, oraz magnetyczne.

Spostrzeżenia meteorologiczne dokonywane są na stacyach rozrzuconych po całym kraju. Przed utworzeniem komisyi istniało u nas takich stacyi siedm (w Krakowie, Lwowie, Białéj, Podegrodziu, Rzeszowie, Przemyślu i Tarnopolu), była to jednak zbyt mała liczba. Sekcya zmierzała do tego, aby na 25 mil kwadratowych, a gdyby to było możebne, na każde 10 mil znajdowała się jedna stacya. W pierwszym razie powinno się w Galicyi znajdować 62, w drugim 155 stacyi. Tak znacznéj liczby nie zdołała atoli Komisya do dziś dnia założyć, mimo to przyznać należy, że zrobiła bardzo wiele. W 1866 podała sekcya spostrzeżenia zebrane na 12 stacyach, 1868 liczba stacyi wzrosła do 22, w 1877 do 30, w 1885 do poważnéj cyfry 42.

Spostrzeżenia fito i zoofenologiczne są bezwarunkowo dotychczas za skąpe. W 1885 r. czyniono pierwsze w 10, drugie w 8 tylko miejscach. Mimo to dopomogły one już uczonym niemieckim do kreślenia odpowiednich map.

Spostrzeżenia stanu wód w rzekach Galicyi podaje obecnie Komisya z 40 punktów, rozmieszczonych nad 13 rzekami.

Spostrzeżeniom magnetycznym poświęciła Sekcya wiele uwagi i dobitnie wykazała ich wartość w programach swych zajęć. Żałować więc wypada, że oprócz Krakowa, Wieliczki i kilku spostrzeżeń o Tatrach nic więcéj w tym kierunku nie zrobiła.

Sekcya nie może się skarżyć na brak poparcia w kraju. Przeważna ilość stacyi zawdzięcza swe istnienie funduszom prywatnym swych kierowników, którzy sami lub za pośrednictwem Komisyi nabyli potrzebne do obserwacyi narzędzia. Niektóre miasta, jak Bochnia, Nowy Sącz, założyły u siebie stacye kosztem gminy. Toż samo zarządy kąpielowe w Iwoniczu i Krynicy. Obserwatorami są (w 1885 r.) przeważnie nauczyciele szkół ludowych (9 stacyi) lub średnich (9), urzędnicy poczt, telegrafów etc. (8), księża (6), w bardzo małéj liczbie właściciele dóbr (3), aptekarze (2), lekarze (1), Należałoby poczynić starania, aby stacye kolei żelaznych czyniły spostrzeżenia meteorologiczne.

Dzięki staraniom dr. Wierzbickiego umieszcza Komisya rok rocznie wiadomość o gradach spadłych w Galicyi. Przecież brak poparcia i dokładnych informacyi ze strony władz nie dozwoli jesz-

cze wykreślić dokładnéj karty szlaków gradowych w Galicyi. Wartość takich kart dla gospodarstwa oddawna uznano za granicą.

Przed dwoma laty ogłosiła Akademia nagrodę konkursową 1000 złr. za napisanie klimatologii Galicyi. Żądana praca będzie owocem dwudziestoletnich zabiegów sekcyi meteorologicznéj, mimo to wyczerpującą być dziś jeszcze nie może.

Sekcya botaniczna. Dzięki poszukiwaniom W. Bessera, A. Zawadzkiego, F. Herbicha, F. Berelana, roślinność jawnopłciowa Galicyi była już w chwili powstawania Komisyi w znacznym stopniu poznaną. I. Knapp zebrał 1872 r. wszystkie znane w tym kierunku spostrzeżenia jako „*Aufzaehlung der in Galizien und Bukowina bisher beobachteten Gefaesspflanzen*“. Pozostawało wiele jeszcze do zrobienia, a wypełnienie luk zawdzięczamy wspartym przez Komisyą poszukiwaniom dr. A. Rehmana, nieszczęśliwego Aleksandra Ślendzińskiego (1) i innych. Bogate materyały mogą już dziś służyć do opracowania flory roślin kwiatowych Galicyi. Nie tak dobrze poszło z badaniami innych grup roślin. Z pomiędzy 89 rozpraw botanicznych, umieszczonych w Sprawozdaniach Komisyi, nie ma ani jednéj (!) zajmującéj się grzybami, jedna dotyczy śluzowców, dwie glonów (algae), cztery porostów, siedm mchów i wątrobowców, a reszta, jako lwia część przypada na rośliny naczyniowe. Stan ten rzeczy jest sam przez się wskazówką, w jakim kierunku powinna sekcya w przyszłości działać. Opracowanie naukowe zebranego materyału roślin wyższych a zbieranie roślin niższych wypełni jéj najbliższe lata.

Nadto posiada Komisya bogata zbiory roślin litewskich I. Jundziłła i ukraińskich A. Andrzejowskiego (Detiuka).

Sekcya zoologiczna. To co powiedziałem o sekcyi botanicznéj, zaniedbującéj dotychczas badania ustrojów niższych, da się powtórzyć przy sekcyi zoologicznéj. Na 102 prac zoologicznych niema ani jednéj dotyczącéj pierwoszczaków lub robaków, jedna zajmuje się gąbczakami, 12 mięczakami, 78 członkonogami, 11 kręgowcami. Jest przecież w Komisyi zoologia o tyle w szczęśliwszém od botaniki położeniu, że fauna Galicyi doczekała się już w kilku kierunkach wyczerpujących studyów. Wspomnę takie dzieła, jak o kręgowcach i świeżo wydany atlas ryb prof. M. Nowickiego, o ptakach p. Taczanowskiego, chrząszczach i pluskwiakach p. M. Łomnickie-

---

(1) A. Ślendziński, litwin, brat malarza, zbierał rośliny koło Wilna i Charkowa, w 1873 botanizuje na Podolu, którego flory stał się w latach następnych pierwszorzędnym znawcą. Nie mając własnego majątku, robił za skromne zasiłki Komisyi długotrwałe wycieczki. które podkopały jego zdrowie. Umarł z nędzy w maju 1881 r.

7*

go, o mięczakach zmarłego niedawno Bąkowskiego, wreszcie znakomite studyum o gąbkach dr. A. Wierzejskiego.

Zbiory zoologiczne Komisyi nie są wyczerpujące, przedstawiają się jednak okazale dzięki darom hr. K. Wodzickiego. Jemu, zawdzięcza Komisya zbiór ptaków krajowych z 1160 okazów i zbiór jaj ptasich (okazów 2602). Jedną z największych ozdób muzeum jest zbiór gąbek, ofiarowany przez dr. Wierzejskiego, a wartością dorównają mu mniéj pozorne zbiory pająków (W. Kulczyńskiego) lub motyli drobnych (T. Żebrowskiego). Natomiast ssawców brak wielki, robaków, pierwoszczaków—zupełny.

Sekcya orograficzno-geologiczna ma szerszy od innych zakres działania, obejmuje bowiem badania topografii kraju, płodów jego mineralnych i stosunków geologicznych. Nienaturalne złączenie badań topograficznych i geologicznych w jednéj sekcyi musiało na jedne z nich oddziałać ujemnie. Przewodniczącym sekcyi w ciągu całych lat dwudziestu był geolog i téj okoliczności przypisać musimy mimowolne zaniedbanie topografii. Umieściła wprawdzie Komisya w swych rocznikach 26 rozpraw z tego działu, z tych jednak 23 zajmują się jedynie pomiarami barometrycznemi. Uznając braki topograficznéj znajomości Galicyi, postawił przed kilku miesiącami prof. Rostafiński, obecnie przewodniczący Komisyi, wniosek utworzenia odrębnéj sekcyi topograficznéj, wniosek ten atoli do dziś dnia nie został załatwiony, natomiast rozpisała Komisya konkurs na najlepszy opis topograficzny dowolnéj okolicy kraju i postanowiła go rok rocznie ponawiać.

Cały zapas sił i funduszów skierowała sekcya na badania geologiczne. Celem sekcyi było wykonanie dokładnéj mapy geologicznéj Galicyi i dokładnego opisu geologicznego. Zrobili w tym kierunku członkowie sekcyi bardzo wiele; wystarcza przypomnieć wyczerpujące prace A. Altha, S. Olszewskiego, S. Zaręcznego i innych. Ośmielę się jednak zauważyć, że wiele pracy, znacznemi funduszami uskutecznianéj, poszło na marne. Mimo postanowionego w pierwszéj zaraz chwili nakreślenia mapy geologicznéj, zabrano się do niéj dopiero w latach ostatnich. Poprzednio zadowalniano się mniéj lub więcéj dokładnemi sprawozdaniami z wycieczek. Znaczna część badań A. Altha została nadto wskutek śmierci tegoż zupełnie stracona dla nauki. Mimo późnego wieku starał on się zawsze przodować innym w pracy, każdego roku zwiedzał ze swymi asystentami pewne części kraju, robił notaty, ale choroba nie dozwoliła mu przygotować zebranych materyałów do użytku wszystkich. Liczne jednak prace, z ramienia i funduszów sekcyi przez niego przedsiębrane, drukowane po części w publikacyach Akademii Umiejętno-

ści, stanowią w wielu wypadkach podwaliny geologii Galicyi. Atlasu geologicznego pierwszy zeszyt, obejmujący 4 karty galicyjskiego Podola, opracowany przez A. Altha i F. Bieniasza, odbity w 1884 r., dostanie się zapewne już wkrótce do obiegu księgarskiego; zeszyt drugi, t. j. okolice naftonośne wschodnich Karpat, przez R. Zubera, jest w druku; zeszyt trzeci, t. j. wielkie księstwo Krakowskie, S. Zarącznego, wkrótce będzie drukowany.

Sekcya chemiczna mało dawała śladów życia. Nie był przyczyną tego brak materyalnego poparcia ze strony Komisyi, owszem plan z 1875 r. przyznawał rocznie na badania chemiczne 300 złr. Brak jednak chętnych pracowników sprawił, że z funduszów komisyi pobrała sekcya dotychczas zaledwie 80 złr. Prac przedłożyła do druku 11, z tych 7 zawiera rozbiory wód mineralnych, dwa wód studziennych, dwa płodów mineralnych.

Z nakreślonego wyżéj obrazu działań Komisyi pojmie czytelnik, jak bogate zdołała ona zgromadzić materyały do poznania przyrody naszéj. Ocenić umiemy jéj olbrzymie zasługi i uznajemy poświęcenie i pracę jéj kierowników. Mimo to niech mi wolno będzie, jako bliżéj obeznanemu z rzeczą i biorącemu pewien udział w jéj czynnościach, podnieść kilka nieprawidłowości, które według mnie przeszkadzały osiągnięciu większych naukowych korzyści.

Gdy F. Herbich podawał projekt założenia w Galicyi Towarzystwa fizyograficznego, to marzył o rozleglejszym programie dla niego. Pragnął na wzór obcy utworzyć w Krakowie towarzystwo o częstych naukowych zebraniach, którego członkowie mieliby sposobność na licznych posiedzeniach wymieniać swe wiadomości, wzajemnie się zbliżyć i pouczać. Rozumiał on, że towarzystwo, dające objawy prawdziwego naukowego życia częstemi a ożywionemi zgromadzeniami, musi oddziałać silnie i pomyślnie na rozwój nauki w kraju. Atoli zmieniono w tym punkcie projekt Herbicha; zamiast towarzystwa utworzono raczéj administracyjną komisyą dla wspierania prowadzonych w kraju badań. Było to wiele, ale nie było wszystko. Dobrowolnie pozbyto się korzyści skupienia naukowych sił i oddziaływania na kraj. A był to błąd wielki.

Grono współpracowników Komisyi nigdy liczne nie było. Przyczyną była ogólna niechęć do nauk przyrodniczych, do dziś dnia w Galicyi widoczna. Leżało więc w interesie Komisyi staranie o rozszerzenie koła nie tylko naukowych współpracowników, ale także interesujących się jéj pracami. Należało rozszerzać na prowincyi jak najbardziéj swe publikacye, rozsyłać je szkołom, zwiększać liczbę członków. Zapewne, że nie jeden z nich niby dla Ko-

misyi nie czynił, ale u innych znalezionoby jeżeli nie naukową pomoc, to chętnych ofiarodawców dla muzeum przyrodniczego. Zrozumiały to stowarzyszenia zagranicą działające i zwiększają liczbę członków do możliwych granic. W Węgrzech, gdy chodziło o zbadanie szkodników zboża i drzew, rozsyłano darmo w tysiącach numerów przyrodnicze pismo (entomologiczne), a nadto każdemu, kto podał jakąkolwiek wiadomość o szkodnikach ofiarowywano lupę. U nas zrobiono przeciwnie. Skorzystano z zamienienia Towarzystwa nauk. na Akademią, by liczbę członków Komisyi niemal do $1/3$ zmniejszyć. Skutki wykazały, jak sądzę, dostatecznie, że zbłądzono, zwłaszcza gdy wykreślania z listy członków dokonano tak pośpiesznie, że niejednego z wykreślonych musiano później powtórnie prosić o współpracownictwo.

Towarzystwo naukowe, w którém zawiązała się Komisya, wyraziło kilkakrotnie, że celem jéj jest „zbadanie fizyografii ziemi polskiéj.“ Dziwić się należy, dlaczego zapomniano później do tego stopnia o zakresie geograficznym działań Komisyi, że konsekwentnie ograniczono się do politycznych granic „Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z wielkiém księstwem Krakowskiém.“ Granice polityczne nie są zazwyczaj granicami naturalnemi, a zwłaszcza nie były takiemi w tym wypadku. Nienaturalne ograniczenie badań wpłynęło ujemnie na całość tychże, któréj brak obecnie geograficznego zaokrąglenia. Spodziewamy się, że w tym kierunku rozszerzy Komisya swe prace w przyszłości.

Rozległe cele Komisyi, względnie do pojedyńczych sekcyi wymagały trzymania się przy poszukiwaniach pewnego, z góry wytkniętego programu. Zarys takiego programu ułożono już w 1866 r. drugi raz w 1875, atoli nie trzymano się go w praktyce. Skutkiem tego są, jak wykazaliśmy wyżéj, znaczne luki w badaniach. Między okolicami dobrze zbadanemi kryją się inne niezbadane, obok grup roślin lub zwierząt dobrze zbadanych, inne są nietknięte.

Spotykała się Komisya niekiedy z zarzutem przewlekania spraw ważnych. Była w tym zarzucie pewna słuszność. Objaśnię to na przykładzie. Ś. p. F. Sulimierski zwrócił się do Komisyi z prośbą o pomoc przy zbieraniu materyałów do Słownika geograficznego. Komisya „wysadza“ z łona swego komitet i na tém się cała sprawa tak ważna kończy. Albo Zakład narodowy imienia Ossolińskich proponuje Komisyi odstąpienie ważnych zbiorów przyrodniczych. Znowu komitet, który po upływie dłuższego czasu przedkłada wnioski piśmiennie, a o sprawie zapomina później zupełnie. W ten sposób zaniedbano korzystać w wielu razach z nadarzających się sposobności.

Oto są uwagi, jakie nasuwa Komisya fizyograficzna i jéj dwudziestoletnia praca. *Z* rokiem 1886 rozpoczęła się nowa serya jéj wydawnictw, a poniekąd nowa era w jéj dziejach. Znaczne ożywienie, rozszerzenie programu zajęć, zaprowadzenie naukowych zgromadzeń miesięcznych są to reformy, które Komisya zawdzięcza dr. J. Rostafińskiemu, od 1886 roku swemu prezesowi. Nie zawiodą one oczekiwań, a już dziś wydają pożądane owoce. Spodziewać się można, że w nowéj seryi wydawnictw Komisyi znajdzie czytelnik nie tylko materyały do fizyografii kraju, ale to, co było marzeniem W. Pola, F. Herbicha, J. Majera, to jest „wyczerpujący obraz polskiéj przyrody."

Maryan Raciborski.





GENIUSZ I OBŁĄKANIE.

C. Lombroso: Geniusz i obłąkanie w związku z medycyną sądową, krytyką i historyą. Przełożył J. L. Popławski. (Wydawnictwo imienia T. T. Jeża). Warszawa 1887, 8-vo, str. 367 i 9 tablic litogr.

W ostatnim rozdziale swego dzieła powiada Lombroso: „Czy z przedstawionych faktów nie możnaby wyprowadzić słusznego wniosku, że genialność jest zawsze newrozą, rodzajem obłąkania?— Nie! Taki wniosek byłby błędnym. Między genialnymi ludźmi byli wprawdzie tacy, którzy potém dostali obłąkania, jak znowu między obłąkanymi tacy, którzy pod wpływem choroby wykazywali błyski geniuszu; ale chcieć wyprowadzić stąd wniosek, że wszyscy ludzie genialni muszą być obłąkanymi, znaczyłoby to przekręcać fakty. Są genialni szaleńcy i obłąkani geniusze, ale również było wielu i jest genialnych ludzi, którzy, oprócz pewnych anomalii wrażliwości, nie wykazują ani śladu choroby umysłowéj.“

Z wnioskiem tym trudno się nie zgodzić, chociaż nie wiemy, jaką drogą do niego autor doszedł. W całym bowiem ciągu swego dzieła wszędzie on mówi o analogiach istniejących między genialnością i obłąkaniem i nie pozwala ani na chwilę wątpić, że mówi bezwarunkowo, żadnego pod tym względem nie czyniąc wyjątku. Gdyby autorowi szło o wykazanie, że bywają obłąkani geniusze tak samo, jak i szaleńcy genialni, czyżby potrzebował przez całe sto stronic dowodzić, że między fizyologicznemi warunkami genialności, a patologią obłąkania jest wiele punktów stycznych. Wszystkie te styczne punkty usiłuje on wykazać szczegółowo, posługując się tak statystyką, jak i znanemi faktami z życia sławnych ludzi? I kiedy zdawało się, że wszystkie swe dowody skierowuje wyłącznie ku temu, ażeby wykazać, że nie masz geniuszu, w którymby nie było jakiejś dozy obłąkania, dowiadujemy się w końcu nie bez pewnego zdziwienia, że są genialni ludzie, którzy oprócz pewnych anomalii

wrażliwości, nie wykazują ani śladu choroby umysłowéj. Jeżeli znów owe anomalie wrażliwości mają być jedyną analogią, istniejącą między genialnością a obłąkaniem, to jakież znaczenie mają analogie, które autor wylicza skrupulatnie w pierwszych rozdziałach swego dzieła? Czy mają one oznaczać styczne punkty między obłąkanymi geniuszami i genialnymi szaleńcami? Ależ byłoby to pewnym rodzajem pedanteryi dowodzić rzeczy, która sama przez się jest jasna, a mianowicie, że obłąkanie, czy ono się zdarza u ludzi genialnych, czy u zwykłych, zachowuje zawsze te same charakterystyczne cechy.

Takie są sprzeczności, jakie się nastręczają na samym wstępie sprawozdania, które przedewszystkiém musi odpowiedzićć na pytanie: co stanowi założenie dzieła? Podobnych sprzeczności znajdziemy więcéj jeszcze.

W pierwszym rozdziale zastanawia się autor nad analogiami, istniejącemi między genialnością a obłąkaniem pod względem fizyologicznym. Wykrywa on, że ludzie genialni tak samo jak i obłąkani podlegają nierzadko dziwnym drganiom nerwowym i odznaczają się nieprawidłowemi ruchami. Dowodem tego są: Napoleon, Piotr W. Montesquieu, Lenau. Ależ w ten sposób możnaby dowieść, że i zwykli śmiertelnicy mają tę wspólność z genialnymi ludźmi. Jakiż stąd wniosek można wyprowadzić? Że Piotr, Jan i Paweł doznają drgawek nerwowych, mamyż ich dla tego uważać za geniuszów, albo za obłąkanych? We wszystkich tego rodzaju przykładach główną rzecz stanowi stosunek ilościowy. Gdyby autor wykazał że ludzie genialni częściéj podlegają drgawkom nerwowym, aniżeli zwyczajni, wniosek jego co do analogii i pod tym względem między genialnością a obłąkaniem byłby słusznym, że zaś tego nie uczynił, musimy twierdzenie jego zaliczyć do kategoryi błędów logicznych, zwanych pośpiesznem uogólnianiem.

Jako dowód, że ludzie genialni odznaczają się nieprawidłowemi ruchami, przytacza autor Buffona, który pewnego dnia, zagłębiony w myślach, wszedł na dzwonnicę i spuścił się z niéj po linie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, jak lunatyk. Przykład ten jeżeli czego dowodzi, to chyba roztargnienia, a bynajmniéj nie nieprawidłowości ruchów. To samo można powiedzićć i o innym przykładzie, za pomocą którego chce autor wykazać, że genialni ludzie odznaczają się często dziwną nieczułością na ból i wrażenia dotykowe. Na dowód tego cytuje Diderot'a, który zapominał odprawiać woźnicę najętego i musiał mu płacić za cały dzień oczekiwania, następnie Newtona, który pewnego razu zaczął przybijać popiół w fajce palcem swéj siostrzynicy i kiedy wychodził z pokoju po jaką

rzecz, to zawsze wracał bez niéj. Są to *qui pro quo*, które potrzeba zaliczyć chyba na karb pośpiechu. z jakim autor dzieło swe pisał.

W dalszym ciągu powiada Lombroso, że ludzie genialni bywają zwykle nieczuli na zimno, a tymczasem w następnym zaraz rozdziale podaje całą listę wielkich ludzi, którzy tak byli wrażliwi na chłód, że nieraz przez całe lato kazali opalać swe mieszkania, jak to czynili: Napoleon, Wolter i Buffon.

Utrzymując, że ludzie genialni tak samo, jak i obłąkani, pozostają przez całe życie samotnymi, obojętnymi na stosunki rodzinne i względy społeczne, dowodzi jednocześnie, że byli i są geniusze, w których miłość prawdy i piękna nie zagłuszyła miłości dla ojczyzny i rodziny. Co ciekawsza, że na stwierdzenie obu tych wręcz przeciwnych sobie zdań zacytowanym jest między innymi Michał Anioł.

Że ludzie genialni bywają zwykle obojętni na sprawy krajowe i stosunki rodzinne, dzieje się to podług autora w skutek prawa dynamicznego, rządzącego systemem nerwowym, mocą którego żaden śmiertelnik nie może bezkarnie zużyć pewnéj ilości siły, ażeby nie ponieść szkody pod innym względem. Melancholia, przygnębienie, bojaźliwość i egoizm—oto straszna zapłata za zużycie wspaniałych darów umysłowych. Z tém wszystkiém, skoro było i jest wielu genialnych ludzi, w których nie tylko miłość prawdy i piękna, ale nawet melancholia, jak tego dowodzi przykład Szecheny'ego, nie zagłuszyła miłości ojczyzny i rodziny; widoczna więc, że to prawo dynamizmu, karzące egoizmem zużycie sił umysłowych, nie jest powszechném, lecz dopuszcza bardzo liczne wyjątki.

Ten charakter warunkowy, odnoszący się właściwie do wyjątków, nie do większości, mają wszystkie w ogóle wywody autora, za pomocą których stara się dowieść, że takie to a takie analogie pod względem fizyologicznym zachodzą między genialnością, a obłąkaniem.

Podobnež sprzeczności i niekonsekwencye znajdujemy i w dalszych rozdziałach dzieła, poświęconych wykazaniu, że zjawiska meteorologiczne działają tak samo na ludzi genialnych, jak i na obłąkanych i że nie pozostają bez wpływu nawet na urodzenie geniuszów. Wprawdzie stara się w nich autor być ściślejszym i wywody swe opiera na statystycznych obliczeniach, wątpię jednakże, czy tego rodzaju statystycznym wyliczeniom można przyznać jakąś wartość naukową. Najprzód, statystyka chorób umysłowych, oparta jak dotąd wyłącznie na klinicznych obliczeniach, pozostawia wiele jeszcze do życzenia i można się nią posługiwać tylko z wielką oględnością; powtóre, wybrać z różnych epok i narodów kilkudziesięciu

poetów, artystów i uczonych, których twórczość objawiała się przeważnie w miesiącach letnich, nie znaczy to jeszcze układać tablicę statystyczną. Zdaje mi się, że wywody autora byłyby w takim razie tylko dokładnemi, gdyby się był ograniczył na jednéj jakiéjś epoce i wykazał, że wszyscy należący do niéj genialni ludzie przeważnie w letnich miesiącach mogli pracować skutecznie. Sposób, jakiego autor używa, pozostawia zawsze pytanie, czy ci, o których on nie wspomina, również tylko w ciepłych miesiącach doznawali twórczego natchnienia. Wątpliwość ta tém natrętniéj się nasuwa, że niektórzy z wymienionych geniuszów tak dobrze mogli pracować w lecie, jak i w zimie.

O wiele pewniejszemi są wnioski autora, oparte na wpływie rasy i dziedziczności na genialność i obłąkanie, zapewnie dlatego, że przedmiot ten stosunkowo więcéj jest opracowany. Rzeczywiście, spotykamy się tu z faktami, które, lubo nie stanowczo, przemawiają przecież w pewnym stopniu za analogią między genialnością a obłąkaniem. Do takich należy przedewszystkiém fakt, że w rodzinie ludzi genialnych bardzo często zdarzają się obłąkania, że pomiędzy dziećmi ich nierzadko bywają idyoci, że rasy bardziéj inteligentne, jak np. żydzi, dostarczają największy procent obłąkanych. Obok tych atoli analogii występuje i ważna różnica. Kiedy bowiem obłąkanie zawsze przechodzi dziedzicznie i to w stopniu spotęgowanym, to genialność w rzadkich tylko wypadkach dostaje się dzieciom w spadku i to w stopniu bardzo słabym.

W dalszych rozdziałach szuka autor potwierdzenia dla swéj zasady w tém, że jak z jednéj strony wielu genialnych ludzi cierpiało na obłąkanie, tak z drugiéj wielu obłąkanych staje się poetami i artystami dopiéro i tylko podczas choroby. Fakt ten tak samo jak i poprzednie rzeczy założonéj nie dowodzi. Nie o to tu bowiem idzie, czy geniusze podlegają obłąkaniu, ale o to, jaki zachodzi stosunek liczebny między obłąkanymi geniuszami a waryatami, do innych kategoryi należącymi. Powtóre, że ludzie zwykli pod wpływem obłąkania stają się nieraz poetami i artystami także niczego nie dowodzi, chyba téj prawdy fizyologicznéj, że wszelka czynność umysłowa staje się tém dzielniejszą, im bardziéj jest skupioną i im jest większym dopływ krwi do mózgu. Są to warunki, które geniusz znajduje w sobie gotowe, wrodzone; obłąkany zaś zawdzięcza je chwilowo patologicznym zmianom swego mózgu — częściowemu jego przekrwieniu i podnieceniu pewnych stron umysłowego życia, skutkiem czego powstaje mania, która wszystkim siłom umysłowym nadaje jeden jakiś kierunek, wyłączający wszelkie inne.

Wogóle rzeczy biorąc, zdaje mi się, że kwestya analogii między genialnością a obłąkaniem wtedy dopiéro da się stanowczo rozstrzygnąć, gdy zostanie dokładnie zbadana fizyologia genialności. Zanim to nastąpi, wszelkie dowodzenie za i przeciw mogą miéć, co najwięcéj, znaczenie prawdopodobieństwa, ale nigdy stanowczego dowodu. Ci, którzy genialność uważają za pewien rodzaj newrozy, wychodzą z tego założenia, że geniusz objawia zwykle brak równowagi w rozwoju umysłu, że obok nadmiernéj wybujałości jednych stron, dostrzega się w nich słaby rozwój innych. Podobnyż brak równowagi stanowi charakterystyczną cechę obłąkania.

Bądź-co-bądź, druga część dzieła, poświęcona objawom twórczości genialnéj, powstającym pod wpływem obłąkania, chociaż tak samo, jak i pierwsza, niczego nie dowodzi, opracowana jest z wielką znajomością rzeczy i zawiera tyle ciekawych i pouczających faktów i spostrzeżeń, że warto zapoznać się z niemi bliżéj. Autor nie ogranicza się tu na ogólnych charakterystykach, lecz dołącza do nich bądź sprawozdania urzędowe, bądź życiorysy obłąkańców, przez nich samych kreślone. Zamieszcza przytém ich utwory poetyckie i rysunki, które pozwalają nam wniknąć w wewnętrzny proces ich twórczości.

Rzecz prosta, że w szczegóły wdawać się nie będę, zakres sprawozdania na to nie pozwala. Poprzestać muszę na sumaryczném podaniu ważniejszych rezultatów, do jakich doprowadziły autora jego poszukiwania w tym kierunku.

Nadmieniłem już wyżéj, że nierzadko pod wpływem obłąkania ludzie, którzy przedtém niczem się nie odznaczali, niespodzianie objawiają niezwykłe zdolności. Już Arystoteles zauważył, że wskutek przypływu krwi do głowy podczas obłąkania wielu ludzi zostaje poetami, prorokami i wieszczbiarzami. Pewien Anglik, który będąc zdrowym, nie mógł zrobić prostego dodawania, gdy dostał obłąkania, stał się zdolnym matematykiem. Pewna znów dama, która w szpitalu obłąkanych okazywała talent poetycki, po wyzdrowieniu straciła go zupełnie.

Fakty te są bardzo ciekawe. W każdym razie pewném jest, że dotąd obłąkanie nikogo jeszcze nie zrobiło geniuszem w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu. Kto się nie urodził Dantem lub Michałem Aniołem, tego obłąkanie nie uczyni twórcą Boskiéj Komedyi lub Mojżesza.

Większa część poetów, spotykanych w zakładach dla obłąkanych, nie ma żadnego wykształcenia literackiego. Kształcą się oni i odbierają natchnienie dopiéro podczas choroby. Utwory ich odznaczają się ciągłemi sprzecznościami, nagłém przejściem od na-

stroju smutnego do wesołego, który nierzadko staje się nieprzyzwoitym. Wyszukana elegancya stylu łączy się w nich z niedorzeczną i bezładną gadaniną. Lecz co ich utwory najbardziéj cechuje, to oryginalność, dochodząca nieraz do absurdu i skłonność do ciągłego mówienia o sobie, do pisania autobiografii. Ciekawém jest, że obłąkani nie używają wyrażeń tak sztucznych jak przestępcy, ale za to mają szczególne upodobanie w wyrazach jednakowo lub podobnie brzmiących. Chętnie też wymyślają nowe wyrazy lub używanym odmienne nadają znaczenie.

Skłonność do malarstwa występuje prawie zawsze przy pewnych formach obłąkania. Rzadko bywa ona w związku z poprzedniemi zajęciami chorych. Wybór przedmiotu zależy głównie od rodzaju choroby. Monomani przedstawiają w swych rysunkach zwykle mniemane swe nieszczęścia i t. p. Jedną z najbardziéj charakterystycznych cech artystycznéj twórczości obłąkanych jest używanie znaków pisarskich razem z rysunkami, w tych zaś wielka obfitość symbolów i emblematów. Takie mieszane utwory przypominają malowidła japońskie, staro-indyjskie, tudzież ścienne obrazy starożytnych Egipcyan. Są one przeto objawem atawizmu, występującego pod wpływem obłąkania. Niektórzy z waryatów rysują wyłącznie arabeski i ornamenty, odznaczające się geometryczną prawidłowością form,—inni znów, szczególniéj dotknięci obłędem erotycznym, lubują się w rysowaniu postaci najnieprzyzwoitszych. W malarskich utworach waryatów uderza nas przedewszystkiém brak przejściowych odcieni w kolorycie, w rysunku zaś pomijanie najważniejszych nieraz szczegółów i nadawanie przedmiotom dziwacznych rozmiarów, albo też ogromną obfitość szczegółów przy zupełnym braku perspektywy.

Zdarza się, że zdolność do rysunku i malarstwa słabnie pod wpływem obłąkania u tych, którzy przedtém ją uprawiali; w każdym razie zdarza się to rzadziéj, aniżeli ze zdolnością muzykalną. Muzycy najczęściéj tracą zupełnie swą zdolność z objawieniem się w nich choroby umysłowéj. Jeżeli zaś grywają kiedy, to robią to machinalnie, powtarzając ciągle jedno i to samo. Za to bardzo często objawia się talent muzyczny u tych, którzy przed chorobą nigdy go nie zdradzali. Dzieje się to szczególniéj z melancholikami. Objaśnienia tego faktu należy szukać w zdaniu Spencera, że prawo rytmu jest najogólniejszą formą przejawiania się energii w całéj przyrodzie. Stąd właśnie pochodzi namiętne zamiłowanie do muzyki ludów pierwotnych. Człowiek bowiem tém łatwiéj poddaje się organicznym popędom, im mniéj powstrzymuje go rozsądek.

Zbadanie znamion artystycznéj twórczości u obłąkanych ważném jest nie tylko pod względem psychiatrycznym, ale i estetycznym. Wykazuje ono, że nadużywanie symbolów, obfitość drobnostkowych szczegółów, kwiecistość stylu, nienaturalna przewaga jednego jakiegoś koloru, lubowanie się w nieprzyzwoitościach, a nawet oryginalność posuniętą do przesady—należą do patologii sztuki.

Między obłąkanymi geniuszami, właściwymi waryatami i zdrowymi ludźmi pośrednie miejsce zajmują *mattoidzi*, zwani przez innych psychiatrów newropatykami, newrozykami i ludźmi z temperamentem obłąkanym. Można ich podzielić na cztery gatunki: na mattoidów zmysłowych, uczuciowych, intelektualnych, tudzież grafomanów i pieniaczów.

Do pierwszéj kategoryi należą na wpół histerycy i na wpół hipochondrycy, odznaczający się zazwyczaj nadczułością. Skłonni oni bywają do uniesień i nadużyć, oraz do dziwacznych wybryków płciowych. Doznają szczególnych sympatyi i antypatyi, zarówno jak i niczém nieusprawiedliwionych obaw. Jedni z nich przestrzegają nadzwyczajną czystość, drudzy znów lubują się w brudzie.

Mattoidzi uczuciowi albo moralni stanowią stopień przejściowy do wrodzonych zbrodniarzy. Są to egoiści bez przywiązania i litości dla innych, nienawidzący i unikający towarzystwa ludzkiego, lub, co gorsza, szukający sposobności, ażeby uczynić komuś źle, skazić i popchnąć na drogę występku. Próżni w najwyższym stopniu, dopuszczają się nieraz zbrodni dla tego tylko, ażeby pozyskać rozgłos.

Mattoidzi intelektualni są to owe niepohamowane gaduły, którzy prawią bez logicznego związku i dochodzą do wniosków przeciwnych swemu założeniu. Miewają oni dziwaczne fantazye, jak np. zliczyć kamienie brukowe na ulicy. Lubią popisywać się cytatami, używać obcych wyrazów i gadać ciągle o téj saméj rzeczy, bez względu na czas i osoby. Pomiędzy nimi a waryatami, szczególniéj dotkniętymi obłędem wielkości, nie masz wielkiéj różnicy, jakoż z najbłahszego powodu zapadają na obłąkanie.

Co się tyczy grafomana, to znamiennym jego rysem jest wygórowane przeświadczenie o swych zasługach, o swém znaczeniu. Zarozumiałość jego daleko silniéj występuje w pismach, aniżeli w mowie i uczynkach. Utwory grafomanów miewają zwykle tytuły długie i dziwaczne, odznaczają się stylem kwiecistym i grą wyrazów. Płodność ich bywa nadzwyczajną. Jeden z nich napisał 180 dzieł, z których jedno niedorzeczniejsze jest od drugiego. Kiedy obłąkani zajmują się przeważnie poezyą, to grafoman szczególniejszy ma pociąg do teologii i do nauk najbardziéj abstrakcyjnych,

a zarazem najmniéj ścisłych i wykończonych. Chwytają się oni zazwyczaj zagadnień dziwacznych, zawikłanych, niemożliwych do rozwiązania, jak np. kwadratura koła, albo téż modnych. Przekonania ich w piśmie wyrażone są głębokie, ale nie gorące—i o ile bywają niedorzecznemi w pisaniu, o tyle w rozmowie okazują się rozsądni i poważni. Właściwością grafomana jest wstrzemięźliwość, dochodząca nieraz do ascetyzmu, oraz obojętność na przeszkody i troski życia praktycznego. Temu to zapewne potrzeba przypisać ich przebiegłość i wyrachowanie w życiu codzienném.

Najszkodliwszą odmianą grafomana jest pieniacz, klęska sąsiadów i utrapienie urzędów sądowych. Mattoid tego rodzaju znanym jest powszechnie i zbyteczném byłoby wdawać się w dokładne jego określenie.

Stopień przejściowy od mattoidów zwykłych do gieniuszów stanowią mattoidzi genialni, odznaczający sie tém, że w dziełach ich obok myśli najgłębszych występują pomysły niedorzeczne, prawdziwie waryackie. Przeprowadzić granicę między nimi a prawdziwymi geniuszami nadzwyczaj trudno. Jako przykład cytuje autor A. Comte'a, Klementynę Royer, Fourier'a i Micheleta, którzy, podług niego, są mattoidami genialnymi.

Powyższe fakty pozwalają nam zrozumiéć, dla czego tak często wielkie postępy narodów w polityce i w religii były spowodowane, a przynajmniéj przedsięwzięte przez obłąkanych i wpół-obłąkanych. W nich bowiem z oryginalnością, właściwą geniuszom i waryatom, a bardziéj jeszcze tym, którzy są jednymi i drugimi razem, łączy się egzaltacya, zdolna podnieść uczucia altruistyczne do takiego stopnia, że poświęcają oni własne interesy, a nawet życie, byle tylko dać poznać nowe prawdy i skłonić masy do ich przyjęcia.

Rozumié się, że sami przez się nie stwarzają oni niczego, dają tylko ukrytym i przygotowanym przez czas prądem szybszy i wyraźniejszy ruch. Jeżeli ich ideje zbyt różnią się od poglądów panujących lub są zanadto niedorzeczne, upadają wraz ze swym autorem i przyczyniają się nieraz do jego zguby.

Wiadomo, że w wiekach starożytnych, tak samo jak dzisiaj u ludów barbarzyńskich i wśród ludności niewykształconéj, obłąkani cieszyli się wielkiém poważaniem. Uważano ich za wybrańców bożych, za pośrednictwem których bogowie swą wolę objawiali. Czemu przypisać to ich znaczenie? Oto téj jednéj okoliczności, że odznaczając się oryginalnością myśli i niezwykłą siłą woli, wprawiają masy w zdumienie i ujarzmiają je swą wyższością moralną; a to tém bardziéj, że występują przed nimi, jako zesłańcy niebios

i władcy świata, z tak silném przekonaniem, jakiém tylko teomania i obłęd wielkości mogą natchnąć. Przekonanie to, udzielając się masom, staje się źródłem epidemicznych obłędów tak religijnych, jako téż rewolucyjnych.

Wszyscy wielcy reformatorowie tak religijni, jak i polityczni, taki Luter, Fox, Savonarola, Lojola, Joanna d'Arc, miewali halucynacye i pod ich wpływem rozpoczynali swą propagandę.

Taka jest treść dzieła: Geniusz i Obłąkanie. Ostateczny wniosek, do jakiego autor w niém dochodzi, znany jest nam z tego, co o nim powiedziałem na początku niniejszego sprawozdania. Dla uzupełnienia go załączam kilka uwag autora, za pomocą których stara się on ściśléj określić swe zapatrywanie, dotyczące różnicy, jaka zachodzi między geniuszem prawdziwym, a chorym, czyli obłąkanym.

„Jeżeli zbadamy, powiada on, życie i dzieła tych wielkich, ale chorych umysłów, których sławą rozbrzmiewają dzieje, to przekonywamy się, że różnili się oni pod wieloma względami od tych geniuszów, którzy bez żadnych zboczeń przebiegli wspaniałą parabolę swego żywota.

„Geniusze obłąkani nie mają charakteru, owéj trwałości i jednolitości, jakie cechują ludzi prawdziwie genialnych. Geniusz posiada świadomość swéj siły, ceni się, ale nie ma téj pychy, jaka ogarnia umysły chore. U niektórych z tych nieszczęśliwych dziwnie wcześnie objawiają się genialne zdolności. Wielu z nich nadużywało narkotyków, albo środków upajających i po większéj części odznaczali się pewnemi nienormalnościami pod względem płciowym. Wewnętrzny niepokój zmusza ich do ciągłych podróży, do zmiany przedmiotów, któremi się zajmują. Żyją osamotnieni, unikają towarzystwa ludzi i pozostają obojętni i nieczuli na to, co zajmuje innych, jak gdyby oddychali odmienną, sobie tylko właściwą atmosferą. Ale za to, oddając się całą duszą swemu zajęciu, poszukując chciwie rozwiązania najtrudniejszych zagadnień, stają się oni prawdziwymi pionierami nauki. Prawie wszyscy oni byli dręczeni religijnemi wątpliwościami i zajmowali się bardzo wiele swojém ja. Wybitne rysy szaleństwa tego rodzaju geniuszów znajdujemy w samym układzie ich utworów, w ich stylu namiętnym i barwnym, w nielogicznych wnioskach, niedorzecznych sprzecznościach, a przedewszystkiém w nieludzkich i cudacznych fantazyach. Wielu z nich posiadało czaszki pojemne, ale kształtów nieprawidłowych i podobnie jak u obłąkanych, znajdywano u nich po śmierci poważne uszkodzenia ośrodków nerwowych. Lecz co najbardziéj cechuje anor-

malność umysłową tych ludzi, to niezwykłe natężenienie dwóch stanów przemiennych—podniecenia i wyczerpania. Jestto zresztą zjawisko fizyologiczne, właściwe wszystkim prawie wielkim umysłom, nawet zupełnie zdrowym."

Zauważę tu mimochodem, że skoro to zjawisko fizyologiczne jest właściwe wszystkim prawie umysłom, nawet zupełnie zdrowym, więc nie może ono najbardziéj cechować anormalności umysłów chorych.

„Jakaż różnica między niemi, a tymi wielkimi ludźmi, którzy pogodni, ufni w siebie, przebiegali drogę życia, których nie wzruszały nieszczęścia, nie wykoleiła namiętność!

„Takimi byli Spinoza, Bacon, Galileusz, Dante, Voltaire, Kolumb, Macchiaweli, Michał Anioł, Cavour. Nie ma między nimi ani jednego, któryby nie posiadał silnie, ale zarazem harmonijnie rozwiniętéj czaszki, co dowodzi siły myśli, okiełznanéj wolą potężną. W żadnym z nich miłość prawdy lub piękna nie zagłuszyły miłości ojczyzny i rodziny. Nigdy nie zmieniają swych przekonań i swego charakteru, nie zbaczają od celu, nie rzucają w połowie raz rozpoczętéj pracy. Ileż spójności, wiary, jasności wykazują oni w swych przedsięwzięciach, ile umiarkowania i jednolitości charakteru w życiu."

Przytoczyłem tę charakterystykę geniuszów zdrowych i chorych nie dla tego, żebym ją uważał za ścisłą, opartą na dokładném zbadaniu faktów, ale dla tego tylko, że uwydatnia ona ostateczną konkluzyą autora. Charakterystyka ta jest czysto idealną, wysnutą *à priori*, i przypomina nieco owe wzory etyczne, jakiemi moraliści usiłują zachęcić swych czytelników do cnoty. Gdyby przyszło podług niéj klasyfikować wszystkich znanych z historyi geniuszów, to zdaje mi się, że nie wielu z nich moglibyśmy zaliczyć do zdrowych. Gdyż i z pośród téj szczupłéj gromadki, których autor zalicza do zdrowych, bodaj czy nie należałoby wielu z nich umieścić pomiędzy geniuszami chorymi.

Do dzieła swego dołączył autor aż pięć dodatków, wyjaśniających bliżéj niektóre punkty zagadnienia, dotknięte w dziele, ale nie rozwinięte w sposób wyczerpujący, albo zawierających ciekawe dokumenty, jak np. dzienniki i pisma obłąkanych, literatura mattoidów, a nareszcie kopie rysunków obłąkanych.

Kończąc swe sprawozdanie o dziele Lombroso, muszę wyznać, że pomimo wszystkich sprzeczności, niedokładności, z jakiemi się w niém spotykamy, jest ono ze wszech miar ciekawe i nauczające.

Poruszając kwestyą ważną i rozpatrując ją z różnych stron, jakkolwiek jéj nie rozstrzyga, dostarcza jednakże do jéj rozwiązania wiele danych i pobudza do zastanowienia się nad nią. Napisane z życiem, daje się czytać z przyjemnością.

Co się tyczy samego tłómaczenia, jest ono poprawne, odznaczające się językiem czystym i stylem swobodnym. O dokładności zaś jego, nic powiedziéć nie mogę, gdyż nie znam oryginału.

Władysław Kozłowski.





ZASIEDLENIE UKRAINY.

Archiw jugo-zapadnoj Rossii. Cz. VII. T. I. Akty o zasielenii jugo-zapadnoj Rosii. Kijew 1886.

Doczekaliśmy się nakoniec zapowiadanego od lat kilku a z takiém upragnieniem oczekiwanego rozpoczęcia przez archeograficzną komisyą kijowską, wydawnictwa w „Archiwie południowo-zachodniéj Rossyi“ aktów dotyczących zasiedlenia Ukrainy. Wydanym został tymczasem tylko tom I-szy części VII-éj Archiwu, mającéj obejmować właśnie akty, dotyczące zasiedlenia południowo-zachodniéj Rosyi; lecz po nim ma nastąpić wnet drugi i t. d. Bogaty to bardzo materyał dziejowy; zebranie onego winniśmy prof. Włodzimierzowi Antonowiczowi. Tom ten I-szy zawiera w sobie akty poczynające się od końca wieku XIV (1386). Nie skorzystamy przecie obecnie z tych źródeł bezpośrednio, dopóki nie zostanie wydanym i tom II-gi. Zato nie możemy — na razie nawet— pominąć milczeniem wstępu, dołączonego do I-go tomu, w którym autor onego prof. Władimirskij-Budanow, wypowiadając swe poglądy ogólne, jako ostatni wyraz poglądów całéj historycznéj szkoły małoruskiéj, na sprawę kolonizacyi Ukrainy i znaczenie w niéj istotne żywiołu polskiego, uderza mocno na sposób zapatrywania się na tę kwestyą historyków naszych oraz na nasz osobisty.

We wstępie tym podaje autor treściwy zarys historyczny p. t. „Zasiedlenie południowo-zachodniéj Rosyi od połowy XIII-go do połowy XV-go wieku“, jako założenie pierwsze dalszych z czasem, bardziéj źródłowych badań. Lecz i to pominiemy. Na teraz dość będzie, gdy się ograniczymy na pierwszym ogólnym artykule tego wstępu, w którym szanowny profesor wypowiada teoretyczne, zasadowe, szersze i daleko sięgające poglądy; dość będzie—powiadamy,

gdyż tu potrąconym znajdujemy cały świat wielce poważnych etnologiczno-historycznych zagadnień.

Nie odstręczy to nas, gdy już na pierwszy rzut oka postrzegamy tu z pewną przykrością, jeśli nie ze zdumieniem, wyraźną tendencyjność, mniéj dziś zrozumiałą, przy powszechném podniesieniu się śród nas tonu, poważnie, objektywnie naukowego. Postrzegamy nastrój ku polemice podjazdowéj z dawną Polską i jéj obecną historyografią, nastrój przenikający i cały dalszy zarys autora. O wszystko tu mniejsza—byle tylko módz udowodnić nicości wpływu polskiego na zasiedlenie Rusi! Nie na żart téż wypowiadają nam znów oto walkę kijowscy badacze przeszłości Ukrainy — i na tém jeszcze, mniéj dotykaném dotąd polu. Pole to rozległe, żyzne, mało dotąd istotnie uprawiane a obiecujące zbiór obfity; czemuż przecie uczyniono je nowém pobojowiskiem, nie mających się właściwie już o co waśnić, pobratymców, jakiém niegdyś były dla ich rozsrożonych przeciw sobie wzajem przodków stepy bezbrzeżne! Lecz nie uprzedzajmy rzeczy. Owszem trzymajmy się wątku jéj przedstawienia przez samego autora wstępu.

Prof. Władimirskij-Budanow rozpoczyna swe uwagi od tezy ogólnéj, że „historya zasiedlania południowo-zachodniéj Rosyi przedstawia żywy i ważny interes dla wyświetlenia losów nie tylko téj dzielnicy ziemi ruskiéj, lecz i całéj Rosyi w jéj stosunku do świata wschodniego i zachodniego.“ Wyraźniéj mówiąc, historya ta posiada znakomitą wagę nie tylko pod względem dziejowym lecz i etnologicznym; rozstrzyga bowiem nieodwołalnie kwestyą — mniejsza, że na prawdę, zdaniem naszem, tak luźną—genezy saméj narodu mało-ruskiego. Dzięki więc takiéj, chociaż i mało pojmowanéj — przyznaje to z góry jednak autor — wadze przedmiotu powstały dwie teorye, jednostajnie krańcowe i wręcz sobie przeciwne.“

„Zdaniem jednych uczonych, ludność Rusi pułudniowéj nosi ślady widome żywiołu turańsktego (tursko-tatarskiego), co miało niby powstać skutkiem nieprzerwanego przez długie czasy przypływu plemion turskich do téj krainy w miarę wytępienia przez nich ludności starosławiańskiéj. Już w epoce starożytnéj (do połowy XIII wieku) nieprzerwany szereg zmieniających się wzajem wpływów Chozarów, Pieczyngów, Torków, Berendejów, Czarnych Kłobuków i Połowców miał z południa zwęzić terytoryum zaludnienia słowiańskiego i rozcieńczyć miejscowy żywioł etnograficzny znaczną domieszką krwi azyatyckiéj. Podbój tatarski dokonał owego szeregu zwycięstw turańskich nad europejską Rusią. W ten sposob, zdaniem tych uczonych, można niby wytłómaczyć wogóle wytworzenie się właściwości etnograficznych plemienia małoruskiego.“

Teoryą tę, „turańską", zbywa szan. profesor przecie dość krótko — względném przeczeniem, słuszném w zasadzie — by wystąpić zato tém energiczniéj i w pełném uzbrojeniu przeciw owéj drugiéj.

Oto „wręcz przeciwnie temu inni badacze—powiada on—osobliwie pisarze polscy, wychodząc z tego samego punktu spustoszenia Rusi południowéj przez Tatarów przychodzą do odwrotnego wniosku i twierdzą, jakoby w opustoszałéj krainie zjawiła się (od XIII w.) nowa etnograficzna indywidualność, mało mająca wspólnego z Rusią starożytną; osadnicy z zachodu, mianowicie z Polski, zmieszawszy się z resztą pierwotnéj ludności, wytworzyli niby zaczyn nowego plemienia, bardziéj zbliżonego do gałęzi lechickiéj niż ogólnie ruskiéj."

Na tém polega istota owéj teoryi — polskiéj niby *per excellenciam.*

Ależ, zdumieni sami, posłyszawszy tu raz pierwszy o niéj, wprawimy zapewne i szan. profesora w niemniejsze zdumienie, gdy mu z miejsca, dla usunięcia potrzeby i możności wszelkich dalszych wywodzeń i wnioskowań, odrazu zaręczymy, że nic podobnego do téj teoryi w piśmiennictwie naszém nie zjawiało się i wcale odszukać się nie da.

Najprzód nikt nigdy pomiędzy nami nie stawił, nie poruszał w jaki bądź sposób, kwestyi genezy etnicznéj narodu mało-ruskiego. Wśród nas nie mogła nawet taka kwestya powstać. Nikt nigdy nie wątpił, ażeby ci Rusini, którzy z „bat'kiem Bohdanem" podnieśli się byli srodze przeciw swoim Lachom, nie mieli być tym samym narodem, co ci, którzy z mądrym Jarosławem spotykali Lachów bolesławowych na Bugu. Nikomu nigdy z nas na myśl nie przychodziło, ażeby w ciągu kilku wieków pomiędzy temi faktami, miała się na Rusi południowéj, pod przemocą tych lub owych niezwalczonych wpływów, wytworzyć nowa etnograficzna indywidualność, mało mająca wspólnego z Rusią tam starożytną. Rusin południowy Jarosława i Rusin ukrainny Chmielnickiego był zawsze dla nas, jeśli nie takim samym, to zawsze tym samym Rusinem. Był dla nas tym samym Rusinem i ten, co recytował „Słowo o pułku Igora" i ten, co śpiewał nie mniéj smutną dumę o kniaziu Bohdanie Rużyńskim. Nikomu również na myśl nie przyszło twierdzić, jakoby skutkiem wpływu osadnictwa polskiego powstało na Rusi południowéj wogóle nowe plemie, bliższe gałęzi lechickiéj niż ruskiéj; a więc które się zupełnie oddaliło etnicznie od najbliższych swych pobratymców Biało-rusinów, co zdołali przechować czysty typ wschodnio-słowiański—ruski. Nie, na takie pomysły nie wpadaliśmy!

Co więcéj, do takiego stopnia myśmy lechityzmu w Rusi południowéj nie upatrywali, że nawet wśród niefortunnie zapędliwéj polemiki galicyjskiéj, nie przypominano pewno nigdy gorliwcom tamecznym ruskim tych Lachów, którym Rusowie dopiéro za Włodzimierza W. czerwieńskie grody zabrali. Nie przypominano, choć tak łatwo było dworować nad ich tam pierwobytnością, gdy trzeba było pierwéj, podług świadectwa Nestora, Lachów z posiadłości wyzuwać.

Ale przecie musi miéć poważny profesor kogoś na oku, przypuszczając ów atak na widmo, które podniósł aż na wyżynę „teoryi“ polskiéj. Musi być tu chyba jakieś *qui pro quo*, upowite w widoczną gmatwaninę nie mających z sobą bezpośredniego związku historycznych poglądów. Czyby nie o Duchińskiego przypadkiem tu chodziło i jego osławioną a rozgłośną tyle niegdyś na zachodzie teoryą? Ależ ten właśnie jest „turanistą“, a nadto nie w narodzie mało-ruskim turanizm upatruje. Co więcéj, zbyt już nawet czysto słowiańskim chce go widziéć. Teorya jego, lubo posunięta do paradoksalności, powstała z potrzeby wytłómaczenia naukowego etnologicznéj genezy zdobywającego ze zdumiewającą szybkością wszechświatowe znaczenie, potężnego narodu rosyjskiego. Tajemnicę jego potęgi upatrywał Duchiński w skrzyżowaniu się tylu różnorodnych plemion, które na wytworzenie typu wielkorosyjskiego się złożyły; podobnie jak inni etnologowie w takiejże przyczynie upatrywali zasadniczą podstawę potęgi rasy brytańskiéj. Zapatrując się na wielomilionowy naród rosyjski, ledwie nie przeważający liczebnie wszystkie staro-słowiańskie razem wzięte, za typ zupełnie zwarty w sobie, całkiem odrębny, równoważny z niejednym szczepem całym, nawet bez liczenia do typu tego Rusinów wszelakich, zatrzymywał fantastyczny etnograf tych ostatnich w grupie staro-sławiańskiéj, jaką przeciwstawił rosyjskiéj. W takiém etnologicznéın rozgrupowaniu Rusini—nie tylko południowi, lecz wszyscy razem, a więc i zachodni Krzywiczanie i północni Nowogrodzianie—jako Słowianie niezmieszani, okazywali się być oczywiście bardziéj bliskimi grupie lechickiéj i nawet każdéj innéj aryjskiéj — i tyle. Mniejsza już wcale, że sam Nestor znów najgłębiéj pomiędzy Czudy wdzierających się Wiatyczan z Radymiczanami podaje za Lachów. Ale nikt mniéj jak właśnie Duchiński nie posunął by się do przypisywania wpływom osadnictwa polskiego na Rusi południowéj wytworzenia tam nowéj etnograficznéj indywidualności, o tyle bliskiéj grupie lechickiéj, o ile oddaliła się ona od staro-ruskiéj. Nie zgadzałoby to się z jego doktryną. Lecz gdyby nawet i tak, wiadomo przecie, iż wśród nas Duchiński, dla swéj jednostronności i niena-

ukowéj wcale metody, powagi autorytetu nie posiada. Możliwe zaś ekstrawagancye, jakich niedowarzonych publicystów w rachunek tu zupełnie nie wchodzą.

Niema zatém wcale w piśmiennictwie naszém teoryi, jaką nam p. Władimirskij-Budanów przypisuje. Dwie tak wielce różne rzeczy, jak geneza nowego indywidualizmu etnicznego, geneza nowego narodu, a fakt względnego wpływu narodu na naród, drogą osadnictwa czy inną, nie dadzą się w tym razie zespolić. Wypadnie więc i nam w traktowaniu dalszém rzeczy te oddzielić.

Tymczasem, po takiém ogólném założeniu, autor wstępu, przechodząc daléj już ku sprawie saméj kolonizacyi, zaznacza, że „podług téj teoryi zasiedlenie Rusi siłami Polski zaczyna się od najdalszych kresów zachodnich ruskiéj ziemi; w XV w. było zakończoném zasiedlenie Rusi czerwonéj ze starém Wołyniem i Podolem; od końca XVI i w początku XVII w. doszła koléj do ukraińskich pustyń Rusi południowéj. Udział Polski w szybkiéj, prawie cudownéj kolonizacyi stepów południowych w XVI—XVII w. nie ogranicza się środkami rządowemi; tu właśnie działają jakoby plemienne (etnograficzne) siły Polski."

Nie „podług teoryi" jakiéjś, nieistniejącéj wśród nas, a oto tak istotnie my się zapatrujemy w zasadzie wszyscy — kto tylko przedmiotu tego badaniem dotykał — na charakter a zarazem geograficzny i chronologiczny porządek wpływu Polski na postęp kolonizacyi Rusi południowéj—krok po kroku, w ciągu stuleci! Przez Polskę rozumiemy, wśród bogatego urozmaicenia jéj dziejów ubiegłych, nie tylko dziedzinę szczupłą Piastów, ale i szeroką następnie Rzeczpospolitę. Przez siły zaś jéj, czynne w zasiedleniu Rusi, rozumiemy nie tylko działalność władzy zwierzchniczéj i jéj bezpośrednich organów, nie tylko zabiegliwość przewodniczącego stanu, wyprzedzającego nieraz władzę najwyższą w inicyatywie; ale nie mniéj i względny udział czynny i zasługi pracy krwawéj polskiego ludu. Zasługi tłumów ludu wolnego, nieodstraszenie w postaci drobnéj szlachty posuwającego się wciąż naprzód; zasługi rzemieślnika, cisnącego się do nowopowstających miast i miasteczek; pracę osadnika kmiecia, czasem nawet, acz rzadko, gromadnie sprowadzanego, a nawet pomiatające niebezpieczeństwy „zuchwalstwo" kmiecia—zbiega, rwącego pęta krępujące go w domu.

Tak my oto rozumiemy „siły" Polski.

Co zaś do udziału w osadnictwie samego ludu polskiego, takowy w kolonizacyi Rusi Czerwonéj niezaprzeczenie był znaczny, a niewątpliwy od końca XVI w. i w dalszych ziemiach ukrainnych, i nie w postaci zbiegostwa jedynie.

Nie ilustruje tego przytoczone przez szan. profesora osobiste nasze, przy okoliczności, wypowiedzenie się, że „prąd wychodztwa ku kresom ukrainnym na osady był tak niepowstrzymanym, że ziemie środkowéj Polski, z nieobliczoną stratą dla siebie, wprost pustoszały"; chociaż „starano się usilnie zaradzić zbytkowi złego, zakazując mnogiemi prawami sejmowemi zbieganie chłopów, stanowiąc surwe kary na każdego przywabiacza cudzych poddanych." (Źródła dziejowe t. V. — Starostwa ukrainne str. IX). Nie ilustruje należycie, powiadamy, ponieważ cytata powyższa, wyrwana z całości, dopełnia tylko ogólniejszy rzut oka na zapęd kolonizacyjny w końcu wieku XVI, wskazując i na zbiegostwo. Nie może więc téż służyć—jak chce p. Władimirskij-Budanow — „za wzorzec tego, jak należy rozumiéć myśl polskich pisarzy i o pierwotném zasiedleniu Rusi po spustoszeniu jéj przez Tatarów." Chociaż autor słusznie podkreślił wyrażenie „środkowéj Polski", gdyż właśnie wyrażenie to obejmuje téż i część ziemi z ludnością ruską.

Po zarysowaniu mniemanéj etnograficznéj teoryi polskiéj i związanego niby z nią ściśle ogólnego poglądu pisarzy polskich na sprawę kolonizacyi Rusi, przechodzi szanowny profesor do większych szczegółów.

„W swoim czasie — powiada on — Grabowski (Michał) pisał co następuje: Odebrane od dziczy azyatyckiéj i uwolnione od niéj pustynie Polacy powoli zasiedlili, zapewniwszy bezpieczeństwo Rusinom, pozostałym na swych pogorzeliskach, w lasach, błotach i zaroślach, oraz zachęciwszy rozproszonych po innych krajach do powrotu do ojczyzny. Było to powiedzianém prawie 30 lat temu; zdawało by się — robi uwagę daléj autor—że zdania, które i wtedy wyglądały jako przestarzałe, już nie będą powtarzane potém w literaturze polskiéj bez wszelkiego sprawdzenia i bez nowych uzasadnień. Jednak podobne poglądy nie przestają i dotąd być wypowiadanemi i, co dziwniejsza, właśnie przez takich uczonych, którzy dali pierwszy początek wydawnictwu cennych materyałów, prowadzących najoczywiściéj do wniosków przeciwnych. Tak poglądy Szajnochy i ks. Tad. Lubomirskiego powtórzone są w ogólnym zarysie przez Jabłonowskiego. Ten ostatni ma do czynienia z kolonizacyą ukrainnych pustyń ruskich w końcu XVI i na początku XVII wieku, nie zaś z pierwotném zasiedleniem środkowych części Rusi południowéj. jednak mimochodem i w krótkości powtarza ogólne poglądy polskich pisarzy na ten przedmiot, poglądy, które widocznie zamieniły się w aksyomat w naukowo-historycznéj literaturze polskiéj."

Poczém, jakby na udowodnienie, następuje cytata ze „Źródeł dziej." (t. V, Starostwa ukrainne str. VI, VII) téj oto treści:

„Po pogromie mongolskim, nie posiadała Ruś żadnych sił wcale do podźwignienia się i nie byłaby nigdy wstanie sama tego dokonać, Litwa zdołała ją obronić, ubezpieczyć na czas; ale nie mogła jéj podnieść, zaludnić, urządzić i ku europejskiéj cywilizacyi przychylić. Zadanie to historyczne przypadło na dział Polski, a będąc warunkiem przeważnym faktycznego ziem ruskich posiadania i posiadania tego moralném uprawnieniem, stało się z czasem jéj wysoką misyą dziejową. I zadanie to (dotąd), skutecznie i gorliwie, (była) ona pełniła.“

Tak tedy uderza p. Władimirskij-Budanow w pisarzy polskich zarzutem, że ci sobie stworzyli jakby aksyomat jaki w zapatrywaniu się na sprawę stanowiska Polski piastowskiéj i jéj ludu w dziele kolonizacyi Rusi i nie odstępują od niego, mimo gromadzących się wciąż coraz liczniejszych wyjaśnień, świadczących przeciw niezachwianości tego aksyomatu. Że mnie zaś wypadło dotykać téj rzeczy już po Szajnosze i Lubomirskim, w mojéj zatém uwadze ogólnéj, przytoczonéj wyżéj, widzi on jakby reasumpcyą zapatrywania się całéj niby polskiéj szkoły historycznéj—zapatrywania się, jego zdaniem, oczywiście błędnego.

Zarzutu mylności w zapatrywaniu się na tak ważny przedmiot, aksyomatu tu nie uzasadnionego nie mamy prawa oczywiście pozostawić bez odparcia. Tém bardziéj iż w owém zdaniu naszém nie ma ani odrobiny przesady, jaką by można było komu z badaczy u nas dawniéjszych zarzucić. Ale jest ono istotnie streszczeniem tego, co poważnie wśród nas o doniosłości oddziaływania w ubiegłych epokach Polski na Ruś wypowiedzianém zostało. Chociaż tedy ubiegło już dziesięć lat od sformułowania przytaczanego sądu, w ciągu których badania historyczne zrobiły nie jeden krok naprzód, przybyło niemało źródeł nowych, a tyle zawiłych i błędnych pojęć dało się sprostować; my przecie stoimy przy naszém zdaniu i odpierając zarzut mylności, gotowiśmy je bronić co do wszelkich jego odcieni nawet. A więc.

„Po pogromie mongolskim nie posiadała Ruś żadnych sił wcale do podźwignienia się i nie była by nigdy wstanie sama tego dokonać.“

Zostawmy na stronie wyglądający w tym razie akademicznie spór profesorów kijowskich, czy Ruś południowa przez Mongołów została spustoszoną zupełnie czy nie zupełnie, a więc czy potrzebowała lub nie przypływu świeżéj siły z zewnątrz dla podźwignięcia się. Z góry piszemy się na zdanie, że była ona zniszczoną nie zupełnie. Ale cóż ztąd? Rozprzężona całkowicie, nawet w każdéj z osobna grupie swych dzielnic (nie tylko kijowskiéj, po zdeptaniu Kijo-

wa, lecz i halicko-włodzimierskiéj), jeszcze przed przyjściem Mongołów, została ona przez nich doprowadzoną do ostatecznéj niemocy. Znane usiłowania Daniela ku wydźwignięciu jéj—toć to świadectwo tylko jego osobistéj dzielności i energii; a jego państwo ukrólestwione—toć to śmiały plan tylko, piękne zamierzenie, nie zaś dająca rękojmię nadal rzeczywistość. Szarpiące wnętrza społeczeństwa Rusi Czerwonéj możnowładztwo ogląda się wciąż ku zachodowi, ku Węgrom i Polsce, a całe obwody Podola, Wołynia, Polesia poddają się dobrowoinie Mongołom, Kijów sam na czas pewien staje się strażnicą tatarską. Najmniejszego poczucia solidarności jakiejś choćby pobliższych rodów dynastyi, najmniejszego poczucia żywego narodowości, w obecném znaczeniu tego wyrazu: jest zaledwie świadomość chaotyczna przynależności do jednéj dotąd „ruskiéj“ kultury; pojęcie odrębności etnicznéj Rusi południowéj ani świta jeszcze. Komuż tedy Ruś tę dźwignąć, gdy śród niéj saméj sił niema, nawet ród dzielnego Daniela wygasa. Obok Polski, co zajęła ziemie czerwieńskie, jedna potężniejąca na jéj rubieży północnéj, śród Krywiczan, Litwa chyba zdolna po temu!

Istotnie, część Rusi południowéj jéj w dziale przypadłą „Litwa zdołała obronić, ubezpieczyć na czas.“

Przyznają to chętnie i historycy ruscy, przyznają co należy rodowi Gedymina, Olgierdowi, Witoldowi, Koryatowiczom, Olelkowiczom; tém chętniéj, że nie widzą w nich panów obcych sobie, nawet w synu Biruty. Podoba im się jeszcze Litwa i jej kunigasy, przebaczają im zagarnięcie całej prawie Rusi starej—oni tak łatwo przyjmują jéj obyczaj, język, wschodnią wiarę. Ale niechno poczną ciż kunigasowie zwracać się ku zachodowi, ku katolicyzmowi, ku Polsce—to się im wnet praw po temu odmówi. Tymczasem nieodzowna to dla Litwy konieczność. Zagrożona przez krzyżackie zakony nie znajdując już ognia ożywczego w dogasającym zniczu i nie łudząc się co do rękojmi ocalenia swéj niepodległości przez przyjęcie powszechne obrządku wschodniego i zatonięcie w Rusi—musi ona szukać opory na słowiańskim zachodzie. Nie zdolna zatém sama sobie wystarczyć, oczywiście nie mogła też i Rusi południowéj—„podnieść, zaludnić, urządzić i ku europejskiéj cywilizacyi przychylić.“

Nic to nie uszczupla zasług Witolda, Koryatowiczów, Olelkowiczów względem Rusi, wcale nie zmniejsza doniosłości siły odrodczéj samego żywiołu małoruskiego na jego własnym gruncie. Ależ tém nie mniéj nieustanne pustoszenia Tatarów wywoływały potrzebę ciągłych a ciągłych wznawiań zaludnienia, nie tylko zaraz po strasznych odwiedzinach Mengli-gireja; wznawiań z bardziéj ludnych i mniéj narażonych na spustoszenia, a więc przeważniéj koronnych

ziem rzeszy Jagiellońskiéj. Co zaś do urządzenia kraju—wiadomo, iż w. księstwo litewskie dopiero po ściślejszém zespoleniu z Polską, jako państwowy porządny organizm urządzoném zostało; porządek zaś ten swój zaprowadziło w ziemi wołyńskiéj i po całéj Ukrainie. Drugą połowę ówczesnéj Rusi południowéj, połowę zachodnią tj. Ruś czerwoną Polska zupełnie bezpośrednio zagospodarowała. I ztamtąd to silniéj może, jak przez Litwę, posuwała ku stepom dnieprowym cywilizacyą europejską.

Wobec całkowitego rozprzężenia narodowego Rusi staréj w ogóle, wobec bierności panującéj nad nią przeważniéj Litwy— „zadanie to historyczne przypadło na dział Polski".— Któż temu zaprzeczy? Przecież nie z Węgier ani przez zakony krzyżackie szerzyło się po Rusi uspołecznienie europejskie!

Zadanie zaś to—„będąc warunkiem przeważnym faktycznego ziem ruskich posiadania i posiadania tego moralném uprawnieniem, stało się z czasem jéj wysoką misyą dziejową."

Rzeczywiście—pełnienie tego zadania było dla Polski moralnym obowiązkiem względem Rusi a zarazem misyą historyczną w obliczu wymagań tego wysokiego stanowiska, jakie koleje dziejowe dały jéj zająć—od czasu pierwszego nawet związku z Litwą— wśród ludów słowiańskich i we wschodniéj Europie wogóle.

„I zadanie to (dotąd), skutecznie i gorliwie, (była) ona pełniła."

Najniewątpliwiéj! — mimo najbardziéj stanowczego protestu szkoły, z jaką i autor wstępu do obecnego zbioru historycznych materyałów się solidaryzuje. Tak—„dotąd" tj. do końca prawie pierwszéj połowy XVII-go w., do którego sięgały „Lustracye królewszczyzn ziem ruskich", wydane w V-m tomie „Źródeł dziejowych," zkąd właśnie szan. profesor przytoczył ze wstępu pod tyt. „Starostwa ukrainne" powyższe nasze zdanie. „Dotąd"—powtarzamy, Polska należycie „była" pełniła owo zadanie. Pełniła—dopóki, jakeśmy tam zaznaczyli, wprowadzane przez nią tu porządki nowe, nie podtrzymywane odpowiednio spręźystą ręką władzy najwyższéj i organów jéj miejscowych, nie poczęły się wypaczać a następnie, zupełnie rozluźnione, nie wytrzymały strasznego wstrząśnienia, socyalnego, skutki którego zniweczyły na długo wytrwałą pracę kulturową epok poprzednich.

Poczém oczywiście, gdyby nam postawiono pytanie—czy Polska przecie spełniła ową swą misyą, czy spełniła, dzielnie a konsekwentnie, swe zadanie w ogóle względem Rusi? za całą odpowiedź wskazalibyśmy na fakt jedynie, że niestety straciła Ukrainę a potém rozprzężona wewnątrz do ostateczności, chwytając się zapóźno środ-

ków ratunku i sama upadła politycznie, jako Rzeczpospolita, nie spełniwszy misyi życiowéj nawet względem siebie.

I któż tu przeciw takiemu zapatrywaniu się ściśle historycznemu może coś zarzucić? Gdzie tu „teorya" z góry ułożona, gdzie „aksyomat" nieuzasadniony?

Ale inaczéj zaprawdę rzecz wypadnie, gdy się komu podoba w tłómaczeniu tekst nasz zmienić, wywracając zarazem najzupełniéj jego znaczenie! Gdy zamiast: „I zadanie to dotąd, skutecznie i gorliwie, była ona pełniła", poda się: „I etu zadaczu ona wypołniała tszczatielno i usierdno." Co za przeciwieństwo! W pierwszym razie mówi się jedynie w pewnéj określonéj epoce; w drugim zaś cios wymierzony, jakby sarkastycznie na potępienie bezwarunkowe misyi Polski, przez rozciągnięcie naszego sądu ogólnikowo na cały zakres samoistnego życia Rzpltéj. Nie posądzamy autora o umyślne podsuwanie innego znaczenia; skutek to prawdopodobnie niewczytania się tylko w tekst lub może i niedostatecznéj znajomości odcieni naszego języka. Zawsze to zmiana znaczenia radykalna; mniejsza, gdyby przeciwnik nasz z zasady, i w owéj epoce istotnego czynu, misyą Polski negował.

Tyle co do mnie osobiście. Nie ma jednak wątpliwości, że i dzisiejsi nasi badacze wogóle podobnież na ten przedmiot się zapatrują. Wprawdzie po owych nam zarzutach p. Władimirskij-Budanow dodaje, iż „z zadowoleniem winien zaznaczyć, że niektórzy z pisarzy polskich nie powtarzają już więcéj błędów swych współziomków." Ale nie domyślamy się, kogo z naszych najnowszych badaczy może mieć on w tym razie na względzie. Boć kto nie powtarza tylko sposobu widzenia swych poprzedników, nie dowodzi przez to jeszcze, iż go nie podziela; w takim razie musiałby wypowiedzieć i uzasadnić odmienne czy przeciwne zdanie swe własne,— a nic takiego przecie jeszcze wśród nas nie wypowiedziano.

Wogóle zaś odnośnie do dzisiejszych naszych badaczy parę słów jeszcze z szerszego zakresu dodać tu ośmielilibyśmy się. Nie o uwieńczenie naszéj przeszłości niezasłużonemi wawrzyny nam chodzi lub iść już tylko może: wcale siebie za pogrobowców nie mamy, nie poczuwamy w sobie potrzeby ekstaz epitafijnych, prawdy historycznéj chcemy poszukiwać — sami żywi — trzeźwo i bezobłudnie. Jaką ją znajdziemy, taką zapisujem — byśmy tylko, po jéj szczeblach, mogli zdobyć większą świadomość siebie w przeszłości, świadomość istotnego przebiegu życia zgasłéj Rzeczypospolitéj. Los jéj ostateczny sam wydał sąd o niéj. Ale nie umniejsza to wcale rzeczywistych jéj zasług cywilizacyjnych we wschodniéj Europie.

Lecz dzieje Rzpltéj ubiegłe — to dziedzina wspólna nam z Litwą i z Rusią—wspólne i sława i błędy. Złożonéj z tylu ludów zrzeszonych—historya jéj nie może być opowieścią życia jednego z nich tylko, choćby przewodniczącego, obok którego inne — niepodbijane—wyglądałyby jako ofiary podboju szczególniéj. Każdy z jéj ludów składowych zatém snuł niezaprzeczenie wogólnym pochodzie i własne swe dzieje, oddziaływając zarazem w ten lub inny sposób, w tym lub innym stopniu, na współzrzeszonych; ale tém nie mniéj brał udział czynny i w życiu ogólném zbiorowego społeczeństwa—jak Litwa tak i Ruś. Co do żywiołu małoruskiego—wywarł on nawet bardzo znaczny wpływ na rozwój ogólny Rzpltéj. Niewątpliwie było dużo ujemnego w tym wpływie Rusi; wskażmy tylko na rozpasanie jéj możnowładztwa, rozpasanie jéj kozaczyzny, starcie tych wzajemne, prowadzące do rozpasania ludu, bałamuconego nadto rozpasaniem walki hierarchicznéj, religijnością upozorowanéj. Ale nie mniéj widomy i wpływ jéj dodatni: naród mało-ruski bronił Rzeczypospolitéj długo własnemi piersiami, dał jéj ze swego łona tylu dzielnych męży, piśmiennictwu polskiemu tylu znakomitych pracowników.

To wszystko chętnie Rusi przyznajemy — i na trzeźwo. Nie ulegamy już bowiem owéj manii kozakowania fantastycznego, co nawiedzała jak zmora niedobra naszą poezyą, naszą literaturę i życie towarzyskie nawet, przez całe niedawne półwieku prawie. Nie posuniemy się pewno raz drugi aż do popisywania się w druku powtarzaniem takich niedowarzonych, o Ukrainie i Zaporożu, elukubracyi zadnieprskich ubiegłéj doby erudytów, jakiemi się popisywano u nas przed laty 30 jeszcze, przyprawiając je sentymentalném rozwodzeniem się, niby dla ekspiacyi ofiarnéj. Ale przyznamy wszystko, wpiszemy na karty historyi naszéj, cokolwiek dodatniego w oddziaływaniu Rusi na Polskę sami ruscy badacze więcéj nam wyświetlą. Lecz za to téż, niechże nam wolno będzie stanąć w obronie tego, co żywioł polski kiedykolwiek był wniósł i wnosi — na nieszczęście z własną stratą ostatecznie — dla Rusi.

Tak się zastrzegłszy, śmiało utrzymujemy daléj, że nawet to, co p. Władimirskij-Budanow rad nazywa „teoryą“ u naszych badaczy, nie jest przesadném, naciąganém, a cóż dopiéro obłędném.

Michała Grabowskiego możemy zostawić na stronie: publicysta to, estetyk bardziéj niż historyk. Zresztą zapatrywanie się jego, wypowiedziane temu lat 30, grzeszy przedewszystkiém nieokreślonością swą ogólną i byłoby zupełnie błędném, gdyby je chciano literalnie zastosować do jednéj wyraznéj epoki chronologicznéj, np. pomongolskiéj, w któréj Polacy ledwie na skrawku Rusi i to Rusi Czerwonéj mogli gospodarzyć.

Inaczéj rzecz ma się z Szajnochą i ks. T. Lubomirskim.

Szajnocha roztoczył wspaniały obraz pochodu osadniczego polskiego żywiołu w dwóch zarysach: „Zdobycze pługa polskiego“ (w „Szkicach histor.“) i „Kresy pogańskie“ (w „Dwa lata dziejów naszych“). W pierwszym, bardziéj w szczegółowe fakta obfitym, wykazuje on zdobycze rolnika polskiego, bez różnicy czy nim był mazowiecki szlachcic szaraczkowy, czy kmieć w Rusi Czerwonéj, od czasu jéj przyłączenia do Korony przez Kazimierza W. zdobycze faktyczne, trwałe, niezaprzeczone. W drugim—podboje dalsze, już na kresach, bardziéj inicyatywy i kapitału, bez względu na jego postać, aniżeli rąk polskich. Chociaż i tychże nigdy nie brakło, tak Zaporożu jak i sielskim térnbardziéj słobodom. W pewnych zaś epokach, jak np. w przełomie z wieku XVI na XVII, przypływ na Ruś dalszą żywiołu polskiego był nawet bardzo znaczny. Wogóle zaś odgrywały tu wciąż względną rolę, mniejszą lub większą, stosownie do miejscowości a czasu i—„plemienne, etnograficzne—jak to mianuje nasz przeciwnik — siły Polski.“

Ks. Lubomirski już systematyzuje pochód historyczny wpływu polskiego na osadnictwo i zaludnienie pustyń Rusi południowéj. Wypowiada się on najwybitniéj w następującéj uwadze: „Ciekawém też byłoby wyśledzenie postępowego zebrania się kapitału czysto-polskiego, od czasu założenia Kazimierzowskich spichlerzy na Wiśle, nabycia Spiża i Siewierza, spłacenia za Bełz ruski; aż do wpływu wywartego stanowczo na losy reszty krajów ruskich, przez tenże kapitał, który wzmagając się, niepowstrzymanie dążył do działania po za granicami miejsca zrodzenia się swego. Najprzód tedy przywrócił do życia małą i średnią uprawą Ruś Czerwoną, spotkawszy w niéj pola żyzne; od połowy XVI wieku przeniósł swe działanie w pustynie podolskie i bracławskie; na początku w. XVII zwrócił się w Kijowskie; koło połowy zaś tego stulecia przekroczył nawet Dniepr i t. d.“ (Wołoskie osady). Nie przypuszczamy jednak, aby w pochodzie tym, trochę może za systematycznie pojmowanym, widział ks. Lubomirski nie tyle rozszerzający się wpływ ekonomiczno-kulturowy Polski, ile bardziéj posuwanie się gromadne etnologicznego żywiołu polskiego.

Solidarne pojmowanie przez historyków polskich wogóle sprawy kolonizacyi Rusi przez Polskę zawiera się tedy nie tyle w wysuwaniu naprzód motywu etnicznego, tezy zaludnienia Rusi żywiołem polskim, ile w podnoszeniu motywu, że tak powiemy, moralnego, kulturowego, jak inicyatywa, przewodniczenie i dokonanie rzeczy faktyczne. Przez wyrażenie: „kolonizacya Rusi przez Polskę“ rozumieją nasi historycy najmniéj zaludnienie jéj przez lud

polski. Gra przecie motyw ten rolę przeważną w zakolonizowaniu w w. XIV najbliższych ziem ruskich — chełmskiéj, bełskiéj, przemyślskiéj i z kolei Rusi Czerwonéj wogóle. Na dalszéj zaś Rusi, tam tylko może być mowa o zaludnieniu polskiém, gdzie się ono faktycznie wskazuje, jak na Podolu starém, Polesiu i wszędy, gdzie ślady onego do dziś namacalne, wszędzie, gdzie rojne wychodźtwo drobno-szlacheckie dosięgało w niepowstrzymanym wciąż pochodzie swym ku Ukrainie. Moc, którego to wychodźtwa łatwo dziś w Kijowie ocenić, przyjrzawszy się etnograficznie choćby resztkom tego obecnym — przy okoliczności wprowadzenia w życie nakazu władzy najwyższéj uwłaszczenia czynszowników gubernii zachodnich Rosyi.

Jeszcze jedna uwaga. Traktując o kolonizacyi Rusi południowéj wyłącznie, zdawałoby się, iż używszy tak określonego terminu, jużeśmy się zabezpieczyli od wszelkiéj wątpliwości w każdorazowém stosowaniu téj nazwy. Tymczasem nazwa ta, tak już uspecyalizowana, tyle jeszcze jest rozciągliwą, w znaczeniu równie geograficzném jak i historyczném, że trzeba wielkiéj pilności w jéj stosowaniu, by się nie narazić samochcąc na czyjeś dowolne znaczenia jéj w danym razie rozumienie. Nie łatwo to nam przecie. Nazwy „Ruś południowa“ bowiem bardzo rzadko używamy, stawiąc wszędzie na jéj miejsce, ze starego przyzwyczajenia, nazwę prostą „Ruś“ bez określenia bliższego. Jakoż wystarcza to nam zupełnie, gdy Ruś krywicką, białą, ogólném mianem „Litwa“ pospolicie obejmujemy, a dla Rusi północnéj, wielkiéj, nazwę „Rosya“ w języku naszym od stulecia ustaliliśmy. Lecz znowu sam ten termin „Ruś“— mniejsza, iż go w potrzebie rozszerzamy aż do oznaczenia przezeń całego obszaru dziedzin Rurykowiczów, całéj grupy ludów ruskich, wszelkich wyznawców obrządku słowiańskiego we wschodniéj połaci Europy; najczęściéj my go bardziéj jeszcze zacieśniamy, stosując go tylko do Rusi Czerwonéj, dla nas „Rusi“ *per excellenciam*, jako najbliższéj nas z jéj dzielnic. Czego naturalném następstwem staje się, że chociaż my sami doskonale się rozumiemy, używając w przeróżnych znaczeniach tegoż wyrazu, ale zato wystawiamy się u obcych na zbyt łatwe z ich strony podsuwanie dowolne pożądanego dla nich znaczenia, choćby takowe było najwidoczniéj sprzeczném z myślą autora, takową wypowiadającego.

Wracając jeszcze do kwestyi pochodzenia — z dalszego wątku uwag profesora kijowskiego pokazuje się jednak, że wcale nie-polską teoryą co do genezy etnologicznéj narodu mało-ruskiego winien on był przeciwstawić turańskiéj. „Do pewnego stopnia podobne do polskich—powiada on w myśl swego głównego założenia—

zostały wypowiedziane poglądy na etnograficzny skład ludności południowo-zachodniéj Rosyi przez niektórych pisarzy rosyjskich. Tak, podług mniemania M. P. Pogodina, dzisiejsze właściwości plemienia mało-ruskiego nie mogą być inaczéj wytłómaczone, jak przez przypuszczenie, że w epoce Batego i wogóle tatarszczyzny cała starożytna ludność Rusi kijowskiéj została w części wytępiona, w części zaś wysiedliła się na północ Rosyi, na terytoryum przyszłego państwa moskiewskiego; że na jéj miejsce zjawiła się zupełnie nowa ludność z Karpat, która nie żyła pierwéj wspólném życiem z innemi plemionami ruskiemi, a ztąd różniąca się do tego czasu od reszty ruskiego narodu (wielko-rosyan); nowa ludność Ukrainy nie ma nic wspólnego ze starożytném plemieniem Polan zamieszkujących krainę kijowską do Tatarów. Chociaż Pogodin, dodaje szan. profesor, mówi o ludności Ukrainy, lecz cel jego teoryi— wytłómaczenie etnograficznych właściwości całego plemienia mało-ruskiego, z konieczności zmusza do rozszerzenia zakresu zastosowania jego teoryi."

To więc jest prędzéj teoryą etnograficzną przeciwległą turańskiéj, nie zaś poglądy pisarzy polskich, dotyczące innego rodzaju wpływów na Ruś.

W literaturze rosyjskiéj pierwszy, co zajmował się kwestyą kolonizacyi Rusi południowéj, był profesor uniwersytetu kijowskiego Maksymowicz, pobudzony ku temu ową paradoksalną teoryą Pogodina. Odparł on ten „pseudo-uczony najazd", jak nie mniéj i podobnéjże wartości, choć innego całkiem rodzaju, pogląd Grabowskiego; lecz samego przedmiotu nie badał. Nie badał go i daléj wśród uczonych ruskich nikt specyalnie; chociaż cząstkowo, powiada p. Władimirskij-Budanów, dotykało go wielu, jak w pracach ogólnie historycznych, tak i poszukiwaniach oddzielnych, poświęconych innym pytaniom. Nam znana bliżéj „Kolonizacya pustyń" Kulisza w jego historyi Rusi.

Jakkolwiek przecie badania uczonych ruskich nie obejmują — ciągnie daléj autor — pytania o zasiedleniu południowo-zachodniéj Rusi, ani co do przestrzeni, ani co do czasu; lecz zdobyli oni już kilka niewzruszonych danych, które—dopełnione wnioskami otrzymanemi z wydawanych właśnie materyałów historycznych — dadzą się sprowadzić do następnych punktów ogólnego schematu:

„1. Spustoszenie kraju przez Tatarów wcale nie było zupełném."

Jedną wszakże musimy tu dodać uwagę, że lubo spustoszenie to, którego straszne, okropnością tragiczne obrazy, oświetlili nam nowsi badacze jeszcze jaskrawiéj, nie było wcale zupełném; w każ-

dym razie jednak, przy nieprzerwanych razziach, nigdy Ruś południowa nie była w stanie tak swe straty zażywić, aby nie potrzebować już zasiłku osadniczego z zewnątrz.

„2. Nowe zasiedlenie środkowych części (Wołynia i Halicza) po spustoszeniu przez Batego w XIII w. odbyło się w tym czasie, kiedy Polska nie mogła mieć na to najmniejszego wpływu, gdyż istniało tu wtedy niezależne państwo ruskie Daniela i jego następców. Pomimo powtarzających się najść Tatarów, zasiedlenie przywróconém zostało własnemi siłami narodu ruskiego (z nieznaczącą przymieszką innorodców) w sposób podobny, jak jednocześnie takież przywrócenie zasiedlenia odbyło się w Rusi północno-wschodniéj. Jako główni kolonizatorowie w téj sprawie występują oni sami książęta halicko-włodzimierscy.“

Nikt téż z polskich historyków (o publicystach frazeologach nie ma mowy) o wpływie Polski na wznowienie zasiedlenia Rusi w owéj epoce nic nie powiada. Nikt nie przywiązuje zbytecznego znaczenia do takiego świadectwa, jak owo, że już do Daniela cisnęli się „naroczytii bojare i inyje Lachowie.“

„3. W pierwszéj połowie w. XIV terytoryum południowo-zachodnich księstw ruskich rozpadło się pomiędzy dwa państwa: litewskie i polskie. W pierwszém zasiedlenie południowych kresów (kijowskich i podolskich) przywróconém zostało w tych granicach, w jakich ono istniało do zaboru tatarskiego i po części posuniętém daléj w stepy ku morzu Czarnemu, dzięki energii książąt litewskich z domu Gedymina“... „Jakkolwiek téż i w początku XV w. Ruś południowa wielokrotnie była pustoszoną na nowo przez Tatarów, lecz zasiedlenie jéj było przywracaném w tymże obrębie (do najścia Mengligireja 1482) bez wszelkiéj ze strony Polski pomocy. Książęta litewscy istotnie obronili południowe kresy ziem ruskich i posunęli naprzód nie litewską lecz ruską kolonizacyą, przyswajając sami bardzo prędko narodowość ruską. Przeciwnie w stepach kresowych Rusi Czerwonéj tj. części Podola, zagarniętéj przez Polaków, nie widać żadnych postępów kolonizacyi; tam rozdawane są polskiéj szlachcie po większéj części gotowe zaludnione dobra“.

Sama Ruś Czerwona, przemożna część ówczesnéj Rusi południowéj, zasiedlana właśnie w téj epoce przez żywioł polski, jak widzimy, nie wchodzi w zakres *schematu*. A jednak w niéj właśnie i właśnie w owéj epoce historycy polscy wskazują zasługi swego narodu. Ominięte przez Mongołów Mazowsze, zaoszczędzone, a z powodu wyjątkowego swego rozwoju, tłumnie rojne swym wolnym ludem, zostawało z powodu węzłów pokrewieństwa książąt w bliższych niż inne dzielnice Polski z Rusią Czerwoną stosunkach. Po

wygaśnięciu rodu Daniela jeden z książąt mazowieckich zostaje nawet panem Rusi i rozwiera wychodztwu mazowieckiemu wierzeje na oścież. A daléj idą już owe „zdobycze pługa polskiego,“ tak obrazowo skreślone przez Szajnochę. Pustynie, uroczyska, ziemie „na surowym korzeniu,“ rozdawane na Podolu, wcale téż nie świadczą, żeby były w chwili nadania osiedlone: pełno ich jeszcze i na początku XVII w. (Źr. dz. t. V). Wszystko to zaś razem wzięte zmienia postać rzeczy: żywioł polski czynnie przykłada ręki do podniesienia ekonomicznego bliższéj siebie Rusi; przemilczenie o tém faktu nie usuwa.

„4. W 1482 i następnych latach zaszło powtórne ogromne spustoszenie prawie całego terytoryum południowo-zachodniéj Rusi, osobliwie zaś okolic kresowych ziemi kijowskiéj; tutaj ocalały jedne prawie miejsca obronne i osady dokoła zamków. Pustynia, jaka skutkiem tego zaszła, trwała następnie i w pierwszéj połowie XVI w. Lecz z nowém tém spustoszeniem styka się początek odwrotnego ruchu agresyjnego narodowości ruskiéj na stepy tatarskie w postaci kozactwa dnieprowskiego i bożskiego. Zjawisko to jest samodzielną próbą ludności ruskiéj ubezpieczenia nakoniec swego terytoryum od najazdów z południa—próba, przedsięwzięta wbrew celom politycznym państwa litewskiego. Kozactwo samo w sobie jest zjawiskiem narodowo-ruskiém; skład kozackich towarzystw nie jest to stek ludzi wszelkiéj narodowości; główniejszego jego kontyngensu dostarcza Wołyń, Polesie, Siewierszczyzna i Białoruś, w części ziemie północno-ruskie (państwo moskiewskie), lecz nie Polska. Sąsiednie ziemie polskie, przeciwnie, odciągały kolonizacyą od stepów ku sobie, tak że dostrzegać się daje ruch odwrotny ludności ruskiéj ku Polsce.“

Po wielkiém spustoszeniu Mengli-gireja osadnictwo polskie z tém większą siłą posuwało się ku Podolowi—nie przekraczając jeszcze jego granicy od stepów. Dosyć tu wspomniéć zabiegliwość osadniczą królowéj Bony w Krzemieńcu i Barze. U kolebki kozaczyzny Polacy nie byli—to prawda; ale wprędce poczęli sami jéj niańczyć. Ziemie szczero-polskie nie odciągają wcale kolonizacyi od stepów ku sobie—słabe tylko tego ślady w Mało-polsce właściwéj dostrzedz by się dały. Gdzie zaś szan. profesor dopatrzył wyraźniejszy ruch odwrotny ludności ruskiéj ku Polsce, tego się domyślić nie możemy. A niezmiernie byłoby to dla nas ciekawém—prosilibyśmy o fakta. Wszakże to nie ów, znany ze „Źródeł dziej.“ (t. VI, str. 116) fakt, tutaj uogólniony tylko? Charakterystycznym on jest z wielu względów, i pozwolimy sobie przytoczyć go w całości i nawet w języku oryginału? Jest-to wyraz zażaleń, przed rewizorem „hospodarskim“ zamków ziemi wołyńskiéj (1545), ziemian ówczesnego Po-

dola litewskiego winnickich na sąsiadów swych koronnych starego Podola, za robiące im ujmę ekonomiczną korzystanie tych ostatnich z „nieosiedziałości“ ich poddanych. Zażalenia zaś te ciekawe rewizor notuje w słowach następujących:

„Niżli około osełosti tych ludej dajut panowie zemianie pryczynu, sztoż oni aczkolwek tak mnostwo ich w sebie maiut, odnakož službv i požytków z nich mało, tolko w hodu try dni służat, a chto ne służyt, tot po szesti hroszej daiet, a w tom bohatszy i pyszniejszyj mużyk niżli pan. A to dla toho sia dejet, sztoż hranica polskaja ne daleko: kak kotoryj czełowek wschoczet, zawinitli albo ne zawinit, tak idet procz, a wydania i sprawedliwosti žadnoje ne maiut i jeszcze prychodeczy odtol złodejstwo i szkodu czyniat. Za kotorym rozpuszczenstwom chłopskim, iż i sam na sebie i na pana niczoho nerobit, a nabołej wedaiet dorohu kudy wtekati, dla toho i złodejstwa i rozboi i wsi razy złyi w tom krai od nich samych i od zem ich płodiatsia, bo nemajuczy szto robiti, musit muž krasti abo rozbiwati, a žona czary czyniti.“ Po których to skargach ziemianie winniccy następną prośbę do władzy najwyższéj zanoszą: „A tak chotiaczy uskromiti naperwej hrech, a potom szkodu zemskuju, potreba iest na to welikoho osmotrenia i łaski i baczności hospodarskoje, žeby Ieho Miłost’ hospodar raczył rozkazat’ tuju ustawu, jako panom koronnym, tak i wołyńskim i podolskim uczyniti: nechajby panowie Polakowie žadnych ludéj bud’ otczycow abo neotczyców, od Wołyńców i Podolan ne pryjmowali, a kotoryiby wtekali, tychby wydawali pod utraczeniem imenej, tak też i panowie Wołyńcy i Podolanie potomuž k nim sia zachowali. A hdy sia to dostanowit, tut sia w rychle okažet, jest li tyiž ludi w robotach i podaczkach panom swoim ne budut powolnejszyi i požytocznejszy i w tych złostiach swoich smirnejszyi, a nabolej w potrebach hospodarskich i zemskich, kotoraja na nich prychoditi budet, žadnoje przyczyny znachoditi sobie ne mohut, a poki toho ne budet, tohdy niczoho dobroho tam sia sprawowati ne može t.“ Musimy tu zaznaczyć, iż w tym razie idzie rzecz jedynie o pospolite bardzo przebieganie granicy na rubieży południowej koronno-litewskiéj, widome również i w stosunku z Wołoszczyzną mołdawską; nigdy zaś o fakt, mający wskazywać na jakiś ruch odwrotny ludności ruskiéj ku Polsce. Zato wymowne tu świadectwo innego rodzaju: oto zbiega lud nie tylko od „porządków polskich“, nawet ku nim od porządków litewsko-ruskich; nie było mu widać tak źle u sąsiednich panów koronnych, a jego panowie gniazdowi ruscy nie potrzebowali się aż od Lachów uczyć brania go w kluby, wystarcza im „hospodarska i ziemska potrzeba.“

„5. Od czasu unii 1569 r. Polska — formułuje daléj p. Władimirskij-Budanow — pierwszy raz otrzymała możność rzeczywistego wpływu bezpośredniego na losy Rusi południowo-zachodniéj, gdy województwa kiljowskie, bracławskie, podolskie *(sic)* i wołyńskie wprost do Korony przyłączone zostały. Z faktem tym łączy się (przy końcu XVI w.) ogromny i szybki przypływ kolonizacyi ku stepom południowo-ruskim. Okoliczność ta służy téż właśnie za nieuzasadnioną podstawę wyżéj dotkniętéj teoryi pisarzy polskich o zasługach Polski w sprawie zasiedlenia spustoszałéj Rusi. Rzeczywiście było ono dziełem Polski, lecz wcale nie jéj zasługą. Nie Polska wysyłała kolonistów na puste ukrainy, życząc im dobra, lecz przeciwnie ludność uciekała z wewnętrznych zasiedlonych okolic Rusi od umacniających się tam porządków polskich (szlachetczyzny i poddaństwa) skutkiem unii 1569 r. i od zamieszek religijnych, wywołanych przez unię 1596 r. W stepach zawrzało nowe życie; stepy od wieków nie mające słowiańskiéj ludności osiadłéj, napełniły się siołami, miasteczkami, nawet miastami, pod osłoną społeczności wojennéj Zaporoża. Wszystkie te osady napełniały się wychodźcami nie z Polski, lecz z Wołynia, Siewierszczyzny, zasiedlonych części ziemi kijowskiéj i Rusi południowo - zachodniéj, z ujmą gęstości zasiedlenia tych ostatnich i na uciążenie doli pozostałych na miejscu. Zbiegowie spodziewali się na nowéj glebie dziewiczéj skryć się od prześladowania nowych porządków społecznych i państwowych i tam prowadzić daléj lub odtworzyć staroruski tryb gromadowładnego życia. Lecz nadaremnie. Rząd polski i szlachta natychmiast skorzystali z tego objawu, ażeby rozszerzyć granice kolonizacyi szlacheckiéj przez rozdanie nowych ziem polskim i spolszczałym ruskim magnatom. „Nieposłuszna“ kozaczyzna początkowo nie dawała odporu szlachectwu, kroczącemu po jéj śladach, gdyż osadnicy używali długoletniéj woli (do 30-tu lat) od wszelkich powinności, robocizn i opłat; lecz kiedy po drugim dziesiątku lat XVII w. termin téj woli upłynął i rozpoczęło się rzeczywiste stosowanie władzy szlacheckiéj, poczęły się protesty w postaci powstań kozackich. Gdy zaś powstania takie zostały przytłumione, natychmiast uwydatnił się istotny charakter wpływu polskiego na kolonizacyą stepów: ogromne tłumy osadników ustępowały na Zadnieprze w głębie stepów ukrainnych państwa moskiewskiego. W taki sposób porządki polskie, powstałe od 1569 r., przyprowadziły w ostatecznym swym wyniku do zmniejszenia ludności najprzód w środkowych okolicach Rusi południowéj, a potém i do nowego wyludnienia stepów; samochcąc przyczyniały się one do zasiedlenia sąsiedniego państwa ze szkodą własnego. Tymczasem

w domu, na terytoryum Rusi południowéj, posiadłość polsko-szlachecka nie przestawała posuwać się w ślad kolonizacyi kozackiéj; nie przyciągała jéj, lecz napierała wciąż daléj ku porohom Dniepru i południowemu Bohowi, dopóki napierana ludność nie odwróciła się nazad i nie dała fatalnego odporu na Żółtych-wodach i pod Korsuniem i nie pognała szlacheckiéj kolonizacyi nazad ku brzegom Wisły — przy Bohdanie Chmielnickim.“

Tu właśnie z kolei znajdujemy wypowiedzianém najwybitniéj to, co z naszéj strony słuszniéj daleko moglibyśmy nazwać aksyomatem szkoły historycznéj małoruskiéj; tu jego jądro prawdziwe! Znana to nam oddawna piosenka, dziś tylko motywy jéj wzbogacone nowymi akordami, bardziéj usystematyzowane, podniesione zastosowaniem wszelkich wymagań prawdziwego artyzmu i ułożone w jeden żałobny tren, niby akt oskarżenia. Tragiczny jego finał, wspaniały potok tonów — i całość byłaby znakomitą; czemuż nie usunięto zeń zabłąkanych kilku akordów fałszywych, pochodzących w epoce rozżalań się — zapóźnych, bezowocnych!

Akordy te fałszywe—to same negacye, przeczenia. Odpierać ich ponownie nie potrzebujemy; wytknąć przecie choć główniejsze wypada, dla samego uwydatnienia przedmiotu.

A więc....

Parowiekowe wytężenia Polski — jéj rządu, panów i szczególnie wolnego ludu szlacheckiego, władającego tak dobrze pługiem jak i mieczem, nad zagospodarowaniem Rusi Czerwonéj, szeroce wciąż (mimo zabiegów restauracyjnych króla Daniela i jego następców) odłogami leżącéj, zasadniczo, widać mocą tego aksyomatu, są pomijane. Jeśli się zaś o nie potrąca niekiedy, zmniejsza się ich doniosłość negacyą polskiego rolnego osadnictwa tak przez szlachtę drobną jak i lud kmiecy — zbytecznego, gdy panom rozdawano niby tylko już zasiedlone ziemie. Zamilcza się téż o licznie spływającym wciąż ku Rusi małomiasteczkowym rzemieślniku polskim, szukającym tam chleba. Co zaś do wychodźtwa z tejże Rusi Czerwonéj daléj na Ukrainę — zapomina się, że nim przyjdzie koléj na zbiegostwo, posuwa się pierwéj naprzód lud wolny, a więc tutaj już szlachecki, a więc w bardzo znacznéj części szczero-polski, nie tylko spolszczony.

Co do dalszéj Rusi południowéj, Ukrainy, powiada się, że istotnie kolonizacya jéj po dokonanéj unii 1569 r. była Polski dziełem, lecz jako żywo nie jéj zasługą. Dla udowodnienia tego nie przebiera się w motywach. Ucieka się nawet do sentymentalizmu, skąd ináąd bardzo przykładnego; oto—nie wysyłała przecie Polska kolonistów ku ukrainnym pustyniom przez życzenie im dobra! I jakąż

idealną, wzniosłą skalą mierzy się w tym razie rzeczy powszednie ekonomiczno-społecznego życia! Polska, tj. niby rząd Rzpltéj, nie wysyłała nawet w ogóle kolonistów; bo system jéj był inny pod tym względem. Cały przestwór stepowy, uważany z zasady za własność królewską i Rzpltéj, zależał pierwotnie, również w zasadzie bardziéj, od rozproszonych po nim zamków hospodarskich. Siedzący w nich z ramienia władzy najwyższéj starostowie, przewodnicząc z urzędu objawom wszelkiego tam życia, przewodniczyli tém bardziéj i zadaniu zaludnienia ciążących ku tym obwodów, podniecając i regulując ile się dało wszelki ruch osadniczy. Nowopowstające też osady kupiły się początkowo tam, gdzie było bezpieczniéj, a więc w pobliżu zamków. Dla wzmożenia osadnictwa starostowie mieli prawo używać wszelkich środków, między którymi najskuteczniejszym okazywała się długoletnia wola. Nie dawali się oni, oczywiście, w gorliwości co do tego wyprzedzać nikomu; zanadto dużo bowiem mieli w tém interesu własnego. Wzywano tedy na słobody lud rozliczny. Niewątpliwie przeważali wśród niego przybysze z pobliższych ziem południowo-ruskich i litewskich, ale też nie brakło wychodźców i ze stron dalszych. W ten sposób królewszczyzny w bliższym promieniu zamków zaludniały się szybko. Pod ochroną ich a przy poparciu starostów, zapadała na stepach liczniéj i szlachta drobna, zdaleka losami tu przygnana lub dobrowolnie szukająca na nowinach lepszéj doli. A nie jeden pan brat zapuszczał się i w step głębszy po kozaczemu, kumał się z nieposłusznymi i ginął w ich towarzystwie zaporozkiém. Tyluż podobych znamy poimiennie, począwszy od pana Krzysztofa Kosińskiego. Starostowie nie byli jednak w stanie ogarnąć na rzecz królewszczyzn całego osadniczego ruchu, wzbierającego z niepowstrzymaną siłą w stepach, nie mogli dosięgnąć nieposłusznych. Próba, Batorego jeszcze domniemalnie, zrejestrowania kozaków i co za tém idzie, względnego uporządkowania drobniejszéj wolnéj posiadłości rycerskiéj nie udała się a pustynie zalegały bezbrzeżne, w których dla każdego znalazło by się miejsce. W takich warunkach władza królewska chwyciła się środka, może na owe czasy i najpraktyczniejszego w zasadzie: oto dla przyśpieszenia kolonizacyi pustyń poczęto, pod naciskiem potężnego możnowładztwa, rozdawać je onego członkom, jako najodpowiedniejszym niby osadczym, którzy posiadali i dostateczną siłę ekonomiczną do ich zasiedlenia i siłę zbrojną do ich obrony. Ale skutkiem tego Ukraina stała się niebawem istnym łupem kniaziów Wołynia i wielkich panów tak ruskich jak i polskich. Że i tamci byli już do tego czasu przyjęli kulturę polską, stali się Lachami, było to może dziełem Polski, lecz nie jéj winą. Obdaro-

wani istnie książęcemi nadaniami możnowładzcy ci wysyłali, podobnie jak i wysocy nominalni starostowie, na miejsce, ze swego ramienia, podstarościch i osadców rzeczywistych—ludzi wojennych rozumie się, szlachtę, nie zawsze spolszczałą jedynie. Bywali między nimi i rodowici Polacy od Wisły. Ci przywołując na słobodę (wolę) kogo się tylko dało, nie zapominali wszakże napewne i bliższych sobie krwią i obyczajem, choćby z obozowego licznych chorągwi ludu—chorągwi tak w owe czasy ruchliwych a różnorodnych co do swego składu. Że najczęściéj jednak tonęło to wszystko, przez kobiety, z czasem w masie typu miejscowego, ruskiego—to rzecz nie podlegająca wątpliwości.

Jeśli Polska tedy, jako rząd, jako Rzplta, nie wysyłała na stepy kolonistów, w sposób nowoczesny; wysyłała ich niezaprzeczenie z łona swego, jako naród etnicznie pojęty, jako społeczeństwo— i nie tylko w postaci zbiegów od coraz cięższéj w domu pańszczyzny. Posiadała ona ludu wolnego wtedy więcéj, niż jakikolwiek naród ówczesny może: jedno Mazowsze z Podlasiem przeważyło by na szali porównania. Były to źródliska siły ekonomicznéj i kulturowéj Polski, zkąd falami całemi odpływały nieustannie, jak odpływają dogasająco do dziś dnia jeszcze, wezbrane przyrostem zasoby kapitału żywego ku ukrainom. Tajemnica tego spoczywała w historyi oryginalnego ziemi tych pod względem społecznym rozwoju. Nie zbiegowie więc tylko zasilali wychodztwo. Co do samego zaś zbiegania ludu obciążonego pańszczyzną—takowe porywało nie tylko ludność „środkowych zasiedlonych okolic Rusi"; ogarniało ono wieśniaka - chłopa nie tylko Małéj lecz i Wielko-Polski, prowadząc go jakby etapami osadczemi coraz daléj od gniazda rodzinnego. Nawet zbiegi z miejsc lepiéj zasiedlonych Rusi nie byli to zresztą jedynie Rusini. W ziemiach czerwieńskich istniała już od paru wieków kolonizacya polska, zasilana wciąż nowym przybyszem. Dziś jeszcze na starém Podolu utrzymują się przy życiu bardzo dawne osady kmiecia polskiego—nie tylko katolickie, lecz i mówiące po polsku. A ileż to jeszcze przetrwało osad „budniczych" na Polesiu. Nie wątpimy też wcale, że i w późniejszéj „wojnie chłopskiéj" na Ukrainie brało udział wcale nie mało wieśniactwa polskiego, jak nie mało szlachty szczero-polskiéj zajmowało wybitne stanowiska między starszyzną zaporozką.

Powiadają nam daléj : ludność zbiegała z zasiedlonych miejsc Rusi „od wprowadzanych tam, skutkiem unii 1569 r. polskich porządków—szlachectwa i poddaństwa". Ciekawych się rzeczy, tutaj dowiadujemy. Unia ostateczna Litwy z Koroną miała zaprowadzić dopiero w ziemiach dalszych Rusi południowéj szlachectwo i pań-

szczyznę; gdy to pewna, że nic ona pod tym względem nowego nie przyniosła. Nawet nie ma tu miejsca dla kazuistycznego tłómaczenia: „*post*“, zatém „*propter.*“ Zbiegano dobrze i przed unią 1569, a zbiegano nawet, jakeśmy to widzieli, od rubieży ukrainnych ku Polsce. Dlaczegoż teraz porządki, od których lud zbiega, mają być „polskiemi“? Nie od polskich porządków zbiegały „chołopy“ na Don, Jaik i za góry Uralu! Nie potrzebowało téż rozbujałe bojarstwo czerwieńskie z epoki Romana i całego jego rodu dopiéro uczyć się od Lachów, jak wyzyskiwać pracę smerda i trzymać go w ręku. Potrafiło ono swoich książąt wieszać a byłoby miękiém dla wieśniaka! Na nic poszły przecie zabiegi Daniela. Od porządków tegoż „ruskich“ się uchylając, trzy wieki temu lud całemi okolicami uciekał się dobrowolnie pod opiekę Mongołów, woląc im „siać proso“ etc. — byle się uwolnić od starego domowego trybu. Skądże wreszcie takie uparte wysuwanie dotąd naprzód mniemanéj sielanki patryarchalnéj w prastarém życiu społeczném Rusi; zostawmy to poetom!

Albo znów — skąd owo tłómaczenie „polskich porządków“ przez „szlachetstwo i podaństwo“? Co to jest „szlachetstwo“ w tém tu zastosowaniu, co za istotne znaczenie poważne tego terminu? Czy mamy tu rozumiéć instytucyą czy klasę społeczną; jaki jéj związek wyjątkowy z pańszczyzną i zbieganiem od niéj ludu? Jako instytucya istniała ona wszędy ówcześnie — jednostajna w swéj zasadzie, choć tyle odmienna w upostaciowaniu; wszędy, nie tylko w Europie zachodniéj—jako *nobilitas*. Czyż tedy pod względem socyalno-ekonomicznym, w stosunku do ludu gminnego, nie odpowiada mu stare czerwono-ruskie bojarstwo, lub mniejsza, iż feudalnie uszczeblowana, klasa kniaziów, panów i ziemian wielkiego księstwa litewskiego przed unią? Rojne kniaziostwo Wołynia nie mniéj pewno dociskało lud poddany jak w szlachectwo przemianowane wcześniéj bojarstwo po Haliczyźnie Szlachta polska nadto, jako stan, nie była naprawdę wcale jednolitą; nie tylko ekonomicznie, lecz i socyalno-politycznie wybitne w niéj były trzy klasy: panów (magnatów), rycerstwa (jednowioskowego) i szlachty drobnéj, własnemi dłońmi skibę swą uprawiającéj. Ta ostatnia była najliczniejsza i z biegiem czasu dla siebie wyłączniéj zatrzymała ową nazwę „szlachty.“ Więc chyba takie tłumne w Polsce „szlachetstwo“, ubogie a dociskane w domu, ponoszące pewne ciężary narówni z chłopem—o czém niech świadczą księgi poborowe—nie wyciskało pewnie sąsiedniego kmiecia, lecz samo rwało się ku szerszym przestworom. Termin zatém „szlachetstwo“ nic właściwie w tym razie nie objaśnia; rzucony oderwanie, bez bliższego określenia, — w tonie specyficznym pewnego kalibru publicystyki rosyjskiéj i z pieprzy-

kiem w jéj guście—jest dla nas zupełnie niezrozumiałym. Wypada go, jako terminu wiele odcieni mającego, podobnie jak wyrazów kniaź, bojar i t. p. z wielką tylko oględnością używać. Wolno na tym koniku jeździć owéj publicystyce; lecz poważnemu uczonemu wprost się to nie godzi — jeśli nie chce wpaść w posądzenie, iż jest i sam opętanym zmorą „szlachetsko-jezuitskiej intrygi.“ Więc nie od szlachectwa zbiegał lud na stepy i nie od porządków polskich, lecz od wzmagających się ciężarów w domu, w dobrach prywatnych nadewszystko — przy otusze znalezienia tam lepszéj doli!

Żeby zaś nadto miał zbiegać w stepy lud ruski i od zamieszek religijnych, wywołanych przez unię 1596 roku — to chyba znów oddźwięk tylko staréj przygrywki. Czyżby nie przebrzmiała jeszcze? Wszak była to sprawa przedewszystkiém hierarchii, co najwięcéj bractw cerkiewnych; szlachtę ruską z początku obeszła trochę, ale żeby lud wiejski był tém zainteresowany, czuł się dotkniętym—tego nie widać zgoła. Miał on powody realniejsze, co go gnały z domu, nie kłótnie duchowne!

Co do twierdzenia zaś, jakoby kolonizacya stepów miała się odbywać pod osłoną bractwa zaporozkiego jedynie — to już może za wiele hołdu dla niżowych towarzyszy! A tyleż zamków królewskich po całéj Ukrainie, tyle zamków kniaziów potężnych, mnóstwo zameczków pańskich, a i samego Zaporoża Kudak jeszcze pilnuje! Aż zabawne to, gdy się jeszcze spotyka zużyte dawno pomysły dzisiaj w poważném dziele. Zaporoże wprawdzie samo się dobrze zasłaniało, ale żeby miało zasłaniać i Ukrainę—temu nieustanne najazdy Tatarów przeczą.

Że nowe osady na stepach zapełniali przeważnie przybysze nie z Polski piastowskiéj lecz z rozmaitych ziem ruskich, to rzecz najniewątpliwsza. Powtarzamy tu jednak, że wychodztwo z Rusi Czerwonéj nie było tylko krwi ruskiéj. Przeczenie absolutne wychodztwa z Polski właściwéj zbijają choćby zaznaczenia w księgach poborowych. Słuszném zato jest wielce wskazywanie na ziemie krywickie i Siewierszczyznę, pierwiastek biało-ruski bowiem odegrał wielką rolę w ożywieniu Ukrainy naddnieprzańskiéj.

Co to za „staroruski tryb gromadowładnego życia“, jaki by wychodźcy z krain bardziéj zasiedlonych na stepy mieli na nowo odtwarzać — tego nie pojmujemy należycie. Tak mało nam znana owa staro-ruska gmina, tak wytworzone niegdyś pojęcie o niéj trąci znowu idylicznym sentymentalizmem, podobnie do wymarzonéj kiedyś przez poczciwych doktrynerów idealnego panslawizmu gminy pra-słowiańskiéj, że odwoływać się do niéj już może zapóźno, albo raczéj jeszcze zawcześnie, dopóki drogą badań chyba odwrotnych, retrospektywnych nie nabierzemy o niéj z czasem dokład-

niejszego pojęcia. Że nie doszło do odtworzenia na stepach owéj idealnéj gminy staro-ruskiéj, bo Rzplita niby i panowie stanęli temu na przeszkodzie! Ale przecież nie odtworzono jéj i po „ruinie“ na Zadnieprzu, mimo całéj po temu swobody pierwotnie.

Naprawdę jednak — nikt temu przeczyć nie będzie — przy zastosowaniu od paru wieków już praktykowanego w zachodniéj połaci Rusi południowéj trybu rozdawnictwa pustoszy i do Ukrainy, Rzplita dopuściła się błędu. Zamiast bowiem rozdawania pustyń rzeczywistych wolnemu ludowi i wojennemu, jak to stało się było niegdyś na Podlasiu, przy uwzględnieniu jednoczesném powstałych już samorzutnie osad wolnych, jak to zrobiono np. na drewlańskiém Polesiu — wszystko razem, całemi krainami, z rozproszonymi po nich chutorami, wolnymi dotąd faktycznie a należącymi do „nieposłusznych“ starostom, rozdano, jak wiadomo, między kniaziów i możnych panów. Ta zaś wielka omyłka polityczna i ekonomiczna, może w ówczesnych warunkach i nieunikniona fatalnie, staje się zaczynem zniweczenia po upływie pół wieku całéj pracy kolonizacyjnéj Polski, całéj jéj względem Ukrainy zasługi. Istotnie— *latifundia perdidere Poloniam!* Nie odpowiedziała ich ogromowi należyta sprężystość rządu, coby mógł uciszać waśni oligarchów, uorganizować siłę obronną kozactwa i ubezpieczyć raz nazawsze rolnika, zgniotłszy Krymców w ich gnieździe. Po temu Rzplita nie miała siły niestety: w nieubłaganéj konsekwencyi błędnego punktu wyjścia, samochcąc musiała stanąć po stronie jednéj społecznéj klasy na Rusi — jéj możnowładców, jednego obrządku i jednéj narodowości — przez nich przybranych, i doczekała się burzy!

Myliłby się wszakże, ktoby upatrywał w zbrojnym proteście kozaków przeciw swym kniaziom i panom ujmowanie się zarazem i za ludem poddanym; owszem, nic podobnego nie widać w pierwszéj dobie powstań. Chodziło kozakom przedewszystkiém o ulegalizowanie, że tak powiemy, tych swobód i nabytków, które oni, jako społeczność wolnych ludzi wojennych, faktycznie już posiadali; chodziło o formalne uobywatelnienie, uszlachcenie. O chłopa kozak wcale nie dbał, lekceważył nim, dopóki mu nareszcie nie przyszło odwołać się do jego długo wzgardzanéj pomocy. Sprawa kozaków nie była wcale sprawą kmiecia, rolnika. Łączenie przedwczesne tych dwóch spraw tak różnych gmatwa tylko niepotrzebnie istotę rzeczy. Niezaprzeczenie uzbrajały kozaków przeciwko panom ruskim miejscowym nie tylko pobudki socyalno-polityczne, ale i ekonomiczne zarazem; lecz były to pobudki ich własne, nie solidaryzowane z interesem poddanego kmiecia, nazbyt czasem ufnego!

(D. n.) *Aleksander Jabłonowski.*



POEZYA NIE-PESSYMIZMU.

(Marya Konopnicka. Poezye. Serya trzecia. Warszawa. Gebeth. i Wolff. 1887, str. 349).

W dusznych i mrocznych życia społecznego chwilach, kiedy nie tylko „hydra pamiątek zatapia szpony" w sercu zbolałém, ale też gady zobojętnienia, nieufności we własne siły i pessymizmu w niém się legną obficie, jakże-to błogo posłyszéć głos silny i dźwięczny, wychodzący z piersi, która odczuwając wszystkie bóle i smutki, znając nasze wady i ciężkie pognębienie, nie straciła przecież ani wiary w żywotność narodu, ani nadziei w przyszłość.

Jeżeli we wszelkich sprawach usposobienie i nastrój zarówno jednostek jak i mas całych jest czynnikiem nadzwyczaj ważnym a nieraz decydującym, to pojawianie się takich głosów poczytywać musimy za objaw lepszego zwrotu, gdyż nie są one oczywiście wynikiem tylko indywidualnego natchnienia, lecz wyrazem pewnéj przynajmniéj grupy społecznéj.

Zbyt już długo „brzmiał na strunach wieszczów żal", zbyt długo ponury, beznadziejny pessymizm wyżerał nam serce, pozbawiając otuchy i wiary w siebie, ażeby objawu takiego nie powitać radośnie.

P. Konopnicka nie po raz pierwszy téj struny dotknęła, ale dawniéj głuszyły ją inne o tonach wyrażających niepewność, zwątpienie, ból, rozpacz. Poetka sobie, społeczeństwu, światu i Bogu ciągłe zadawała pytania, w co wierzyć, za czém iść, co robić. Teraz (w 3-éj seryi swoich Poezyi) od pytań przeszła do twierdzeń. Widocznie umysł jéj znalazł punkt oparcia, z którego może nie tylko rozejrzéć się wokoło siebie, ale i dojrzéć drogę, którą pójść potrzeba.

Nie oddaje się ona bynajmniéj jakiejś optymistycznéj radości, jakiemuś nieopatrznemu marzeniu, któreby jéj wszystko w różo-

wych przedstawiało barwach, zasłaniając widoki przykre i rozczarowujące; owszem widzi ona jasno grozę położenia, widzi braki wewnętrzne, widzi przeszkody straszne w urzeczywistnieniu choćby najmniejszego ideału, lecz równocześnie też dostrzega możność wydobycia się z nieszczęść, pokonania zapór, odrodzenia duchowego.

Boli poetkę bierność ducha słabego, co chowa „swój ból oswojony jako gadzinę, gdy wyrwą jéj jady“, co się daje zwyciężać bez boju gotów „zrzec się dziedzictwa światłości,“ byle go tylko, z gnuśnego spokoju nie wyrwał okrzyk przyszłości“; przeraża ją postępowanie tych, „co biegając w palącym się gmachu z wygryzionemi od dymu oczyma, w kąt się chowają z nędznego przestrachu, zamiast wyjść krokiem olbrzyma“, a nie mając odwagi hańby nazwać hańbą a nędzy nędzą, łudzą się pozorami spokoju zwodniczego. Więc ,,w gorzkiéj zadumie“ patrzy na ziemię i widzi nad nią „gwiazdy coraz bledsze“ i widzi „słońca gasnącą koronę w mgłach, które smętną przyoblokły nocą wszystko, co światłem jest i co jest mocą“, i smutnie a pięknie maluje spustoszone pola życia:

Kwiaty się nasze skarżą łez swych rosą,
Że woń ich z wiatrem wiejącym ucieka,
Że wiosny nasze nic z sobą nie niosą,
Że od żniw naszych nikt chleba nie czeka.
Kwiaty się nasze skarżą...

A więcéj jeszcze smutku i goryczy budzą w niéj dowody płytkości ducha, bezsilność woli i dłoni, strupieszałość serca wieku, o którém powiada:

Nie stargasz nawet i pajęczéj przędzy...
Jedna z fal morza, co zowie się życiem,
Już cię ogłusza—drzemiące w swéj nędzy,
I jeden oddech szerokiéj przestrzeni
Przeraża ciebie, iż krew twą rumieni...

I w rozżaleniu głębokiém „trupami“ zowie nas, pogrążonemi w mogile ,,własnéj niemocy“, bośmy utracili ,,duszę życia — życia wolę“; i z gryzącym sarkazmem szalonym zwąc tego, kto chce na morskiéj toni gasić pragnienie“, wznosi toast na cześć wina, bo:

My tyle właśnie mamy zapału,
Ile go mieści czara z kryształu,
Tyle uniesień, co pian w téj czarze,
I tyle ognia, co w tym puharze!
Płomień z helotów piersi nie bucha..,
Brzęk szkła tak bawi, jak brzęk łańcucha...

Ludy się kędyś prą falą mętną,
Szumem ich wzbiera dziejowe tętno.
Nad żaglem trzeszczą maszty przegniłe,
To tylko żyje, co żyć ma siłę...

— A nam tymczasem młynek na strudze
Obraca plewy swoje i cudze...
Górą mielizny! Na głębiach—giną.
Niech żyje wino!

Lecz nie! to bluźnierstwo względem ducha narodowego; trupami nie jesteśmy, a owego ognia wewnętrznego jest niewątpliwie więcéj niż na dnie puhara; tylko przykrywa go gruba warstwa popiołu, licznemi naniesiona pogorzelami. Niecierpliwych i nerwowych, którzyby pragnęli, ażeby ogień ten żarzył się ciągle jasno i buchał płomieniem, razić może stan, w którym się on znajduje, ale przeczyć jego istnienia niepodobna. Poetce nie można mieć za złe, gdy przeklina błyskawice natchnień, za któremi „grom żaden nie dyszy, by zatrząść zestarzałym i bezwładnym światem", oraz grom, „po którym nie drżą ludy i nie płoną lasy", a „cała stara nędza żyje i w staréj pleśni drzemią starych bezpraw czasy." A nie można mieć za złe dlatego, że rozumiemy i oceniamy jéj położenie, jak położenie każdéj duszy gorącéj, zamkniętéj w ciasnych i dociskających obrębach. „Ciężka-to zaiste rzecz — możemy wraz z nią powiedziéć — ciężka rzecz jest pod wichry się zrywać i wyłamane pióra nieść do góry i miéć na czole znak wieku ponury i duszę pełną łez,—a przecież śpiewać, jak ptak co spada." Ze spółczuciem też składamy w sercu cichą jéj skargę, że nie może mówić do nas, jakby chciała:

Po co śpiewać? Po co targać smutnie
Struny, które ozwać się nie mogą?
Idź poeto, strzaskaj swoję lutnię,
Porzuć szczęty nad rozstajną drogą...

Niech odmieńce wśród życia biesiady
Dla wesela swoję lirę stroją,
Jak z wyrwaném żądłem liche gady,
Co się w tańcu za piszczałką roją.

Ich to święto! Piersiami pełnemi
Niech okrzykną toast znikczemnienia.
Wy odejdźcie, o pieśniarze niemi,
Pełni ogniów wzgardy i serc drżenia.

Poetka jednak nie odejdzie, gdyż wszystkie jéj sarkazmy i gromy były wyrazem miłości a nie pychy, gdyż ona wierzy i ufa tym sercom, co jéj słowa słuchają i pragnie obudzić w nich nanowo drżenie wielkie i święte, zapał i cześć dla ideału. Ona sama czuje się „ziarnem przeklętém krwawego siewu i cmentarnéj roli"; ona sama przechodziła wszystkie stopnie apatyi, rozczarowania, przygnębienia, rozpaczy; więc się nauczyła wyrozumiałości i cierpliwości. Ale że czuje się przytém rodem z wielkiego cmentarza i krwawéj roli, więc zgadza się pić gorycz ale z morza, pozostawiając

strumyki smutków i cierpień powszednich innym mniéj dzielnym duchom; więc kołacze do serc bratnich, by w nich wywołać ten sam wielki bohaterski nastrój. Z tą myślą zwraca się do nich, mówiąc:

Bo nam się trzeba jak płomień wyrzucić
W górę, z ogromną siłą i ze wzgardą
Dla téj małości, co nas chce zawrócić
I zdjąć nam z czoła ostatnią myśl hardą,
Myśl, co się blasków paliła koroną
Nad każdą głową wielką—a zelżoną...
Nam trzeba wzbić się własnemi skrzydłami,
Gdy nas odbiegły gdzieś anioły smętne,
I krwawe pióra na zorzę kłaść złotą,
Jak ptaki gnane ku słońcu tęsknotą.

Gorąco tedy przyklasnąć winniśmy poetce, gdy stłumiwszy w sobie ból w tém przekonaniu, że „nie łez nam potrzeba lecz siły“ (str. 98), parafrazując słowa psalmu, stara się wlać otuchę w dusze, co są jak „zdrój bezwodny, płacz bez głosu, las wyrwany z libańskich gór tronu“, i woła na podobieństwo proroka:

Więc ja mam głos! Więc ja wam śpiewać pocznę!
Ja płomień tchnę w te smutki wasze mroczne,
I pieśnią wam przyśpieszę serca bicie,
Na nowy bój, na nowe męskie życie!
Więc ja mam głos! Ja ptak spętanych skrzydeł,
Zerwanych strun narodu lira brzmiąca...
Na wichrach pieśń uniosę z ziemi sideł,
I gniazdo jéj położę w blaskach słońca.
Więc ja mam głos! Pobitych krzyk jest we mnie
I łuny miast i winnic spustoszenie,
I miecza ostrz przenika mnie tajemnie
I cisną mnie zelżywych pęt rzemienie...

W prześlicznéj pieśni: „Contra spem spero“, poetka, choć wié, że „odleciały te ptaki daleko, co nam na skrzydłach niosły chwały zorzę i z rzek już naszych te wody nie cieką, które szły w morze“, chociaż jest ogarniona „piekieł naszych“ sferą, oczyma przecież szuka „dnia blasków i słońca“, i „w głębi mogił czuje życia dreszcze“, a „przeciw nadziei i przeciw pewności wystygłych duchów i śmierci wróżbitów, wierzy w jutrznię błękitów i w gwiazdę ludów. W piosence na „Nowy Rok“ zaznaczając, że w duszy ludzkiéj tkwi niepokonana siła, pędząca ku dniom jutrzejszym, wzywa do jedności bratniéj, bo „jak się człowiek po gromadzie spojrzy w ciężki czas, to na sercu rękę kładzie: jeszcze kupa nas!“ W jednym zaś z fragmentów (str. 53) powiadając, że „niedoli kres gdzieś musi istnieć przecie“, lecz że go z po za łez nie widać, każe otrzeć „spłakane powieki“, gdyż przyszłość to trud, wymagający

potęgi lwiéj, nie jęków, działania, nie zaś oczekiwania, bo „kto czeka, ten na syna swego ramię spycha ten krzyż, pod którym sam się łamie, i żądać śmie, by przyszłe pokolenia znów stary bój podjęły i cierpienia." Nam potrzeba „serca, co się tchem wieku jak iskra zapala, jako płomień wybucha, a jak piorun gaśnie"; a jeśli kto takiego serca nie ma i woli „wywczasów ciszę", ten jest „najnędzniejszym z nędzarzów téj ziemi." Nam potrzeba „wszystkie tęsknoty swéj siły, co próżno mdleją u każdéj mogiły", wytężyć w przyszłość i szukać blasków świtu, a nie przeklinać tylko brzemię życia; gdyż wówczas jedynie można się spodziewać „dnia majowego przebudzeń"; albowiem „wielkością czynu nie martwą pokorą dzieje ludzkości są płodne..."

Poetka wié, że „my słońca nie zdejmiemy z nieba, by rozwiać cienie po przepaściach nocy"; jedno przecie „Każdy z nas zrobić powinien — więc może":

Może za rękę wziąć chłopskie to dziecię,
Co stoi przed nim w służalczéj pokorze,
I poprowadzić je na ciche pola,
Gdy ranek bije smugami złotemi
I ciepłém słowem przemówić o ziemi,
Którą uprawiać przypadła mu dola,
O jutrze, które wyorać nam trzeba,
Łzami i potem skrapiając te łany,
Gdzie każdy kłosek na przyszły kęs chleba
W wspólnéj nadziei ma być zasiewany,
Bo tylko takiéj przyszłości nasiona
Wzejdą i chwast ich złośliwy nie zaćmi,—
A potém w syna swojego ramiona
Popchnąć to dziecię i rzec: wyście braćmi.

Taki jest główny ton nowéj seryi „poezyi" pani Konopnickiéj, ton czysty, dźwięczny, podniosły, niezamącony sprzecznościami, wahaniem, niepewnością. Poetka czuje, że uderzyła w strunę, która brzmieć będzie długo i donośnie, budząc ze snu ospałych, nasuwając myśli i poglądy szersze tym, którzy się w obrębie spraw codziennych, powszednich zacieśniają, wywołując cześć dla ideału. Może ktoś zarzucić, że mamy w słowach jéj same ogólniki bez dokładniéj określonych i wskazanych torów działania; ale na to odpowiedzieć łatwo uwagą, że zadaniem poezyi nie jest kreślenie programu politycznego czy społecznego, ale wywoływanie nastroju, któryby do przyjęcia pewnych poglądów, do urzeczywistniania pewnych dążności usposabiał. Który poeta potrafi przemówić do serc, który zdoła wzruszyć i zapalić do czynu, ten spełnił to, co w zakresie jego działalności, jako poety leżało. Szczegóły działania i jego kierunek musi już nakreślić rozwaga, licząca się z siłami

i okolicznościami. Poetka nasza dostrzegłszy wśród społeczeństwa oznak martwoty duchowéj, uderzyła w dzwon trwogi i powołała do ocknienia się z niéj słowami gorącemi i pełnemi siły; odrzuciwszy precz od siebie „pieśń słowiczą a miłosną“, zawiodła taką, „co na orlich skrzydłach lata, chorągwianą pieśń ogromną“ (str. 165, 166), ażeby dodać bodźca leniwym, ducha osłabłym, otuchy wątpliwym. Niepodobna zaprzeczyć, że pieśń taka przyszła bardzo w porę i życzyć jéj należy w interesie dobra ogólnego, żeby znalazła odgłos jaknajszerszy i wywarła skutek zamierzony.

Oprócz pieśni, będących wyrazem dobitnym tego męskiego, entuzyastycznego nastroju, w III-éj seryi „Poezyi“ p. Konopnickiéj znajdujemy inne, które w tonie łagodniejszym, ale ku temuż samemu zmierzają celowi. Najmniéj dostrojone są do całości „Freski“, w których skreśliła poetka scen parę z życia dziejowego. W „Kaloskagatos“ wystawiła przeciwieństwo wykwintnego wychowańca cywilizacyi z tłumem biednym, ogłupiałym i rozbestwionym, który przecież nie winien swojéj ciemnocie i upodleniu, bo owi wykwintnisie umieją nim tylko pogardzić a nie podnosić go ku światłu i uszlachetniać. „W pirejskim porcie“ spotykamy się z mniéj lub więcéj dowcipnemi gawędami ukształconych i nieukształconych sofistów. „Demos Cezarowi“ wyśpiewuje ironiczne a raczéj sarkastyczne słowa pozdrowienia. „W rocznicę Termopilów“ nieszczęsny Grek pod żelaznem panowaniem Rzymian nie miał ani na czém, ani komu ofiarować kwiatów i pochodni; zbolały więc „nad hańbą przeżył dzień wesela.“ W „Janie Husie“ widzimy proroka, który nie nad własném boleje cierpieniem, ale nad przyszłością swego narodu, i w ekstazie umiera spokojny, bo przeczuwa, że naród ten po wielu wiekach znów będzie wolny. „Pieśń Żyrondystów“ — to ubłogosławienie męczenników, co giną za Francyą i wolność ludu.

Inny dział Poezyi ma napis: „Piosenki i pieśni.“ Są to klejnociki liryczne, śpiewności pełne, a smutne smutkiem nie jednostkowym lecz ogólnym po téj krótkiéj zorzy kraju, „najpiękniejszéj z zórz, co od morza szła do morza złotem polem zbóż.“ Po pradziadach objęliśmy długi — powiada poetka — ale przecież stać nas na płużyce, więc „jeśli nasza dobra dola pod ziemią leży, przeorajmy wszystkie pola na zagon świeży.“ Ale zanim do tego dojdzie, zanim ukaże się „dzionek błogi i słoneczko boże“, zanim „rycerze zapalą gwiazdy w złotéj koronie“, smutno poetce, smutno każdemu sercu bolejącemu nie nad sobą tylko. „Jedne kwiaty zwiędły mi — woła ona—drugie porwał wicher zły, a te trzecie, te ostatnie, poją moje górskie łzy.“ W oddziale „Na palecie“ rozwijają się daléj smutkiem i tęsknotą owiane obrazki jaru, gaju, lasów, gór, drogi

wiejskiéj, po któréj chodząc, zadumana poetka marzy o dobrych słowach i złych uczynkach, co się tu kłębiły:

Dobre słowo wciąż odkwita
To w kwiat polny, to w kłos żyta...
Stara krzywda głazem leży
Na pustkowiu, na rubieży,
Pod siwemi mchy...
W dumach, dumkach oto chodzę
Po téj cichéj, wiejskiéj drodze.
Nad schyloną moją głową,
Lecą smętnie i echowo,
Jakieś skargi.. łzy....

W działach „Po rosie” i „Z chaty” rozlega się nuta wieśniacza, oddawna już najmiléj brzmiąca w ustach p. Konopnickiéj, wdzięczna swoją prostotą i naturalnością, serdeczna uczuciem szczerém.

W wierszu „Do granicy” stylem przypominającym opowiadanie Matki Makryny Słowackiego, z upodobanym temuż epitetem „lichy“, który i w innych poezyach III-éj seryi nieraz powraca, czytamy bolesne, niemal tragiczne dzieje wypędzania rodzin polskich z ks. Poznańskiego. Opowiadającą jest wieśniaczka, która prosto, bez deklamacyi, tylko ze zwrotami do Ukrzyżowanego, opisuje smutki, cierpienia i bóle gromadki, a i swoje téż własne. Jakże pięknym, jak wzruszającym jest opis cierpień i zrezygnowanego bólu matki, grzebiącéj swe dziecię w polu podczas wygnańczego pochodu:

Trzy dni my takie i trzy mieli noce;
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły.
A ze mnie wyszły ostatnie już moce
I duch, i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci
Jedno po drugiém, przez dwa dni i trzeci,
A było już ich, jako w koniczynie
Onych listeczków, trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzéj, pod krzyżem odprawować warty,
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną.
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać a indziéj zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży.

Przejrzeliśmy tak główniejsze działy utworów oryginalnych p. Konopnickiéj, pomieszczonych w III-éj seryi. Wszędzie zaznaczyć nam wypadło myśli i uczucia podniosłe, zharmonizowane w sobie, dotykające szlachetnych stron duszy ludzkiéj. Skupienie i dojrzałość talentu wszędzie tu widoczne. W wykonaniu zdarzają się jeszcze

pleonazmy i tautologie, ale już nie w takiéj jak poprzednio ilości; ton liryczny walczy zwycięsko z retorycznym. Słowa niezawsze jeszcze mają dosyć siły i plastyki, ażeby zostać wierném odbiciem uczuć lub poglądów, czasami wypowiadają nie to, coby z logicznéj wynikliwości było spodziewaném, czasami zadaleko wybiegają poza myśl, którą sformułować miały; lecz nie wchodząc w drobiazgi, ogół dykcyi uważać można za prawdziwie piękną szatę treści. Gdy dawniéj wśród powszechnego niemal chóru samych uwielbień dla poezyi p. Konopnickiéj, ja może jeden znajdowałem powody do nagan, z tém większą przyjemnością oddaję hołd obecnie szczery talentowi poetki — a zwłaszcza rozumnemu i szlachetnemu skierowaniu jego ku podniesieniu ducha wśród przygnębionego społeczeństwa.

P. Chmielowski.





LIBERALNE POGLĄDY
NA ŚRODKI POPRAWY BYTU ROBOTNIKÓW.

H. Fawcett. Praca i zarobki. Przełożył Ignacy Świętochowski. Warszawa, 1887.

Sprawa warunków pracy produkcyjnéj i wynagrodzenia za nią należy dziś do kwestyi dnia i budzi zajęcie w szerokich kołach ogółu. Książka, któréj tytuł podaliśmy w nagłówku, poświęcona jest właśnie rozbiorowi téj kwestyi. Stanowi ona wyjątek z obszernego podręcznika ekonomii b. profesora uniwersytetu w Cambridge. Kiedy dzieło to doznało tak gorącego uznania wśród publiczności angielskiéj, iż ukazało się w szóstem wydaniu, wyjęto z niego pięć rozdziałów, traktujących o kwestyi robotniczéj, i ogłoszono je w oddzielnéj broszurze dla spopularyzowania poglądów autora na tę sprawę wśród warstw najbliżéj nią zainteresowanych, a niezamożnych. Broszura ta spotkała się z większém jeszcze powodzeniem, niż całość dzieła i przetłómaczona została na język włoski i francuski. Z tego ostatniego przekładu przyswoił ją literaturze naszéj p. Ig. Świętochowski wraz z obszerną przedmową tłómacza paryskiego, Artura Rafałowicza. Niestety, jednak zmuszeni jesteśmy wyrazić zdanie, iż lepiéj by było poprzestać na samym utworze Fawcetta. Przedmowa bowiem p. R. jest prawie tylko parafrazą tego, co we właściwym tekście mówi Anglik. Trocha cyfr bezładnie w tym wstępie rozrzuconych i utopionych w płytkiéj częstokroć gadaninie pożytku czytelnikowi nie przyniesie, a może go zrazić do więcéj pouczającego traktatu pisarza angielskiego.

Fawcett jest liberałem czystéj wody i, co zatém idzie, gorącym zwolennikiem samopomocy, chociaż robi w tym względzie pewne, drobne zresztą ustępstwa na rzecz ducha czasu. Za ogólne kryte-

ryum wartości projektów, mających na celu poprawę bytu robotników, bierze on odpowiedź na pytanie: „czy proponowany środek wywrze wpływ taki, ażeby ubogi zaczął (?) rachować na własną inicyatywę?" Niestety, większość ubogich zmuszona dotąd była i jest jeszcze obecnie we wszystkich krajach europejskich rachować prawie wyłącznie na własną tylko inicyatwę, a jednakże „środek" ten nie zdołał nigdzie wysuszyć morza niedoli. Musi więc kryteryum to być chyba za ciasne i niedostateczne. Prędzéj już, choć i tu z silném zastrzeżeniem, możnaby się zgodzić na drugi zasadniczy pogląd autora, a mianowicie, że „każdy projekt, choćby jego inicyatorowie ożywieni byli jak najlepszemi chęciami, pogorszy tylko złe, któremu chciałby zaradzić, jeżeli w zasadzie jego tkwić będzie osłabienie odpowiedzialności osobistéj; jeżeli będzie doradzał ludowi oglądać się więcéj na pomoc państwową, aniżeli na siebie samego." Gdybyśmy to zdanie przyjęli w dosłownéni jego brzmieniu, to musielibyśmy potępić wszelką pomoc państwową, gdyż każda „*osłabia* odpowiedzialność osobistą". Tymczasem nawet sam autor tak daleko nie idzie, kiedy w pewnych razach pomoc państwa uznaje za potrzebną. Lepiéj by więc może było postawić zasadę, iż państwo ma prawo i obowiązek czynić zadość tym tylko potrzebom, którym inicyatywa prywatna równie korzystnie i skutecznie zaradzić nie może. Takie ograniczenie społecznéj działalności państwa konieczne jest równie ze względu na interes rządu, jak i społeczeństwa. Przekroczenie téj granicy przez państwo krępuje niepotrzebnie swobodę jego obywateli i najczęściéj przynosi szkodę ich interesom moralnym i materyalnym. Kiedy zaś to nastąpi, w społeczeństwie rodzi się i szybko wzrasta ferment niezadowolenia, które z czasem, ogarnąwszy szerokie warstwy, wywołuje nieprzewidziane następstwa zarówno smutne i niebezpieczne dla stron obu.

Wychodząc z zaznaczonego wyżéj stanowiska, odrzuca Fawcett bezwarunkowo wszystkie te projekty poprawy bytu robotników, które domagają się jakiejkolwiek interwencyi państwa. Zbija więc przedewszystkiém żądanie regulowania zarobków przez państwo. W tym względzie podzielamy w zupełności jego zdanie. Dopóki ceny towarów określać będzie wolna konkurencya, dotąd i o cenie pracy będzie musiało rozstrzygać prawo podaży i popytu na zasadzie swobodnéj umowy stron. Gdyby państwo zechciało normować wysokość płac roboczych, musiałoby zarazem zagwarantować minimalne ceny produktów pracy, inaczéj bowiem mogłoby doprowadzić przedsiębiorców do bankructwa. Jest to prawda tak jasna i prosta, iż niepodobna pojąć, jak jéj ktoś może nie zrozumiéć. Że zaś przy wymianie międzynarodowéj, na któréj oparty jest cał-

kowicie dzisiejszy system produkcyi wszystkich krajów cywilizowanych regulowanie cen towarów przez państwo jest niemożliwe, tego nawet dowodzić nie potrzeba:

Co do tak zwanego „prawa do pracy“, czyli podjęcia przez państwo obowiązku dostarczania pracy zarobkowéj każdemu obywatelowi, który jéj w zakładach prywatnych znaleść nie może, to wprowadzenie go w życie uważa autor za możebne jedynie pod warunkiem, ażeby państwu przysługiwało zarazem prawo regulowania wzrostu ludności. Inaczéj bowiem, przy znanéj lekkomyślności w zawieraniu związków małżeńskich wśród warstw najuboższych, prawo do pracy stałoby się instytucyą wychowawczą dla dziedzicznych nędzarzy. Gani téż angielski ekonomista podejmowanie przez państwo prac publicznych w celu dania zarobku robotnikom pozbawionym zajęcia, jak to miało miejsce kilkakrotnie w wieku bieżącym we Francyi, lecz godzi się natomiast z obowiązującém w jego ojczyźnie *prawem o ubogich*. Na zasadzie tego prawa, wydanego po raz pierwszy w r. 1601 przez królowę Elżbietę dla saméj Anglii, przywróconego w niéj po rozmaitych mniéj szczęśliwych zmianach w r. 1834 i rozciągniętego z pewnemi modyfikacyami w r. 1838 na Irlandyą, a w kilka lat późniéj i na Szkocyą, każda parafia obowiązana jest utrzymywać wszystkich swoich mieszkańców, nie mogących sobie znaleść środków do życia. Dla zebrania potrzebnych na ten cel funduszów, władze miejscowe upoważnione są do nakładania na własności nieruchome, to jest ziemie i domy, pewnego podatku. Ci jednakże z pomiędzy ubogich, którzy zdolni są do pracy nie mają wogóle prawa (chociaż dopuszczają się w tym względzie wyjątki) otrzymywać wsparcia w swych mieszkaniach, lecz obowiązani są przebywać w t. zw. *domach pracy*, gdzie poddani zostają rozmaitym ograniczeniom swobody osobistéj, surowemu rygorowi w sposobie życia. Tak np. z wielką trudnością dozwala im się przyjmować odwiedziny znajomych; młodym małżonkom nie wolno zamieszkiwać razem itp. Dzieje się to dla tego, ażeby domy pracy nie stały się przytułkiem dla próżniaków, którzy chcieliby pędzić wygodne życie bez trudu. Natomiast wstęp do takiego domu otwarty jest dla każdego mieszkańca odpowiedniéj parafii bez żadnych trudności. Tym sposobem domy pracy zabezpieczają wszystkich poddanych angielskich od głodowéj śmierci, lecz czynią życie swym pensyonarzom na tyle przykrém, że nikt do nich bez konieczności się nie zapisuje i dłużéj nad nieodzowną potrzebę w nich nie pozostaje. Jest to system dla biedaków, którzy na swą nędzę niczém nie zasłużyli, bezwątpienia zbyt surowy i niesprawiedliwy, lecz ze względu na potrzebę zapobiegania próżniactwu i niesumiennemu

wyzyskowi miłosierdzia przez ludzi zdolnych do pracy może—niezbędny. Tak przynajmniéj dowodzi Fawcett, powołując się na doświadczenia przeszłości. Od roku bowiem 1750 do 1834 prawo o ubogich uległo w Anglii pod wpływem idei humanitarnych znacznemu złagodzeniu, zwłaszcza co do udzielania wsparć ludziom zdolnym do pracy, skutek zaś téj szlachetnéj łagodności był taki, że pauperyzm wzrósł do niesłychanych przed tém rozmiarów. Podatek na ubogich dosięgnął w wielu parafiach tak znacznéj wysokości, że pochłonął przeszło połowę dochodów, płacących go właścicieli majątków nieruchomych. Ta to właśnie okoliczność spowodowała, iż parlament angielski zmuszony był przywrócić dawne prawo Elżbiety w całéj jego surowości.

Ciekawy jest bardzo fakt, że głośna anarchistka francuska, Ludwika Michel, doznała, jak zapewnia Fawcett, bardzo miłego wrażenia w podróży swéj do Londynu w r. 1883, poznawszy systemat angielskiego prawa o ubogich. Zwiedzając dom pracy w Lambeth, odezwała się, że „gdyby ubodzy we Francyi posiadali podobne urządzenia, któreby im zapewniały legalne zabezpieczenie w razie ostatniéj nędzy, do wielu skarg zniknęłyby powody i ona nie miałaby potrzeby podnosić głosu za ich usunięciem.“

Za najpewniejsze środki poprawy bytu robotników, mających zajęcie, podaje Fawcett podniesienie ich oświaty i wykształcenia fachowego, oraz związki robotnicze (*trade-unions*), stowarzyszenia współdzielcze i udział w zyskach z przedsiębiorstwa. „Nie ulega wątpliwości—mówi autor, dowodząc wpływu oświaty na polepszenie doli pracowników,— że robotnik inteligentny jest zwykle produkcyjniejszy od robotnika nie inteligentnego. Zmiany w procesach przemysłowych, jakie bywają następstwem udoskonalenia narzędzi, przyswoi sobie zawsze prędzéj i łatwiéj człowiek z pewném wykształceniem. Wreszcie, nie trzeba spuszczać z uwagi wpływu, jakiego należy oczekiwać na samę skuteczność przemysłu, jeżeli podniesie się poziom moralny robotnika. Im więcéj robotnik zasługuje na zaufanie pracodawcy, im jest uczciwszy, tém mniéj wymaga kosztownéj nad sobą kontroli i dozoru. Jeżeli pracuje pilnie z pewną myślą przewodnią, robota jego polepsza się, zarówno pod względem jakości, jak i ilości, a w warunkach takich, każdy nakład, zrobiony z kapitału i pracy, opłaca się daleko korzystniéj; znajdzie się zawsze nowe jakieś źródło, przy pomocy którego, zarówno praca jak i kapitał, mogą miéć wszelki tytuł do dodatkowéj nagrody.“ Należy przytém dodać, że Fawcett uważa podniesienie zarobków za sprawiedliwe i pożądane tylko wtenczas, kiedy ono nie przynosi żadnego uszczerbku zyskom przedsiębiorcy, lecz owszem wywołuje równo-

legły ich wzrost. Że to nie zawsze może mieć miejsce i że takie życzenia dla robotników są cokolwiek zbyt... *skromne*, przyzna nam chyba każdy szczerze współczujący niedoli tych milionów biedaków, którzy pracując nad siły, całe życie napróżno borykają się z nędzą. Zdaniem naszém, słuszną by było rzeczą odjąć na ich korzyść pewną część zysków bogaczy, do czego wreszcie dążą już dzisiaj pod naciskiem opinii ogółu wszystkie rządy państw cywilizowanych rozmaitemi drogami.

Jednę z tych dróg między innemi stanowi utrzymywanie szkół bezpłatnych kosztem państwa. W Anglii zostały one zaprowadzone prawem z r. 1870. Fawcett przyznaje temu aktowi bardzo dobroczynny wpływ tak na podniesienie poziomu moralnego i umysłowego robotników, jak i na płynące stąd korzyści dla pracodawców i bogactwa, oraz dobrobytu narodowego wogóle; żałuje on nawet, że z pod prawa tego wyjęta została Irlandya i domaga się dla niéj sprawiedliwości w tym względzie; a jednakże pomimo to wszystko liberalny wstręt do interwencyi państwa zdołał go skłonić do wyrażenia poglądu, iż lepiéj by było, gdyby prawo to miało charakter jedynie środka przejściowego i żeby ludność uboga była zmuszona z czasem sama myśléć o sposobach kształcenia swych dzieci i sama ponosić potrzebne na ten cel koszta. Co dziwniejsza, to to, że ile razy autor występuje przeciwko pomocy dla ubogich ze strony państwa, czyni to zawsze niby w imię ich własnego dobra, przytaczając najczęściéj jako argument w tym względzie tę okoliczność, że państwo czerpie swoje dochody prawie wyłącznie z podatków, a te najcięższéj dotykają zazwyczaj właśnie ludność ubogą. Prawda, ale odeprzéć na to można naprzód, że w każdym razie pewną część podatku, z którego skorzystają biedni, zapłacą bogaci, a następnie, że rozkład podatków pomiędzy rozmaite warstwy ludności zależy często wyłącznie od woli rządu; słuszniéj by więc może było domagać się od niego oszczędzania w takich razach biedaków, aniżeli nie robienia dla nich niczego z tego powodu, że oni zazwyczaj płacą większą część ciężarów państwowych. Gdzie logika, gdzie etyka, która do takich wniosków i żądań upoważnia?!

Związki robotnicze *(trade-unions)* pozyskują sobie uznanie autora dzięki temu, iż są wytworem wolności i samopomocy, lecz z téj saméj też zasady domaga się on surowych kar za wszelkie z ich strony gwałty i wywieranie przymusu na robotników, nie chcących się łączyć. Robotnik odosobniony, nie mający żadnych zasobów pieniężnych i zmuszony skutkiem tego zgodzić się na wszelkie warunki, byleby jako tako mógł wyżyć, znajduje się wobec pracona-bywcy w położeniu bardzo niekorzystném. Dla zrównoważenia

więc pozycyi muszą się pracownicy łączyć pomiędzy sobą w celu wzajemnego wspierania się i wspólnéj obrony od wyzysku ze strony kapitalistów. Walkę taką środkami pokojowemi uważa Fawcett za zupełnie naturalną i konieczną, a jakkolwiek ubolewa nad szkodami, jakie obu stronom przynoszą zmowy, to jednakże nie uważa za rzecz słuszną prawnego ich zakazu. Zakazy takie są nadto zbyteczne już z tego powodu, że ofiary i cierpienia, jakie ponosić muszą robotnicy w czasie bezrobocia, mogą być uważane za zupełnie wystarczający hamulec przeciwko ich nieoględności. Podobnież z drugiéj strony obawa strat, wyrządzanych przez dłuższą przerwę w produkcyi, czyni i przedsiębiorców skłonniejszymi do ustępstw na rzecz słusznych żądań ich pracowników. Tym sposobem wzajemne nieporozumienia przy wolności zmów wyrównywają się łatwiéj i z większém prawdopodobieństwem zadośćuczynienia wymaganiom sprawiedliwości, aniżeli przy systemacie zakazowym.

Za najlepszy sposób zapobieżenia zmowom uważa Fawcett dopuszczenie robotników do udziału w zyskach. Przytacza on kilka przykładów podobnego postępowania z robotnikami, które wydały świetne rezultaty dla stron obu, o ile zawarte umowy były sumiennie dotrzymywane przez pracodawców. Nie zawsze to jednakże miało miejsce. Winniśmy przytém dodać, że dbałość angielskiego liberała o dobro robotników jest i tu, podobnie jak w innych kwestyach, bardzo umiarkowana. Udział robotników w zyskach uważa on za pożądany i potrzebny głównie tam, gdzie dozór nad pracownikami jest trudny z powodu ich rozproszenia w czasie zajęć, a więc przedewszystkiém w rolnictwie, oraz w tych rodzajach przemysłu, gdzie nie można znacznéj liczby robotników skupić w jednym warsztacie pod okiem właściciela lub dozorcy. I tu więc właściwie chodzi głównie o interes przedsiębiorców, nie robotników. Zdaniem mojém, kwestyą tę należałoby traktować z innego zupełnie stanowiska, a mianowicie uznać *prawo* robotników do udziału w zyskach i domagać się uregulowania zasad tego udziału odpowiednią ustawą. Prawo to powinno przysługiwać robotnikom jako wynagrodzenie za ryzyko utraty zarobku w razie ograniczenia produkcyi, oraz jako zachęta do usilniejszéj i skuteczniejszéj pracy, do najmożliwszego oszczędzania narzędzi i materyałów i wogóle do starań o powodzenie przedsiębiorstwa, a wreszcie jako środek zaprowadzenia sprawiedliwszego podziału bogactw w społeczeństwie. Do żądania tego nie można zastosować żadnego z tych zarzutów, jakie słusznie czynią ekonomiści projektom socyalistów rewolucyjnych, lecz na bliższy rozbiór téj sprawy nie mamy tu miejsca. Wkrótce zapewne poświęcimy jéj w *Ateneum* oddzielny artykuł.

Rozdział o stowarzyszeniach współdzielczych jest w książce Fawcetta najlepiéj może opracowany i na równi z rozdziałem, poświęconym prawu o ubogich, bardzo zajmujący. Główne w nim miejsce poświęcono naturalnie historyi dzielnych „pionierów Rochdalskich.“ Przytoczonych przez autora szczegółów powtarzać tutaj nie będziemy, odsełając czytelnika do saméj książki. Nadmienimy tylko, iż wzmiankowane stowarzyszenia cieszą się zupełném i zupełnie zasłużoném uznaniem uczonego profesora. Przeciwny on jest tylko zakładaniu ich z pomocą państwa, jak tego chcieli Ludwik Blanc i Ferdynand Lassalle. W téj sprawie podzielamy w zupełności pogląd autora, gdyż przemawia za nim zarówno teorya, jak praktyka. Dotychczasowe doświadczenia historyczne, w tym kierunku dokonane, wykazują, że te tylko stowarzyszenia rozwijają się pomyślnie, które powstały drogą własnych usiłowań, wszystkie zaś powołane do życia przez państwo upadły, a nawet z tych, które tylko otrzymały wsparcie od rządu, utrzymało się zaledwie jedno.

Jeżeli do tego, cośmy wyżéj przedstawili, dodamy jeszcze kasy oszczędności, kasy chorych i wzajemnéj pomocy, zakładane z własnéj inicyatywy robotników i utrzymywane głównie z ich własnych funduszów z niewielkim niekiedy dodatkiem *dobrowolnych* ofiar ze strony łaskawych pracodawców, to wyczerpiemy już cały arsenał środków poprawy bytu klasy robotniczéj, uważanych przez Fawcetta za jedynie racyonalne i niezawodnie prowadzące do celu. Trzeba dodać, że wielu innych ekonomistów szkoły liberalnéj posuwa się jeszcze daléj w uwielbieniu dla samopomocy i potępia bezwarunkowo nawet szkoły bezpłatne i angielskie prawo o ubogich. Żadnéj interwencyi państwa: wolność nieograniczona śmierci głodowéj, lub wybicia się na wierzch własnemi siłami!—oto ich hasło!

Tymczasem wszystkie, zalecane przez Fawcetta, instytucye wprowadzone zostały w Anglii w życie oddawna i większość ich rozwinęła się już nawet potężnie i wspaniale, a pomimo to setki tysięcy ludzi są tam dotąd pogrążone w ostatniéj nędzy, miliony zaś w dotkliwym niedostatku stoją ciągle nad jéj brzegiem, który się lada chwila zarwać może. Dla zniesienia więc tego zła samopomoc widocznie wystarczyć nie może.

I państwo bezwątpienia cudów nie dokaże i raju na ziemi dla wszystkich ludzi zaprowadzić nie zdoła, lecz kiedy do niedawna miało ono głównie, a może nawet wyłącznie na pieczy interesa warstw uprzywilejowanych, to musi i powinno teraz zwrócić się w przeciwnym kierunku, by wyrządzone upośledzonéj większości za jego pomocą, lub pod jego ochroną krzywdy i szkody do pewnego stopnia przynajmniéj naprawić.

Ze wszystkiego tego, cośmy wyżéj powiedzieli, wynika, że broszura Fawcetta nie może być bynajmniéj uważana za jakąś ewangelią rozumnych poglądów na kwestyą robotniczą. Ponieważ jednak zawiera ona wiele wiadomości pożytecznych i ciekawych, obok niejednéj myśli zdrowéj, przeto polecamy ją łaskawym względom naszych czytelników. Czynimy to tém goręcéj, że tłómacz cały zysk z wydawnictwa przeznaczył na rzecz ulepszeń w szpitalu na Pradze, którego jest kuratorem. Źle by więc było, gdyby jego dobre chęci i bezinteresowna praca, wyłożona w kierunku tak pożytecznym i na cel tak sympatyczny, miały nie przynieść spodziewanych przez niego owoców.

Pod względem formy wykład Fawcetta jest jasny i popularny, a tłómaczenie polskie staranne i poprawne.

W. Wścieklica.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Rzecz o Socyalizmie napisał Mścisław Edgar Trepka doktór filozofii. Warszawa. 1888. T. I. XXVIII + 229; T. II. str. 233.

Obeznanym cokolwiek z przedmiotem traktowanym przez autora wiadomo, jak w literaturze naszéj głucho o wilkołaku zwanym socyalizmem: parę broszur, kilka artykułów po czasopismach, parę tłómaczonych książek, oto wszystko, co ostatniemi laty ogłoszono. Więc też „rzecz“ p. Trepki, jako obszerniejszy traktat o bardzo interesującym przedmiocie, zasługuje na bliższe poznanie.

W tych dwóch tomikach mamy zawarte 3 części: w pierwszéj znajduje się pobieżny rzut oka na doktryny socyalistyczne od najdawniejszych do naszych czasów; w drugiéj mamy pobieżną krytykę mniemań socyalistów o głównych i drugorzędnych czynnikach produkcyi, a zatém krytykę pojęć socyalistycznych o ziemi, kapitale, pracy, kredycie itp. Autor przeprowadza tę krytykę porównawczo, przypominając czytelnikowi czego i jak o tych przedmiotach uczy ekonomia, a jak się na nie zapatruje socyalizm. Nareszcie w części trzeciéj, zatytułowanéj „Reformy społeczne“, dowiadujemy się jakieby należało zaprowadzić reformy w sferze umysłowéj i moralnéj tudzież w zakresie bytu materyalnego.

Zacznijmy od części pierwszéj i idźmy kolejno z autorem od jednego rozdziału do drugiego. Część ta, jak powiedziano, obejmuje szkic historyczny doktryn socyalistycznych. Jest to bardzo dobra metoda, gdy piszący o pewnym przedmiocie starał się sam poznać i następnie chce czytelnika nauczyć, co przedtém w tejże sprawie mówiono i pisano. Tym sposobem zaznajamiamy się z wielu punktami, które późniéj szczegółowo będą roztrząsane. Autor szuka początków socyalizmu już w starożytnym Wschodzie, ale tam go nie

znajduje i uważa za całkowicie zbyteczne badać „czy własność była podówczas indywidualną, czy wspólną“ (I, 25). Nie wiemy, dlaczego miałoby to być zbyteczne, ani dlaczego takie badanie „może zajmować archeologów“, mogłoby ono bardzo dobrze zajmować i ekonomistów, jak niejednego z nich zajmowało.

Bądź co bądź, kolebki socyalizmu na Wschodzie nie znajdujemy. Szukajmy jéj w Grecyi. Tu znów zamiast socyalizmu, mamy krótki szkic o organizacyi społecznéj i taką konkluzyą: „około VI w. przed Chr. wyswobodzenie klas niższych staje się faktem dokonanym“ (I, 29); tymczasem na następnéj stronnicy czytamy, że „cudowny i barwny kwiat swobód publicznych Grecyi wybujał na grubéj warstwie niewolniczego nawozu“. Jakież to więc było wyswobodzenie klas niższych? Jeżeli Ateny w IV w. przed Chr. na 400000 mieszkańców liczyły zaledwie 21000 wolnych obywateli, co znaczy frazes o wyswobodzeniu klas niższych? Autor miarkuje zatém swoję pochwałę, dodając: „bez zaprzeczenia, są czarne plamy i na greckiém słońcu“ (I, 31).

Teraz przeskakujemy do Platona, którego, jak utrzymuje autor, nowocześni socyaliści chcą podać za ojca swoich teoryi. Rzeczywiście, rozebranie i ocenienie Platońskiéj rzeczypospolitéj, byłoby na miejscu w dziejach komunizmu; ale trzebaby tego rozbioru dokonać bardziéj szczegółowo i wskazać różnicę jaka zachodzi między „Rzecząpospolitą“ a „Prawami“ Platona. Autor zaś upewnia tylko, że Platon „nie jest bynajmniéj socyalistą“. Istotnie, Platon nie jest socyalistą w duchu Lassalle'a lub Marxa, ale bo téż wówczas o dzisiejszym socyalizmie nikomu się nie śniło; nie było do niego gruntu, nie było wielkich legionów wyzwolonego proletaryatu. Swoją drogą, dać poznać treściwie czytelnikowi poglądy Platona na organizacyą społeczną taką, jaką on sobie wyidealizował, oparty na tém, co koło siebie widział—byłoby może pożyteczniéj, niż patetycznie wołać: „Platon *wyklucza* (zapewne usuwa) ze swéj rzeczypospolitéj nauki i sztuki: niewdzięczny!“ (I, 34).

Z kolei przelotem wstępujemy do Rzymu, gdzie wprawdzie niektórzy autorowie, jak Pliniusz, Marek Aureliusz, głoszą bardzo humanitarne czasami idee, które p. T. wysoko podnosi, wołając: „co za różnica naprzód, co za odskok od Grecyi uświęcającéj niewolnictwo“ (I, 42); jednakże nie było się z czego cieszyć, bo los niewolników rzymskich był opłakany. W dziejach Rzymu o socyalizmie nie słychać, chybabyśmy do téj kategoryi zaliczyli agrarne pokuszenia Grachów lub bunt Spartacusa: ale autor tego zdania nie podziela. Skoro zatém w Rzymie o socyalizmie nie słychać, opuszczamy go i przechodzimy do świata chrześcijańskiego.

Zdarza się nieraz czytać twierdzenie, jakoby początkowa gmina chrześciańska w Jerozolimie była komunistyczną, jakoby ideał życia chrześciańskiego najwidoczniéj wcieliły klasztory. Jest to nieścisłe. Od życia na wspólności dóbr opartego, od ubóstwa uważanego za cnotę, do komunizmu niezmiernie daleko. Autor téż nie solidaryzuje chrześciaństwa z socyalizmem, ale to, co o niém mówi wymagałoby dłuższéj dyskusyi, by się z nim można zgodzić. Raz powiada, że chrześcianizm nie zagrzewał do pracy produkcyjnéj, że idealnym jego typem jest nie robotnik, lecz żebrak (I, 44); że nie wyzwolił niewolnika, nie równouprawnił kobiety—a tuż za tém czytamy, że chrześcianizm „wyanielił“ jednostkę za pomocą dobrowolnych męczarni, modlitwy i umartwienia. Chrześcianizm nie był w stanie zreformować rządu i społeczeństwa rzymskiego, może nawet byłby się posunął do „apostazyi“, ale go wyratowali z téj otchłani barbarzyńcy germańscy (I, 46). Nie mamy miejsca na polemizowanie z autorem; zauważymy tylko, że w téj charakterystyce dużo jest niekonsekwencyi, a najgorsza, że nie znajdujemy rodziców socyalizmu. Jakoż, p. T. konkluduje, że ani pośród myślicieli greckich, ani w Rzymie, ani w chrześciaństwie nie mógł znaleźć ojca socyalizmu (I, 47).

Może w wiekach średnich znajdziemy socyalizm? Autor załatwia się z niemi krótko:—powiada bowiem, że „kilka (ile?) wieków ery naszéj,“ słusznie (?) powleczone zostały cieniem nocy“ (I, 48); zkąd tedy p. T. dowiedział się, że „los robotników miejskich i klasy rzemieślniczéj nie był w pierwszéj połowie wieków średnich godzien zazdrości“ (I. 54). Przypuszczamy, że tak było—tylko trzebaby złożyć dowody szczegółowe. Tak samo, gdy autor mówi o drugiéj połowie średnich wieków, o feodalizmie, radzibyśmy się dowiedziéć czegoś o poruszeniach pospólstwa w Anglii i Francyi, o tych ludziach, którzy śpiewali: Kiedy Ewa kądziel przędła, Adam ziemię kopał, Nikt nikogo nie panał, nie chłopał. Tymczasem p. T. wspomina o Wat-Tylerze i o Żakeryi zaledwie w kilku wierszach. Warto przeczytać co o Tylerze i rozruchach w Anglii pisze J. Rogers (*Six centuries of work and wages*); znalazłby się początek socyalizmu prędzéj, niż w Grecyi i Rzymie. Oczywiście, ludzie ówcześni jeszcze nie sformułowali pojęcia nadwartości (*Mehrwerth*); ale możnaby ich wystąpienie związać z dzisiejszym socyalizmem bez zbytecznego naciągania.

Zbaczamy do utopistów średniowiecznych—szkoda jednak, że o żadnym nie znajdujemy wzmianki; ci zaś, o których autor wspomina, jak Savonarola, Morus, Campanella lub Harrington, nie należą do średnich wieków. Że zaś w wiekach średnich nie brakło marzy-

cieli i demagogów z dążnościami komunistycznemi, którzy jeszcze przed Proudhonem własność nazywali kradzieżą, to powinno być wiadomém z dziejów kościelnych i świeckich.

Zbaczamy do Francyi, i dowiadujemy się nareszcie, kto był ojcem socyalizmu nowoczesnego—oto nie kto inny, tylko Colbert (I, 80). Gdyby p. T. dodał, że w robotach Colberta znać to, co dzisiejsi nazywają socyalizmem państwowym, możnaby się z pewném zastrzeżeniem zgodzić na taką kwalifikacyą potężnego ministra; w przeciwnym razie, nie widzimy jego ojcowstwa, ani związku z socyalizmem nowoczesnym. Przed opowiadaniem o reformach Colberta we Francyi należało dłużéj i szczegółowiéj roztrząsnąć ruch komunistyczny widoczny w wojnie chłopskiéj i pokuszeniach Anabaptystów. Jakoż, autor dotyka tego przedmiotu, ale tak przelotnie, iż z jego dorywczych uwag nie można wynieść pojęcia, do czego ruch ówczesny zmierzał. Dzisiejsi socyaliści bardzo chętnie cofają się do wojen chłopskich (Engels, Lassalle), widząc w nich zwiastuny swoich dążności.

Fizyokratyzm i idee humanitarne wieku XVIII, o których p. T. mówi w osobnym rozdziale, mają rzeczywiście związek z nowoczesnym socyalizmem, najprzód ze względu na głoszoną wówczas powszechnie zasadę swobody wszelkiéj pracy—*laisser faire*—za którą poszło we Francyi zniesienie cechów i przygotowywanie rąk wolnych do wielkich fabryk; powtóre, ze względu na idee rozwijane przez encyklopedystów. Niewątpliwie i Rousseau i Voltaire posieli sporo idei humanitarnych, chociaż socyalizmu dzisiejszego nie przeczuwali.

To, co autor opowiada o Rewolucyi francuskiéj i jéj reformach w porządku społecznym i politycznym, także zostaje w związku z utopiami socyalistów francuskich z pierwszéj połowy wieku bieżącego—żeby jednak w rozwoju ludzkości nie było „ważniejszego epizodu“ nad owo wstrząśnienie, zapewne nie wszyscy się zgodzą. Słowem, historyczne wzmianki, mające na celu poszukiwanie protoplastów spółczesnego socyalizmu, jako pewnéj teoryi ekonomicznéj, dają plon bardzo skąpy. Właściwie, początku socyalizmu należy szukać w rozwoju wielkiego przemysłu fabrycznego, a więc w drugiéj połowie przeszłego i w bieżącym wieku.

Gdyśmy dotarli nareszcie do téj fazy gospodarstwa społecznego, w któréj staje się ono przemysłowo-fabryczném, stajemy oko w oko z rodzącym się proletaryatem, a tém samém i z socyalizmem.

Najwięcéj stosunkowo miejsca poświęcił p. T. socyalistom francuskim i to dawniejszym, jak St.-Simon, Enfantin, Fourrier, Cabet, Blanc, Proudhon i inni—za to o nowszéj fazie socyalizmu we Fran-

cyi (po 1871) nie znajdujemy żadnych wiadomości: ztąd obraz ten wygląda jakby nieco przestarzały i niedokończony.

Jeszcze ułomniéj naszkicowany socyalizm w Niemczech, — wprawdzie spotykamy się tu z nazwiskami Rodbertusa, Lassalle'a i Marxa, ale prace ich teoretyczne i agitacya są bardzo pobieżnie traktowane. Również pobieżnie nakreślono uwagi o stowarzyszeniu międzynarodowém robotników (internacyonał).

Pojmujemy, że autor nie zamierzał pisać historyi socyalizmu, lecz tylko wstęp niejako do niéj; zawsze jednak trzebaby taki wstęp o wiele mniéj potrzebnych dygressyi skrócić, a wiele potrzebnych szczegółów dodać, ażeby przedsionek ściśléj spoić z resztą budynku. Zaniedbano np. powiedziéć cośkolwiek o ruchu socyalistycznym w unii północno-amerykańskiéj, o chartystach w Anglii, o takichże objawach w Hiszpanii i Włoszech.

W ostatnich rozdziałach (od XVIII) zastanawia się p. Trepka nad pytaniem, o ile państwo, kościół i nauka mogą być uważane za sprzymierzeńców socyalizmu. Państwo weszło po części na drogi, jakie socyalizm wskazywał, głównie w Niemczech przy spółdziale i za inicyatywą ks. Bismarcka. Oczywiście, państwo chce tą drogą sparaliżować roboty socyalistów i odciągnąć od nich klasy pracujące, przez zapewnienie im opieki na starość lub w chorobie. Trudno dla téj jego dążności nazywać państwo sprzymierzeńcem socyalizmu, jak czynią feudalni junkrzy; ale p. Trepka jest liberalnym reformistą i chciałby społeczeństwo zbawić nie przez rządy, lecz przez społeczeństwo.

Czy chrystyanizm i kościół mogą być uważane za sprzymierzeńców socyalizmu? Autor sprawiedliwie twierdzi, że pomimo idei braterstwa, wspólnéj chrystyanizmowi i socyalizmowi, pomimo zwracania się obu do mas ludowych, słuszność nie pozwala utrzymywać, ażeby kościół urzędowo, jako organizm stanął po stronie socyalizmu walczącego przeciw rodzinie, własności i religii (I, 198). Upatruje wszakże pewne zbliżenie między obu dopiéro za dni naszych w Niemczech (Ketteler). Objawem tego zbliżenia są związki robotników, majstrów i czeladzi, a także wieśniaków. Wszystko to prawda; ale nieprawdą jest, jakoby kościół przyczynił się w znacznéj części do agitacyi socyalistycznéj, jakoby się solidaryzował z socyalizmem demagogicznym (I, 200—201). Kościół jak gdzieindziéj tak i w Niemczech dąży do rozbrojenia socyalizmu demagogicznego, pragnie zażegnać burzę przezeń gotowaną, odmawia rozgrzeszenia członkom należącym do towarzystw socyalistycznych, a nareszcie formalnie potępił go w encyklice Leona XIII (1878).

Co do spółudziału nauki, *respective* ekonomii politycznéj, w popieraniu dążeń socyalistycznych, rzeczywiście pewien odcień ekonomistów, zwanych *Katheder-socialisten* (Ad. Wagner, Brentano, Held, Schäffle) o tyle może być uważany za stronnika socyalizmu państwowego, o ile chciałby rozmaite instytucye publiczne lub przedsiębiorstwa powierzyć eksploatacyi państwa, o ile zaleca środki prawodawcze w dziedzinie pracy, ubezpieczeń lub zdrowotności, ażeby poprawić los klasy robotniczéj. Jest-to więc nadużycie wyrazu, gdy się takie dążenia utożsamia z socyalizmem wojującym.

Skończyliśmy przegląd historycznéj części dzieła p. Trepki, okazując, że wiele mu brakuje do pożądanéj dokładności; teraz przyjrzyjmy się dalszemu ciągowi, t. j. części drugiéj.

Część druga rozpoczynająca drugi tomik pracy p. Trepki zawiera, jak wyżéj nadmieniono, dogmatyczno-krytyczny wykład pojęć socyalizmu o głównych i podrzędnych czynnikach produkcyi. Autor postępuje tu metodą porównawczą, mianowicie zastanawia się nad pojęciami socyalizmu o własności ziemskiéj, kapitale, pracy i zarobkach, jako pierwszorzędnych czynnikach produkcyi, tudzież o drugorzędnych, jak machiny, kredyt, i przeciwstawi tym pojęciom pojęcia ekonomii politycznéj. Oprócz tego, rozważa podział dochodu społecznego i zadanie państwa w gospodarstwie społecznèm.

Wiadomo, że nawet najbardziéj konserwatywni ekonomiści przyznają teraz socyalizmowi niejaką słuszność w krytyce dotychczasowéj ekonomii; otóż byłoby bardzo pożądaném, ażeby ekonomiści ze swojéj strony przesieli krytyczném sitem pojęcia, sofizmata i paradoksa socyalizmu. Jakoż, nie zaniedbano tego obowiązku i dzisiaj niemasz ekonomisty, któryby się nie rachował z tym obowiązkiem. Nie wyliczamy ich, dodajemy tylko, że między innymi, porządną odprawę socyalizmowi dał Leroy-Beaulieu (*Le collectivisme, examen critique du nouveau socialisme.* 1884).

Idziemy koleją rozdziałów i przyglądamy się, co zawiera pierwszy zatytułowany: Socyalizm i organizacya społeczna. Organizacya społeczna, jaką dzisiaj widzimy, przejawia się w rodzinie, gminie, prowincyi i państwie; do tych czterech ogniw dodawszy naród i ludzkość, będziemy mieli cały łańcuch społecznych czynników. Kościół jest także niepoślednim czynnikiem, ale autor dość lekko go traktuje, mówiąc, że „obecnie powaga kościoła przestała być koniecznością i z rzędu instytucyi koniecznych zeszła do rzędu możliwych“ (II, 5). Twierdzenie to ani jasne, ani z rzeczywistością zgodne, jak świadczą spółczesne zdarzenia w państwach europejskich. Wszakże nie chcemy rozpoczynać w tém miejscu polemiki i poprzestajemy na zaznaczeniu naszéj niezgodności z autorem.

Organizacya społeczna teraźniejsza jest wynikiem długiéj przeszłości i wielu krwawych walk, owocem zaś jéj wyzwolenie jednostki najprzód z niewoli, potém z poddaństwa i ze służebności. Wyzwolenie to jest rodzajem świętości, dodaje autor. Ani słowa— tylko medal ten ma i drugą stronę; jednostka stała się wolną, jedynie brak jéj środków do spożytkowania wolności, brak jéj pracy i co zatém idzie, chleba: wolno jéj umierać. Wybornie taką wolność scharakteryzował już rzymski poeta mówiąc, że wolność ubogiego jest taka:

Odepchnięty, prosi, a gdy go skułakują, błaga
By mu wolno było odejść z resztką zębów.
(Libertas pauperis haec est:
Pulsatus rogat, et pugnis concisus adorat
Ut liceat paucis cum dentibus inde reverti).

Autor miarkuje przecież ten dytyramb na cześć wolności i rozumie błąd indywidualizmu, który mniema, że wyzwoliwszy osobnika ze wszystkich więzów, dał mu wszystko, co mu dać należy. Biada osamotnionemu! Społeczeństwo nie jest kupą piasku, a jednostki jego, to nie ziarnka piasku, lecz osoby, ludzie, których wiążą interesa, uczucia, idee — więc nie możemy być sobie obcy i obojętni. Właśnie socyalizm, jako przeciwstawienie indywidualizmu, chciałby jednostki związać, ale zarazem pozbawić je wolności, odebrać im własność i skazać na życie niemal więzienne, wprawdzie bez głodu, ale i bez tych dodatnich stron bytu, które się tylko pod wolnością rozwijają. Lekarstwo gorsze zaiste od choroby.

Po jednostce następuje w organizacyi społecznéj rodzina, z początku patryarchalna, potém klasyczna. O stanie społeczeństwa przedpatryarchalnym p. T. nie wspomina, a nawet dodaje, że „niepodobna wymarzyć takiego dzikiego stanu, gdzieby nie istniała“ (II, 12). Autor zdaje się nie wiedzieć o pracach nowszych etnografów i o tym stanie społeczeństwa, który nazywają matryarchalnym. Trzeba przypuścić, że w owym prastarym wieku rodzina (jeżeli można tak nazywać chwilowy związek) wyglądała inaczéj, niż w epoce patryarchalnéj; dzisiaj może nie jest „sanktuaryum“, jak obrazowo mówi p. T., ale jest godną poszanowania instytucyą. Czy socyalizm uważa małżeństwo i rodzinę tylko za środek zaspakajania popędów cielesnych, czy chce z niéj mieć tylko szkołę ciasnego egoizmu, jak twierdzi autor, nie będziemy się o to spierali; ale to pewna, że jemu chodzi nie tyle o rodzinę, co o spadkobranie w rodzinie. O téj ostatniéj, socyaliści nie sformułowali jasno swojego zdania; zwykle wymyślają na „mieszczuchów“, że małżeństwo uczynili spekulacyą pieniężną, że zamienili kobiétę na niewolnicę, na zbytkowny mebel, na *Kindergebärmaschine*.

Że socyalizm chce zachować organizacyą państwową tylko póty, pókiby przez państwo nie zlikwidował całego społecznego zasobu, to nie ulega wątpliwości, i to, co autor mówi o stosunku jego do państwa, jest dość wiarogodne; ale nie pisalibyśmy się na twierdzenie, iż „teorya utrzymująca, że w miarę postępu cywilizacyi rola państwa stanie się coraz mniejszą, jest chorobliwą mrzonką“ (II. 27). Nie mogąc znać tych form bytu społecznego, jakie odleglejsza przyszłość zrodzi, powiedzielibyśmy, iż na teraz forma państwowa jest potrzebna, albowiem w jéj ramach indywidualność narodowa najbezpieczniéj się przechowuje. Socyaliści jednak narodowość lekceważą.

Ziemię jako czynnik produkcyi socyalizm pragnąłby z własności prywatnéj zamienić na ogólną. Dwie drogi nasuwają się do przeprowadzenia tego planu: albo przez podatek tak wysoki, iżby zmusił posiadacza ziemi pozbyć się jéj na rzecz państwa, albo przez doraźne wywłaszczenie teraźniejszych posiadaczy, a następnie wydzierżawianie za pomocą publicznéj licytacyi. Obie te drogi prowadzą do gwałtu i nie można się spodziewać, ażeby którekolwiek państwo cywilizowane chciało probować tego eksperymentu.

Tak samo i kapitał, jako drugi walny czynnik produkcyi, nie ma łaski u socyalistów; można powiedzieć, że krytyka socyalistyczna głównie bije na kapitał i kapitalistów. Tymczasem bez kapitału w téj lub innéj formie produkcya jest niemożliwa; socyaliści rozumieją to tak dobrze jak i ich przeciwnicy, dlatego nie myślą go niszczyć, tylko chcieliby go uczynić dostępnym dla mass wydziedziczonych. Dokonać tego można równie tylko gwałtem: odebrać mającym, a dać go pozbawionym. Rzeczywiście, taką likwidacyą socyaliści zapowiadają, a dokonać jéj ma proletaryat.

W tém rozumowaniu o potrzebie kapitału do produkcyi, autor w ogóle trzeźwo patrzy na rzeczy; nie pojmujemy tylko jakim sposobem dostało się tam zdanie, iż „niema żadnéj warstwy społecznéj, ba ani jednéj najuboższéj jednostki, któraby nie posiadała części, albo przynajmniéj cząsteczki kapitału“ (II. 42). Zapewne autor i sakwy dziadowskie uważa za kapitał, co byłoby prawdą, o ile czasami dziady w łachmanach chowają spore sumki na wyposażenie swoich córek.

Mówiąc o zarobku, p. T. zarzuca socyalizmowi, jakoby chciał, iżby robotnicy sami sobie oznaczali stopę płacy. Jestto twierdzenie mylne. Socyalizm chce zupełnie usunąć zarobek uważając go za nową formę niewoli. Autor o kilka wierszy przedtém słusznie zauważył, iż socyalizm potępia zarobek sam w sobie, nie wiemy zatem poco by doradzał robotnikom stanowienie jego stopy, na co

zresztą nie przystałby żaden przedsiębiorca. Autor daléj pociesza robotników, że zarobek nie ma w sobie nic upokarzającego—jakoż tak jest w istocie—ale mniéj uzasadnioną jest dla nich inna pociecha, że mogą sobie zakładać spółki kooperacyjne i sami być przedsiębiorcami. Zawsze w takim razie wystąpi pytanie, zkąd wziąć kapitału. Pomoc filantropów zawodna; pomoc ze skarbu musiałaby powstać kosztem kontrybuentów. Stowarzyszenia kooperacyjne cośkolwiek mogą zdziałać w rozwiązaniu problematu socyalnego, ale p. T. zdaje się przeceniać ich doniosłość (II., 60—64).

Nareszcie, gdy i spółki kooperacyjne nie pomogą, to czyż klassa robotnicza nie może się w razie bezrobocia i głodu nasycić z majątku ogólnego? Oto są szkoły, muzea, ogrody publiczne, parki, wystawy i t. p. Majątek ten rośnie „z gwałtownością śnieżnéj lawiny", można w nim czerpać jak w skarbcu otwartym (II., 97). Zdaniem autora, w tym skarbcu leży rozwiązanie (?) problematu socyalnego. Cała ta tyrada nie nasyci głodnego.

W części téj, którą rozważamy, mielibyśmy jeszcze niejedno do nadmienienia—ale i tak nad zamiar urosło to sprawozdanie; więc przechodzimy do trzeciéj i ostatniéj części zatytułowanéj „Reformy społeczne". Zabawimy tu krótko, bo autor dorzecznie radzi, iż dla wytrącenia broni z rąk socyalizmowi należy przedsiębrać reformy, nie rewolucye: reformy w dziedzinie bytu moralnego, umysłowego i materyalnego. A więc powiada p. T. „oczyścić, podnieść i spotęgować zmysł moralny w masach" (II. 119). Kto się ma podjąć tego zadania? Klasy przewodniczące, a to w imie własnego interesu, zabezpieczenia własnego bytu. Ale kto będzie oczyszczał zmysł moralny klas przewodniczących, jeżeli, jak się to zdarza, poziom ich etyczny wcale nie jest wyższy od poziomu klass niższych? Łatwiéj wskazywać obowiązki klasom wyższym, niż je skłonić do ich wykonywania.

W dziedzinie oświaty, radzi autor zakładać szkoły, a dzieci przyuczać do oszczędności, wydawać książki tanie, odpowiednie do stopnia rozwoju umysłowego, tworzyć biblioteki i czytelnie, ażeby klasy robotnicze odzwyczaić od szynkowni i rozbudzić zamiłowanie przyjemności szlachetniejszych.

W zakresie bytu materyalnego, należy dążyć do budowania zbiorowym kapitałem domów mieszkalnych dla klas pracujących, zakładać stowarzyszenia spożywcze w celu lepszego żywienia robotnika, inne stowarzyszenia dla zaopatrywania go w sprzęty domowe i odzież. Wiele zrobiono już w ulepszeniu mechanizmu pracy wglądając w warunki sanitarne fabryk, rozłączając pracowników męzkich i żeńskich, określając czas pracy i t. p. Jednakże więcéj je-

szcze zrobić na tém polu można i potrzeba jeżeli społeczeństwo chce się zabezpieczyć od wstrząśnień grożących pochłonieniem dotychczasowéj cywilizacyi.

Taka jest treść dzieła p. Trepki. Chociaż niejedno mieliśmy do powiedzenia, a jeszcze więcéj byłoby punktów spornych—bo przedmiot to niewyczerpany—wszakże sądzimy, że czytelnik i z tego utworzy sobie pojęcie o wartości książki i może zechce sam bliżéj się z nią zapoznać.

Rozstając się z autorem i z jego dziełem, chcemy jeszcze dotknąć niektórych omyłek bądź rzeczowych, bądź językowych. Wydrukowano ich po kilkanaście w obu tomikach, ale na prawdę zebrałoby się trzy razy tyle. Najwięcéj zawinił tu zecer, a może korrektor.

Tak np. Acteon miał nabrać siły gdy się dotknął ziemi; ekonomia podobnie nabrała siły, gdy z abstrakcyjnéj stała się utylitarną. Chodziło widocznie o Anteusza, syna Pozejdonowego. Z Grachów zrobił zecer greków. Zdaje się, że tenże psotnik monady Leibnitza przerobił na nomadów (I. 47 i 91); Dühringa nazwał Dütringiem, a z Bockha wystrugał Boocka. Ale już nie zecer odniósł banki Lawa do XVII w. a Marxa zrobił jeszcze żyjącym. Nie on również, lecz autor wykierował Rodbertusa na ojca socyalizmu niemieckiego (I. 165) a Proudhona na olbrzyma.

Język książki jest dość potoczysty—chociaż nie bez błędów. Oto próbka: nie osobą *a* rzeczą; tyraniczny; pisarz brzemienny socyalną rewolucyą (Rousseau); cień Robespierr'a przychodzi stłumić myśl rozpromienioną; generacya klęła na St. Simona; mgnienie łaski czarodziejskiéj; wymóg zamiast wymogów; nieuchwycalny plan; tradycyonalni ekonomiści; truizm; koniec końców; obdarzać machiny napaściami; równościowy podział dochodu; humanitarne idee śpieszą nędzarzom z pomocą; żyłą natury ludzkiéj jest sympatya itd.

K.

= **Z lat minionych.** *Trzy powieści historyczne dla młodzieży przez Teresę Jadwigę, z trzema rycinami. (Warszawa, Gebethner i Wolff. 1887, str. 242).*—Znana już dobrze dziatwie naszéj autorka w trzech opowiadaniach, zawartych w tym zbiorku, odmalowała dość szczegółowo i starannie trzy chwile dziejowe: bitwę pod Obertynem, wojnę chocimską i walki kozackie, łącząc oczywiście z wypadkami historycznemi dzieje osób pojedyńczych, przez fantazyą wytworzonych, dla uwydatnienia jakiéjś nauki moralnéj albo pewnego rysu charakteru. Bohaterkami są tu kobiety, każda w swoim rodzaju

piękna i dobra, rozumna i dzielna. Wszystkie znajdują się w położeniu wyjątkowém, dającém im możność dokonania jakiegoś czynu pożytecznego, który dusze ich rozpromienia a zarazem staje się bodźcem dla czytelniczek do myślenia o sprawach ważniejszych od codziennych powszednich zatrudnień. W „Mojéj pieszczotce" mamy nową młodziutką Grażynę, odważną i śmiałą jak tamta, rycerskie ćwiczenia lubiącą i dzielnie odpierającą napaść bandy Kafunka na zamek rodzinny w nieobecności ojca, który pod wodzą Tarnowskiego przeciwko Wołochom pociągnął, — ale szczęśliwszą od bohaterki Mickiewicza, bo Irena Zawistowska samego tylko powodzenia doznaje. W „Rycerzu błękitnym" spotykamy się z dwoma odmiennemi charakterami kobiecemi. Regina surowa dla siebie i dla innych, poważna, cierpka nawet w obejściu, Alina, przeciwnie wesoła, trochę trzpiotka, myśląca o stroju i podobaniu się, ale zarazem łagodna, wyrozumiała, poświęcająca się—to dwa typy dodatnie sióstr o usposobieniach odmiennych. Autorka większą otacza sympatyą Alinkę swoję i wykazuje w opowiadaniu wyższość serca przebaczającego nad skrupulatnie trzymającego się surowych reguł. Brat ich dzielny Wacław w chwili popłochu pod Cecorą umknął wraz z innymi z obozu ; a dziadek, strzegący pilnie zasad honoru, nie chciał nawet słuchać jego tłómaczenia i uważał go za umarłego zakazując wspominać o nim w domu. Regina, choć serdecznie kochała brata, ściśle przecież zastosowała się do wymagania dziadka; Alina zaś pokryjomu widywała się z Wacławem, pielęgnowała w chorobie, obudziła w nim chęć naprawienia błędu i skłoniła do pójścia na wyprawę chocimską, by tam odznaczyć się czyny dzielnemi, może aż zanadto wielkiemi, jak na nieznanego w dziejach bohatera, pozyskać pochwały wodzów i powrócić z niemi pod dach rodzinny, gdzie go dziadek, jako oczyszczonego z plamy przyjął serdecznie. Kontrastu pomiędzy usposobieniami sióstr nie chciała zaostrzać autorka, choć się on sam ze względów psychologicznych narzucał, wolała w łagodnym tonie pojednania powieść swą doprowadzić do końca. W najobszerniejszém wreszcie opowiadaniu p. n. „Krwawe chwile" bardzo drażliwéj dotknęła autorka struny, przedstawiając w formie popularnéj, zrozumiałéj dla dzieci, powody wojen kozackich w nadużyciu władzy panów, a szczególniéj rządców nad poddanymi na Ukrainie. Występuje tu więc już w dzieciach z jednéj strony pycha pomiatająca chłopami, przemoc stanowiska społecznego, z drugiéj zaś siła fizyczna, nienawiść plemienna, zawziętość namiętna. Te ujemne czynniki, które sprowadziły klęski obustronne, są w powieści Jadwigi Teresy zrównoważone dobrocią Zofii, córki dumnego kasztelana Żabickiego, i wdzięcznością Ołeny,

córki futornika. Nie chciała autorka i słusznie przedstawiać oddziaływania tych dodatnich czynników w sposób natychmiastowy. Ołena za ostrzeżenie Zofii o zamierzonym napadzie ginie z ręki swoich; dom Żabickiego został zburzony, majątek zniszczony; syn jego ugodzony śmiertelnie przez brata Oleny, Hrycia, umarł z gorączki; ale Zofia nie przestała czynić dobrze chłopom, dopomagała im i niosła słowa pociechy i umoralnienia, a drugi brat Oleny, Ostap wiernym synem Polski się okazał. Bardzo pięknie w duchu chrześciańskim i w duchu zgody plemiennéj kończy Teresa Jadwiga, podsłuchując słowa liści i traw, które zdają się mówić: „Wy co wysoko stoicie, bądźcie dobrzy dla waszych biednych braci, kochajcie ich i uczcie, a wiernych druhów z nich mieć będziecie... Śpij spokojnie, kozacze, śpij spokojnie, synu Ukrainy, chłopskie serce w tobie biło, przecież umiało ono kochać, dłoń twa dzielniéj od wielu umiała bronić ziemi ojczystéj. Wszystkie te trzy opowiadania pod względem psychologicznym są dobrze i trafnie oddane; nie wdają się w żadne zawiłości i subtelności, ale poprostu i szczerze biorą najzwyklejsze, ale też i najgłębsze uczucia ludzkie i przebieg ich malują; pod względem estetycznym nie posiadają wprawdzie zalety wielkiéj pomysłowości lub szczególnie pięknego wykończenia, ale posiadają dosyć plastyki, nie są suche, bezbarwne; pod względem historycznym wreszcie oparte są na badaniach najnowszych; a jeżeli znajdują się w nich omyłki, jak np. wspomnienie wojska kwarcianego w r. 1531 (str. 14), te raczéj zdają się wynikiem chwilowéj nieuwagi niż niedostatecznego przygotowania.

== Taż sama autorka ogłosiła p. n. **Z różnych sfer** *(Warszawa, F. Hösick, 1888 str. 345, z rycinami Czesława Jankowskiego)* cztery powieści dla dorastającéj młodzieży, osnute na stosunkach spółczesnych. Nie przedstawia w nich postaci naczelnych jako istoty doskonałe, które dla innych wzorem być winny, lecz przeprowadza poprawę ich z rozmaitych wad wskutek bolesnych doświadczeń życia; jedna poświęcona jest patologii charakteru męskiego, trzy inne—kobiecego. Wiedząc, że z ujemnych usposobień, przyzwyczajeń, nałogów otrząsnąć się niełatwo nawet młodzieży, autorka rozwija długie pasmo prób i niepowodzeń, przez które przechodzić muszą jéj osobistości powieściowe, zanim się ze swych ułomności wyleczą. Jeżeli zważymy, że w dawniejszych powiastkach dla dzieci dość było jednego słowa, jednego przykładu, jednego fałszywego kroku ukaranego jakąś przykrością lub chorobą, ażeby dzieci i młodzież stawała się posłuszną, uczynną, pracowitą, skromną, słowem dobrą; to poczytamy za zasługę naszéj autorce, iż osobom swoim nie dawała tak łatwych, bo na papierze tylko odnoszonych zwy-

cięstw nad sobą samemi, iż uczyniła je bardziéj rzeczywistemi, iż nie łudziła ani wychowawców możnością rychłego oddziałania na przetworzenie charakteru wychowańców, ani młodzieży możnością szybkiego naprawienia swych niewłaściwych postępków. Nie sądzę, ażeby przedstawienie długiéj i mozolnéj drogi prowadzącéj do poprawy mogło wpływać zniechęcająco na młodzież do pójścia nią, boć najprzód, w charakterach młodocianych jest dużo żywotności i sprężystości, która zmuszą do ruchu, do działania, a powtóre, istnieje w nich także, przynajmniéj w wielu, popęd do zwalczania trudności i im one większemi się wydają, tém popęd ten silniéj się rozwija. Idzie głównie o to, ażeby proces psychologiczny był rozwinięty zgodnie z prawdą, nie zaś fantazyjnie. Autorka nasza starała się to uczynić i w znacznéj, w przeważnéj nawet części dokonała tego z powodzeniem. W „Kolegach" paniczykowato wychowany, pyszniący się ze swego rodu i zamożności chłopiec, oddany do szkół, przechodzi czyściec upokorzeń doznawanych od spółuczniów, ale się swoich wad nie pozbywa, bo chociaż pewne strony kształcącéj się dziatwy, jak uczucie i praktykowanie sprawiedliwości, szlachetne oburzanie na wszelkie objawy fałszu i obłudy, działają nań uzacniająco, to inne, jak złośliwość, płatanie bolesnych figlów zrażają go do niéj i sprawiają, że chłopak szkoły opuszcza i kształci się w domu, gdzie wpływ rozumnego opiekuna Władysława zobojętniany bywał pobłażliwością szlachetnéj ale słabéj matki. Dopiero zubożenie, potrzeba szukania środków utrzymania w pracy zawodowéj, konieczność zyskiwania sobie przyjaźni ludzkiéj, ażeby z téj pracy mieć odpowiedni pożytek, widok szlachetnych postępków u tych, których posądzał Wacław o nienawistne względem siebie usposobienie, o niższy nastrój duchowy, powoli, bardzo powoli działają na jego umysł i serce, wywołują w nich zmiany, zakończone wyleczeniem się z pychy i samolubstwa. Powieść „W Społeczeństwie" maluje nam przykre przejścia młodéj panny, przybranéj przez kobietę bogatą za córkę, ale niezabezpieczonéj prawnie ani co do nazwiska ani co do majątku. Po śmierci opiekunki zostaje sama, bez zabezpieczonego bytu. Posiada jednakże wiele ambicyi i energii; postanawia zużytkować swe wykształcenie, przyjmuje obowiązski nauczycielki w domu zacnym i rozumnie prowadzonym. Okazuje się jednak, że do zawodu nauczycielki nie jest przygotowaną; gdy się o tém z podsłuchanéj rozmowy dowiedziała, opuszcza ten dom, chcąc się kształcić. W Warszawie styka się z kobietą lekkomyślną i przewrotną, która odrywa ją od zamierzonéj pracy i wciąga do zabaw, przyczyniając się do poróżnienia Maryi z dobrze jéj życzącemi osobami. Popędów szlachetnych nie zdołała jednak w niéj za-

bić Alicya. Pokonawszy się, Marya zdobywa patent nauczycielki wiejskiéj i obejmuje obowiązki. Kilkomiesięczne jéj życie z lekkomyślną Alicyą utrudnia jéj działanie, bo dziedziczka zawiadomiona o niém, patrzy na nią nieufnie; potrzeba było dużo wytrwałości, ażeby te wyobrażenia o sobie rozproszyć. W charakterze Maryi nie uwydatniła z początku autorka zarozumiałości i uporu i dopiero w ciągu powieści, ze szkodą częściową prawdopodobieństwa, wprowadziła je, chcąc widocznie próby swéj bohaterki przeciągnąć. O wzorowych pedagogach autorki należy zauważyć, że zanadto wierzą w reguły, jak się to okazuje z uwagi o rzeczownikach zakończonych na *j* i *dz* (str. 144) lub z zapytania: dla czego chléb nazywa się chlebem (str. 146). — W trzeciéj powieści p. t. „Zaprzedana" mamy mało prawdopodobną historyą stryjaszka z Ameryki, który wymaga od swéj synowicy, żeby wraz z matką przeniosła się na mieszkanie do Berlina, gdzie ją miały otoczyć wszelkie wygody. Lubo matka tęskniła za Warszawą, Anna lubiąca stroje i zabawy nie myślała opuszczać tak miłéj dla siebie siedziby i chociaż nie czuła się szczęśliwą, pozostała na łasce stryja, zamiast pracować na własne utrzymanie. Czwarta powieść „Iza Harpley" jest wzięta z angielskiego, przedstawia zaś wyleczenie z zazdrości i nieszczerości dziewczyny z dobrém zresztą sercem; niebezpieczeństwo, choroba, sądy ludzkie, serdeczność rodzinna są środkami leczniczemi. — Język powieści p. Teresy Jadwigi jest czysty i wogóle poprawny; należałoby tylko stanowczo zaniechać takiego galicyzmu, jak: „on jest lepiéj", gdy się mówi o chorym; używał go, prawda, Kraszewski, ale przykład najznakomitszego nawet autora nie może usprawiedliwiać rażących błędów językowych.

= **Po za domem**, *powieść dla młodzieży przez Ludwika Niemojowskiego. (Warszawa, 1888, str. 122).* — Autor chciał wskazać młodym czytelnikom potrzebę nauki, posłuszeństwa starszym i karności za pomocą przykładu chłopca, który lubiąc tylko swawole i rozrywki, podmówiony przez rozpuszczonego próżniaka Franka, uciekł z domu, ażeby tylko nad książką nie siedzieć. Obaj dostali się w ręce cyganów—było to oczywiście kiedyś dawniéj, nie w czasach dzisiejszych — żywić się musieli bardzo lichą strawą, znosić wszelkiego rodzaju niewygody. Franek łatwo się jakoś przyzwaczaił i życie tułacze polubił; ale w duszy jego towarzysza ocknęło się uczucie dla rodziców i rodzeństwa i pobyt u cyganów czyniło nieznośnym. Musiał się sztuk akrobatycznych uczyć, odgrywać pantominy. Usiłowania wydostania się na wolność długo były bezskuteczne, aż razu pewnego na Węgrzech, ocaliwszy od napadu rabusiów bogatych państwa, dostał się do domu bogatego, gdzie zaczął pilnie przykła-

dać się do nauki. Całkowicie poprawiony odwieziony wreszcie został do rodziców. Treść ta, bardzo niewiele mająca w sobie kształcących pierwiastków, może się tylko wyobraźni młodej podobać; szczególną zachętą do nauki stać się chyba nie może. Obrobienie, z początku dość staranne, od połowy książki jest zaniedbane tak dalece, że autor nie rozwiązuje nawet głównéj, przez siebie wymyślonéj zresztą trudności, jak się dowiedziano o miejscu pobytu rodziców bohatera. Język powiastki dużo ma niepoprawności.

= **Myszy króla Popiela**, *opowiadanie przedhistoryczne przez autora „Króla Kraka* i *królewny Wandy*," *z 6 rycinami.* (*Warszawa, Gebeth. i Wolff, 1888, str. 216*). — Książka ta pisana sposobem zrozumiałym nawet dla dzieci dziesięcioletnich, jest wynikiem, łatwo dającéj się wytłomaczyć, chęci dopełnienia wyobrażenia luźnych i skąpych wiadomości, jakie nam przekazały kroniki o tak zwanych dziejach niepewnych. Że myszy zjadły króla Popiela, o tém dowiaduje się dziecko bardzo wcześnie i niepokoi rodziców i wychowawców pytaniem, jak to stać się mogło. Powieść obecna rozwiązuje to pytanie obszernie i szczegółowo. Autor, oparłszy się na przypuszczeniu Szajnochy, przez myszy rozumie tych rozbójników morskich, Normandów, co śmiałością wypraw i dzielnością w całéj Europie niegdyś się wsławili; ale nie przyjmuje drugiéj hipotezy historyka, że Popiel także z Normandów pochodził. U niego Popiel to Polak żonaty z córką księcia obotryckiego Hilderyką, nienawidzącą Niemców i chrześcijaństwa, dumną, żądną władzy, okrutną, podmawiającą męża do wszelkich niegodziwości, przedewszystkiem do otrucia stryjów, pod pozorem, że spiskują przeciw królowi. Popiel, myślący na początku powieści tylko o jadle, napoju i zabawie, daje się powodować jej podszeptom i odstręcza od siebie wszystkich ziemian i rycerzy, którzy się zaczynają skupiać około Piasta, „władyki", jak go niewłaściwie nazywa autor. Gdy normandowie wszyscy, pokonawszy i zniszczywszy gródek Bożywoja nad Notecią, pojawili się na Gople, zbudziło się w Popielu jak się zdawało całkiem zamarłe, a jak się okazuje zdrzemnięte tylko oddawna męstwo, stawi on przy nader szczupłéj pomocy opór dzielny wrogom, chroni się na wieżę murowaną na wyspie wśród jeziora, morduje wielu napastników i ginie wówczas dopiero, gdy już wszystkie siły wyczerpał. Na śmierci jego nie kończy się jednak powieść; finał zwiastuje zwycięstwo Polaków nad Normandami. Piast po świetnéj obronie swego gródka, widząc pierzchających nieprzyjaciół, wypada wraz z załogą, ściele trupem mnóstwo rycerzy i zmusza przerzedzone szeregi do pośpiesznéj ucieczki. Rzecz cała pisana jest bardzo żywo, akcya postępuje szybko, pod względem zadowolnienia wyobraźni dziecin-

néj wybornie się książka ze swego zadania wywiązuje; ale czy może oddziałać kształcąco? W pierwszéj połowie najwydatniejszą rolę ma złe, okrutna Hilderyka; słyszymy o samych podstępach, knowaniach, otruciach; w drugiéj połowie mamy same niemal obrazy zabójstw, pożóg i t. p.; przytem grubijańskie wymyślania aż zanadto często się pojawiają. Takich środków podobania się umysłowi chłopców należy używać jak najoszczędniej, bo porywczy temperament potrzebuje miarkowania nie pobudzania. Najlepszym w téj książce ustępem jest epizod, odnoszący się do gródka Bożywoja (str. 85—160). Język wogóle jest poprawny; styl żywy, kiedyniekiedy jednak zaniedbany.

= **Wyprawa po skarby ukryte wśród puszczy**, *przygody podróżników w Australii. Wolny przekład z francuskiego przez M. F. Zaleską, z rycinami.* (*Warszawa, Gebeth.* i *Wolf, 1888, str. 245*). — Mimowolny zabójca skazany na wygnanie do Australii, zebrał przy pomocy przyjaznego sobie plemienia Nga-no-tko ogromne bogactwa w złocie, a nie mogąc sam wyjechać, wezwał dzieci swe, żeby przybyły do niego, dając im wskazówki, jak mają sobie postępować. Dzieci spełniają to życzenie, lecz zanim do owego plemienia się dostały, przebyły mnóstwo przygód i poznały całą w poprzek Australią. Właściwém też zadaniem książki jest zapoznanie młodych czytelników z królestwem zwierzęcem, roślinném i mineralném téj części świata, a to na tle zajmujących wypadków, których czytanie uprzyjemnia zapoznawanie się z krajem i jego osobliwościami. Same te wypadki mają znaczenie pedagogiczne, gdyż wdrażają w umysł potrzebę ostrożności, wytrwałości, męstwa, miłości bliźnich, przyjaznego postępowania ze wszystkimi, oprócz ludzi złych z gruntu. Charakter francuski odbił się w książce nie tylko w sposobie opowiadania, ale nawet w wystawieniu Niemca jako nikczemnego zdrajcy.

= **Z siół, pól i lasów**. *Zbiór nowel przez Adolfa Dygasińskiego* (*Warszawa*, 1887, dotychczas dwa tomy, str. 261, 217). O talencie autora jako nowelisty nie potrzebujemy się tu rozszerzać; przed trzema laty podało *Ateneum* (1884, t. IV) rozbiór pierwszych jego utworów w tym kierunku, wskazując nowość i oryginalność pomysłów opartych na dokładnéj i trafnéj obserwacyi życia zwierząt, oraz skłonność do robienia dowcipnych, a nieraz głębokich refleksyi nad tém życiem w stosunku do ogólnych praw, rządzących światem. Od tego czasu p. Dygasiński wzbogacił piśmiennictwo nasze znaczną liczbą obrazków i nowel, w których przedstawiał albo jak poprzednio malowidło z bytu zwierzęcego, albo je zdejmował z bytu wieśniaków. Obecnie zgromadził rozproszone po czasopismach

utwory i w książkowéj formie czytelnikom je podał. Zbiór ten, podjęty nakładem samego autora, składać się ma z czterech tomów; rozmaitością swéj treści może zainteresować najrozmaitsze sfery ogółu czytającego. W ogłoszonych dotąd dwu tomach mamy dwanaście opowiadań i szkiców, w których żart, koncept, dowcip, obserwacya, rozwaga, fantazya naprzemiany występują, dostarczają dobréj zdrowéj i pięknie przyrządzonéj karmi umysłowi. „Jazda ze Ziurdanką“ jest ładnie, jowialnie opowiedzianą anegdotą o przygodach guwernantki francuskiéj wiozącéj z jednéj wsi do drugiéj wanienkę z karpiami, wyborną szynkę i dwa roczne kotki. „Co kto lubi“ jest również anegdotą bardzo charakterystyczną i dowcipnie rozwiniętą o przygodzie zapalonego i zbiedniałego koniarza, który pieniądze pożyczone na kupno fortepianu i zadatek dla nauczycielki obrócił na nabycie dwu pokaźnych bułanków, które mu się niezmiernie podobały, ale mu rozbiły wózek krakowski i jego samego na ciężkie poturbowanie naraziły, nie mówiąc już o tém co go za powrotem od wymownéj magnifiki czekało. „Od świtu do świtu“ to ładna sielanka, zakończona tragicznie, o zręcznym, uprzejmym wielce i miłym ogrodniczku, który umiejąc sobie zjednać na rynku kieleckim bardzo szeroką klientelę, wywołał zarazem niechęć spółzawodników i spóźniwszy się raz z powodu zagadania się z Marysią, córką kowala, na targ, doznał srogiego od przekupki despektu, wziął go mocno do serca, nie sprzedał ogrodowizn i kwiatów, lecz rozdał je darmo dziewczętom, czém obraził Marysię, która sobie na poczekaniu wynalazla innego kawalera, przepędził noc całą pod gołém niebem, a w końcu nie mogąc wybrnąć z gmatwaniny, utopił się w stawie. Ponieważ autor nie należy do tych, którzy dla efektu zmyślają zdarzenia, wierzymy więc, że i ten wypadek z Julkiem wziął z rzeczywistości; drażliwe usposobienia, zrażanie się niepowodzeniem i kończenie zawikłań środkiem radykalnym, jakim jest śmierć, nie są tylko przecież przywilejem warstw przecywilizowanych. „Żérty chłop“ to wyborny obrazek wieśniaka dobrego, uczciwego, pracowitego, ale potrzebującego nadmiernéj ilości strawy. Ta właściwość organizmu naraża go na śmieszność, pobudza do zrywania plebańskich śliwek, do karmienia się niezdrowemi odpadkami dworskiéj kuchni, zmusza go do opuszczenia ze wstydu wsi, szukania zarobku gdzieindziéj a wreszcie przyprawie o śmierć. Autor ma sympatyą do tego żértego chłopa dla jego przymiotów dodatnich, za złe bierze ludziom niewyrozumiałość dla właściwości organicznéj; ale przypuściwszy nawet, że ludzie by się inaczéj względem Maćka Opozdy zachowywali, to czyżby prędzéj lub późniéj owa właściwość organiczna nie zgubiła go; właściwości tego rodzaju

trzeba tylko leczyć, jeżeli to rzecz możliwa. „Złodziéj leśny“ to znowuż równie charakterystycznie jak w „Żertym chłopie“ odtworzony pociąg do potajemnego przywłaszczania tego, co „Bóg stworzył i rozsiał“ jako rzeczy należącéj do wszystkich. Nędza pobudziła Franka do okradania lasów skarbowych, a nałóg łatwego zarobku odpędził następnie wszelkie skrupuły, dopóki się gwałtowną śmiercią nie skończył. „W puszczy“ to już powieść osnuta ze stosunków w warstwach ukształconych, z przymieszką jednak fantazyi i z przeważnym żywiołem natury i zwierząt. Ukrzywdzony przez brata Stanisław Strojomirski, zamieszkał w lesie, gdzie sobie zrobił legowisko w wypróchniałym pniu olbrzymiego dębu i stał się postacią fantastyczną dla mieszkańców wsi okolicznych. Doraźnie wymierzał sprawiedliwość względem złodziejów, rabusiów i zdrajców, nad bratem jednak zemsty nie szukał, poprzestając na zaspokojeniu potrzeb w sposób najskromniejszy. Po jego smutnéj śmierci w zapalonym dębie i po śmierci brata, synowica, wyrozumiawszy swoje położenie, zrzekła się majątku nieprawnie posiadanego i obróciła go na cele dobroczynne. „Demon“ to dzielnie zobrazowany zalew giermanizmu na ziemiach naszych. Obrazki p. n. „Na zwłokach zwierzęcia“, „Podwórzowe dramata“, „Na niebie i na ziemi“ są poświęcone odmalowaniu życia zwierząt domowych w stosunku do najbliższego otoczenia ludzkiego i w związku ze zjawiskami powietrznemi. Pod względem estetycznym nie należą do najlepszych utworów p. D., ale zajmują i zastanawiają obfitemi spostrzeżeniami, zazwyczaj bardzo bystremi i trafnemi, oraz uwagami, które mają na celu wykazać, jak ściśle świat ludzki łączy się z przyrodą. Zbiór nawet p. Dygasińskiego należy do liczby tych książek, których czytanie nigdy zmarnowaniem czasu nazwać się nie może.

= **Marya Konopnicka. Cztery nowele.** *Z portretem autorki. (Warszawa, T. Paprocki, 1888, str. 305).* — Książka ta daje poznać talent znanéj poetki z nowéj strony. Wprawdzie nowele, w niéj pomieszczone, są przedrukiem tylko z fejletonów czasopism, ale pojawiając się tu po raz pierwszy w skupieniu, pozwalają bliżéj się przyjrzéć właściwościom pisarskim autorki. Rzecz naturalna, że pierwszą z nich jest poetyczność, uwydatniająca się szczególniéj w opisie krajobrazów i w charakteryzowaniu ludzi. P. Konopnicka korzysta niewątpliwie z obserwacyi przedmiotów i ludzi rzeczywistych, ale je przepuszcza przez pryzmat fantazyi i dopiéro w tęczowych barwach przenosi je do noweli. Zupełnie fałszywych rysów nie znajdziemy tedy w nich; niektóre odtworzone są nawet z widocznem staraniem o zachowanie cech realistycznych; ale ogół ich sprawia wrażenie raczéj poematu prozą, aniżeli zarysu powieścio-

wego. Weźmy np. opis Warty podczas „najścia wód wiosennych“, jako najkrótszy i najwyraźniéj przedstawiający nam przykład takiego przerabiania obserwacyi przez wyobraźnię: „W pianach cała i bryzgach, *jak ptak biały*, zrywa się skrzydlata i pod mostem, wyniesionym wysoko, szumi i huczy tak *niekarnie*, jakby jarzma tego z drzewa a żelaza na *hardym* swym grzbiecie znosić nie mogła. Wody jéj, zebrane z szerokich łężnych rozlewów, *jak hufiec rozbity*, wpadają w koryto, wspinając się jedne na drugie, i tak spiętrzone prą się nawałem na pole; trzeszczące pod ich naciskiem, byle prędzéj *od przymusu* uciec i ponieść się w kaskadach na szersze spadki i podmiały, i *mdleć* u brzegu, niosąc resztę piany i błysków gniewnych w coraz słabiéj pulsujących falach.“ Nieprawdaż, że opis ten uosabiający rzekę, przeprowadzony w wykwintnych porównaniach, gdyby ujęty był w rymy, nie potrzebowałby się wstydzić swych rymowanych braci; w powieści trąci już trochę archeologią prozy poetycznéj, która miała niegdyś swą świetną dobę, kiedy nią pisali tacy, jak Zygmunt Krasiński. Dziś przywykliśmy już do większéj prozy, czy do większéj prostoty. — Drugą właściwością nowel p. K. jest ich budowa raczéj dramatyczna, niż powieściowa: autorce chodzi raczéj o skreślenie scen, czy grup malowniczych, niż o przeprowadzenie wątku przez wszystkie fazy kolejne, jakie przechodził, zanim do pewnego punktu został dociągnięty. Wyjątek w tym względzie stanowi tylko obrazek p. n. „Wojciech Zapała“, przedstawiający wiarusa, który, przejęty miłością i uwielbieniem dla „nowożytnego boga wojny“ Napoleona, dokonał dzieła bez żadnego uprzedniego przygotowania, wyrzeźbił z dębczaka postać ukochanego wodza, ażeby go ukazać oczom wnuka. Tu ponieważ sama osnowa nie kryła w sobie zawiłości żadnych, mamy opowiadanie bez przerw i przeskoków, całkiem w charakterze epicznym utrzymane. Inne nowele, jako bardziéj skomplikowane, są złożone ze scen, które spajać musi dopiéro wyobraźnia czytelnika. „Michał Duniak“ to tragiczna historya syna mieszczanki o oczach urocznych i żyda marzyciela. Osierocony przez matkę, przytulony przez ojca, budzi istnieniem swojém niechęć we współwyznawcach Uriela i w pogardzonym przez Kasię konkurencie; a niechęć ta prowadzi go na śmierć w nurtach zamarzniętéj rzeki. „Ultimus“, to dzieje zemsty odepchniętego przez szlachciankę konkurenta mieszczanina, który syna jéj wciągnął do szajki koniokradów i przemytników, ażeby go zhańbić. „Pod prawem“ wreszcie znajduje się biédna Hanka, która oszukana przez kochanka, wsadzoną została do więzienia za kradzież przezeń popełnioną, gdyż nie chciała go wydać, trzy lata posiedziała w więzieniu, a wypuszczona z czerwonym paszportem,

ciężko pracuje na wyżywienie, poniewierana przez wszystkich, ale niezłamana nieszczęściami i pogardą. Zalecanki sekretarza odepchnięte zmuszają Hankę do ucieczki z miejsca wyznaczonego na pobyt, tułania się po Warszawie, opłacania się podrzędnym figurom urzędowym, powtórnego więzienia i odstawienia do Grójca, powtórnéj ucieczki i skazania jako niepoprawnéj złodziejki na Sybir. Dziewczyna niewinna, za swą łatwowierność i szlachetność haniebnie karana, za wytrwanie w cnocie prześladowana, za chęć pracowania ścigana jak zwierz w lesie, ginie marnie, gdy jéj uwodziciel, a zarazem istotny przestępca, zabezpieczony od wszelkich poszlak, pędzi życie lekkomyślne, a według życzeń swoich szczęśliwe. Ostatnia ta nowela, a raczéj powieść ma najwięcéj rysów realistycznych i najgłębsze zostawia po sobie wrażenie: jest protestem przeciwko fatalnemu prawu, które jakby najgrawając się ze słabości ludzkich, żelaznemi przepisami tak obsacza ludzi niewinnych, że ich do występku popychać się zdaje; nakazuje poprawę, a nie dostarcza środków i sposobności do niéj. Autorka nigdzie się nie unosi, nigdzie nie wybucha, nigdzie nawet uczucia swego nie zaznacza; w przedmiotowéj formie opowiada dzieje prawdziwie tragiczne, czasami tylko rzuconém słówkiem ironii dając wskazówkę czytelnikowi, jak ma rozumiéć sytuacyą. Usposobienie, zachowanie się, słowa Hanki pełne są wszędzie prawdy. Bolesne wywiera powieść wrażenie, ale dobroczynne.

— **Adam Nowicki.** 1) **Ojczyzna, nowele i szkice** (*Kraków, 1887, str. 128*); 2) **Czy pamiętasz,** *szkic z życia* (*Kraków, 1887 str. 21*). Pierwszy swój zbiorek utworów powieściowych poprzedził autor przedmową, w któréj zaprotestował przeciwko zarzutowi robionemu młodzieży, jakoby żyła bez ideału i bez programu. Jako świadectwo istnienia w jéj duszy uczuć szlachetnych, skupionych około jednego zasadniczego, mają służyć wydane przez p. N. nowele i szkice, osnute na tle patryotyczném. Ponieważ nie należymy do tych, którzy w młodzieży widzą zanik idealnych dążności, przypuszczamy chętnie, że autor podając swoje myśli i uczucia za wyraz znacznéj części rówieśników swoich, nie mylił się, i przyjmujemy jego utwory jako dowód zajęcia duszy przedmiotami pełnemi wagi i znaczenia i rozpatrywania ich ze stanowiska szlachetnego i podniosłego. Przyznając tę zaletę treści jego zbiorkowi, nie możemy jednak równie pochlebnie odezwać się o jéj obrobieniu. Jest ono bowiem jeszcze bardzo słabe, składa się prawie z samych komunałów; nie zauważyliśmy żadnéj sceny, odznaczającéj się świeżością i barwnością. Jedynie w „Tajnym radcy“ pomysł wywleczenia przez malców starego munduru, który w ojcu obudził najprzykrzejsze wrażenia, wy-

różnia się zpośród pospolitości. Zużytą frazeologią najlepiéj uwydatni całkiem seryo wypowiedziany frazes: „Widok był to tak wstrętny, że księżyc *chciał się ze wstydu* całkiém schować po za chmury“ (85). Szkic „Czy pamiętasz“, ogłoszony osobno, opowiada mdłym sposobem wielce już spospolitowane dzieje zmarnowanego i spodlonego talentu wskutek lenistwa i słabości charakteru.

= **Notaryat hiszpański.** *Fragment z dziejów prawodawstwa tego kraju w skróceniu opowiedział Adam Niemirowski. Warszawa, 1887, 8-ka, 88.* Autor téj książki znany jest w piśmiennictwie prawniczém z poprzednich dzieł swoich, jak „Pogląd dziejowy i zasadniczy na stanowisko obrońcy“ (1869), „O aktach urzędowych i z podpisem prywatnym“ (1873), „O odpowiedzialności regentów“ (1873), „Wykład notaryatu dziejowy i porównawczy“ (1876), „Przegląd ustaw notaryalnych“ (1880), wreszcie „Bibliografia powszechna notaryatu“ w 1884 r. wydana. W tymże roku przełożył z Kroackiego „Szkic dziejowy notaryatu przez Pappafawę“. P. Niemirowski jest nadto czynnym nader pracownikiem na niwie dziennikarskiéj, a same tytuły prac jego w téj sferze zajmują przeszło 8 stronnic druku petytem. Tu działalność jego jest wielce urozmaiconą i niemal wszechstronną: prawo, ekonomia, rzeczy społeczne, historya, życiorysy, podróże, korespondencye, krytyka, studya literackie, bibliografia, sprawozdania, humoreski, felietony—są tu reprezentowane. Po nad wszystkie jednak gałęzi wiedzy autor upodobał sobie notaryat, jemu też poświęcił pracę, któréj tytuł podaliśmy na czele. Wykład swego przedmiotu ułożył on w sposób następny. Po słowach wskazujących źródła, na jakich praca się wsparła, mamy w § 1. Rzut oka na rozwój prawodawstwa w Hiszpanii; § 2 zawiera dzieje notaryatu w tym kraju; § 3 jest dalszym ciągiem poprzedniego, zajmując się wiekiem XIX; w § 4 skreślono obraz prawodawstwa obowiązującego obecnie; § 5 przedstawia organizacyą „junt“, t. j. ciał wybieralnych, sprawujących nadzór nad notaryuszami; w § 6 wyłożone są szczegóły, dotyczące naukowego przygotowania notaryuszów; § 7 wskazuje, jak wielu było mężów sławnych w magistraturze“. Ostatni wreszcie § 8 poucza nas o „stanie obecnym“ notaryatu hiszpańskiego. Jako osobny dodatek dołączono w końcu obszerny rozbiór dzieła p. Stefana Muczkowskiego p. tyt. „Austryacka ustawa notaryatu“.—Na wydanie sądu krytycznego o pracy p. Niemirowskiego odważyć się nam niepodobna, notaryat bowiem hiszpański był dotąd dla nas prawdziwie *terra incognita.* Wyrazimy więc tylko wdzięczność autorowi, że nam wrota do téj nieznanéj krainy otworzył, ale wyrazimy i żal, że tekstów hiszpańskich, które obficie przytacza w odsyłaczach, nie podał raczéj w przekładzie, aby zrozu-

mienie ich ułatwić czytelnikowi polskiemu, a tém samém i dać możność kontroli. W jednym przypadku (str. 14), gdzie w odsyłaczu (3) jest tekst łaciński, niezupełnie by się zgodzić można z autorem. Powiada on, że prawodawstwo aragońskie i katalońskie „zredagowane było w tym samym duchu", co i prawodawstwo kastylskiego Alfonsa Mądrego, które „daje pierwszeństwo notaryuszowi przed świadkiem na punkcie wieży". Przytoczony tekst prawa mówi tylko to, że notaryusz może sporządzić testament bez obecności świadków, byle po sporządzeniu przywołał ich i oświadczył, że oto spisał ostatnią wolę testatora. Przepis ten, jak nam się zdaje, miał tylko na względzie pożądane niekiedy zachowanie treści testamentu w tajemnicy.

= *Z* obfitéj, jak zwykle, wiązanki wydawnictw kalendarzowych wspomnimy tu: 1) „**Józefa Ungra Kalendarz illustrowany**", odznaczający się obszernym działem literackim, licznemi drzeworytami i wiadomościami informacyjnemi;—2) „**Kalendarz powszechny**", który od lat 10 wydaje swym nakładem księgarnia *Teodora Paprockiego*, zawierający oprócz części astronomicznéj zbiorek poezyi, nowelli i artykułów treści społecznéj; — 3) „**Gość**", kalendarz opracowany przez *K. Promyka* (cena złp. 1), znany od lat ośmiu, a zawierający między innemi dokładny opis ubiegłego roku pod względem zjawisk atmosferycznych, urodzajów, cen i wypadków, oraz przegląd ważniejszych, objawów życia społecznego, szczególniéj zaś gminnego i wiejskiego, wiadomości o nowych dla kraju naszego prawach, wspomnienia o wszystkich w ciągu roku zmarłych a zasłużonych ludziach i t. d.; — wreszcie 4) „**Rocznik medycyny krajowéj**", wydawany staraniem i nakładem D-ra J. Rogowicza, wraz z przeglądem piśmiennictwa lekarskiego polskiego za rok 1886. Dziesiąty to już tom tego wydawnictwa, tak pożytecznego dla lekarzy, zawiera w końcu dodany dziennik dla rozmaitych notatek, adresów i t. d.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pożądania wojenne z rozpaczy. — Co rok ubiegły dorzucił do naszych nieszczęść.— Okólnik arcybiskupa poznańskiego.—Nieprzyjaciel wewnętrzny.—Entuzyazm jubileuszowy wzamian za krzywdę.—Skąpstwo narodowe i ofiarność religijna.—Cło rolne i przemysłowe bankructwo.—Zaszczytna samodzielność.—Obłąkanie bez gieniuszu.—Wykształcenie fachowe.—Pytanie o szkołach żeńskich.—„Przegląd Lwowski“ o wojnie 1831 roku, oburzenie publicystów i młodzieży.—Przeciwnik przekonywany kułakiem.—Odstępstwo od tradycyi z powodu listu „Starego szlachcica“.—Przekonywanie przeciwnika nie kułakiem.

Znowu nadszedł czas obrachunku rocznego.

Dwanaście miesięcy temu horyzont zasłaniało nam zupełnie straszliwe widmo wojny. Przez cały czas ten ani na chwilę jedną nie usunęło się z przed oczu naszych, i dziś nie wiadomo—bliższe ono, czyli też dalsze? Pochód wojny nie ominie zapewnie najzaciszniejszéj wioseczki w kraju naszym, każdą siedzibę pokryje zgliszczami, zburzy tę trochę dobytku, jaką można było uciułać w najcięższych czasach, a może nawet zniszczy ostatnie iskierki nadziei doczekania doli nieco chociaż lepszéj.

Niejednokrotnie publiczni i prywatni oskarżyciele nasi rzucali zapytania i podejrzenia, że my pragniemy i usiłujemy ściągnąć na świat wojnę?

My mieszkańcy z nad Wisły i Warty!

Dyplomaci wiedzą zapewne, zwykli śmiertelnicy domyślić się mogą łatwo, o co chodzi Niemcom, lub innéj potencyi, kiedy dąży do wichury, walk i zwycięstw. Działa tu, jeżeli nie chęć zaokrąglenia granic, to potrzeba nowych rynków ekonomicznych lub pożądanie wpływu politycznego, sławy, potęgi...

Co nas to wszystko obchodzić może, dla czego i kogo mamy pchać (!) lub pobudzać do wojny. Chleba powszedniego nam brak, brak nam powietrza to też fantazye szczęśliwych dalekie

są od umysłu naszego. Chyba chodziłoby o pojenie się widokiem płonących biednych chat ubogich wiosek naszych, ale w takim razie moglibyśmy to zrobić bez pomocy żołdactwa pruskiego. Kto może być sprzymierzeńcem, lub i obrońcą naszym podczas wojny i po wojnie? Co więc wydawać się może oskarżycielom naszym, gdy nieustannie w ten lub inny sposób wypowiadają podejrzenia swoje, gdy w głębi duszy widzą w nas zawsze burzycieli pokoju świata?

My, więcéj niż ktokolwiek w Europie, łakniemy warunków, sprzyjających pracy, która nam téż, więcéj niż komukolwiek, jest potrzebną. Dopiero gdy gdzie, jak w Prusach, przemoc nas od niéj odrywa, nie przestaje myśléć nad sposobami wydarcia ostatniego kęsa strawy, pozbawia języka, istniéć zakazuje,—wtedy milknie rozsądek, ustaje rachuba, a rozpacz władać zaczyna. Wtedy każda zmiana jest dobrodziejstwem, ręce chwytają i ciągną za każdy napotkany powróz, bez względu na to, że zaciskają może stryczek na własnéj szyi.

Nie potrzeba dokładnéj znajomości rzeczy, nie potrzeba dokładnego i blizkiego przypatrywania się, aby to pojąć, aby zrozumiéć nasze usposobienie.

Gdy rozrost demokracyi socyalnéj grozić się zdawał Niemcom krwawą walką wewnętrzną, ks. Bismarck rodaków swoich nie oskarżał o żadne wrodzone popędy zbrodnicze, ale rozumiał, że kto jutra pewnym być nie może, ten go nie ceni; ażeby zażegnać burzę, aby przejednać wydziedziczonych, rozpoczął starania o poprawę bytu klas pracujących. To jedyny, ale niezawodny środek.

Oskarżyciele nasi, wierzący szczerze w słowa własne—jeśli tacy istnieją—niechaj zwrócą uwagę na dzieje roku ubiegłego. W powietrzu wisi wojna, wojna według wszelkiego prawdopodobieństwa straszniejsza, niż wszystkie te, jakie obecnie żyjący ludzie pamiętają, wojna doniosłość skutków któréj przewidziéć się nawet nie da; wszystko uledz może przemianie, niewiadomo czy rozpoczęte plany dadzą się dociągnąć do końca; szczęk oręża rozlega się jako panujący głos chwili, kredyty wojskowe pochłaniają oszczędności państw i obywateli,—otóż w takim czasie żelazny kanclerz nie zapomniał o nas i rok ubiegły nie był wcale lżejszym, niż żałobne jego poprzedniki.

W Wielkopolsce, gnieździe naszego plemienia, o którém mówią nam najdawniejsze legendy i podania, język polski zepchnięty był od lat wielu do głębin życia prywatnego. Urzędownie, jak zbrodniarz pozbawiony był praw wszelkich. Miasta, wioski, ulice, wszystko chrzczono na sposób germański, zacierano związek z przeszłością, zacierano wszelkie ślady pochodzenia kraju i narodowości.

Tolerowano mowę polską już tylko w pewnych klasach szkoły jako cudzoziemską, ale potrzebną mieszkańcom, w tym roku i to zniesiono. Dziecko ulega karze, jeżeli przez omyłkę z ust mu się wyrwie słowo jedno w języku rodzinnym. To wszystko nie wystarczało ks. Bismarckowi. Kilka miesięcy temu został język polski ze szkoły usunięty zupełnie, a dawno projektowany zamach zmuszenia poznańczyków do cudzoziemszczyzny nawet w rozmowie z Bogiem i z sumieniem własnem—spełniony. Dotąd nieprzyjaciel był zewnętrzny, znany, nieposiadający zaufania, dziś wsparł go drugi, potężniejszy, niebezpieczniejszy—bo sprzymierzeniec wczorajszy—hierarchia kościelna. To nieszczęście ogłaszają nam okólniki arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego i biskupa chełmińskiego, a pisma miejscowe stwierdzają je w zupełności. Rządowe rozporządzenie, dotyczące wykładu religii po niemiecku datują się jeszcze z r. 1873; arcybiskup Ledóchowski oparł się temu wtedy i w niższych klasach przestano uczyć katechizmu katolickiego. Ks. Dinder okólnik swój, sankcyonujący zamach pruskiego kolegium szkolnego, rozpoczyna od ubolewania, iż dzieci pozbawione były przez lat tyle wykładu religii i oświadcza, że, chcąc kres położyć temu smutnemu stanowi rzeczy, znosi zakazy swego poprzednika. Ma to więc być dobrodziejstwo dla dzieci, dla rodziców, dla całéj prowincyi polskiéj!

. . . .

Broniąc się od przeświadczenia, że uczucia narodowe zwietrzały, że w téj chwili zdolni jesteśmy jedynie do samolubnego wegetowania, trzeba było i chciało się przypuścić, że to tylko brak środków materyalnych, bieda jest przyczyną bezsilności. Ale w końcu roku ubiegłego rozpoczęto krzątaninę około uświetnienia 50-téj rocznicy kapłaństwa Ojca świętego...... Tutaj proboszcze zbierają obfite datki ; kosztowne prezenty i inne dowody gorliwéj miłości sypią się tak szczodrze, jak gdybyśmy mieli świeże powody do wdzięczności i uznania. Jesteśmy krajem katolickim i naturalnie nie wziąć zupełnie udziału w jubileuszu niepodobna było; ale uroczyste nabożeństwa, gorące modły za długie życie i szczęśliwe panowanie następcy Piotra Świętego, nareszcie listy, adresy, telegramy, przesłane na ręce kardynała Ledóchowskiego, słowem, moralne zjednoczenie się z uroczystością w Rzymie byłoby wystarczyło. Takie postąpienie uważalibyśmy za najwłaściwsze i za pożądane, nie myślimy jednak potępiać nikogo, kto datek posłany Ojcu Świętemu, uważał za koniecznie potrzebny dla zbawienia wiecznego i dla szczęścia w życiu doczesném; nie mielibyśmy nic przeciwko ofiarności, gdyby równolegle nie były tak lekceważone inne obowiązki.

. . . .

Na okólnikach poznańskich nie kończy się jednak lista klęsk naszych zeszłorocznych. Wzmocnione zostały również środki materyalnego zrujnowania. Świeżo uchwalone cła od zboża, sprowadzanego do Niemiec, mogą w fatalny sposób odbić się na rolnictwie naszém, które i tak w latach ostatnich przechodzi bardzo ciężkie chwile i z trudnością znaleść może nabywców. Co będzie daléj, trudno przewidzieć. Znawcy utrzymują, że energiczne wzięcie się do ratowania zagrożonéj pozycyi, giełdy produktowe, magazyny, szukanie bezpośrednich stosunków z odleglejszymi rynkami mogą jeżeli nie usunąć zupełnie, to w każdym razie znacznie zmiejszyć dotkliwe skutki klęski. Czy jednak wobec trudności powzięcia zbiorowych decyzyi i niepodobieństwa niemal, a w każdym razie kolosalnych trudności wprowadzenia ich w czyn, da się cokolwiek zrobić, trudno mieć nadzieję. Więc co będzie?..

I na tém nie koniec. Najprzód części dziennikarstwa warszawskiego niegdyś, a późniéj kupcom i przemysłowcom rosyjskim przywidziało się, że fabryki w Królestwie rosną jak grzyby po deszczu, że zasypiemy swemi wyrobami cały wschód, ba, może nawet, dzięki temu, że ziemia jest okrągła, dojdziemy wkońcu do zachodniéj granicy. Na czém się opierała naiwna fantazya publicystów, trudno wiedzieć, to pewne jednak, że w téj i owéj głowie ekonomiczny podbój wschodu jaśniał, jak program, jak zbawienie. Gdy udało się zyskać na wschodzie setkę rubli za wyroby nasze — krzyczano na milion. W rzeczywistości były to złudzenia. Powoli zaczęto wprowadzać do Królestwa i metalowe wyroby z dalszych gubernii, i mąkę-krupczatkę, i płótno Jarosławskie, i buty, szyte na maszynach, i nawet bawełniane materye. Hurtowny skład chustek chłopskich, prowadzący handel na całe Królewstwo, mający obrotu od 400000 — 500000 rs. tylko za 100000 sprowadza towarów z Zawiercia, resztę kupuje w Moskwie. Kiedy roczna produkcya 10 gubernii Królestwa dosięga 191 milionów rubli, jedna gubernia Moskiewska wytwarza na 217 milionów. Zdawało by się więc, że my nie mamy się czém chwalić, a inni nie mogą nam czego zazdrościć, a tymczasem zdaje się, że ubożuchny ten nasz przemysł skazany został na zagładę, jako niebezpieczny.

Prof. uniwers. w Moskwie, Janżułł, pracę swoją, poświęconą wyłącznie poznaniu przemysłu naszego, rozpoczyna od słów: „Nie masz zaiste kwestyi, która by w ciągu dwu lat ostatnich żywiéj zajmowała społeczeństwo rosyjskie, a szczególniéj Moskwę — centrum rosyjskiego przemysłu — nad kwestyą bardzo szybkiego powstania i rozwoju w Królestwie Polskiém, a głównie w pogranicznym jego pasie, licznych fabryk i zakładów przemysłowych.“ Jak dziwnie, jak

nieprawdopodobnie brzmią te słowa dla nas! My tu na miejscu nigdy nie przypuszczaliśmy, aby szelest tłoków w łódzkich fabrykach mógł budzić gdziekolwiek istotną grozę. Narzekanie na nadmierny rozrost przemysłu w Królestwie braliśmy raczéj za świadomą ironię z naszéj nędzy, za ten głos, który w bajce Lafontaina oskarża jagnię o mącenie wody, chociaż wie, że ono pije w dole strumienia. Nasze pojęcie o rzeczy było słuszne, opinia w Moskwie myliła się. Pr. Janżułł, zbadawszy rzecz dokładnie, wykazał, iż przemysłowcy z okręgu moskiewskiego mają pod wieloma względami przewagę nad zawiślańskimi współzawodnikami, a „o poważném niebezpieczeństwie, jakie mogłyby dla całości przemysłu rosyjskiego przedstawiać fabryki polskie, *nie może być mowy...*“

Pomimo jednak tego, że uczony ekonomista zdarł w ten sposob ze skarg nawet *pozory* słuszności, na tegorocznym jarmarku w Niżnim Nowogrodzie przemysłowcy ze środkowych guberni wręczyli p. ministrowi skarbu podanie, czy memoryał, żądający opieki nad wytworczością gubernii środkowych, gdyż ją może zabić konkurencya z *„uprzywilejowanym kresem.“* Fabrykanci łódzcy ujrzeli miecz groźny nad rentą i nad fabrykami swemi, pojechali więc do Petersburga z kontr-memoryałem, w którym dowodnie wykazali, że owe *przywileje* sprowadzają się do nieco tańszego węgla i do mniejszych pretensyi właścicieli, po za tém we wszystkich innych względach pozostają oni w warunkach gorszych niż przemysłowcy moskiewscy. „Kraj“ zapewnia, że deputacya łódzka przybyła do stolicy państwa za późno, gdyż przed podaniem memoryału sprawa była wistocie załatwiona zgodnie z żądaniem, wniesioném w Niżnim Nowogrodzie, a brakowało tylko ostatecznéj sankcyi Rady ministrów, i dla tego zdołano uzyskać nieznacznie jedynie ustępstwo. O ile to słuszne, trudno nam tu wiedziéć, pewném zaś jest, że na nasz przemysł padło brzemię różniczkowych taryf i odmiennych ceł na bawełnę na różnych granicach.

W sporze pomiędzy dwoma okręgami przemysłowymi prasa rosyjska stanęła po stronie Łodzi, nawet „Nowoje Wremia“ i „Kijewlanin“ podziwiali dziwaczne pretensye fabrykantów wschodnich

. . . .

Memento, jakie nasz przemysł otrzymał, nie pozwala oddawać się wielkiéj radości z powodu coraz częściéj już zapowiadanego otwierania szkół fachowych. Dotąd jedna niemal była tylko droga kształcenia dzieci: oddać do gimnazyum, a potém do uniwersytetu. Szkół realnych rządowych znajduje się w całém Królestwie tylko trzy, a i te również fachowego wykształcenia nie dają, lecz podo-

bnie jak gimnazya, są tylko szczeblami do szkoły wyższéj, zwanéj specyalną, ale do uniwersytetu zbliżonéj. Tymczasem stan rzeczy jest taki, że młodzeniec po skończeniu wyższego zakładu naukowego, chcąc nie odjeżdżać daleko, musi stukać w palce, postawiwszy sobie pytanie: co robić? Późniéj, prawnik uczy geografii, matematyk pisuje sprawozdania teatralne — a są to jeszcze szczęśliwe wypadki zahaczenia się o jakiekolwiek miejsce. Z normalnego więc dotychczas u nas biegu wykształcenia i jednostka i społeczeństwo małą odnosiły korzyść praktyczną. A tymczasem rzemiosła ani pod względem fachowym, ani moralnym nie podnosiły się. Do warsztatu szedł tylko syn biedaka, który czasami czytać umiał, ale na jednéj książce, a terminowanie odbywało się w ten sposób, jak za czasów, kiedy jeszcze strzelano z łuków i procy. Praktyka wykazała, że szkoły niedzielne nigdy napełnić się nie mogą. Do fabryk znowu trzeba majstrów sprowadzać z Niemiec, bo wyrobnik, bez wyższych dążeń i bez żadnéj ogłady umysłowéj, wykształcić się nie może, a t. z. praktyka wielu ludzi ściągnąć i wyrobić nie potrafi, gdyż jest utrudniona, niesystematyczna, rozwlekła i przykra. Do tego dodać należy i to, że nawet przed dekretami tegorocznymi znaczna ilość kandydatów do szkół się wcale dostać nie mogła.

To też kiedy p. minister oświaty bardzo zniżył rogatkę, prowadzącą do szkoły średniéj i zrobił z niéj niemal „Ucho igielne", w prasie rosyjskiéj odezwały się zdania krytykujące, u nas przyjęto nowe postanowienia obojętnie, a nawet tu i owdzie odezwały się głosy zadowolenia. O zasadę niebardzo się troszczono, a przy miejscowych warunkach bieżącéj chwili nadzieja otrzymania szkół fachowych była bardzo przyjemną. Nowa ustawa zmuszała nas do tego, cośmy powinni byli sami zrobić dobrowolnie—dawać dzieciom naszym wykształcenie fachowe, a przez to stanowisko niezależne.

Chodzi teraz o to: kiedy, gdzie i jak założone zostaną szkoły fachowe? Podobno nie wszystkie części państwa dostaną je odrazu. Sądząc z zapowiedzi, spotykanych tu i owdzie, na nas kolej przyjdzie jeszcze nieprędko. Zapewne jednak, gdy normalna ustawa zostanie ostatecznie zatwierdzoną, można będzie zakładać szkoły prywatne. Należałoby teraz o tém już myśléć, aby późniéj czasu niestracić.

Ponieważ mowa o szkołach, pozwolę sobie rzucić w powietrze jedno pytanie, może też kto na nie kiedy odpowie? Jaka myśl przewodnia kierowała założycielami, czy założycielkami szkół żeńskich średnich? Dla czego udarowane one zostały takim, a nie innym programem? Czy są one instytucyami przygotowawczemi do uniwersy-

tetu i dla tego wedle sił naśladują gimnazya męzkie, czy też dają wychowanie przeciętnéj obywatelce, która ma zostać żoną i matką, a w takim razie, dla czego tam nie uczą nic takiego, co w tym zawodzie jest koniecznèm? Obecnie we Francyi bardzo krzątają się około wyrobienia kursów, programów i wprowadzenia w życie t. z. *ekonomii domowéj*, która obejmie buchalteryą domową, sztukę prowadzenia gospodarstwa, hygienę rodzinną itd. itd. Czy by nasz ogół nie mógł się czego o tém dowiedzieć od rzeczoznawców?

Tyle o zewnętrznych niedolach, z których poruszyliśmy tylko ważniejsze i świeższe, teraz przejdźmy do wewnętrznych.

W dniu 29 listopada „Przegląd lwowski" między innemi napisał taką apostrofę: „Wielbić błędy polityczne, choćby takie, które wyrosły z gorącéj miłości kraju, sofistycznie dowodzić, że są one bądź co bądź dodatnim objawem życia narodowego, to nierozumnie, nieszlachetnie, więc i niepatryotycznie. Gorąca miłość ojczyzny wtedy jeno warta ołtarza, gdy idąc w parze z przezornością, nie klęski, ale pomyślność narodową sprowadza. Więc nie wielbić należy wojny z 1831, jako promiennego w dziejach faktu, lecz trzeba gorącą łzą żalu oblać tę klęskę i w skupieniu ducha zastanowić się: co by to dziś było, gdyby tyle gorących i ofiarnych istnień, zamiast zginąć za kraj, dla niego żyło i pracowało? Takie rocznice nie po to istnieją, żeby był pretekst do bankietów składkowych i bombastycznych toastów, do kiwania komuś palcem w bucie i okpiwania siebie; lecz po to, by naród oddawał się kontemplacyi. Są one jako słupy milowe, przy których podróżny winien się zatrzymać, przypominać wszystkie momenty przebytych kolei i wyciągnąć wnioski, aby nimi sobie mógł dalszą drogę oświetlać."

„Przeglądu lwowskiego" nie znamy, ustęp powyższy wyjęliśmy z „Kraju", który te tylko kilka wierszy, widocznie najważniejszych, przedrukował. Jeżeli cały artykuł napisany był w takim samym tonie i duchu, nie ubliżał ani pamięci zmarłych, ani czci żyjących, to można się z nim zgadzać lub niezgadzać, ale oburzającego w nim *nic* nie widzimy.

W przeszłości naszéj muszą chyba być jakieś błędy i kroki fałszywe, jeżeliśmy doszli do tego, czém dziś jesteśmy; chcąc zdobyć lepszą przyszłość, trzeba, pod groźbą zagłady, spojrzéć na całą przeszłość krytycznie, niema chwili na tyle świętéj, któréj by nienależało rozstrząsnąć i obejrzéć, nie ma zdania na tyle niepopularnego i sprzecznego z uświęconemi wierzeniami ogółu, którego nienależało by wysłuchać spokojnie i rozważyć dokładnie, a bez uprzedzeń. Inaczéj żadna poprawa, żaden postęp jest niemożliwy; inaczéj bożyszczem, gwiazdą przewodnią, wskazówką działalności ży-

cia całego może być błąd, którego skutki dźwiga już nie jedno pokolenie. Można kochać przeszłość, czcić pamięć bohaterów, którzy życiem stwierdzili miłość swoją i dobre intencye, a pomimo to wydobywać sobie przestrogi z ich życia.

Wypowiedzenie zdania, które oburzy napewno tłumy, które zaprotestuje przeciwko powszechnym mniemaniom, które zazgrzyta przykro na uczuciach ogółu, wymaga dużéj odwagi i niejednemu w ostatniéj chwili przez usta nie przejdzie, choćby się przed tém na wygłoszenie go zdecydował. A jednak w zdaniu takiém może tkwić *prawda*! Kierownicy opinii publicznéj niepowinni nigdy szykanować takich śmiałych wystąpień, jeżeli tylko one są szczere, poważne i nie noszą na sobie cech waryactwa, bezwarunkowo zaś nigdy nie powinni tolerować kułakowych karceń człowieka za przekonania. Nie naszém jest zadaniem bronić, ani potępiać zasady i wywody „Przeglądu“, ale domagamy się, aby każdy mógł brać udział w obradach nad wspólną dolą, i aby go za poglądy nie ścigały ulicznikowskie napaści.

. . . .

Obłoki, co się przesuną nad spiekłą ziemią, nie miną bez śladu,—nas klęski i nieszczęścia niczego nie nauczyły. Jak zawsze nad opinią ciąży szał i roznamiętniona, lekkomyślna niedojrzałość, bez poczucia solidarności, bez wyrozumienia, pewna siebie, jak arcykapłan w służbie w przedwiecznéj nieomylności. Konserwatyści czczą jedne bożyszcza, rewolucya—inne: biada bluźniercom! Gdzież tu możebny postęp, gdzie rozwój, gdzie przyszłość? Niczegośmy się nienauczyli!

Ale mniejsza o młodzież, nikt pewnie na nią kamieniem z siłą nie rzuci, bo każdy ma grzeszne wspomnienia z czasów gorączkowéj niedojrzałości; ale co warci kierownicy opinii, przyprowadzający swoich przeciwników do porządku nie argumentami, ale burdą uliczną? Ośmiu zwycięża jednego—co za szlachetne uczczenie pamięci bohaterów, jacy następcy!

Niechcę noworocznéj kroniki zamykać faktem przykrego brutalstwa i dla tego na zakończenie zwrócę jeszcze uwagę na zjawisko wprost odmiennéj natury.

W korespondencyi z Podola („Kraj“ r. z. N. 35) „Stary Szlachcic“ zastanawia się nad tém, *jak* i *gdzie* my dążymy? Zaimek *my* oznacza polską część podolskiego społeczeństwa. Odpowiedź na to pytanie brzmi ponuro, jak marsz pogrzebowy. Według analizy „Starego Szlachcica“, sfera, o któréj mówi, składa się ze 1) *strawionych*, albo *przegniłych* (arystokracyę, którą upadek dochodów przypędził nareszcie do „ukochanéj ojczyzny“), 2) *wystygłych i śpiących*

(zamożni obywatele), 3) *bezsilnych* (drobiazg szlachecki) i 4) *wydziedziczonych.* Jedni są straceni dla przyszłości przez zwyrodnienie i brak sił moralnych, drudzy przez brak środków materyalnych. Z jednych *nic* nie będzie, drudzy zaledwie jednostki mogą wydać na służbę społeczną.

Według dotychczasowéj praktyki, po takiém oskarżeniu powinny się były posypać protesty, głosy oburzenia, insynuacye, oskarżanie o świętokradztwo, nienawiść do szlachty, socyalizm i... intrygę żydowską. Niedawno podobne widowisko mieliśmy: kiedy ktoś zwrócił uwagę, że bankruci niszczą mienie całego ogółu, dojrzano w tém... obrazę majestatu. Widocznie na wschodzie trzeźwiéj ludzie umieją patrzéć na siebie i na swoje sprawy, gdyż tradycyjna niedorzeczność o kalaniu własnego gniazda, ani razu na świadectwo powtórzoną nie została. Natomiast wielu ziemian ze stron różnych zaczęło rozpatrywać podniesioną sprawę, stwierdzać lub obalać zarzuty „Starego szlachcica." Nareszcie w Nr. 49 tegoż samego pisma znajdujemy taką odezwę:

„Temi dniami w Kamieńcu, pośród towarzystwa zgromadzonego u niżéj podpisanego, zawiązała się ożywiona dyskusya na tle poruszonych w liście „Starego szlachcica." Rezultatem téj dyskusyi był projekt następujący: jako odpowiedź na zarzuty, poczynione przez „Starego szlachcica", postanowiono odpowiedziéć zbiorowém wydawnictwem, któreby zaznaczyło, że nie wszyscy śpią i że myśl zdrowa i chęć do pracy nie wygasła doszczętnie w obywatelstwie kraju „południowo-zachodniego." Program ułożono i spisano na pierwszém zebraniu. Praca zbiorowa wyjdzie pod tytułem: „Z własnéj niwy" i ma wypełnić mniéj więcéj następujący program: 1) Opisy miejscowości, 2) Statystyka, 3) Studya etnograficzne, 4) Prawa zwyczajowe u ludu, 5) Opowiadania historyczne, 6) Badania i studya archeologiczne, 7) Belletrystyka, 8) Poezya, 9) Dział gospodarstwa wiejskiego (w ostatnich dwudziestu pięciu latach), 10) Zarys rozwoju przemysłowego, 11) Szkolnictwo, 12) Nasze straty w ostatnich czasach (nekrologia wybitnych osobistości). Do współpracownictwa będą zaproszeni wszyscy znani pisarze naszych prowincyi, z uwzględnieniem młodych sił. Uprasza się wszystkich piszących, a z południowo-zachodniego kraju pochodzących, ażeby, gdyby nawet nie byli prywatnie (z powodu nieświadomości lub przepomnienia) zaproszeni do współudziału, prace swoje nadsyłali pod adresem: *Kazimierzowi Pułaskiemu p. st. Grodek podolski,* siel. Zawadyńcy. — Kazimierz Pułaski."

Postanowienie to, ten zamiar, nie wymagają żadnych objaśnień.

Ludwik Straszewicz.

— Od Muzeum Przemysłu i Rolnictwa otrzymaliśmy następującą odezwę, dotyczącą wydawnictwa *Wielkiéj Encyklopedyi rolniczéj*:

Lat temu szesnaście, grono osób zajmujących się żywo sprawami krajowego rolnictwa powzięło myśl wydania „Encyklopedyi Rolnictwa i nauk związek z niém mających“.

Myśl ta, dzięki ludziom dobréj woli, zamieniła się niebawem w czyn, i oto, w lipcu r. 1879 wyszedł zeszyt zamykający to iście pomnikowe dzieło.

Że wydawnictwo, pomimo usterek, nieodłącznych od każdego utworu myśli czy ręki ludzkiéj, odpowiedziało zadaniu, dowodzi fakt wyczerpania poważnego nakładu, jeszcze przed wypuszczeniem go w obieg księgarski.

Dziś, gdy cięższe coraz warunki czynią tém niezbędniejszém naukowe wykształcenie rolnika; gdy, z drugiéj strony, wykształcenie to przychodzi coraz trudniéj, ponowne wydanie *Encyklopedyi Rolniczéj* stało się nieomal koniecznością.

A stało się nią nietylko z powodu zupełnego wyczerpania pierwszéj edycyi, ale i dla tego, że wobec olbrzymiego postępu nauk w ciągu ostatniego dziesięciolecia, edycya owa, w téj, jak była postaci, nie odpowiadała by już obecnéj potrzebie.

W ciągu bowiem tych lat dziesięciu przybyło wiele nader cennych dla praktyki wskazówek, a zarazem zniknęło dużo dawniejszych uprzedzeń.

To téż, przystępując do ponownego wydania *Encyklopedyi Rolniczéj*, Redakcya przedsięwzięła wszelkie środki, aby nietylko uzupełnić braki dawnéj edycyi, ale i poprawić usterki, jakie tam dziś, w obec zmienionych poglądów naukowych, znaleść by się mogły. Przedewszystkiém zaś Redakcya postawiła sobie za główne zadanie: *zestawienie dzieła*, *mogącego przynieść rolnikom największy praktyczny pożytek*, i w tym celu zamierza opracować wyczerpująco wszystko, co się bezpośrednio do rolnictwa odnosi, traktując natomiast pobieżniéj inne działy, które w poprzedniém wydaniu zbyt wiele zajęły miejsca.

Encyklopedya przeto, w obecnéj swojéj postaci, ma być przeważnie *rolniczą*, ma być *podręcznikiem*, w którym, obok ostatnich wyników badań naukowych, znajdzie rolnik opracowane wyczerpująco praktyczne rady i wskazówki.

Trudne to zadanie ułatwiła nam Redakcya i właściciele dawnego wydania: pierwsza sumienném opracowaniem wielu artykułów, drudzy—ustąpieniem bezinteresownem na rzecz Muzeum prawa własności do prac drukowanych, jak niemniéj licznych klisz, do pierwszego wydania sporządzonych.

Ta cenna spuścizna, przy licznym zastępie ludzi nauki, którzy chętnie współpracownictwo swoje przyrzekli, pozwala mieć nadzieję, że obecna *Encyklopedya Rolnicza* stanie się dla młodszych rolników tém, czém dla starszego pokolenia było pierwsze jéj wydanie.

Komitet redakcyjny Encyklopedyi składają:

Przewodniczący: Prezes Muzeum hr. Krasiński Ludwik. Członkowie: Aleksandrowicz Jerzy, Goltz Adam, Górski Ludwik, Jurkiewicz Karol, Kaczkowski Karol, Kłobukowski Aleksander, Kowalski Tadeusz, Krasuski Józef, Łuniewski Tymoteusz, Natanson Henryk, Plewako Gustaw, Trylski Aleksander. Sekretarz Redakcyi: Rewieński Stanisław.

Encyklopedya wychodzić będzie zeszytami, zawierającemi po 5 arkuszy druku wielkiéj 8-ki, po 10 zeszytów rocznie.

Całość obejmie 6—8 tomów składających się każdy z 10-ciu zeszytów.

Wydawnictwo rozpocznie się z r. 1888, pierwsze jednak zeszyty opóźnią się nieco.

Zwłoka ta wszakże, spowodowana kilkomiesięczną chorobą nieodżałowanéj pamięci dziekana Przystańskiego, nie wpłynie w niczém na bieg wydawnictwa, ponieważ najpóźniéj w drugim roku zapowiedziana ilość zeszytów wyrównaną zostanie.

Cena zeszytu, w Warszawie, wynosić będzie kop. 50, roczna więc przedpłata na Encyklopedyą wyniesie rubli 5. O przesyłkę pocztową, względnie do ceny dzieła kosztowną (zeszyty wysyłane być muszą w opaskach rekomendowanych) odnosić się należy do ekspedycyi.

Redakcya *Encyklopedyi* mieści się w gmachu Muzeum: Krakowskie-Przedmieście 66. Skład główny i ekspedycya w Redakcyi *Gazety Rolniczéj*, Warecka 7, dokąd téż i przedpłatę wnosić wypada.

— W „Gazecie Świątecznéj“ czytamy:

Dwie nagrody.

Z pieniędzy, jakie przy Nowym Roku z przedpłaty na Gazetę Świąteczną (a więc od części ogółu) się zbiorą, przeznaczamy **rubli 150** na dwie nagrody, jedna zapewne w ilości 100 r., druga—50 r. Zresztą podział tych pieniędzy pozostawiamy sędziom, którzy przyjmą na siebie ocenę prac ubiegających się o nagrodę. Teraz zastrzegamy tylko, iż *jedna z nagród* przeznaczona będzie za powiastkę; *druga*—za artykuł czyli pisanie pouczające.

Przytém nagrody mają być zasądzone tylko za prace, które odpowiedzą wszystkim następującym warunkom:

1) będą ułożone i napisane zupełnie zrozumiale dla wiejskich i miejskich czytelników;

2) napisane umiejętnie, poprawnie, i przydatne do drukowania w Gazecie Świątecznéj bez żadnych zmian i poprawek;

3) nie będą zbyt długie: powiastka może zajmawać 200, a najwyżéj 1000 wierszy druku (po 40—43 litery na wiersz), artykuł zaś 150—800 takichże wierszy;

4) będą napisane z własnéj głowy pisarza (a więc nietłómaczone z obcego języka i nieprzypisywane z jakiéj książki lub gazety).

5) Co do *powiastki*, ta powinna być zajmująca od początku do końca, a zarazem pod jakimkolwiek względem pożyteczna. Gdyby znalazły się dwie dobre i równéj wartości powiastki, a jedna z nich była zabawna, rozśmieszająca czytelnika, to nagroda na korzyść jéj pisarza wypadnie.

6) Co do *artykułu*, winien on być także napisany w sposób zajmujący dla wszystkich zarówno czytelników. Może to być opis dotyczący jakiéjkolwiek nauki (1), albo odkrycia, wynalazku, pracy, zwyczajów, obyczajów, wychowania, sposobu życia, gospodarstwa domowego, spraw i potrzeb dzisiejszych, urządzeń prawnych i t. d. Musi jednak opierać się na gruntownéj znajomości rzeczy. W razie wyboru dwóch artykułów jednakowéj wartości, pierwszeństwo będzie przyznane krótszemu.

Rękopisy ubiegające się o nagrodę powinny być napisane wyraźnie, nie zbyt drobno i nie zagęsto. Należy je przysyłać bez podpisu autora, tylko trzeba przy nagłówku oznaczyć, czy to jest „powiastka", czy „artykuł". Razem z rękopisem powinna być przysłana osobna koperta zapieczętowana, a kryjąca w sobie imię, nazwisko i miejsce zamieszkania pisarza. Na wierzchu téj koperty winien być powtórzony nagłówek powiastki lub artykułu. Koperty dołączone do tych prac, które sędziowie uznają za niezdatne do druku, spalimy bez rozpieczętowania.

Powiastki i artykuły uznane za zdatne do drukowania w Gazecie Świątecznéj, a nienagrodzone, będziemy spożytkowywali wmiarę możności i za opłatą od wiersza staną się one własnością wydawnictwa naszego.

Ostatnim terminem do nadsyłania rękopisów będzie 1 marca 1888 roku.

Kazimierz Promyk,
pisarz Gazety Świątecznéj.

---

(1) Np. fizyki, chemii, geologii, botaniki, zoologii, geografii, etnografii, historyi, prawa i t. d.

NEKROLOGIA.

† **Michał Kruszewski**, zdolny lingwista, pracujący głównie dla slawistyki, zmarł młodo w Kazaniu w końcu listopada 1887.

† **Jan Jędrzejewicz** urodził się w Warszawie w 1835, kształcił się w gimnazyum realném tamże w czasie najświetniejszego rozwoju zakładu tego. Uniwersyteckie studya odbył w Moskwie i Würzburgu. Od r. 1862 osiadł w Płońsku jako lekarz, założył własne obserwatoryum astronomiczne, zawarł stosunki z podobnemi dostrzegalniami w Cesarstwie i zagranicą; inicyatywą swą i przykładem przyłożył się do zaprowadzenia stacyi meteorologicznych w różnych punktach kraju. Prace swe naukowe i popularyzacyjne, dotyczące kwestyi lekarskich i przyrodniczych (o praktyczném zastosowaniu analizy spektralnéj do celów lekarskich, o chronicznym katarze kiszek, o zapaleniu mózgowo - rdzeniowém i t. p.) pomieszczane były w *Medycynie*, *Klinice*, *Pamiętniku fizyograficznym*, *Przyrodzie i Przemyśle*, *Wszechświecie*, *Wędrowcu* oraz w pismach francuskich i niemieckich. Najznakomitszą pracą jego jest „Kosmografia“, wydana w r. 1886 z zasiłku Kasy imienia Mianowskiego. Zmarł dnia 19 grudnia 1887.

† **Stanisław Przystański,** syn lekarza b. wojsk polskich, urodził się w Warszawie 20 września 1820 r.; nauki szkolne rozpoczął w liceum warszawskiém a skończył w gimnazyum szczebrzeszyńskiém; w roku 1837 przeszedł na kursa dodatkowe pedagogiczne w Warszawie, skąd po roku pobytu wysłany został do uniwersytetu petersburskiego na wydział fizyczno - matematyczny. Ukończywszy w r. 1842 studya ze stopniem kandydata, powrócił do Warszawy i otrzymał posadę nauczyciela matematyki i fizyki w II-ém gimnazyum na Nowolipkach; w pięć lat potém dostał się do gimnazyum realnego na nauczyciela tych samych przedmiotów, a przytém wykładał fizykę w szkole sztuk pięknych. Następnie nauczał w Instytucie szlacheckim. Gdy w r. 1857 otwarta została Akademia medyko-chirurgiczna, objął w niéj katedrę fizyki, którą zajmował przez lat trzy. W 1860 mianowany był dyrektorem Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa; na tém stanowisku pozostawał do r. 1862, kiedy Instytut przeniesiono do Puław. Wówczas powołano go na wice-dyrektora wydziału naukowego w ówczesnéj komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego; brał więc tu czynny udział w opracowaniu nowéj ustawy o wychowaniu publicznem, a mianowicie przy organizacyi Szkoły Głównéj w War-

szawie i politechnicznéj w Puławach, a potém w Łodzi. W r. 1866 został profesorem fizyki w Szkole Głównéj, pełnił te obowiązki do r. 1872. W r. 1873 wziął udział w wydawnictwie Encyklopedyi Rolniczéj, pisując tu artykuły z zakresu fizyki; w 1874 objął obowiązki dyrektora nowoutworzonego Muzeum przemysłowo-rolniczego, oraz zwierzchnika Szkoły handlowéj prywatnéj, w r. 1879 zostaje jednym ze spółredaktorów Encyklopedyi Wychowawczéj, a prócz tego zajmuje liczne inne stanowiska. W piśmiennictwie dał się poznać tylko jako sprawozdawca z ruchu naukowego w dziedzinie fizyki, jako tłómacz i pedagog. Przełożył „Zasady geometryi“ Clairauta (Warsz. 1856, 2-e wyd. 1857), pod jego kierunkiem studenci akademii medyko-chirurgicznéj dokonali przekładu Fizyki Ganota (Warszawa 1860, 2-e wydanie 1865). Ułożył podręcznik „Trygonometryi prostokreślnéj“ (Warsz. 1859); napisał rzecz „O akustyce sal przeznaczonych na liczne zebrania“ (Warsz. 1861). Udawszy się dla poratowania zdrowia za granicę, zasłabł i umarł w Wiedniu 30 listopada 1887. Zwłoki przywieziono do Warszawy i pochowano na cmentarzu Powązkowskim.

POSTANOWIENIE.

W wychodzącéj w Warszawie w języku polskim gazecie *Dziennik dla wszystkich* pod redakcyą Henryka Perzyńskiego, zamieszczony został w nr. 282 z d. 5 (17) Grudnia r. b. artykulik p. t. „Zajście.“ W artykuliku tym powiedziano, iż d. 4 (16) Grudnia w godzinach popołudniowych, przy przejściu przez ulicę Muranowską, na roznosiciela opłatków z koszykiem, w którym się téż opłatki znajdowały, a który pokryty był serwetką z wyszytym na niéj srebrnym krzyżem, żydzi ciągle spluwali, a gdy wskutek tego roznosiciel udzielił kilku z nich moralną nauczkę, kilkudziesięciu żydów tłumnie rzuciło się na niego i pobiło go sromotnie, przyczém koszyk z opłatkami rozdeptany został przez napadających. Na krzyk pobitego nadbiegła policya, która odprowadziła główniejszych awanturników do cyrkułu. Z otrzymanego przezemnie raportu warszawskiego ober-policmajstra z d. 8 b. m. okazuje się, iż opisany przypadek nie wydarzył się w żadnéj miejscowości m. Warszawy. Z powodu tego, biorąc pod uwagę, iż wspomniana wiadomość, opisująca czelny napad żydów na chrześcianina i podeptanie przez nich przedmiotów religijnych, może bez potrzeby drażnić uczucie religijne miejscowych

chrześcian i rozbudzać w nich nienawiść do żywiołu żydowskiego ludności miejscowéj, co z kolei może odbić się niepomyślnie na spokoju publicznym, uznaje za konieczne postanowić i postanawiam: Z mocy udzielonéj mi w myśl prawa z d. 20 Września 1876 r. władzy, redaktora gazety *Dziennik dla wszystkich*, za umieszczenie wyżéj wymienionéj fałszywéj wiadomości, skazać na karą pieniężną w sumie rs. 1,000, w razie zaś niemożności zapłacenia takowéj, na trzy miesiące aresztu i zakomunikować o tém dla bezzwłocznego wykonania warszawskiemu ober-policmajstrowi.

Warszawa, d. 8 Grudnia 1887 r.

Na oryginale podpisano:
warszawski generał-gubernator generał-adjutant *Hurko*.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie grudniowym 1887 r. na str. 552 w wierszu 4 od dołu zamiast *skarpieć*, *skarpać*, należy czytać *skapieć*, *skapać*.



Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIE.

„KRAJ“ (listopad 1887. NN. 45, 46, 47 i 48). *Artykuły wstępne*: Atrybucye władzy administracyjnéj w Królestwie polsk.; Wiec poznański; Projekt przymierza austro-rosyjskiego; W sprawie dozorów kościelnych; Znaczenie najnowszego przesilenia we Francyi. *Korespondencye*: z Zagrzebia, z Rusi hal., z pod Krakowa, z Równa, z Londynu, z pow. Telszewskiego, z Waszyngtonu, z Brukseli, z Dorpatu. *Sprawy bieżące:* Memoryał łódzki; Przeciw cudzoziemcom: Sprawy szkolne; Walny wiec poznański; Jeszcze jeden obserwator; Katolickie Tow. Dobroczynności w Petersburgu; Sprawy nadbałtyckie; O żydach; Nadużycia i samorząd; Dyskusya nad listem starego szlachcica; Czechowie jako rozjemcy; List kardynała. *Dział polityczny.* Słowo wstępne: W sprawie memoryału łódzkiego; Międzypaństwowe stosunki europejskie; Wiec ludowy; Nowy środek germanizacyjny; Potajemny kongres; Dokument od dr. K. Waliszewskiego; Stanowisko duchowieństwa w Poznańskiém; Jedno z ostatnich rozporządzeń. *Ziemie i kolonie słowiańskie*: Listy z Krakowa, Lwowa, Rusi hal., Belgradu, górnego Szlązka, Berlina, Poznania, Wiednia, Paryża, Budapesztu, Ameryki, Lublany, Zofii i t. d. *Z prowincyi*: listy z pow. Dynaburskiego, Żytomierza, Mścisławia, Kazania, Piotrkowa, Kijowa i t. d. *Dział ekonomiczny.* — *Przegląd literacki*: Historyografia analityczna—K. Jarochowskiego. Najnowszy zwrot w historyografii polskiéj—M. Kariejewa. Towarzystwo kredytowe ziemskie—J. K. Prawnickiego. Listy o literaturach słowiańskich—Br. Grabowskiego. Z księgi krajobrazów—J. I. Kraszewskiego. Geniusz i obłąkanie—Ad. Mahrburga i t. d. — *Odcinek*: Pod chmurami, obrazek grecki Wołowskiego. Przemysł domowy, obrazek galicyjski I. Franko.

— Karola Lichtańskiego, w jęz. ros. „Podstawy naukowéj budowy państwa i kwestya polska“, str. 422, cena rs. 3. Nabyć można u autora pod adr.: Pańska N. 95, m. 21. Dla kształcącéj się młodzieży i osób pracujących naukowo cena zniża się o połowę i dodaje się bezpłatnie tegoż autora „Spór filozoficzny o probierz prawa“ i w jęz. pol. „Zarysy Antropozofii.

Redakcya chętnie przyjmie na siebie pośrednictwo.



HAZARD.

Wrodzoną i powszechną jest wśród ludzi chęć poznania tak dobréj jak i złéj przyszłości ; ale kiedy jedni opierają to poznanie na rachunku prawdopodobieństwa i tylko wtenczas przystępują do czynu, gdy widzą liczne szanse powodzenia : drudzy, najliczniejsi powierzają swoję przyszłość losowi. Los, fortuna, przypadek, hazard, są-to bliźniaki tak do siebie podobne, że najbystrzejsze oko nie wykryje między nimi różnicy. Więc téż i my możemy podstawić jedno za drugie, a wnioski zawsze będą jednakowe.

Jeżeli chęć poznania własnéj przyszłości czy indywidualnéj, czy zbiorowéj jest tak powszechną; to oczywiście winna się przejawiać w najrozmaitsuych zdarzeniach życia, na każdym kroku. I tak jest w istocie: chory chce wiedziéć, czy zdrów będzie ; ten, co zasiał, czy zbierze; ten, co gra, czy wygra; ten, co wojnę rozpoczyna, czy zostanie zwycięzcą i t. d. O ile to oczekiwanie, ta nadzieja oparte są na rachunku, nic im zarzucić nie można ; powiadamy, że są rozsądne. Przeciwnie, gdy nadzieja opiera się na przypadku, na hazardzie, już oddawna matką głupich ją nazwano. A chociaż przypadek, los, hazard także ulegają pewnym prawidłom matematycznym; jednakże ci, co od przypadku i losu czekają ziszczenia swojéj nadziei, zwykle nie rachują, rachunek bowiem taki nigdy w ich głowach nie powstał, a gdyby powstał, gdyby go zastosowali do przedsiębranych czynności, jużby wyszli z pod oczarowania hazardu i na sto razy, w 99-ciu pewnieby się cofnęli od zamierzonego kroku.

Niepodobna tutaj rozważać wszelkich, możliwych czynności ludzkich, w których hazard decyduje : dość będzie jeżeli częstsze, ogólniejsze roztrząśniemy. Do takich ogólniejszych zaliczam gry,

loterye wszelkiéj nazwy i wojnę: rozważać je myślę nie ze strony technicznéj, lecz etycznéj i ekonomicznéj.

Uważmy najprzód, że wszelkie gry mogą być dwóch rodzajów: dla zabawy i dla zysku; pierwsze nazywamy towarzyskiemi, drugie hazardowemi. Przeciwko pierwszym nie mamy nic do nadmienienia. Jeżeli ludzie, zebrawszy się w towarzystwie, nie mogą się inaczéj zabawić; jeżeli nie mają sobie nic do powiedzenia ani o sprawach osobistych, ani o publicznych; jeżeli ich nie zajmuje ani literatura i sztuka, ani przemysł lub rzemiosło, handel lub rolnictwo: niech się bawią bilardem czy kartami, *dyrdymałką*, czy whistem. Na to niemasz żadnéj rady: ze spróchniałych mózgów nie wykrzeszesz zdrowéj myśli. Inaczéj ma się rzecz z grami hazardowemi. Ale tu zaraz z początku spotykamy trudność, mianowicie, co rozumiéć przez gry hazardowe. Jedyny mój mistrz, ten, który przez skromność autorską utaił swoje nazwisko, mianując się tylko „Starym Graczem,“ nie wdaje się w definicye gry hazardowéj, wylicza jedynie jako hazardowe gry następujące: kwindecz, wentuń *(vingt-et-un)*, halbik czyli *halbe zwelwe*, makao czyli maczek, faraon, stos, lancknecht v. dyabełek i lamorek, czyli *à la mort*. (Czytaj: Gry w karty dawniejsze i nowe. Ułożył Stary Gracz. Warszawa 1888).

Przewodnik mój w przedmowie do swojego dzieła potępia gry hazardowe; rozumié, iż są wynikiem brzydkiéj namiętności a nierzadko haniebnéj spekulacyi, że prowadzą do ruiny bliźniego a prawie zawsze kończą się własną, w przytułku lub na śmieciu. Co się tyczy gier towarzyskich, jest dla nich pobłażliwy, nazywa je *potrzebą*, niemal *koniecznością*, złem nieuniknionem. Z dalszych uwag autora zdawałoby się wynikać, że gry towarzyskie, dla zabawy, czyli tak zwane komercyjne „nie są oparte na ślepym hazardzie“, że zatém whist, bezig, wint, boston i t. p. mogą być tolerowane; a znów hazardowe, w których łatwe jest oszustwo, winny być tępione. Otóż, rozróżnienie takie nie zdaje mi się być zasadném: tak w jednych jak i w drugich cechą różniącą je nie jest hazard, lecz pieniądz, lub jego równoważnik, zysk w téj lub owéj postaci: gra nadwiślańskich piaskarzy w guziki i gra nadwiślańskich hrabiów w Monte Carlo na rulony złota i gra warszawskich obywateli na mizerne grosze lub półgroszki, to w gruncie ta sama gra w widokach zysku. Gdybym się mylił, daruje mi „Stary Gracz“, jako profanowi, ale dla mojego celu potrzeba jasnego określenia, co rozumiéć przez gry hazardowe, a co przez towarzyskie. Ponieważ towarzyskie uważam za wolne od widoków zysku i o tyle za dające się tolerować; zatém hazardowemi będę nazywał wszystkie te, w których zachodzi stawka pieniężna lub jéj równoważnik. Nie

chodzi tu o ilość stawki, a tém samém i wygranéj: dość, żeby w grze była rzecz mająca wartość; na orzechowe łupiny chyba ludzie nie grają. Nawet dla powierzchownego obserwatora widoczna jest różnica w intonacyi głosu, rysach twarzy graczów grających o pięć punktów za grosz, albo o pięć pacierzy. Cokolwiek-by obrońcy gry dla zysku choćby najmniejszego na jéj usprawiedliwienie powiedziéć mogli, nigdy to nie wytrzyma krytyki wobec zdrowéj moralności: nie ma argumentu, którymby ten zysk usprawiedliwić można.

Bądź-co-bądź, nie zamierzyłem pisać krytyki dzieła Starego Gracza, lecz chciałbym dotknąć punktu, którego on nie dotknął, mianowicie, jaki tytuł prawny ma wygrywający do przywłaszczenia sobie wygranéj sumy, mniejsza o to, większéj czy mniejszéj. Leży w tém strona etyczna całéj sprawy.

Gra dla zysku w kości, czy w karty, w cetno i licho, czy w bilard—jest niezmiernie stara. Czy się poczęła z rodem ludzkim na ziemi, trudno z pewnością orzec; ale to pewna, że ją znali i Grecy i Rzymianie, jak to widać z praw zakazujących gier hazardowych. O starych Germanach pisze Tacyt w tłómaczeniu Naruszewicza: „Grając w kości, po trzeźwu nawet, tak są, rzecz dziwna, w zysku lub stracie zapamiętali, że przegrawszy wszystko, stawią nakoniec na los szczęścia ostateczny, ciała i wolność własną. Zwyciężony oddaje się samochcąc w niewolę; a lubo młodszy i duższy, dopuszcza siebie wiązać i zaprzedawać...“ Panowie wygranych, zaraz ich obcym przedają, wstydząc się sami nikczemnego zwycięztwa“ (XXIV). O przegrywanych majątkach, a nawet żonach (jeżeli prawda) dotychczas jeszcze słychać—oczywiście nie u nas.

Gdyby grę dla zysku, hazardową, można było wytępić prawnym zakazem, satyrą, komedyą, morałem, jużby oddawna znikła zpośród ludzi; tymczasem istnieje ona dotychczas i póty istniéć będzie, póki się nie podniesie poziom moralności publicznéj. Przykłady jéj skutków są zastraszające — ale nie dla graczów. Oto jeden z wielu, a ten najświeższy. Pisma nasze powtórzyły za obcemi o Monte-Carlo co następuje: Wielka radość panuje między akcyonaryuszami banku ruletowego. Dywidenda bowiem za sezon ostatni przewyższyła wszystkie dochody lat ubiegłych. Prawda, że i ofiary banku były w tym roku liczniejsze: odebrało sobie życie 76 osób. Aby zaś nikt się nie zrażał widokiem pogrzebów, zarządzono teraz prowadzenie zwłok na cmentarz zaułkami, przez most Santa-Devota, tak, że kondukt mija Monaco i Condamins.

Ale po co mamy szukać cudzych bogów. Oto „Stary Gracz“ opowiada, że u nas gra w karty upowszechniła się w XVI w., przedtém bowiem grywano w kości! Konstytucya z 1593 r. pisze: Koste-

rów nigdzie żaden urząd cierpiéć nie ma, ale takowych każdego stanu, po upomnieniu pierwszém i wtórém, a za trzeciém rózgami bijąc, wygnać precz z miast. Prawo pozostało prawem, a szulerstwo wzrastało swoją drogą coraz groźniéj. Grano już szalenie za Sasów, ale szczególniéj za Poniatowskiego. Adam Poniński, marszałek pierwszego sejmu rozbiorowego; Gurowski, marszałek koronny; książe biskup Massalski byli zapamiętałymi graczami. Kamerdyner Ponińskiego zostawił synom piękne dobra na Wołyniu, nabyte za dukaty (po 2 od gościa) zebrane przy dostojnym panu podskarbim. Wnukowie tego kamerdynera cisną się już do arystokracyi, jak „Stary Gracz“ zapewnia. Grano nie gorzéj na początku bieżącego wieku, grają aż do naszych czasów.

Patrz łaskawy czytelniku, oto czteréj stróże wynoszą stołek przede drzwi na ulicę, siadają na kamieniach i grają póki ich policyant nie spędzi do polewania ulicy; *dyski* lokatorów idą na stawkę. Jesteś w towarzystwie, proszą cię do gry — nie umiész, dziwią się i patrzą jak na człowieka z epoki mamutowéj. Pojechałeś na wieś, na wakacye, na święta; zjechało się kilku szlachciców i ksiądz proboszcz. Jest preferans dla zabicia troski i odemszczenia Bismarckowi za podniesione cło od naszego zboża. Wstąpiłeś w przejeździe do cukierni małego miasteczka: oto gromadka piszczyków tłucze bile po rozklekotanym bilardzie. Można się założyć, że w naszych zebraniach towarzyskich w 90 razach na sto bez gry się nie obejdzie, a zawsze nie na orzechy, ani na pacierze. A cóż dopiéro powiedziéć o dużém mieście, jak Warszawa? Tu już nietylko na towarzyskich zebraniach, ale po cukierniach i rozmaitych norach, na poddaszach zgrywają się całe setki młokosów i niemłokłosów. Szuka matka czy ojciec syna; wskazano im ulicę i dom, gdzie synalek trwoni ich pracę : idą, szukają, wszelki ślad zatarty. Na poddasze prowadzi drabina, którą odstawiono, okna zasłonięto, drzwi zaryglowano, przyszli obywatele, ozdoby ojczyzny, do koszuli rozebrani, pracują. Szukaj wiatru po świecie.

Czy ci wszycy, począwszy od stróżów a skończywszy na porządnych szlachcicach, grają dla rozrywki? Nie trzeba znać ludzi, żeby w tém widziéć tylko zabawę: tam chodzi o zysk; towarzyszą mu nadzieja i obawa, dwa potężne wzruszenia—i oto tajemnica zagadki niezrozumiałéj dla obojętnego widza, jak niezrozumiałą jest dla trzeźwego przyjemność pijaka.

Jaki mają prawny tytul do przywłaszczenia sobie wygranéj? Własność nabywa się prawnie: przez zajęcie rzeczy nie należącéj do nikogo *res nullius*, — przez pracę, darowiznę, spadek, kupno i sprzedaż. O wygranéj nic nie słychać. Ale przecież wygrywający

nie są złodziejami! Uchowaj Boże, oni tylko dla wygranéj nie mają żadnego tytułu prawnego i opinia zysk ten *toleruje* i w tém jedyny ich tytuł. Gdy się opinia lepiéj oświeci—zapewne na zysk z hazardu będzie patrzyła jako na zysk nieprawy, a wtedy i gry hazardowe znikną bez zakazu. Wszyscy w braku środka na wykorzenienie złego, apelujemy do przyszłéj, lepszéj i moralniejszéj opinii. Tymczasem opinia ta niezmiernie wolno się doskonali. „Gdyby rozum, powiada Jan Śniadecki, był zawsze skutecznem lekarstwem na namiętność i głupstwa ludzkie, znalazłby w nauce rachunku losów, najmocniéjszą broń na poskromnienie pasyi prawdziwie szalonéj do gier losowych czyli azardowych, prowadzących do zguby zniszczenia, zepsucia obyczajów i do tysiącznych nieszczęść zrujnowanych domów i familii" (O rachunku losów). Pomimo, że te słowa były wyrzeczone lat temu kilkadziesiąt, opinia publiczna tak mało naprzód postąpiła, że zysk z hazardu i dzisiaj jeszcze nie dręczy sumienia graczów. Wobec takiego stanu rzeczy byłoby może pożądaném zawiązywanie towarzystw przeciw grom połączonym z zyskiem, tak jak są towarzystwa antypojedynkowe i antypijackie.

Drugą ogólniejszą formą hazardu są rozmaitego rodzaju loterye. Gra w loteryą, niezmiernie u nas szczególniéj w Warszawie rozpowszechniona, jest wynikiem téj saméj pobudki, co i gra w karty, mianowicie, chęci znacznego zysku bez pracy, za opłatą małéj stawki. Urok, jaki ma dla człowieka nadzieja wygranéj, ufność do tak zwanego szczęścia czyli hazardu, popychają uboższe przedewszystkiém klasy ludności do gry loteryjnéj. Ludność ta nie ma wyobrażenia o rachunku prawdopodobieństwa, ażeby mogła ocenić szanse wygranéj lub przegranéj; owczym pędem leci do kantorów po bilety loteryjne—a gdy nadejdzie pora ciągnienia i kantory wystawią listy wygranych, tłumy publiczności oblegają sklepy szukając swoich numerów. Ciągnienie staje się ważnym *ewenementem* dnia dla mieszkańców Warszawy. Reporterzy *Kuryera* pędzą w zawody do kolektorów, chcąc uprzedzić jeden drugiego w ogłoszeniu czytelnikom radosnéj nowiny, gdzie padła najwyższa wygrana. Nigdy politycy Saskiego i Krasińskiego ogrodów nie czytali z taką gorączką telegramów z pola bitew, z jaką conajmniéj ćwierć warszawiaków czytała biuletyny o ostatnich znaczniejszych wygranych w Warszawie.

Gdy się biedakom tłómaczy, o ile nadzieja wygranéj na loteryi jest słaba—jedni nie rozumieją, drudzy powiadają, że nie należy przed szczęściem drzwi zamykać. Alboż to mała roskosz przez miesiąc łudzić się we dnie i w nocy złotemi snami poprawienia swojéj

je pewien procent, słowem ma jakiś równoważnik za wyłożony kapitał. To przecież mamy za pewne, że gdyby do takiéj pożyczki nie była przywiązana nadzieja wysokiéj wygranéj, mało kto skusiłby się na nią — że więc do wielu form hazardu przybyła w nowszych czasach jeszcze jedna. Obrońcy pożyczek premiowych widzą w nich nawet pobudkę do oszczędności i dziś, gdy nabycie kawałka ziemi staje się coraz trudniejsze dla ubogiego, premiówka może mu go poniekąd zastąpić. Korzystne i ujemne strony podobnych operacyi finansowych rozważają teoretycy i praktycy skarbowości; my wspominamy o nich o tyle, o ile się przyczyniają do podsycania gry hazardowéj i żądzy zysku bez pracy. Możnaby tu przypomnieć wszystkim graczom słowa Franklina wyrzeczone do robotników: „Ktokolwiekby wam mówił, że do bogactwa można przyjść inną drogą niż przez pracę i oszczędność, podaje wam truciznę.“

Najwyższą i razem najniebezpieczniejszą formą hazardu jest wojna. Kiedy bowiem przez grę w karty, loteryą, ubożą się i demoralizują jednostki lub pewne warstwy ludności; przez wojnę może zginąć cały naród. Tam stawka wynosi pewną, w stosunku do całego bogactwa kraju, niewielką cząstkę; tutaj wszystko chłonie przegrana. Ale jest-że wojna hazardem i jakie jéj podobieństwo z grami hazardowemi?

Wojna, pomimo wszelkich wyrachowań, pomimo znajomości sił strony przeciwnéj, jest hazardem. Nigdy bowiem najzdolniejszy strategik nie zdoła przewidzieć tego, co właśnie stanowi hazard. Nie przewidzi ciężkiéj zimy, odwilży i roztopów, ulewnych deszczów i burz, chorób zaraźliwych i kombinacyi politycznych, jakie w razie powodzenia, obmyślą zazdrośni sąsiedzi. Rozumieli to i starożytni mówiąc, że rezultat wojny zawsze jest wątpliwy — *eventus belli dubius.*

Podobieństwo wojny do gier hazardowych leży w następujących okolicznościach: Motywem, jedyną (prawie) pobudką do wojny, jak i do gry, jest zysk — wyrażamy to pospolicie maksymą, że wojny prowadzą sie o interesa, nie o idee. Może ten zysk nazywać się stadem baranów, jak bywa między hordami, albo może nosić tytuł wolnéj granicy dla handlu, albo mogą stanowić go miliardy kontrybucyi i parę prowincyi — zawsze to zysk. A ileż to potém awansów i posad zyskownych w zdobytym kraju! Jakże tu nie szczuć międzynarodowych namiętności?

Daléj, jest stawka i to gruba, miliony w ludziach i miliony w broni, twierdzach i zapasach — jest obawa i nadzieja, tak samo jak przy zielonym stoliku; słowem, jest hazard, który taki urok wy-

wiera na imaginacyą graczów i widzów. Wprawdzie namiętności w wojnie huczą potężniéj, niż przy dyabełku; ale są to te same namiętności, chciwość cudzego i strach o własną skórę. Wojna może być odporną i wtedy nazywamy ją sprawiedliwą, konieczną dla zachowania własnego bytu; może być zaczepną i taką najczęściéj bywa, co wcale nie przeszkadza prawnikom koronnym wynaleźć dla niéj tytułu konieczności: ale te względy etyczne wcale jéj nie odejmują cechy hazardu.

Tak więc stary, niewygładzony instynkt do grabieży, odzywający się echem u praszczurów, ten sam, jaki rzucał hordy przeciw hordom, odzywa się do dziśdnia w cywilizowanych narodach. Dlatego słusznie poniekąd mówią, że końca wojen na świecie nawet przewidziéć niepodobna. Témbardziéj, że nie brak im obrońców nie tylko wśród dziennikarzy, nie ryzykujących nic, oprócz atramentu, ale i w sferze teoretyków-ekonomistów, prawników i filozofów.

Zostawmy wszakże w spokoju teoretyków, a posłuchajmy wielkich przemysłowców, jak oni bronią wojny.

Kto ma uszy ku słuchaniu, mógł się nasłuchać obecnie stękania na wszystkie tony, dochodzącego nietylko z ust sklepikarzy, lecz i poważnych naczelników firm rozmaitych, że czasy są złe, okrutne, że tylko wojna mogłaby przynieść ulgę. Dziwne zaiste lekarstwo — a przecież nie bez pozorów uzdrawiających. Te jęki całego świata handlującego i produkującego spotykają echo w argumentacyi, która mniéj więcéj tak rozumuje:

Wojny, klęski wynikające ze wstrząśnień przyrody, czyli tak zwane elementarne i cła ochronne, mają to za sobą, że ożywiają produkcyą i dostarczają pracy rękom próżnującym. Zniszczone przez wojnę dobra materyalne muszą być nanowo wytworzone; ołowiana atmosfera, tamująca oddech, oczyszcza się niby po burzy, zakwita nowe życie. Niech żyje zatém wojna! Przez nią kształcą się cnoty męskie, hartują charaktery, ludzkość o krok naprzód się posuwa.

Co zdanie, to sofizmat. Zniszczone dobra materyalne trzeba na nowo wytwarzać; potrzebne do tego siły mogłyby być użyte do produkcyi nowych dóbr, któreby stanowiły wraz z dawnemi większą sumę, a tém samém byłyby dostępniejsze dla większéj liczby ludzi. Próżnujące ręce wprawdzie znajdują po wojnie chwilowe zatrudnienie, ale tylko póty, póki wyłom sprawiony przez wojnę, nie zostanie zapełniony. Burze oczyszczają atmosferę, ale wojny ani nędzy ludzkiéj nie zmniejszają, zużywając nieprodukcyjnie istniejące już dobra, ani cnót prawdziwie ludzkich nie rozwijają. Religia ma słuszność, prosząc Boga o odwrócenie moru, głodu

i wojny; wojna cofa ludzi do stanu pierwotnego, w którym kły i pazury decydowały o losie jednostek. Jeżeli się ludzie doskonalą, to tylko w pracowitym pokoju.

Dowodzić rzeczy jasnéj jak słońce — jest to samo, co nosić wodę do studni. Interes, zysk, tych, czy innych warstw społecznych zawsze znajdzie argumenta na obronę wojny.

Zabawiliśmy czytelnika, może dłużéj, niż należało; ale chodziło nam o zwrócenie uwagi, jak wielu czcicieli ma wszędzie, a u nas szczególniéj bożek hazard. Tysiące ludzi zamiast w uczciwéj pracy, szuka poprawy swojéj doli w kartach, loteryi, w tém specyalnie naszém: jakoś to będzie.

K.





O UCZENIU RZEMIOSŁ.

Wyrabianie przedmiotów służących do zaspokojenia potrzeb ludzkich, lub do udogodnienia i ułatwienia pracy, jako objaw przemyślności rozumu ludzkiego, napotyka się w najdawniejszych podaniach historyi. Jako dowody téj przemyślności służą znajdywane w jaskiniach i na innych miejscach pobytu pierwotnych ludzi, narzędzia z krzemienia, kamienia, gliny i kości, służące do walki lub obrony, do przygotowywania jadła, przechowywania napojów, przyrządzenia odzieży, grzebania zwłok, a nawet do ozdoby: siekierki, noże, strzały, młoty, żarna, iglice, obrączki itp.

Naturalném następstwem zajmowania się wyrobem danych przedmiotów, jest wprawa w zażywaniu materyału i narzędzi, obmyślanie środków pomocniczych dla ułatwienia pracy i stopniowe a ciągłe wydoskonalanie wyrobu. Pierwotne a stałe ślady postępu w wyrabianiu najprostszych przedmiotów, wyraźnie występują w powyżéj wzmiankowanych zabytkach sztuki przedhistorycznéj.

Nabyta wprawa, wynalezienie odpowiedniego materyału, obmyślenie lub odkrycie jakiego rękoczynu, lub pomocniczego narzędzia, same przez się wpływały już na wyłączne zajmowanie się niektórych osób pewnemi robotami specyalnemi, w których téż indywidua biegłością nad innemi spółpracownikami wyższość a zatém i korzyść przedstawiały.

Tym sposobem powstawali rzemieślnicy.

Nabyta biegłość a obok tego wrodzone uzdolnienia, skłonności, stopień siły fizycznéj itp. wywoływały rozmaitość zajęć, a zatém i podział pracy w społeczeństwie. Gdy jedne indywidua zajmowały się robotą, inne poszukiwaniem lub przygotowywaniem pożywienia, (polowanie, rolnictwo), inne znowu zdobyczą lub obroną (rycerstwo). W dalszym dopiero ciągu uobyczajenia występuje nowa klasa za-

jęć, uszlachetniających istotę ludzką: sztuka i nauka; a jeszcze później klasa osób pośredniczących pomiędzy wytwórcami a potrzebującymi wyrobu: kupcy.

Nie tu jest miejsce wykazywać, jak wpływy powyższe działały na rozwój historyczny społeczeństw, jak w następstwie podziału pracy wytworzyły się u ludów kasty i klasy, które z początku istniały obok siebie a stopniowo układały się jedne nad drugiemi, jak klasy wojujące powoli zawładnęły klasami pracującemi, a mając broń i siłę, zagarnęły ziemię na własność oraz wpływ w rządzie, wyrobiły sobie przywileje, a z rzemieślników porobiły niewolników, albo niewolników kształciły na rzemieślników. Dosyć wskazać, że taki stosunek prawie u wszystkich ludów poniżył pracę rzemiosłową.

Samą więc siłą stosunków rzemieślnicy utworzyli korporacye, mające na celu dogodności osób zajmujących się jednego rodzaju wyrobami. Dla wzajemnéj między różnemi rzemiosłami pomocy, dla ułatwienia zbytu jako téż skuteczniejszéj ochrony swych pracowni i nabytego mienia skupiali się w miastach, gdzie również pomieszczali się pośrednicy zbytu, kupcy. Tym sposobem wytworzyła się z rzemieślników i kupców klasa mieszczan, obywateli miejskich.

W średnich wiekach korporacye miejskie (gildy) toczą groźne boje ze stanem rycerskim a nawet z panującymi i wywalczają sobie przywileje, a w razie przegranéj przygniatane bywają ciężkiemi kontrybucyami, podatkami i powinnościami; albo téż otrzymują jedno i drugie zarazem.

Jedną z najpospolitszych form takiego przywileju było zyskanie monopolu, wyłącznego prawa wyrobu danych przedmiotów, zakaz wyrabiania ich przez osoby do korporacyi nie należące lub zakaz wprowadzania i sprzedawania takichże przedmiotów w inném mieście lub za granicą wyrobionych.

Zajmujący się jednego rodzaju wyrobem rzemieślnicy dla obrony swoich interesów wiązali się w cechy (*maitrises*, *jurandes*, we Francyi, *Zünfte* w Niemczech), ustanawiali surowe reguły hierarchii rzemieślniczéj, przepisy dla podwładnéj czeladzi, wytworzyli pewne zwyczaje i obyczaje, które tradycyą przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Ponieważ w takich korporacyach pierwsze słowo mieli najstarsi i najzamożniejsi, a zatém majstrowie, wynikło ztąd naturalnie uprzywilejowanie ich stanowiska w cechu a upośledzenie i zależność czeladzi i uczniów.

Im trudniejsze było osiągnięcie stanowiska majstra, im cięższą rzeba było przejść kolej, zanim uczeń i czeladnik zdołali dojść do

celu swych zabiegów, tém bardziéj tenże czeladnik, zostawszy majstrem, starał się osiągnięte stanowisko wyzyskać.

Przy pracy mechanicznéj, od wieku dziecęcego poczynającéj się, nieustannie przez lata młodzieńcze, pośród ciężkich warunków, znoszonéj bez żadnego naukowego lub obyczajowego wykształcenia, do nabycia którego brakło i czasu i sposobności, w klasie poniżonéj i wzgardzonéj w społeczeństwie, wśród praktyk, tradycyą uświęconych a uderzających skażeniem obyczajów, grubiaństwem i rozpustą, połączonych dziwną sprzecznością nieraz z nastrojem religijnym lub wyłącznie wyznaniowym, wyrabiała się ta klasa mieszczan obywateli.

Jakkolwiek cechy dawały niekiedy dowody heroizmu i poświęcenia, jakkolwiek w ustawach cechowych zapisaną była opieka nad czeladzią i uczniami, to jednak stałą niemal regułą tych urządzeń były ciasne pojęcia, samolubna wyłączność, tradycyjny konserwatyzm rutyny, sprzeciwianie się wszelkim ulepszeniom i postępowi. Tyrania starszych, ścieśnienia w pracy, przemyśle i handlu, zastój w wydoskonalaniu wyrobu uczyniły instytucye te nienawistnemi w oczach ludności.

To téż przewrót społeczny, wywołany w końcu zeszłego wieku rewolucyą francuską, zburzył te instytucye we Francyi raz na zawsze, a na miejsce ich wystąpiła swoboda pracy.

Obrońcy urządzeń cechowych przepowiadali upadek rzemiosł, zniżenie wartości i dokładności wyrobów, zubożenie ludności rzemieślniczéj. Przepowiednie owe nie ziściły się: wyroby swobodnéj pracy i spółubiegania się nieścieśnionego przerosły rutyniczne produkcye krajów, rządzonych ustawami cechowemi. Jednocześnie podniósł się znakomicie dobrobyt klas pracujących.

Z innéj strony spadł na korporacye rzemieślnicze cios niemniéj dotkliwy, który ostatecznie zachwiał ich podstawy.

Postępy nauk przyrodniczych i ścisłych, a szczególniéj mechaniki i chemii, doprowadziły do odkryć i wynalazków, które pracę mechaniczną człowieka zastąpiły pracą maszyny. Zastosowanie pary, wynalezienie dowcipnych przyrządów, wytwarzających pewne przedmioty prędzéj, łatwiéj i taniéj aniżeli rzemieślnik, uniemożliwiły jego spółubieganie się w wyrobach i zniosły znaczną liczbę rękodzieł, lub ograniczyły pracę rzemieślniczą w wysokim stopniu.

Na miejscu rzemiosł i rękodzieł wytworzył się przemysł, na miejsce pracowni (warsztatu) stanęła fabryka, miejsce rzemieślnika zajął robotnik.

Przemysł fabryczny rozwija się potężnie. Rozległością mechanicznych urządzeń, maszynowéj siły, organizacyą i podziałem pracy,

dokładnością i taniością, a zarazem nieznanym przed tém ogromem produkcyi, usuwa rzemiosła domowe lub zacieśnia zakres ich zajęcia. Niektóre rzemiosła znikły zupełnie: szpilkarze, gwoździarze, nożownicy, tkacze, sukiennicy, a ich miejsce zastępują robotnicy. Innych rzemiosł warunki zmieniły się rdzennie. Fabryka dostarcza im w części lub w całości gotowe wyroby, a rzemieślnikowi pozostaje tylko ich złożenie, zestawienie lub przystosowanie, jako to: kowalom, zegarmistrzom, puszkarzom, ślusarzom i t. p. W innych rzemiosłach bierze na siebie znaczną część roboty maszyna, wykonywa ją nierównie lepiéj, prędzéj i taniéj, a tym sposobem zmienia warunki i naturę rzemiosła, np. maszyna do szycia dla szewców, krawców, rymarzy i t. p. Ztąd i uzdolnienie i praktyka rzemieślnika musiały zmienić kierunek i zastosowanie. Nieustanne wynalazki i ulepszenia codzień niemal wstrząsają rutyną rzemieślników i wyrywają ich z pod urządzeń cechowych.

Zmiany stosunków politycznych i społecznych, dokonane w ciągu bieżącego stulecia w największéj części krajów ucywilizowanych, również silnie wpłynęły na stosunki rzemieślników. Zniesienie przywilejów, równouprawnienie stanów i wyznań, autonomia zarządów miast, zmiana i swoboda stosunków handlowych, niezmierne ułatwienie komunikacyi i przewozu, nowe urządzenia humanitarne i ekonomiczne, powołały mieszczan do nieznanéj im przedtém roli, wytworzyły niebywałą przedtém konkurencyą i zmusiły do przejścia na inne drogi kształcenia się.

Jeżeli z jednéj strony klasy rzemieślnicze straciły na przywilejach cechowych, na wyłączności prawa wyrobu, na możności wyzyskiwania pracy czeladnika i uczniów, z drugiéj zyskały na podniesieniu godności osobistéj, na zrównaniu stanów, na powołaniu do życia obywatelskiego.

Podniósłszy się z dawnego upośledzenia i wchodząc w stosunki i bliższe zetknięcie z warstwami ludności, posiadającéj wyższe wykształcenie, poczuli rzemieślnicy potrzebę nauki i uobyczajenia, których niedostatek, wobec podniesienia godności każdéj uczciwéj pracy, utrzymywał ich jedynie jeszcze na niższym szczeblu stanowiska społecznego.

Z innéj strony rządy uznały błogosławieństwa ogólnéj oświaty i konieczność rozprzestrzenienia jéj i udostępnienia dla wszystkich klas społeczeństwa i tym sposobem zmusiły i rzemieślników do jéj nabywania.

Nauka tak zwana elementarna stała się więc obowiązującą obok nauki rzemiosła, a w ślad zatém i nauka rzemiosła uległa rozmaitym zmianom.

W początkach rozwoju rzemiosł, kiedy specyalne zajęcie, wyłączny wynalazek w tajemnicy utrzymywany, stanowiły niejako bogactwo i spuściznę rodziny, a rzemiosło, przechodząc z ojca na syna, utrzymywało się przez pokolenia w jednéj familii, nauka rzemiosł udzielana bywała bez określenia czasu i warunków, w sposób patryarchalny. Wraz z wytworzeniem się korporacyi cechowych i przyjmowaniem uczniów z po za obrębu rodziny, tradycya wyrabiała pewne zwyczaje, w następstwie uświęcane przez przepisy cechowe. Jak już wyżéj wspomniano, tak zwani majstrowie, to jest rzemieślnicy, prowadzący własny warsztat, w zamian za udzielanie nauki rzemiosła i utrzymanie, wymagali od ucznia pracy wieloletniéj, w któréj mieściła się nie tylko praca warsztatowa, ale wszelkiego rodzaju wysługa i posługa. Uczeń stał się posługaczem majstra i jego rodziny, nieraz i czeladników; posługa, według zwyczaju, trwała od lat 5 do 7, stosownie do wieku ucznia i do rodzaju rzemiosła, a od tego terminu czyli czasu trwania uczenia się początków rzemiosła, uczeń zwał się terminatorem.

Biorąc na uwagę otoczenie, śród którego odbywało się terminowanie, stopień uobyczajenia, zwyczaje i pewną tradycyą, nakazującą ile można surowe i grubiańskie obchodzenie się z uczniem, karność i tyranią starszych i przełożonych; z drugiéj strony brak wszelkiego wychowania i początków nawet nauki szkolnéj u terminatora, wnosić można łatwo, że lata terminatorskie, przy lichém pożywieniu i jaknajskąpszém zresztą utrzymaniu, upływały śród nieustannych upokorzeń i prześladowań, z krzywdą dla najpospolitszych uczuć ludzkich, ze spaczeniem moralnéj strony rozwoju przyszłego rzemieślnika.

Tak twarde życie uważane było jako konieczny warunek kształcenia terminatora i wynoszone było do godności zasady.

Nie należy mniemać, że te warunki nauczania fachowego wyłącznie stosowane były tylko u rzemieślników. Z małemi zmianami, a mianowicie pod względem lepszego nieco utrzymania uczniów, były one w użyciu i względem uczniów handlowych, a po dziś-dzień jeszcze w wielu domach handlowych uczniowie używani bywają do posług, z przyszłym ich zawodem związku bynajmniéj nie mających. Są jeszcze pryncypałowie, którzy trzymają się téj zasady, że uczeń, zanim przypuszczony będzie do wagi lub łokcia, zanim pocznie przepisywać listy lub prowadzić księgi, powinien zacząć od zamiatania kantoru lab dźwigania ciężarów.

Uczenie się rzemiosła było rzeczą podrzędną. Terminator, z początku wyłącznie do posług używany, powoli używany bywał do pomocy przy pracy warsztatowéj, przyczém przypatrując się ro-

bocie czeladników i majstra, obznajmiał się ze stroną techniczną rzemiosła, a nareszcie stopniowo przechodził, stosownie do dobréj woli majstra i jego pomocników, do właściwego zajęcia. Naturalnie nie można było oczekiwać, żeby nauka rzemiosła udzielana była systematycznie lub według jakiéj metody pedagogicznéj. Wskazówki dawane od niechcenia, według przyjętéj rutyny, przy pomocy plag i szturchańców, nie bardzo przyczyniały się do szybkiego postępu ucznia. Tak jak przyjmowano ucznia do terminu bez względu na jego fizyczne uzdolnienie do danego rzemiosła, na odpowiedniość jego wieku i sił, na szczególną jego zdolność do obranego zawodu, tak téż i w ciągu terminowania obarczano go często pracą, przechodzącą jego siły lub nie odpowiadającą zdolnościom. Następstwem tego było, że największa liczba terminatorów wychodziła na partaczy i tylko jednostki wyjątkowo uzdolnione lub faworyzowane wyrabiały się na dobrych rzemieślników.

Ustawy cechowe z początku samowolnie na zasadach zwyczaju miejscowego i rutyny stanowione, bywały następnie rewidowane i zmieniane przez władze, którym cechy podlegać musiały. W ustawach tych zamieszczane bywały przepisy, mające na celu opiekę nad terminatorami i ograniczające do pewnego stopnia samowolę majstrów. Niemożliwość jednak skutecznéj kontroli, zakorzenione wiekami zwyczaje, niskie wykształcenie samych majstrów i brak wszelkiéj w tych sferach kultury obyczajowéj, czyniły owe zastrzeżenia złudnemi. Rzadko kiedy rodzice lub opiekunowie odwoływali się do tych postanowień i to chyba w razie ciężkiéj krzywdy uczniowi wyrządzonéj, wiedząc dobrze, że taka interwencya władzy zwykle gorsze dla terminatora miewała następstwa, aniżeli znoszenie twardych warunków, którym terminator poddawać się musiał.

Po wytrzymaniu przez ucznia ciężkiéj doli lat terminatorskich, majster z dobréj woli lub stosownie do zobowiązań przyjętych przy zapisaniu terminatora, wyzwalał go na czeladnika.

Stanowisko czeladnika dawało mu już niejakie prawa, a przedewszystkiém prawo żądania płacy za pracę. Nie podlegając już obowiązkom posługi, czeladnik musiał nieokreśloną liczbę lat pracować, zanim po zrobieniu tak zwanego majstersztyku, zdołał osiągnąć stopień majstra. Praca w warsztacie, do któréj czeladnik usposobił się terminowaniem, przeplatana bywała odpoczynkiem w niedzielę i święta, święcone według odwiecznego zwyczaju hulanką i pijatyką, przeciągającemi się do poniedziałku i poświątku, nieodzownemi również przy wyzwoleniu, a wyradzającemi się bardzo często w sprośne bachanalie.

Dla doskonalenia się w rzemiośle czeladnikowi wolno było, a nieraz miewał sobie nakazane obowiązkowo wędrowanie. Nie można zaprzeczyć, że wędrówka, rozumnie podjęta, mogła istotnie przyczynić się do poznania świata i ludzi, do rozjaśnienia pojęć czeladnika i do poznania postępów w rzemiośle, po za granicami rodzimego miasta zrobionych. Do ostatnich czasów wędrówki te odbywane bywały pieszo, zabierały wiele stosunkowo czasu i wystawiały czeladnika na wiele trudów niepotrzebnych i na ciężkie nieraz przygody. Przybywający do obcego miasta odszukiwał właściwą dla każdego cechu gospodę, gdzie za ustanowioną opłatą bywał przyjmowany i gdzie wynalezienia roboty wyczekiwał. Czas przebywania w gospodzie poświęcany bywał najczęściéj pijatyce i rozpuście, stosownie do środków, jakiemi przybysz rozporządzał.

Czeladnik obowiązany był do pewnych terminowych i nadzwyczajnych składek tak zwanéj anflegi. Sumy tak zbierane zachowywały się u starszego cechu. Miejscem zachowania wraz z dokumentami, do cechu i jego składu osobistego należącemi, była tak zwana lada. Z sum tych opędzano wydatki ogólne cechu, jako to: sprawianie chorągwi, msze święte, koszta uczt wspólnych przy wyborach starszych, a nareszcie opłaty kuracyjne, szpitalne i pogrzebowe. Niekiedy wydawano stąd zapomogi biednym i podupadłym majstrom. Humanitarne jednak cele składek czeladzi zwykle grały rolę podrzędną, główna część sum wydawana bywała na uczty. Nadużycia w pobieraniu opłat i malwersacye w wydatkach bardzo często się wydarzały.

W warunkach wyżéj wyłuszczonych nauka rzemiosła nie bywała bynajmniéj ponętna. Skutkiem tego oddawano do niéj dzieci niemal wyłącznie z najbiedniejszéj klasy, sieroty, dzieci upośledzone zmysłowo lub leniwe do nauki szkolnéj i nie mające przed sobą widoków innéj karyery. W wielu razach oddanie do rzemiosła było rodzajem kary dla dzieci złego prowadzenia się, lub sposobem pozbycia się ciężaru w rodzinach, tém błogosławieństwem obarczonych.

Wynikało stąd koniecznie poniżenie społeczne rzemiosł coraz wzrastające, a za niém odosobnienie rzemieślników wobec innych klas obywatelskich. Odosobnienie to strącało znowu do niższego poziomu obyczajowego samych rzemieślników.

Z tego błędnego koła było tylko jedno wyjście: nauka szkolna. Środek ten jednak zastosowany został dopiéro w bieżącém stuleciu.

Jak człowiek pogrążony w ciemności traci poczucie światła, tak klasy nieoświecone nie uczuwają potrzeby nauki. Jak przywykłego do ciemności światło olśniewa i przykre nań wywiera wra-

żenie, tak nieoświecony unika nauki, poczytuje ją za nieużyteczną, niepotrzebną i uciążliwą.

W warsztatach terminatorowi nie wolno brać się do książki. To bałamuctwo i marnowanie czasu; to zawraca głowę i odejmuje chęć do pracy. Jeżeli lada cechowa otwierała się na opędzenie wydatków na uczty, a niekiedy dla celów humanitarnych, to nigdy jednak na szkołę lub na bibliotekę. Wprowadzenie obowiązku posyłania uczniów do szkoły niedzielnéj natrafiało na uporczywą opozycyą lub niedbalstwo majstrów i zaledwie przymusem policyjnym mogło być dokonane.

Stan jednak zaniedbania rozwoju umysłowego uczniów rzemieślniczych zwrócił uwagę filantropów i władz rządowych i wywołał różne instytucye, mające zaradzić wykazanym wyżéj niedostatkom i ich smutnym następstwom.

Przedewszystkiém, brak opieki nad uczniami rzemieślniczymi i potrzeba kontroli nad postępowaniem majstrów wywołały utworzenie osobnych towarzystw, których celem było zajmować się losem terminatorów - sierot i innych, pozbawionych opieki naturalnych opiekunów. Towarzystwa te starały się o zawieranie umów czy kontraktów z majstrami, w których wyszczególniane były warunki, zapewniające uczniowi dobre obchodzenie, odpowiednie utrzymanie, dotrzymanie terminu wyzwolenia, ograniczenia pracy nie przechodzącéj siły dziecka, zapewnienie pomocy w chorobie i t. d., a na pierwszém miejscu—danie możności nabycia elementarnéj nauki. Towarzystwa te wyjednywały u władz rządowych prawodawcze rozporządzenia, zapewniające wszystkim wogóle terminatorom dobrodziejstwa opieki i oświaty, a co ważniejsze, ustanawiały ze swego ramienia kuratorów, zajmujących się ścisłym a zbawiennym nadzorem nad wykonywaniem wyżéj wspomnianych warunków umowy.

Uznana powszechnie potrzeba oświaty dla klas pracujących wywołała ustanowienie dla rzemieślników rozmaitych zakładów naukowych. Uwzględniając konieczność codziennego zajęcia uczniów w warsztacie, starano się wyzyskać dni świąteczne i niedzielne dla umysłowego ich kształcenia. Najpospolitszą tedy instytucyą naukową dla rzemieślników stały się szkoły niedzielne, w których w przedpołudniowych godzinach wykładane bywają przedmioty nauki początkowéj, mianowicie religia i moralność, czytanie i pisanie w jedym lub kilku językach, arytmetyka, niekiedy historya i geografia, geometrya i rysunki. Jak z jednéj strony ograniczony był zakres wykładanych przedmiotów, tak z drugiéj szczupłość czasu poświęconego nauce dozwalała zaledwie w ciągu kilku lat

udzielić uczniom najelementarniejszych potrzebnych im wiadomości, témbardziéj, że w ciągu całego tygodnia, przy braku czasu do powtarzania, do przygotowywania się na lekcye, do ćwiczenia się i wprawy, mianowicie w pisaniu i w rysunkach, niepodobna było osiągnąć pożądanych postępów.

Usiłowano temu zaradzać przez dodanie wykładów wieczornych, urządzanych dwa lub trzy razy w ciągu tygodnia. Szkoły wieczorne miały również a raczéj przeważnie na celu przypominanie nauki, powtarzanie jéj dla starszych rzemieślników i robotników, którzy bez téj pomocy łatwo zapominali to wszystko, czego się przedtém w szkole niedzielnéj nauczyli. Dla wielu były to szkoły dalszego kształcenia się z rozleglejszym nieco programem, zastosowanym tu i owdzie do specyalnych gałęzi przeważającego w danéj miejscowości przemysłu. I tak w niektórych szkołach wieczornych wykładano matematykę, geometryą w szerszym zakresie, miernictwo; w innych początki fizyki, chemii, technologii, hygieny; w innych nareszcie urządzano oddzielne lekcye dla cieśli, piwowarów, destylatorów, garbarzy, maszynistów i t. p. Takie szkoły przeważnie w ostatnich czasach urządzono w Niemczech.

Nie można zaprzeczyć, że szkoły niedzielne i wieczorne stanowią ważny i z wielu względów pożyteczny środek kształcenia rzemieślników. W danych okolicznościach jest to jedyny środek umożliwienia im nabycia jakichbądź początków nauki.

Z drugiéj strony widoczne są niedostatki tych zakładów, ze względu na krótkość czasu poświęcanego nauce, na długie tygodniowe przerwy pomiędzy wykładami. Użycie niedzieli i świąt do nauki pozbawia rzemieślników sposobności uczęszczania na nabożeństwa, a zarazem jedynego dnia, w którym robotnik po całotygodniowéj pracy mógłby użyć wypoczynku i rozrywki. Potrzebę wypoczynku najlepiéj mogą ocenić ci, którzy z doświadczenia wiedzą, czém jest codzienna, nieustająca, przymusowa a nieraz ciężka i siły wyczerpująca praca, w dusznéj i ciasnéj atmosferze warsztatów, w brudnych i ciasnych ulicach miejskich. To też szkoły niedzielne napotykają niechęć i opór ze strony uczniów, obojętność ze strony majstrów i tylko pod ścisłą kontrolą i przymusem utrzymać się mogą. Jak ujemnie taka niechęć wpływa na postęp w nauce, łatwo osądzić.

Szkoły wieczorne znowu tę przedstawiają niedogodność, że wykłady odbywają się wobec słuchaczy znużonych całodzienną pracą fizyczną, nie będących w stanie utrzymać i wytężyć uwagi na słowa nauczyciela. Robotnik, który pracował od 5-téj lub 6-téj godziny zrana, przychodzi na wykład po godzinie 7 wieczorem ze znu-

żeniem, które gwałtownie wypoczynku lub snu wymaga. Osadzony w ławie, w stanie przymusowego unieruchomienia, słuchacz musi wytężyć całą siłę swéj woli, by oprzéć się wpływowi owładającéj nim senności, którą chyba bardzo żywy i bardzo zajmujący wykład spłoszyć byłby w stanie. Doświadczenie uczy, że na wykładach wieczornych znaczna część słuchaczy mimowolnie usypia. Łatwo osądzić, jak ograniczoną jest z tych powodów korzyść nauki, i tak w porze wieczornéj zaledwie godzinę trwać mogącéj.

Ze względu na niemożność wynalezienia czasu na kształcenie umysłowe rzemieślników bez przerywania pracy warsztatowéj, która bądź-co-bądź stanowi główne zadanie ich życia i podstawę ich przyszłości, konieczność zmusiła do ograniczenia się do szkół niedzielnych i wieczornych, pomimo uznanéj ich niedostateczności.

Niebawem inny wzgląd zwrócił uwagę ludzi myślących, a mianowicie sama metoda uczenia technicznéj strony rzemiosła. Odkryto tu wady i niedostatki, o których wyżéj już nadmieniono, a to poprowadziło nauczanie rzemiosł na nowe zupełnie drogi.

W niektórych miejscowościach, przedstawiających naturalne warunki, ułatwiające szczególne wyroby, lub obfitujące w materyał do wyrobu potrzebny, wytworzyły się rzemiosła specyalne, miejscowe. W innych miejscowościach po wsiach niedostateczność produkcyi rolnéj przy znacznem zaludnieniu zmusiła ludność do pracy przemysłowéj, albo do zużytkowania w taki sposób czasu niezajętego pracą około roli zwłaszcza w miesiącach zimowych. W takich miejscowościach, przy niedostatecznéj możności nauczenia rzemiosła w warsztatach, urządzono specyalne szkoły rzemiosłowe (1). Tak to powstały szkoły garncarskie, koszykarskie, koronkarskie, tkackie i t. p.

Wobec szybkich postępów w technice niektórych gałęzi przemysłu i zastosowania środków i sposobów odkrytych i podanych przez nauki ścisłe i przyrodnicze, wobec używanych i coraz bardziéj upowszechniających się pomocy mechanicznych, uznano konieczność specyalnego przygotowywania uczniów, uprzedniego nabycia pewnych wiadomości naukowych zanim przystąpią do nauki właściwego zajęcia. W innych razach, po uprzedniém nabyciu technicznych rękoczynów i wprawy mechaniczeéj, wykazała się potrzeba naukowego wykształcenia dla możności dalszego uzdolnienia do wykonywania danego zawodu.

---

(1) Odróżniamy szkoły rzemieślnicze od szkół rzemiosłowych tą mianowicie cechą, eż gdy pierwsze służą do udzielania nauki elementarnéj ogólnéj rzemieślnikom pracującym w warsztatach, drugie nauczają zarazem praktycznię saméj techniki rzemiosła.

Na tych zasadach urządzono szkoły fachowe: zegarmistrzów, stolarzy wytwornego wyrobu (*ébénistes)*, cieśli, mechaników i maszynistów, szkoły podmajstrzych (*écoles des contremaitres*), na wzór oddawna istniejących szkół felczerskich i aptekarskich. Tu również zaliczyć należy szkoły kupieckie (handlowe), szkoły ogrodników i niższe szkoły rolnicze. Tu nie mniéj należą wyższe szkoły techniczne (*écoles des arts et métiers* we Francyi, *Gewerbeschulen* w Niemczech).

W Anglii lekarze, równie jak aptekarze stawiają pierwsze kroki w nabywaniu wiadomości, do zawodu potrzebnych, od praktycznych zajęć przy lekarzach albo w szpitalach, jakotéż w aptekach i pracowniach chemicznych, a następnie dopiero przechodzą do uniwersytetów lub szkół specyalnych. W innych krajach zajęcia praktyczne poprzedzić muszą rozległe prace naukowe teoretyczne a po nich wymaganą jest przed uzyskaniem stopnia, upoważniającego do zawodowego zajęcia, praktyka techniczna mniéj lub więcéj długo trwająca, jak klinika dla lekarzy, praktyka rolnicza dla agronomów, praktyczne zajęcia dla inżynierów i budowniczych itp.

Z powyższego już wnioskować można, jak nauka teoretyczna zastosowana do rzemiosł podniosła godność i stanowisko rzemieślnika do równi niemal z zawodami zajmującemi zaszczytne miejsce w społeezeństwie.

Z tém wszystkiém szkoły fachowe do ostatnich czasów ograniczane były do małéj liczby zawodów przemysłowych, a największa liczba rzemieślników, czerpiąc szczupłe zasoby oświaty w szkołach niedzielnych i wieczornych, pod względem technicznéj nauki rzemiosła pozostawała i pozostaje w opłakanych warunkach terminowania takiego, jakie im daje rutyna i średniowieczne urządzenie cechowe.

Gorętsze zajęcie się losem rzemieślników wykryło całą wadliwość nauki terminatorskiéj, marnowanie życia i sił uczniów, zgubny wpływ tego systematu na ich moralność i obyczaje, niemożność udzielania im dostatecznéj nauki elementarnéj i wogóle oświaty. Ogólne uznanie godności uczciwéj pracy w każdym zawodzie, równouprawnienie społeczne stanów i powołanie rzemieślników do życia obywatelskiego i politycznego, uczyniło zawód rzemieślniczy, jako dający karyerę niezależną i zapewniający godziwe a pożyteczne utrzymanie, pożądanym dla klas średnich.

Klasy te wobec warunków terminatorskiéj nauki rzemiosła cofały się przed oddawaniem dzieci do rzemiosł, skutkiem czego przeludniały się zawody tak zwane wyzwolone i karyery urzędnicze i tém samém utrudniały się widoki godziwego utrzymania. Stosun-

ki te pogorszały się coraz bardziéj wobec coraz bardziéj rosnących i mniéj więcéj usprawiedliwionych wymagań władzy od młodzieży, garnącéj się do wyższéj nauki szkolnéj i uniwersyteckiéj. Ogrom wiadomości teoretycznych, których nabycie jest koniecznem dla osiągnięcia stopnia lekarza, prawnika, inżyniera, budowniczego, itp. wymaga z jednéj strony wyższych zdolności umysłowych, a z drugiéj, wielu lat nauki i usilnéj pracy, połączonéj z wydatkami, przewyższającemi środki wielu rodzin średniego stanu.

Jednocześnie cechy zniesione zostały lub straciły wyłączne swe przywileje, a przymus terminowania, należenia do cechu i wyzwolenia nie krępuje już rzemieślnika. Każdy ma prawo założenia warsztatu i sprzedawania swych wyrobów za opłatą patentu.

Przedstawiało się więc w następstwie naglące zadanie społeczne:

1) urządzić zakłady, mogące dać młodzieży wszelkich stanów sposobność nabycia nauki rzemiosłowéj bez konieczności terminowania;

2) podać możność jednoczesnego ukształcenia naukowego, tak pod względem nauk elementarnych, niezbędnych dziś dla każdego członka społeczeństwa, jakotéż i wiadomości teoretycznych, potrzebnych dla obranego zawodu;

3) kształcić smak artystyczny rzemieślników, dając im w najrozleglejszych ile można rozmiarach naukę rysunków i modelowania, a zarazem usposobić ich do możliwego spółubiegania się z rzemieślnikami zagranicznymi przez udoskonalenie sposobów produkcyi.

Wprawdzie już u starożytnych ludów i w wiekach średnich napotykamy wyroby stolarskie, ślusarskie, bronzownicze, jubilerskie, garncarskie i tkackie, odznaczające się wysoką artystyczną wartością; były to jednak dzieła wyjątkowo uzdolnionych artystów—dzieła, które dla swego wykonania pochłaniały całe lata życia rzemieślnika-artysty.

W ostatnich czasach zastosowanie sztuki do przemysłu coraz szersze zyskuje pole i coraz bardziéj się upowszechnia. Wyroby nacechowane piętnem sztuki i dobrego smaku coraz bardziéj usuwają z użycia wyroby proste i niezdarne. Rywalizacya w zbycie wyrobu staje się jedynie możliwą, przez wykształcenie smaku i strony artystyczniéj rzemieślnika.

Rozwiązanie powyższych zadań znaleziono w ustanowieniu specyalnych szkół rzemiosłowych.

Kiedy dawniéj szkoła stanowiła uboczny dodatek do warsztatu, obecnie przeniesiono warsztat do szkoły, a nauczaniu teoretycz-

nemu, estetycznemu i praktycznemu wyznaczono równoważne odpowiednie miejsca.

Obszerność programu naukowego musi się naturalnie stosować do jakości zawodu, jaki sobie obiera przyszły rzemieślnik i dla tego wykład nauk powinien mieć na widoku albo specyalne rzemiosła, albo przedstawiać dosyć szerokie ramy, aby w stopniowaniu klas dawał sposobność objęcia ciaśniejszego lub obszerniejszego zakresu umiejętności.

Specyalne szkoły rzemiosłowe urządzają się przy większych fabrykach, lub w miejscowościach, osobliwie sprzyjających szczególnemu rodzajowi produkcyi, jak szkoły tkackie, koszykarskie, garncarskie, górników, metalurgów, cieśli, piwowarów itp. Program nauk może tu być ściśle zastosowany do jakości przeważnie uprawianego rzemiosła, zawierać mogący, oprócz nauk ogólnie potrzebnych, wiadomości z technologii bliżéj wchodzące w zakres przyszłego zajęcia.

W miastach, gdzie ludność mieszana i rozmaitość rzemiosł wskazuje potrzebę różnostronnego kształcenia, program nauki musi być rozleglejszy i pracownie również więcéj urozmaicone.

Ze względu na niezamożność wielkiéj liczby aspirantów do szkół rzemiosłowych, życzyć by należało, aby one były albo zupełnie bezpłatne, albo przystępne za umiarkowaną bardzo opłatą.

Uwzględnić tu należy i tę okoliczność, że dzieci oddawane do terminu, często nie tylko nie są w stanie płacić za pobieraną naukę, ale nie mając środków utrzymania, zmuszone są przyjąć ciężkie warunki terminowania, chociażby tylko jako wypłatę za żywność i utrzymanie, zapewnione przez majstra do czasu wyzwolenia. Bez pomocy więc ze strony dobroczyńców lub społeczeństwa nie można spodziewać się, aby szkoły rzemiosłowe zupełnie wyrugowały terminowanie.

Ze względu na program i czas trwania nauki, byłoby odpowiedniém urządzenie szkół rzemiosłowych niższych dla rzemiosł pospolitych i szkół wyższych dla rzemiosł wymagających wyższego ukształcenia naukowego. Odpowiednie biblioteki i gabinety dla wzorów i modelów byłyby cenną pomocą w doskonaleniu rzemieślników.

Należy również urządzić warsztaty przy szkołach żeńskich, aby dziewczętom dać sposobność nauczenia się pracy ręcznéj w rozmaitych rzemiosłach przystępnych dla płci słabéj. Dotąd roboty ręczne dziewcząt ograniczały cię do szycia bielizny i kroju sukien. Z wielką korzyścią możnaby tu zastosować: szewctwo damskie, wyrób kwiatów sztucznych, pasamonictwo, pozłotnictwo, rzeźbę na drzewie, rytownictwo itp.

Wprowadzenie nauki technicznéj ręcznéj w zakres zakładów pedagogicznych przedstawia niezaprzeczone korzyści, tak dla uczniów indywidualnie, jak i dla całego społeczeństwa. Wymienimy tu najważniejsze:

1. Zawarty w programie wykład religii i moralności z wyznaczeniem na to odpowiedniéj liczby godzin, daje rękojmię odpowiedniego ukształcenia moralnego.

2. Młodzież wyrwana z pośród otoczenia nieokrzesanego i nieobyczajnego, a kierowana przez ludzi ukształconych moralnie i obyczajowo, nie tylko ustrzega się od poniżenia, grubiaństwa, demoralizacyi i rozpusty, ale wyrabia korzystnie swój charakter i kształci obyczaje.

3. Młodzież czas wolny od nauki przepędza wśród swéj rodziny i nie staje się dla niéj obcą. Dni niedziel i świąt poświęcane być mogą nabożeństwu, odpoczynkowi i rozrywce.

4. Równoważny rozkład pracy umysłowéj i fizycznéj wywiera najpomyślniejszy wpływ ma zdrowie i ochotę do pracy. Nauka jest wypoczynkiem dla pracy fizycznéj i odwrotnie; jedna jest dopełnieniem drugiéj.

5. Nauka techniczna, rzemiosłowa zarówno jak teoretyczna, udzielane są metodycznie przez dobranych przewodników, pod okiem wytrawnych pedagogów, zastosowane do sił ucznia i jego właściwych zdolności.

6. Pomimo znacznego skrócenia czasu przeznaczonego na pracę warsztatową, skutkiem metodycznego nauczania, uczniowie nierównie prędzéj i łatwiéj nabywają potrzebnéj im wprawy mechanicznéj.

Rozwijanie zdolności umysłowych, potęgując władze pojmowania, czyni z uczniów robotników rozumnych, i szybko nabywających zdatność mechaniczną.

7. Żaden warsztat terminatorski nie jest w możności dać uczniom sposobności artystycznego wykształcenia w rysunku i modelowaniu na równi ze szkołą.

8. Społeczeństwo zyskuje rzemieślników ukształconych i wyżéj uzdolnionych. Przemysł może rozwijać się swobodnie i postępowo i nietylko współubieganie się wyrobów krajowych z zagranicznemi staje się możliwém, ale nastręcza się sposobność zapewnienia wyższości nad konkurentami.

Przy otwartych polach zbytu zapewnia się tą drogą najlepiéj dobrobyt klas pracujących i zwiększa bogactwo krajowe.

9. Społeczeństwo zyskuje obywateli z rozwiniętemi władzami umysłowemi, wychowanych należycie pod względem moralnym

i obyczajowym, stanowiących jądro a czasem i większość stanu średniego, grającego tak ważną rolę w nowożytnych dziejach narodów.

Kształcenie rzemieślników w szkołach ma jednakże i słabe strony i dlatego system ten ma przeciwników.

Zarzuty stawiane szkołom rzemiosłowym dadzą się streścić w następujących twierdzeniach:

1. Że nauka szkolna rzemiosła nie odpowiada rzeczywistym warunkom przemysłowego wyrabiania i nie przedstawia takiego podziału pracy, jaki się odbywa i odbywać musi w praktyce.

2. Że uczniowie nie uczą się oszczędnego obchodzenia się z materyałem, co jest warunkiem niezbędnym korzystnéj produkcyi przemysłowéj.

3. Że nie przywykają do roboty szybkiéj, do niemarnowania czasu przy robocie, od czego zależy możność korzystnego zarobkowania.

4. Że szkoła, poświęcając kilka godzin dziennie nauce rzemiosła, nie przygotowuje do rzeczywistéj a znojnéj pracy warsztatowéj.

5. Że wogóle stosunki życia w warsztacie i w zawodzie rzemieślniczym są inne aniżeli w szkole, skutkiem czego, wychodzący ze szkoły uczniowie zniechęcają się wstępując w stosunki praktyczne, z któremi trudniéj się im pogodzić, aniżeli tym, którzy w stosunkach tych od dzieciństwa są wychowani.

6. Że szkoły rzemiosłowe są zakładami bardzo kosztownemi, że zatém nie mogą być w dostatecznéj liczbie zakładane, aby uczynić je przystępnemi dla znacznéj liczby potrzebujących nauki, albo téż wstęp do nich musi być obłożony opłatą, któréj znowu znaczna większość pragnących poświęcić się nauce rzemiosłowéj ponosić nie jest w stanie.

7. Że administracya i kontrola warsztatów rzemiosłowych jest trudną z powodu rozporządzania materyałem nie dającym się dokładnie obliczyć, i że tylko przedsiębiorca szukający własnego zysku umié osiągnąć i nauczyć oszczędności w materyale i w czasie pracy na zarobek użytéj.

8. Że wiele jest rzemiosł, dla których zakładanie warsztatów wymaga obszernych przestrzeni (np. ciesielstwo), albo téż bardzo skomplikowanych urządzeń (powozy, fortepiany), albo téż dadzą się zastosować tylko w praktyce na większą skalę (tapicerzy, cukiernicy, malarze pokojowi, pozłotnicy, zduni).

Zarzuty powyżéj wyszczególnione mniéj więcéj téj saméj treści stawiane były komisyi wyznaczonéj w r. 1863 dla zbadania środ-

ków polepszenia nauki rzemiosł przez ówczesny cesarski rząd francuski i doprowadziły one do wniosku, że najlepiéj rzeczy zostawić w dawnym stanie i poruczyć daléj kształcenie rzemieślników staréj rutynie. Tylko dla polepszenia losu terminatorów, za wzór urządzeń postawiono angielskie Towarzystwa opieki nad terminatorami, które, przyznać należy, w swoim zakresie niezmierne położyły zasługi, zastąpić jednak nauki rzemiosłowéj szkolnéj nie były wstanie. Środki, jakiemi rzeczone Towarzystwa rozporządzają, wystarczyłyby niezawodnie na założenie ogromnéj liczby szkół rzemiosłowych.

Rozbiór stawionych zarzutów przekonywa, że jedne są czysto teoretyczne, wywołane uprzedzeniem rutyny, inne nie odnoszą się do zadania, jakie mają szkoły rzemiosłowe.

Prawda, że szkoła nie uczy ani szybkiéj ani wytrwałéj roboty warsztatowéj, ale też nie uczy się takiéj roboty terminator w pierwszych latach swéj aplikacyi. Co do oszczędzania materyału i czasu pracy, to nie ma żadnego powodu dla czego by przełożony szkoły nie mógł równie dobrze tego dopilnować, jak majster w swoim warsztacie. Jeżeli warsztat szkolny będzie tak prowadzony jak być powinien, to jest w celu produkcyi, korzyść i zarobek przynoszącéj, to warsztat szkolny ze względu na oszczędzanie materyału i czasu będzie w tych samych warunkach co warsztat prywatny. Błędem byłoby prowadzić naukę rzemiosłową—że tak powiem—platoniczną, skierowaną jedynie do uczenia. Uczenie rzemiosła odbywa się najlepiéj przy dążeniu do wyrobu dającego korzyść, zarobek. Że to dążenie daje się urzeczywistnić, tego dowodzą praktyczne rezultaty rzemiosłowéj nauki, które daléj przytoczymy, wzięte z wieloletniego doświadczenia w warsztatach tutejszego Instytutu Głuchoniemych.

Zadaniem szkół rzemiosłowych nie jest wykształcenie zupełnie gotowych czeladników, ale przedewszystkiém oszczędzenie lat terminatorskich obok obdarzenia ucznia odpowiednią nauką szkolną, bądź początkową bądź przygotowawczo-techniczną. Wychodzący ze szkoły uczeń, jeżeli chce się poświęcić zawodowi rzemiosłowemu, musi douczyć się w warsztacie praktycznym, do którego jednak wstępuje już tak dalece przygotowany, że zamiast 5—6 lat terminowania, w ciągu roku może zrównać się z najbiegléjszymi czeladnikami. Nie można przecież robić z tego szkołom zarzutu, że znojną ciężką pracę terminatora zastępują racyonalnym, stosunkowo łatwym wykładem szkolnym.

Zadaniem szkoły jest nauczyć *robić*, a dopiero w warsztacie rzemieślnik, umiejąc robić, nauczy się *pracować*.

Życie w warsztacie rzeczywiście różne jest od życia w szkole. Ale też zadaniem szkoły jest zmienić warunki tego życia, skalanego ciemnotą, grubiaństwem i demoralizacyą.

Nie ma wątpliwości, że jeżeli na ucznia wstępującego ze szkoły do praktycznego warsztatu oddziaływa szorstkie jego otoczenie, to niewątpliwie i wykształcony uczeń wniesie do warsztatu wpływ swego lepszego uobyczajenia. Zresztą urządzenie, subordynacya i kierunek szkoły powinny uwzględnić przyszły zawód uczniów.

Uprzedzeniem jest, że szkoły rzemiosłowe są kosztowne. Poniżéj podajemy cyfry nakładu potrzebnego na urządzenie i prowadzenie szkoły rzemiosłowéj. Doświadczenie wykazuje, że już w drugim roku szkoły produkcya warsztatów może tyle przynieść zarobku, że tenże pokryć zdoła wszelkie wydatki warsztatów i dozwala jeszcze zrobić oszczędności na rzecz uczniów. Przy dłuższym pobycie uczniów w szkole i rozumném jéj prowadzeniu, nietylko wydatki na warsztaty łożone ale i utrzymanie całéj szkoły się wracają. Potrzebnym jest więc tylko pierwszy kapitał zakładowy, który nie przedstawia tak wielkiéj sumy, ażeby od zakładania takich szkół odstręczać miała.

Niewątpliwie administracya i kontrola funduszów i użytych materyałów, jako też spieniężanie wyrobów wymagają nadzoru i kierownictwa ludzi sumiennych i praktycznych; ależ nie można braku tego rodzaju osób stawiać z góry jako zawadę do wprowadzania szkół rzemiosłowych. Doświadczenie wskazuje, że takich kierowników znaleść można, a praktyczne dane ułatwiają i nastręczają środki kontroli.

Szkoły rzemiosłowe nie są rzeczywiście w stanie zastąpić nauki terminatorskiéj we wszystkich zawodach rzemiosłowych i wskazane powyżéj przeszkody nie pozwalają zastosować téj metody do wszystkich rzemiosł. Z tego jednak nie wynika bynajmniéj wniosek, że są bezużyteczne. Należy je owszem urządzać dla tych wszystkich rzemiosł, dla których są możliwe, pozostawiając dla innych te środki kształcenia uczniów, jakie się dla nich zastosować dadzą, a mianowicie szkoły niedzielne i wieczorne, szkoły elementarne przygotowawcze. W tych przypadkach zbawienne działanie opieki nad terminatorami ma obszerne pole do działania.

Dla dzieci biednych rodziców szkoły rzemiosłowe można uprzystępnić, tak samo jak i pobieranie wszelkiéj nauki, albo przez zakładanie szkół rzemiosłowych bezpłatnych, albo przez uwalnianie biednych od opłaty, albo przez wsparcia dobroczynne. Pomoc w takim razie podchodzi pod ogólne prawa dobroczynności publicznéj. Znaczna jeszcze część uczniów przechodzić będzie musiała

twardą kolej terminowania; nie wyłącza to jednak usiłowań i obowiązku zmniejszania téj liczby w miarę środków i możności.

Obecnie kształcenie rzemieślników znajduje się w epoce reformy. Obok niewątpliwego postępu praktykują się spółcześnie wszystkie wyżéj wspomniane systematy: terminatorstwo, szkoły niedzielne i wieczorne, szkoły fachowe, szkoły techniczne niższe i wyższe i szkoły rzemiosłowe. Ideał pedagogicznego wychowania rzemieślników dalekim jeszcze jest do urzeczywistnienia.

Nauka rzemiosł w naszym kraju najpowszechniéj odbywała się i odbywa sposobem terminatorskim. Cechy rzemieślnicze, urządzone na wzór niemieckich głównie przez przybyłych z Niemiec i osiadłych w kraju rzemieślników, zachowały przepisy i zwyczaje niemieckie, wraz z nazwami niemieckiemi narzędzi, z auflegami, ladami, majstersztykami etc.

Zachowały one niemiecką nietolerancyą, surowość obyczajów i pedanteryą; długi czas wyłączały krajowców chrześcian i żydów. Ci ostatni dotychczas z cechów, jeżeli nie prawnie, to faktycznie są wyłączeni i dlatego zajmują się niektóremi tylko rzemiosłami (blacharstwem, jubilerstwem i pasamonictwem); w innych rzemiosłach są samoukami i partaczami. Przed 30 jeszcze laty, oprócz szewctwa i krawiectwa, prawie wszystkie inne rzemiosła były w ręku rodzin niemieckich.

Przed otwarciem szkoły farmaceutycznéj, aptekarzami byli wyłącznie prawie Niemcy.

Taki stan rzeczy był następstwem historycznego ukształtowania społecznych stosunków krajowych, skutkiem którego cały stan średni składał się jedynie prawie z Niemców rzemieślników i kupców żydów.

Jak wielki wpływ na losy kraju wywarła ta odrębna cecha, stanu średniego, który stanowił i stanowi dotychczas główną cześć ludności miast w Polsce, to każdy myślący ocenić potrafi.

Pierwszém usiłowaniem wniesienia światła nauki w masy rzemieślników było ustanowienie szkół niedzielnych dla terminatorów.

Szkoły rzemieślniczo-niedzielne zostały po raz pierwszy otworzone w Warszawie w r. 1817 w wykonaniu postanowienia Namiestnika Królewskiego z d. 31 grudnia 1816 r. o urządzeniu cechów, które w § 21 brzmi:

„Majster biorący ucznia, który w czytaniu, pisaniu i religii swego wyznania potrzebnéj nauki nie ma, obowiązany jest w celu

udzielenia mu takowéj, najmniéj godzin 6 na tydzień posyłać go do szkoły."

Według planu nauk zatwierdzonego przez b. Komisyą Rz. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznegó z 18 stycznia 1817 roku przepisano naukę czytania, pisania, rachunków i rysunków zastosowanych do prostych rzemiosł. Ustanowiono 2 oddziały. Dnia 9-go października 1819 r. wydaną została ustawa dla uczniów szkół niedzielnych.

Rozporządzeniem Komisyi Rz. Wyznań Rel. i Ośw. Publ. do urzędu municypalnego miasta stołecznego Warszawy z 4 maja 1821 zabroniono wyzwalania terminatorów na czeladników, dopóki nie złożą egzaminu z odbytych nauk w szkole rzemieślniczo-niedzielnéj.

W r. 1834 Komisya Rz. Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publ. wydała zasady urządzenia szkoły niedzielnéj na prowincyi. W tém rozporządzeniu przypuszcza się urządzenie szkół z trzema oddziałami.

Taż Komisya w grudniu 1834 r. wydała nowe przepisy dla szkół rzemieślniczo-niedzielnych, w których ogólnie ustanawiają się trzy oddziały z odpowiednim programem nauk, wyznaczając dla trzeciego oddziału wykład technologii, chemii i mechaniki z przystosowaniem jéj do rzemiosł. W raporcie z 3 kwartału r. 1835 wymieniono w pięciu szkołach (wraz z Pragą) 1988 uczniów.

W październiku 1844 r. ogłoszoną została organizacya szkół rzemieślniczo-niedzielnych w Warszawie, zatwierdzona przez Radę Wychowania Publicznego. Szkoły podzielono na cztery oddziały, program nauk rozszerzony, a liczba szkół powiększona do 6-ciu, z 13 oddziałami; powiększono liczbę nauczycieli, wyznaczono opłatę od uczniów na kop. 22½ rocznie, oznaczono kary pieniężne na majstrów zaniedbujących wysyłania swoich terminatorów do szkoły.

Najwyżéj zatwierdzona Ustawa o Wychowaniu Publiczzném w Królestwie Polskiém z d. 8 (20) maja 1862 r. poświęca rozdz. III urządzeniu szkół rzemieślniczo-niedzielnych i handlowych. Ustawa oddaje szkoły te pod opiekę dozorów szkolnych i magistratur miejskich, wskazuje pożytek dodania do lekcyi niedzielnych wykładów wieczornych, urządza 4 oddziały z odpowiednim dla każdego programem. W rozdziale IX ustanawia *Szkołę majstrów mularskich i ciesielskich*, mających się mieścić w budynku zajmowanym wówczas przez warsztaty gimnazyum realnego z odpowiednim programem z kursem zimowym i dodaniem lekcyi niedzielnych w miesiącach letnich dla przypomnienia tego, co w zimie wyłożono (szkoła ta, o ile wiemy, nigdy otwartą nie była). Pod dniem 16 (28) kwietnia 1863 Rada administracyjna Królestwa wydała zasady wewnętrznego

urządzenia szkół rzemieślniczo-niedzielnych. Według tych zasad miało być w Warszawie szkół jednoklasowych 3, dwuklasowych 3, trzyklasowych 4, czteroklasowych 2. Razem szkół 12-cie a 21 klas z wykładem w niedzielę, święta i po trzy razy w tygodniu wieczorem. Terminatorowie przyjmowani być mają do kl. 4 bezpłatnie, towarzysze zaś i czeladnicy za opłatą rs. 2 rocznie. Przepisy te ponawiają obowiązek majstrów zapisywania terminatorów do szkoły i oznaczają kary pieniężne na zaniedbujących. Załączony jest etat szczegółowy tychże szkół.

Obecnie istnieje w Warszawie pod zawiadywaniem inspektora szkół m. Warszawy 13 szkół, klas 31, a mianowicie: 3 jednoklas., 4 dwuklas., 4 trzyklas., 2 czteroklasowe. Uczniów w r. 1880 było 5192, ukończyło kurs 449, wyszło przed ukończeniem 1276. Koszta utrzymania, ciążące kasę miejską z tego tytułu, wynosiły rs. 15755, czyli na każdą klasę przeszło rs. 500.

Pomimo usilnego starania municypalności i policyi znaczna część terminatorów uchyla się, bądź z własnéj winy, bądź z winy majstrów od uczęszczania do tych szkół, a z pomiędzy uczęszczających mała tylko liczba korzysta istotnie z nauki. Z pomiędzy terminatorów, którzy otrzymali poświadczenie o odbyciu kursu nauk w szkołach niedzielnych, a powinni byli otrzymywać takie świadectwo wszyscy, którzy pragnęli się wyzwolić na czeladników, rzadko który umie podpisać swe imię i nazwisko. Rachunki robót, przedstawiane przez pp. majstrów, wykazują dowodnie, jaki stopień nauki otrzymali w szkołach niedzielnych. Wielu terminatorów, którzy nawet ukończyli kurs szkolny, w dalszym czasie zapomnieli to, czego się byli nauczyli. Słowem, szkoły te przedstawiają faktyczne dowody małéj użyteczności szkół niedzielnych, jak o tém już powyżéj wspomnianém było.

Między rokiem 1860 a 1863 urządzone były bezpłatne wykłady wieczorne dla terminatorów i czeladników. Niektóre wykłady były z początku bardzo licznie uczęszczane, lecz w dalszym ciągu coraz mniéj liczyły słuchaczy. Wreszcie wykłady bezpłatne zostały zamknięte.

Około r. 1870 w czasie zimy urządzano odczyty publiczne dla rzemieślników za opłatą 10 groszy za wejście. Odczyty te, zrazu bardzo gromadnie uczęszczane, wkrótce niewiadomo dla jakich przyczyn zupełnie zostały zaniechane.

Pierwszą u nas szkołę rzemiosł założono w r. 1817 w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie. Jest-to zapewne jedna z najpierwszych w Europie. Urządzenie warsztatów w tym Instytucie, istniejące od przeszło 70 lat, przedstawia tyle zajmujących i nauczają-

cych danych, że zamieszczamy tu w całości szczegóły tyczące się tego przedmiotu, udzielone nam w r. 1883 przez kierującego niegdyś Instytutem J. Papłońskiego, któremu zakład ten zawdzięcza świetny swój rozwój.

„Warsztaty i pracownię żeńską zaprowadzono w pierwszym roku istnienia Instytutu, t. j. w r. 1817. Zastałem w r. 1864, przy przejściu Instytutu pod zarząd b. Komisyi Oświecenia następujące.

W oddziale głuchoniemych:

a) szewctwo męzkie,
b) krawiectwo,
c) stolarstwo,
d) tokarstwo,
e) introligatorstwo,
f) pracownię żeńską do szycia ręcznego i haftu.

W oddziale ociemniałych:

a) koszykarstwo,
b) robótki kobiece.

Po roku 1864 wprowadzono w oddziale głuchoniemych:

a) szewctwo damskie,
b) ślusarstwo,
c) rzeźbiarstwo z kamienia i drzewa,
d) drzeworytnictwo,
e) drukarstwo,
f) drugą pracownię żeńską do szycia na maszynie.

W oddziale ociemniałych:

a) powroźnictwo,
b) szczotkarstwo.

Liczba uczniów w każdém rzemiośle:

	1) w krawieckim	24
	2) w szewckim męzkim i damskim .	24
	3) w introligatorskim	18
	4) w stolarskim	26
	5) w ślusarskim	5
	6) w tokarskim	2
	7) w drukarni	8
	8) w rzeźbiarni	8
	9) w drzeworytni	7
U ociemniałych w warsztatach ci sami uczniowie uczą się wszystkich trzech rzemiosł.	10) w powroźniczym	19
	11) w szczotkarskim	18
	12) w koszykarskim	19
	13) pracownia żeńska głównie ręczna	84
	14) „ „ na maszynie .	7
	15) „ „ ociemniałych .	10

Uczniowie, synowie obywateli ziemskich, po ukończeniu nauk, pracują w gospodarstwie rolném; ubożsi wszyscy są rozmieszczeni po warsztatach w miastach i wszyscy z tego tylko się utrzymują. Dziewczęta zarabiają pracą ręczną po domach prywatnych lub w zakładach rękodzielniczych. Ociemniali głównie utrzymują sie z muzyki; rzemiosłami zajmują się tylko w adwencie i wielkim poście, bo wtedy zarobek z muzyki ustaje.

Uczniowie drukarscy po ukończeniu nauk pozostają w drukarni przez lat 5 i uzyskują tytuł towarzyszy sztuki drukarskiéj. Dziewczęta pozostają w pracowni, po ukończeniu nauk tak długo (lat 2 i 3), dopóki się nie wydoskonalą w rzemiośle.

Ociemniali wyuczają się dokładnie rzemiosł w stopniu odpowiednim ich kalectwu, ale głuchoniemi pozostają po ukończeniu nauk tylko przez rok jeden w warsztatach Instytutu i następnie przechodzą do majstrów w mieście, u których terminują przez rok, dwa i trzy, stosownie do rzemiosła, i tam się wyzwalają. Przez czas nauki w Instytucie pracują w warsztatach po 2 godziny codziennie, a w czasie wolnym od nauk (w galówki, dnie przed- i poświąteczne, wakacye) po 7 godzin dziennie.

Instytut nie zatrzymuje chłopców dłużéj u siebie i nie wyzwala, bo z wyjątkiem drukarni, prawo wyzwalania mu nie przysługuje. A chociaż łatwo byłoby o nie się wystarać, nie możemy dać wychowańcom wszechstronnéj znajomości rzemiosła, bo nie mamy rozmaitości robót.“

Ze sprawozdania Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych za rok szkolny 1878/9 wyjmujemy następujące dane, odnoszące się do nakładów ponoszonych na naukę rzemiosł i do zysków stąd osiąganych.

Rozchód na utrzymanie warsztatów wynosił
w roku 1878 . . . . rs. 2243 kop. 12
Dochód . . . . „ 1819 „ 07

a zatém niedobór rs. 424 kop. 05.

Niedobór ten powstał według objaśnienia (ad 4 str. 365) z powodu nieściągnięcia należności od dłużników w ogólnéj sumie rs. 1000, co wykazuje rachunek z roku 1879; właściwie więc zysk wynosił rs. 575 kop. 95. Daléj zaś czytamy (ad 5 str. 366): „Do dochodów z warsztatów należy dodać sumę za roboty wykonane dla samego zakładu, a mianowicie razem rs. 6561 kop. 14½. Dodając do tego wyżéj wymienioną sumę rs. 575 kop. 95 otrzymujemy sumę 7137 rs. 9½ kop., jako zysk z warsztatów osiągnięty w r. 1878/9.“

W sprawozdaniu za r. 1879/80 czytamy:

„Rozchód na utrzymanie warsztatów. . . rs. 2554.40,
Wykonano ogółem robót za. . . . . . . „ 10378.94.
a zatém zysk wynosi rs. 7822.54.

W wydatkach nie jest objęty koszt lokalu na warsztaty, znajdującego się w gmachu Instytutu. Przypuścić również należy, że do rozchodów nie policzono kosztów administracyi, nadzoru i t. p. Nie wiemy téż, czy mieszczą się tu rozchody na opał i światło. Pomimo tego jednak niewątpliwém jest, że dobrze prowadzone warsztaty rzemieślnicze dla nauki przy szkołach nie tylko nie wymagają nakładów (oprócz w pierwszych latach przygotowawczych), ale przynosić mogą zyski, służyć mogące bądź do pokrycia wydatków na szkoły, bądź téż dla zaoszczędzenia sum na zasiłki dla uczniów po ukończeniu szkoły.

Zatrzymaliśmy się na tém miejscu dłużéj nad przedmiotem kosztów, bo bardzo rozpowszechnione i w pismach publicznych przez osoby, z przedmiotem nieobznajmione, rozszerzane mylne pojęcia odstraszają od zakładania szkół warsztatowych osoby, które pragnęłyby rozpowszechniać te użyteczne zakłady obawą, że dostatecznych na utrzymanie szkół nie znajdą funduszów.

Drugą instytucyą, w któréj uczenie rzemiosł zaprowadzono, był Dom Schronienia Starców i Sierot dla starozakonnych w Warszawie. Założono w tym Domu warsztaty tkackie dla wyrobu płatów wełnianych dla fabryk cukru, przy których pracowali starcy i sieroty. Warsztaty jednak się nie opłacały i wkrótce zostały zwinięte. Sieroty (chłopcy) uczyli się również szewctwa i krawiectwa. Przy niedołężném jednak kierownictwie warsztatów korzyści z nauki były bardzo małe. Dopiéro od r. 1879, po objęciu zarządu zakładu przez p. H. Reichmana a następnie p. Michała Bergsohna, warsztaty, prowadzone przez dobrych majstrów (chrześcian), znakomicie się rozwinęły. Uczniów szewckich z pomiędzy sierot pozostających w zakładzie jest 14, krawców 18. Uczniowie w krótkim czasie znaczne robią postępy i wyroby ich, przeważnie dla samego zakładu przeznaczone, stanowią znaczną dla tegoż oszczędność.

W zakładzie dla sierot przy Warszawskiém Towarzystwie Dobroczynności założono w r. 1872 dwa warsztaty naukowe szewctwa i krawiectwa, których urządzenie kosztowało na 30 uczniów około 360 rs. już z restauracyą lokalu. W r. 1880 uczyło się 30 elewów, t. j. 15 szewctwa, 15 krawiectwa. Zrana słuchają oni lekcyi w szkole, a po południu od 2 do 7 wieczór uczą się rzemiosł powyższych.

Dziećmi najstarszemi z pomiędzy sierot, bo od lat 12 do 13-stu, wybranemi w liczbie 15, na warsztatach krawieckich wykonywa

się przy pomocy nauczyciela krawiectwa 100 garniturów letnich i 90 zimowych sukiennych dla zakładu, co rocznie przynosi zysku

za te roboty	rs.	117	kop.	50.
Reparacye ubrania w zakładzie oblicza się na . .	„	75	„	—.
Razem	rs.	192	kop.	50.

Nauczyciel krawiectwa ma pensyi rs. 200 rocznie i mieszkanie.

Warsztat szewcki robi obówia par 320, co czyni . .	rs.	160.
Reparacya i zylowanie butów oblicza się na	„	75.
Razem	rs.	235.

Nauczyciel szewctwa ma taką samą pensyą jak krawiectwa.

Z obliczenia powyższego pokazuje się, że szkółka rzemieślnicza przy zakładzie opłaca się, chociaż takim drobiazgiem jest obsługiwaną. Korzyść zaś jest dla dzieci tém większa, że za młodu przyzwyczaja do pracy te dzieci, które są li tylko do rzemiosła przeznaczonemi, a które z początkami profesyi idą do terminu. (Wiadomość udzielona przez p. Juszczyka, opiekuna szkoły).

W zakładzie Towarzystwa Osad rolnych i przytułków rzemieślniczych w Studzieńcu, stosując się do zasady umoralnienia przez pracę, założono warsztaty rzemieślnicze, obok elementarnéj nauki szkolnéj. Postanowiono dzieci miejskie kształcić w rzemiosłach, wiejskie zaś w rolnictwie, ogrodnictwie i t. p. zatrudnieniach w związku z rolnictwem zostających (Rocznik Tow. Osad Rol. za rok 1875, str. 11).

W roku 1878 czynne były warsztaty: stolarski, kołodziejski, krawiecki i szewcki. Wartość wyrobów (bez materyału) wynosiła:

w warsztacie	stolarskim . .	rs.	975	kop.	77
„	kołodziejskim .	„	438	„	70
„	krawieckim . .	„	205	„	74
„	szewckim . .	„	117	„	—
	Razem	rs.	1737	kop.	21.

Wyroby stolarskie i kołodziejskie, wysłane na wystawę, urządzoną w listopadzie 1878 r. przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, zyskały uznanie i list pochwalny.

Uczących się było :

w warsztacie	stolarskim . . .	34
„	kołodziejskim . .	21
„	krawieckim . . .	25
„	szewckim . . .	3
	Razem .	83

W roczniku tegoż Towarzystwa za rok 1879 znajdujemy obszerniejsze dane, odnoszące się do warsztatów (str. 35). Uczących się było :

stolarzy	42
kołodziei	31
krawców	21
szewców	6
Razem .	100 (tamże str. 49).

W roku 1880 założono warsztat kowalski.

Instytucya Studzieniecka ma skład swoich wyrobów w Warszawie i cieszy się obfitym ich zbytem.

W roku 1879 otwartą została za inicyatywą prywatna Szkoła trzyklasowa męzka z nauką rzemiosł, utrzymywana przez b. nauczyciela gimnazyum i nadzorcę Szkoły czteroklasowéj Rzemieślniczo-Niedzielnéj r. st. Józefa Łapińskiego.

Szkoła ta urządzoną została w zastosowaniu się do Najwyżéj zatwierdzonéj *Ustawy dla szkół miejskich*, obejmuje trzy klasy, każdą z kursem dwuletnim. W pierwszych dwóch klasach uczniowie, stosownie do uznania zarządu szkoły, mogą być promowani po upływie roku do następnéj klasy, w trzeciéj zaś klasie uczeń dla jéj ukończenia pozostawać powinien przez lat trzy. Szkoła ta otrzymała dar od ś. p. Rapackiéj w sumie rs. 14,000, przeznaczony na zawiązek kapitału na wybudowanie domu własnego dla szkoły rzemiosłowéj. Do czasu odpowiedniego zużycia tego kapitału, powierzonego do zarządzania Warsz. Towarzystwu Dobroczynności, procenta obracane są na wsparcie uczniów do szkoły uczęszczających. W ostatnim czasie zakład ten otrzymał od osoby nieżyczącéj sobie być wymienioną, dar rs. 12,000 na tenże cel przeznaczony.

W roku szkolnym 1880—1881 zapisało się do tejże szkoły uczniów 118. Z ostatniego sprawozdania za rok szkolny 1886/7 dowiadujemy się, że liczba uczniów wynosiła 170 (ślusarzy 101, stolarzy 26, szewców 18, w oddziale początkowym bez stałego zajęcia rzemiosłowego 25). Rozchód wynosił rs. 10429 kop. 70½, dochód (ze sprzedaży wyrobów około rs. 600, z ofiar rs. 459.89, z wpisu od uczniów rs. 6488.50) rs. 7530.81. Niedobór pokryły ofiary osób opiekujących się szkołą.

Od roku 1885 szkoła przeniesioną została do domu N. 53 przy ulicy Złotéj. Po zgonie ś. p. Łapińskiego szkole téj przewodniczy p. Jerzy Kühn.

Jednocześnie z założeniem powyższéj Szkoły rzemiosłowéj otworzono za inicyatywą prywatną i z ofiar dobrowolnych warsztaty rzemiosłowe przy szkołach początkowych gminy starozakonnych w Warszawie. Warsztatów urządzono cztery, dla nauki krawiectwa, szewctwa, stolarstwa i ślusarstwa wraz z kuźnią. Warsztaty te mieściły się w dwóch lokalach, z których jeden obejmował war-

sztaty krawieckie i szewckie, drugi stolarskie i ślusarskie. Nauka jest bezpłatna i prowadzona przez majstrów wykwalifikowanych (chrześcian), w godzinach poobiednich od 3 do 7. Przedpołudniowe godziny uczniowie przebywają w szkołach elementarnych lub religijnych gminy.

Koszt urządzenia tych warsztatów wynosił rs. 1267, na materyały do wyrobów wydano rs. 283, inne wydatki jakoto: koszt lokalów, pensye dla majstrów, opał, światło i drobne wydatki wynosiły rs. 2332. Razem wydatek pierwszego roku wynosił rs. 3882. Materyały zużyte zostały częścią na wyrobienie przedmiotów dla warsztatów potrzebnych, jakoto szafek, narzędzi, stołów dla krawców, stołków skórą obijanych dla szewców, częścią znajdują się w wyrobach. Wyroby sprzedane (szczególniéj szewckie) przyniosły zysku około rs. 100.

Uczniów było:

w oddziale szewckim . . .	48
„ krawieckim . .	36
„ ślusarskim . . .	16
„ stolarskim . . .	6
Razem . .	106

W roku następnym powiększyła się liczba uczniów do 120, a większéj liczby zgłaszających się kandydatów, szczególniéj do warsztatów szewckiego i krawieckiego, z powodu szczupłości lokalów przyjąć było niepodobna. W r. 1886 w lipcu przeniesiono wszystkie warsztaty do domu N. 28 przy ulicy Śliskiéj, gdzie urządzono zarazem warsztat szczotkarski i blacharski. Na rok ten liczba zapisanych uczniów wynosiła 373 (ślusarzy 103, szewców 94, krawców 93, szczotkarzy 31, stolarzy 25, blacharzy 27). Stale uczęszczających było mniéj, a w półroczu letniém liczba stałych zeszła do 153.

W r. 1887 w lipcu urządzono warsztaty na Pradze, ślusarski i szewcki, które razem obejmują uczniów 45. Razem więc w warsztatach gminy uczy się chłopców około 200. Dzieci to najbiedniejszych rodziców, z powodu trudności wyżywienia często po kilku miesiącach nauki pomieszczają się u majstrów, chociażby dla małego zarobku.

I w tych szkołach uderzającą jest łatwość uczenia się rzemiosł przez niedorostków wobec przyjętéj metody pedagogicznéj. Po 3—6 miesiącach nauki, pracując 4 godziny dziennie przez 5 dni w tygodniu, dzieci wyuczały się wcale porządnie i dokładnie szyć odzież i buty, obchodzić się z heblem i piłą, albo téż z młotkiem i pilnikiem. Znawcy rzemiosł przyznają, że dla osiągnięcia takich rezultatów w nauce terminatorskiéj kilku lat potrzeba by było.

Ze szkół fachowych mamy do zaznaczenia Szkołę Krawiecką, założoną w Warszawie za oddzielném upoważnieniem; w r. 1880 szkoła ta zostawała pod kierunkiem Spółki Zjednoczonych Krawców i obejmowała oprócz nauki fachowéj i wykład przedmiotów naukowych mniéj więcéj w zakresie szkoły miejskiéj. Pomimo silnego poparcia ze strony osób znakomitych i zamożnych i pomimo czasowego zamknięcia oddziału krawców w szkole rzemiosłowéj, istniejącéj wówczas przy ulicy Jasnéj, bardzo mało zgłosiło się kandydatów, a przed kilkoma laty szkoła została zamkniętą.

Bardzo poważne zakłady nauki rzemiosłowéj stanowią szkoły techniczne przy kolejach żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Nadwiślańskiéj. Nie spotkaliśmy się ze sprawozdaniami z tych szkół i dla tego szczegółów liczebnych o nich podać nie możemy. Na wystawach oglądać było można roboty uczniów tych szkół, rysunki i wyroby, które wysokie dają wyobrażenie o dotychczasowém ich prowadzeniu. Wiemy również o wykształceniu techniczném niektórych uczniów, którzy z tych szkół wyszli. Szkoły te są przepełnione i przyjmują wyłącznie dzieci oficyalistów, pracujących na kolejach żelaznych.

Specyalnością obu tych szkół jest robota ślusarska z dążeniem wyrobienia maszynistów i mechaników.

Od czasu do czasu w pismach publicznych znajdują się wzmianki o oddzielnych szkołach fachowych na prowincyi.

Dawniéj w Mostkach (pow. Sandomierski), dziś w Korytnicy (pow. Stopnicki) w dobrach hr. Potockiego prowadzoną jest szkoła koszykarska. Nauka jest bezpłatna. Uczniowie przyjmują się na utrzymanie za opłatą rs. 6 przez 3 miesiące, w czwartym miesiącu płaci się tylko rs. 1 za utrzymanie. Wartość roboty ucznia po 4 miesiącach ocenianą jest na rs. 5 miesięcznie Nie wiadomo, czy obok nauki koszykarstwa prowadzoną jest nauka szkolna.

Czytaliśmy również wzmiankę o szkole rękawiczniczéj dla dziewcząt wiejskich w okolicach Turka pod Kaliszem. Tu również nie wiadomo, czy wykłada się przytém nauka elementarna.

Przez kilka lat istniała przy ogrodzie pomologicznym w Warszawie szkoła ogrodników, z funduszów prywatnych utrzymywana, obecnie zamknięta.

Przy Muzeum Pszczelniczem na Koszykach odbywają się wykłady i ćwiczenia praktyczne dla nauki pszczelnictwa i ogrodnictwa.

Ze szczodrego zapisu śp. Konarskiego, przeznaczonego na założenie i prowadzenie szkoły rzemiosł, będącego obecnie w zawiadywaniu p. Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego, otwartą została szkoła na Nowém-Mieście, a ma być zbudowany dom dla téj

szkoły przeznaczony. Dotychczas nie ogłoszono programu nauk ani sprawozdania z tego zakładu.

Od czasu do czasu czytamy w pismach ogłoszenia o szkołach rękodzielniczych dla kobiet, których kilka istnieje dotąd, inne po krótkiém trwaniu zostały zamknięte.

Jedną z najdawniejszych jest, dotychczas pod kierunkiem pani Gabriel, wzorowo prowadzona prywatna szkoła koronkarstwa, któréj wyroby, wielokrotnie na wystawach publicznych przedstawiane, powszechne zyskiwały uznanie. Sprawozdań o téj szkółce nie spotykaliśmy.

Bardzo poważny, obszerny zakład przedstawia Szkoła Rzemiosłowa dla kobiet, założona i utrzymywana przez hr. Platerównę w domu umyślnie na ten cel przez założycielkę wybudowanym.

Program szkoły nie jest nam bliżéj znany, nie mamy téż statystycznych danych. Z ogłoszeń po pismach codziennych spotykanych wiemy, że liczba uczennic jest znaczna, prowadzenie szkoły wzorowe—wyroby również na wystawach publicznych przedstawiane, przez znawców wysoko były cenione.

Z artykułu d-ra W. Lewickiego w Kuryerze Warszawskim (N. 1 z r. b.) dowiadujemy się o znacznem rozwinięciu nauki rzemiosłowej w Galicyi. Energiczne starania w tym kierunku rozwinął tam ś. p. Zyblikiewicz już od r. 1876. Dziś oprócz Akademii Technicznéj w Krakowie i szkoły dla przemysłu artystycznego we Lwowie istnieje 15 szkół wieczornych dla terminatorów w większych miastach Galicyi, cztery szkoły tkackie (w Błażowie, Korczynie, Krosnie i Kosowie); sześć szkół dla przemysłu drzewnego, dwie szkoły garncarstwa, dwie szkoły koronkarstwa. Razem 33 szkoły mające 3628 uczniów i uczennic. W r. z. koszt utrzymania tych szkół wynosił 84,113 złr., w tém jako dochody ze sprzedaży wyrobów 16,097 złr. Zapowiadają otwarcie kilku nowych szkół.

Przy ustalonych dziś pojęciach o konieczności kształcenia rzemieślników i w przypuszczeniu, że ludzie dobréj woli w miastach i po wsiach zechcą poprzéć tę sprawę u nas, pozwolimy sobie, kończąc pracę niniejszą, załączyć kilka uwag praktycznych, wynikłych z badania tego przedmiotu i dziesięcioletniego doświadczenia w kilku tutejszych zakładach.

Rozmaite są sposoby pomagania rzemieślnikom w kształceniu się i uczeniu rzemiosła.

1. *Szkoły niedzielne i wieczorne* dla terminatorów i czeladników. Pomimo niedostatków takich szkół, które powyżéj wyłuszczyliśmy, potrzebne one są jeszcze dla następujących powodów:

a) Nie wszystkie dzieci mogą uczyć się rzemiosła w warsztatach szkolnych, z powodu ubóstwa rodziców, którzy nie są wstanie żywić i ubierać dorastające dzieci, nawet gdyby nauka rzemiosłowa w szkołach była bezpłatna lub niekosztowna. Oddając dziecko do terminu, chociażby na uciążliwych warunkach, pozbywają się ciężaru utrzymania dziecka.

b) Brak szkół rzemiosłowych zmusza do nauki terminatorskiéj i dzieci takich rodziców, którzyby chcieli i mogli utrzymywać dzieci w domu a nawet płacić za szkołę, témbardziéj, że i za przyjęcie do terminu często płacić im przychodzi.

c) Nie wszystkich rzemiosł można uczyć w warsztatach szkolnych, jak to już wyżéj wyłożyliśmy.

d) Szkoły niedzielne i wieczorne powinnyby służyć dla dalszego kształcenia terminatorów i czeladników, dla zapobieżenia temu, aby nie zapominali tego szczupłego nabytku naukowego, którego im w szkole niedzielnéj lub wieczornéj udzielono.

Byłoby do życzenia, aby szkoły uzupełniające oddzielnie były urządzone od początkowych terminatorskich, a przynajmniéj, aby wykłady odbywały się w osobnych godzinach lub oddziałach.

2. *Szkoły rzemiosłowe* właściwe, dla których typem przez władze naukowe wskazanym i przyjętym są szkoły miejskie trzyklasowe z warsztatami. Szkoły takie mogą otwierać osoby prywatne, towarzystwa, uznane przez władzę, gminy i magistraty miast. Budżet takiéj szkoły wynosi, stosownie do liczby oddziałów rzemiosłowych, od 6 do 8 tysięcy rubli rocznie. Część tych wydatków pokrywa się z opłaty od uczniów, inne części z dochodu ze sprzedaży wyrobów warsztatowych.

Przy dobréj administracyi warsztatów ostatni ten dochód może pokrywać niemal cały niedobór z prowadzenia szkoły i z niedostateczności opłaty szkolnéj pochodzący. (Wszelkich w tym przedmiocie objaśnień zasięgnąć można od p. Kühna, Przełożonego Szkoły Rzemiosł w Warszawie, obecnie przy ulicy Złotéj N. 53 istniejącéj).

3. *Warsztaty szkolne* bez szkoły klasowéj, przeznaczone dla nauczania systematycznego rzemiosła, zastępującego terminowanie. Uczniowie takich warsztatów pracujący w nich po 4 godziny dziennie pod kierunkiem dobrych majstrów i pod nadzorem odpowiedniego przełożonego (pedagoga, jeżeli można), w ciągu 6 do 12 miesięcy mogą nauczyć się rzemiosła o tyle ile terminator w ciągu 3—5 lat; w warsztatach tkackich wystarcza nauka cztero lub sześciotygodniowa. Uczniowie tacy mają przedpołudnie wolne i przez ten czas mogą uczyć się w szkole elementarnéj lub innéj. Pożądane są

dla nich lekcye rysunków. Utrzymanie takich warsztatów jest nierównie mniéj kosztowne aniżeli utrzymanie szkoły rzemiosłowéj. Można tu znacznie zniżyć opłatę od uczniów, a nawet żadnéj nie pobierać opłaty. Zrzekając się dochodu z wyrobów warsztatowych, można o wiele uprościć administracyą, oddając ją ugodzonym majstrom, którzy własnego dostarczają materyału, wyrób na swoje ryzyko przyjmują. W ten sposób prowadzone są warsztaty (bezpłatne) w Domu schronienia Gminy starozakonnych w Warszawie. Cały wydatek, po urządzeniu warsztatów, stanowi wtedy lokal, ogrzewanie, oświetlenie, posługa dla utrzymania czystości i w razie potrzeby opłata nadzorcy. Pożądane byłyby fundusze na opłatę dla uczniów w szkołach elementarnych, gdzie nie istnieją tego rodzaju szkoły bezpłatne, i na naukę rysunków, bardzo dodatnio wpływających na jakość wszelakiéj roboty warsztatowéj.

Tego rodzaju warsztaty naukowe, chociaż nie mogą zastąpić szkoły rzemiosł, zasługują jednak na rozpowszechnienie dlatego, że są dostępne dla gmin miejskich i wiejskich jakotéż dla pojedyńczych osób, nie rozporządzających większemi środkami. (Objaśnień szczegółów, odnoszących się do tego rodzaju warsztatów, udzielić może p. Meisler przełożony warsztatów dla nauki rzemiosł Warszawskiéj Gminy Starozakonnych, ul. Śliska 28).

Wybór rzemiosła, dla którego ma być założony warsztat, zależy w znacznéj części od stosunków miejscowych, i pożądaną byłaby w tym względzie rozmaitość. Młodzież najchętniéj garnie się do warsztatu ślusarskiego, uważając ten zawód niejako za wyższe rzemiosło, pokrewne z zawodem mechanika i jako dające przystęp do fabryk. Baczyć należy, aby nie przyczyniać się do przepełnienia w daném rzemiośle, i zniżenia tém samém widoków korzystnego zarobkowania.

Odpowiednie kształcenie rzemieślników jest najlepszym środkiem usunięcia przeciwieństw wyradzających kwestyą socyalną (Huxley).

Dr. Ludwik Natanson.





Z ZAWIĄZANEMI OCZYMA.

OBRAZ Z ŻYCIA KRAINY PODKARPACKIÉJ.

W ciasnéj, zadusznéj izbie, na pół ciemnéj, do któréj światło słoneczne tylko słabo przedzierać się mogło, siedział nad igłą pochylony stary Nuchim Tauber, szyjąc z coraz większym pośpiechem. Szył on wczoraj, szyje dzisiaj, będzie szył jutro, szyje tak już lat całe dziesiątki. Zgarbiony, wrósł prawie do siedzenia, wypatrzył oczy swoje, które dziś niedomagają.

Mimo to nie może podołać potrzebom licznéj swéj rodziny, która jeść woła. Miał bowiem sześciu męskich, a pięciu żeńskich potomków. A tylko najstarszy syn miał chléb własny, pracując w kancelaryi adwokackiéj pana Rozenkranca, reszta była na chlebie jeszcze ojcowskim. Byłoby więcéj tego, gdyż błogosławieństwo niebios hojnie nań pod tym względem spadało, lecz nie jednéj jesieni i niejednéj wiosny powietrze zkądsiś naniosło jakąś chorobę, która mu czasem jedno, a czasem dwoje z chaty zabierała.

I wynoszono to po cichu, w nocy, z pośpiechem, czasem z łkaniem jego połowicy, czasem bez łkania.

Mimo to zostało jeszcze jedenaścioro.

Dwojga czy trojga nieco starszych używali krewni i znajomi do wysługi po sklepach, lecz zapłata ich była tego rodzaju, że większa połowa ciężaru spadała na pana Nuchima i panią Esterę.

Kobiecina ta, sucha jak szczypa, z licem wywiędłém, na wszystkie strony pofałdowaném, od rana do wieczora w ciągłych była tarapatach. Jedno z jéj dzieci przy piersiach wisiało matczynych, drugie trzymało się końca spódnicy, inne podnosiły ciągle oczy na starą, czy rychło już naleje na miskę jakiéj beltochy: one przecież tak długo czekają. A choć matka miała oczy, podobne staréj kwoce, któréj wzrokowi najmniejsze nie ujdzie ziarnko, choć nic nie

opuściła, coby się zkąd podjąć jeno dało, a obrócić na potrzeby domostwa,—mimo to zaspokoić wszystkich żołądków nie mogła. Siekała, drobiła, to znów przystawiała do ognia, odstawiała, rozrzedzała wodą, miasto okrasy dodając zebraną pozłotę, słowem, czyniła, co mogła, by najmniejszém jak najwięcéj gęb obdzielić.

— Nu, czy on dziś przyjdzie?—odezwał się stary.—Kiedy mój Ruben przychodzi... mnie jakoś wtedy lepiéj... Taki dobry syn!

Na słowo „Ruben" podniosły się wszystkie dzieci, i powstał ruch niejaki między tym drobiazgiem, jak między gromadką wróbli, kiedy widzą już rękę, która rozsypuje im ziarno.

— Nu, gadaj im stary o Rubenie—dodała matka—oni wtedy dadzą mi spokój...

— A jak ja mam im gadać, skoro ja szyć muszę... Ja tak sobie tylko prawię, gdyż wtedy snadniéj idzie mi robota... A ty wiész, moja Ester, ile to Nuchim pobrał naprzód! Nuchim śpieszyć się musi, żeby odrobił... bo co będzie czynił, jeśli późniéj nie dadzą?

— Aj, aj, ty ciężko biedujesz, Nuchim—ozwała się stara matka z za przypiecka—i ona, moja córka, dziś bieduje... a jeszcze mnie wam starą żywić przychodzi...

— Nu, ty nie gadaj tego, matko—rzekł szyjący—czy Nuchim kiedy narzeka? czy ona narzeka, moja Ester?...

— Ty dobry zięć, ty nigdy nie narzekasz... Ale ja widzę... ty ciężko pracujesz... ty oczy wyszyjesz, abyś nakarmił tyle tu tego... Ja ciebie bardzo żałuję... bo dzisiaj ciężkie czasy. Za moich było inaczéj... Oj, lepsze były wtedy czasy, gdy ja z *moim* siedziała na młynie!.. Jak to wtedy było dobrze!.. I państwo mieli się lepiéj— i żydom było lepiéj! Dobrzy to byli moi-ci państwo!... Ja ich zawsze wspominam.

— Co z tego, kiedy was potém wygnali z waszego domu!...

— Ale nie oni! nie oni!... To ten posesor, co i ich potém oszukał! Ten i nas wygnał... Bodaj go!... Żeby to moi dawni państwo byli żyli, jaby siedziała do dziś dnia na tym młynie... Ja tam się urodziła... tam wychowała... a dziś inny tam siedzi... ja zaś tutaj muszę wam być ciężarem!... I wam byłoby lepiéj, gdyby ja więcéj miała... Ty pracujesz, mój Nuchim, a długi na was spadają jedne po drugich: bo kto-ci to w stanie tyle tego wyżywić!..

I tu westchnęła.

— Ej, nie będzie tak źle, matko. Mój Ruben ma łaskę u Boga i u ludzi... On wyjdzie na człowieka... Nu, wtedy i nam będzie lepiéj!... Nuchim stary może tego nie dożyje, ale dzieci jego dożyją...

Tu starowina podniosła oczy do góry, jakby prosząc Boga, by się to ziściło.

— Nu, on jest w dobréj kancelaryi—odezwała się pani Nuchimowa, zajęta koło swéj kuchni.—Pan Rozenkranc to przecież *morejne*... to bogacz!... On naszego Rubena nauczy, że się stanie potém takim, jak on sam... Nu, mój Nuchim posyłał do szkoły chłopca... od gęby sobie odejmował, a dawał na niego...

— Ha! niech choć jedno z moich dzieci wyjdzie na ludzi, to i tamtym drugim będzie lepiéj!... Bóg wielki! A tymczasem trzeba nam modlić się i czekać... Ja będę pracował i czekał.

I szył daléj z większym pośpiechem, natężając wzrok swój słaby, bo oczy jego, chociaż świeciły, jak oczy u innych ludzi, lecz przyzwyczajone patrzéć w kierunku tylko igły i w oddaleniu igły, odmawiały mu nieraz przysługi. I tak np. gdy mu czasem przychodziło w jakiéj sprawie iść ulicą, wówczas kroczył, jak gdyby tu to tam macał po omacku... a że mimo to wszędzie trafiał, gdzie było potrzeba, ztąd pochodziło, iż w mieście tém samém, na téj saméj ulicy i w tym samym domu, przebywał już lat kilkadziesiąt:—mógł zatém zamknąć oczy—i również trafiłby, gdzie mu zajść było potrzeba. Pan Nuchim kroczył tak samo w nocy, gdy mało gdzie migała jaka latarnia, jakby to było w dzień przy jasném świetle słoneczném.

A musiał-ci on często wychodzić, gdyż jako krawcowi przychodziło mu, tu wziąć miarę, tam znów trzeba było przymierzyć pofastrygowaną co dopiero suknię, owdzie poszłapać po zapłatę, jeśli mu odrazu nie wyliczono. Ale często musiał on odrabiać grosz naprzód wzięty. Nieraz bowiem zarobek, który miał mu przypaść z poczętéj co dopiero roboty, dawno był już strawiony w żołądkach dziecięcych. Stary, choć dzień i noc pracował, a połowica jego, choć łupinki z cebuli ni ziarnka krupy na ziemię nie upuściła,— choć oboje wraz z całą swą rodziną ledwo co dychali: mimo to były tam długi.

Litościwi współwyznawcy, potrzebujący igły starego, i ci insi, nie należący do plemienia pana Nuchima, dawali mu nieraz naprzód, a dzieci jego prędzéj trawiły, niżeli ojciec naszyć i nafastrygować wydołał.

Miał też i łaskę i niemałe wsparcie u pana Dawida Rozenkranca, gdzie syn jego Ruben był dependentem w kancelaryi tego adwokata. Choć pan Rozenkranc nie potrzebował już tak bardzo igły takiego rzemieślnika, jakim był Nuchim, gdyż jako człowiek, mający do czynienia w sferach bardziéj modnych, również modnych, jak sam mówił, i sukien musi używać: dawał jednak uboższemu żydowi robotę, mając litość nad liczną krawca rodziną, albo też może wskutek solidarności plemiennéj, jak chcieli starowiercy, nie opuszcza-

jący z liczby swoich również i adwokata, noszącego się po francusku i żyjącego z panami, a grafami. Złośliwi zaś i bardziéj podejrzliwi mawiali, że pan Rozenkranc czyni to tylko dlatego, że pan Nuchim również dobrze robi suknie, a nieco może taniéj, niżeli inni, co grubsze rachunki układać potrafią.

Atoli była to złośliwość, jak zwykle u ludzi; gdyż pan Dawid Rozenkranc nie potrzebował się tak bardzo rachować z pieniędzmi, jako pan Nuchim Tauber. Mecenas nie wstawał przecież, jak tamten, do zarobku, skoro świt, lecz jak równi jemu, dobrze już po ósméj godzinie, ubierając się do dziewiątéj, — oprócz tego nie zasiadał do takiéj roboty, do którejby się aż garbić potrzebował; pan Rozenkranc pracował, leżąc sobie z wygodą na sofie, z gazetą w ręku, lub przeglądając z cygarem w uściech papiery swoich klientów. Nie potrzebował również, jako pan Nuchim, szłapać po błocie, by któremu z „kundmanów“ wziąć miarę: pan Rozenkranc brał ze swoich wprawdzie miarę, i to gruntowniéj może zmierzył kieszeń niejednego, ale ci ludzie po to sami doń przychodzili,— a nawet lepiéj nieraz obkroił niejednego z klientów swoich, zrzuciwszy zeń płaszcz szeroki, a odziawszy go potém w kusą kurtkę, lecz za to już zapłaty nie wymagał.

Pani Rozalia Rozenkranc również nie była skromnéj tuszy pani Estery. Wspanialsza jéj postać, i szersza a dłuższa suknia, nie pozwoliłyby nawet na taką szastaninę, jak u żony pana Nuchima; zresztą ona się wcale kuchnią, ani dziećmi nie zajmowała. Nie miała ich bowiem jedenaścioro. A choć tu nie mieszkano w jednéj izbie ciasnéj, lecz przeciwnie do ich rozporządzenia było siedm apartamentów, z gustem i wszelkiemi wygodami urządzonych,—mimo to obszerne owo mieszkanie prócz obojga rodziców zamieszkiwała tylko jedna ich córka. Panna Malcia potrzebowała jednak dla swojéj osóbki więcéj miejsca, niżeli wszystkie jedenaścioro ubłogosławionéj w potomstwo rodziny Nuchimów.

II.

Mecenasowi dano znać, że dwaj czekają panowie, którzy w ważnym przyszli interesie. Kazał prosić, a ujrzawszy pana Michała Dulębę i pana Ernesta Szmidzickiego, podskoczył z grzecznością, zawoławszy:

— Witam moich panów... Jak jestem szczęśliwy!

Lecz obaj ci panowie nie dali mu dokończyć, dlaczego takim był szczęśliwym z ich widoku; rzekli też czemprędzéj:

— I my również, że do pana możemy się udać.

— Proszę, bardzo proszę... Wszystkiém, czém tylko służyć mogę... moim panom...

— Nie o nas tu chodzi, łaskawy panie — rzekł Ernest Szmidzicki, usadowiwszy się na miękkiéj sofie. — Mybyśmy pana o nasze sprawy wcale nie trudzili... ale gdzie chodzi o sprawy publiczne— —

— A tak?... Wszystko wówczas na bok — dodał z namaszczeniem pan Rozenkranc. — Rozumiem.

— Pan wiesz, jaki dziś rumor w mieście?

— I jakie tam bo, panie, zbierają się koła a kółka — dodał pan Dulęba.

— Ah! czyliż nie wiem!... Tyle krzyku! tyle zabiegów!... taki ogrom prywatnych interesów!... Każdy chciałby upiec tu dla siebie pieczeń...

— Otóż więc chodzi właśnie o to, ażeby dla siebie nie upiekli pieczeni, bo to sprawa przecież publiczna — ozwał się pan Dulęba.

— Ma się rozumiéć... gdy chodzi o sprawę publiczną, wszystkie inne idą na stronę.

— Ot, widzisz, kochany panie Dulęba, że pan Rozenkranc, jakem ci mówił, podobnie jak my na sprawę się zapatruje.

— Ja trzymam zawsze z „naszymi“.

Dulęba popatrzył się, a pan Rozenkranc dodał: — Przecież z motłochem trzymać nie będzie Dawid Rozenkranc?...

— Więc pan jesteś za kandydatem narodowym?

— A jakbyś pan dobrodziéj sądzić mógł inaczéj?... Wszak Rozenkranc nie będzie za jakimś tam... Rebe Chaim Licht...stern?...

— Starowiercy stawiają tego człowieka na swojego kandydata – rzekł pan Dulęba.

— Co z tego!... Ale my... my przecież postawimy „naszego“.. Co tam taki Rebe Chaim!.. Przecież chałatowy nie będzie reprezentował naszego miasta w parlamencie stolicy?... On zna *Misznę* i *Gemarę*... lecz co taki człowiek może miéć za wyobrażenie o potrzebach kraju, o sprawie narodowéj!... My przecież... my Polacy— rzekł z dumą — nie będziem wybierali żyda?...

— Wykształconego... czemużby nie? — rzekł, jakby tylko dla odwzajemnienia się, pan Dulęba. — Nigdy jednak takiego, który chodzi w chałacie, chociażby i atłasowym...

— Ja też nie mówię o wykształconych... o inteligencyi izraelickiéj. Kto chce do niéj należéć, musi wpierw zostać polakiem... Ja to tak tylko rozumiem...

— A ja panu nie mówiłem, panie Dulęba?... Pan Rozenkranc całą duszą nasz!...

— I całém sercem... Bom ja to wyssał już z piersi macierzyńskiéj... tego ducha ojczystego—dodał pan Rozenkranc patetycznie, wiedząc, że pan Dulęba gorącym jest patryotą.

I tu wcale nie skłamał,—gdyż w saméj rzeczy, dzieckiem, ssał on piersi mamki, którą wypadek sprowadził ze wsi do miasta, wskutek czego najęła się do téj funkcyi w domu izraelickim.

— Otóż, panie Rozenkranc, przychodzimy dziś wysłani z koła naszego, by pana zaprosić, ażebyś raczył wziąć udział w komitecie. Pan jesteś wpływowym człowiekiem.

— Chętnie, bardzo chętnie, chciałbym być panom na usługi... o ile słabe siły moje — rzekł z niejaką skromnością pan adwokat, który kiedyindziéj wcale nie używał tego zaparcia się ważności swojego „ja.“—Ale muszę oraz panów moich łaskawych uprzedzić... iż tak jestem zawalony... pracą... tyle spraw w kancelaryi mojéj czeka niezałatwionych, że panowie będziecie mieli wzgląd łaskawy na swojego sługę, jeśli ten nieraz... dla braku czasu...

— Rozumiemy, rozumiemy—dołożył pan Dulęba. — Nam chodzi głównie o wpływ pański na jego... współwyznawców...

— Otóż to właśnie tego wpływu... ja, panie dobrodzieju, nie mam i mieć nie mogę... Czy pan myślisz, że ci ludzie mnie ufają?.. Oni mówią: „Rozenkranc, to nie nasz, to polak!.. my mamy swoich...“

— Lecz na inteligencyą — dołożył pan Dulęba — na ludzi wykształceńszych?.. Nam głównie o tych chodzi...

— Panie kochany, ci są nieliczni... Zresztą z nich jeden dąży tu, drugi owdzie, jeden ma interesa u nas, drugi w Wiedniu, inny znów w Lipsku... Inteligencya owa bardzo rozstrzelona... Ale zrobi się mimo to, co będzie możliwém... Możecie panowie być pewni, iż ja uczynię, co tylko w mojéj sile... a na dobréj chęci mnie nie zabraknie...

— Więc możemy liczyć na pana? — rzekł pan Dulęba.

— Ale... o ile w mojéj sile — dodał z pośpiechem mecenas.

— Udział w komitecie naszym pan przyjmujesz?...

— Jeśli panowie rozkazujecie... Rozenkranc nie może się opierać?...

— Skoro pana mieć będziemy w komitecie, możemy być pewni, że nasz kandydat przejdzie.

— A jeśli nie mógłbym przyjść, bądźcie panowie pewni, iż co wy uchwalicie, Dawid Rozenkranc zawsze przyjmie.

— I będzie tylko za narodowym kandydatem?

— Rozumié się... za narodowym, tylko narodowym.

Rozprawiając jeszcze o tém, to o owém, wyszli panowie Dulęba i Szmidzicki, których pan Rozenkranc aż na wschody wyprowadzał.

Tymczasem wszedł innemi drzwiami pan Rozenkranc ojciec.

Pan Rozenkranc syn, jako adwokat, mający niemałe interesa z ludźmi różnych sfer, nie bardzo się wdawał ze swoimi współwyznawcami, chyba z lepiéj tylko wychowanymi, — ale mimo to miał i u innych niepoślednie poważanie. Przyczyną tego był jego znaczny zasób majątkowy i liczne z nimi interesa. Pośrednictwo to zaś odbywało się przez pana Rozenkranca ojca, który jako chodzący w atłasowym żupanie i odwiedzający częściéj synagogę, większe miał u nich zaufanie, — do tego łatwiejszy był doń przystęp. Pan Rozenkranc ojciec mówił rodzinnym swoim żargonem, lub językiem, jakiego używają „Pressy“ i „Tagblatty“, tylko z pewną przymieszką, pan Rozenkranc syn zaś wysławiał się czystą polszczyzną i cały dom jego był polskim, choć zarówno posługiwał się, gdzie było potrzeba, językiem i synów Germanii; żargonu jednak rodzinnego nigdy nie używał, boby to zgorszenie mogło wywołać u pani Rozenkranc i panny Amalii, które oprócz polskiego lubiły używać tylko języka, jakim Paryż mówi. Pan Dawid Rozenkrac bardzo téż uważał na komfort domu.

Pan Rozenkranc ojciec choć się nie zgadzał z tém wszystkiém, i zdaleka nawet trzymał się od synowéj i wnuki swéj, tolerował jednak kaprysy pod tym względem syna, poznawszy, iż ten umié chodzić tak dobrze, jak i on sam, około interesów, a kto wié, czyli nie jeszcze lepiéj, posiadając środki, jakie daje nowsza cywilizacya i nowsza metoda, któréj jeszcze ci nie znali, co chadzali w długich żupanach i wdziewali na głowę w sabat czapki sobolowe.

Pan Dawid Rozenkranc źle się o talmudzie nie wyrażał, ale go miał za sprzęt dlań niepotrzebny; nie czuł téż żadnéj nienawiści do nauki nowego zakonu, która mu zarówno była obojętną. Choć nie należał do społeczności chrześciańskiéj, mimo to na święta wielkanocne miewał nawet dla swoich gości warstw pewnych stół zastawiony przez dwa dni świąteczne, nie macą, ani winem koszernėm, lecz tortami i wędliną, przez „pismo“ zakazaną. Mówiono nawet, że obchodzi i wigilią Bożego narodzenia, ma się rozumiéć, stołem tylko, tak samo zastawionym potrawami, jako u innych, daléj zaś nie czepiając się zwyczajów świata chrześciańskiego. Pana Rozenkranca ojca wtedy nie zapraszało się do domu—ale bo téż ten ostatni i sam unikał podobnych kolizyi.

Gdy obaj panowie Rozenkrancowie w pokoju zostali sam na sam, zagadnął syna pan Rozenkranc ojciec:

— Ja *przyszedł* do ciebie, Dawid, nu, dzisiaj w *inszy interes*...

Pan Dawid popatrzył na starego.

— Ja wiem, że ty z panami trzymasz, kiedy trzeba z panami... Nu, ty adwokat... Ale kiedy nie trzeba, to będziesz trzymał *z naszą wiarą*.

Pan Rozenkranc spojrzał uważniéj, lecz jeszcze nic nie odpowiedział. Stary daléj ciągnął:

— Teraz takie czasy... aj! takie czasy, że i żydy muszą się miéć na baczności. Za moich czasów tego nie było... *Nasza wiara handlował, robił geszefty*, ale *die Połytyk jego* nie *obchodził*.

Pan Dawid tu się uśmiechnął — a stary daléj prawił:

— Na to był wtedy *Kreisamt, Statthalterei*... a żyd sobie handlował, liwerował zboże, siano i miał swoje interesa. Dzisiaj te sejmy, *rade powiatowy*... to znów on *wielgi raichsrat we Wiedni* i nam spać nie dają.

Pan Dawid oczekiwał, do czego teraz zmierza stary, który się zawsze przecież wekslami tylko i podobnéj natury sprawami zajmował. Ale pan Rozenkranc ojciec dodał, nie czekając:

— Nu, to i żyd nie chce, żeby go te sejmy, te rady *sprzedał*, każąc tylko, nu, *Geld hergeben*...

Tu się nieco zatrzymał, by wysapać, następnie dołożył:

— Oni chcą dziś polaka wybierać do tego *raichsrat*... a my chcemy żyda. Polak, to zawżdy narobi *wielkiego hałas*... Jemu w głowie może znowu „gwardya narodowa" *mit viereckigen Czakos, mit Säbeln und Pikes*... a to na jaki dyabeł!.. *on* kosztuje *Geld*... a to nadaremno... Polak się *bendzie* balował *we Wiedni*, bo oni dużo *honorny, die Schlachtizen*... Oni *zechce* budować *a Palast* dla *tego sejm, a tejater* jeszcze jeden... a to wszystko, *für die Katz!*

Gdy tak stary prawił, pan Dawid tymczasem robił sobie cygaretę, a następnie rozparłszy się na sofie, przeliczał może swoje w myśli interesa, wiedząc, że ojciec jego nie biegły w polityce,— nareszcie gdy ten skończył, popatrzył nań, do czego on dziś zmierza, atoli jeszcze czekał.

— Nu, widzisz Dawid... polak chce wojny... *Er will Krieg, immer Krieg!*.. My tego nie chcemy... Na co nam tego!.. Żyd chce, żeby w *naszego kraj* tak *był*, aby można handlować, żeby szły *geld-geszefty*, jako już Pan Bóg przykazał— a będzie każdy chwalił Jego.

— Czy wam co dzisiaj grozi?...

— Jak to nie grozi?.. Kiedy taki harmider dzisiaj w *miasto*?.. Tam u tego Szymonka... bodaj ich!.. nu, to jakby nabił... tyle tam tego!.. Tu szewcy, tam znów kowale, nu, stolarze, a czy ja ich znał?.. A wszystko pije piwo, aż się leje... Za *wszystkiego* płacą... z tego *ko-*

mitet pańskiego. Tam taki *rwetes*, jakby się całe miasto *palił, a gewałt!..* Tam znowu u tego *bierhaus Mojsie Leib* tak jeden krzyczy *wielgim* głosem, jakby z niego pasy *darły!..* A oni nie kochają żydów. To my się zbieramy w *synagoge* i my sobie *naszego* obierzemy... Mnie przysłali do ciebie...

Pan Dawid tu spojrzał, a stary rzekł:

— Nu, tak, do ciebie... Oni wiedzą, że ty będziesz balował się z „tamtymi“ i w gości z nimi się bawił i chodził do ich *tejater,* ale trzymał z „naszemi“, bo jak ty stracisz twój *Geld*, oni tobie nie dadzą — bo ty zawsze jesteś żydem....

— Nu, rozgadał się stary—rzekł, przerywając pan Dawid, nieco obrażony taką otwartą mową.

— O cóż wam chodzi?...

— O co nam chodzi?.. Nu, nam chodzi, aby my *mieli* „swojego.“

— Ależ kogo wy tam stawiacie?

— Kogo my stawiamy?.. Nu, my stawiamy... *einen redlichen Menschen* — i takiego, co go Pan Bóg kocha — i co się trzyma *naszego zakon.*

— I któż to będzie?..

— Nu, kto to *bendzie*?.. To *bendzie* nie kto inny, jak nasz Rebe Chaim Lichtstern... Nu, ty się krzywisz?.. Ale on jest bardzo mądry... on zna dobrze „pismo“ — on *nauczny.*

— Co z tego, że on „nauczny“?.. Tu nie idzie o Talmud, ani o Gemarę!.. Tego nikt nie zaczepia. Czy dziś wierze żydów co grozi?.. Świat dziś pilniejsze ma sprawy — uśmiechnąwszy się zaś z ironią, dodał: — Co taki Rebe Chaim w Wiedniu zrobi?.. Ludzie w takiéj stolicy nawet go nie zrozumieją — ani on ich nie zrozumié...

— On ich zrozumié... Czemuby ich nie miał zrozumiéć—mruknął stary kręcąc głową. — To nie tylko święty człowiek — on umie i interesa robić... on *takoż* dobrze *szpekuluje...* Czy nie ma *pieniądzów*?

— Być może, być może — odrzekł pan Dawid. — I rabin pewnie za nim?.. Głosił już w synagodze?

— A tak! Żebyś wiedział!.. Rabin mądrze mówił... i drudzy tam mówili... Żydzi muszą się trzymać za rękę... Ty przecie pójdziesz z nami?...

— A czemuż nie miałbym iść z wami? — wycedził zlekka pan Dawid Rozenkranc.—Ja przecież izraelita... Czy ja tylko z tamtymi mam interesa—a z wami nie?...

— Nu, widzisz?.. Twój pieniądz... *on gruby...* przez moje *ręki* rozchodzi się między nich... Oni nim *szpekulują...* Niejeden się zatrzaska po błocie, chodząc cały dzień za *geszeftem*, a drugi marznie w *zimny sklep z twego pieniądz pożyczone* — a tobie przychodzi

procent — *a nett*, kiedy ty siedzisz na *tego wygodny sofa u tego ciepła izba*... Dlaczego tyby nie miał z nami trzymać?.. Ja to wiedział, że ty będziesz jadał, nu, pijał szampan z tamtymi, ale z naszymi trzymał... I dlatego będziesz za Rebe Chaim Lichtstern...

— No, no, pokaże się...

— Jak to?.. Ty chcesz trzymać z tamtymi, nie z naszą krwią, nie z naszym rodem? — odezwał się przestraszony pan Rozenkranc ojciec.

— A kto ci to mówił, stary?.. Ja będę trzymał z naszymi—i wy będziecie ze mną trzymali.

— Nu, dobrze mówisz... Niech ci Bóg da szczęście!.. Ty dobry żyd i dobry syn..!

Pan Dawid nic na to nie odpowiedział. Było mu teraz na rękę, iż właśnie posłyszał swego dependenta, który w téj chwili wchodził.

— A teraz o tém nie mówmy — rzekł ciszéj do starego, wskazując na Rubena. — Na cóż młody miałby tu słyszéć!..

— Nu, ja ciebie rozumiem — odezwał się stary potakująco, dziś zadowolony, dodawszy jeszcze: — Poco ma syn Nuchimów słyszéć, co my mówimy?.. On trzyma z polaki... *A hitziger Trotzkopf!*

I odstąpił na bok, gdy pan Dawid Rozenkranc bliżéj przywołał Rubena, mając mu dawać różne zlecenia. Stary tymczasem wyjmował z pugilaresu weksle i liczył sobie, wargami jeno ruszając.

Mecenasowi pokazywał tymczasem Ruben rubra sądowe, jako dowód na podania stron, które był zaniósł do sądu.

— A uważaj teraz, abyś wygotował i „urgens" dlatego grubego szlachcica, bo on ciągle chodzi i nudzi mnie pytając, czyli już nadeszło... a nasze sądy nie tak bardzo się śpieszą, jak tam jemu pilno. Szlachcic myśli, że oni tam tylko jego mają sprawę, ale kiedy chce, napisać dlań „urgens" i zapisać zaraz do rachunku!

— Jak pan doktór kazał, uczynię.

— Niech płaci, skoro chce!—dodał ciszéj. — My na to prawnicy... a prawo kosztuje...

— No, pytałżeś się — rzekł po chwili — czy było na sesyi... téj wdowy, co to nam zawsze tyle nagada?...

— Było, proszę pana.

— I co?... Przegrała?..

— Nie chciałem zrazu wspominać, ażeby pana nie zmartwić....

— A mnież to co ma martwić?.. Coby to był za adwokat, któregoby martwiły wyniki procesów stron!.. Czy to moja rzecz?... My robiliśmy, co do nas należy, co ona chciała; a czy tam strona wygrywa, czy przegrywa, to już rzecz nie nasza! Ty masz tylko pilnować, ażebyś czego nie zapomniał włożyć do jéj rachunku.

— Ależ... bo to... wdowa...

— Wdowa nie wdowa?... Czym ja jéj męża zabrał?.. Jam jéj przecież nie kazał sprawy wytaczać?...

— Ale pan doktor jéj nie odradził? to zaś było bardzo niepewne?...

— A gdzieżeś ty słyszał, żeby adwokat stronom miał odradzać?.. Co jemu do ich życzeń! On ma tylko na to uważać, czy ten, który żąda wytoczenia akcyi, ma na to środki... i jak długo te wystarczą.... Reszta doń nie należy... Gdy będziesz w wieku dojrzalszym, poznasz, że adwokat nie bierze sprawy ze strony romantycznéj....

— Ależ... pan doktor... będzie dziś miłosiernym... bo ona... jak słyszałem... zapożyczyła się na ten proces — a tam są dzieci... Pan doktor majętny... grosza jéj nie potrzebuje....

— A kto ci mówił, że ja nie potrzebuję?.. Gdybym tak sądził, jak ty, miałbym dziś tyle, co ona, która, jak mówisz, zapożycza się!.. Ja przecież tego chcieć nie mogę!.. Rozumiesz?.. Z ciebie jeszcze wygląda marzyciel, a nie dependent adwokacki.

Ale Ruben oczy tylko spuścił.

— Dobrze mówi on, Rozenkranc — odezwał się stary, który przez cały ten czas przeliczał swoje.—Naco jemu *tego łaski*?.. A jak on straci, to oni dadzą mu z łaski *swojego*?.. Nu, widzi młody pan Tauber, żeby sobie to zapamiętał... bo jak od nich nie wyciągnie, oni sami nie dadzą *złomanego krajcar*. Czy może twojemu *tate* dadzą, jeśli on potrzebuje, hm... dadzą mu, gdy jego bachury jeść krzyczą?

Pan Ruben na to wspomnienie westchnął, gdyż wiedział, że ojciec jego mocno u pana Rozenkraca ojca zadłużony, który posiada jego weksle.

— Nu, widzi pan Tauber, oni powiedzą: żyd niech robi, niechaj nam szyje *surdute* a *kamizele*, co uszyje, zapłacimy... ale darmo nic! *Geld kostet.* A on, Rozenkranc, to także szyje... to jego robota!.. on się uczył—i ja jego do szkół dawał i płacił, to on nie potrzebuje sobie oczów dziś psować nad *tego igla a nici* — ale on zarabia piórem. Nu, to jego praca, i on darmo nie ma dla *żadnego wdowa*?.. A co nas... te *goimy*!.. Czy u nas nie ma *wdowa*?.. i jeszcze z dziesięciorgo *dzieciów niejeden wdowa*?...

Ale pan Rozenkranc syn nie lubił używać słów tylu, co pan Rozenkranc ojciec, który już z przyzwyczajenia słów swoich nigdy nie żałował, targując się, a sypiąc kazanie tym, co nie dotrzymują terminu.

Pan Rozenkranc syn należy już do téj generacyi, która tchu swego i piersi swoich więcéj oszczędza, i nieraz jedném słówkiem niemałe rozstrzyga sprawy. Dlatego też uważał za stosowne przerwać kazanie starego, wysławszy z kancelaryi Rubena, który też nie omieszkał odejść zaraz do pań, a właściwie do panny Amalii, bo ona tam na niego od chwili czekała, czemu ojciec wcale nie przeszkadzał, udając, że tego nie uważa. Pan Rozenkranc umiał rachować... Może on i tutaj miał swoję rachubę?

Po odejściu Rubena zabrali się ojciec z synem zaraz do swoich prywatnych interesów. Pan Dawid Rozenkranc, mając od dawna kancelaryą i różne interesa intratne, posiadał i kapitały: znał się zatém i z giełdą, a z matadorami giełdy, choć się w twarz nie całował, jak bracia szlachcice, jednak w ściślejszym a szczerszym z nimi zostawał stosunku. Mimo to nie gardził i drobniejszemi interesami, dając małe kwoty na grubsze procenta swoim współwyznawcom, którzy opłacając wysokie odsetki większemu kapitaliście, we dwójnasób zyskać potém musieli, ażeby módz wyjść na swoje. Panu Rozenkrancowi jednak jako prawnikowi i jako człowiekowi należącemu do inszéj sfery, nie wypadało brudzić się z drobniejszą gawiedzią; czynił to zatém za pośrednictwem pana Rozenkranca ojca, którego to wcale nie żenowało, i który to wszystko sprawował *con amore*, będąc tu właśnie w swoim żywiole. Pan Rozenkranc ojciec oprócz tego miał niemało cierpliwości, a godząc się w jakim interesie zbytnio się nie śpieszył... Chociaż zaręczał, że nie ma nieraz czasu i nie myśli sobie psuć daremnie piersi i wydawać tyle tchu ze siebie, jednakowoż właśnie wtedy najobfitszym był w wyrazy, i obchodził, z daleka kołując, o tém i o owém prawiąc, co do rzeczy nie należało, a czas jakoś przedłużał się niepostrzeżenie. Innym razem stary przeczekał dzień jeden i drugi, czém zmęczył przeciwnika, trzeciego dnia zaczynał, czyli właściwie nie zaczynał interesu, by znowu urwać, kiedy przeciwnik w większym był niepokoju,—ale ostatecznie tam doszedł, dokąd pierwotnie zamierzał.

Pan Dawid Rozenkranc znał się na téj właściwości ojca swojego, i umiał ją ocenić należycie, ale i sam odziedziczył przymiot ten od swego rodzica; objawiało to się jednak w formie bardziéj dystyngowanéj i zgadzającéj się z wymogami świata dzisiejszego. Dlatego też i w stosunku Rubena do swojéj córki trzymał się téj saméj zasady, i nie możemy dziś na pewno wiedziéć, czyli on sobie tak bardzo życzył gorętszego stosunku między panem Rubenem a panną Amalią.

Mimo to młodzi nie wchodzili tak głęboko w zamiary ojca. Pani Rozenkranc matka zaś nie była od tego, ażeby młodzież córce

jéj nadskakiwała... To przecież nie szkodzi, daje nawet więcéj komfortu pannie i domowi, czego pani ta była niemałą zwolenniczką. Wyborowi ostatecznemu nic to nie przeszkadza; gdzie bowiem więcéj adoratorów, tam i wybór jest łatwiejszy; czasem nawet właśnie zabiegi jednego przyśpieszyć mogą decyzyą drugiego. Lecz nie myślimy wcale posądzać tu pani Rozenkranc, żeby umiała tak liczyć, jak męska połowa Rozenkranców. Że wcale nie była tak ścisłą w rachunku, dowodziło tego właśnie urządzenie jéj salonów, gdzie oprócz rzeczy potrzebnych, lub téż służących ku wygodzie, tyle było błyszczących, których przeznaczenia niktby się nie domyślił.

Pani Rozenkranc już z tego powodu mogła uważać się na prawdę za polkę, jakby w saméj rzeczy za żonę polskiego szlachcica.

Panna Amalia zaś była tego rodzaju osóbką, iż mogła nie tylko pana Rubena, skłonnego do marzeń, ale i każdego innego oczarować. Wesołość i naiwność polskiego dziewczęcia były u niéj połączone z ogniem krwi wschodniéj. Oko jéj czarne, mające połysk aksamitu, czasami takim strzeliło blaskiem, że mogłoby każdego zelektryzować; a jeśli tu dodamy urok chwilowego zamyślenia na jéj piękném owalném obliczu, ową lekką, przelotną chwilami tęsknotę za czemś, czego pochwycić nie można było:—wszystko to działało magnetycznie, a Ruben wrażliwym był na wszystko, co piękne i szlachetne.

Jako dziecko ubogich rodziców, co żyli jeno pracą, nie miał on sposobności przyzwyczajenia się do zbytków i do zniewieściałości. W dziecięctwie doznawał tylko niedostatku, musiał bowiem znosić głód i zimno, uczył téż się cierpliwości i niedogadzania chęciom swoim: dusza jego przeto nie straciła owéj świeżości, jakiéj tak łatwo pozbywa się młodzież, wychowana w wygodach. A że w domu rodziców, dzieckiem, niewiele widział świata, dlatego późniéj, kiedy wszedł w świat szerszy, wszystko miało dlań urok nowości i żywotność nowości. Świat mu się nawet wydał teraz pięknym i ludzie pięknymi. W szkole poznał młodzież innéj krwi i innego wyznania, a ponieważ był z natury dobrego usposobienia i szczeréj otwartości, pokochał téż podobną sobie młodzież. Marzył tak samo, jak oni, czytywał utwory wieszczów, jak oni, pił ztamtąd czystą rosę natchnienia, i doszedł do solidarności z resztą młodzieży. Nie dzielił téż żadnéj niechęci rasowéj. Ojca swego szanował, i matkę szanował, wiedział jednak, że oni tego kochać nie mogą, czego wcale nie znają. Na wszelkie przesądy poczciwych, lecz nieco ciemnych swoich rodziców, umiał patrzéć z pełném miłości szacunku pobłażaniem. Czasem go niejedno zmartwiło, co ojciec wypowie-

dział, czasem i w nim sprawiło niejakie zawichrzenie w myślach, nie długo jednak to trwało: młodzieniec ten należał do ludzi, którzy więcéj wierzą, niżeli powątpiewają, uważał zawsze ludzi, jako z przyrodzenia dobrych.

Dlatego téż i pana Rozenkranca miał za takiego, jakim ten się wydawał; zdania mecenasa, nie zgadzające się z własném usposobieniem młodzieńca, uważał on tylko jako już konieczne w prawniku, przyzwyczajonym do akuratności.

III.

Wyszedłszy od panny Amalii, rozmarzony jeszcze jéj widokiem, postępował Ruben wąskiemi uliczkami, a skręciwszy na jednę z nich, bardziéj nierówną i bardziéj ciemną, wszedł do mieszkania rodziców swoich.

Pan Nuchim siedział, jak zwykle, nad swoją robotą, podnosząc rękę, to w takt spuszczając, z tym samym pośpiechem, z jakim zawsze pracował; pani Nuchimowa zajęta była koło kuchni, nader skrupulatnie rozważając, jakby to z kilku ziemniaków, dwóch cebul i szczypty soli, z obfitą zaś domieszką wody, zupę na obiad sporządzić dla tylu gąb czekających.

Na widok Rubena, między dziećmi niemałe nastało poruszenie, tak, iż przestali nawet patrzéć na robotę matki, zapowiadającą za chwilę smaczną strawę.

Starzec zaś, spostrzegłszy syna, wypogodził w téj chwili oblicze. Zdawało się, jak gdyby na twarzy téj zżółkłéj, powiędłéj, nieco teraz zmarszków ubyło, i pewna jasność rozlała się po obliczu jego znękaném; nawet i wiecznie zaturbowana twarz pani Nuchimowéj przybrała wyraz bardziéj jakiś pogodny, a stara babka, już niedomagająca, co się tylko trzęsła, choć dziś nie było wcale zimno, w jednéj chwili, jak gdyby ożyła, zapomniawszy zaś o zimnie i głodzie, przyjściem wnuka była uradowana. Staruszka nie spuszczała zeń oka.

— Nu, jaki ty dobry... mój Ruben—rzekł ojciec, nie odrywając ręki od igły, gdyż robota ciągle nagliła—aj! dobry, żeś i dziś nie zapomniał o starych... Ja wiem, że ty nie wiele masz czasu.

— Zawsze tyle się znajdzie, że was mogę odwiedzić i zajrzéć, co téż tu się dzieje.

— Nu, coby tu się działo?... Chwalić Pana Boga, idzie jakoś... Dziś mniéj mnie nawet oczy bolą, i prędzéj roboty téj dokończę.

— Aj! co to idzie!—odezwała się matka.—Coraz gorzéj!.. Taka drożyzna!.. Nu, dzisiaj to i chłop zmędrzał... Nie mogłam się dokupić jednego wianka cebuli... mizernego...

— Ja też trochę wam znów przyniosłem.

I sięgnął do kieszeni, wyjmując dziesięć reńszczaków.

— Nu, naco ty się wymówiła, Ester?.. Ja ci zawsze gadam: cicho siedź! Nasz Ruben dobry, ale on sam potrzebuje... on dziś jeszcze na dorobku...

— Aj! nie tak źle, ojcze!.. Pan Rozenkranc dziś rano był na mnie łaskaw, i dał mi dziesięć reńszczaków, bo wié, że ja mam starego ojca, który przy igle wypatrzy sobie oczy, i matkę, co ma do żywienia tyle drobiazgu.

A drobiazg ów w saméj rzeczy, od chwili już czekał, otoczywszy Rubena. Stara zaś babka patrzała się w oblicze wnuka, ni to w słońce, błogosławiąc mu w duchu.

Ojciec dodał czémprędziéj:—Nu, widzisz Ruben... ty nie możesz tego wszystkiego dawać... Tak... tak... Ester, on ci pięć da z tego, a drugie pięć niechaj jemu zostaną.

— Nu, co mam robić... Niech i tak będzie!—rzekła połowica.

Ale syn się wzbraniał, ojciec zaś w żaden sposób przyjąć nie chciał, mówiąc:—To twoja praca!... Ja jeszcze, chwalić Boga, macham ręką... Nam tak wiele nie potrzeba... Ot! łyżkę strawy, stary jaki chałat, taj trochę łachów dla *bachurów*... Ty co innego! Ty jesteś u pana Rozenkranca, a tam nie weźmiesz na grzbiet swój chałatu, boby cię wygnał taki *purec*, *morejne*... Ja chcę, żeby ty kiedy był... nu, taki, jak on, adwokat...

Tu pani Nuchimowa zaczęła cmokać, głową ruszając, jak gdyby już naprzód rozkoszowała się widokiem syna, który tyle będzie ściągał pieniędzy, jak pan Rozenkranc, co pewnie inną kawę pije, niżeli ona wraz z mężem i dziećmi, do któréj, w domu Nuchimów, bierze się garść opalonego łubinu, dodając za półtora krajcara cykoryi, a resztę stanowi woda, jedną lub dwoma szklankami mléka zabielona.

— Nu, widzisz—ciągnął daléj ojciec, patrząc na syna—jak ty będziesz miał swój grosz, wtedy będziesz dawał ojcu, matce i braciom swoim ale nie teraz!.. My dziś możemy biédować.. A tobie niech Bóg dopomoże... My już jakoś ciągnąć będziemy, by tylko stary Rozenkranc mnie czekał... Ja mu oddam, i procent dam, jaki policzy... Co robić! On dał... nu, to jemu się należy.

— Poczeka, poczeka, ojcze.

— Nu, ja go znam, on chociaż twardy, gdy chodzi o grosz, ale on zawsze jest naszym. Żyda nie powiedzie przecież do sądu!..

— Albożinni już gorsi?... A pan Dulęba, nie dał ci naprzód ojcze, kiedyś bardzo potrzebował?...

— Nu, prawda!... ale zawsze to pan... Pan dał, bo on tak ceni pieniądz, jak żyd... dał naprzód, gdyż wie, iż ja mu odrobię igłą moją, a on potrzebuje sukien, do tego i modnych, kiedy stary Rozenkranc tego nie potrzebuje...

— Ale za to bierze procent, i dano mu procent,—a pan Dulęba nie bierze tego... Prawda że ci dał, kiedyś potrzebował... Późniéj mu odrobisz, ojcze...

— Nu, toby już koniec był świata, gdyby szlachcic taki pobierał procenta? Od kogo? od żyda?...

— A dlaczegożby, ojcze, szlachcic brać nie miał, jeśli żyd bierze?—zagadnął syn rozumiejący równouprawnienie.

— Dlaczego, synu?... Bo żyd na to jest żydem... On nie ma ziemi—nie ma *państwa*—on nie ma urzędu żadnego... Toć on handluje z pieniądzem... lub szyje, jak twój ojciec...

— Dziś ma to samo ojcze, co chrześcianin.

— Nie wierz temu Ruben!... Gdzie ty widział, żeby żyd miał to samo... żeby on miał urząd?... żeby żyd był na prawdę panem?— Potém dodał spokojniéj:—Nu, on nie potrzebuje *państwa*.. Na co jemu tego! On sobie żyd.

— Ale, co mówisz, ojcze?... Czy dziś nie mają dóbr szerokich, podobnie jako i inni? nie skupili przecież tyle już ziemi?...

— Nu, być może!.. Ale źle zrobili. Bo żyd nie jest do ziemi. Naco jemu ziemi, naco *dobra*, nu, konie, pałace, lokaje?... On żeby miał i dziesięć wsi, to on zawsze żyd. Tak jak Bóg postanowił...

Stara babka przez ten czas się przybliżyła, nie dosłuchując dobrze, a chciała przecież udział brać w tém, co oni mówili, bo starą wszystko zajmowało, co dotyczy wnuka.

— On ma racyą, Nuchim—odezwała się babka.—Bo pan zawsze jest panem... Oj, dobre to były czasy... które ja zapamiętam! Państwo siedzieli we dworze, tak, jak dziś ich pamiętam... a ja z *moim* na młynie... Wtenczas tak my nie biédowali.

— Nu, co z tego, kiedy was tam nie zostawili?...

— Oni byli *dobre* dla mnie... Ja ich zawsze błogosławię i nieboszczkę panią. To wygnał nas *tamten*... Bodaj jego! Nie uważał na nasze *hazuke*. Ta, co bo u niego świętego! Osadził innych...

— Nu, widzisz, matko?.. A ty gadasz, że chrześcianin nie łakomy na pieniądze.. Ta, czemu on was wygnał?.. Bo mu drugi więcéj zapłacił.

— Nu, co robić!.. Ale to żyd był, co więcéj zapłacił... a żyd tego nie powinien. Nu, widzisz, jak nie każdy żyd jest dobry człowiek, tak i nie każdy chrześcianin... Jest zły, jest i dobry.

— Ja nie gadam o tym *Hersz Majer* — mruknął stary. — To nie żyd! to rabuś!.. Żyd, przeciwnie, da żydowi, bodaj krajcar, bodaj pół krajcara ubogiemu żydowi... Chrześcianin?.. Nu, ten zapłaci mu za suknie, gdy tak zrobi, że się panu podoba, i do tego tanio; a w dodatku, że dał pieniądze, złaje, jak *sobakę*. Chrześcianin jest hojny, nu, może i miłosierny, ale nie dla żyda. Żyd též nie ma do tego prawa. Nuchim bierze mu miarę, przykrawuje, odziéwa go, ażeby mu w zimie było ciepło, w lecie nie gorąco, ale nie żąda, żeby go za to kochał: bo on go kochać nie będzie.

Słysząc słowa podobne, westchnął młodzieniec, dodawszy tylko:

— Cobym ja dał zato, gdybyście zmienili zdanie swoje!..

— Nu, na co zmieniać, kiedy tak samo zawsze zostaje?.. Ojciec twój żyje już lat tyle, i czyli inny świat może był pierwéj, niżeli dzisiaj?.. Dziś tylko niektóre pany poszły ze dworów swoich i weszły tam inne, niektóre żydy zrzuciły chałaty i ubrały się w surduty a paletoty, ale pozostały zawsze żydami. Nu, a ten, co jada dziś pośladki cieląt i uda bez rogów, ten nie jest żydem, ale i nie jest chrześcianin... Albo ja wiem, co on jest!.. Ot, co to o tém gadać!...

I z coraz większym pośpiechem machał daléj igłą.

IV.

W domu pana Dulęby liczne było zebranie. Widać, że już od dłuższego czasu obracano jakąś kwestyą, gdyż wszyscy byli w niemałém poruszeniu.

— A ja wam mówię, że na nich liczyć nie można! — wołał pewien gruby jegomość, na całéj twarzy czerwony z gorącego wzruszenia.

— A niechże pan da pokój! — rzekł zaspany pan Szmidzicki. — Przecież powracam od Szymonka... Wszyscy się skarżą, że już dłużéj nie można wytrzymać... że się nareszcie przebrała cierpliwość... Coraz idzie gorzéj, a gorzéj!.. Tamten poseł dla siebie tylko upiekł pieczeń i dla kilku swoich....

— A! to motłoch, panie dobrodzieju... Krzyczą, bo ich poją.... Gdy wypiją, zapomną jutro, i pójdą na lep pierwszego lepszego.

— To téż właśnie naszém będzie staraniem — zbliżył się pan Dulęba — ażeby do tego nie dopuścić, by szli na lep kogokolwiek....

— A jakiż masz pan na to sposób? — rzekł, sapiąc gruby jegomość.

— Słuchamy! słuchamy! — odezwało się kilka głosów, i zbliżyli się do obu spierających.

I w téj chwili wyglądało, jak na łanie zbożowym, kiedy raptem wiatr się wstrzyma.

Pan Dulęba spojrzawszy po obecnych, rozpoczął:

— A wiécie panowie, czemu im tak ufać nie możemy? czemu ich pilnować dziś musimy?.. Bośmy w tamtych latach, bośmy w dłuższéj przeszłości nic dla nich nie uczynili. Przyzwyczailiśmy ich do tego, iż tam idą, gdzie się leje z beczki... A skoro się wybory skończą, ten pierwszy, co ich ściska za ręce, co z nimi z jednéj pije szklanicy, potém ani spojrzy, uważając to za ujmę dla siebie, by mówił z szewcem, kowalem, lub majstrem kominiarskim. To motłoch! przecież my inteligencya!.. Oni dziś małoletni — to prawda! ale, za pracą braci wykształceńszéj, małoletni staną się pełnoletnimi.

— Lecz to, panie, teorya—rzekł gruby jegomość. — Ot! dajmy sobie powiedziéć: szewc zawsze szewcem, kowal jeno do miecha!... Może tak będzie, jak pan mówisz, za lat dwieście-trzysta... Ale to już nie nasze czasy... Co nam z tego, że potém szewc będzie miał tyle rozumu, co dziś doktor prawa, kiedy już i prochów po nas nie będzie!.. Oglądajmy się na to, co dzisiaj!

— Tak—rzekł pan Dulęba z przekąsem—i dajmy sobie wszystkie ich głosy wykraść?..

— Choćby i tak... nie przegłosują naszego kandydata... ręczę panom — rzekł pan Szmidzicki, który chciał już od chwili mówić i ciągle usta otwierał.—Mamy za sobą, moi panowie, całą inteligencyą żydowską...

— Ale tu tylko się boję—dodał pan Dulęba — czyli oni wpływ miéć będą na ciemną masę starowierców?..

— O to chodzi... To sęk! — ozwało się kilka głosów.

— Wszak ci mają swego kandydata?.. Przecież stawiają tego Rebe Chaima Lichtstern?...

— Co? jakiegoś tam chałatowego! — krzyknęli inni—Rebę *husytę kłapoucha*?..

— Hm, hm, uśmiechnął się pan Szmidzicki ze znaczeniem.— Oni stawiają tego Rebe Chaima... von Lichtstern... Ja coś przeczuwam, że oni z niego zrobią von Finsterstern... i będzie to kandydat z pod ciemnéj gwiazdy...

Na to powstała niejaka wesołość, że zamiast mazura z pod ciemnéj gwiazdy, jak mówią, dziś zajmie żyd to zaszczytne miejsce.

— Ja wam zaręczam, moi panowie — rzekł pan Szmidzicki — że inteligencya za sobą ich pociągnie... jam pewny, że pójdą za naszym kandydatem... Ot! tu jest między nami pan Tauber, pana Rozenkranca dependent, któregom przywiódł z sobą... On przecież

słyszy swego pryncypała codzień prawie... a ten ma wpływ i znaczenie między postępowymi...

— Pan Rozenkranc, zapewne—ozwało się kilka głosów. — To już coś jest!..

I wszystko zwróciło się do Rubena, żeby raczył potwierdzić ich zaufanie do swojego mecenasa.

Ten, choć nieśmiało, dotychczas trzymał się na uboczu, naprzód wypchnięty, musiał zaręczyć, co na własne uszy słyszał od pana Rozenkranca.

— Ale dlaczego pan Rozenkranc nie łaskaw uczęszczać na posiedzenia komitetowe?.. Raz coś był, czy dwa... i to przyszedł późniéj?...

— Proszę wybaczyć— rzekł skromnie pan Ruben — iż się odezwę w obronie mojego pryncypała... Ale on ma tyle spraw... sam mi to zawsze powiada, że mu nie pozostaje tyle czasu na zebrania... jednakowoż zaręczył mnie, iż tylko za naszym będzie głosował kandydatem, i użyje całego swego wpływu... Ja go znam... on wiele nie lubi mówić a zapewniać... lecz zawsze swoje zrobi.

— No, my to wiemy — odezwało się kilka głosów — to zacny człowiek i rozumny! Tęga głowa!..

I tu spojrzeli po sobie z pewnym podziwem dla téj dzielności głowy pana Rozenkranca.

— I owi ciemniejsi, a właściwie biédniejsi izraelici, wierzcie mi panowie, będą nie wszyscy za tamtym... Część pójdzie za nami. Pan Rozenkranc ma wpływy swoje i mają inni... Nie wszyscy pójdą za panem Chaimem.... On porządny wprawdzie człowiek, nic mu nie można zarzucić, jednak nie jest na posła....

— Ależ i pan, panie Ruben — wmieszał się zaraz pan Szmidzicki — mógłbyś także się przyczynić... Masz przecież ojca starowiercę?.. Tego bardzo szanują żydzi...

— Prawda, że go szanują, bo on poczciwy, i ma nie u jednego zachowanie... On choć nie jasno sprawę pojmuje, bo to człowiek stary, spracowany, nie wiele ma drugim do zawdzięczenia, nieco nawet goryczy w piersiach i żalu... ale on kocha syna swego i wierzy mu... Ja uczynię, co się da... i mam nadzieję, iż także nieco zbierzemy głosów.

— Dzielny młodzieniec, dzielny!—zawołało kilku, pan Ruben zaś nieco poczerwieniał, żenując się pochwały, i dodał wnet z całą skromnością: — Więcéj jest takich u nas i lepszych....

A kilku młodszych w tém zebraniu patrzyli z zadowoleniem na pana Rubena, lecz gruby jegomość mruczał sobie pod nosem:

— To, panie, wszystko romanse! gołe teorye, nic więcéj!.. Co mi tam po młodych! Wolałbym, żeby starzy byli z nami!...

Nareszcie drzwi się otworzyły i wszedł pan Rozenkranc.

Wszystkim się w jednéj chwili rozpromieniły oblicza, i każdy się pchał, by czémprędzéj uścisnąć rękę wpływowego człowieka, który im za sobą całą masę przywiedzie.

Pan Rozenkranc witał też wszystkich do koła z uprzejmą serdecznością a łaskawością.

Teraz już była radość i ogólna zgoda. Wynik wyborów dziś pewny. Pan Rozenkranc wraz z drugimi mają tak rozległe interesa i tyle powagi, iż wszystko pójdzie za nimi.

Wtedy ciemnych mieszczan można i w kącie pozostawić, gdy takich mamy patryotów!

Wszystkich też oblicza świeciły coraz większą radością.

V.

W całém mieście wrzało i kipiało. Po wszystkich restauracyach, piwiarniach i kawiarniach było jak nabito. Pękały beczki piwa i lało się wino; czarna nawet kawa dodawała siły, by módz wysłuchać przemówień bez końca, krytyki wszystkiego, ciągłych zapewnień, iż odtąd wszystkie mają się naprawić braki, a niedostatki, jakie wszystkim i każdemu z osobna siedzą w boku.

Główni mówcy już pochrypli, agitatorowie od tygodnia o swojéj godzinie ani się spać kładą, ani siadają do stołu, jeno biegają, ściągają, co mogą, tu i owdzie starają się rozbijać przeciwników.

Szewcy, stolarze zostawiają warsztaty, kowale przestają walić młotem, zostawiają to wszystko żonom swoim i czeladnikom, a sami idą słuchać przemówień, zapewniających wszystkim zebranym, że dziś rzemiosło, to zupełnie co innego, niżeli było dawniéj, że dziś rzemieślnik, to wielkie imię, to podstawa i filar społeczeństwa!.. Oni słuchają, dziwują się, ale prędko pojmują mądrość słów tych i wiedzą, że sami odtąd w swoich własnych oczach urośli.

Żydzi znów, ze swéj strony, cicho siedzą, lecz się schodzą mimo to do synagogi; tu postanawiają trzymać się solidarnie, bo teraz chodzi o ich sprawy, o ich nawet wyznanie, o ich kieszenie— a nikt tak potrzeb ich nie zrozumié, jak Rebe Chaim: gdyż to człek „nauczny“, i siedzi całe życie nad „pismem.“ On wypatrzył tam oczy: bardzo też mądry, wié wszystko, co się dzieje na ziemi i w niebie. Oprócz tego ma i łaskę Pańską, bo i grosz jego pomnaża się, jak niegdyś Jakóbowi owce i barany.

Nareszcie głoszą kahalni, że dziś wyznanie ich w niebezpieczeństwie, że *goimy* na nie godzą, tak samo, jak na ich mienie; wskazują nawet na te gromady po knajpach, piwiarniach, które każdéj chwili mogą się zmienić w roty uzbrojone i rozpocząć coś nakształt nieszporów sycylijsklch. Lud Izraela niemało podejrzliwy, a nie słynie bardzo odwagą. Od samego słychu już łaskotanie rozchodzi się po piętach.

Atoli pan Rozenkranc nie taki bojaźliwy... on nie podziela tego strachu swoich współwyznawców. Wyborów zaś nie spuścił z oka. Chodził przecież na zebrania tych, co stawiają kandydata nieżydowskiego, ani mieszczańskiego, lecz wogóle narodowego. Pan Rozenkranc obiecał solennie, że pójdzie ręka w rękę z kołem narodowém, bo i jemu nie chodzi o pewne warstwy, lecz o cały kraj i jego potrzeby.

Mimo to pan Rozenkranc zchadzał się z niektórymi matadorami świata finansowego i tam coś radzono. Lecz nie można było wiedziéć, o czém... gdyż narady odbywały się bez tłumów i wcale przyzwoicie. Może tam radzono o sprawach pieniężnych, gdyż byli to ludzie, w których rękach tylu innych siedziało. Wiadomo było bowiem, iż większa część w mieście izraelitów, jakby u nich zadłużona w handlu swoim, to żyjąca z wydzierżawianéj od nich propinacyi miasta, w ich była rękach. Całkiem naturalna, że tak grube ryby często musiały się porozumiewać, ażeby wszystko równo płynęło.

Cała téż klientela izraelicka miała do nich wszelkie zaufanie. Oni i tak zaręczyli, iż tylko ze swoimi głosować będą. Lud Izraela teraz był pewny, że ci, co stoją na świeczniku, w tak ważnéj chwili ich nie opuszczą, i za kandydatem kahalnym głosować będą, bo przecież nie oddadzą współwyznawców na łup *goimom!*

Ludzie postępowi i narodowcy zaś byli przekonani, że pan Rozenkranc z nimi idzie solidarnie, a nie z ciemną masą, jako prawnik zaś i światlejszy od matador giełdowych, wekslowych i propinacyjnych, wszystkich na swoję stronę przeciągnie.

Dzień wyborów się zbliżał; kilka już tylko dni przedzielało. Ruch stawał się coraz większym, mniéj jednak gwarliwym; pewna powaga i postanowienie w wytrwaniu osiadło na obliczach wszystkich. Wkrótce stoczy się téż walna rozprawa. Kilku wychodziło na jaw kandydatów, ale ostatecznie dwaj tylko mają szanse; toż i dwaj będą zawzięcie walczyli z sobą: kandydat narodowy i kahalny.

Pan Rozenkranc chodził dziś bardziéj zamyślony, ale i spokojniejszy.

Nareszcie, na dzień przed wyborami była w jego mieszkaniu niewielka narada. Kilku zeszło się jego przyjaciół, kilka matador

finansowych... Co tam mówiono—nie wiedziéć?.. Dosyć, że gdy się rozeszli, zaczęto zaraz biegać, po cichu, spokojnie, od jednego do drugiego, po domach izraelickich... Ale w tém nie było nic dziwnego, gdyż ci panowie mają przecież swoje sprawy?... Kto ma takie kapitały, tak rozległe interesa i tyle spraw w obiegu wekslowych— nie dziwota zatém, że sieć tych interesów obejmować musi w mieście cały niemal Izrael.

Pan Rozenkranc następnie siedząc sam w pokoju swoim, z cygarem w uściech, zawezwał do siebie Rubena i mówił dziś z nim dłużéj i bardzo łaskawie. Pan Ruben miał nawet lice rozpromienione. Czy mu robił jakie nadzieje, czy tylko dawał do poznania, iż chciałby go miéć bliżéj siebie,—nie wiedziéć... ale po minie pana Rubena poznać można było, że tu chodziło o spełnienie, bodaj w przyszłości, życzeń jego.

Atoli czegoś odeń pan Rozenkranc naraz zażądał, że się młodzieniec nagle przestraszył. Zbladł, a potém czynił jakieś przedstawienia; lecz pan Rozenkranc nie myślał słuchać... stanowczo tylko coś wyrzekł, a młodzieniec chciał już odchodzić, jak gdyby zrozpaczony, łzy mając w oczach.

Pan Rozenkranc zaś usiadł napowrót na sofę i spokojnie puszczać sobie daléj zaczął kłęby dymu. Ruben coś mówił, lecz pan Rozenkranc tego nie słuchał. Ruben zdawał się coś mu wystawiać a błagać, pan Rozenkranc jednak wyrzekł tylko jedno słowo ciężkie, stanowcze; młody załamał dłonie, lecz widać było, że się musiał poddać.

I mówiono już spokojniéj.

Pan Rozenkranc dawał jakieś instrukcye, a Ruben musiał je przyjmować — i tak się rozeszli.

Wyszedłszy z mieszkania mecenasa, swego chlebodawcy, kroczył młodzieniec jakby zbity z toru; zdybując zaś swoich znajomych, zdawał się dziś unikać wszelkiéj z nimi rozmowy, tłómacząc się bólem głowy czy inną tam chorobą, — i tak zaszedł do starego ojca.

Tu na widok jego zajaśniał uśmiech na twarzach tych ludzi szaréj doli; jednakże ujrzawszy Rubena ni to chorego, przestraszył się zrazu ojciec,—i była chwila milczenia. Następnie mówić o czémś poczęli, co bardzo nie w smak musiało pójść panu Nuchimowi, bo się chwycił za głowę i rzucił nawet robotę swoję, co mu się nigdy nie zdarzało... Potém zaczął łypać oczyma, wymawiając tylko:—Jak to... ja żyd... oni żydy.... Nu, co mi do tego!... Oni mędrsi... Ja prosty krawiec... Ja pracuje Panu.... Ja niechcę, żeby ty... Tobie chléb odbiorą... Ja nie chcę, żeby ty tak biedował, jako ja... mój synu....

I tu zaczął szlochać stary, i szlochała jego połowica, i szlochała stara babka, choć nie rozumiały, co tu grozi właściwie ich potomstwu.

Gdy przyszedł do siebie Nuchim, zaciągnął chałat nieco lepszy, i wyszli gdzieś obaj z synem.

W domu długo czekano; lecz stary wrócił bardzo późno, czego rozumiéć nie można było. Lecz chociaż był zgnębiony i umęczony, przecież spokój osiadł teraz na twarzy jego.

Zdawało się, jakby téj nocy, ostatniéj przed dniem jutrzejszym, jakiś ruch był między całym Izraelem, ale spokojny, jak gdyby na komendę. Ruchem tym zdawały się kierować ręce jakieś niewiadome.

VI.

Nastał nareszcie dzień wyborów. W powietrzu rozlana była jakaś posępność... słońce nie chiało dziś wychodzić, choć chmur na niebie nie było, jeno jakaś przejrzysta, nic nie zakrywająca w powietrzu wilgoć, rozpostarta wszędzie do koła, i jakby ciążąca dziś nad całém miastem.

Domy wzdłuż ulic miały również inne wejrzenie, niż dnia wczorajszego, niżeli dni poprzednich.

Ludzie przechodzili obok siebie, nito niemi, zaledwie się pozdrowiwszy niechętnie, szli swoją drogą, jak gdyby się wzajemnie unikając, inni patrzéli na się wzrokiem ostrym, pewnym, inni znów zdawali się grozić, jakby ten i ów miał minę odstąpienia od wspólnego sztandaru.

Po ulicach przechadzała się tu i owdzie straż porządku... lecz dzisiaj nic go nie myślało zakłócać, gdyż wczorajszy gwar i harmider umilkł, niby zaklęty siłą niewidzialną. Przy wstępie do ratusza miejskiego stali uzbrojeni policyanci, z miną służbistą, sztywni, wyprostowani; u drzwi sali wyborczéj stało również dwóch pokaźniejszych.

Za stołem długim, zielonéin suknem przykrytym, zasiadła komisya i kilku ze starszyzny miejskiéj; przy drugim, mniejszym, był reprezentant rządowy, gwoli strzeżenia ustaw. Po kątach czekali już znaczniejsi z wyborców, ze świdrującém okiem, bystro skierowaném na twarze nadchodzących, co mieli głosy swoje dawać.

Głosowanie odbywało się we wzorowym porządku. Nic nie zakłócało spokoju.

Jeden po drugim wchodzili i dawali swoje głosy.

Wszystkie padają na kandydata narodowego.

Komitetowi pewni już wyboru,—nikt nie zdradza,—miny zatém coraz weselsze. Przecież w kraju naszym jest solidarność, gdy idzie o sprawę publiczną, narodową!

Żydzi jakoś nie nadchodzą jeszcze, żadnego nie widać starowiercy. Może zwątpiwszy o możliwości przejścia swojego kandydata, dali za wygranę, nie chcąc już nawet przychodzić : przy czytaniu bowiem ich imion odzywają się tylko raz w raz w sali głosy: „Nie ma!"

Po półtoragodzinném głosowaniu zjawiają się tu i owdzie inni z chrześcian, którzy dają głosy swoje na jakiegoś innego kandydata, lecz tym był znany tylko w mieście warchoł, źle widziany. Tego się nie ma co obawiać... mała jeno część za nim głosuje,—głosy nie będą przeto jeszcze rozstrzelone.

Wchodzi i pan Szmidzicki, bardziéj dziś sztywny, jakby stracił humor dawniejszy i pewność siebie; znajomych z komitetu nawet nie wita, i daje głos swój na... kandydata nowéj jakiejś partyi, na owego warchoła.

Wszyscy zgłupieli.

Co to się stało?... Najgłośniéj przecież krzyczał, że wyzwie każdego, ktoby zdradził, ktoby odważył się odstąpić sztandaru narodowego!.. Zali go kto przekupił, w celu, ażeby głosy były dziś rozstrzelone?... Trudno bowiem, ażeby ten nowy kandydat miał zwyciężyć! Tego nikt się nie obawia.

Nadchodzą powoli i żydzi, gromadami, starowiercy po większéj części, w atłasowych poważnych żupanach, i gawiedź uboższa, idąca ślepo za menerami synagogi. Dają głosy na swojego kandydata, Rebe Chaima Lichtstern.

Teraz coraz bardziéj zaostrza się sytuacya, bo wychodzi na wierzch nie ów warchoł, lecz prawdziwy kontrkandydat.

Atoli i z żydów niektórzy, bardziéj postępowi, dają głosy swoje na kandydata narodowego. To wzbudza zaufanie; są przecież, co nie odbiegli sztandaru; inni znów nawet nie przyrzekli pierwéj, mimo to głosują teraz solidarnie, na kandydata narodowego.

Zwycięstwo sprawy narodowéj pewne!

W tém pojawiają się inni, którzy dają swoje głosy na jakiegoś nikomu nieznanego kandydata. Ktoby to był?... Lecz tu go nie znają; nikogo to bardzo nie obchodzi, gdyż może to tylko rozstrzelić głosy izraelickie. Nie szkodzi, że pan Chaim dostał przeciwnika.

Atoli coraz więcéj wchodzi teraz izraelitów, i to całemi masami, pchają się do stołu—i również oddają głosy swoje na tego nieznanego jeszcze wczoraj kandydata.

Nareszcie i grubsze pokazują się już matadory finansowe, i ci oddają głosy swoje — o zgrozo! również na tego samego. Co to się znaczy?...

I pan Rozenkranc wchodzi, milczący, i cichszym, ale pewnym głosem, wymawia imię to samo.

Wszyscy osłupieli.

A gdy przyszło teraz do obliczenia głosów, pokazało się, że kandydat narodowy pozostał w mniejszości, i kandydat żydowski niedostateczną otrzymał ilość głosów, warchoł ów rozstrzelał tylko głosy chrześciańskie:—ale z urny wyszedł ów nowy kandydat, wczoraj jeszcze nikomu nieznany.

I zdziwiło to obie, dotychczas tak zawzięcie walczące z sobą partye.

Tyle pękło beczek, tyle się mów pięknych wypowiedziało, tyle było zapału szczerego lub tylko szumnego; z drugiéj znów strony, tyle modłów odbyto w synagodze, tylu za¡ arło się siebie dla wyznania swego i dla znanéj solidarności:—a to wszystko było dziś na nic!

Ha! I ktoby to był ten nowy kandydat?.. Niektórzy znali go, że był ze stolicy naddunajskiéj; byli nawet jacyś z nim zpowinowaceni i w tém mieście, lecz mało kto na to uważał.

Dowiedziano się teraz, iż był to jakiś doktór prawa, czy adwokat tamtejszy, mający wpływy w różnych sferach i umiejący robić interesa... Czyli zaś dla wszystkich, czy raczéj dla niektórych tylko—tego wcale nie wiedziano. Starowierców zaś zapewniano, że on, choć obcy i nosi się w stroju cywilizowanym i ma salony, — mimo to jest dobrym izraelitą, obchodzi sabat i uczęszcza do synagogi. A co do interesów izraelickich tych będzie on strzegł jak najlepiéj, gdyż tam go znają z niemałéj zręczności. Ci z żydów, którzy głosowali na pana Rebe Chaima, nie wierzyli temu bardzo; oni wprawdzie przyznawali, iż tamten będzie wspierał interesa, ale nie plemienne, jeno indywidualne, a szczególnie pana Rozenkranca i jego kliki.

Pan Rozenkranc może się teraz i sam nawet przenieść do stolicy naddunajskiéj, skoro zechce. Wszyscy zaś wiedzieli, że pan Rozenkranc dziś wyrośnie i będzie miał potężnego protektora i agenta w wielkiéj stolicy, kędy się toczą sprawy o miliony.

Ale jak to się przecież stało, że z urny ten przecież wyszedł kandydat?...

Zagadka tego w tém leży, iż większa część izraelitów, jako zajmująca się drobnym handlem lub lichwą, lub rozsiadła po karczmach i szynkach, obracając pieniędzmi grubszych ryb, w zupełnéj

jest od nich zależności; ci też ostatni dobrze o tém wiedzieli, nie wyjawiając zatém swego zdania, w stanowczéj chwili przeważyli.

Pod wieczór przeto, gdy wszystko już było pewném, rozesławszy swoich agentów, po prostu nakazali głosować na podanego przez siebie kandydata; innym znów przedstawiono, że on będzie obrońcą izraelickich w stolicy interesów. Większa zaś część poszła na ślepo, przymuszona,—i pan Rebe Chaim w ostatniéj chwili musiał się przekonać, że nie wielu pozostało na prawdę wierzących, iż tutaj chodzi o zagrożone wyznanie.

Atoli co się dziś stało z Rubenem i jego rodziną?... Za czém ci znów głosowali? Ruben, jako nic jeszcze nie posiadający, nie miał głosu przy wyborach, ale ojciec jego, choć prawie żebrak, lecz jako płacący podatek zarobkowy, a więc liczący się do obywateli, był wyborcą zupełnym. Ten starowierca szczery nie wiedział wprawdzie, dlaczego głosował na kandydata nieznanego,—jednak głosował. I głosowała cała jego rojnie rozrodzona lub z nim zpowinowacona rzesza krawców, szklarzy i blacharzy, choć oni wszyscy starowiercy i słuchający kahału... W tém zaś właśnie zagadka!

Wglądnąwszy jednak w ich stosunki prywatne, w życie pełne nędzy, z dnia na dzień, w pasywa ich długów, przechodzące aktywa zarobku, w stosunek nareszcie ich cały do kieszeni posiadających a nie znających pardonu,— zrozumiemy wszystko, co się stało.

VII.

W pierwszych dniach po wyborach, chodził Ruben, jakby zwarzony; na ulicy rzadko go było widać, a kiedy przechodził, mijał z pośpiechem znajomych... widocznie coś mu ciężyło na sercu... Był sam z sobą dziś w rozdwojeniu.

Nawet stary ojciec jego miał teraz gorszy humor; dawniéj, pracując ciężko, choć nigdy nie był zbytnie wesołym, na widok jednak syna zawsze rozjaśniało się pofałdowane starca oblicze, dzisiaj zaś, gdy przybył syn, mało nawet doń zagadał, na twarzy swéj mając jak gdyby wyrzut. A choć Nuchima mało co obchodziły wybory, i szedł głównie, jak podobni jemu pracownicy, za całą masą swoich, jednak tym razem i staremu rozjaśniło się nieco w głowie, że ich wszystkich użyto tylko za narzędzie. Dając głos swój i namówiszy do tego wszystkich swoich szwagrów i kumów, był przekonany, że daje głos na żyda, a on dał go na reprezentanta kilku interesowanych, którzy ich wprzęgli w jarzmo a teraz w większe jeszcze wprzęgną.

Ale czemu on to uczynił?... To ojciec zrobił dla syna.

Ruben był okiem w głowiem starego, kotwicą ratunku i całą nadzieją licznéj rodziny. Tego syna z uszczerbkiem własnym doprowadził do tego, iż może dziś zasiadać w kancelaryi pana Rozenkranca, iż pod protekcyą tego potentata i sam kiedyś zajmie stanowisko, które całéj rodzinie da pomoc; i temu synowi dziś ten sam protektor zagroził, że go wygoni, jeśli nie pójdzie za swym pryncypałem, wraz z ojcem swoim i całém tegoż szeroko rozgałęzioném kuzynowstwem. Stary się tego przeraził, i poszedł po woli silniejszego.

Syn miał jeszcze więcéj może powodów, niżeli ojciec; Ruben wiedział, że stawianie oporu mecenasowi rozdzieli go na zawsze z ukochaną serca. Byłby przebolał pierwsze, lecz drugiego nie mógł przeboleć. I poszedł za swoim mecenasem.

Na drugi dzień po wyborach poznał, iż źle zrobił, odstąpiwszy w słabéj chwili sztandaru narodowego, i gryzło go to we wnętrzu. Przekonał się teraz, iż w całéj téj sprawie nie chodziło im o żadne zasady, nie kwestya wyznaniowa była tu w grze jakiejkolwiek, lecz po prostu interes, i tylko interes.

To mu dało wiele do myślenia: Ruben dziś sposępniał.

Kochał on Amalią, lecz wszedł w kolizyą z samym sobą i ze wszystkimi dobrze myślącymi. Jakże im się teraz na oczy pokaże?... Postanowił jednak, o ile będzie w jego mocy, w przyszłości to naprawić.

W dniach następujących, choć siedział w kancelaryi pryncypała, jednakowoż mało się doń odzywał pan Rozenkranc, gdyż nie miał do niego interesu; oprócz zwykłych poleceń kancelaryjnych nie mówił doń o akcyi wyborczéj, czego najwięcéj obawiał się Ruben. Pan Rozenkranc nie mówi nigdy o jednéj i téj saméj rzeczy dwa razy, zwłaszcza gdy już niema żadnéj potrzeby: Ruben zrobił swoje, może teraz odejść do codziennéj swéj służby.

Atoli młody długo nie mógł wytrwać, by się nie zbliżył do panny Amalii, wobec któréj nie miał również śmiałego oka; obawiał się bowiem, żeby mu ona nie wyrzuciła, iż postąpił sobie nie jak mężczyzna i patryota. Ruben jednak daremnie się obawiał, panna Amalia nie miała znów zdań tak wyrobionych, ażeby mu za złe wzięła, iż nawet jéj ojcu w chwili stanowczéj nie postawił opozycyi. Gdy się więc zbliżył, poznał, że w stosunku do niéj wcale nic nie stracił.

I byli napowrót na dawnéj stopie.

Pewnego jednak razu zawołał go pan Rozenkranc, i zapytał się wyraźniéj, co to ma znaczyć, iż on teraz tak często przesiaduje z panną Amalią. Czyliż on nie wié, iż panna może na tém w oczach

ludzi dystyngowanych stracić, jeśli za długo z wolnym pozostaje mężczyzną. Ruben zdziwił się, nie mogąc pojąć, coby to znaczyło, gdy przecież ojcu stosunek ten nie mógł być tajnym; a choć nigdy o tém nie mówiono, przecież przed wyborami dosyć wyraźnie dawał mu mecenas do poznania, że nic przeciw temu nie ma. Sądził zatém młodzieniec, że pan Rozenkranc w tym zamiarze to mówił, ażeby on wystąpił otwarcie i krok uczynił dzisiaj stanowczy.

Pan Rozenkranc zmierzył go wtedy takim wzrokiem, jakiego on nigdy jeszcze u swego pryncypała nie widział; potém zaś śmiać się zaczął mecenas niezdrowym jakimś śmiechem, że po Rubenie przechodziły ciarki. Zamiar syna Nuchimowego zdawał się być tego rodzaju dla pana Rozenkranca, że on nie uważał nawet za stosowne, by się unieść jakimkolwiek gniewem: on podeptał młodzieńca samym już śmiechem swoim. Następnie nic nie mówiąc, postąpił ku biórku, i obliczywszy mu resztę jeszcze należytości, wyjął parę banknotów, a rzuciwszy na stół, dodał tylko, iż rachunek z nim już skończony, i może sobie odejść. Dependentów zaś z aspiracyami matrymonialnemi nie potrzebuje.

Młodzieniec stanął, jak piorunem rażony.

Pan Rozenkranc wskazał mu tylko ręką na pieniądze, dając znak, żeby już zakończył.

Ruben, jakby teraz się ocknął, spojrzał z oburzeniem na swego mecenasa, a nie tknąwszy banknotów, wyszedł pełen rozpaczy i goryczy w sercu. Pan Rozenkranc późniéj zaś odesłał mu należytość do domu, ażeby raz już z nim został zkwitowany. Zdało się teraz Rubenowi, że go pali we wnętrzu. Więc i on był tylko narzędziem w ręku spekulanta?...

W domu Nuchima byli wszyscy powarzeni, ojciec i matka i stara babka, która wnuka tak kochała. Ojciec wzdychał i lamentował i przez mokre źrenice patrzał na igłę swoję, która tym razem była mu ciężarem. On stracił dziś wszelką nadzieję.

Młodzieniec miał tylko słowa pogardy dla pana Rozenkranca, lecz Amalia przecież go nie zdradziła?.. Z jéj strony on nic jeszcze nie zaznał złego.

Starał się przeto koniecznie z nią widziéć, w obcym domu, gdzie się go nawet nie spodziewano. Ruben był pewnym serca dziewczyny. Lecz teraz musiał doświadczyć, iż panna Amalia wcale ojcu opozycyi stawiać nie myśli, i dość jasno a z całą dawną naiwnością mu powiedziała, że na niego wcale nie jest złą i taką zawsze pozostanie, pamiętna na dni, które w wolnych swoich chwilach z sobą przepędzali; ale czyż zaraz wszystko prowadzić ma do małżeństwa?... Ona uważa się sama za zbyt jeszcze młodą, by o tém już teraz myśléć mogła; śmiała się nawet wesoło z naiwną kokie-

teryą, iż on może miéć zaraz takie poważne myśli, jakby stary pedant,—ona zaś pedantów nie lubi.

Ruben oniemiał na takie słowa. Poznał tylko, że twardą przeszedł tu szkołę. Próżność naiwną panny i chętkę romantyczną wziął za gorące przywiązanie. Późniéj jednak dowiedział się pan Ruben, iż panna Amalia nie była tak bardzo naiwną, jak to on myślał. Rodzice pokazali jéj inny związek, również przyjemny, a tém przyjemniejszy, że tam liczono na krocie... a skoro dziewczynie wytłómaczono, że tu będzie miała na wszelkie wygody i zbytki, a gdzieindziéj musiałaby chyba siedziéć w kuchni i przy dzieciach, jako inne, które nie mają mężów krociowych, naiwna wówczas dziewczyna nieco się zamyśliła, ale się prędko zdecydowała. Przy całéj naiwności miała w sobie coś ze krwi ojcowskiéj.

Ruben myślał, że na tém już koniec nieszczęściom jego i rodziny. Wkrótce się dowiedział, że ojciec nie mogąc się dziś z niczego uiścić, otrzymał niespodzianie nakaz płatniczy w sprawach wekslowych.

Syn zastał przerażenie ogólne w domu ojca. Lecz nie opuściwszy starego, otarł mu łzy i pognał czémprędzéj wstrzymać niebezpieczeństwo.

Wszedł do domu pana Rozenkranca ojca, którego był pan Nuchim dłużnikiem; lecz tu się przekonał, że stary wcale nie myśli się cofnąć. Na wszelkie jego przedstawienia wierzyciel zostawał głuchym. Dał mu do poznania, że już długo czekał, kapaniną odbierając, i to same tylko procenta, kapitału zaś nic jeszcze nie otrzymał; dłużéj dziś czekać nie myśli.

— Wszak pan Rozenkranc jest izraelitą?—zawołał młodzieniec, wydobywszy ostatni argument, jakim chciał serce żyda zmiękczyć.— Nie będzie przecież do rozpaczy doprowadzał drugiego izraelity?...

— Nu, co to?... Naco ja mam go do rozpaczy doprowadzać?... Ja chcę tylko moje *pieniądzów*... Gdy chodzi o *pieniądzów* — młody pan Nuchim, choć młody, wiedziéć przecie musi, że w *interes* nie ma *pokrewieństwo*, nie ma *przyjacioły*... Nu, czy ja żydowi mam *swojego* darować?.. Czemu?.. że on żyd?.. To ja mam moje dzieci, co także są żydami, krzywdzić?...

— Ah! pan ich nie ukrzywdzisz, jeżeli trochę będziesz miał cierpliwości... Pańskie dzieci nie umierają z głodu, gdy jego giną tam w izbie ciasnéj, ciemnéj.

— Nu, czy ja im mam jeść dawać?... Czy to do mnie należy?...

— Pan im nie dasz jeść, i my tego nie żądamy. Ale pan poczekasz czas niejaki... a ja sam oddam mu za ojca... Tymczasowo dam na konto, te, co mam dwadzieścia i pięć...

— Nu, co to jest... dwadzieścia i pięć?.. Ja tego nie *będę przyjął*... To chyba na procent... na *Gerichtskosten*... To i na *koszt tego* nie wystarczy.

— Ja dam z tego część panu na procent, część zaś będzie na kapitał.

— Czy ja będę sam za ojca jego płacił? — mruknął stary.— A pan Ruben skąd odda?.. Dzisiaj, nu, nic nie ma... No, ja przyjmę te dwadzieścia i pięć... bo ja litościwy, ale to będzie procent, będzie na *koszt*... nu, co mam robić! poczekam czternaście dni...

Ruben poznał, iż tu nie ma co robić; a nie chcąc zasobu ostatniego wyrzucać w błoto, ażeby sprawa po czternastu dniach tak samo stanęła, jak dzisiaj, — odszedł z pogardą dla tego prawego izraelity.

Do swego dawnego pryncypała zaś iść nie myślał, chociaż wiedział, że tu są w połowie i jego pieniądze.

Gdy wrócił do ojca, z oburzenia stary trząść się zaczął, nie mogąc pojąć, że dziś żyd wyciska ostatnie z żyda. Atoli on był jeszcze pewnym, iż się to da jakoś załagodzić... bo przecież żyd bogaty nie będzie egzekwował a fantował żyda ubogiego!

Czy pan Nuchim tu dobrze sądził? Po kilku dniach przekonał się, że się omylił, gdyż pewnego dnia wszedł niespodzianie woźny sądowy z pełnomocnikiem pana Rozenkranca ojca i dwoma taksatorami. Pan Nuchim zrozumiał, co to znaczy.

Przerażenie i lament powstały w domu biednego żyda. Dzieci podniosły krzyk ogólny, a matka krzykiem i płaczem gwałtownym usiłowała zmiękczyć twarde serca egzekwujących.

Gdy poznała, iż wszystko daremne, pognała czémprędzéj szukać syna, by on dał im tu jaką radę.

Ledwo odszukać mogła Rubena. A kiedy on przybył, było już wszystko zafantowane. Brano się teraz do opieczętowania... Ruben przedstawił im, że zaraz przyniesie, co będzie mógł... Niechaj się wstrzymają!... Oni przystali na zwłokę krótką, póki on nie powróci.

I była chwila niepewna: gdy jedni lamentowali, trzęsąc się na całém ciele, a drudzy z założonemi w kieszeni rękoma spokojnie a zimno czekali na powrót młodzieńca.

Ruben pobiegł czemprędzéj do pana Rozenkranca ojca, by zmiękczyć jego serce, lecz tu poznał, iż wszystko daremne... Dla wyratowania ojca, przeniósł dziś na sobie, że wszedł do pana Dawida Rozenkranca, lecz tu otrzymał lakoniczną tylko odpowiedź, iż on się takiemi interesami nie trudni. Jeśliby tam były i jego pieniądze, toć on dał zupełne pełnomocnictwo panu Rozenkrancowi ojcu. W żadne zaś porywy wspaniałomyślności on się nie bawi, gdyż pan Ruben winien wiedzieć, że kto jest prawnikiem, ten się trzyma tylko litery prawa.

Pełen goryczy a pogardy wyszedł z domu tego młodzieniec.

Z rozpaczą w piersiach, z obliczem ponurém wracał do domu ojca, gdzie zastał oczekujących jego powrotu.

Dawał, co miał ostatniego, lecz teraz zabierano się już do wynoszenia rzeczy. Lament doszedł do ostatnich granic.

Wtedy stara babka, jakby natchniona ostatnią jeszcze myślą, poprosiła, by się jeszcze chwilę wstrzymano, zanim ona nie wróci.

Z lekceważeniem na to spojrzano tylko, wynosząc rzeczy jedne po drugich.

Stara skierowała swoje kroki do mieszkania państwa Dulębów.

Tu z pewną obawą weszła w te progi, prosząc, by jéj pozwolono widziéć się z samą panią. Nie chciano jéj z początku wpuścić, lecz przypadkiem usłyszała sama pani, iż jakaś staruszka domaga się z nią widziéć, tož przywołała ją.

Płacz staréj kobiecie zrazu nie pozwolił dojść do słowa... ledwo co wyjąkać mogła:

— Jasna pani czy poznać dziś zechce starą?...

— A któż jesteś, starowinko?...

— Jasna pani nie pozna dziś pewnie Rywki, żony Abramka... ale jasnéj pani nieboszczka matka znała ją dobrze....

— To Abramkowa?...

— Jasna pani mnie pamięta?...

I tu spojrzała ze współczuciem, dodając: — Taka mała była wtedy!... Ale ja jasne państwo zaraz poznała, gdy mój Nuchim mi mówił, dla kogo on robi... dla jaśnie pana... Ja nie chciała przychodzić, bo sobie myślała... Jasna pani nie pamięta Abramkowéj... Prawda, postarzała się?... Bo to dużo lat temu, i u nas biéda, u nas nieszczęście... Dzisiaj... ach! czegom ja się doczekała?!...

I tu zaczęła opowiadać całe swoje i swoich nieszczęście.

Pani Dulębina słuchała ze współczuciem; przypominała sobie bowiem dni one, kiedy jeszcze była na wsi dzieckiem... wieś zaś jéj zawsze była milszą, niżeli dzisiejsze miasto... a tam teraz siedzą obcy w ich dawnym dworze.

— Cóż ja ci pomogę dziś, kobiéto?... Ale poczekaj!.. pójdę do męża swojego... zrobimy, co będzie można.

— Ah! mnie Bóg mój powiedział, że moja pani będzie słuchała nieboszczki matki swojéj, i nie da nam upaść... Bo matka, to była święta kobiéta!—zawołała ze szczerém uczuciem.—Moi państwo!.. dawne to jeszcze było państwo!...

Izraelitka została w pokoju, modląc się po cichu do Boga tego, co jest ojcem zarówno żydów, jak i chrześcian!

Pani Dulębina weszła do pokoju męża i zaczęła mu opowiadać.

— Co? ten Nuchim?... To zięć waszych tam Abramków?.. Także go znam... Bo mój krawiec... Znam fuszera. Czy nie głosował na wyborach przeciw nam?.. Ja go będę za to jeszcze wspierał?..

— Ah! co on tam wié o wyborach, o całéj polityce!.. Poszedł za innymi.

— Ha! skoro poszedł, niechajże idzie i teraz!... Ja go mam za to ratować?.. Winien mi jeszcze tyle! brał naprzód pieniądze!.. ‚Niechaj wpierw odrobi, a potém się zkwitujemy!

— Ależ, mężu! Czyliż nam wypada... pamiętać to jemu?.. Gdybyś wiedział, jak oni tam mrą z głodu!... Dzieci biédne wyrzucono z chaty na dwór!..

— Czy ja mam je do siebie wprowadzać?... Jam mam-ci żywić jeszcze oponentów naszych przyszłych?.. A to mi się podoba!...

— Mój mężu! Ty sam w to nie wierzysz, żeby on był tu winien... Tyś sam przecież mówił, że twój krawiec, to choć żyd, ale nie najgorszy... Abramkowa znów była moim rodzicom na wygodzie... nieboszczka matka moja lubiła ją..."

— No, wasza Abramkowa—to i Abramkowa... Ale to nie Abramkowa, ani Abramko wasz? To przecież Nuchim?.. Co nas to ma obchodzić!.. On mnie za tamto winien... naprzód dawałem, bo gadał iż u niego biéda... I czekam, zanim odrobi... tać go nie śpieszę... bo mi i tak teraz nie bardzo potrzeba... A ja mam znowu dawać... i na jakie to konto?.. On odrobi?... Ja i tak nie chcę tego!... Zmieniłbym... bo fuszer nie robi podług mody...

— Ah! mężu!..

— Ale, pal go dyabli!.. Nie o mnie chodzi... Chłopcy moi i tak chcą modniejszego krawca.

Jak zaczęła zaś żona wystawiać mężowi, udobruchał się nareszcie, że dał naprzód na odrobek trzydzieści złotych reńskich, lubo nie żądał jego natychmiastowéj roboty... czyni to, jak mówił, tylko dla żony swojéj.

Ta, rada ze skutku, wróciła do swego pokoju, i tu dołożyła jeszcze ze swoich dwadzieścia. Dała to teraz błogosławiącéj ich kobiecie, dodając przytém, że odrobi zięć, kiedy będzie mógł... a chociażby wszystkiego nawet nie odrobił—oni przez to nie zubożeją... A niechaj i Nuchimowa potém przyjdzie, znajdzie się jeszcze i dla dzieci z mąki, krup, ze starzyzny może jakiéj, bo dzieci nie będą żyły z tego, co po oddaniu długu pozostanie.

Stara chciała paść do nóg „jasnéj pani", lecz ta do tego nie dopuściła. Starowina z uniesienia wdzięczności ledwo co nie omdlała. Musiała usiąść i nieco się wydychać, wiedząc, iż z wielkiego wzruszenia takby nie doszła do domu.

Wróciwszy do Nuchimów, zastała tu wszystko już na kołach, gotowe do wywiezienia; pozabierano nawet cudze suknie, które krawiec miał w robocie.

Płacz był ogólny i rozpacz. Ruben sam nie mógł dać tu rady. Wchodził w jakieś układy... ale to sprawy nie wstrzymało... on nie mógł tu końca wywieść, sam będąc w trwodze wielkiéj a oburzeniu.

Lecz stara wracając, zdala już wołała:—A ja nie mówiła, że moi państwo dadzą nam poratowanie?.. Oni sobie przypomną Abramków... i nie dadzą upaść ich dzieciom. Oni wyratują żyda!..

Nuchim stał z otwartémi oczyma, nito senny, i nie mógł nic z tego pojąć z początku. Ruben teraz ożył. Do przyniesionych pięćdziesięciu złr. zebrał on jeszcze dwadzieścia, dodał do tego zegarek swój, i zaspokoił całkiem pretensyą.

Rodzice jego zostali uratowani.

Ojciec na to patrzał—i nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Zdawało mu się, że to sen. Żyd go dziś egzekwuje a chrześcianin ratuje.

Ruben zaś przebył w tych nie wielu dniach niemałą szkołę życia.

Po tém wszystkiém rzekł do siebie:

— I oni jeszcze dziś myślą, że ludzi łączy i rozdziela wyznanie?..

Juliusz Turczyński.





POLITYCZNE I SPOŁECZNE OBYCZAJE
XVIII WIEKU
W POLSCE I W ANGLII.

II.

„W żadnym kraju i w żadnéj epoce niemasz przykładu sądownictwa, sprawującego swoję władzę z równém zapomnieniem sprawiedliwości i wstydu....“ (1). Słowa te angielskiego historyka odnoszą się wprawdzie do czasów Karola II-go, ale w r. 1760 piszący Fielding zapewnia poważnie w jednym ze swoich pamfletów, że wié o jednym tylko przypadku, w którym ręczyć można za bezstronność sędziów angielskich, a jest nim ten, kiedy nie mogą oni nic dostać ani od jednéj, ani od drugiéj strony (2). Wyraz „*Trading Justices*“ (handlujący sędziowie) przechował się do końca wieku XVIII w powszechném użyciu i z bardzo szerokim sensem (3). Ta strona angielskich stosunków wewnętrznych pozostaje zresztą ciemną ich stroną nawet za dni naszych. Szatańska juryzdykcya kasacyjna, o któréj interwencyi na trybunale lubelskim podanie przechował jeden z naszych powieściopisarzy, znalazłaby dziś jeszcze pole do popisu nad brzegami Tamizy. Nigdy zaś w naszych stosunkach, nadużycia władzy sądowéj nie mogły mieć téj, co tam doniosłości zwłaszcza w zakresie juryzdykcyi kryminalnéj. Sprzeciwiał się temu i zakres atrybucyi przysługujących naszym trybunałom i charakter prawodawstwa, i wreszcie charakter ducha narodowego, narodowych instynktów naszych, tak często, tak łatwo piętnowanych

(1) Lecky, I, 7. — (2) Ob. jego portrety urzędników sądowych w „The Coffee-house Politician“ i w „Amalia.“ — (3) Lecky, I, 484.

cechą barbarzyństwa. Zobaczmy, jak w świetle dzisiejszych pojęć o cywilizacyi, wygląda ta strona tamtejszych stosunków. Angielskie prawodawstwo kryminalne XVIII wieku nie zna tortury i arbitralnego uwięzienia, ale, jak słusznie zaznacza nowoczesny historyk (1), na tém kończy się wszystko, co na jego korzyść powiedziéć można. Przewiduje ono natomiast nie mniéj jak 160 przestępstw podlegających karze śmierci a cyfra czterdziestu do pięćdziesięciu wyroków na gardło, wydanych w ciągu jednéj kadencyi kryminalnego jury (które zasiada co sześć tygodni), stanowi przypadek zwyczajny. W r. 1732 cyfra ta sięga siedmdziesięciu w londyńskiéj juryzdykcyi (Old Bailey) (2); w małém zaś, owocześnie, miasteczku Cork siedmnastu przestępców idzie jednego dnia na szubienicę! Egzekucye stanowią upodobany przedmiot ludowego widowiska, a nawet ludowéj zabawy. Skazani udają się na miejsce stracenia w świątecznych swoich strojach, w białych rękawiczkach i letnią porą, z bukietami u piersi. Jeżeli zachowują się mężnie i okazują pogardę dla śmierci, huczne oklaski tłumów towarzyszą im w pochodzie przez ulicę i na rusztowaniu. Dzięki dostarczaniu im gorących trunków, większość tych biedaków ubiega się o ten ostatni aplauz, przybierając pozór bohaterskiéj obojętności lub nawet wesołego humoru (3). Przestępcy głośniejsi wystawiani bywają nadto na widok publiczny w więzieniu, przed egzekucyą, i pokazywani za pieniądze! Dochód z tego źródła wynosił raz w Newgate 200 funtów szterlingów (4). Ostatni zaś akt ponurego igrzyska, tyle budzącego ciekawości, nie kończy się zawsze na prostém zadzierzgnięciu stryczka. Zbrodnia zdrady stanu pociąga za sobą karę polegającą na powieszeniu, odcięciu powieszonego zanim zdążył skonać, rozpłataniu mu brzucha i spaleniu wydobytych zeń wnętrzności przed jego oczami. Kara ta nie stosuje się do kobiét, ze względu na wstydliwość: zastępuje ją spalenie żywcem, stosowane aż po rok 1750. Wstydliwość nie sprzeciwia się zresztą publicznemu ćwiczeniu przestępczyń, przywiązanych z tyłu woza ciągnionego przez ulicę, który to rodzaj egzekucyi praktykuje się jeszcze w r. 1820. Tortury wykluczone są z prawodawstwa, ale więzień oskarżony o przestępstwo, pociągające za sobą karę śmierci, a niechcący bronić się, podlega prawu, które przepisuje, aby rozebrawszy go do naga, położono go na wznak w ciemnym pokoju i nałożono mu na piersi tyle kamieni, ile trzeba dla powolnego przyduszenia. W roku 1741 prawo to zostało jeszcze zastosowaném do obwinionego, który

(1) Lecky, I, 505. — (2) Andrew's Eigteenth Century, str. 271. — (3) Muralt. Letters on the English Nation, str. 42—44. — (4) Harris. Life of Hardwicke, I, 158.

jednak w ostatniéj chwili godzi się na wyznaczenie adwokata (1). Więzienia zresztą same przez się w tym stanie, w którym się znajdują, ujść mogą, niezależnie od takich wyjątkowych praktyk za bardzo wystarczające narzędzie tortur. W r. 1729 głośny filantrop Oglethorpe wyjednywa, po długich usiłowaniach, od parlamentu urzędową ankietę nad stanem dwóch londyńskich więzień *(The Fleet* i *The Marshalsea)*, rozciągnioną następnie do całéj organizacyi więziennéj. Pokazuje się, że urząd dozorcy nad pierwszém ze wspomnianych więzień podlega regularnemu wystawieniu na sprzedaż, że niejaki John Huggins nabył ten urząd za 5,000 funtów od lorda Clarendon'a i odprzedał go za tę samą sumę niejakiemu Bambridge w r. 1728; że w dodatku do przewidzianych prawem dochodów z tegoż urzędu, kolejni ci nabywcy zwykli wyciskać od więźniów znaczne opłaty; więźniowie zaś, nie chcący lub nie mogący ich uiszczać, stają się ofiarami straszliwych nadużyć. Zamykani np. bywają w izbie zapełnionéj nieznośnym zaduchem, bo pozbawionéj wszelkiego przewiewu, a umieszczonéj nad wspólném miejscem ustępowém i służącéj także za trupiarnię, gdzie składają się ciała więźniów aż do wypełnienia legalnych formalności. Pamiętać wypada, iż między więźniami w ten sposób traktowanymi jest znaczny procent uwięzionych jedynie za długi. W r. 1759 obliczają tę ostatnią kategoryą więźniów na 20,000 osób (2). Ankieta z roku 1729 zaznacza przykład biédnego żołnierza, oskarżonego fałszywie o złodziejstwo, uniewinnionego, ale aresztowanego natychmiast po wyroku w charakterze dłużnika, z tytułu nieuiszczonych opłat więziennych, (za czas aresztu poprzedzającego uniewinnienie). W Dublinie znaleziono więźnia, który mając nogę złamaną, przeleżał dwa miesiące w łóżku zalewaném peryodycznie przez kanałowe ścieki i gnijącém pod nim! Ankieta zaś, o któréj mowa, przyniosła owoce takie, jak większa część ankiet parlamentarnych. W r. 1741 jeszcze słychać o dwóch więźniach zmarłych z głodu w jednén z więzień Dublińskich (3). W r. zaś 1750 specyalny rodzaj gorączki, będący wytworem niegodziwych warunków hygienicznych, narzuconych więźniom *(jail fever)*, grasuje tak silnie w Newgate, że podczas sesyi jury kryminalnego przyprawia o śmierć dwóch sędziów, lorda-majora, jednego z aldermanów i znaczną liczbę niższych urzędników.

Pewna twardość uczuć, pewien brak tych czulszych instynktów natury ludzkiéj, z których właśnie składa się jéj tak nazwana ludzkość, należą po dziś dzień do znamiennych rysów charakteru

(1) Andrews, str. 285—286. — (2) Lecky, I, 502. — (3) Tamże.

angielskiego. Ale w wieku XVIII narodowy ten charakter nosi na sobie piętno prawdziwéj srogości, znajduje swój wyraz w sądowych, administracyjnych i prawodawczych nawet pomnikach, które czyniłyby prawdziwą zagadkę z późniejszéj cywilizacyjnéj roli angielskiego społeczeństwa i dzisiejszego jego stanowiska w rodzinie europejskiéj, gdyby przyjętemi być miały w charakterze prejudykatów historycznych, z bezwzględnością równą téj, jaka stosowaną bywa do naszéj przeszłości. Znane są w naszéj historyi spółczesnéj przykłady surowości, okrucieństwa nawet. Talent znakomitego, choć niekoniecznie szczęśliwie pod tym względem natchnionego powieściopisarza, udzielił im w ostatnich czasach smutnego rozgłosu. Ale odnoszą się one do okoliczności wyjątkowych; mają charakter represalii wojennych; nie należą do żadnego systematu; nie zostają nigdy uświęconemi żadnym artykułem prawa. Ogniem i mieczem na Ukrainie wojujący Jarema jest tylko żołnierzem, i najczęściéj żołnierzem na własną rękę, bez legalnego mandatu. Prawodawcami natomiast są angielscy ujarzmiciele Irlandyi w XIII w. Ustawa z r. 1719, mocą któréj *niezarejestrowani* księża irlandzcy podlegają piętnowaniu na twarzy rozpaloném żelazem, przechodzi bez opozycyi przez irlandzką izbę gmin. Wydaje się zaś za łagodną członkom miejscowéj rady stanu. W ciągu tegoż roku, uchwalony w tym sensie bill odesłany zostaje dla potrzebnéj ratyfikacyi do Anglii, z poprawką zastępującą karę piętnowania karą kastracyi! Dopiéro opozycya lordów irlandzkich uchyla ten ostatni wniosek (1).

III.

O moralnym stanie społeczeństwa, odpowiadającym temu kształtowi politycznych, administracyjnych i prawodawczych stosunków, łatwo powziąć wyobrażenie. Ogólne nadwérężenie pojęć etycznych, ogólne rozpasanie najnikczemniejszych instynktów — oto jego cecha. Rozwiązłość obyczajów nie napróżno świeci z góry ponętnym przykładem. Nietylko w publicznem ale i w prywatném życiu Walpole pełni przez lat dwadzieścia urząd koryfeusza. „*Quand Auguste avait bu, la Pologne était ivre*“, powiedziano o fatalnéj w dziejach naszéj epoce. Epokę, uderzającém do téj zbliżoną podobieństwem, otworzyła w historyi angielskiéj dynastya hanowerska. Historycy miejscowi pozostają w niezgodzie co do pochodzenia wstrętnego nałogu, będącego po dziś dzień, jak się wyraża je-

(1) Froude, English in Ireland, str. 546—557.

den z nich, „naczelną klątwą angielskiego życia“ *(the master curse of English life)* (1). W r. 1581 piszący Camden (2) zapewnia, że za dni jego nałóg ten świeżym jest jeszcze pomiędzy jego ziomkami; że ci ostatni uchodzili długo za najwstrzemięźliwszych z pośród narodów północy, i dopiéro z wojen w Holandyi prowadzonych wynieśli upodobanie do gorących napojów. Niemieckie źródłosłowy wielu wyrażeń, odnoszących się do picia, zdają się udzielać prawdopodobieństwa temu twierdzeniu tak, jak i w naszéj polskiéj mowie uchodzi słusznie za wskazówkę przejętéj w tym względzie od sąsiadów zarazy. W każdym razie rozwój zaszczepionéj w ten lub ów sposób choroby jest tam, w Anglii, niezrównanie szybkim. Szekspirowski Jago stawia już Anglika na pierwszém miejscu między europejskimi pijakami (3). W r. 1657 zaś, nieco hyperboliczny wprawdzie pisarz woła: „Zdajemy się być zalani gorącemi trunkami, albo być pijaną wyspą. Pijemy, jak gdybyśmy byli prawdziwemi gąbkami... albo mieli tunele w gębach naszych...“ (4) Jednak dopiéro z początkiem XVIII wieku choroba przybiera rozmiary klęski społecznéj, rozmiary, które śród naszego polskiego społeczeństwa nigdy, powiedziéć to można śmiało, dosięgniętemi nie zostały. Za króla Sasa Polak jadł, pił i popuszczał pasa, ale nigdy ani za króla Sasa, ani wcześniéj, czy późniéj, nie zapijał się na śmierć, przynajmniéj gromadnie. Pomiędzy najzapamiętalszymi nawet z naszych pessymistów, nie zdobył się żaden historyk na oświadczenie, że uwzględniając wszystkie jego następstwa, rozpowszechnienie się nałogowego picia *dżynu*, przypadające mniéj więcéj na trzeci dziesiątek ośmnastego wieku, uchodzić może za fakt najdonioślejszy w dziejach tego stulecia, „przewyższający o wiele ważnością swoją czysto polityczne lub militarne zdarzenia téj epoki“ (5). Tak doniosłą zaś odpowiedzialnością obciążony napój zastępuje tylko w upodobaniach ludowych miejsce piwa, którego konsumcya i tak już była przekroczyła oddawna granicę umiarkowanych potrzeb. W roku 1866 roczny wyszynk gambrynusowego płynu wyniósł 12,400,000 beczek, przy ludności nie przenoszącéj 5,000,000. Teraz produkcya alkoholu obliczona na 527,000 gallonów (6) tylko w roku 1684, dochodzi 2,000,000 w 1714, 3,601,000 w 1727 i 11,000,000 gallenów w 1750 roku. Szynkarze wywieszają nad drzwiami swemi szyldy oznajmiające klientom, że za jednego penny mogą upić się,

---

(1) Lecky, I, 476.—(2) History of Elisabeth.—(3) „In England they are most potent in potting. Your Dane, your German and your swag-bellied Hollander are nothing to your English.“ Othello. Akt II, scena 3. — (4) Malcolm. Manners and Customs of London. I, 286. — (5) Lecky, I, 479. — (6) Gallon = 4,5 litrów.

a za dwa penny upiją się na śmierć i dostaną słomy bezpłatnie. Jakoż alkierze wysłane słomą oczekują amatorów. W r. 1750 lekarze londyńscy zaznaczają 14,000 przypadków chorób, bezpośrednio z nadmiernego użycia *dżynu* powstałych a po większéj części nieuleczalnych. W roku 1751 Fielding zapewnia, że ów *dżyn* stanowi główny „pokarm" więcéj niż 100,000 osób z pośród ludności stołecznéj, i przepowiada, że za dwadzieścia lat, jeżeli nie będzie obmyślony sposób zaradzenia złemu, nie wiele pozostanie się z ludu pospolitego dla konsumowania produkowanych trunków (1). Złe nie ogranicza się zaś bynajmniéj do ludu pospolitego. Wiemy o Walpolu i o jego politycznym antagoniście Bolingbroku, przechowało się podanie o Oxfordzie, skądinąd nawet w prywatném życiu szacownemi celującym przymiotami, że nierzadko pojawiał się przed samą królową w stanie nietrzeźwym. Najpierwszy z należących do téj epoki moralistów, Addison, uchodzi w spółczesnych pamiętnikach za hołdującego także fatalnemu nałogowi. Podejmowane już od roku 1736 środki zaradcze, w formie ustanowionéj i podwyższanéj ciągle akcyzy, pozostają bezowocnemi. W roku 1751 dopiero przedsiębrane przez Pelham'a obostrzenia okazują niejaką skuteczność.

Z pijaństwem w parze idzie szulerka, ogarniająca nietylko sferę arystokratyczną ale i masy ludowe, za pośrednictwem szeroko już teraz rozwiniętéj gry giełdowéj i rozpowszechnionych loteryi. Płeć, piękna nawet ulega jéj powabom. Miss Pelham, córka dopiero co wspomnianego ministra, wymienianą bywa między najgłośniejszymi szulerami swojego czasu. Profesor wista spotyka się z nauczycielem tańca w wykwintnych buduarach. Lady Cowper czyni wzmiankę w swoim dzienniku o przyjęciach dworskich, na których najmniejsza stawka wynosi 200 gwinei. Genialny Chesterfield trawi nocy całe przy zielonym stoliku. Addison ugania się za wygranemi loteryjnemi. Najpiękniejszy z mostów na Tamizie, Westminster-Bridge, jest pomnikiem téj fazy życia narodowego : złożyły się przeważnie na jego wybudowanie dochody z loteryi. Z takichże samych dochodów powstała w r. 1753 suma, za którą nabyte były Sloanowskie zbiory i Harleianowskie rękopisy : pierwszy początek dzisiejszego British-Museum.

Rozpusta we wszystkich kierunkach i formach, w niedorównaném nigdzie może, ale w spółczesném naszém życiu z pewnością wszelką niedościgniętém rozpasaniu—oto charakterystyczne znamię téj epoki angielskiego życia. W r. 1712 klub, złożony z młodych

---

(1) W Pamflecie p. t. On the late Increase of Robbers.

ludzi, należących do najwyższych sfer towarzystwa, którzy przybierają nazwę *Mohocks*'ów, obiera sobie jako rozrywkę nocne wycieczki po ulicach w stanie nietrzeźwym, mające na celu napastowanie przechodniów i poddawanie ich najniegodziwszym zniewagom i okrucieństwom. Jedna z urozmaicanych przemyślnie form téj zabawy arystokratycznéj polega na tak zwaném „głaskaniu lwa", to jest zmiażdżeniu nosa nieszczęśliwéj ofiary i wyłupienia jéj oczu palcami. Druga na wywracaniu napotykanych kobiet do góry nogami i pastwieniu się nad obnażonemi w ten sposób członkami. Inna jeszcze na wsadzaniu otyłych matron do beczek od piwa i staczaniu takowych po stroméj i kamienistéj pochyłości (na *Snow Hill*). Między należącymi do bandy wymienianym jest syn jednego z biskupów, między aresztowanymi w r. 1715 znajduje się młody baronet (1). Ale aresztowanie wszelaklch złoczyńców jest rzadkim wypadkiem. Konstablowie nie łatwo odważają się na zastąpienie drogi szalejącym *Mohocks'om*. Nierzadko padają sami ofiarą i wracają do kurdygardy zbici niemiłosiernie, jeżeli nie z obciętemi nosami. Mała zresztą liczba tych stróżów porządku i bezpieczeństwa publicznego składa się głównie, jak opowiada Fielding, „ze starych wycieńczonych biédaków, nie mogących inaczéj zarobić na chléb i niezdolnych nawet do podniesienia kija, stanowiącego ich jedyne uzbrojenie;" pijanych zresztą często, jak zapewnia Horacy Walpole, i wtedy współzawodniczący z członkami Mohocks'owego klubu w popełnianiu wszelakich nadużyć. W ten sposób w ciągu r. 1742 zdarza się, iż pod pozorem pełnienia swéj policyjnéj funkcyi, gromada konstablów aresztuje jednego wieczora wszystkie napotkane przez się kobiety i zamyka je w ciasnéj izbie, gdzie nad ranem cztery okazują się zaduszonemi na śmierć, dwie konającemi, reszta srodze poturbowaną. Między nieżywemi znachodzi się biedna praczka, wracająca od roboty do domu, w stanie ciężarnym (2). W r. 1753 uorganizowana banda rozbójników trzyma stolicę przez miesiące całe w stanie panicznego strachu. Wyznaczona nagroda 100 f. za pochwycenie któregokolwiek z nich ten tylko odnosi skutek, że lekkomyślni biédacy dają się nakłaniać do rozbójstwa przez łotrów, którzy denuncyują ich następnie dla otrzymania nagrody (3). Przy schyłku XVIII wieku jeszcze, opryszkowie, na których głowę wysoka cena nałożoną została, przejeżdżają się śród białego dnia po

---

(1) Suift's Journal to Stella. The Spectator, 324, 335, 347. — (2) Horace Walpole. Letters to Sir H. Mann, lipiec, 1742 r. — (3) John Fielding, Account of the origin and effect of a police set ou foot in 1753.

mieście, w otoczeniu zbrojnych towarzyszy (1). I tego nie widzieliśmy nigdy pośród nas!

IV.

Widzieliśmy natomiast inną rzecz, która w obu społeczeństwach należy do najwięcéj wybitnych i najwięcéj ujemnych rysów ich spółczesnéj charakterystyki, która w obu społeczeństwach tę samę odgrywa rolę, rolę osłabiającego, paraliżującego i rozstrajającego pierwiastku. Jest nią uderzająca atonia społecznych organów, będąca prawdopodobném następstwem poprzedzającego ją nadużycia sił, a objawiająca się powszechną obojętnością mas wobec narzucających się im zagadnień społecznych, powszechną ich apatyą, powszechną skłonnością do używania dnia dzisiejszego bez oglądania się na jutro. Zjawisko, przedstawiające wiele podobieństwa z tém, na co patrzymy we Francyi dzisiejszéj.

„W epoce dzielącéj Reformacyą od Rewolucyi,“ pisze Lecky „wstrząsały społeczeństwem angielskiém niektóre namiętności, należące do najpotężniejszych z pomiędzy tych, którym przystępnemi są wielkie zbiorowiska ludzi. Religijny entuzyazm, towarzyszący wielkim przewrotom i sporom pojęć religijnych, patryotyczny entuzyazm zagrzany śmiertelną walką z obcym nieprzyjacielem, entuzyazm wolności walczącéj z despotyzmem, entuzyazm lojalizmu walczącego z duchem rewolucyjnym, oto główne czynniki życia angielskiego w téj epoce... Wszystkie te entuzyazmy uśmierzyły się stopniowo teraz (w połowie XVIII wieku)... Zastąpione zaś zostały ogólném pogrążeniem w apatycznym egoizmie... Długa wojna o sukcesyą Hiszpańską nie zdołała obudzić energii narodowéj... Zdało się jakoby wszelkie interesowanie się wielkiemi kwestyami, które roznamiętniały naród w czasach Rzeczypospolitéj i Rewolucyi, zniknęło bez śladu, jak gdyby stare narodowe męstwo nawet zamarło w piersiach“... (2).

Na wiadomość o wylądowaniu Pretendenta, w r. 1745, Horacy Walpole pisze do jednego ze swych przyjaciół: „Lękam się, aby lud nie poprzestał na przyglądaniu się widowisku i wołaniu: „Nuże psie! Nuże niedźwiedziu! (*Fight dog! fight bear!*). Henryk Fox zaś: „Wade twierdzi, i słusznie w mojém przekonaniu, że Anglia należy do tego, który pierwéj tu zdąży, i jeżeli możesz powiedziéć, kto kogo wyprzedzi z 6,000 Holendrów i dziesięciu batalionów angielskich, z 5,000 Francuzów i Hiszpanów, tedy wiész o naszych losach .....“

(1) Lecky, I, 485. — (2) History of England, I, 468.

„Francuzi spóźnili się,—niech będą dzięki Bogu! Ale gdyby byli wylądowali przed tygodniem w 5,000 ludzi na którymkolwiek skraju téj wyspy, przekonany jestem doprawdy, że zdobycie wyspy całéj nie było by ich kosztowało jednéj bitwy" (1).

Żadne zaś zaślepienie nie gra roli w téj obojętnéj postawie. Masy ludowe, patrzące zimném, albo co najwięcéj ciekawém spojrzeniem na zaglądające im w oko ewentualności, wiedzą o co chodzi. Przesadzają nawet w swoich wyobrażeniach przewidywane przez się następstwa. „Kiedy ostatnie powstanie wybuchło, pisze w r. 1749 lord Hardwicke, większość ludzi przekonaną była, tak sądzę, że nienawistny papizm i niewola będą nieuniknionemi owocami zwycięstwa, jeżeli przechyli się ono na stronę powstańców... jednak, gdyby szczęśliwy los nie był nam pozwolił sprowadzić na czas z za morza podostatkiem wojska regularnego, byli by ciż powstańcy zajęli naszą stolicę bez napotkania żadnego oporu, chyba ze strony téj garstki żołnierzy, którą mieliśmy w Londynie (2).

Niechęć do armii stałéj jest w części tylko pośród tych indyferentyzmem zarażonych mas ludowych wyrazem ich nieufności względem tronu i obawy przed despotyzmem; w części zaś, i to bardzo znacznéj, naturalném następstwem tegoż indyferentyzmu. Dbałość o utrzymanie swobód narodowych służy i tu najpospoliciéj za wygodny płaszczyk do okrycia wstydliwszych uczuć i motywów. Analogia zjawisk, uderzająca historyka uprzytomniającego sobie nasze polskie stosunki, zachowującego w uszach echo sejmowych naszych rozpraw i haseł, potęguje się tu aż do zawrotowego dla umysłu pomięszania miejsc, osób i zdarzeń.

„Armia stała, to gromada niewolników!... Nie jest zaś rzeczą godną wolnego narodu wprowadzać niewolę w swoje łono!... Oręż, jeżeli jest potrzebnym dla obrony kraju, nie powinien być oddany w ręce niewolnicze!...

Kto się odzywa w ten sposób? Czy nie który z naszych sejmowych zelantów wolności i obrońców pospolitego ruszenia? Nie, to angielski prawnik, Blackstone, drukujący w r. 1765 pierwszy tom swych uczonych „komentarzy" (3).

Czyni się zaś on tylko w tym przypadku rzecznikiem stale do wyrażonych w ten sposób pojęć przywiązanéj opinii i stałéj polityki parlamentu. Ze wszystkich postanowień rządu restauracyjnego najpopularniejszém okazuje się to, które niweczy armią kromwelowską. Starają się wprawdzie następcy Karola II-go o utrzymanie

---

(1) Campbell, Lives of the Chancellors, VI, 236—238. Walpole, Letters, II, 65. — (2) Campbell, Ibid. VI. 256—257. — (3) Blackstone, I, Rozdz. 13, księga I.

jakiego takiego jądra siły zbrojnéj, ich bezpośredniemu zwierzchnictwu podległéj; ale parlament krzyżuje energicznie te usiłowania. Poważna siła zbrojna potrzebną jest tylko na czas wojny; w czasie pokoju trochę żołnierza przy boku królewskim, dla ozdoby majestatu, i trochę jeszcze dla trzymania załogi w głównych fortecach, oto wszystko czego żądać, na co pozwolić mogą synowie wolnéj Anglii. Gwoli zaś utrzymania ducha wojennego w narodzie, jest milicya—nasze pospolite ruszenie—o któréj utrzymanie i rozwój dbać należy. I nietylko teoretycy książkowi, jak Blackstone, nietylko warchoły polityczne, których i tu nie brakuje, ale najprzedniejsi mężowie stanu wyznawcami są téj ewangelii. Sam wielki Pitt jest jéj apostołem w epoce rządów Walpola (1). I wolna Anglia pozostaje istotnie bezbronną. W roku 1697, po dojściu do skutku pokoju Ryswickiego, parlament obstaje przy ograniczeniu armii do 10,000 ludzi, to jest do trzeciéj części tego kontyngensu, który zdaje się niezbędnym królowi Wilhelmowi dla bezpieczeństwa kraju. W r. 1717 Walpole, do opozycyi jeszcze należący, przemawia za zmniejszeniem pokojowego kontyngensu z 16 do 12,000. Jeżeli zaś nie dotrzymuje sobie w zupełności słowa po objęciu władzy, tedy nie dopuszcza przekroczenia cyfry 17,000 ludzi. A ta cyfra jest jeszcze, najpospoliciéj, cyfrą na papierze. W latach 1756 i 1757, wobec powtarzającéj się groźby wylądowania wojsk francuskich, pokazuje się, iż niema w całym kraju więcéj nad trzy półki zdolne do wyruszenia w pole. I sam wielki Pitt znowu przyznaje, że w przypadku pojawienia się 20,000 Francuzów, wszystko przepadło, Anglia zginęła (2). I wszyscy powtarzają to za nim. I ta sama zmora strachu panicznego siadła na wszystkich piersiach. I wszystkie oczy zwracają się błagalnie ku obcéj zkądkolwiek pomocy, z Holandyi, czy z Niemiec. Znamy i to u siebie! Rokiem pierwéj wprawdzie, głośno brzmiały protestacye przeciwko obecności wojsk cudzoziemskich na wolnéj angielskiéj ziemi. Tak—głośno, jak u nas! Ale teraz niemasz innego ratunku. Wolna Anglia nie jest w stanie obronienia siebie!

„Przyszedł dzień, w którym warunki pokoju utrechckiego, aczkolwiek nie dorównywające poniesionym ofiarom, aczkolwiek piętnujące wiecznym zarzutem minione pokolenie, stały się przedmiotem koniecznych, ale prawie nie podobnych do urzeczywistnienia życzeń naszych; w którym państwo doczekało się swego końca, (*the empire is no more*), porty w Holandyi wydane zostały nieprzyjaciołom, traktat z Holandyą stał się pustém brzmieniem, Minorka a z nią

(1) Lecky, II, 475. — (2) Lecky, II, 425

razem morze Śródziemne stracone dla nas, nawet posiadłości Amerykańskie zagrożone....“

Słowa są zawsze Pitta, w konfidencyonalnéj spółczesnéj depeszy (1), obok któréj znajduje się inna, ofiarująca Hiszpanii zwrot Gibraltaru, w zamian za pomoc w odzyskaniu Minorki (2). I ofiara daremna, i sam geniusz największego podobno z mężów stanu, których doczekała się dotąd Anglia, zdaje się w pierwszéj chwili niezdolnym do odwrócenia grożącéj państwu zagłady.

„Ktokolwiek jest ministrem — pisze w tymże czasie Chesterfield, ktokolwiek być nim przestał, wszystko z nami skończone, przekonany jestem o tém *(we are undone, I am sure)* i tu w kraju i za granicą. Tu w kraju przez nasze wzrastające długi i wydatki; tam za granicą przez prześladujące nas nieszczęście i przez niedołęstwo nasze. Król pruski, jedyny nasz sprzymierzeniec na całym świecie, jest teraz, lękam się o to, *hors de combat.* Hanower zdaje mi się być w tém samém położeniu co Saksonia, co prowadzi do aż nadto łatwo przewidziéć się dających następstw. Francuzi są panami położenia w Ameryce. Przestaliśmy być narodem.“ (3).

Przestaliśmy być narodem! Zginęliśmy! — znamy i ten okrzyk. Ostatnie słowo u nas narodowéj tragedyi. Ostatnie przedgrobowe hasło. Zwątpienie o sobie, rozpacz i ostatnie wspólne rysy rozchwiewającego się już niedługo podobieństwa. Dla czego rozchwiewa się ono? Dla czego analogia urywa się na téj wspólnéj karcie przeszłości historycznéj? Niech odpowiadają Pitt i Chesterfield i szlachetny Burke, przekazujący najpóźniejszym wiekom pamięć chwili, w któréj naród cały drżał przed zapowiedzianém przybyciem dwudziestu tysięcy Francuzów (4). Czy nie dla tego, że wiatr opiekuńczy rozegnał w Dunkierce i w Brescie zgromadzone floty; że pomyślniejsze geograficzne warunki zostawiły czas jednemu z dwóch narodów do przebycia dokonywających się w jego organizmie przeobrażeń, do dźwignięcia się z chorobliwego letargu, towarzyszącego temu wytwórczemu procesowi, do odzyskania sił, do wystąpienia napowrót w pełnym rynsztunku?

Zarejestrowanie téj odpowiedzi było celem niniejszych kartek.

---

(1) Do sir Benjamina Keene, sierpień 1757. Chatham Correspondence, I, str. 251.— (2) Tamże I, 247—256. — (3) Chesterfield do...., lipiec 1757. Miscellaneous Works, IV, 198. — (2) Lecky, II. 452.

K. Waliszewski.



KRÓLOWA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

AKT TRZECI.

NAWOJKA.

OSOBY AKTU.

JADWIGA, WILHELM, DYMITR, JAŚKO, JĘDREK, PIEŚ, GNIEWOSZ, SUCHENWIRTH, NAWOJKA, DOWOJNA.

Krużganki klasztoru Franciszkanów, zwanego Bosackim. W głębi gwar hucznéj zabawy. Strojna młodzież — muzyka — śpiewy—tańce. Na ścianach wspaniałe opony — posadzka zasłana kobiercami. Wszędzie światła, kwiaty i pozastawiane stoły. Od przodu miejsce ustronniejsze nieco, z wyjściem na ogród.

JADWIGA *(uprowadzając Wilhelma)*.

Chodź, chodź — tam nazbyt gwarno.

WILHELM.

Gwar ten wzlata
Na cześć uroku możnych tego świata.

JADWIGA.

Tam blasku nazbyt wiele.

WILHELM.

W blasków chwale
Orły się pławią.

JADWIGA.

O! nie. Nie to wcale
Chcę mieć w téj chwili. Siądź tu — o tu, przy mnie.

WILHELM.

U nóg twych.

JADWIGA.

Nie tak. O! bo ja nie wierzę
W słów marnych dźwięki. Od nich, jakby w zimnie,

Serce się moje wstrętem duszy wzdryga.
Siądź tu. Tyś tylko Wilhelm, jam Jadwiga—
Kochanków dwoje.—Teraz—mów mi szczerze,
Słowami których nigdy nie zapomnę:
Wszakżeś mój?

WILHELM.

Tak jest. Prawo mam niezłomne
Do twojéj ręki.

JADWIGA.

Nic nie mówisz zgoła
O słodszém prawie, o tém, co to zdoła
Sprawić, że komuś czyja chęć łaskawa
Dłoń dając, serce na téj dłoni dawa.

WILHELM.

O! wszak ty pomnisz naszych rannych latek
Układy wczesne? Ślubów twych zadatek
Ten pierścień, który z rąk twych wtedy wziąłem,
Patrz — u kołpaka noszę po nad czołem.

JADWIGA.

Pokaż. Tak—prawda. Jego rąbek cienki
Znikł gdzieś, w kamieni skrzących wzięty wdzięki.
Tak. On zapinką jest u pióropusza —
Wiatr płochy nad nim ptasie strzępy wzrusza...
Ja, twój, na piersiach w tajniach serca noszę —
Bo mi są święte uczuć tych rozkosze,
Których wspomnieniem słodko tęskni dusza.

WILHELM.

A ja, śmiem głośno myśléć. Ja, przebojem
Idę, wprost z czoła chlubny szczęściem mojém!
Niech wié świat cały, i niech skroń swą zgina
Znając, żeś zdawna żoną władcy—syna
Prześwietnych przodków, który ubezpiecza
Rycerską swoją cześć błyskami miecza!

JADWIGA.

O! jakżeś piękny w tym wzruszenia szale!
Tak. Tyś mój rycerz! — i ja w barwy moje
Tak ci ustroję pierś, i tak uzbroję,
Że, ku czci Boskiéj, oraz własnéj chwale,
W szranki się pomkniesz, dźwiękiem trąb uczczone,
I tam, w przeważnéj twoich cnót ozdobie
Z współzawodniki walcząc, ty mię sobie
Zdobędziesz — prawda?

WILHELM.

Tak, i tę koronę,
Którą mi z ręką twą, w ozdobne wiano,
Nieprzedawnionem nigdy prawem, dano!

JADWIGA.

A! a! koronę mówisz? I czyś pewny
Tyleż królestwa tego, co królewny?...
Widzisz — nie wszyscy są tu tobie chętni.
Więc, nim ich sprzeczność celów roznamiętni
Rozprawy żądzą,—dobrzeby, mniéj dumnie
O państwo to się starać, idąc ku mnie —

WILHELM.

Co? co? Rycerzy zastęp bojowniczy,
W imieniu mojém, jak wiatr liście w lesie,
Na grzmiących mieczach w strzępy wnet rozniesie
Nieposłuszeństwo téj niesfornéj dziczy!

JADWIGA.

Ta dzicz — to lud mój.

WILHELM.

....Poczém, w gród prastary
Trojańskich moich przodków, mą małżonkę
Wwiodę, i ztamtąd, berłem w jednéj dłoni,
A w drugiéj mieczem, który krwią ocieka,
Przez wielkorządcę mego pilnie będę
Tym krajem władać.

JADWIGA.

Jakto? Z tak daleka?

WILHELM.

Twój ojciec rządził tak — i dobrze było.

JADWIGA.

Wątpię, czy dobrze. Mój dziad, zawołany
Gospodarz, pilnie dbał, by go mogiłą
Rodzinne tylko mogły uczcić łany —
I tak się stało. W polu on szerokiem
Wszystko naglądać zwykł swém pańskiém okiem.
On późno kładł się spać a wstawał rano.
Pilnował roli, praw wymiaru, grody
Dźwigał, i kresów strzegł i świętéj zgody—
I przeto Wielkim słusznie go nazwano.
Odkąd nie stało pana w chacie, wkrótce
Ład stary różni jęli psuć przewódce.

Ztąd pól i gumien gospodarka licha—
A wróg, na miedzach, by się worał, czyha.

WILHELM.

O! bądź spokojna. Z dziecka mię uczono
Władania sztuki. Znam ich. We krwi mają
Niezgody drżączkę. Łatwo jest tą zgrają
Rządzić—wzajemnie szczując ich. W czém zresztą
W pomoc mi przyjdzie możny Krzyża Zakon,
Z którym oddawna wspólność spraw mię wiąże.

JADWIGA *(wstając)*.

Czy się ty kiedy modlisz — mości książe?

WILHELM.

Każdy się sobie modli tak, jak może.
Ja mogę w sposób taki: — Ojcze w Niebie!
Proszę cię, dla mnie zrób ni mniéj ni więcéj,
Tylko to samo, cobym ja dla Ciebie
Zrobił w niemałéj łasce méj książęcéj,
Gdybyś Ty mną był, a ja Tobą....

JADWIGA.

Boże!
Czym ja bluźnierstwo, czy téż usłyszała
Obelgę krwawą?—Skroń mi dziwnie pała.
Jak tu jest parno!

WILHELM.

Co ty mówisz pani?

JADWIGA.

Pani? Co znowu! Czyż ja pani jaka?
W królestwie mojém tyle pożądanem,
Jednego nie ma w chwili téj biédaka,
Któryby nie był większym niż ja panem!

WILHELM.

O! przebacz proszę. Nie wiem sam. Być może
Wymową nazbyt szorstką się uniosłem.
Lecz zważ — rycerska cnota jest rzemiosłem
Zdobywczo tnącém, jak miecz w słońcu nagi.
O! w cztery oczy chciéj posłuchać pani
Mych słów szczerości. Widzisz — my wybrani...

JADWIGA.

Jesteśmy innéj miary, oraz wagi.
Wiem, wiem.

WILHELM.

....Z żelaznych naszych serc, śpiżową
Wolę, niezłomną wygłaszamy mową.

Bo tylko wtedy panem czuć się można,
Kiedy pod biczem dyszy trzoda trwożna.

JADWIGA *(cofając się)*.

A! serca, mówisz, groźne mieć należy?
I że, z paniami serc tych, kwiat rycerzy,
Przy drzwiach zamkniętych mówić zwykł najszczerzéj?
Ta szczerość — wyznam — dość mi się podoba.
Lecz, iż jastrzębich ani szpon ni dzioba
Ni mam, ni pragnę, więc mię nikt nie zgani:
Że, aby słuszną rzeczy dwóch wymianą
Coś za coś było—ja—chcąc być kochaną,
Chcę kochać tylko.... *(odchodzi w głąb)*.

WILHELM.

Co zamyślasz pani?

JADWIGA *(gorączkowo)*.

Co? nic. — Mym gościem jesteś, miłościwy
Rakuzki panie. — Pozwól, że się żwawo
Zakrzątnę, by cię uczcić przyzwoicie.

(U wyjścia w ogród).

Patrz, patrz, — ten księżyc blady, tam w błękicie,
W tym wypłowiałym, jak się on ospale
Tuli w obłoki senne, których fale
Chłód wieją, niby prąd od skrzepłéj rzeki.
Wiatr zdrętwiał—zcierpły i skostniały drzewa,
I gwiazdom drżące mrużą się powieki —
Każdy tu na śmierć nudzi się i ziewa!
Cóż to? Niedawno w téj pustelni mniszéj
Śmiechem i skocznym tańcem wszystko wrzało,
A teraz człowiek niemal tętna słyszy
Własnego serca. — Hej tam! Piersią całą
Pieśń gwarną huknąć! Świateł niech tysiące
Ćmi wzrok, a kwiatów niech nas woń odurzy!
I niech precz sobie pójdą tacy, którzy
Odepchną czary od swych ust szumiące!
Jam tu królową uczty! Niechże przecię
To państwo moje głośno brzmi po świecie!

(Ma się ku wyjściu. Z zewnątrz słychać rozgłośne dźwięki rogów i litaurów. Do wchodzącego Jaśka:)

Panie Tęczyński — co ta gędźba znaczy?

JAŚKO.

Zaraz się dowiem.

DYMITR *(wchodząc).*

Właśnie ztamtąd dążę.
To wjazd swój czyni możny Litwy książę,
A z nim prześwietnych Stryjców tłum junaczy
W orszaku butnym.

WILHELM *(z ręką na sztylecie).*

Niedźwiedź, z wilków zgrają.

DYMITR.

Jest naszym gościem, takim, jak i drudzy
Dostojni goście.

JADWIGA.

Niech uczczenie mają.
Tak sobie życzę. *(Odchodzi — za nią Wilhelm).*

DYMITR.

Ha! ha! Nizcy słudzy
Mój ty rakuzki żbiku! Czyś uważał?
Gdyby mógł, byłby zębów swoich zgrzytem
Kości mi zmiażdżył.

JAŚKO.

Ten pyszałek lichy!
Czekać na siebie dał, i nim wejść raczył,
Trąb dźwięk i herold go obwieścił, jako
Małżonka naszéj panny!

DYMITR.

Mój mosanie—
Oskoma tobie i niedoczekanie!
Zostawmy jednak losom bieg tych rzeczy.
Sam on od siebie wprędce ją uleczy.
Już i tak czegoś drżąca ztąd i blada
Wyszła, i z śmiechem głośnym, choć mu łzawa
Posępność źrenic cichy kłam zadawa.
Coś tu pomiędzy niemi zaszło.

JAŚKO.

Zdala
Patrzałem na to, i choć słów nie mogłem
Schwycić, to jednak mniemam, że ta panna
Nierównie więcéj nasza jest, niż swoja.

(Wbiega Jędrek mocno wzburzony).

JĘDREK.

Jak mi Bóg miły, tak jak temu szołdrze
Obetnę uszy!

DYMITR.

Komu? gdzie? i za co?

JĘDREK.

Jakto? do czarta! Chłystek ten zielony (1)
Z Rakuzkiéj psiarni...

JAŚKO.

Z barwy jego wnosząc,
Właśnie to taki który przygód szuka.

JĘDREK.

I znajdzie guza. On śmiał Ofce mojéj...

DYMITR.

Tyleż jest ona twoja, co i moja,
Do mnie! Co? Cóż on śmiał?

JĘDREK.

Warkocza wstążkę,
Którą zgubiła w tańcu, porwał zprędka,
I na kołpaku swoim wpiął,

DYMITR.

Do licha!
Na tym cudackim dworze, to podobno
Za nic się mają takie krotochwile.

JĘDREK!

Ja mu ją ze łba garścią zedrę.

JAŚKO.

Sluchaj—
Jeśli gdzie późniéj wyzwiesz go na rękę,
Jam twój. Lecz teraz—tu—gdzie ma swą władzę
Obecność naszéj Pani—tak ci radzę:
Nie szukaj zwady. To gardłowa sprawa.

PIEŚ *(nadchodząc)*.

A ja ci mówię—w każdym razie daj mu pokój—bo cię jeszcze szpinakiem swoim powala. Zresztą—poczekaj. Wiem, że zrobił ślub oglądania na własne oczy dzikiego króla Saraceńskiéj Litwy. Otóż—bądź pewny, że skoro go ujrzy, ze strachu zdechnie i staniesz się jego spadkobiercą.

JĘDREK.

Idź precz.

PIEŚ.

Może masz i słuszność. Bo dobrze to powiedział jeden : że w kij dmuchać a głupiego o drogę pytać—to dwie rzeczy równe trzeciéj, którą jest koniec nie długiego nosa. Otóż, skoro słuchać

---

(1) Barwę zieloną przybierali na siebie rycerze zaciągający się do cechu tak zwanych Błędnych. Szajnocha podług St. Palaye Tom VI. 260.

mię nie chcesz, w następstwie tego, ja się ciebie pytam o dalszą twoją drogę.

JĘDREK.

Idź precz, powiadam—bo cię kopnę. Zły jestem.

PIEŚ.

Ja także nie bardzo dobry. Niezgorzéj to powiedział inny znowu jeden (ale nie żaden tamtego krewny):—że łysa kobyła w niczém nie lepsza od siwéj szkapy. (*do wchodzącego Gniewosza*:) Mości starosto—cóżeś to tak skwaszony?

GNIEWOSZ.

Mości Wesołku—chodź—na Boga błagam—

PIEŚ.

Za nic nie pójdę. Rozkaz królowéj — rzecz święta. A ona przecię sama, nie wyręczając się nikim, za drzwi mi iść kazała. I za co—proszę? Za to, żem jéj po przyjaźni radził: ażeby, w drogę do Farmazonii swego Rakuszanina, potężny bochen Prądnickiego chleba z sobą wzięła; bo tam być może chrzan jéj tylko do jedzenia dadzą, i to zaprawny octem siedmiu złodziei, będących wyborcami Świętego Rzymskiego Cesarza z Mistrzem Wielkim w odwodzie—

GNIEWOSZ.

No widzisz. Po co było takie rzeczy....

PIEŚ.

Od rzeczy myśląc, prawić nic do rzeczy—
Wszakże tak?

GNIEWOSZ.

To już poszło w zapomnienie.
Chodź. Ja ci za to będę nieskończenie
Do grobu wdzięczny.

PIEŚ.

Idź precz! bo cię kopnę.

GNIEWOSZ.

Słowo to więcéj śmieszne, niż okropne.
Ja się na żartach znam. Na—masz dukata,
Byłeś tam wrócić raczył.

PIEŚ.

Idź do kata!
Zły jestem.

GNIEWOSZ.

Gdzież tam! Tyś poczciwy z kośćmi.

PIEŚ.

Kto drugi powiedziałby: z gnatami. No—widzicie. Kłania mi się, przypodchlebia, i jeszcze za to płaci. Inni, czasem i dwom pa-

nom, on, sobie jednemu wiernym jest sługą. Ma przyszłość przed sobą. Giętki w karku—wlazłby nawet pod ławę, co mu się może i zdarzy kiedy, i jeszcze gotów ztamtąd podkomorzym się wydobyć. Co do mnie—cześć moją wysoko noszę i rad na ławie siadam, zwłaszcza mając przed sobą takich, jak Waszmość, miły Starosto, dworaków. Otóż, z téj miary, gadaj sobie co chcesz, a ja z wygnania mego za nic wrócić nie raczę. Panem chcę być, skoro mi się sposobność do tego nadarza.

GNIEWOSZ *(obcierając czoło z potu).*

A! ciężka z tobą sprawa! Głowę tracę.
Głupieję. Za nic wszystkie moje prace!
Królowa chmurna, gniewna, roztargniona,
Nic ją nie bawi.

PIEŚ.

Jakto? Nawet ci wszyscy w koło niéj: srokaci, kudłaci, czubaci, kostropaci?

JĘDREK.

Jest tam i ten psubrat zielony.

JAŚKO.

I drugi, co ma plaster z rękawiczki na gębie. Toćże to rzecz do upękania.

DYMITR.

I taki, co kobiecy naramiennik na łydce nosi. Wart w kark za to.

PIEŚ.

A on że Suchenwirt, kołowacizny owéj słowik błogi?

GNIEWOSZ.

Swemi madrygały
Nudzi ją bałwan ten podtatusiały.

PIEŚ.

Co? co? Śmiał się tego dopuścić? A! wyzwanie mu odemnie proszę zanieś za to. Odtąd, z królową zgoda—wszakże nie inaczéj, jak na połowie drogi. Ja—niby z za drzwi ku niéj, a ona z przededrzwi ku mnie—uważasz? Bo ja, *tu* tylko, w ziemi mego wygnania, z tym partaczem się rozprawię, i mam nadzieję niepłonną, że on skowycząc ztąd wyleci. Sąd wyrok wyda. Idź,—kobiety, albo jak dzieci bawić trzeba, albo się z niemi droczyć--inaczéj, jak chcą rządzą, a nie zawsze dobrze. Idź. Idź. Powiedziałem.

GNIEWOSZ.

Czy to ostatnie twoje słowo?

PIEŚ *(z partesa).*

Tak jest. *(Gniewosz wychodzi).*

Ach! ach! mozolna to jednak rzecz, mieć królowę na wydaniu!

JĘDREK *(pód nosem)*.

Te Niemcy przeklęte!

PIEŚ.

Jakto przeklęte? Bluźnisz, Mosanie. A ten tam oto braciszek pokorny, co tu z różańcem u pasa po wszystkich kątach pokutuje?

JĘDREK.

Nie wiele on się od nas dowié.

PIEŚ.

Żartuj zdrów. On rozumié nawet mowę, którą się odzywa trawa, kiedy rośnie.

JAŚKO.

Sam widziałem jak podsłuchiwał, kiedy tu królowa z księciem rozmawiała.

PIEŚ.

Zwyczajnie. Czasu ma dużo nie swojemi sprawami się parać. A dla czego? Zaraz wam to wyjaśnię. *(wołając.)* Héj! héj! Mości Hugo!—Udał, że nie słyszy. Nie to jedno on tu udaje.

JĘDREK.

Podobno i na sokołach zna się on tyle—

PIEŚ.

Co ty na sonetach? Właśnie. Ach! mój synu luby—i co się tobie tak do téj żeniaczki wydzierać? Bierz z niego przykład. On nie mając swojéj żony—ma sobie cudze. Nie mając jednéj—ma ich dużo. Bo posłuchaj proszę:

Wylazł miesiąc z po za chaty,
W palce utarł nos i wzdycha.
— Héj héj! tam do licha!
Toćże widzę on żonaty—
Że taki rogaty.—

I wiédz także o tém, że twoja panna, byle tylko chciała, skuteczniéj gacha od siebie wachlarzem odpędzi, niż ty go od niéj krzyżową sztuką.

DYMITR.

Wara tobie Mości Wesołku, od tego co się szabli tyczy.

PIEŚ.

Gadaj zdrów Dobrodzieju. A taki, ponad krzyżową, jest jeszcze krzyżacka sztuka. Téj zaś radzę od tego Jegomości nabyć, który tu przyszedł z łaski swojéj rozumu nas uczyć. Bo patrz, proszę. Wyście krzykacze—on tylko słucha. Wyście kłótniki—on swoim współbraciszek czuły. Wam potrzeba dużo miejsca—jemu byle kąt wystarcza. Wyście warchoły, kostery, do podwiki, szklanki i szabli w gotowości wiecznéj—on, jako mnich rozgarnięty, nawet nie tań-

czy, ani się lutni ima—chybaby na chwałę swego zakonu, która jest oraz i Boską jak wiadomo. W kości też nie gra—chyba przy drzwiach zamkniętych w pustelniczéj celi. Dzbana zaś jeśli nachyli, to tylko mrucząc *Oremus*.

DYMITR.

Wilk w jagnięcéj skórze.

PIEŚ.

Więc gdy by tak naszą pannę za owczarza wydać—co? Tylko żeby za takiego, coby się wprzódy—nieprzymierzając—psom własnym zjeść nie dał.—Ale otóż i ona sama. Sprobuję być jéj dziewosłębem.

(Wchodzi Jadwiga i Wilhelm z całym orszakiem).

GNIEWOSZ.

Królowa Jejmość z całym swoim dworem!

PIEŚ.

Do stóp jéj padam z mém poddaństwem skorem. *(Tamci siadają)*. Piękne Panie i dzielni Panowie! Widzicie we mnie nadwerężoną ozdobę—chcę mówić osobę—która pozornie—chcę mówić pokornie—sprawiedliwości oto łaknie. Téj wymiar, myślę sobie choćby pięścią—chcę mówić pieśnią—zdobyć, czego gdy dokażę, dla siebie: o uznanie, żem zbił Niemca—chcę mówić żem zwyciężca—a dla przeciwnika mego o pobłaźnienie—chcę mówić pobłażanie—śmiem upraszać. Tę tedy rozprawę, chcąc być grzecznym, ja rozpocznę. Ale nie dla tego, żebym był pierwszym lepszym. Tylko ono to tak jest. Jeśli w dom swój kogo wprowadzając, miejsca przed sobą ustępujesz gościowi, niby go w nim panem robiąc; tedy, równém prawem, gdy on cię żegna, przed nim idziesz, ażebyś go jak najdłużéj u siebie zostawił—inaczéj, wyglądałoby, że go za drzwi wypraszasz. Otóż i tu rzecz się ma tak samo. Mości Suchenwircie! dla waści nawet korzyść nie mała być na końcu. Bo dobrze to raz powiedziały hajdawery króla Salomona, kiedy im wlazł w drogę zielony pióropusz:

Ja cię płatnę—ty mię płatnij—
Niech ma słuszność, kto ostatni.

A teraz, posłuchajcie proszę: w jaki to sposób ku gwiazdom człek podlata.

(chwyta lutnię z rąk pazia, uderza w struny i śpiewa).

Z chorągiewką wiatr się żeni
W śpichrża szczycie.
Stoją ludzie u przedsieni.
—Ach wy ludzie! Ach zdumieni!
Cóż mówicie?—

—Jakaż może być otucha
Mój Asindziéj
W stadle takiém, gdzie od ucha
Ona tańczy, on zaś dmucha
Coraz indziéj?—

Jakoż, przysiąg się wymianą
Gdy pobrali,
Wnet w podwórku usłyszano,
Jak na żonę ukochaną
Mąż się żali.

—Choć ją słowem wabię miłem,
Próżna praca!
Byle do niéj przystąpiłem,
Ona, skrzecząc, do mnie tyłem
Się obraca.—

—Bratku! Wierzgnij ty z kopyta
W te tam chryje!
Czyż nie zgoda znamienita
Płuży tam, gdzie żona zgrzyta,
Gdy mąż wyje?

GNIEWOSZ *(przez zęby)*.

A pójdziesz ty psubracie! A do budy!

PIEŚ.

Ciotusiu—to do ciebie mowa. Słyszysz, jak cię on z powrotem do Węgier wyprawia—a małośmy to zażyli kłopotu, żeby cię ztamtąd ściągnąć? Panowie! Kto Polak prawy, ten nie przyzna, żeby Suchenwirth, który z Gniewoszem trzyma, przyzwoiciéj odemnie miał uczcić weselne gody.

JADWIGA.

Dość. Nim śpiewacki spór się wasz rozpląta,
Mości zuchwały Śmieszku, idź do kąta!

PIEŚ.

Ach! Niechbym raz już miał swój własny kąt,
Gdziebym, nie wiedzieć jak i co i zkąd,
Miał dnie złożone z niedziel oraz świąt!

(odchodzi na bok).

JAŚKO.

Nie rozśmieszyłeś ty jéj. Ćmi tęschnica
Jéj łzami zaszły wzrok, i płoną lica,
I drżą jéj zbladłe usta.

PIEŚ.

Sercem całém
Zrobiłem swoje. Ziéwnąć jéj nie dałem.

JADWIGA.

Mości książęcéj czci Minnezingerze!
Na ciebie koléj.

SUCHENWIRTH.

Twych ust miód kwiatowy,
Dostojna pani! duszy méj pragnienie
Zasyca szczęściem takiém, jakiém w Niebie
Świetlana Hebe Świętych Pańskich poi.
Lecz pozwól, abym wprzód, o natchnień loty,
Ku téj różaniec myśli mych odmodlił,
Która boginią serca mego będąc,
W kastalskich zdrojach dawa chrzest méj pieśni.

JADWIGA.

Zgoda. W królestwie, gdzie jest miłość panią,
Jam tylko jedna z licznych jéj poddanek.
Daléj, Nawojko — masz przedemną wianek!

NAWOJKA.

Nie śpiesz się pani, bo nikt jeszcze nie wie,
Co, zgodnie z wolą tu wybranéj damy,
Wybraném będzie: tron, czy bezkrólewie?
Mości śpiewaku — dotknij strun — słuchamy.

SUCHENWIRTH *(przebierając po strunach lutni)*.

Czémże was godnie uczcić — wy! związani
W dwa wieńce chwały i w dwa władzy miecze
Ślubem, co dole wasze nadczłowiecze
Nierozerwalnie spaja? — Pomnisz pani,
W Haimburgu, kiedym was pacholąt dwoje
Mą gędźbą bawił, tę pieśń, w któréj zbroje
Z kurzawy bojów dźwięcznym zgrzytem brzmiały,
A górą orzeł wzlatał w blaskach chwały?
W jéj rytm — czytając w oczach mego pana,
Jak się do czynu duch w nim zrywa młody—
Bywałaś całą duszą twą wsłuchana,
A zwała się ta pieśń: „Krzyżowe Gody.“
W niéj było: jako z Bogiem, więc wesoło,
Pomknął szyk zbrojny w Beliałowe sioło,
Gdzie, jak wprzód rzekli jeńcy w łyka wzięci,
U stóp bałwanów strojnych w czarcie godła,
Swatów i drużbów licznych trzoda podła

Bluźnierczym trybem ślubny obrzęd święci.
Więcże, cichaczem zewsząd obskoczeni,
Ci gardło dali, ci wśród chat płomieni
Żywcem się piekli, inni w drągi skuci
Szli, pletnią gnani z téj weselnéj chuci —
Więc dziewka oklep na koń — więc pan młody
Na stryku przy niéj boso w imię Boże—
Więc wreszcie wspólne Madejowe łoże.
Tak to ucieszny jak być tylko może
Miały swój koniec te litewskie gody....

NAWOJKA *(wydzierając mu lutnię)*.

Precz ty pachołku lichy! Czołem jakiem
Chcieć mogłeś pierś twą zdobić barw mych znakiem?
Służalcze nędzny! co przed pięści prawem
Jak pies się łasisz — w twém szyderstwie krwawem
Z tych, co bezbronni w dolę złą popadli,
Jak śmiesz, przewrotną świętych słów odmianą,
Wbrew czci i wiary wszelkiéj, najzajadléj
Rycerską cnotę lżyć, z ludzkości znaną?
Precz ztąd! Nie tobie chłystku dłużéj butnie
Shańbioną dłonią bić w uczciwą lutnię!

(Rozbija lutnię i odchodzi. Powstaje ogólne zamieszanie).

DYMITR.

Miarkuj się pani.

JĘDREK.

Książe sztylet chwycił,
Zgrzyt mieląc w zębach, w oczach żywiąc błyski.

JAŚKO.

Królowa wstała, blada, lecz milcząca.

GNIEWOSZ *(gromkim głosem)*.

Podobna, wobec majestatów dwojga,
W zuchwalstwie, które skarci miecz, zniewaga
Praw gościnności....

(Słychać w dali dzwon wzywający na jutrznię).

JADWIGA.

Dość. Nawojko, do mnie!
Należy pomnieć: żeśmy tu jedynie,
Jako zwyczajny ludzki tłum, w gościnie
U mnichów cichych, którym dłużéj, wrzawa
Krotochwil nocnych, mącić nie ma prawa
Dla chwały Boskiéj dumań w jutrznię ciemną.
Więc—żegnam wszystkich. Kto chce, proszę ze mną.

(Podaje rękę Wilhelmowi i wychodzi z całym orszakiem).

PIEŚ *(wyłażąc z kąta).*
A co? Jam górą! *(wołając)* Héj! starosto miły!
Ty walczysz przodem — ja ci biorę tyły.
Ty machasz mieczem w męstwie twém szalonem —
A tu cię kądziel bije swém wrzecionem!
(Wychodzi za drugiemi).

DYMITR.
Jak to ta nasza pani, umiejętnie
W drażliwéj chwili z tego skorzystała,
Co jéj pomyślny traf nadarzył! Taka,
W trudniejszych także sprawach, łatwo zdoła
Dać sobie radę. Niech nam Bóg ją chowa—
Naszych to kości, naszéj krwi królowa!

JAŚKO.
Zdawna już jakaś walka sprzecznych myśli
W jéj duszy grała. Rzekłbyś, że samotność
Stała się żądzą duszy jéj. Ztąd niby
Wielce jéj było pożądaném, z miejsc tych
Odejść.

DYMITR *(zatrzymując Jędrka).*
Ty dokąd chcesz iść?

JĘDREK.
Zaraz wrócę.

PIEŚ *(wchodząc).*
Nie trudź się — jużem cię wyręczył. Masz tu z powrotem twoją wstążkę ukochaną.

JĘDREK.
A to jakim sposobem?

PIEŚ.
Wynosząc się ztąd, ów zielony jegomość, Izenburg podobno, jeśli chcesz wiedzieć — w chwalebnym pośpiechu czapkę zgubił. Oddałem mu ją — ale z tém tylko, co tu na niéj z sobą przyniósł. *(Wchodzi Dowojna).* A! w sam czas mości rycerzu,—co ma znaczyć, że w samą porę zapóźno. Już tu dzwonek bosacki całą burzę zażegnał.
I że tak było — to Bogu chwała.
Bowiem inaczéj, musiałbyś zbrojno
Mieć się do wojny, mości Dowojno—
Gdy ci Nawojka nawojowała.

DOWOJNA.
Co on gada? Nic nie rozumiem. Co tu zaszło?

PIEŚ.

To widzisz tak było.
On do mnie z pięścią miłe chłopię—
A ja kijanką grzbiet mu kropię —
Aż ono wpadł w komorę.
I wszystko dobrze, Bogu chwała:
On wziął mię, bym mu chusty prała —
Ja też je na nim piorę.

DOWOJNA.

Ależ — do pioruna —

PIEŚ.

Pfe! Takżeś się to ty kudłów pozbył niedźwiedziu? Schowaj twój piorun—tak ci radzę—jeszcze tu nie Jagiełło panem, choć go sobie razem z tobą mocno życzymy.
Patrz — tam się modlił niejaki Hugo,
Który być lubi dwóch panów sługą.
Ten, pod różańcem i suknią długą,
Ma nóż za pasem — z kusą kolczugą.

DOWOJNA.

Porwaneś ty tam....

PIEŚ *(zatykając mu gębę)*.

Milcz! Bom ja tu w chwale!

DYMITR.

Daj się ty katu pusty sowizrzale.
(do Dowojny).
Chodź waszmość z nami. Dowiész się niebawem,
Jak twoja jejmość, w uniesieniu żwawem
Dowiodła, mając z sercem dłoń złączoną,
Że jest dzielnego męża godną żoną *(wychodzą)*.

AKT CZWARTY.

DOBIESŁAW.

OSOBY AKTU.

JADWIGA, NAWOJKA, OFKA, DOBIESŁAW, DYMITR, DOWOJNA, GNIEWOSZ, PIEŚ.

Komnata w zamku na Wawelu.

OFKA *(u okna)*.

Dziedziniec pełny! Gwar, zgiełk, rzenie koni,
Barw przepych, wstęgi, lśniących zbroic granie,

Kamieni tęcze, złota blask, piór pęki
W wietrze i w słońcu. Nie inaczéj pewnie
Bywa w turnieju ostrym, gdy z krużganków
Pań strojnych orszak szarf powiewem głuszy
Serc przyśpieszone tętna. Jak przedziwnie
Pięknym być musi w szrankach popis taki!

Na czele tych rycerzy, Wilhelm, niby
Brzask dzionka w gronie zbladłych gwiazd — i gdyby
Urody mocą wieńce zdobywano,
On by doprawdy godzien był być królem....

Izenburg—o! tam. Lecz nie widzę na nim
Przepaski, którą mu niechcący dałam,
Niby jałmużnę w drogę, pątnikowi
Do miejsc gdzieś zbawczych...

(Cofa się nadąsana).

O! cóż warci owi
Mężczyźni, co się nam pod stopy kładą
Z przysięgą w ustach, a z bluźnierczą zdradą
W nikczemnych sercach?!...

NAWOJKA *(pośpiesznie wchodząc).*

Dziewczę—gdzie królowa?

OFKA.

Co ci jest pani? Drżą ci usta zbladłe—
Policzki płoną.

NAWOJKA.

Pytam — gdzie królowa?

OFKA.

Na wieść, że miejsc tych wrota się dla księcia
Zatrzasły ryglem woli Dobiesława,
Pobiegła, pańskiéj swéj powagi kluczem,
Zamek na ścieżaj przed upodobanym
Otworzyć gościem.

NAWOJKA.

Oby nie zdołała
Tego uczynić! Lecz podobno lepiéj
Gdyby nie chciała. Wczora się zdawało,
Że jużby nawet chcieć nie potrafiła....
Nie należało może zbyt porywczo
Wbrew jéj uznaniu działać. Może sama
Byłaby z własnéj woli... Ale gdyby
Nie miała siły?....

OFKA.

Jest cierpiąca, smutna.
Wczora, z uciechy owéj w dom wróciwszy,
Noc przemodliła całą w łzach i w łkaniu.

NAWOJKA *(chodząc niespokojnie)*.

Co ty wiész dziecko? Gdy ty snem zmożona
Spałaś, królowéj naszéj mimowolnie
Nad ranem łzawe zwarły się powieki.
Wtém, słyszę znagła krzyk jéj, który zmarłych
Mógł z grobu wskrzesić. Wpadam. Po komnacie
Biega, z oczami w słup, z drżącemi dłońmi—
— Matka! — wołając. — Matka moja! Matka!—
Ledwie w czas jakiś dobyć z niéj zdołałam
Opamiętanie — ale słów nie mogłam
Dobyć z jéj łkania, od którego cała
Jak liść się trzęsła. Wreszcie mi kazała
Odejść. I dotąd mniemać tylko mogę:
Że snadź w jéj umysł, niby struta strzała,
Widzenie jakieś wbiło szału trwogę.

OFKA.

Przedwieczny Boże! Jakże jest zwodniczém
Szczęście na szczytach! Anioł jéj obrończy
Niech nam ją strzeże! *(spojrzawszy w okno)*.
Odjeżdżają z niczém,
Źle się rozpoczął dzień ten.

NAWOJKA.

Źle się skończy.
Wieść głucha niesie, że się jakieś zmowy
Na zgubę tego państwa milczkiem knuły
W sąsiadów rzeszy. Sokolniczy Hugo
Pierzchł gdzieś bez śladu. Mówią, że przejęto
Gońca z pismami wielkiéj wagi. Mąż mój
Podobno wykryć miał tę zdradę.

(Wchodzi Jadwiga z toporem w ręku—za nią Dobiesław).

JADWIGA.

Boże
Bądź mi miłościw! *(upuszcza topór i pada na siedzenie)*.
Więcże więźniem jestem
W mym domu własnym?

DOBIESŁAW.

Pani—jam téż więźniem
W domu własnego obowiązku.

JADWIGA.

Prawda.
Tém twardszy pan to — im jest miększy sługa!
Odejdź! Nie wzgardą, lecz politowaniem
Bezlitość twoją płacę ci.

DOBIESŁAW.

O pani!
W twych rąk potęgę składam życie moje.
Dość ci jest wziąść je—a po moich zwłokach
Książe tu wejdzie.

JADWIGA.

Więc do tego stopnia
Go nie nawidzisz?

DOBIESŁAW.

A ty—przebacz pani —
Czy tak dalece kochasz go?

JADWIGA.

Szalony!
Jak śmiesz duchowych oczu twych sztylety
Topić w tajnikach myśli méj? — Niestety!
Pastwić się możesz... jestem bez obrony!

DOBIESŁAW.

O! nie—nie jesteś bez obrony! krocie
Orężnych równie ciałem jak i duszą,
Z krwi serc swych w każdéj chwili dar uczynią
Za tę, co naszéj doli jest władczynią!
I nie mów, że się pastwię. Mém pytaniem,
Chciałem jedynie sędzią między nami
Uczynić własne twe sumienie, które
Po wiekopomnym dziadzie, sprawiedliwość
Wraz z berłem wzięło.

(klękając) O! posłuchaj pani,
Ta głowa, którą do twych stóp dziewiczych
Skłaniam, szronami licznych zim zbielała.
Bom ja, w imieniu ojca twego, z trudem
Królestwa tego rządy sprawiał na to,
By je w twe ręce wiernie zdać. Więc teraz
Czyż mam swéj własnéj zadać kłam przysiędze,
Wiedząc, że, słuszną czynów złych zapłatą,
Z niesławy piętném resztki życia spędzę—
Jak ten wyrzutek z grona współrycerzy,
Co się obronie słabszych sprzeniewierzy?

JADWIGA.

Dość. Wstań. Uznaję praw twych moc zuchwałą,
Która oporu broń mi z rąk wytrąca.
Jest w niéj potęga obezwładniająca,
Od któréj mięknie równie duch jak ciało!
Bowiem—patrz proszę—topór ten, w téj chwili,
Napróżno dźwignąć dłoń się moja sili—
A jednak, użyć gdy mi go wzbroniono,
Z méj woli siłę miał nadprzyrodzoną.

Już sama nie wiem, jak się mogłam na nią
Zdobyć—ja biédna—nie od dziś w méj wierze
Ślubnéj zachwiana...
Ja ci wyznam szczerze:
Tyleż być chciałam wam, co sobie, panią.
Bo czyż przeniknie czyja myśl zwątpiała,
Z jakiém uczuciem do tych szłam podwoi,
Które wprost wiodły drogą ręki mojéj
W królestwo wasze?.. A nuż, gdybym chciała
Sprawić, że one, dłonią moją własną,
Przed nieżądanym gościem się zatrzasną?...

Lecz słusznie znoszę władzy twéj okowy.
Boś ty, ufania skąpiąc twéj królowéj,
Mógł nie uwierzyć, że na waszym tronie
Miłostkom płochym siąść poważnie wzbronię!

DOBIESŁAW.

O pani! Dozwól, abym kraj twéj szaty
Do ust przycisnął! Niech przed Bogiem stanę,
Gdy mam tę pewność, że twój duch skrzydlaty,
To państwo nasze, jak ty młodociane,
Świetlaném w cnoty podrastaniem, będzie
Wieść w dojrzałości szlaki.

JADWIGA.

Nie bądź w błędzie.
Bo proszę—o mnie sąd, mnie zostaw saméj.
Zrządzenia zdarzeń i ich moc—czyż znamy?
Ufna w skuteczność leków, które bolą,
Niech, dobrowolną karcąc się niewolą,
Kobiétę w sobie zmogę, by królową
Wyjść z walki, którą własném szczęściem zową....
Zostaw mię samą.

DOBIESŁAW.

Uspokój się pani.

JADWIGA.
Odejdź. Spokojną jeszcze być nie pora.
Widzisz—ja jestem silnym smutkiem chora,
I—jak są ludzie sprzecznym wichrem gnani
Zdala od lądów—może nazbyt żwawo
Dni złych przedwczesną trwożę się obawą!

DOBIESŁAW.
Boże! W Twych rękach serce się to waży —
Zdarz, by je tchnienie Twe ukołysało,
Jak łódkę, którą toń unosi gładka....

(Wchodzi Dymitr).

JADWIGA.
Mości podskarbi! Z twojéj zbladłéj twarzy
Mój wyrok czytam. Daléj! Uderz śmiało!—

DYMITR.
O pani! chciéj być mężną —

JADWIGA.
Moja matka!

DYMITR.
Jakże? Więc wieść tę czyż ci usta czyje
Już zwiastowały?

JADWIGA.
Nie szczędź słów. Nie żyje!

DYMITR.
Strzeż Boże! Tylko, w drodze w kraj Kroatów,
Zbyt ufna sobie, wrogów nie pamiętna,
W zasadzkę znagła zdradą Bana wpadłszy,
Została ztamtąd wprost uprowadzona
W Nadadryatycki gród —

JADWIGA.
I tam—zabita!

DYMITR.
Pani — któż wieść tę, która zgrozą zgrzyta,
Chytrze ci wmówić mógł?

JADWIGA.
Widziałam sama.—
Z trzaskiem więzienna pękła znagła brama,
I matka moja wyszła ztamtąd — ale
Nóż mając w piersiach — a krwi wrzącéj fale
Szły w ślad jéj....

DOBIESŁAW.
Pani — Bóg cię miéj w swéj pieczy!

Snem przykrym nieraz bywa umysł człeczy
Dręczony marnie, nim się opamięta,
Że jest w przywidzeń uwikłany pęta.
Miałaś już przedtém duszę nadwątlałą,
Ztąd snadź ją zmogło swą przewagą ciało.—
Chciéj oprzytomniéć.

JADWIGA.

Słowo to, nie do mnie.
Myślę i mówię, tak jak wy, przytomnie.
Próżno mię słabém dzieckiem zrobić chcecie.
Jam jest méj matki dziecko — jeślim dziecię!
Mych pojęć wiedzę mam, i mam w mą duszę
Wszczepioną wiarę, z którą zostać muszę:
Że, com widziała poprzez łzy i dreszcze,
Jeśli się dotąd nie spełniło jeszcze,
To się koniecznie spełnić musi.

OFKA.

Biadaż
Nam wszystkim od téj groźby!

NAWOJKA.

Cóż za sroga
Bezlitość zrządzeń!

DYMITR.

O! na imię Boga
Pani — uspokój się.

JADWIGA.

Co? co? powiadasz:
Ja mam spokojną być? A! tak. Być może
Masz słuszność. Jeszcze nie jest czas w téj porze
Załamać ręce. — Ona tam zaledwie
Więźniem dopiéro jest — i ztąd obiedwie
Jednéj służymy doli. — Nie, jam od niéj
Szczęśliwsza jeszcze. Mnie tu jest swobodniéj
W mym własnym domu więźniem być, gdy ona
Wśród wrogów zgrai wbrew czci wszelkiéj kona—
Chcę mówić, hańbę cierpi.

DYMITR.

Pani nasza —
Chciéj wierzyć— ból twój płonnie cię przestrasza.
Myśmy zarówno twojéj rodzicielki
Jak i jéj córy przedostojnéj sługi.
Orężny orszak wyślem, a z nim wielki

Okup — i ona wróci w czas nie długi.
Czyż raz łotrowie w żądzach swych zuchwali,
Celem wyzysku, króle porywali?

JADWIGA.

Dość. Ufam chęciom waszym, i spokojną
Względnie być pragnę. *(do wchodzącego Dowojny)*
Mości nasz Dowojno—
Z czém Waść przychodzisz?

DOWOJNA *(przyklękając)*.

Miłościwa pani—
Czy mi jest mówić wolno?

JADWIGA.

Zawsze wolno,
Gdy z ważną wieścią.

DOWOJNA.

Wieść to, dotycząca
Spraw Państwa.

JADWIGA.

Dobra, czyli zła?

DOWOJNA.

I dobra
I zła. Lecz raczéj dobra—bo jéj dano
Ujawnić zdradę chytrze uknowaną.

JADWIGA.

Więc wnet w téj rzeczy mów swobodne słowo.
Już ja nie córką jestem, lecz królową!

DOWOJNA.

Starać się będę zwięzłym być w téj mierze.
Hugo, na dwór ten, od Wielkiego Mistrza
Z darem wysłany, okiem był i uchem,
Które, dla swego Pana wielce szczerze,
Lecz nie dla cnoty pracowało. Otóż,
Znając go kędyś, Witołd Litwy książe,
W bystréj uwadze drogi jego kręte
Miéć nam zalecił. Więc raz tak wypadło,
Że nam się goniec dostał w ręce, z pismem
Z którego widno. że ten Mnich, nie tylko
Podpatrywaczem, lecz i pośrednikiem
Bywał, w układach tak potwornie czarnych,
Jak więc z czarnością spraw tych, nawet znana
Nie wiem czy czarność zrówna się Szatana!
Oto jest list ów,

JADWIGA *(do Dobiesława)*.

Mości kasztelanie
Proszę—przeczytać zechciéj to pisanie.
(Dobiesław przegląda pismo).

DYMITR *(do Dowojny)*.

Czy zdrajca w pętach jęczy?

DOWOJNA.

Nie. Przeciwnie.
Puszczony wolno. Tylko jego oczy
Pilnie wyjęte z jam, a także uszy
Obcięte krótko, poszły inną drogą
Dojść rąk Wielkiego Mistrza. Książe Witołd,
Przed onym panem, za ten czyn zbrodniczy,
Sam osobiście odpowiadać życzy.

JADWIGA *(do Dobiesława)*.

Cóż tedy Mości czytelniku niemy?
Kiedyż i czego z twych się ust dowiemy?

DOBIESŁAW.

O Pani—daruj, że mną chwiejność miota—
Bo sam już nie wiem, w sposób mam jakowy
Tę rzecz ci wieścić.

JADWIGA.

Żelaznemi słowy—
Skoro z Zakonnym wrogiem tu robota!

DOBIESŁAW.

Gdybyż z nim tylko! Lecz posłuchaj pani,
Od czego Bóg nas ustrzegł. W razie, jeśli,
W zamian za rękę twoją, ślubném wianem
Jagiełło miałby Litwę wnieść nam w darze,
Z wszech stron, wrogowie zgodni, równocześnie
To państwo nasze znagła najechawszy,
Wspólnemi siły zgubę mu przedwczesną
Zgotować mieli.

JADWIGA *(porywając się)*.

Któż są ci związani
Tym ślubem wrogim?

DOWOJNA.

Miłościwa pani
Racz być spokojną.

JADWIGA.

Już po raz to trzeci
Podobne słowo w słuch mój marnie leci.

Strzeż Bóg tych śmiałków, którzy własnéj pani
Swych rad udzielać pragną nie pytani!
Królowa wolę swą chce mieć! Kobieca
Precz od niéj słabość!.. W duszy méj się wznieca
Krwi żądza, zgiełku bitw, i łun płomieni
Przedziwnie pełna. Więc i niepokojem
Mych przodków godnym, serce w łonie mojem
Słusznie narasta... bo je w piersi zmieszczę...
Daléj więc! Któż są trzéj ci sprzysiężeni?

DOBIESŁAW.

Zolner i Wacław Czeski—i—i jeszcze
Jeden... O Pani! Niech cię Nieba strzegą—
Ja—prawdę mówię...

JADWIGA *(głucho)*.

Dość. Imienia jego
Wiedzieć nie żądam *(siada)*.

OFKA *(do Nawojki)*.

O! patrz dobra pani—
Jak ona walczy!—Tylko co się dla niéj
Zatrzasło niebo zgrzytem klęsk, a ona
Została sama, i jedynie na to,
By, zubożona wszelkich dóbr utratą,
Mieć skarb swój w sobie. Tylko co, z jéj łona
Buchnęły krewko wrzące gniewów szały,
I woli przemoc, i wyniosłość chwały,—
A potém pod nią nogi się zachwiały,
I chwilę duch w niéj zdał się być zwiędniały,—
Aż zwolna spokój z twarzy jéj wykwita,
Jak światłość krótko w łonie chmur ukryta,

NAWOJKA.

W swéj Łasce Bóg ją wraz z jéj sercem chowa.
Co ty wiesz dziewczę? przecięż to królowa!

JADWIGA *(po namyśle)*.

Nie wątpię o tém, że was nic nie straszą
Zamysły, które pięść walecznych znęka.
Ja zaś mieć żądam: by ta odtąd ręka
Nie moją była, lecz wyłącznie waszą,
I niech ją od was bierze wraz z jéj panią
Ten, kto najwięcéj dać wam zechce za nią.
Takie królowéj waszéj jest orędzie—
I ta jéj wola niech wam prawem będzie.
(do Dobies.) A teraz—proszę, Mości kasztelanie.—

(zdejmuje z szyi pierścień Wilhelma).

Masz. Oddaj księciu pierścień ten, i powiedz:
Że, w sercu mojém, ślubów z nim grobowiec,
Nieodwołalnie i nieubłaganie,
Sama z méj własnéj cierpkiéj wzniosłam woli—
I że od tego wręcz mię nic nie boli
I nie bolało.—Powiedziałam.—Zaczém
Odejdźcie wszyscy. Sama niech zostanę.—
(wszyscy odchodzą).
Dźwięk słów méj mowy, brzmieniem swém junaczém
Kłamliwie świadczył zaszłą we mnie zmianę—
Bo były one w piersi méj wezbrane
Żywego serca krwią i duszy płaczem.
Lecz mi jest słodką ta mnie saméj zdrada...
Stało się. Tak jest. Precz odemnie blada
Chwiejności uczuć! Bo kto tylko szczerze
Chce panowanie pełnić, ten niezwłocznie
Nad sobą samym niech je w czas rozpocznie,
Aby, w szerokiéj ze wszech względów mierze,
Był własnym władcą—gdy drugiemi włada....
Zaraz. Nim daléj pójdę—niech na chwilę
Śmiertelny całun z moich strat odchylę....
Boże! Tam grobów tyle! zwalisk tyle!
Złudzenia spełzłe i osierocenie,
I zagrożony byt narodu, który
Wianem będący Możnéj Piastów córy,
Ma prawo u mnie być w tém większéj cenie!..
Królowa. Tak jest. Matka rojowiska...
Z méj ręki korzyść lub z niéj spłyną straty.
Więc niech, bogata tém co naród zyska,
Zyskam, by on téż mną być mógł bogaty.
I mniejsza o to, że w téj cudzéj sprawie
Doczesną kaźnią serce sobie skrwawię...—
(po chwili) Jednak, w kobiecie—doli méj dziewiczéj,
W królowéj—żal mi kobiecości mojéj.
Więc, nim z powszednich szat, jak Niebo życzy,
W świąteczny szkarłat duch się mój przestroi,
Czyż dziwno, jeśli przez niedługą chwilę
Skroń mą z korony obnażoną schylę,
I zanim, w cierniach krwawiąc stopy bose,
W odległych dziejów pocznę iść przepychy,
Zdala od ludzkich oczu, w téj tu cichéj
Samotni, rzewnym płaczem się zaniosę?!...
(wybucha łkaniem i osuwa się na kolana).

Boże mój! Boże! Ty, Twéj wiernéj słudze
Daj tylko pracy nie dość krzepkiéj trwogę!
Niech się nad siły, niech się na śmierć strudzę—
Byle z méj ręki kwitły szczęścia cudze,
Skoro własnego szczęścia miéć nie mogę! *(wstaje).*
Giń we mnie przeszłość, przyszłych dni przemocą!!

(spostrzegłszy Piesia, który od niejakiego czasu wszedł był i stał w głębi:)

Ty chłopcze tutaj? Jakżeś wszedł i po co?
Oddal się. Widzisz—mógłbyś się daremnie
Trudzić, i także mnie utrudzić. We mnie
Już nie ja jestem. Ja ci nawet powiem:
Idź, weselszemu panu służyć—bowiem
Tak spochmurniały życia mego dzieje—
Że się już nigdy więcéj nie rozśmieję....

PIEŚ *(u nóg jéj).*

O! nie odpędzaj mię królowo! Błagam cię—panowanie twoje od miłosierdzia rozpocznij. Bóg ci to policzy. Dokądże ja pójdę od ciebie, i czy doprawdy żal ci nie będzie, żeś mię odepchnęła? Pamiętasz—kiedyśmy oboje dziećmi byli—chłopiątko do zabawy wam oddane, psem waszym bywałem, koniem, sokołem, kanclerzem, czasem nawet Rządcą kraju. Szczuto mną, jeżdżono na mnie, jeślim źwierza udawał—w dyby kuto, biczem ćwiczono, na śmierć skazywano, jeślim był niby wiernym poddanym. Do tego, karał mię jeszcze Ochmistrz, gdyście grzeczni być nie chcieli. Jednak, podczas gdy drudzy nademną się pastwili—tyś mię zawsze broniła Więc za to teraz, kiedy smutną rzeczy odmianą wypadło, że ty karku przed przeznaczeniem ugiąć musisz, i kiedy okoliczności nad tobą się pastwią—to widzisz, ja z całéj duszy chciałbym twym obrońcą zostać. Kto cię chwilami od siebie saméj oderwie? Kto przed tobą chytrych obnaży? Kto dopilnuje, żeby ci tylko prawdę mówiono, jeśli ja precz pójdę?—O! nie zdejmuj mi z karku twéj obróży! Przecięż ja na tych tylko zęby wyszczerzam, którzy tobie szkodzą. I teraz oto—patrz—ja całuję nawet kopnięcie twéj stopy—bo kopnięcie to z bólu twéj duszy wyszło—czyż ja tego nie zgaduję? I także, bo stopa twoja, to taka, z poprzed któréj należy zdmuchiwać pył ziemski, jako nie godny, żeby po nim stąpała—czy to ja tego nie wiem?—Więc cóż? Jeśli odejdę—czy mię choć przywołasz znowu?...

JADWIGA.

Nie—nie odejdziesz—o ty dobry człecze!
O ty mój wierny w dniach wichrzącéj fali!
Myśmy dziś niby, znów jak niegdyś mali,
Ty ze mną—w twarz nas wpólny wiatr niech siecze—

I gdy chcesz serca mego mieć podziękę,
To mi nie stopę, lecz ucałuj rękę.
Tylko że—że odkąd Nieba mi królową
Być nakazały—dziwniem zubożała—
Bo jest już cudzą hojność moja cała.
Jednak mię jeszcze stać na dobre słowo—
Więc w imię moje, niech ci Bóg zapłaci
Za mój brak szczęścia, szczęściem twych współbraci!
(podaje mu rękę do pocałowania i wychodzi).

PIEŚ.

Jakże okrutnie sprzecznych Zrządzeń władza
Po téj życiowéj łące się przechadza,
Kędy kwiat kwiatów, poprzez rosy łzawe,
Słońcu się szczęścia w blaskach tęczy cieszy!
Ten, wyróżniony znagła z licznéj rzeszy,
Bywa koroną w dół wdeptany w trawę,
I gdy się dźwignie, zgiętą mając szyję,
Już się nie cieszy—tylko daléj żyje.

Był słyszę taki, co się śmiał—a drugi
Taki, co ciągle łez wylewał strugi,
Patrząc na dziwne świata tego sprawy.
Któryż miał słuszność? Trzeci znów ciekawy
Znalazł: że równie w dole, jak na szczycie,
Ni łez, ni śmiechu, nie jest wartém życie;
Bo zbyt poważny wróg to, by bezkarnie
Drwić z siebie dawał—a zaś godność na tem,
Byś, zacisnąwszy zęby, szedł przed katem,
Jak ten, co w siebie wszelką myśl swą zgarnie.
(siada) To—mówił Mędrzec. Ale trefniś głupi,
Gdy raz uwagę rozstrzeloną skupi,
I tam wzrok wlepi, gdzie, w wyniosłym stanie,
Bez tronu nawet, mają królowanie
Młodość i piękność którym świat się śmieje—
I gdy ich wiary ujrzy i nadzieje,
Niby mydlane bańki, wskróś przekłute
Przez rozpacz niemą, która w sposób cichy
Stawia nieszczęściu krnąbrną czoła butę—
To mu na piersi drgną błazeńskie szychy,
To się zatrzęsą na nim dzwonki z miedzi,
I ten człeczyna, w którym serce siedzi
Nie bohaterskie żadne lecz prostacze,
Czy chce czy niechce, głośno się rozpłacze.
(Zakrywa sobie twarz rękami. Wchodzi Gniewosz).

GNIEWOSZ.

Mości wesołku — waszmość płaczesz widzę?

PIEŚ.

A! w istocie. No, proszę cię — nawet nie uważałem. Już to u mnie, na dnie szklanki, żeby nie powiedzieć dzbana, rozrzewnienie i serdeczność z lubością gościć zwykły. Ot i teraz — pozwólno tylko. Niby patrzę na ciebie przez obwarzanek z świńskiego ogona, i wydajesz mi się nieprzymierzając, jak pasterz Arkadyjski, godnym zazdrości hultajem. *(śpiewa):*

Hej pasterzu! hej ty bosy!
Postój no tu z łaski swojéj.
Cóż to? widzę masz dwa nosy?
Nie—to mnie się w oczach dwoi.
Co u licha? Co u licha?
A tu kufel wciąż wysycha.

GNIEWOSZ.

Wstydź się. Tu — wobec dworu? Gdzie królowa?

PIEŚ.

Niestety! Nie przezemnie już do niéj droga. Nie pamiętasz ty: czy to dla tego mię odprawiła, żem się upił, czy téż dla tegom się upił, że mię odprawiła? *(śpiewa):*

Hej pasterko! hej ty bosa!
Na tém wzgórzu w dół zapadłem,
Cóż ty stoisz tak z ukosa?
Nie — to ja chcę stać, a siadłem,
I przysiadłem sobie nogę,
Więc choć chciałbym wstać — nie mogę.

GNIEWOSZ.

Nie mam co gadać z tobą dłużéj.

PIEŚ.

Czekaj.

Jeszczem nie skończył. Warto słuchać daléj,
Poczém już mądrze będziem rozprawiali.

(Śpiewa znowu).

Czyście tańcem Wita tknięci
Wy bez butów tam pasterze?
Nie — to mnie się we łbie kręci.
Szczęściem oto w rowie leżę,
I mam wody aż do kostek,
A pod głową zgniły mostek.

A teraz — pomóż mi wstać. Nie chcesz? No, to się bez ciebie obędę. Ty zaś, nie wiem, czy sobie bezemnie dasz radę .Jak widzisz, dobrze jeszcze na nogach się trzymam — z tego powodu możesz mieć do mnie zaufanie. I także nie jest prawdą, żebym miał królowę w trąbę puścić, więc mi się jeszcze kłaniać możesz. Wiem, po coś tu przyszedł—ale nie wiem, czy się jeszcze na co przydasz komu.

GNIEWOSZ.

A to dlaczego?

PIEŚ.

Bo ten zbyt ciekawy
Dowojna, wetknął nos w nie swoje sprawy.

GNIEWOSZ.

Słyszałem o tém coś, i przyznam chętnie,
Że się zasłużył dobréj sprawie, skoro
Obłudzie z twarzy maskę zdarł, i zbrodnię
Spełnić zapobiegł.

PIEŚ.

Mówisz jak z Psałterza.
Jednak to Litwin — dzik i wilcza dusza.

GNIEWOSZ.

Jest chrześcianinem.

PIEŚ.

No tak. Tylko szkoda,
Że nie z krzyżackiéj sfory.

GNIEWOSZ.

Trudno ztamtąd
Chrztu się doprosić. Toćże go Jagielle
Zollner odmówił.

PIEŚ.

Zrobił bardzo słusznie.
Bo nawrócona Litwa — to mysz w norze,
Bezpiecznie sobie drwić mogąca z kota,
Który ją w polu wziąwszy w garść, łaskota
Pazurów cnotą, mrucząc w Imię Boże.

GNIEWOSZ.

Byle nie na śmierć — aby jak najdłużéj
Przed światem świadczyć mógł, że Bogu służy.

PIEŚ.

Co? co? No proszę — rozmawiamy tu sobie jak nieprzymierzając dwaj dobrani mędrcy — tylko com nie powiedział, śmieszkowie. Bo nie chwaląc się, niedawno temu, kiedyś o tych samych rzeczach z porywczą Nawojką rozprawiał, pamiętasz, rozbrajać was musiałem. Teraz zaś, jak widzę, dalibyście sobie buzi w imię Perkunasa.

Hej! hej! Mosanie! Ledwie że nadążę
Basować waści. — No, a cóż twój książę?

GNIEWOSZ.

Mój? Wcale nie mój. Dałby Bóg, by długo
Był swoim własnym. Jam królowéj sługą,
I zawszem pełnił, co się jéj być zdało
Z pożytkiem państwa —

PIEŚ.

I z twą brzmiącą chwałą.

Słowem—jesteś wzorem figlarzy. Ha! ha! Jeśli mię kiedy królowa na prawdę przepędzi, ja cię jéj na moje miejsce zalecę. Licz na to. Co zaś do tego księcia, który, jak mówisz, nie jest już twoim, to znajduję, że trochę za głośno się on modlił codzień: — Święć się imię moje, przyjdź królestwo moje, bądź wola moja. — Bo oto stało się znagła, że nie będzie po jego woli, że królestwo do niego nie przyjdzie, i że nie święci się też jego imię, gdyż wątpić nie należy, że go teraz Mistrz Krzyżowy, po niejakim namyśle, do wszystkich dyabłów odeśle. Więc, jak się patrzy, nie tęgim ty byłeś dziewosłębem. I nawet, wogóle, nie bardzo ci radzę daléj na téj drodze chleba czy dorobku szukać. Bo zważ tylko, jak to po świecie bywa:

Swą babę Bartek wybił żwawo,
A potém układł się pod ławą,
Lecz nos ma zakrwawiony.
I żadne z nich nie wyszło cało —
A przecięż męża jéj się chciało —
On zaś zapragnął żony.

GNIEWOSZ.

Z nas każdy przecię, tak jak umié, szczerze,
I z dobrą wolą działa w dobréj wierze.
Mylić się mogłem — ale nikt nie powie,
Bym co innego w sercu miał, jak w głowie.

PIEŚ.

Wybornie. Mówiłeś dotąd jak książka, a teraz wyglądasz jakby złocona jéj oprawa. *(Obejmuje go za szyję)*.

Niech w świat niewdzięczny wszystkie klęski grzmocą,
Ja się nie zgorszę ducha twego mocą!
Niech ludzi wszystkich wszyscy dyabli biorą,
Byleś słabości mojéj był podporą!

(Ugina go pod swoim ciężarem i tak wychodzą).

Felicyan.



ZASIEDLENIE UKRAINY.

(Dokończenie).

„6. Wypadki epoki Chmielnickiego, ogromne bitwy i powszechna walka ludu zmniejszyły na nowo zaludnienie południowo-zachodniéj Rusi; lecz zwycięstwa Bohdana za to ściągnęły ku Ukrainie nowych wysiedleńców z innych części litewskiego—powiada szan. profesor—państwa, tak że w czasie przyłączenia Małorosyi do państwa moskiewskiego zaludnienie tego kraju okazuje się (1654) bardzo znacznèm. Powtórne zajęcie prawobrzeżnéj Ukrainy i zaszłe ztąd zamieszki drugiéj połowy XVII-go w. wywołały tu na nowo zmniejszenie ludności przez uchodzenie jéj na moskiewską słobodzką ukrajnę. Wprawdzie nowemi nadzwyczajnemi swobodami, panowie polscy znowu (w początku XVIII-go w.) przyciągali do siebie osadników na prawy brzeg Dniepru, pomiędzy innymi i takich, którzy wstąpili byli w granice Rosyi, lecz potém po upływie terminu zwodniczych swobód wróciła stara klęska polsko-kozackich niesnasek, tępienia się wzajem dwóch narodów słowiańskich w bratobójczéj rzezi (hajdamaczyznie). Ruch kolonizacyjny ku stepowym okolicom, ku morzu Czarnemu z téj strony ustał.“

Prawdziwe wogóle i smutne fakty; ale podniesienie hajdamaczyzny na taką wyżynę, na któréj wygląda ona, jako poważna walka narodu z narodem co najmniéj nieuzasadnione. Przez cześć dla narodu mało-ruskiego za reprezentantów i paladynów jego hajdamaków uznać nie możemy.

„7. Ostateczne zasiedlenie stepów do mórz Czarnego i Azowskiego dokonaném zostało już siłami państwa rosyjskiego, które w połowie XVIII-go w. ogarnęło swemi noworosyjskiemi koloniami południowe granice państwa polskiego, tak iż jeszcze za istnienia

Rzpltéj misya jéj kolonizacyjna ostatecznie została ustąpioną przez nią sąsiadce."

My ze swéj strony dodamy tu tylko: tak, ustąpiła Polska swéj misyi tutaj jako Rzplta, ale wcale jeszcze nie jako naród etnicznie wzięty. Któż nie wié, ile to żywiołu polskiego zaginęło w pracy osiedlenia stepów chersońskich; któż nie wié, jakie tam, pod sterem już rosyjskim, cywilizacyjne i kolonizacyjne zasługi Polaków, na nieszczęście ze szkodą ich narodową!

Po roztoczeniu tez powyższych, w których się streszcza zapatrywanie się badaczy szkoły mało-ruskiéj na sprawę kolonizacyi Ukrainy, p. Władimirskij-Budanów zamyka rzecz następnemi jeszcze uwagami:

„Z ogólnego powyżéj schematu ruchu południowo-ruskiéj kolonizacyi uwydatnia się, jako fakt uderzający żywotność i wytrzymała energia plemienia południowo-ruskiego. Ruski naród cały jest *per excelenciam* narodem kolonizatorskim; lecz południowo-ruska gałąź onego, nie mając zdolności pochłaniania w sobie obcych żywiołów i zwiększania się obcoplemienną domieszką, z saméj siebie wydobywała siłę, przeciwdziałającą nieprzerwanym ciosom wstrząsającym, zadawanym jéj od połowy XIII-go w. po w. XVIII-ty i nietylko nie zaginęła, lecz wyniosła nawet z téj otchłani mąk 400-letnich swój czysty ruski typ etnograficzny, nie dostrzegalny chyba tylko dla uprzedzonych oczu jakiego turanisty lub negowany wskutek z góry powziętéj teoryi. Może to być zaś sprawdzoném przez każdego nietylko w tych częściach Rusi południowéj, które wchodzą obecnie w skład państwa rosyjskiego, lecz i w krainie, od XIV-go w. i do dzisiejszego czasu od niego oddzielnéj (Galicyi). Z drugiéj zaś strony w historyi narodowości polskiéj uderza widoczna mała zdolność do ruchu kolonizacyjnego; nie tylko obcoplemienne krainy przyległe Polsce (litewskie, rumuńskie, tatarskie) nie doświadczyły żadnego przewrotu plemiennego skutkiem sąsiedztwa i długotrwałego panowania Polski, lecz ziemie ruskie, zostające dawniéj częścią pod wpływem, częścią pod władzą Polski, nie przedstawiają nigdzie ani pozoru polskiéj kolonizacyi ludowéj. Jedynie klasy wyższe (nadto bardzo nie dawno) przybrały polskie oblicze, co, oczywiście nie wchodzi w zakres idei ludowéj kolonizacyjnéj działalności.".

Zanadto tu poważne potrącono kwestye etnologiczne i historyczne, ażebyśmy na zamknięcie i nad niemi nie mieli się zatrzymać·

Żywotność i wytrzymała energia plemienia mało-ruskiego zaprawdę uderzające! Przyznajemy mu je, jako ludowi, nawet w wyższym stopniu, aniżeli sami domniemani jego przedstawiciele.

Zgoda i na to, że naród ruski, w najobszerniejszém tego terminu znaczeniu, grupowém, genetyczném, jako cały odłam wschodni szczepu słowiańskiego jest narodem *per exc.* kolonizatorskim. Mniejsza, iż wiele tu zaważyło w wyrobieniu tego usposobienia samo położenie geograficzne i stosunek etniczny, duchowy do obcoplemiennych sąsiadów. Nawet najmniéj rozpierający się Białorusini i ci zdobyli na zewnątrz na Litwinach wierzchowiska Wilii i Niemna; Małorusini nieporównanie energiczniejsi czy szczęśliwsi od nich.

Ale żeby Rusini południowi nie mieli zdolności pochłaniania w sobie obcoplemiennych żywiołów, pomnażania swéj siły przymieszką obcoplemienną—to chyba tylko przy zapomnieniu historyi i statystyki obecnéj chwili dało by się upozorować; nie mówiąc już o tém, iż najniepotrzebniéj robi to ujmę sile przyciągającéj ludu małoruskiego. Nie masz bowiem może wśród ludów słowiańskich ani jednego, coby w takim stopniu posiadał siłę, pochłaniającą zapadłe w ich łono żywioły obce, byle kulturą swą nie wyższe, jak lud południowo-ruski właśnie. Ileż to przeróżnych drobnych plemion turskich nie rozpłynęło w jego masie za prastaréj doby dziejów! Gdzie się podziały wszystkie owe, różnych nazw szczegółowych. Czarne Kłobuki? A przez Zaporoże—ile to żywiołów obcoplemiennych w zaczyn ten słowiański nie wsiękło? Kogóż bo tam nie spotykamy: Tatarów, Wołochów, Ormian! A z drugiéj strony w stosunku do pobratymców—gdzież zatonęły owe fale całe spływającego nieustannie w dobie litewskiéj i późniéj, z góry prądami Dniepru, ludu białoruskiego? Kto wznosił Czerkasy a może i inne zameczki po Dnieprze, jeśli nie „dobroderewcy“ Białorusini, obowiązani zasilać go nadto? Zburzony zamek w Bracławiu, w. ks. Aleksander, przybywszy tu „so wseju zemleju litowskoju“, oprawił „ludmi litowskimi“. A tych ludzi litewskich, niewątpliwie Krywiczan przeważniéj, zastrzęgało na Ukrainie, w ten lub inny sposób, wcale nie mało. Lecz to nic jeszcze. W kogoż się zamieniła przemożniejsza część ludowego wychodztwa polskiego—(włościan, mieszczan i szlachty drobnéj), które całe stulecia posuwało się wciąż ku Ukrainie, jeśli nie w Rusinów, ledwie pamiętających rodzinne swe tradycye? Jakiż to nadto procent rodzin szczero-polskich z pochodzenia—takich, które jeszcze tylko obrządkiem wyróżniają się od ruskiego gminu. Kto zna Ruś południową oddawna i patrzy na życie bieżące, ze zdumieniem przychodzi do przeświadczenia—co téż to za liczba ogromna jednostek i rodzin polskich, w jego własnych oczach, zanikła w toniach mało-ruszczyzny! Nie paradoks i to—bardzo poważna część duchowieństwa prawosławnego na Wołyniu i Podolu, rodzin byłych

uniatów, jest pochodzenia czysto-polskiego, świadczą o tém ich nazwiska i tradycye familijne. A zwróćmyż się teraz na stepy nowo-rosyjskie—ileż to tam żywiołu polskiego zatonęło, spływają tylko wierzchem nazwiska polskie, i nie tylko szlacheckie—jakby na świadectwo. A daléj—w co się tam zamieniła głośna Nowo-Serbia, nawet na mapach etnograficznych, jako wyspa na ruskim morzu długo zaznaczana; tyleż śladu po niéj co po polskich wysiedleńcach. Wszystko Ruś pochłonęła. Jeden Bułgar staje odpornie względem Rusina, wyższy odeń kulturą i pracą a wręcz odmiennéj natury. Wołoszka nagnie go do swego obyczaju, ale co do języka ustąpi. Że „ruskij czeławiek"—„kacap" nie podda się w niczém „chochłowi"—rzecz zrozumiała: czuje się on być członkiem panującego narodu a na południu najczęściéj różni się od Rusina wyznaniem; zresztą góruje może nad nim większą jeszcze żywotnością narodową.

Potężną więc była i jest, mimo wszystko, siła asymilacyjna mało-ruskiego żywiołu. Ale żeby naród południowo-ruski miał w przeszłości być winnym wszystko samemu sobie jedynie, żeby z samego siebie miał był wydobyć siłę, dającą mu możność stawienia czoła wszelkim ciosom, jakie weń uderzały „od połowy XIII-go do XVIII wieku", to i na to, tém bardziéj, w imie historycznéj prawdy, zgodzić się nie możemy. Gdy idzie o to, że „Ruthenia fara da se", najszczersze tylko jéj życzenia złożyć gotowiśmy; lecz gdy nam chcą wmówić, że ona też i w przeszłości wszystko „a fatta da se"—to „scusate"! Po rozgromie mongolskim, Ruś ukrainna bez Litwy nie dała by sobie rady. Nie dla zasady: co się stało, stać się musiało—to twierdzimy. Za pierwsze podanie sobie ręki, za pierwsze swe podźwignięcie, Ukraina obowiązana jest nieskończenie żywiołowi krywickiemu, stanowiącemu podstawę narodu białoruskiego. Białorusini to przeważnie, prowadzeni przez Gedyminowiczów, wyparowali ze średniego Dniepru Tatarów, powznosili zamki nad jego brzegami, i ośmielili ludność rozpierzchłą. Wątpliwe też bardzo, czy bez Białorusinów zdołałoby spotężnieć i Zaporoże, zasilane nieustannie dopływem niemałego kontyngensu Siewierzan, Smolan a może i dalszych Krywiczan. Co to mówić: teraz jeszcze nie kto inny przecie młodego badacza przeszłości bractwa zaporoskiego przewiózł przez groźne zawsze „porohy", jak dzielne „Litwiny", ciż sami dawnych lat „dobroderewcy"—sam on dawał im chlubne świadectwo na zjeździe archeologicznym w Odesie 1884 r. Dziś, gdy każdy, nawet akademicznie, w przeszłości, ujmuje się za swojém, za prawdą, wypadałoby, aby należyciéj wykazano wagę i narodu biało-ruskiego w ogólném życiu Litwy i Rusi. Z drugiéj znów strony, a co ważniej-

sze, nie stałaby się Ruś południowa bez Polski tak wcześnie uczestniczką cywilizacyi zachodniéj. Cokolwiek by o niéj powiedziéć można, była ona zawsze cywilizacyą taką, na jaką się ówczesna Europa zdobyć mogła. Cywilizacya ta, przyswajana, przeobrażana nad Wisłą, wkraczała na Ruś, jako polska, czy ją tam wnosili aryanie czy jezuici; a więc obcą, nie ruską. Jeżeli Ruś wszakże posiadała siłę wytwarzania wszystkiego sama z siebie, dla czego również nie przyswoiła sobie bezpośrednio pierwiastków ogólnych cywilizacyi i nie wytworzyła sobie właściwéj cywilizacyi ruskiéj? Przecież środków po temu by jéj nie zabrakło—jéj liczni a potężni kniaziowie i ziemianie przed unią 1569 r. jeszcze nie byli spolszczeli. Nie stało się tego jednak; cywilizacyi samoistnéj Ruś południowa sobie nie wytworzyła. Bo nie była w stanie! Musiała więc przyjąć taką, jaką jéj Polska podawała: tak — tylko podawała, nie zaś narzucała. Niezawodnie byłaby ją Ruś odparła, gdyby miała siłę ową. Tymczasem na pogrzebie Bohdana Chmielnickiego pisarz wojska zaporoskiego, Zorko, przemawia po polsku; książki polskie drukują w Nowogródku Siewierskim; małorosyjscy już skrybenci czyny młodego cara Piotra sławią nie inaczéj, jak po polsku. Tém łatwiéj to zrozumiéć, gdy dodamy, że siostra tegoż, carewna Sofia, modli się na książce polskiéj (nie katolickiéj oczywiście). Zaprawdę—inaczéj by się całe dzieje Rusi zwróciły, gdyby w narodzie jéj była istotna świadomość jego siły.

Owe zaś 400-letnie męki — dopiéro od połowy XIII w. poczynające się—istotnie doba to bardzo, bardzo smutna w dziejach południowéj Rusi. Ale naprawdę: czy miałaby ta doba tak wielce czego zazdrościć dobie ją poprzedzającéj — wątpliwa. I czegóż by zazdrościć? Oto idylla przeszłości téj, oto obraz jéj ujmujący: bracia książęca w najlepsze morduje się i oczy sobie łupi; mordują téż książęta i bojarów po kilkuset odrazu, ale zato ich synowie tychże książąt na szubienicach wywyższają, wszędy wesoło przy łunach połowieckich, wśród tańca z Połowcami! A smerdowie? — o gmino staro-ruska, o przedmiocie westchnień dusz młodocianych, jakże i w łonie twojém daleko od błogiéj sielanki: smerd co prawda nieraz probuje podnieść głowę, ale napróżno; dopiéro od przyjścia Mongołów uczuł się on swobodniejszym—o zgrozo, gdy kniaziów a bojarów trochę przetrzebiono. Chociaż i wtedy nie bez pieśni w życiu i pieśni pięknéj „o pułku Igora"; i nie bez pociechy religijnéj—ojcowie peczerscy wciąż modlą się a modlą za grzesznych! Miałażby może doba ta mąk 400-letnich zazdrościć dobie po-perejasławskiéj: nie nam nie uczestniczącym w tych błogościach sądzić; choć zresztą wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Dodać tu nadto wypada, iż owa otchłań mąk 400-letnich, owe „gorniło iztiazianij“, jako charakterystyka epoki, jako dominująca barwa obrazu, trąci nieco znaną dobrze frazeologią wątpliwéj szczerości, nie mogącą mićć nic wspólnego z powagą surową historyi. A przecie naród południowo-ruski nie tylko że „wyniósł“ z téj otchłani swój czysty typ etnograficzny; lecz co więcéj, pracy i owym mękom tych 4-ch stuleci typ ten swój zawdzięcza!

Czyż istniał bowiem przedtém typ ten, tak skończenie zarysowany w życiu i przeświadczeniu? Czy w chaotycznym konglomeracie rurykowskiéj rzeszy przeróżnych plemion wschodnio-słowiańskich i obcych plemiona południowe czuły się bliższemi między sobą wzajem, na wyciągniętéj linii od Sanu po za Trubeż, jak każde z osobna, ku swemu sąsiadowi o miedzę innego etnograficznego odcienia? Czy taki Polanin perejasławski czuł bliższe swe krewieństwo z Chrobatem przemyślskim, jak z Siewierzaninem Nowogródka? Poczucie odrębności grupowo-etnograficznéj nie wydostało się było jeszcze z pod powagi imponującéj przeświadczenia solidarności ogólnéj, polityczno-kulturowéj względnie rodu Ruryka i cerkwi. Nawet za czasów litewskich, przy zbliżeniu się ściślejszém dwóch odłamów staréj Rusi w jedném bardziéj spoistem teraz państwie oraz prądzie osadniczym z północy litewskiéj ku południowi — zgoda — możeby się i mógł wyrobić z czasem jeden ogólny ruski typ ludności, gdyby nie system polityczny w. księstwa, dozwalający szerokiéj autonomii odrębnych krain; ale cóżby na tém pochłonięciu Ruś południowa wygrała? W warunkach zaś faktycznych, czémże był ów oficyalny „naród ruski“, „język ruski“? Ani Białorusin, ani Małorusin z osobna, jako do swego wyłącznie dońby się nie przyznał. Powoli wyosobnienie niemal autonomiczne ziemi wołyńskiéj, potém oderwanie całego pasu południowego od Litwy i zetknięcie go ściślejsze z Rusią Czerwoną w jednéj prowincyi małopolskiéj skutkiem unii 1569 r. — to dopiéro zdecydowało wytworzenie się wśród mieszkańców ziem południowo-ruskich przeświadczenie swéj względnéj bliższości, prowadzące w ostatecznym wyniku i do wyraźniejszego uznania swéj odrębności narodowéj. Z czém też zarazem z popod oficyalnéj bezpłodnéj wszechrusczyzny ówczesnéj począł wykwitać samoistny język małoruski, który z nizin warstw wieśniaczych zdołał się był widocznie przecisnąć i na zamki kniaziowskie. Co więcéj, język ten, mimo niepowstrzymanego niczém przyswajania przez klasy wyższe cywilizacyi zachodniéj w postaci polszczyzny, stał się zarazem wśród nich-że samych skarbnicą, w któréj spoczął zaczyn i kultury samoistnéj.

Tak—niezaprzeczenie, przy obumieraniu staro-rusczyzny, która straciła była już całą swą żywotność, jeśli ją kiedykolwiek istotnie miała, pierwéj pewnie nawet nim kultura polska przenikła między warstwę ziemiańską dalszéj Rusi, zakiełkowuje w niéj to, coby można było nazwać zaczynem samorodnéj i samoistnéj kultury południowo-ruskiéj. Wkraczająca w głębie społeczeństwa ruskiego, przez warstwy pierwotnie najwyższe tylko, cywilizacya zachodnia nic temu zwrotowi ku usamoistnieniu się nie przeszkadza; owszem samochcąc pomaga może. Wysoce wojenny, prawdziwie rycerski nastrój warstw wyższych całéj Rusi południowéj, przy wrodzoném usposobieniu poetyczném jéj mieszkańców, zapala, jak wszędzie tak i tu, umysły bohaterstwem, porywa serca ku pieśni. Zabrzmiała surowo — poważnie smutna duma historyczna, przepełniona zarazem najrzewniejszym liryzmem. Bardowie i słuchacze ich wieńczący są to oczywiście przedewszystkiém rycerskie syny ziemi wołyńskiéj, poważni i kozakujący, a miejscem popisu nie tylko obóz wojenny, lecz i komnaty zamków kniaziowskich. Był to niby dalszy ciąg dumy o pułku Igora, lecz bardziéj już samoistnéj, nie tylko co do języka. Gdy zamki dla niéj z czasem zobojętniały, żywiło się nią i uprawiało daléj kozakujące ziemiaństwo—zabrzmiała ona na Zaporożu. Gdy i tam przycichła, wtedy już lirnicy ludowi podchwycili ją obumierającą i lud ją zatrzymał w swéj pamięci — choć i automatycznie tylko. Zatrzymał—razem z niewyczerpanym skarbem lirycznéj swéj muzy, w któréj jakby zaklęta, spoczywa potężna siła samodzielnego duchowego odrodzenia się narodu, bez któréj przyswojone nabytki ogólnéj cywilizacyi europejskiéj bezskutecznemi, w znaczeniu nacyonalném być by musiały. Wszystko to zaś właśnie dała Rusi owa, tyle potępiana specyficzniéj, epoka mąk i niedoli, których sprawcą nie było zresztą społeczeństwo polskie, przebywające jednocześnie, jako lud, swoje męki czyścowe!

Zamykając ostatecznie rozważaną wyżéj kwestyą, jeszcze mocniéj teraz poprzemy tezę szan. profesora, że naród południowo-ruski nic nie uronił ze swego czysto-ruskiego typu etnograficznego w owéj epoce długiéj niedoli, mimo wszystko, coby tam o tém jakaś turańska czy inna teorya podawać mogły. Nie inaczéj! Wprawdzie absolutnéj niezmienności typu w ciągu długiego życia jakiegoś historycznego narodu utrzymywać niepodobna. Ale przecie! Południowe plemiona Słowian wschodnich stanowiły odrębną grupę etnograficzną już do przyjścia Rusów. Dla wątpiących dość będzie może, gdy wśród wielu wskażemy choć na jeden fakt bardziéj prosty, jasny, niezawiły: wiadomo naprzykład, iż lud Polesia litewskiego należy do dwóch różnych etnograficznych typów: na Pole-

siu dolném, mozyrsko-rzeczyckiém, bliższém Kijowa do typu biało-ruskiego, na górném zaś, brzesko-pińskiém od Kijowa dalszém do typu małoruskiego. Gdyby to się miało stać skutkiem jakich wpływów czy wypadków późniejszych, toć w każdym razie w znanych dziejach Rusi ślad by tego jaki pozostał! Żaden pierwiastek obcy nie wdarł się wszakże na Polesie dolne, aby typ etnograficzny ludu tu zmienić—typ zresztą wspólny całéj grupie białoruskiéj. A ponieważ typ ten jest takim, jakim jest, t. j. zupełnie odrębnym od małoruskiego, a nadto podchodzi z północy bez mała pod same mury Kijowa, nie ustępując nic jego wpływom, więc istniał on tu takim odrębnym od czasów przedhistorycznych; gdy Kijów, z drugiéj znów strony był tu ostatnią strażnicą, wysuniętą ku północno-wschodowi grupy południowéj, równie wyosobnionéj w zamierzchłych już czasach. Pierwotny typ ogólny południowo-ruski musiał się jednak zmienić nieco w ciągu dziejów. Nie tylko, że się oddalił bardziéj jeszcze od biało-ruskiego, ale jeszcze zróżniczkował się — jeśli wolno tak powiedziéć — sam w sobie. Na Ukrainie oddziałał niezaprzeczenie przypływ krwi turańskiéj; na Czerwieńszczyźnie nie mógł nie oddziałać silniéj jeszcze widomy tam od wieków wpływ lechicki. Wpływy to wszakże etnograficznie nieznaczne, nie zmniejszające czystości ruskiego charakteru, nawet w obliczu Białorusów, słabo tylko tkniętych krywejtowską litewszczyzną. Utrzymał się tedy mimo wszystko samoistny typ nawet w „odcudzonéj“ od XIV w. Galicyi, wycieniował się, wyrobił się duchowo i wzbogacił zasobami dla dalszego właściwego mu rozwoju. Tragiczność doli społecznéj wypiętnowała się w literaturze, w pieśni; niechże historyografia narodu tak żywotnego mniéj już uderza w żałobny ton sentymentalizmu!

Przechodząc następnie ku charakterystyce narodowości polskiéj, w stosunku do ruskiéj, co do zdolności ich osadniczo-ekspansywnéj, p. Władimirskij-Budanow zaznacza słusznie uderzającą małozdolność żywiołu polskiego do kolonizacyjnego ruchu. Istotnie—lud polski jest wielkim domatorem, poruszać się bez ostatecznéj konieczności nie lubi. Opuściwszy chałupę własną, w rozproszeniu między żywiołem obcym łatwo daje się asymilować i ginie. Podobny pod tym względem zupełnie do ludu małoruskiego, a może i każdego ludu. Tam jednak, gdzie posuwa się ławą, opierając się plecami o stare swe siedziby, tam trzyma się twardo—dowodem Podlasie mazowieckie i mazursko-pruskie. Nie łatwo też daje się zalać obcym falom większa wysepka szczero-polska, jak na Rusi Czerwonéj i Podolu. Na nieszczęście tylko lud polski mało się wysiedlał gromadnie, posuwać się ławą nie miał kędy, nie siedział u między

z ruchliwymi koczownikami, nie miał u swych rubieży ani stepów, ani przestronnych puszcz nawet. Gdy mu się zaś rozwarły na oścież wierzeje osadnictwa, przez zuniowanie się Korony z w. księstwem litewskiém, tylko wolne warstwy ludowe, a więc drobno-szlacheckie przeważniéj, posunęły się ku wschodowi bardziéj tłumnie. Przyczyniły się one z czasem do polonizacyi odpowiedniéj sobie położeniem warstwy litewskiego i ruskiego bojarstwa; ale gromadniejszemi nad rozproszone zaścianki osadami rzadko się sadowiły. Wychodźtwo to wolnego szlacheckiego i mieszczańskiego ludu, mimo zmieszania się z ludnością miejscową, utrzymywało do upadku Rzplitéj, nawet i na dalszéj Rusi południowéj, mocno cechy swe narodowe. Znaczna część onego przez miejsce zamieszkania i węzły familijne przyjęła obrządek słowiański, unicki, i dopiéro tą drogą poczęła z czasem tracić charakter swój etniczny, zmieniać język etc. Zato lud kmiecy, gdzie tylko nie osiadał gromadniéj, wychodziec, zbieg osobliwie, wnet się zatracał w masie ruskiéj. I do niego to tylko stosuje się właściwie zdanie autora co do niezdolności kolonizatorskiéj narodu polskiego. Natura wieśniaka polskiego—miękka, wrażliwa, dająca się łatwo pociągać wszystkiemu, co dlań sympatyczniejsze. Smutne, bardzo smutne dzieje społeczne nie wyrobiły w nim wyższéj świadomości narodowéj po nad poczucie pierwotne odrębności etnograficznéj. Jego polskość była na Rusi cechą wielkopańską, on zaś uczuciem lgnął do podobnegoż sobie ludu, więc ruskiego i rozstawał się samochcąc ze swą narodowością.

Naprawdę też niema tak wielkiego paradoksu w twierdzeniu pewnych etnografów szkoły małoruskiéj, utrzymujących, iż główne przeciwieństwo dwóch bratnich narodów polskiego i południowo-ruskiego uwydatnia się najbardziéj w wyrobionych przez ich poprzednie dzieje cechach społecznych, co ich charakteryzują. Na ile bowiem Polacy mają być narodem na wskróś arystokratycznym, na tyle demokratycznym są Rusini. Wytwór to różnego kierunku poprzednich dziejów — nic innego. Ale tak się stać musiało, gdy Ruś swą rozpasaną arystokracyą na rzecz polską straciła. Polskość na całym obszarze Rzplitéj stała się wyrazem dystynkcyjnéj — społecznéj i towarzyskiéj wyższości. I na Rusi też wszystko, co tylko czémkolwiek—stanowiskiem, inteligencyą, bogactwem — wznosiło się nad tłum wieśniaczy, przybierało świadomie czy nieświadomie, dobrowolnie czy przeciw własnéj woli, cechy narodowości polskiéj— duchem czy tylko obyczajem polaczało. Nieposłuszni pułkownicy wojska zaporoskiego, archimandryci monasterów błahoczestywych, rajcowie miasta Kijowa, profesorowie jego akademii byli z oby-

czaju takimi Polakami, jakimi w istocie saméj stali się już kniaziowie i ziemianie ziem ruskich „gente Rutheni, natione Poloni.“ Ale z powodu tak jednostronnego społecznego rozwoju, dzieje przekazały nam fatalny postulat, że ten tylko śród nas będzie miał głębsze poczucie narodowości, kto otrzyma wyższe wykształcenie, stanie się ucywilizowanym bardziéj. Z czém łączyła się jako prosta konsekwencya, iż chłop, trzymany w ciemnocie, nie poczuwał się do wyższych obowiązków narodowych, a znalazłszy się między Rusią, łatwo nacyonalnie ginął. Na nieszczęście obydwóch narodów, cechy owe tak przeciwne zespoliły się jakoby z ich charakterem, zrosły z ich naturą samą. Jakim arystokratyzmem ducha musi być podsycane poczucie nasze narodowe — o tém sąsiedzi wiedzą; ale i myśmy do niedawna patrzyli, nie bez powątpiewań poważnych, jak na Rusi, z bardzo rzadkim wyjątkiem, ciemna tylko masa ludu, za demokratyczną poczytywana, przejęta była na seryo poczuciem etnicznéj swéj odrębności, a wszystko to, co wysuwało głowę po nad kmiecia, myślało tylko nad tém, jakby się ubrać do niepoznania w cudzą szatę i przestać być samém sobą!

Przy braku zdolności kolonizatorskich narodu polskiego nic dziwnego, iż nie oddziałał on na wywołanie „przewrotu plemiennego“ wśród swych sąsiadów litewskich, wołoskich, tatarskich. Oczywiście przewrót wewnętrzny, moralny, nie etnograficzny, wywołany w narodzie litewskim do tego stopnia, że ten stał się bliższym Polakom, aniżeli najbliższym sobie ze Słowian, Krywiczanom, nawet pobratymcom swym szczepowym Łotyszom, w rachubę nie wchodzi. Nie dadzą się téż tu podciągnąć ani Tatarzy litewscy, ani Ormianie Rusi Czerwonéj. Twierdzenie zaś, jakoby ziemie ruskie „nie przedstawiają nigdzie ani pozoru polskiéj ludowéj kolonizacyi opiera się jedynie na nieznajomości faktycznego stanu rzeczy. Zarazem prosta nieprawda téż, aby „jedynie klasy wyższe, a nadto bardzo niedawno przyswoiły tam sobie oblicze polskie“ — jeśli rzecz idzie o całéj Rusi południowéj!

Oto odpowiedź nasza na uwagi o zasiedleniu Rusi szan. profesora kijowskiego. Przybiera ona tém większe znaczenie, o ile samochcąc może musieliśmy wystąpić obustronnie nie tylko od siebie osobiście. Jak byśmy się tam bowiem wyróżniali w naszych sądach szczególnych od poprzedników i współtowarzyszy na polu badań nad przeszłością ziem ruskich, należymy z osobna, każdy ze swéj strony, do szerszéj grupy pracowników, do historycznéj szkoły. Łączy nas wspólny przedmiot badania, ale pryzmat zapatrywań się naszych oczywiście nie może być jednostajnym. Nie potrzebujemy go zmieniać, nie przeszkadza bowiem ani powadze, ani skuteczności

poosobnych dociekań. Byleśmy się na jedno zgodzili, mianowicie na obowiązek moralny opierania sądów naszych na faktach autentyczności dowiedzionéj—to jedno, a powtóre na obowiązek, nie mniéj imperatywny a równie surowy, patrzenia na rzeczy przeszłe i obrazowania ich „sine ira"—bez rozżalań się i roznamiętniań: pokój grobom, kiedy sami żyć chcemy, prawda historyi niech je osłania i przebaczenie! Prawda faktyczna i przebaczenie obowiązkowéj dla historyka bezstronności. Naprzód tedy o ową prawdę iść nam musi, o jéj wykrycie i wyświetlenie. Co do naszego wspólnego przedmiotu: wyrozumienia istoty wewnętrznego rozwoju ziem ruskich w ubiegłéj przeszłości, upowitym jest on dotąd przeważnie w stosach aktów archiwalnych. Rozumiemy to doskonale, że przed ich całkowitém wydaniem i rozjaśnieniem krytycznèm, nie mamy prawa wypowiadać ostatecznego sądu w kwestyach zawiłych lub spornych, nauczeni doświadczeniem, jak się to zmieniają przedpowzięte poglądy ogólne na rzeczy, za każdorazowém ukazaniem się w druku jakiejś wiązki nieznanych dotąd źródeł. Nie uprzedzajmyż odkryć i wykryć, sprostowań i wyjaśnień krytycznych, w samych źródłach zawartych; uporczywie i z całą świadomością abnegacyi pracujmy pierwéj nad wydaniem materyałów przedewszystkiém. Główny zarzut właśnie, jaki robimy szkole kijowskiéj jest to podnoszenie pojedynczych faktów, nie dostatecznie rozjaśnionych, oderwanych, do ogólnego znaczenia, uogólnianie skore wszystkiego, zakrawające na jakąś historyczną doktryneryą. Bądźmy tedy cierpliwsi, nie wznośmy za każdym razem całokształtów, poprzestając ile można wytrzymaléj na złomkach budowlanych. Przygotujmy pierwéj dostateczny ich zasób. Kijowska archeograficzna komisya znajduje się pod tym względem w wyjątkowo pomyślnych warunkach, naszym prywatnym usiłowaniom jéj nie sprostać, na niéj téż leży i obowiązek większy. Zasoby archiwalne ma ona wszystkie prawie pod ręką a chociaż okazało się ostatecznie, że dla archiwum lubelskiego, obejmującego i akta trybunalskie prowincyi mało-polskiéj, do któréj zaliczały się i ziemie ruskie, najodpowiedniejsze miejsce w Wilnie, łatwiéj przecie komisyi i tam z kolei do swego działu się dostać. Jako na rzecz bardzo dla nauki pożądaną zwracamy téż tu na to, sami oddaleni, przy okoliczności uwagę. Skarby tam się znajdą jeszcze nie tknięte. Gdy zaś z czasem wydobędziem na jaw wszystkie źródła główniejsze, śmieléj się odważymy, z przeświadczeniem uprawnienia po temu, i do ogólniejszego rzutu oka na dzieje wewnętrzne tak ziem ruskich jak i całéj Rzpltéj; na charakter i ważenia się wzajemnego oddziaływania na się dwóch społeczeństw narodowych, w niéj zrzeszonych, polskiego i ruskie-

go, tak dodatnio jak i ujemnie. A wtedy niewątpliwie, zestawiwszy wszystko cokolwiek się znajdzie wydaném odnośnie kolonizacyi Rusi południowéj, zlicowawszy z obecnym stanem rzeczy, przyjdziemy do przekonania już zobopólnie, że naprawdę nie małoznaczną grał rolę żywioł polski, jako pierwiastek ludowy nawet, w zasiedleniu i zagospodarowaniu Rusi południowéj wogóle; że nie mało tysięcy staj dziewiczéj ziemi stepowéj oddane były raz pierwszy pod uprawę ręką rataja polskiego—począwszy choćby od tych Lachów jeńców, których jeszcze Jarosław mądry osiedlił na Porosiu; nie mało krwi polskiéj rozpłynęło się, marnie i nie marnie może, w masie ludu ruskiego. Nim zaś co—poprzestańmy i na tém półświetle, jakie dla nas dostępne, wdzięczni pracownikom kijowskim za nowy ten przyczynek do wspólnych dziejów.

Aleksander Jabłonowski.





CZÉM SIĘ KIERUJĄ PTAKI PRZELOTNE W CZASIE SWYCH WĘDRÓWEK?

Przyczyna, dla czego ptaki przelotne w czasie swych wiosennych i jesiennych wędrówek umieją doskonale trafiać do swych pierwotnych siedlisk, była dotychczas zupełnie nieznana. Nikt nie potrafił wskazać, czém lub według czego ptaki w wędrówkach się kierują. Brakło tu nawet przypuszczeń. Jak dalekimi byli zoologowie od rozwiązania téj zagadki, dość przytoczyć słowa Karola Darwina (1):

„Dziwny jest to instynkt, który zmusza gęś berniklę *(Bernicla brenta)* do przedsiębrania wędrówki na północ, lecz nie wiemy, w jaki sposób ptak ten odróżnia północ od południa. Podobnie też nie pojmujemy, w jaki sposób ptak, odbywający wędrówkę nocą przez morze, co tak często ma miejsce, tak doskonale umié trzymać się swéj drogi, jak gdyby miał przy sobie kompas."

Widzimy więc z tego, że Darwin zaznacza fakt oryentowania się ptaków w podróży, nie umiejąc atoli go wytłómaczyć.

Niektórzy zoologowie (Fabre) przypuszczają, że u owadów istnieje zmysł t. zw. topograficzny, którym się w czasie swych wycieczek kierują i wskutek tego umieją trafiać do gniazda; jednakże jest to przypuszczenie niczém nie poparte, a nadto zmysłu owego nikt nie miał ochoty przyznać i ptakom, gdyż twierdzenie swoje w takim razie trudnoby przyszło jakimikolwiek dowodami poprzéć.

Aby ptaki w podróży swéj, będąc wysoko wzniesione, mogły wzrokiem się kierować przez objęcie ogromnego widnokręgu, bo

---

(1) O powstawaniu gatunków. Przełożył S. Dickstein (str. 411).

kilkaset mil geograficznych wynoszącego, jest rzeczą niemożebną. Najprzód dlatego, że ptaki wędrowne nie lecą wyżéj jak ½ mili (12000 stóp) wysokości, a zresztą, nawet przypuściwszy, że lecą na wysokości ¾ mili (18000'), to i wtedy z téj wysokości nie mogłyby nad tak wielkim obszarem w żaden sposób wzrokiem zapanować: wiemy bowiem z geografii (1), jak wielki widnokrąg roztacza się z różnych wysokości—i tak:

z wysokości			widzi się koło, którego promień wynosi		
300	stóp	—	3·88	mil	geograf. (*)
500	„	—	6·17	„	„
1000	„	—	8·66	„	„
3000	„	—	15·04	„	„
5000	„	—	19·50	„	„
8000	„	—	24·50	„	„
12000	„	—	30·06	„	„
15000	„	—	33·18	„	„
20000	„	—	38·80	„	„
25000	„	—	43·40	„	„

Odległość między siedliskiem letniém a zimowém wielu ptaków jest o wiele większa, niźli promień widnokręgu, jaki się z wysokości 1 mili roztacza. I tak odległość między Szwecyą a Egiptem, lub Finlandyą a Mezopotamią wynosi w prostéj linii mniéj więcéj około 550 mil geograficznych, podczas gdy z wysokości jednomilowéj ma się przed sobą widnokrąg w promieniu tylko 42 mil rozległości. Wypływa więc z tego, że ptaki przelotne z miejsca wyruszenia nie mogą dojrzéć wzrokiem krain tych, do których dążą. Powtóre wzrokiem dla tego nie mogą się kierować, iż wędrówki po największéj części odbywają wśród ciemnych nocy. Z téj saméj przyczyny nie mogą ptaki według słońca się kierować. Że według księżyca lub gwiazd one się nie kierują, znajdujemy znowu dowód w téj okoliczności, że częstokroć ptaki w czasie bardzo ciemnych nocy, kiedy niebo zasłane jest chmurami, a tém samém księżyc i gwiazdy są niewidzialne, wędrówki odbywają, jak np. dzikie gęsi i kulony, przelot swój w téj porze zdradzające tylko częstem odzywaniem się. Że prądami powietrznemi ptaki kierować się nie mogą, mamy dowód w téj okoliczności, że one odbywają wędrówki w cza-

(1) Por. Geografia powszechna przez Baranowskiego i Dziedzickiego. Lwów, 1876 (str. 5). — (*) Jeśli żadne ziemskie przedmioty nie zasłaniają widoku.

sie różnych wiatrów i prądów powietrznych. Nakoniec mniemania niektórych, że ptaki kierują się biegiem rzek — jest mylne; kierują się nim tylko niektóre ptaki, jak np. mewy, rybołówki, po części kaczki dzikie, a to dla tego, że będąc ptakami wodnemi, ciągną wzdłuż wód, szukając żéru; lecz nie tyczy się to ani żórawi, ani szpaków, ani wielu innych ptaków. Mniemanie więc, jakoby ptaki przelotne trzymały się rzek, jest z gruntu fałszywe i może tylko pochodzić od ludzi, którzy przelotów ptasich nie obserwowali w naturze; widzimy bowiem mnóstwo stad przelotnych ptaków w miejscach, gdzie rzeki na poprzek linii ich lotu toczą swe wody. Okazuje się więc z tego, że wszystkie wyżéj przytoczone wyjaśnienia krytyki wytrzymać nie zdołają.

Przed niedawnym czasem, mieszkając przez dwa lata na wsi i widząc nieraz ogromne stada różnego ptastwa w czasie przelotów, byłem mocno zainteresowany pytaniem: jakim sposobem ptaki do swych siedlisk trafiać umieją, nie błądząc po drodze. Przechodziłem z kolei wszystkie wyż wymienione wyjaśnienia i ostatecznie przyszedłem do wniosku, że wszystkie wyjaśnienia są fałszywe. Przyjaznym zbiegiem okoliczności szczęśliwa mi myśl przyszła do głowy: badać, czy kierunek lotu ptaków wędrownych w czasie przelotów nie zgadza się z kierunkiem igły magnesowéj (busoli). Obserwacye rozpocząłem w jesieni 1885 r. i do jesieni włącznie 1887 czyniłem spostrzeżenia w téj sprawie. Przez przeciąg tych dwu lat nazbierany materyał tak się przedstawia:

Obserwowane przezemnie bociany leciały w kierunku wskazywanym przez igłę magnesową.

Wszystkie stada żórawi również leciały w tym kierunku.

Dzikie gęsi obserwowane po największéj części leciały w wymienionym kierunku, jednakże nie wszystkie stada, gdyż jedno stado widziałem lecące wprost ze wschodu na zachód, co tłómaczę tym sposobem, że musiały zapewne lecieć na jakie stawy lub większe wody, na siedlisko, i zmieniły wskutek tego kierunek lotu.

Z tych spostrzeżeń, acz nielicznych i niedostatecznych wyciągam wniosek i stawiam go tymczasowo w formie przypuszczenia następującego:

Ptaki przelotne w czasie wiosennych i jesiennych wędrówek posiadają poczucie prądów magnetycznych i w locie niemi się kierują.

Z fizyki i meteorologii czytelnikom wiadomo, że zboczenie jak i nachylenie igły magnesowéj zależy od szerokości i długości geograficznéj. Oprócz tego i dla danéj miejscowości jest zmienne z biegiem czasu.

W celu unaocznienia czytelnikowi, w jaki mniéj więcéj sposób zmienia się kierunek prądów magnetycznych w różnych punktach środkowéj Europy, załączam tablicę, przedstawiającą zachodnie zboczenia (deklinacyą). Długość rachowaną jest na wschód od Ferro (1).

Szerokość północna	DŁUGOŚĆ WSCHODNIA										
	30°	31°	32°	33°	34°	35°	36°	37°	38°	39°	40°
45°	10,9°	10,4	9.9	9,4	8,9	8,5	8,2	7,7	7,3	6,9	6,3
50°	11,3°	10,8	10,2	9,7	9,2	8,7	8,1	7,6	7,1	6,6	6,0
55°	11,7°	11,1	10,6	10,1	9,5	9,0	8,4	7,8	7,3	6,7	6,0

Tablica ta zawiera dane z roku 1884.

Nagłe zmiany w zboczeniu lub nachyleniu igły magnesowéj zowią się burzami magnetycznemi. W razie, gdy burza magnetyczna zachwyci w czasie przelotu jakie ptaki, to według naszéj hypotezy wypada, iż ptaki takie powinny błądzić. Rzeczywiście zdarzają się wypadki, iż ptaki wędrowne w pewnych okresach czasu w porze przelotów błądzą, zalatując w strony, w których zwykle nie przebywają. Témby się tłómaczyły zalatywania w nasze strony nie-których ptaków azyatyckich, naprzykład pustynnika *(Syrvhaptes paradoxus Illig.)*, siewki azyatyckiéj *(Charadrius fulvus Gm.)* i wiele innych.

Na jedną jeszcze okoliczność chciałbym zwrócić uwagę czytelnika. Wiadomo ze spostrzeżeń ornitologicznych, że ptaki przelotne w czasie swych wędrówek w razie natrafiania na wysokie grzbiety gór, np. Alpy, jeśli nie lecą w wysokości przenoszącéj łańcuchy gór, zwykle są bezradne, to jest nie umieją w pierwszéj chwili zmienić kierunku lotu, ani téż wznieść się nad poziom wyższy od wierzchołków gór i wskutek tego błądzą, tułając się u zbocza grzbietu. Przemawia to za twierdzeniem, że ptaki mają właśnie poczucie kierunku prądów magnetyzmu ziemskiego i że podczas wędrówek zmienienie linii lotu raz obranéj z wielką trudnością im przychodzi.

Jeden tylko zarzut dałby się tu podnieść. Zapyta kto, jakim sposobem kierują się i trafiają do domu (siedliska) swego pocztowe gołębie. Na to odpowiem, że we wszystkich wypadkach, gdzie, jak

(1) Por. F. Kohlrausch. Leitfaden der praktischen Physik. Leipzig 1884. 5-te wyd. (str. 343). Załączona tablica wyjęta jest z tego dzieła.

wiemy, ptaki te będąc o kilka, kilkanaście lub o mało co więcéj mil przeniesione, są wypuszczane, — a więc w wypadkach, w których nie odbywają podróży po kilkaset mil wynoszących, kierują się ze znacznéj wysokości rozległością widnokręgu, a która dla nich, przy tak niewielkiéj podróży, jest zupełnie wystarczającą. Jako sprawdzian tego twierdzenia, przytoczę okoliczność, że gołębie z odległości wynoszącéj więcéj niż kilkadziesiąt mil geogr. już nie umieją do domu trafiać; tém bardziéj nie potrafią wrócić z odległości kilkuset milowéj. Wiadomo zresztą, że powracanie i trafianie gołębi pocztowych do gniazd jest (można powiedziéć) w odwrotnym stosunku do odległości miejsca ich wypuszczenia, to znaczy, że im większa odległość, tém mniejsze prawdopodobieństwo powrotu do swego siedliska.

Twierdzenie moje o poczuciu prądów magnetycznych u ptaków przelotnych jest niczém inném, tylko hypotezą, ale hypotezą mającą bardzo wiele prawdopodobieństwa za sobą. Podaję (1) właśnie niniejszy sposób wyjaśnienia do szerszéj wiadomości z przyczyny, że przy pomocy licznych obserwacyi będzie można tę hypotezę albo poprzéć, albo obalić, co w każdym razie przyczyni się do wyświetlenia omawianéj tu kwestyi. Jest rzeczą dziwną, że znajdują się ludzie, którzy wszelkie hypotezy lekceważą i to swoje zapatrywanie chcieliby wpoić innym ludziom. Tymczasem każdy pojaw nowéj hypotezy w jakiejkolwiek nauce znamionuje jéj żywotność i dowodzi jéj postępu. Każda prawie hypoteza znakomicie się przyczyniła do rozwoju pewnego działu nauki, a to przez to, że przy krytycznym jéj ocenieniu tyle trzeba poruszyć i roztrząsnąć jak najdokładniéj *pro* i *contra* kwestyi, że sprawa w wszechstronny sposób przeprowadzona, częstokroć w nowém zupełnie przedstawia się świetle. W nauce nieposiadającéj hypotez, nie ma téż i postępu.

Zresztą jeszcze jest jeden powód do przypuszczenia, że ptaki mają poczucie prądów magnetycznych. Wiemy, iż bardzo wiele zjawisk, dostrzeganych w przyrodzie nieorganicznéj, spotykamy również i w organicznéj. Znaném jest np., że własność fosforescencyi występuje w wielu tworach organicznych, z których przytoczę tylko świetlika świętojańskiego *(Lampyris noctiluca L.)*. Znaném téż jest, że niektóre zwierzęta mają własności ciał naelektryzowanych, np. kot pocierany (w ciemności), lisa ogon, — również, że

---

(1) W r. 1886 doniosłem o swoich spostrzeżeniach Komisyi teoryi ogrodnictwa i nauk przyrodniczych pomocniczych w Warszawie. Doniesienie to zostało na posiedzeniu Komisyi 21 października 1886 odczytane. Por. „Wszechświat“ 1886, str. 702.

istnieją ryby o własnościach prądów galwanicznych. Wychodząc z punktu filozoficznego, ogólnego, wypada wnosić, iż jeśli fosforescencya, elektryczność, galwanizm są specyalnie rozmieszczone w świecie organicznym, to i magnetyzm w niektórych żywych tworach koniecznie *musi* być rozmieszczony. Ptaki do tego znakomicie się nadają. Unosząc się w powietrzu, są one izolowane, tak, że działają na nie tylko powietrzne prądy magnetyczne, nie mieszając się ani nie będąc naruszane przez prądy ziemne.

Te są fakta, a następnie wywody, które mnie skłoniły do przypuszczenia, że ptaki posiadają poczucie prądów magnetycznych i w czasie przelotów nimi się kierują.

Michał Wierzbowski.





Z LITERATURY ŚREDNIOWIECZNÉJ.

MIRACLES DE NOSTRE-DAME PAR PERSONAGES.

Znany pod tym tytułem manuskrypt (man. N. 7208, gr. in 4°) biblioteki królewskiéj w Paryżu zawiera 40 udramatyzowanych legend, każda o objętości 2000—3000 wierszy, których treść jest w większéj części nie wymysłem autora, czy autorów—bo uważać trzeba zbiór ten za pracę rąk wielu,—ale spuścizną owych budujących książek z tytułami: Żywoty świętych, Źwierciadła cnót, etc., co były podręcznikami moralności dla zakonników i świeckich i co przedstawiają się najbardziéj typowo w *Złotéj legendzie* Jakóba de Voragine z XIII w., tłómaczonéj na wszystkie niemal europejskie języki; lub téż onych romansów rycerskich, co w owym czasie zaczęły tracić swój rapsodyczny charakter i przetwarzały się pod rękami truwerów na nieskończenie długie i nudne powieści epickie; lub nakoniec owych nowel, *fabliaux*, co podawane z rąk do rąk stworzyły dla następnych dwu wieków olbrzymi materyał, odżywiający nowelistykę, i scenę włoską, niemiecką, angielską, niepogardzany nawet przez geniusz Szekspira.

Miracles de Nostre-Dame par personnages należą do teatralnego repertoaru XIV i XV w., składającego się, jak to i na naszéj literaturze śledzić można, z Misteryów *(Mystères)*, Dyalogów moralnych *(Moralités)* i Komedyi *(Farces, sotties)*. Wiadomo, że tradycya przedstawień scenicznych nie potknęła się o szkopuł idealizmu chrześciańskiego kościoła i nie zastanowiła w gustach ludu ani na chwilę; tylko wyzyskany przez duchowieństwo na liturgiczne cele dramat ludowy musiał chwilowo odbyć pokutę przed ołtarzem, aż i tam wynaturzony wyrwał się i powrócił, gdzie było miejsce jego,—na rynek, wlokąc za sobą nieodczepiony przez długie wieki element cudowny, co sprowadził na sceniczne deski cały chrześciański

Olymp i Hades, potworny dramatyczny aparat o trzech piętrach, z niebem na górze, z piekłem na dole, z ziemią,—gdzie się właściwe odbywało działanie,—w pośrodku. Duchowieństwo, ratując resztki kościelnego wpływu, dopuściło wprawdzie do łacińskich misteryi język ludowy,—(Fr. Michel (1) przedstawia nam próbę takiéj mieszaniny w misteryum: O mądrych i głupich pannach, w którém obok partyi łacińskich czyta się ustępy w *langue d'oc*),—ale już w XIII w. powstaje we Francyi dramat czysto świecki,—wdzięczna pastorella *Jeu de Robin et Marion* truwera Adama z Halli, ojca opery komicznéj, jest dążności téj najcenniejszym owocem,—a i monopol przedstawiania dramatów religijnych przechodzi w ręce profanów. W r. 1303 zawiązuje się Bractwo *(Confrèrie)* de la Basoche; w r. 1380 towarzystwo dzieci bez troski *(Enfants sans souci)*: w r. 1398 najruchliwsze Bractwo Męki Pańskiéj *(Confr. de la Passion)*; studenci paryscy grają misterye na *Pré aux Clercs.* Uroczystości dworskie, ważne święta kościelne nie obchodzą się bez przedstawień w obu rodzajach; grubsze natury raczą się farsami wyjętemi przeważnie z nieskromnych powiastek trubadurów, jak farsą o Młynarzu, znaną z rozwiązłéj noweli Rutebeufa, którą mer pewnego miasteczka kazał grać w czasie deszczu, aby przywabić widzów na misteryum o św. Marcinie.

Walka z duchowieństwem stworzyła dla sceny owéj element satyryczny; mścili się zwłaszcza truwersy za prześladowanie wykrywaniem klasztornych sekretów, wybieraniem na typy chytrości, fałszu, przekupstwa biskupów i papieży. Tak w czasie uroczystości pasowania na rycerza królewicza Ludwika w r. 1313, widziano z jednéj strony Adama, Ewę i Piłata umywającego ręce, z drugiéj mistrza *Renarta*, z kitą widną mu z pod biskupiego stroju. Powoli wszystkie te widowiska zeszły na wyuzdane orgie: przy wjeździe Ludwika XI do Paryża przedstawiano np. żywe obrazy, w których występowały kobiety zupełnie nagie; tuż daléj wznosiło się rusztowanie z misteryum o męce Pańskiéj (2).

„Cuda Matki B.“ stanowią na pozór rodzaj odrębny; w rzeczywistości sceniczne ich wymagania każą je podporządkować misteryom; akcya ich odbywa się bowiem równie na trzech lub dwu piętrach; za to główna część przypada żywiołowi ziemskiemu; aktorzy zaziemscy są w nie wciągnięci niekiedy przemocą, dla zawiązania i rozwiązania sztuki zbędni zupełnie. Cuda te należały do repertoa-

(1) Théâtre français au Moyen âge, publ. par Monmerqué et Fr. Michel. Paris. 1840.

(2) Porów. Achille Jubinal. Mystères inédits du XV siècle.

ru bractw; manuskrypt nasz wykazuje pismo pierwszéj ćwierci XV w., ale językiem zdradza wiek XIV; wydany był w drobnéj części w cytowaném wyżéj dziele Fr. Michel'a, w całości ogłosili go drukiem dopiero prof. Gaston Paris i Ulysses Robert w Zbiorze „Towarzystwa starofrancuskich tekstów“ (1). Piszę o nich tém śmieléj, że nie były dotąd przedmiotem popularnéj monografii, przedstawiają zaś niezmiernie ciekawy dokument wykrzywienia pojęć etycznych, estetycznych i poczucia religijnego w wieku XIV, wieku zaciekłych dysput scholastycznych, „moralizowanych“ Owidyuszów i mistrza Renarta, wierszowanych biblii i alegorycznych poematów w rodzaju *Romansu o Róży*, należącego jeszcze do wieku XIII, ale niesłychanym swym wpływem ogarniającego cały wiek następny (2). Żarliwość naiwnéj wiary szła w czasie owym częstokroć daléj, niż sam kościół żądał: z 25 cudów, opowiedzianych u Gonzalo Berceo z XIII w. w Hiszpanii, zmuszony był kościół uznać 23 za nieautentyczne; w nich to Matka B. ocala od piekielnych mąk pobożnego zakrystyana wracającego z nocnéj schadzki i tonącego przez nieostrożność w rzece; w nich to powraca do życia powieszonego rozbójnika, podtrzymując mu stopy świętemi dłońmi; obaczymy, że „Cuda“ nasze nie ustępują w niczém nawet najdziwniejszym opowieściom Złotéj legendy.

Powiedziéć należy na wstępie, że udramatyzowane zostały ręką nader wprawną, świecką bez wątpienia, bo lśni na nich barwa rycerska; niektóre sceny są pełne ruchu, niektóre figury pełne życia. W jednych akcya jest wprowadzona zręcznie polowaniem, w drugich dyalogami mieszczaństwa lub żołnierzy; nie używał ich

---

(1) Miracles de N. D. Collection de la Société des anciens textes français, 7 tomów. (1876—1883).

(2) W tym-to *Roman de la Rose* (w. 14796—14806) znajduje się słynna i cytowana tylekroć teorya komunizmu w ostatniéj swéj formie wspólności żon:

Car Nature n'es pas si sote
Qu'ele feist nestre Marote
Tant solement por Robichon
Se l'entendement i fichon,
Ne Robichon por Mariete,
Ne por Agnès ne por Perrete;
Ains nous a fait, blau filz n'en doutez
Toutes por tous et tous por toutes,
Chascune por chascun commune
Et chascun commun por chascune.

„Bo natura nie tak głupla, jeśli zastanowić się zechcemy, aby stworzyła Marysię jedynie dla Robiszona; ani Robiszona dla Marysi, dla Anusi, dla Piotrusi. Stworzyła nas, mili chłopcy, wierzyć chciejcie; wszystkie dla wszystkich i wzajemnie“.

trafniéj Goethe w Goetzu z Berlichingen. Środki sceniczne są oczywiście nader proste; różne kąty sceny odpowiadają różnym miejscowościom, podróże z Węgier do Szkocyi, z Toledo do Paryża, odbywają się przed oczyma widzów, równie jak tułaczki po morzu; bohater pośpiesza upewnić zawsze, iż przybywa na miejsce „nabłąkawszy się wiele".

Jak o jedności miejsca, tak nie ma mowy o jedności czasu. Utwory te, przerabiane z powieści, rozwinęły się też na zasadzie pierwiastku epickiego, a choć czuć już w tym embryonie dramatyczne tętno, nie przedstawia się on niczém więcéj jak historyami w osobach. Po ślubie bohaterów następuje połóg już w następnéj scenie; w trzeciéj syn i córka występują jako dorosła młodzież. Dramatyczne owo tętno pulsuje w układzie, który zdradza już przeczucie potrzeby zestrzelenia działań około głównego wypadku i wypełnienia w ten sposób zasady jedności akcyi; w istocie, nie natrafia się w nich scen zbytecznych, wielka zasługa i wielki postęp wobec niemowlęctwa reszty prób dramatu. Pisane są w 7 i 8-mio zgłoskowych tyradach zakończonych krótszym wierszem jambicznym, naprzykład:

Par m'ame... Diex! qu'il sent bon!
Oncques mais je ne senti chose
Si bon flairant, ne lis, ne rose,
Ny autre espice. (*Z cudu N. 10.*)

Figur występuje w nich wiele: Pan *(Seigneur)* i Pani *(Dame)*, lub Król i Królowa; syn, córka, papież, biskup i pustelnik, ostatni zwłaszcza jest nieodzowny; na niebie Matka B., Jezus, oznaczony zawsze tytułem *Bóg*, aniołowie Gabryel i Michał, święci; w piekle Lucyper i Belzebuth. W szemacie tym nie ma odmiany żadnéj,—zabytek stałych figur sceny ludowéj rzymskiéj.

W zbiorze spostrzedz się dają wyraźnie dwie grupy: jedna tych utworów, gdzie legenda istnieje dla cudu, druga, gdzie cud przystosowany jest do legendy; w pierwszych cud gra rolę główną, w drugich występuje jeno gwoli uświęcenia sztuki. Treść pierwszych znalazła się gotowa w podaniach kościelnych i żywotach świętych; tu należą obok tych, które wymienię w dalszym ciągu: cud o św. Chryzostomie (N. 6), św. Pantaleonie (N. 22), o świętéj Salomei (N. 5), która za niewiarę w niepokalaność Maryi utraciła ręce, lecz potém skruszywszy się, odzyskała; O proboszczu, wybawionym z czyśćca (N. 14), etc. Układ ich jednakowy: dramat rozpoczyna się zwykle kazaniem lub rozwiniętą na biblijny temat sentencyą moralną; tuż zawiązuje się „intryga", następuje grzech i fatalne położenie boha-

tera, modlitwa i skrucha. Natychmiast Jezus wnosi instancyą do Matki B.;—rzecz godna uwagi, że osoba boska schodzi w „Cudach“ tych na plan drugi, służąc jedynie do przenoszenia skarg, próśb i poselstw;—Marya zstępuje zawsze na skrzydłach aniołów Michała i Gabryela, wezwanych rozkazem: *Or sus my ange!* i śpiewających w drodze rondo *(rondel)*, rodzaj hymnu, z powtarzającym się raz lub dwakroć refrenem; następuje cud i ekspiacya, ukoronowana częstokroć wstąpieniem grzesznika do klasztoru.

Potworność zasady tych „Cudów“ leży w tém, że dzieją się one zawsze dla grzesznika, nieraz dla zbrodniarza, którzy wychodzą z aureolą świętości tam, gdzie według najpobłażliwszego prawa wyjść by powinni z piętnem katowskiém na czole. W cudzie o Kobiecie uchronionéj od spalenia (N. 26) *Guibour* każe udusić zięcia w piwnicy, z powodu, iż posądzali ją sąsiedzi o występne z nim stosunki;—(także okrutny sposób zamknięcia ust obmowie!);—po spełnieniu zbrodni zachowuje zimną krew jak patentowana morderczyni; rzecz się jednak wykrywa, Guibour skazana na spalenie ucieka się z modlitwą do Matki B.—i oto dzieje się cud: wychodzi z ognia nietknięta, a sędzia bije się w piersi przed wielce zbudowanym tłumem: „Zgrzeszyliśmy ciężko przeciw Bogu, krzywdząc to święte ciało; teraz widzę zaiste, że jesteś kobieta święta“. Za całe zadosyć uczynienie Guibour wstępuje do klasztoru.

Klasztor jednak ówczesny nie był bynajmniéj zakładem, gdzieby grzechy ziemskiego żywota zacierało się surową pokutą; tam rozpoczynał się byt nowy, przedstawiony przez autora z naiwną prawdą, choć ze szczyptą złośliwości, w kilku innych cudach, między innemi w Cudzie o Ksieni brzemiennéj (N. 2). Rozpoczyna się on, po scenach wstępnych wierszowaném kazaniem na temat stojący w związku z samą historyą: *Transite ad me omnes qui concupiscetis me. Et generationibus meis implemini.* Podobnie w innych cudach; tutaj zamiarem kaznodziei jest przeciwstawienie związkom cielesnym obcowania z Jezusem. Wydałoby się to satyrą, gdybyśmy przypuszczali w autorze subtelny dowcip dzisiejszy. Dwie zakonnice przeczuwają odrazu i nie bez racyi, że kazanie będzie długie i nudne; siostra Izabella zwłaszcza ma w pogardzie nabożne praktyki i wymyka się, jak wyznaje późniéj gromiona przez ksienię, do swego „kuzyna“. Serce przełożonéj poznajemy w długim monologu ruszone miłością ku klerykowi, który chce udawać Józefa, ale wnet słabnie i fatalne następstwa nie dają na siebie czekać; ksieni schodzi do sióstr, skarżąc się na „ból głowy“, te śród złośliwych aluzyi radzą jéj słodkiego wina i jabłek a potém mszcząc się za jéj dawną surowość, śpieszą z doniesieniem do biskupa, który przyrzeka zejść

na „wizytę“. Podczas, gdy siostry wypróżniają we dwoje beczkę wina (scena ta jest pełna werwy), ksieni modli się do Pani, „która jest razem i panną i matką,“ o ratunek w „ciężkiéj potrzebie“ — i o dziwo! Marya zstępuje z doraźną pomocą, a z łagodnym jeno wyrzutem: „Głupia, głupia, patrz, jaką pociechę odnosisz z grzechu...“ „Za to jednak, żeś mi służyła, wiesz co uczynię łaskawa? Od owocu twego cię uwolnię; „matroną“ być się nie wzdrygnę, tak, że nie pozna nikt, choćby śledził, twego stanu.

C'ést fait: vez le cy tout en vie,

(cytuję oryginał, bo przekładu nie wykrztuszę), poczém odchodzi z dzieckiem do pustelnika, któremu je oddaje pod opiekę. Przybywa tymczasem biskup, srodze rozgniewany każe zawołać „matronę,“ poczém odbywa się wstrętne w szczegółach badanie; ksienię znajdują „bez plamy,“ a co więcéj „skórę jeno i kości.“ Zakonnice mają być skarane, wtedy ksieni spowiada się biskupowi, a ten miast oburzenia składa jéj hołd jako ubłogosławianéj szczególną łaską; daje jéj opactwo i odbiera na wychowanie od pustelnika wcale pucołowatego malca.

Nie wahałem się, dla wprowadzenia czytelnika w nieznany świat fantazyi wieków średnich, przedstawić cud ten w szczegółach. To nie niemoralny *Assomoir* Zoli—to religijne misteryum, potępiane może w téj formie przez kościół, ale wynikłe fatalnie z długiego wpajania w umysły nauki o nieograniczonéj skarbnicy łask i wyszłe bądź co bądź pośrednio lub bezpośrednio z fantazyi mnichów. Świadczy ono, że wieki średnie stały stokroć niżéj od naszych, dzięki ujewolnieniu swobody sądu człowieka, zahamowaniu jego naturalnych pojęć etycznych. Wpływem tym został uniemoralniony nie sam człowiek tylko; jak widzieliśmy, także Niebo; toć Minos i Radamantys w podziemiu sprawiedliwiéj ważyli ludzkie zasługi i winy, surowiéj porównywali grzech z zadosyćuczynieniem. Tu bogowie są tylko pobłażliwi — gdzieindziéj są wykrętni.

Wiadomo, jak był zawsze oszukiwany dyabeł mimo swoje cyrografy; zjawisko godne wskazania, że we wszystkich faktach żyd i dyabeł uczciwiéj zawsze dotrzymywali słowa niż chrześcianin; fabuła Kupca Weneckiego jest własnością wieków średnich; pomnę, że dzieckiem jeszcze będąc, żal mi było na scenie tego nieszczęśliwego oszukanego podwójnie ojca, czułem, że przecież wyrządzono mu krzywdę i że funt mięsa prawem mu należał. We wszystkich legendach ludowych dyabeł oszukiwany jest przez chłopa; w następnym cudzie (N. 1) wyprowadzony jest w pole przez samego Stwórcę.

Pan i pani ślubowali wieczną czystość (także owoc średniowiecznéj kazuistyki). Na tę wieść Lucyfer i Belzebuth sprzysięgają się przeciw Pogromicielce głowy wężowéj i natychmiast spostrzegamy skutki ich pokus w niespokojném zachowaniu się Pana. Dama się broni, zaklinając, iż owoc grzesznego związku odda dyabłu; istotnie dyabeł zakazuje chrzcić nowonarodzone, zjawia się po nie kilkakrotnie, odwłócząc zawsze termin na rozpaczliwe prośby matki; nie pomagają pielgrzymki Syna do Rzymu i do trzech pustelników (sprawa była zawiła) — w ostateczny termin schodzą się, dobijając o ofiarę. Z drugiéj strony zstępuje Matka B. i rozpoczyna się prawdziwa kłótnia, w której Czarni grożą, że poskarżą się P. Bogu „na tę damę,“ jak wyrażają się pogardliwie o Maryi. Bóg każe sobie pokazać zasady dyablego żądania: okazują cyrograf matki. „Cyrograf nie wart gruszki“ — woła Matka B. „Daj go sam, obaczymy.“ „Godził się li ojciec na oddanie dziecka?“ Niestety, dyabli zapomnieli o odnośnym paragrafie kodeksu cywilnego owych czasów. „Szatanie, powiadam ci, że według prawa nic żonie bez woli męża wydawać nie dozwolono.“ Dyabeł odchodzi wściekły na ten prawniczy kruczek, z żalem czytelnika, bo jest jeszcze najwdzięczniejszą dramatu tego figurą; Syn wstępuje do klasztoru.

Przy takim nastroju umysłów rwą się najświętsze węzły rodzinne. Rycerz uwodzi zakonnicę — dodać trzeba, że te uwiedzenia nie są bynajmniéj gwałtem, bo dzieją się za nader chętném zezwoleniem uwiedzionych, tém mniéj wytłomaczona owa dla grzechu pobłażliwość;— żyją z sobą lat 30, nagle Matka B. napomina ją we śnie, poczém ojciec i matka opuszczają dzieci — „dzieci“ musiały już być zapewne pod wąsem, ale dramat przedstawia je jako chłopców opuszczonych i płaczących — i wstępują oboje do klasztoru. Zaiste, czyny to niezbyt budujące.

Gdyby te misterya pisane były dziś, wydałyby się zgryźliwemi satyrami; przeniósłszy się przy lekturze w owe wieki, musimy wytłomaczyć te dziwne zjawiska nie złośliwością, lecz rzetelną wiarą w ich podniosłość; niektóre przecież rysy, niektóre figury wyszły ze złośliwości świadoméj: taką była siostra Izabella, takim bohater cudu (N. 8) o papieżu, który przez chciwość sprzedał oléj z kaplicy świętego Piotra. Pewien mieszczanin był obowiązany, dla spełnienia *votum* swego dziada, ofiarować kaplicy pewną ilość oleju; wydatek ten ciężył widocznie skąpemu i mało nabożnemu kupcowi — postanowił wykupić się. Idzie o sprawie pomówić z papieżem:

....parlez jusqu'au pape,
On dit qu'argent voulentiers hape (!);

u drzwi smaruje łapy odźwiernym, niechcącym go wpuścić — (we wszystkich cudach, gdzie mowa o audyencyi u papieża, powtarza się ten rys charakterystyczny) — następnie targuje się z Ojcem św. Papież żąda 300 denarów, kupiec daje 200,—dobijają targu. Święty Piotr rozgniewany za uszczerbek swojéj chwały, ukazuje się winnemu we śnie; kupiec wezwany, zbywszy daniny, powrócić doń oczywiście nie chce. Św. Piotrowi potrzeba satysfakcyi i oto zjawia się kupiec klejnotów pokazując karbunkuł rzadkiego blasku, istny w téj chwili *deus ex machina.* Zawieszają go jako przedmiot zastępujący lampę (!) w kaplicy, ale św. Piotr w powtórném zjawieniu uznaje się niegodnym tak wielkiegu skarbu i każe ofiarować go Matce Boskiéj, co się téż dzieje.

Brutalna naiwność niesie z sobą pogwałcenie wszelkich uczuć przyzwoitości, pozwala na czyny, które dziś nazwalibyśmy profanacyą. Niebiańska postać Matki B. przedstawia się prostaczo mimo wszelkie anielskie dekoracye, słowa jéj rubaszne, giesta chłopskie. W cudzie N. 10 przynosi biskupowi mleko własnych piersi w złotém naczyniu — relikwie niezwykłe:

„....ce sont reliques moult beles,
Plain est du lait de mes mamelles“

o woni, przy któréj nikną „róże, lilie i wszelakie korzenie.“

Do drugiéj grupy należą cuda przerobione z bardzo starych romansów rycerskich. Osoba Matki B. została w nie wprowadzona— jak to mówią — za włosy; na dolę bohaterów — z małymi wyjątkami — nie wpływa zupełnie, a tylko zstępuje w pewnych chwilach, aby ich pocieszać lub krzepić. Cuda te są nadzwyczaj ważnemi dokumentami dla badacza średniowiecznéj epopei i romansu; niektóre, jak cud o Klodwiku nawróconym przez Klotyldę, odnosi się do pieśni bohaterskich, które jako epopeje zaginęły, zachowawszy się jedynie w kronikach. Dostrojone jednak do pojęć XIV w., musiały popaść w krzyczące anachronizmy i fałsze: i tak, Klodoweusz podróżuje do Ziemi świętéj (N. 39), Rzym jest częstokroć oblegany przez Saracenów etc.

Sławne romanse: „Amis et Amilles“ (N. 23), „Robert Dyabeł“ (N. 33), „Św. Aleksy“ (N. 40), posiadały już żywioł cudowny w swych kształtach pierwotnych; reszta objawia charakter zupełnie świecki.

Ulubione były w średnich wiekach historye o niewinnych prześladowanych żonach, pomieszane późniéj z inną legendą: o dziewczynie, którą ojciec chciał zaślubić i która, aby ujść grzesznéj jego żądzy, ucina sobie rękę i ucieka. Redakcye ich są niezliczone,

znane w najstarszéj formie z powiastek ludowych: o *Sneewitchen* w Niemczech, *Peau d'âne* we Francyi, o „Złéj macosze“ u nas etc. Zlane razem już bardzo wcześnie dały historye o Manekinie, Oliwie, pięknéj Helenie z Konstantynopola etc. (1). Pierwszą część téj legendy, jeszcze nie zamąconą, co świadczy o jéj poważnéj sędziwości, znajdujemy kilkakroć w naszych cudach. Cud N. 32 opiewa „o królu Teodoryku (Thierry), któremu matka doniosła, że jego żona Osanna powiła troje psiąt (choć ona powiła troje synów), za co ją skazano na śmierć, a ci, którzy ją zabić mieli, puścili ją na morze, a potém znalazł król dzieci i żonę.“ Treść widna z tytułu. Drugi cud (N. 29) mieści podanie to samo z dodatkiem pierwszéj części o dziewczynie z uciętą ręką. Jest to poprostu wierna przeróbka powieści o Manekinie, córce króla węgierskiego. Po śmierci żony król nie chce wejść w powtórne związki, chyba z taką, która będzie zupełnie podobna do pierwszéj. Panowie, nie mogąc znaleść takiéj, radzą mu ożenić się ze swą córką. Papież pozwala na ten związek (w powieściach prozaicznych król postępuje przynajmniéj wbrew przestrogom papieża), za radą kardynałów uzbrojonych argumentem: „Człowiek to jest niezwyczajny, a do każdego garnka swoja łyżka! *(Si que a tel pot tel cuiller)*.“ Dziewczyna ucieka morzem (z Węgier!) do Szkocyi, gdzie rozgrywa się ów dramat ze złą matką królewską.

Inny cud o prześladowanéj (N. 27) stoi w związku z podaniami o Sybilli i Hildegardzie, żonach Karola Wielkiego (2); cud „o cesarzowéj rzymskiéj, którą brat cesarski oskarżył, aby ją zgubić, przeto iż nie chciała być mu powolna; a potém obsypany został trądem, a Matka B. go uleczyła, skoro grzech swój naprawił.“

Przysmakiem dla badacza epopei karolingskiéj jest Cud o Bercie, żonie króla Pepina, a matce Karola W. Legendę znamy z *Chanson de Geste*: Berta wielkonoga *(Berthe aux grand pieds)* (3), znamy ją z kompilacyi włoskiéj: *Reali di Francia* etc. (4). Berta jest córką króla węgierskiego Floryana i żony jego Blancheflour (także dwa imiona sławne w epopei starofrancuskiéj). Bohaterka jest zwierciadłem wszystkich cnót, posiada tylko małą wadę, wymienioną w tytule. Pepin zaślubia ją, ale ochmistrzyni dworu, chcąc wysadzić na tron córkę swą *Aliste*, straszy młodą królowę, że król Pepin, choć

---

(1) Porównaj acz nie kompletny jeszcze wykaz w Herm. Suchier, prof. weimarskiego: Oeuvres poétiques de Philippe de Remi, sire de Beaumanoir. Paris 1884.

(2) Porów. Histoire poetique de Charlemagne par Gaston Paris. Paris 1865

(3) Porów. Gaston Paris j. w.

(4) Porów. Pio Rajna: Reali di Francia.

„Mały“ jest takiéj „kompleksyi“, iż każdéj oblubienicy śmierć grozi w jego gwałtownych objęciach. Przyrzeka więc posłać na jéj miejsce własną córkę (ten motyw podstawiania jednéj kobiéty za drugą pierwszéj nocy ślubnéj jest ulubiony epopei średniowiecznéj); zdradliwa Aliste poświęca się dlatego tylko, aby uzurpować wszelkie prawa królowéj. Oskarża ją o zamiar morderstwa; Berta skazana na stracenie, ocalona przez katów chowa się w lesie. Tymczasem królestwo węgierscy przybywają do Francyi w gościnę. Aliste zakrywa twarz udając chorą, ale matka odkrywa podstęp—po nogach. „To nie nogi Berty — powiada, — tamte dłuższe są o cztery palce.“ Król każe spalić ochmistrzynią, fałszywą Bertę osadza w klasztorze; prawowitą zaś małżonkę znajduje w lesie.

Jedna nowella Bokacyusza, Roman de la Violette, Cymbeline Szekspira znajdują wszystkie swój pierwowzór w innêm podaniu o prześladowanéj, o któréj nieskazitelność mąż poszedł w zakład i przegrał, bo przeciwnik postarał się bądź podpatrzéć tajemne znamię na jéj ciele, bądź jak w cudzie N. 28 wykraść kostkę (!) mężowskiego palca, którą tenże dał jéj ku przechowaniu.

Najciekawszy w téj seryi jest N. 4, osnuty na jakiéjś nowelli. „Zaczyna się cud Matki B., jak żona króla portugalskiego zabiła podczaszego królewskiego i własną krewną, jak była skazana na spalenie i jak ją Matka B. wybawiła.“ Król śród polowania zabłądziwszy w lesie, zachodzi do domu kasztelana; kasztelanka podoba mu się; żąda jéj ręki, saméj jednak prosi o dopuszczenie pewnych przed ślubem wolności. Po długim oporze, na zaklęcie króla, iż przypłaci zdrowiem, oddaje mu klucz od swych komnat. Król zwierza się podczaszemu, który, aby uniemożebnić mezalians, wkrada się na jego miejsce, a dziewczyna—jak się to dzieje we wszystkich podobnych historyach — poznaje błąd dopiéro rano. Zabawne jest niedołęstwo autora, z jakiém przedstawia jéj zdziwienie; potrzeba jéj na to kilkunastu wierszy, w których wodzi oczyma po nieznanéj figurze, tłómacząc sobie, że to nie król, lecz ktoś inny. Za radą „krewnéj“ ucina podczaszemu głowę, a pierwszéj nocy ślubnéj posyła ją na swe miejsce—dla zatarcia śladu fatalnego wypadku. Jest to krok śmiały, jednak sądząc, że

„Quant vostre pucellage ara
Je croy bien qu'il s'endormira“,

przyjdzie w nocy, obejmując obok małżonka miejsce prawowite. Nie brała w rachubę ambicyi kuzynki, która o ustąpieniu miejsca ani słyszéć nie chce. „Straciłaś rozum—powiada—skoro król wziął moje panieństwo, ja teraz będę królową za twą wolą lub bez niéj.“

Rozgniewana królowa podpala łóżko, a króla wyprowadza; oskarżona przez spowiednika i skazana na stracenie, ucieka się do Matki Boskiéj. Za jéj rozkazem wykrywa rzecz całą pustelnik i teraz w sensie moralnym karę odnosi spowiednik. Intryga w tym cudzie zawilsza i artystyczniejsza niż w innych, czyni go nader interesującym dla badacza teatru średniowiecznego; same historye owe, dziecinne i śmieszne, nie godne są zapewne wielu szpalt w naszym wieku surowym, poważnym i utylitarnym ; starałem się téż skrócić pracę mą do tyla, o ile może zająć ciekawych średniowiecznéj społeczności, obyczajów, wierzeń i literatury.

Edward Porębowicz.





CZŁOWIEK Z EPOKI DYLUWIALNEJ

NA MORAWII. (*)

Przebywanie człowieka w epoce dyluwialnéj na Morawii jak najgruntowniéj stwierdzone zostało. Badania naukowe wykazały nadto, że żaden inny kraj monarchii austryackiéj, a może i całéj środkowéj Europy nie odznacza się tak wielkiém bogactwem pozostałości z czasu pierwszego śladu człowieka, jak stosunkowo mały kraj Morawski.

Dziś znamy już tam dwanaście miejscowości, które zadziwiającą obfitość w przedmiotach wykopalisk z różnych faz epoki dyluwialnéj wydały, a w siedmiu z tych jaskiń jest obecność człowieka z epoki czwartorzędnéj uzasadniona. O tych wykopaliskach mamy pełne treści sprawozdanie prof. Maška w Nowym-Iczynie, który, obok dr. Henryka Wankel'a, największe względem badań jaskiń na Morawii położył zasługi. Zapewniał on, że człowiek dyluwialny na Morawii, w swoim czasie, polował na olbrzymiego mamuta, srogiego pod względem drapieżności niedźwiedzia jaskiniowego, dzikiego tura i *żubra* (1), a również i na towarzyskiego renifera.

Prof. Maška twierdzi, że niema żadnego powodu przypuszczać, jakoby człowiek epoki dyluwialnéj przebywał wyłącznie w jaskiniach i żeby one tylko służyły mu za miejsce wyłącznego pobytu, schroniska i przytułku. Życie owoczesnego człowieka opisuje wspomniany badacz w następujący sposób.

(*) Porównaj dzieło: „Diluviale Mensch in Mähren. Ein Beitrag zur Urgeschichte Mährens von Prof. Karl v. Maška mit 51 Abbildungen. Neutitschein 1886. Reiner Hosch."

(1) Żubry (*Bison europ.*) znikły z całego kontynentu prócz Litwy, gdzie w Białowiejskiéj puszczy (gub. Grodzieńska), jako osobliwość w niewielkiéj ilości się znajdują.

Już przy pierwszym występie na ziemi widzimy człowieka owego, wyposażonego całym szeregiem zasobów pewnych wiadomości, które stawić go każą na wyższym stopniu kultury w stosunku do zwierząt. Znał on już ogień i jego własności, które mu służyły nie tylko dla ciepła, aby się ogrzewać, lecz i aby przy ogniu odpowiednio do smaku przyrządzać mięso z upolowanych zwierząt, które obok owoców stanowiło jego smaczne i posilne pożywienie. Umiał on daléj ku swojéj potrzebie z łupku twardego korzystać, używając go jako ostrego narzędzia do obcinania gałęzi, czyli wogóle używał do czego tylko mógł użyć; umiał z olbrzymich rogów tworzyć przyrządy do swego użytku i potrzeby osobliwie jako broń, a nawet jako broń poważniejszéj natury. Nie znał on jeszcze atoli wyrobów glinianych. Najpierwszy i najdawniejszy stopień kultury człowieka przebywającego na Morawii przedstawiają jaskinie „Stamberger", które prof. Maška nawet do epoki lodowéj odnosi.

Drugi stopień kultury, znacznie późniejszy, z wyraźném piętnym przedstawia „Předmost", ze starannie wyrabianemi przyrządami, służącemi za zbroje, broń, które się nawet pewną okazałością odznaczają, z gładzonéj, szlifowanéj kości, i jak na swój czas to zadziwiająco pięknymi na kości mamuta rysunkami.

Pośredniém ogniwem między dwoma powyższemi okresami, czyli stopniami kultury, są wykopaliska ze średnich warstw „Šipka" i „Čertova dira".

Trzeci stopień kultury, daleko późniejszy a nadzwyczaj licznemi zaznaczający się wykopaliskami, mamy w pozostałościach z „Kostelik." Są to przedewszystkiém utwory przeważnie skrobanego i ciekawie w ornamenta przyozdabianego rogu renifera i jeszcze bardziéj ozdobionéj szczęki końskiéj.—Do czwartéj, najmłodszéj, dyluwialnéj epoki kultury, która, zdaje się, że ma być przejściem do wieku człowieka z epoki najnowszéj aluwialnéj, zalicza prof. Maška pewną liczbę sztuczniejszych przyborów.

Najważniejszym przedmiotem z „Šipki" jest dolna szczęka ludzka skamieniała, co jest najlepszym dowodem egzystencyi człowieka podczas epoki dyluwialnéj. Ze względu na dostrzeżony w niéj stan rozwoju zębów, możnaby tę szczękę przypisać dziecku, przechodzącemu zmianę zębów. Z charakterem tym jednakże dziecięcéj zmiany zębów stoi w sprzeczności nadzwyczaj wielki rozmiar całéj szczęki, jaki teraz obecnie tylko u dorosłych ma miejsce (1).

---

(1) O olbrzymach czytaj poetów przed-Herodotowych: Homera, Pindara i Eschyla. Hr. W. Dzieduszycki: „Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich." Rozprawy i sprawozd. Akad. um. krak. wydz. hist.-filozof. Kraków, 1887.

Z tego dawałby się wyprowadzić wniosek, że jak w zamierzchłych owych czasach istniały zwierzęta rozmiarów olbrzymich, tak téż i człowiek mógł być rzeczywiście większym i silniejszym. Prof. d-r Virchow chce wspomnioną czaszkę przypisać dorosłemu, inne jednak powagi naukowe, jak Schaffhausen, Quatrefages i Magitot za dziecięcą ją uważają. Wobec Virchowa stoi Baume, powaga w kwestyach dentycznych, który w téj szczęce widzi dowód egzystencyi osobliwszéj rasy ludzkiéj z epoki dyluwialnéj; Carus Stein z tych podstaw wnioski do teoryi descendecyjnéj poczynił.

J. H. Nowalski.

Wiedeń, w styczniu 1888 r.





Z ZIEMI NADODRZAŃSKIÉJ.

Towarzystwo starożytności szląskich (z siedzibą zarządu we Wrocławiu i ze wspaniałém a bogatém w zbiory muzeum tamże), bardzo gorliwie chodząc za badaniem zamierzchłéj przeszłości ziemicy szląskiéj, coraz pomyślniéj się rozwija, bo coraz więcéj doń przystępuje członków, a i szersza publiczność chętnie je w pracach i badaniach archeologicznych — w czém się już pewna systematyczna wyrobiła metoda—wspiera i znaleziskami, oraz starożytnemi osobliwościami zbiory jego nieustannie wzbogaca.

W drugiéj połowie grudnia r. z. odbyło rzeczone Towarzystwo walne zebranie doroczne. Ze sprawozdania, przy sposobności téj ogłoszonego, dowiadujemy się, że liczyło Towarzystwo wtenczas, prócz 7-miu członków honorowych, 623 członków zwyczajnych. W ciągu roku administracyjnego przystąpiło 36 członków. W czasie tym odbyło Tow. we Wrocławiu ośm posiedzeń wieczornych z odczytami, przedsięwzięło w 18 miejscach poszukiwania archeologiczne, zaczém szły naukowe badania znalezisk. Liczbę okazów muzealnych pomnożono o 595 numerów z daleko znaczniejszą ilością poszczególnych sztuk. 427 numerów przeszło w posiadanie Muzeum na drodze darowizny, 17 numerów powierzono mu z zastrzeżeniem sobie prawa własności, 101 numerów nabyło Towarzystwo przez kupno, resztę drogą wymiany.

Muzeum miało niejednokrotnie sposobność przysłużenia się zamiejscowym badaczom i instytucyom naukowym poszczególnemi relacyami; bardzo znaczna liczba zamiejscowych i zagranicznych archeologów zwiedziła Muzeum; za opłatą zwiedziło je 2000 osób. Szczególnie znacznym był napływ zwiedzających w czasie wystawy najnowszych znalezisk *zakrzewskich.*

Druków ogłosiło Towarzystwo trzy: „*Der Fund von Sakrau*“ przez d-ra Gremplera, referat o druku „*Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift*“ i „*Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens.*“ Ostatnią publikacyą bezpłatnie otrzymują członkowie Towarzystwa starożytności szląskich corocznie, nadto otrzymują ją muzea, zamieniające wydawnictwa swoje z Muzeum wrocławskiém.

Towarzystwo cieszy się względami zwierzchności miejskiéj Wrocławia, pism publicznych szląskich i władzy prowincyonalnéj. Ostatnia w ciągu roku administracyjnego udzieliła Towarzystwu na publikacye znacznego jednorazowego wsparcia, nadto podwyższyła roczną subwencyą z 3000 m. na 6000 m. Miasto Wrocław daje rocznie 1200 m. Członkowie składają 4000 m. Dochód z wstępnego przynosi mniéj więcéj rocznie 900 m.

Ostatnie przez Muzeum podjęte poszukiwania archeologiczne były w Bukowie (Bockau), w powiecie strygowskim, obwodzie rejencyi lignickiéj, w Bruchaczu (Brauchitschdorf) w powiecie lubieńskim (Lüben), także w obwodzie rejencyi lignickiéj, w Połczycach, w ziemi brzeskiéj, i w Rozmiarce i Adamowicach, w powiecie wielko-strzeleckim na Górnym Szląsku.

W Bukowie już w końcu zeszłego i w trzecim dziesiątku bieżącego wieku „kopano urny.“ Teraz, oprócz urn pospolitéj roboty, w znacznéj części ciężarem wierzchniego nasypu pogniecionych, napełnionych popiołem i resztkami węgli drzewnych, znaleziono i popielnice wytwornie wykonane, a pomiędzy niemi misę z czerwonéj gliny pięknie profilowaną, wewnątrz ciemno barwioną i siecią łączących się trójkątów zdobną. W misie téj stała czerwonobrunatna czara, ślady pomalowania nosząca, a druga, na żółto barwiona, bardzo misterna, leżała obok. Malowane te naczynia przedhistoryczne są *specyalnością Szląska*, znajdują się jednak i w w. ks. Poznańskiém, tylko że w mniejszéj ilości. Ukaże się niebawem rozprawa o nich z tablicami kolorowanemi. Z zabytków kruszcowych znaleziono na cmentarzysku bukowskiém bronzową obrączkę i kawałek zardzewiałego żelaza, podobnego do noża, w kształcie sierpa; nabyto téż w Bukowie od pewnego znalazcy dwie bronzowe obręcze, z których jedna, jak znalazca ich zaręcza, urnę obejmowała. Przy sposobności dalszéj pracy, przedsięwziętéj cokolwiek późniéj na tém samém miejscu, znaleziono dwie bronzowe zausznice, tąkąż bransoletę i urnę, która była żelazną obręczą objęta.

Na terytoryum *bruchackiém* dokopano się cmentarzyska przedhistorycznego przy rudowaniu polesia sosnowego; o czém, zawiesiwszy natychmiast robotę w tém miejscu, właściciel Bruchacza, hr. Schmettow, uwiadomił zarząd Muzeum wrocławskiego, a zarząd

wysłał niezwłocznie asystenta Muzeum dla podjęcia poszukiwań. Poprowadzono rowy od wschodu ku zachodowi i niebawem, w półmetrowéj głębokości, pod szczelnie ułożoną warstwą kamieni, odkryto groby, których zawartość, to jest urny, tak wskutek ciężaru wierznich kamieni, jak i z powodu rozrastających się korzeni drzew leśnych znacznie ucierpiały. I tu znaleziono popielnice dwojakiéj roboty: proste i bez ozdób, mieszczące niezawodnie popioły prostaczków, i wykwintnie wykonane, nadto czary i łzawice.

Żal na polu pełczyckiém znajduje się 20 kroków od Sławki, strumyka, zaginającego się na tém miejscu w kolano. Długość żalu wynosi, o ile go odsłoniono, 30, szerokość 16 kroków. Znaleziono tu 31 wybornie zachowanych popielnic, z których największa 105 centymetrów ma objętości. 10 urn rozpadło się w skorupy; skorup tych przecież będzie można użyć do rekonstrukcyi całości. Wszystkie urny ustawione były w sześć gniazd po 6—8 sztuk. Odznaczają się pomiędzy niemi urny z 5 do 6 wokoło wyrobionemi wypukłościami, co im nadaje poniekąd kształt kanciaty. Największa z nich, mająca 98 centymetrów obwodu, aż po sam wierzch napełnioną była niedopalonemi kościami i pokrywą nakryta.

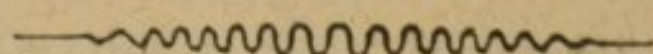
Nieznanym dotąd pomiędzy znaleziskami przedhistorycznemi na Szląsku kształtem odznacza się wydobyte tu naczynie, ongi prawdopodobnie do picia służące, w formie buta. Wydobyto też dobrze zachowaną czarę o uszku, 6-ciu wklęsłościami wokoło zdobną, daléj kawałek bronzowéj śpilki i kamienne części żarn: kamień spodni, w kształcie płyty 43 centymetry długiéj a 25 centymetrów szerokiéj i kamień wierzchni, 25 centymetrów długi a 17 centymetrów szeroki.

W najbliższém otoczeniu grobów znaleziono rozłupki krzemienia, może na ostrza do strzał służyć mające, jako też bardzo subtelnie wykonane ostrze takie z bronzu.

Na témże terytoryum, ale w przeciwnéj stronie znaleziono cmentarzysko z urnami typu grodziskowego („*Burgwall*"), t. j. urny na kręgu garncarskim robione, następnie wypalone i wężykowatemi liniami zdobne.

Urny, w Rozmiarce i Adamowicach wykopane, sięgają epoki przedgminoruchowéj.

J.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

August Wrześniowski. Zasady zoologii. Z 499 rysunkami w tekście i jedną tablicą chromolitografowaną. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1888 (str. 475).

Wydanie w języku polskim podręcznika z dziedziny nauk przyrodniczych należy do zjawisk niezwykłych i zarazem niewymownie pocieszających. Brak podobnych podręczników odczuwają nietylko uczący się, lecz w równéj mierze i nauczający, zwłaszcza młodzi, którzy do obecnéj terminologii i nomenklatury przyzwyczajeni, szukają w podręcznikach terminologii i nomenklatury polskiéj. Niestety wszystko, co w téj mierze posiadamy — a posiadamy bardzo mało — jest albo mocno przestarzałe, albo nie odpowiada potrzebie, dla tego téż nauczyciel często zmuszony jest tworzyć nowe wyrazy, niezawsze udatne i z duchem naszego języka zgodne. Cóż dopiero mówić o tych, co kształcąc się sami, nie znajdują w literaturze naszéj szkolnéj prawie nic, coby odpowiadało najskromniejszym choćby wymaganiom. W dziedzinie mineralogii nie posiadamy absolutnie nic, w botanice lukę do pewnego stopnia wypełniają niedawno wydane podręczniki prof. Rostafińskiego, oraz świeżo staraniem redakcyi „Wszechświata“ ogłoszony „Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowéj“ prof. Strasburgera, w dziedzinie zaś zoologii alfą i omegą są podręczniki Schoedlera i Nowickiego; pierwszy przestarzały i niewystarczający, drugi w wysokim stopniu niepedagogiczny. Nie ulega wątpliwości, że brak podręczników w języku polskim przypisać należy w znacznéj części przyczynom od nas niezależnym. Gdzie z planu szkolnego wyrugowane są przedmioty, stanowiące właściwie podstawę wszelkiego wy-

kształcenia, tam o dobrych podręcznikach mowy być nie może, wszelkie bowiem usiłowania w tym względzie napotykają na nieprzezwyciężoną przeszkodę, mianowicie na brak nakładców. To téż gdy za granicą wychodzą rok rocznie dziesiątki podręczników niższych, średnich i wyższych, poświęconych naukom przyrodniczym, u nas zjawienie się podręcznika z dziedziny historyi naturalnéj jest fenomenem bardzo rzadkim.

Prawdziwe uznanie należy się firmie wydawniczéj Gebethner i Wolff za podjęcie myśli wydawania Biblioteki umiejętności przyrodniczych. W r. 1884 wyszły „Zasady chemii ogólnej,“ Br. Znatowicza, jedyny podręcznik, uwzględniający najnowsze zdobycze w téj dziedzinie nauki, napisany z wielką znajomością rzeczy i posiadający niepospolite zalety pedagogiczne. Obecnie mamy do zanotowania „Zasady zoologii“ prof. Wrześniowskiego, jako drugi tom pomienionego wydawnictwa. Dzieło to składa się z dwóch części, poprzedzonych wiadomościami wstępnemi, w których rozpatruje autor różnicę pomiędzy ciałami sztucznemi a naturalnemi, ciałami martwemi a ożywionemi, zwierzętami a roślinami, poczém następuje krótkie określenie oddzielnych gałęzi biologii. Część pierwsza obejmuje anatomią i fizyologią człowieka z uwzględnieniem budowy i spraw zwierząt, część druga zaś poświęcona jest wyłącznie klasyfikacyi.

Przechodząc do szczegółowego rozbioru książki, zatrzymamy się przedewszystkiem na anatomii i fizyologii. Dokładna znajomość budowy i czynności organów ludzkich stanowić powinna podstawę ogólnego wykształcenia zoologicznego, gdyż daje klucz do zrozumienia budowy i fizyologicznych spraw zwierząt. Chociaż więc rozpatrywanie ciała ludzkiego, ściśle biorąc, nie wchodzi w zakres zoologii właściwéj, tém niemniéj poczytujemy autorowi za zasługę, że rzecz tę uwzględnił w swoim podręczniku bardzo obszernie i w sposób niepozostawiający nic do życzenia. Zaradził dotkliwemu brakowi książki, mogącéj szerzyć zdrowe pojęcia o czynnościach własnego ciała naszego, tak potrzebne dla każdego wykształconego człowieka. Na 125 stronicach wyłożył autor najniezbędniejsze wiadomości, dotyczące organizmu ludzkiego, uzupełnione licznemi a pięknemi rysunkami, uprzystępniającemi zrozumienie treści. Po pobieżnym przeglądzie spraw fizyologicznych i budowy, rozpatruje autor przedewszystkiém przyrządy i sprawy zależności, polegające na ruchu, przyjmowaniu wrażeń świata zewnętrznego i doprowadzeniu ich do świadomości, opisuje więc skielet wewnętrzny, mianowicie kręgosłup, czaszkę, kończyny, zwracając uwagę czytelnika na własności każdéj kości zosobna, na sposoby ich łączenia się

w jedną całość, oraz na wybitne różnice, zachodzące pomiędzy skieletem człowieka a innych zwierząt. Po krótkim lecz treściwym opisie skóry i skieletu naskórkowego, przechodzi autor do układu mięsnego, zaznajamia czytelnika z budową mięśni, rozłożeniem ich u zwierząt bezkręgowych i kręgowych, oraz człowieka, a do zrozumienia zawiłego ugrupowania mięśni w różnych okolicach ciała ludzkiego wybornie się nadaje pięknie wykonana tablica chromolitografowana, na któréj znajdujemy najgłówniejsze mięśnie powierzchowne człowieka z odpowiednim opisem w języku polskim i łacińskim. Bardzo obszernie traktowaną jest mechanika ruchów wraz z postawą i miejscozmiennością. Zaznajomiwszy czytelnika z pojęciem drąga, czyli dźwigni, objaśnia szanowny profesor zasady, na których polega stanie, pełzanie, chodzenie, bieganie, skakanie, czepianie się rozmaitych zwierząt, pływanie oraz latanie. W dalszym ciągu następuje krótki wykład fizyologicznych własności mięśni, poczém autor zaznajamia nas bardzo szczegółowo z budową układu nerwowego człowieka, zwierząt kręgowych i bezkręgowych, podaje najniezbędniejsze wiadomości z histologii układu nerwowego, fizyologiczne własności nerwów, oraz ośrodków nerwowych. Budowa i czynności fizyologiczne przyrządów zmysłów opisane są bardzo obszernie z uwzględnieniem histologicznéj budowy, oraz niektórych zjawisk fizycznych, uprzystępniających zrozumienie czynności oka i ucha.

Niemniéj szczegółowo rozpatrywane są przyrządy i czynności odżywiania, mianowicie trawienia, krążenia krwi, oddychania, wydzielania skórnego i wydzielania moczu. I tu autor trzyma się planu, przyjętego przy opisie przyrządów i spraw zależności. Przedewszystkiém znajdujemy opis odpowiednich przyrządów człowieka, następnie zwierząt kręgowych, a w końcu bezkręgowych. Przy rozpatrywaniu krążenia krwi, oraz oddychania, zwrócona jest uwaga na wpływ nerwów na te czynności, nadto przy oddychaniu objaśnione są zmienione ruchy oddechowe, jak łkanie, ziewanie, czkawka, kaszel, kichanie, śmiech, płacz i t. p. Osobne rozdziały poświęcono sprawie przemiany materyi i ciepła zwierzęcego, oraz głosowi, poczém następują zbyt pobieżnie traktowane wiadomości z histologii, zajmujące niespełna trzy stronice.

Część drugą, a zarazem najobszerniejszą dzieła stanowi systematyka zwierząt. Wyjaśniwszy w niewielu słowach istotę i cel klasyfikacyi wogóle, a klasyfikacyi zwierząt w szczególności, przechodzi autor kolejno oddzielne grupy zwierzęce, zaczynając od zwierząt wyższych, mianowicie od typu kręgowców, a kończąc na pierwotniakach. Przy każdym typie podaje autor przedewszystkiém

krótką charakterystykę, obejmującą najgłówniéjsze cechy, właściwe tylko danemu typowi, poczém następuje szczegółowszy wykład budowy i czynności fizyologicznych, w końcu zaś znajdujemy tablice synoptyczne gromad, wielce ułatwiające objęcie całego przedmiotu. Taki sam plan występuje przy opisie gromad, które autor dzieli na rzędy, podając w każdym najgłówniejsze rodziny, a przy każdéj rodzinie najwięcéj znane rodzaje i gatunki, illustrowane odpowiedniemi rysunkami. Przy opisie gatunków uwzględnione jest rozmieszczenie geograficzne, miejsce zamieszkania, oraz zwyczaje zwierząt. Typ kręgowców obejmuje także główniejsze zwierzęta zaginione.

Przy układzie zwierząt autor kierował się przedewszystkiém względami pedagogicznemi, rozpoczął więc wykład od zwierząt wyższych, których budowa łatwiejszą jest do zrozumienia, aniżeli budowa niższych. Zawiłą organizacyą zwierząt bezkręgowych pojąć można dopiero po uprzedniém przestudyowaniu morfologii zwierząt wyższych, a jeżeli w podręcznikach, przeznaczonych dla słuchaczów uniwersyteckich, klasyfikacya postępuje w takim porządku, w jakim zwierzęta się rozwijały, t. j. od najniższych do najwyżéj uorganizowanych, to przy takiém naturalném ugrupowaniu materyału autorowie opierają się na znajomości elementów zoologii, wykładanych zwykle w wyższych klasach gimnazyalnych. W podręcznikach szkolnych, do których należy Zoologia prof. Wrześniowskiego, najracyonalniejszym jest układ odwrotny, mniej wprawdzie ścisły, ale przystępniejszy dla umysłów młodocianych. Prof. Wrześniowski dzieli państwo zwierzęce na dziewięć typów w następującym porządku: 1) Kręgowce *(Vertebrata)*, 2) Osłonnice *(Tunicata)*, 3) Mięczaki *(Mollusca)*, 4) Mięczakowate *(Molluscoidea)*, 5) Stawonogi *(Arthropoda)*, 6) Robaki *(Vermes)*, 7) Szkarłupnie *(Echinodermata)*, 8) Jamochłonne *(Coelentarata)* i 9) Pierwotniaki *(Protozoa)*. Oddzielenie osłonnic od kręgowców, które na zasadzie historyi rozwoju łączą zwykle w jeden typ *Chordata*, jako téż ustanowienie osobnego typu Mięczakowatych, które zwykle włączają do robaków, objaśnia się również względami pedagogicznemi. Za zaletę książki poczytujemy także dokładne zaznajomienie ucznia ze zwierzętami niższémi, mianowicie szkarłupniami, jamochłonnemi i pierwotniakami, które w podręcznikach szkolnych traktowane były dotychczas po macoszemu.

Co się tyczy terminologii i nomenklatury, to autor wprowadził do wykładu wyrazy utarte, cieszące się powszechném uznaniem, a oprócz tego w odnośnikach przytacza synonimy typów, gromad i rzędów, napotykane u różnych autorów.

Wykład jasny, język czysty, wolny od naleciałości obcych, stanowi niemałą zaletę książki, którą śmiało można postawić za wzór innym tego rodzaju podręcznikom. Przytém autor uwzględnił najnowsze wyniki nauki, o ile te mogą wchodzić w zakres średniego nauczania. Jako nowość znajdujemy tu podział ssących na żyworodne i jajorodne, oparty na niedawno dokonanym przez Haackego i Caldwella odkryciu, że przedstawiciele rzędu jednootworowych *(Monotremata)*, mianowicie Dziobak i Kolczatka, składają jajka na wzór ptaków, nie zaś rodzą żywe potomstwo, jak do niedawna jeszcze mniemano.

Tyle o zaletach książki prof. Wrześniowskiego. Słabe strony dzieła polegają prawie wyłącznie na braku pewnych wiadomości, które powinny wchodzić w zakres podręcznika szkolnego, a których niestety nie znajdujemy w rozbieranéj książce. Nie mówimy już o zupełném wykluczeniu z programu zasad zoologii organów płciowych i historyi rozwoju zwierząt, o których niema najmniejszéj wzmianki, ani w anatomii i fizyologii, ani też w części systematycznéj. Jest to rzecz osobistego przekonania autora, który uznaje za nieodpowiednie wprowadzanie do wykładu szkolnego przedmiotu, niemogącego być traktowanym z zupełną swobodą, choć w takim razie daleko konsekwentniéj byłoby pominąć podział ssących na łożyskowe *(Placentalia)* i bezłożyskowe *(Aplacentalia)*, gdyż autor nigdzie o łożysku nie wspomina i terminy te pozostają dla ucznia zupełnie niezrozumiałemi. Za to nie możemy się powstrzymać od wyrażenia żalu naszego z powodu pominięcia teoryi stopniowego rozwoju zwierząt, która naszém zdaniem powinna wchodzić w zakres średniego nauczania, jeżeli nauczanie to ma za zadanie nietylko przyswajanie faktów, ale także rozwój umysłu ucznia. Do tego nadają się w wysokim stopniu nauki przyrodnicze, zwłaszcza biologiczne, w których zasada porównawcza sprzyja wielce zapamiętaniu faktów i wyciąganiu z nich wniosków ogólnych. Jeżeli autor zachowuje szczegółowy rozbiór teoryi Darwina do wykładu uniwersyteckiego i poświęcenie temu przedmiotowi osobnego rozdziału w swoim podręczniku uznał za zbyteczne, to mógł zasadę tę uwzględnić w trakcie wykładu przez porównywanie osobnych grup zwierzęcych z sobą, przez co przedmiot suchy nabrałby wyraźniejszych kształtów i stałby się daleko więcéj zajmującym. W podręczniku prof. Wrześniowskiego każda grupa zwierzęca występuje jako całość skończona, nie łącząca się ani z grupą poprzednią, ani z następującą. A przecież nie było nic łatwiejszego, jak zaznaczyć stopniowe i niewyraźne przejście pomiędzy oddzielnemi grupami, uwydatnić cechy wspólne sąsiednim grupom zwierzęcym i przez to

wykazać, że państwo zwierzęce przedstawia nie zbiór niezależnych od siebie gatunków, lecz że gatunki te są z sobą w większym lub mniejszym stopniu spokrewnione. Zasadę tę należałoby przeprowadzić głównie w typie kręgowców przez porównanie jednootworowych *(Monotremata)* z ptakami, ptaków z gadami, płazów z rybami.

Jest to jedyny zarzut, jaki uczynić możemy doskonałej zresztą pracy prof. Wrześniowskiego. Pomimo zaznaczonych powyżéj braków, uważamy „Zasady zoologii“ za najlepszy ze wszystkich wydanych dotąd w języku polskim podręczników tego rodzaju i śmiało polecamy je wszystkim miłośnikom nauk przyrodniczych, zwłaszcza zaś nauczycielom, uczniom, oraz studentom medycyny i farmacyi, którzy z téj książki prawdziwy pożytek odnieść mogą.

Zewnętrzna strona podręcznika prof. Wrześniowskiego nie pozostawia nic do życzenia. Obfitość i piękne wykonanie rysunków w wysokim stopniu podnoszą wartość dzieła, do którego na końcu dołączony został alfabetyczny spis rzeczy. *S. Grosglik.*

Adam Szymański. Szkice. Tom I. Petersburg. Nakładem autora, 1887, str. 158.

Rozgłos, jaki towarzyszył utworom p. Szymańskiego od ukazania się pierwszego z nich w odcinku „Kraju“, nie daje się wytłómaczyć ani wielką doniosłością spraw, które poruszały, gdyż pod tym względem niejedna powieść czy nowela je przewyższała, ani urokiem nadzwyczajnym słowa, gdyż autor nie tylko świetnym ale nawet dobrym stylistą w całkowitém znaczeniu wyrazu tego nie jest.

Był jednakże w nich jakiś pierwiastek, który zobojętniałych na bardzo wiele wrażeń czytelników poruszył, serca ich rozgrzał, umysły zaciekawił i autora, dotychczas nieznanego, odrazu pomiędzy patrycyat nowelistów wprowadził. Mało kto wiedział, że p. Szymański, zanim go losy wśród Jakutów osadziły, brał już dość czynny udział w czasopiśmiennictwie warszawskiém młodego pokolenia (w „Opiekunie domowym“), że przebył już dawniéj termin literacki; dla większości był to talent całkiem świeży, który gdzieś na dalekim wschodzie odrazu strzelił kwiatem o barwach przytłumionych a wielce ujmujących.

Zapewne, ta okoliczność, iż „Srul z Lubartowa“ odbył bardzo długą wędrówkę, zanim na kartach czasopisma polskiego w Petersburgu się ukazał, wiele mu pomogła w serdeczném przyjęciu, ale gdyby nie miał zalet rzeczywistych, tylko okolicznościowe, po pierwszych grzecznościach dla gości z bardzo sympatyczną rekomendacyą, zapomnianoby o nim, jak się zapomina o ludziach i rzeczach,

o których dużo obiecywaliśmy sobie, a którzy rojeń naszych nie spełnili. Ale „Srul z Lubartowa“ posiadał przymioty istotne, a przedewszystkiém ten, że był prawdziwy bez żadnych dodatków i upiększeń, bez wielkich zachodów autorskich o jego przedstawienie czytelnikom. P. Szymański odtworzył tylko w słowie prostém i zwięzłém to, czego rzeczywiście doświadczał, co czuł, co myślał, co widział; nie wglądając domysłami do duszy człowieka, z którym rozmawiał, przedstawił jego pytania i swoje odpowiedzi, a ponieważ rzecz sama była i charakterystyczna wielce i głęboko uczuciowa; wierne jéj odmalowanie uderzyło każdego swoją prostotą i prawdą. W Jakucku wśród 35-stopniowego mrozu szedł autor oddać ostatnią posługę jednemu ze zmarłych spółwygnańców, poczciwemu kurpiowi Bałdydze. „W szopie, nie mającéj ani stołu, ani stołka, nic okrom ścian ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze śniegiem zasypanéj, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę ogromny wąsaty trup... Surowe oblicze nacechowane było dziwném jakimś, nieopisanym bólem, a z szeroko otwartych oczu wielkie źrenice, zda się, z wymówką sterczały het daleko, ku mroźnemu, surowemu niebu.“ Ktoś z obecnych skreślił autorowi charakter Bałdygi w tych słowach: „Zmarły *był* chłop zacny; zawsze *był* zdrów i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał koło siebie kogoś z biedniejszych, tylko że to i uparty *był*, jak kurp’, więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie“. Tą jedyną mową pogrzebową pożegnano Bałdygę; skamieniałe zwłoki złożono do trumny, postawiono ją na małe saneczki jakuckie, gdy „krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: *Witaj, królowo nieba... w smutku i radości*, podtrzymując ją urywanemi głosami“, gromadka ruszyła ku cmentarzowi. Po chwili mała tylko, świeżo usypana kupka ziemi świadczyła o niedawném istnieniu Bałdygi na świecie, ale świadczyć miała niedługo, bo za nastaniem wiosny zrówna się z poziomem, porośnie trawą i zielskiem; po roku, po dwóch niktby już jéj nie znalazł, ale bo téż i szukać nikt jéj nie będzie. Wypadek ten i myśli przezeń nasunięte był jedynie wstępem przygotowującym i autora i czytelnika do sceny, która stanowi główny temat szkicu. Wspomnienie Bałdygi wzmogło w wygnańcu uczucie tęsknoty do kraju, niedopuszczające żadnéj innéj myśli, żadnego innego pragnienia, prócz żądzy powrotu do ziemi rodzinnéj, do niw nadbużnych, albo przynajmniéj do lubowania się ich wyidealizowaném wspomnieniem. Gdy się marzeniom tym oddał, każdy nerw jego, jak powiada „czuł muskanie powietrza rodzinnego, ożywcze działanie promieni sło-

necznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wściekléj i coraz groźniej szczerzył na szybach swe zęby", krew jednak żywo zakrążyła w żyłach, głowa zapałała; jak zaklęty, zapatrzony, zasłuchany, nie widział i nie słyszał nic już koło siebie. Wśród tego zatopienia się w rozpamiętywaniu o ziemi rodzinnéj, zjawia mu się w rzeczywistości jéj żywe przypomnienie w postaci żyda z Lubartowa, który dowiedziawszy się, że ktoś niedawno przyjechał z Warszawy, przyszedł go odwiedzić i rozpytać, chociaż nie spodziewał się nic utargować i chociaż mróz był straszliwy. Opowiadający poruszał w rozmowie rozmaite strony życia, zagadywał o polityce, o handlu, o położeniu żydów, ale Srul wszystko to przyjmował obojętnie, chciał się on o coś zapytać, ale nie umiał wyrazić swych myśli, a prócz tego lękał się wyśmiania. I on bowiem, tak jak Bałdyga i jak autor, tęsknił za krajem, i jemu miło było przypomniéć sobie zielone pola i fasolę i wróbli, bo na „przeklętéj" ziemi, w któréj od lat trzech mieszkać musiał, nic podobnego widziéć nie mógł. Zapomniał już nawet wyrazów, któremi się owe rzeczy popolsku mianowały, ale same rzeczy głęboko mu tkwiły w pamięci i sercu. Gdy autor zrozumiał, o co właściwie żydowi chodziło, rozrzewnieniem ogarnięty, wziął go za rękę i przybrał w słowa jego myśli i uczucia tęskne, i opowiadał o polach, łąkach, lasach, zwierzętach i ludziach ziemi rodzinnéj. Srul ściskał mu ręce i śmiał się jak dziecko radośnie, i słuchał z otwartemi usty, z wlepionym weń wzrokiem; wzrokiem tym palił go i podniecał, wyrywał mu słowa, chwytał je spragniony; a po skończeniu zajęczał boleśnie, zatrzęsła mu się broda ruda i łzy duże potoczyły się po znędziałéj twarzy...

Wydobycie na jaśnię i odtworzenie bez sztucznych przyborów jednego z najgłębszych uczuć, jakie sercem ludzkiém wstrząsają— oto właściwy czar pierwszego szkicu p. Szymańskiego i powód sympatycznego przyjęcia go przez ogół czytający i krytykę. Skreślenie zaś natury mało znanéj i wyjątkowe położenie zarówno autora jak i osobistości, które do szkicu wprowadził, dodawało do tego czaru pierwiastek świeżości, tak zawsze pożądany, zwłaszcza wśród mniéj więcéj jednostajnych wrażeń, jakich doznajemy przy czytaniu powieści osnutych na stosunkach powszednich.

Drugi z kolei szkic p. n. „Pan Jędrzej Krawczykowski" i trzeci p. n. „Maciéj Mazur" malują nam dwu zabójców ale z dwu różnych powodów; jeden zakatował żonę niewierną, drugi brata szpiega i zdrajcę. Opowiadanie ma tu ten sam charakter, co w „Srulu"; autor zdaje relacyą z tego, co widział i słyszał, tylko że już obszerniéj maluje przyrodę nad Leną i że szczegółowiéj przytacza rozmowy i tym sposobem już rozszerza metodą powieściopisarską to, co za-

uważył jako obserwator. Fantazya dopełniająca gra tu więc rolę ważną; autor przywykając do szerszego traktowania materyału zdobytego przez spostrzeganie, zaczyna szczegóły uwydatniać dokładniéj, zaczyna własnym domysłem wchodzić we wnętrze osób, które do opowiadania obiera, zapamiętane ich słowa zaczyna do swojego sposobu wyrażania się naginać, wzory literackie niegdyś czytane dopomagają mu do rozprowadzenia osnowy rzeczywistéj. Czy na tym utwory jego zyskują? Zdaje się, że nie. Gdyby były więcéj skoncentrowane, gdyby tak jak „Srul“ poprostu, zwięźle, ale silnie i barwnie odtwarzały to, co rzeczywiście dała autorowi obserwacya, wrażenie przez nie wywarte silniejszém-by się podobno stało. Mianowicie rozumowania autora, obracające się w sferze uniewinniania przestępstw, nie posiadają dosyć siły przekonywającéj, ażeby czytelnik wspólnie z nim i w jednakowym stopniu sympatyzował z zabójcami. Odnosi się to do „Pana Jędrzeja“, którego oczy, jak zapewnia autor, były „czyste i jasne jak woda kryniczna, niewinne i spokojne jak oczy dziecięcia“, wówczas gdy skończył swe opowiadanie o zabiciu żony. Takiemi oczyma patrzą téż, jak poucza psychologia kryminalna, monomani a nawet zabójcy z profesyi. Co do poczciwego i serdecznego „Macieja Mazura“, który kończąc swą opowieść „blady był jak trup, bielszy od ściany białéj, przy któréj siedział, rękami nie wymachiwał, tylko palce jego poruszały się konwulsyjnie“, czytelnik może całkowicie sympatyą autora podzielać, a ta zgodność sprawia, że i szkic lepszym od poprzedniego się wydaje.

Oryginalny w pomyśle, chociaż niezbyt świetny w wykonaniu jest „Stolarz Kowalski“, który w skutek nieszczęść doznanych w życiu przestał wierzyć w Opatrzność, zgorzkniał, znienawidził Boga i nauczył jedyną wierną sobie istotę i jedyną własność swoję, psa szczekać ku niebu, gdy usłyszał wymówione słowa: „Piesiu, idź nawymyślaj Panu Bogu, nawymyślaj mu dobrze.“ Dusza ta była serdeczna, lubiąca pieśni, rozrzewniająca się na wspomnienie matki, a gorycz wlana w nią przez życie, nie uczyniła jéj nieprzystępną miększym uczuciom. W ostatnich przedzgonnych chwilach czytana przy nim ewangielia ś. Jana przypomniała mu lata dzieciństwa, skruszyła go i nastrojowi religijnemu zwróciła.

Ostatnim w zbiorku p. Szymańskiego szkicem jest „Przewoźnik“. Jako o całości nic stanowczego jeszcze powiedzieć o nim nie można, dlatego że mamy dopiero część pierwszą. Co do sposobu pisania, najwięcéj tu widać przemianę, jaka zaszła w autorze „Srula z Lubartowa“. Jest to już powieść według zwykłych pojęć o tym rodzaju literackim; znajdujemy w niéj szczegółowe, charakterystyczne opisy téj miejscowości, na któréj ma się rozegrać akcya utworu;

znajdujemy uwagi autora nad usposobieniem mieszkańców, refleksye treści ogólnéj, zarysy osób zarówno podrzędną, przypadkową jak i główne znaczenie w utworze mających. Może się ona ogółowi bardziéj podobać od szkiców poprzednich, bo się tu autor wypowiada ze swemi myślami i uczuciami, ułatwiając czytelnikowi rozumienie charakteru osób; ale czy w równym stopniu zadowolni krytykę, o tém przesądzać jeszcze nie można, jakkolwiek niektóre deklamacyjne ustępy nasuwają myśl, że próba nowego sposobu pisania jest próbą dopiéro. *P. R.*

= **Historya literatury polskiéj** *na tle dziejów narodu skreślona przez Maryana Dubieckiego* (Warszawa. Nakł. M. Orgelbranda, 1888), budząca z powodu nazwiska autora, znanego na polu dziejopisarstwa naszego niemałe nadzieje, że lepiéj będzie niż dotychczasowe podręczniki opracowana, zaczęła wychodzić zeszytami. Z dwu puszczonych w świat obecnie trudno jeszcze wyrokować o wartości całéj książki, mającéj zawrzéć się w 60 ciu arkuszach; ale niestety, o treści dwu zeszytów, a zwłaszcza o tém, w jaki sposób treść ta opracowana została, nie można złożyć pochlebnego świadectwa. Autor jako na nowość w swéj pracy kładzie silny nacisk na „tło z dziejów politycznych“, które szczegółowo przed czytelnikami rozwija, ażeby tém jaśniéj uwydatnić rozwój umysłowy narodu odźwierciedlony w literaturze. „Podobny system — powiada — o ile wiem, w naszych podręcznikach literatury dotąd nie był w użyciu, w szerszym przynajmniéj zakresie; *wprowadzając* go w niniejszéj méj pracy, *stawiam* na drodze *zestawienia* wszystkich objawów życia narodu *pierwsze zaledwie kroki.*“ Otóż musimy sprostować to naczelne twierdzenie autora, który przejęty myślą, że wprowadza nowy żywioł do historyi literatury, nie dość pilnie śledził metody poprzedników. Już pierwszy nasz krytyczny dziejopis literatury, Kazimierz Brodziński, w wykładach swoich w uniwersytecie warszawskim, bardzo szeroko historyą polityczną kraju uwzględniał, tak, że np. wstęp jego do 1-éj epoki piśmiennictwa (od Mieczysława I do Kazimierza W.) zajmuje 26 stron druku. Późniejsi badacze nigdy nie tracili z uwagi dziejów politycznych, tylko niezawsze umiejętnie i zgodnie z celem niemi się posługiwali. P. Seweryna Pruszakowa pisząc w „Rozrywkach dla młodocianego wieku“ swój kurs dziejów literatury polskiéj (ledwie zresztą rozpoczęty) aż zanadto nawet miejsca historyi politycznéj poświęciła. Sam więc ten żywioł nie jest nowością w naszych podręcznikach literatury, ale mógłby nią był zostać sposób zużytkowania go. Zazwyczaj bowiem tło po-

lityczne stanowiło obrazek oddzielny, a wymienianie zabytków piśmienniczych szło swoim torem; przyczynowy związek między pierwszém a drugiém rzadko bywał wykazywany. Wiemy, że wykrycie tego związku przyczynowego jest w dawniejszych mianowicie dobach rzeczą bardzo trudną, a niekiedy wprost niepodobną do uskutecznienia z powodu małéj ilości i sporadyczności zjawisk literackich; ale w takich razach lepiéj poprostu przyznać się do niemożności wyjaśnienia, niż łudzić siebie i czytelników, że się coś objaśniło przez podanie faktów luźnych, wzajemnie się nie tłómaczących. Prócz tego zważyć potrzeba, że do zrozumienia i wyjaśnienia naszych zabytków literackich nieraz więcéj znajdziemy światła w dziejach literatury europejskiéj, aniżeli w historyi politycznéj naszego narodu, a w takich wypadkach lepiéj oczywiście zwrócić się w tę stronę, niż wymieniać królów i ich czyny nie mające żadnéj łączności z rozwojem piśmiennictwa. Wreszcie podanie charakterystyki pojęć naszych pisarzów, zaznajomienie z formą ich utworów daleko więcéj nauczyć zdoła o rzeczywistym rozwoju umysłowym narodu i daleko właściwszém jest w historyi literatury aniżeli rozszerzanie się nad stosunkami politycznemi, które z właściwego działu wykształcenia powinny już być znane. P. Dubiecki stara się w swojém tle uwydatnić czynniki cywilizacyjne, ale niejednokrotnie, nie mając do zaznaczenia nic pod tym względem wybitnego, poprzestaje na opowiedzeniu zdarzeń ze strony ich zewnętrznéj. W przedstawieniu działalności autorów bardzo rzadko potrąca o ich przekonania i poglądy, bardzo rzadko zastanawia się nad formą dzieł literackich, zadawalniając się, jak dawniejsi historycy literatury naszéj, skreśleniem biografii i podaniem tytułów ich książek. O oddziaływaniu piśmiennictw obcych na nasze napomyka, lecz tylko ogólnikowo, chociaż w dziale kronik np. albo humanizmu miał już w pracach monograficznych bardzo dobre wskazówki. Traktowanie więc tła historycznego nie może być nazwane i w téj książce zadawalniającém; nie ma ono cechy organicznego związku z właściwym przedmiotem wykładu.—Co się tyczy uporządkowania faktów literackich, panuje w nim dziwny chaos: zjawiska jednogatunkowe bywają rozdzielane, a różnogatunkowe najdowolniéj łączone. O „Bogarodzicy", dla któréj najwłaściwsze miejsce byłoby między utworami treści religijnéj, mówi na samym początku epoki piastowskiéj (str. 35—38), chcąc zapewne uczynić zadość zwyczajowi naszych podręczników dawniejszych, ażeby zacząć dzieje literatury od pieśni religijnéj, chociaż wie, że pieśń ta jest znacznie późniejsza od „doby apostolskich prac św. Wojciecha"; o innych zaś zabytkach religijnych mówi dopiéro przy końcu owéj epoki

(str. 82—86). O Andrzeju Gałce z Dobczyna czytamy wprzód (str. 108, 109) aniżeli o husytyzmie wogóle (str. 113). Pobieżna wiadomość o scholastyce stoi luźnie na str. 115 i 116, a o przedstawicielach scholastyki dowiadujemy się dopiéro na str. 140 i następnych. Podobnie o humanizmie pisze autor na str. 116, potém traktuje osobno Grzegorza z Sanoka, jako inteligencyą wyjątkową (str. 122—125), chociaż dziś wiadomo, że był on jedynie utalentowanym przedstawicielem humanizmu, a dopiéro na str. 151—152 podaje wiadomości o humanistach, przyczepiając do nich nazwisko Grzegorza z Sanoka. Książeczkę Elżbiety o wychowaniu królewicza roztrząsa osobno, ani słówkiem nie napomykając, że to także utwór nawskróś humanistyczny· Podobnież nazwisko Mikołaja Lasockiego znajduje się wśród szeregu mówców bez zaznaczenia nawet, że to jeden z najwcześniejszych naszych humanistów. „Pamiętniki Jańczara“ mieści między przekładami utworów treści religijnéj a pieśniami religljnemi (str. 104—107), a oddziela kantyczki od tych pieśni aż 40 stronnicami, na których różne działy literatury przedstawia. Dość będzie tych przykładów, ażeby wskazać, że ani zasada chronologiczna, ani logiczna nie przewodniczyła autorowi w rozkładzie materyału historyczno-literackiego. Zabieganie naprzód i cofanie się, powtarzania nader częste, wyjaśnienia spóźnione, są już naturalnym wynikiem braku metody w układzie i dlatego o tych nie rozpisuję się szczegółowo. — Co do krytycyzmu, to dzieli p. Dubiecki z poprzednikami powszednie ich ujemności. Ten autor, który okazał w historyi politycznéj dużo przenikliwości, w historyi literatury powtarza baśnie dawno już ze świątyni prawdy dziejowéj przepłoszone. Więc mówi o pieśniach tłómaczonych przez Galla z polskiego, przytaczając za przykład tę właśnie (na śmierć Bolesława), która najwyraźniéj, naocznie prawie przekonywa, że jest utworem samego kronikarza; więc prawi, jak niegdyś Wójcicki, o dyalogu allegorycznym, ułożonym po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, gdzie jakoby „pojedyńcze osoby były wcieleniem cnót zmarłego księcia“, chociaż dziś nie ulega już wątpliwości, że to tylko utwór uczonéj wyobraźni Kadłubka; więc i Mateusza Cholewę, jako oddzielnego kronikarza, jako niewątpliwego autora 3 ksiąg kroniki Kadłubkowéj przedstawia, dodając, że mistrz Wincenty w 4-éj księdze „stara się naśladować styl“ Mateusza; więc występuje u niego i „Ciołek“ optyk, chociaż Franke wykazał, że to nazwisko jest dowolném tłómaczeniem, opartém na złém odczytaniu napisu na dziele tego autora, którego *Vitelonem* (nie zaś Vitellionem) musimy nazywać; więc i Andrzéj ze Słupia tu pokutuje, jakby rozprawa p. Bobowskiego, wskazująca brak podstawy do przyjęcia te-

go nazwiska, wcale nie istniała. Wogóle nieznajomość nowszych monografii daje się uczuć w dziele p. Dubieckiego bardzo dotkliwie. — Co do stylu jest on niezaradnym w dość wysokim stopniu; wydaje się tak, jakby książka powstała z notatek robionych na podstawie wykładów ustnych. Połączenie zdań np. takich, jak następujące, nie są tu rzadkością: „Ruch ten wszakże *był* w pierwszéj połowie rzeczonego okresu kosmopolitycznym, myśl odziana *była* w szatę łacińskiéj mowy, mąż uczony *był* wciąż jeszcze kapłanem. ale już w XV wieku, który *był* bez zaprzeczenia.“ i t. d. (str. 90). W języku spotykają się tu i owdzie rusycyzmy, np. służyć *tematem* (str. 72); a znajomość mowy staropolskiéj wielce słaba, gdy np. przyimek *prze* poczytuje za równoznaczny z *przez* (str. 99) i t. d. Jedno tylko na pochwałę książki p. Dubieckiego powiedziéć można, że nie jest zwykłą *kompilacyą*, jak większa część historyi literatury w ostatnich 20 latach, lecz pracą prowadzoną przez autora samodzielnie. Może do téj zalety przyłączą się i inne w obrobieniu późniejszych okresów literatury naszéj; dotychczas opowiadanie doszło do wieku XVI, do „doby Kochanowskiego.“

= **L. M. Łazarewicz. Szkice średniowieczne.** *Zeszyt 1. „Rozmowa o cudach“ Cezarego z Heisterbachu (Niemcy przed Odrodzeniem). Warszawa 1887, str. 36.* — Młody pracownik na polu literatury powszechnéj widząc, że piśmiennictwo średniowieczne europejskie bardzo mało u nas jest znane, postanowił w szeregu szkiców zaznajomić czytelników polskich z wybitniejszemi epokami wieków średnich, „streszczając pomniki, posiadające *bezwzględną* wartość literacką, albo obfitujące w fakta świadczące o stanie cywilizacyi tych epok.“ Chodzi mu głównie o uwydatnienie „psychologii przeszłości“, to jest o wskazanie, „co zajmowało ongi rozum i wyobraźnię człowieka“, a za najlepszy w tym względzie środek uważa podawanie świadectw wziętych wprost ze źródeł, t. j. z zabytków literatury średniowiecznéj. Na początek wybrał dzieło zupełnie u nas nieznane, które napisane zostało w początkach wieku XIII przez mnicha z klasztoru heisterbachskiego niedaleko Kolonii, p. t. „Dialogus miraculorum“, a ogłoszone drukiem dopiéro w r. 1861. Zeszyt obecny nie zawiera jeszcze treści całego dzieła tego mnicha Cezarego, lecz tylko analizę jednéj ze składowych jego części. Jako wstęp do swych Szkiców średniowiecznych wogóle podaje autor na czele króciutką rozprawę: „Kilka słów o wiekach średnich“, dzieląca się właściwie na dwie części, niemal równéj objętości na tekst i przypisek. W przypisku przedstawia już to szkicowo, już to dość szczegółowo zarys poglądów na charakter wieków średnich, poczynając od historyków z czasów Odrodzenia aż do dziejopisów i historyografów dni

dzisiejszych. W tekscie zaś stara sie sam nakreślić ogólną charakterystykę średniowiecza. Przypisek, jakkolwiek ani wyczerpuje przedmiotu, ani systematycznie ułożony nie jest, daje bądź-co-bądź wyobrażenie dobre o różnorodności zapatrywań na znaczenie dziejowe wieków średnich; wartość tekstu o wiele niżéj stoi. Poglądy polityczno-społeczne i psychologiczne są tak ogólnikowe a niekiedy tak nieszczęśliwie sformułowane, że nie tylko niczego właściwie o średnich wiekach nie uczą, ale nawet mogą nasunąć powątpiewanie, czy autor potrafi sam sobie zdawać sprawę z natury swoich uogólnień. Weźmy dla przykładu kilka zdań. Co może znaczyć następne połączenie wyrazów: „Nieład w sądownictwie, *bieda*, *wieczne niesnaski*, samowola — to rzeczy zbyt znane, często *zabytkami średniowiecznemi* nazywane, ażeby o nich trzeba było mówić" (str. 8). Autor musi przecież wiedziéć, że *bieda* i *wieczne niesnaski* nie tylko w średnich, ale w starych i nowych wiekach istniały i za *zabytki średniowieczne*, za coś charakterystycznego dla średniowiecza uważane być nie mogą. Podobnegoż rodzaju ogólnik bez znamiennéj wartości mieści się i w zdaniu: „Historya nie potrafii wskazać epoki, w któréjby *cnoty i występki występowały tak wyraźnie i zapełniały całe życie społeczeństwa* jak w wiekach średnich" (str. 9). Historya nie potrzebuje wcale wskazywać takiéj epoki poprostu dlatego, że we wszystkich cnoty i występki muszą występować wyraźnie i zapełniać całe życie społeczeństwa, bo to są granice, w których całe to życie się zawiera i tylko pewne ustosunkowanie dobrych i złych uczynków, faktów ujemnych i dodatnich może się stać cechą tego lub owego społeczeństwa, téj lub owéj epoki. To co autor mówi o rozmaitych klasach społecznych, nie jest także znamienném, przynajmniéj w tém sformułowaniu, jakie podaje. W duchowieństwie pełno było gradacyi od świętych do nikczemników — powiada autor—ależ to samo można powiedziéć o duchowieństwie dzisiejszém; w rycerstwie widzi „wielką rozmaitość — od idealnego Rolanda do karykatury" — alboż dzisiaj wśród szlachty czy inteligencyi niéma takich objawów. „Mieszczaństwo średniowieczne — mówi autor — odznaczało się duchem awanturniczym; kupcy imali się oręża i puszczali się w drogi dalekie, pełne przygód"; tak przecież robiły wyjątkowe osobistości; gdyby to było cechą mieszczaństwa, nie byłoby różnicy między niém a rycerstwem. Dość tych przykładów, ażeby wskazać, że autor nie obmyślił należycie swoich ogólnych określeń stanu polityczno-społecznego i że niedość się zagłębił w to, co miało stanowić główny przedmiot jego studyów, w psychologią przeszłości. Cokolwiek lepiéj przedstawia się charakterystyka literatury średniowiecznéj. Prawdą jest niezaprzeczoną, że w lite-

raturze téj pojawiają się „nieznane ludom starożytnym formy poezyi i świeże motywa psychologiczne“, że w niéj jest „mało systematyczności, ładu, porządku, ale dużo werwy, rozmaitości, świeżości kolorytu i jaskrawych barw, że „świeżość motywów psychologicznych często okupuje nieudolną formę“, że w miłości średniowiecznéj „po za wyrazami skromnemi i wymuszonemi zawsze się ukrywają niezbyt idealne pożądania.“ Atoli obok tych i innych jeszcze rysów prawdziwych, nie brak twierdzeń nieuzasadnionych, które wypłynęły z niekrytycznéj chęci podniesienia wartości literatury średniowiecznéj nad miarę właściwą. Niepodobna zgodzić się na to, jakoby nowożytna literatura rozwijała się wyłącznie w kierunku wytkniętym przez średniowieczną i jakoby pierwiastki grecko-rzymskie nie potrafiły się zespolić z nią organicznie; boć tylko szalony romantyzm a nie cała „nowożytna“ literatura wielbił bezwarunkowo natchnienia średniowieczne, a przecież i on w formie utworów niejedno wchłonął z poezyi greckiéj i rzymskiéj. Owszem uznać musimy, że wiele pierwiastków grecko-rzymskich tak silnie, tak organicznie zespoliło się z naszemi pojęciami estetycznemi, iż ich odrzucić wprost niepodobna. Starożytnym ludom nie był tak znowuż obcym mistycyzm, jak utrzymuje autor, a jasny umysł Greka czy Rzymianina lubił dociekać „rdzeni rzeczy“, bo o tém świadczy jego filozofia lub taka poezya jak Lukrecyusza. — Istotną wartość posiada dopiéro część szczegółowa rozprawki, gdyż zapoznaje czytelnika z osobistością nieznaną nam dotychczas i podaje systematycznie zanalizowaną treść pewnéj części jéj dzieła. Cezary, urodzony w drugiéj połowie XII wieku, wykształcił się głównie pod dwoma mistrzami, o których z miłością i uwielbieniem wspomina, pod Rudolfem w Paryżu i Einsfriedem w Kolonii. Młodo, prawie z ławki szkolnéj przeszedł do klasztoru, nie zaznawszy życia światowego. Mistycznie nastrojona jego dusza, pobudzona opowiadaniem o cudach i łaskach, które za przyczyną Najświętszéj Panny specyalnie na mnichów spływały, szukała zadowolenia i zbawienia po za gwarem i rozterkami ludzi ubiegających się o dobra doczesne. Lecz i w klasztorze nie brakło przykładów niecnoty; a wrażliwy lecz surowy umysł pisarza rozważając objawy ujemne, pesymizmem się przejął względem natury ludzkiéj i lubił roztaczać dla nauki moralnéj obrazy zepsucia i występków. Napisał on kilka dzieł, ale najważniejszém jest „Rozmowa o cudach“, w któréj przytaczając mnóstwo anegdot i powiastek, wybornie scharakteryzował całe społeczeństwo swojego czasu. Autor „Szkiców“, pomijając na teraz charakterystykę duchowieństwa według téj „Rozmowy“, jak niemniéj wykazanie zawartych w niéj śladów pogaństwa i mitologią

chrześciańską, wyjmuje tylko szczegóły, rzucając światło na świeckie warstwy ówczesnego społeczeństwa niemieckiego. Poznajemy więc po kolei rycerstwo, mieszczaństwo i lud; a następnie lichwiarzy, kobiéty, sądowników, żydów; w końcu herezye i króciutkie wzmianki o lekarzach, prawnikach i teatrze. Autor z różnych ustępów dzieła Cezarego skupia rysy, które mu do odmalowania wyliczonych powyżéj objawów służą; po większéj części stara się o zwięzłość; zyskuje na tém liczba przytoczonych z dzieła Cezarego faktów, ale traci barwność. Najciekawsze z uwydatnionych tu właściwości są te, które się odnoszą do pojęć religijno-moralnych. Cezary nie zna granicy pomiędzy pobożnością formalistyczną (dopełnieniem pewnych obrządków) a religijnością rzeczywistą, raz wystarcza mu jedna, to znów domaga się drugiéj, zupełnie naiwnie, bez roztrząsania i rozbioru sprawy. I tak opowiada np. o zabójstwie popełnioném przez kleryka wraz z siostrą; prowadzono ich na stos; ogień spalił kleryka, ale nie dotknął jego siostry, która idąc na śmierć, wyspowiadała się z grzechu. Przeciwnie w inném miejscu rycerze-rabusie, chociaż przed śmiercią okazywali skruchę, idą do piekła i tam cierpią męki najwyszukańsze. Najbardziéj charakterystyczną w tym względzie jest anegdota o dziadku, który wnuka swego zadusił za to, że tenże targnął się na cześć dziewczyny. Starzec ten na ostatniéj spowiedzi nie wyznał swego postępku, o którym wszyscy wiedzieli, biskupowi, uważał bowiem swój doraźny czyn za zupełnie słuszny; biskup nie chciał mu dać komunii, ale starzec dostał ją cudownym sposobem.—Rysy obyczajowe są po większéj części ujemne u Cezarego i liczba rycerzy walecznych i pobożnych jest nieznaczna, o chrześcianach w Jerozolimie powiada, że nie było takiego, któryby za pieniądze nie sprzedał swéj żony, siostry lub córki; w anegdotach o kobiétach lekkomyślność, ciekawość, idyotyzm i lubieżność ich są ulubionemi motywami Cezarego; romanse ich ze spowiednikami są u niego rzeczą powszednią. Książeczka roi się od błędów drukarskich, od niepoprawnych zwrotów językowych i stylowych. Autor nie umie używać pełnych i skróconych form zaimków osobowych, popełnia liczne błędy w składzie, a niezaradność jego stylowa jest, niestety, bardzo wielka. Widząc, że się poświęca studyom pracowitym i żmudnym, a mogącym wzbogacić naszę literaturę, szczerze wypada życzyć, ażeby usilnie językiem i stylem ojczystym się zajął.

= **Ch. Seignobos. Historya cywilizacyi** *z 200 drzeworytami w tekscie, przełożył z najnowszego wydania francuskiego Adolf Dygasiński.* (Warszawa. Nakł. T. Paprockiego; dotychczas 2 zeszyty, str. 320). Największą zaletą książki Seignobosa jest jéj treściwość, jasność

i przystępność wykładu, obfitość i ścisłość informacyi w niéj pomieszczonych. Autor nie myślał się spółubiegać o pierwszeństwo z licznymi w Niemczech historykami „kultury“, ani pod względem odkrywania coraz-to nowych niby praw rządzących rozwojem ludzkości, ani pod względem emfatycznie wypowiadanych uogólnień, które przez czas jakiś mogą znaleść powodzenie, ale późniéj idą do składu frazeologicznych rupieci;—lecz starał się jedynie o nagromadzenie wiadomości pewnych, ustalonych przez krytykę dziejową i o ich należyte uporządkowanie w formie podręcznika szkolnego. Po krótkim zarysie czasów przedhistorycznych (str. 1—13), określa znaczenie legend, historyi pewnéj, podaje źródła do historyi cywilizacyi starożytnych, streszcza główne zarysy etnograficzne (do str. 23), a następnie mówi po kolei o Egipcyanach (do str. 42), Asyryjczykach i Babilończykach (do str. 57), Aryach indyjskich (do str. 69), Persach (do str. 80), Fenicyanach (do str. 90), Żydach (do str. 101), Grekach (do str. 188), Etruskach i Rzymianach (do 315). Przy końcu zeszytu drugiego rozpoczynają się dzieje „Najazdu“ narodów germańskich na państwo rzymskie. Rysunki wzięte z pomników autentycznych wybornie uzmysławiają szczegóły cywilizacyjne. Przekład dokonany jest starannie, a wydanie pod względem druku, papieru i odbicia ilustracyi ładne.

= **Nieszczęśliwi,** *obrazki na tle codziennego życia, skreślił J. K. Maćkowski* (Lwów, 1887, str. 138).—Autor sam uprzedza, że obrazki jego nie odznaczają się oryginalnością pomysłów i poglądów, że przedstawiają walkę ludzi „niezbyt szczodrze przez naturę uposażonych“ z przypadkiem, drobnemi okolicznościami codziennego życia, albo wreszcie z własną nieudolnością i „naturalnemi skłonnościami do złego.“ Istotnie, są-to pospolitości bardzo pospolitym a w dodatku niedbałym sposobem opowiedziane. „Jeden z wielu“ to młodzieniec słabéj woli a dużéj zarozumiałości, który będąc w gimnazyum, zamiast się uczyć, pisze wiersze i kocha się, a potém schodząc szczebel po szczeblu marnieje moralnie, kończąc pijaństwem. „Wyrodny syn“ z miłości do aktorki zepsutéj i bezczelnéj dopuszcza się kradzieży w sklepie, gdzie był subjektem, wypędzony przez ojca, nauczyciela wiejskiego, wiesza się. „Kłusownik“ to zamożny i uczciwy skądinąd chłop, który z zamiłowania myśliwstwa tajemnie w cudzych lasach poluje, ze strachu strzela do gajowego, idzie do więzienia, traci żonę, wyjeżdża do Ameryki. Wszystkie te wypadki w książce p. M. nie robią większego wrażenia nad opisy podobnych smutnych objawów życia społecznego w „Kuryerach“; artystycznego znaczenia, ani psychologicznego pogłębienia nie mają. Stosunkowo najlepszym, a zarazem najmniejszym jest obrazek p. n.

„Wilia za oceanem", w którym odmalowane mamy z przyjęciem i serdecznością ostatnie chwile chłopa naszego, który zwabiony obietnicami do Ameryki, wraz z rodziną pojechał, nadwerężywszy nogi i ręce w fabryce, wydalony z niéj został, i kołacząc napróżno do serc ludzkich o zasiłek dla zgłodniałych dzieci, nie śmiał z próżnemi dłońmi wracać do chaty, zmarzł zasypany śniegiem u jéj progu, gdy biédna żona ciągle jeszcze uspokajała dzieci, że tata powróci i chleba na gwiazdkę przyniesie. — Język obrazków niestety nie tylko zalet piękności nie posiada, ale nadto zeszpecony jest germanizmami i niepoprawnością samych form gramatycznych. Autor przez usta zmarnowanego poety upomina się o wyrozumiałość dla talentów miernych; należy im się ona niewątpliwie, bo nikt za stopień swego uzdolnienia odpowiedzialnym być nie może; ale trzeba pamiętać, że to, co praca daje, a więc czystość języka i staranność stylu, pod sąd surowy podciągnąć wypada.

— **Stosunki i pieśni miłosne Mickiewicza w Odesie** *przez Józefa Tretiaka* (w „Przewodniku naukowym i literackim", styczeń—marzec 1887 r.) Rozprawa ta, jak się okazuje z tekstu, lubo wydrukowana w 1887 r., napisaną została w końcu r. 1885; ta okoliczność wyjaśnia, dlaczego w biografii poety pozostało tu parę informacyi, których błędność w przeciągu owego czasu wykazano, jako to data wyjazdu z Petersburga a więc długość pobytu w Odesie, oraz brak roztrząśnięcia domysłów dotyczących zapoznania się Mickiewicza z przyszłymi dekabrystami i tym podobnych szczegółów. To też nie strona życiorysowa zasługuje w téj rozprawie na uwagę, tylko rozbiór twórczości Mickiewicza w Odesie, a mianowicie sonetów erotycznych. Po raz pierwszy znajdujemy tu dokładniejsze oznaczenie stosunku naszego poety do Petrarki, wskazanie podobieństw zachodzących pomiędzy pomysłami i słowami obu, oraz różnic w duchu i nastroju. P. Tretiak bardzo trafnie wyróżnia w sonetach Mickiewicza dwie wyraźne grupy, z których jednę odnosi do Maryli, drugą do stosunków odeskich. Tylko w sonetach do Maryli widzi wpływ Petrarki, ale zastrzega się zaraz, że chociaż ich jest dwanaście jedynie, można w nich znaleść większą rozmaitość uczucia niż w paruset sonetach piewcy Wokluzy, oraz większą rozmaitość siły, z jaką się ono wypowiada, ton liryczny niekiedy głębszy, używanie wszędzie żywych obrazów nie zaś symboliki. Ślady wpływu Petrarki dostrzega w miękkości tonu niektórych sonetów, w pewnych obrazach, za najbardziéj zależne od włoskiego wzoru poczytuje: „Ranek i Wieczór" i „Do Niemna". Pierwszy ma odpowiednik w sonecie: *La sera desiar, odiar l'aurora*; co do drugiego nie podaje autor szczegółowéj wskazówki. Natomiast broni sonet III („Mówię

z sobą“) od zarzutu „naśladownictwa wyraźnego trzynastu takiejże saméj treści sonetów Petrarki“, zrobionego przez A. Rząźewskiego, twierdząc, że „takiéj saméj treści niéma ani jednego sonetu u Petrarki“, a natomiast wykazując, że jest kilka mających *podobne* motywa pojedyńcze. Sonet p. t. „Rezygnacya“ uważa p. T. za przejściowe ogniwo pomiędzy sonetami do Laury-Maryli a poezyą miłosnym stosunkom odeskim poświęconą. Stosunki te roztrząsa następnie szczegółowo, o ile same utwory na to pozwalają, łączy z sonetami inne poezye w tymże czasie powstałe i daje barwny obrazek tego życia salonowo-zmysłowego i odpowiadającéj mu twórczości, jaką podczas pobytu wśród arystokratycznych towarzystw w Odesie poeta nasz rozwijał. Epigraf z Petrarki położony przez Mickiewicza na zbiorze sonetów słusznie podaje p. T. za wyraz przekonania poety, iż od miłości i miłostek zwrócił już myśl i uczucie swoje ku innym natchnieniom. Rzecz cała żywo skreślona.

= **T. M. Plauta komedyi pięciu parafrazy** *przez J. I. Kraszewskiego* (Złoczów. Nakł. O. Zukerkandla i Syna, 1888, str. 219). — Powieściopisarz nasz, siedząc w więzieniu w Moabicie r. 1883, dla oderwania się od dotkliwéj i bolesnéj rzeczywistości, obok tworzenia powieści oryginalnych, zajmował się także przekładem najdowcipniejszego z komedyopisarzów rzymskich, który chociaż brał tematy ze sztuk greckich, umiał im nadać wybitny koloryt miejscowy, rzymski. Plaut już w XVI wieku zwrócił u nas uwagę na siebie: Piotr Ciekliński przełożył wówczas i wydrukował jednę z jego komedyi, nadawszy jéj tytuł „Potrójny“, spolszczywszy nazwiska i dołączywszy, niezbyt zresztą szczęśliwie, kilkaset wierszy własnego pomysłu. Po nim dopiéro Jan Wolfram, profesor filologii klasycznéj w Szkole Głównéj, zajął się Plautem i przetłómaczył 6 sztuk, z których cztery tylko wyszły z druku r. 1873 w Poznaniu; pomiędzy niemi znalazła się i ta, którą niegdyś przełożył Ciekliński, ale pod właściwym tytułem: „Trojak.“ Następnie ks. Kantecki dał tłómaczenie „Bliźniąt“ (*Menaechmi*). Kraszewski jest czwartym z kolei tłómaczem Plauta i po raz trzeci przetłómaczył „Trojak“, ale obok niego dał jeszcze przekłady czterech innych: „Samochwał“, „Pasożyt“, „Rozbitki“, „Koszyk.“ Z tych tylko „Samochwał“ (*Miles Gloriosus*) znajduje się przełożony w rękopiśmiennéj spuściźnie po Wolframie. Tym sposobem, gdybyśmy wszystkie dotychczasowe tłómaczenia Plauta połączyli, otrzymalibyśmy osiem sztuk z ogólnéj liczby 20. Kraszewski przekłady swoje nazwał „parafrazami“ zapewne dlatego głównie, że niekiedy skracał dość długie rozmowy, że zwięźléj nieco wyrażał to, co znalazł w oryginale, nie przekształcał go jednak i rubasznych nawet dowcipów nie zacierał, dobiera-

jąc tylko tu i owdzie wyrazów i wyrażeń mniéj rażących obyczajowość dzisiejszą. Co do treści i nastroju parafrazy, te wiernie odtwarzają sztuki Plauta i mogą dać o nim dostateczne pojęcie.

= *Z* nowym rokiem rozpoczął w Krakowie wychodzić pod redakcyą *Zygmunta* Sarneckiego dwutygodnik ilustrowany literacko-artystyczny p. t. „**Świat.**" Dwa pierwsze zeszyty tego wydawnictwa, które się dotychczas ukazały, usprawiedliwiły w części wielkie zainteresowanie, jakie poprzedziło pojawienie się nowego pisma. Redakcya położyła główny nacisk na stronę zewnętrzną i ilustracye, których wykonanie pod względem artystycznym zadowolić może istotnie nawet bardzo wybredne wymagania. Nie w tym samym stopniu odpowiedziała natomiast oczekiwaniom część literacka. *Z* wyjątkiem większego powieściowego obrazka p. t. „Murowanka", pióra ś. p. Kraszewskiego, i fragmentu komedyi Zalewskiego „Syn Bogów", na dział literacki złożyły się przeważnie drobne, przemijającéj wartości sprawozdawcze artykuły. Przy poważniejszém traktowaniu części redakcyjnéj, któréj brak w nowém piśmie dotkliwy (z wyjątkiem polemiki), oraz staranniejszym doborze poważnego materyału, „Świat" zająćby mógł w piśmiennictwie galicyjskiém równorzędne stanowisko z ilustracyami warszawskiemi, dla których stał się już dziś poważnym konkurentem. *P.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kto wśród nas najpopularniejszy?—Pozwala nam to odkryć choroba rabina Eiglera.—Tajemnica pod bokiem.—Obojętność na odsłonięty przez p. Nussbauma rożek zasłony.—Jak się żydzi dowiedzieli o tém, że Eigler zachorował?—Jakie są obowiązki rabinów i na czém się opiera ich potęga.—Tajemnica moralnego wpływu kapłanów.—Korzyści poważnego badania socyologicznego u nas.—„Nie wypada"; p. p. Choiński, Bogusławski, prasa postępowa i Prus —„Niezbite fakty" i osobliwy sposób dowodzenia szanownego felietonisty.—Para wniosków, wyciągniętych *à la* Prus ze statystyki.—Podręczny socyolog.—Wiadomostka ze Skandynawii ma nas przejednać z poligamią.—Zdanie uczonych i zdanie felietonistów.—Czy opinia publiczna i prawodawcy zasługują na zarzut „wścibstwa" i „plotkarstwa".—Mowa Prusa na rynku i prośba do niego od słuchaczów.

Kto jest najpopularniejszą, a przez to najbardziéj wpływową osobistością w granicach Królestwa Polskiego?

Pytanie ważne, które dziś nasunąć się może czyjemuś umysłowi teoretycznie, ale które w pewnych momentach stawiane bywa ogółowi całemu przez bieg wypadków.

Gdybyśmy z tobą, czytelniku, rozwiązywali tę kwestyę nieprzygotowani zupełnie, tak sobie, w gawędce, a przytém w Warszawie, to niewątpliwie jako kandydaci przyszli by nam na myśl: autor „Potopu", wynalazca termomikrofonu i magnetyzer, redaktor jednego kuryera, felietonista drugiego, prezes Towarzystwa Dobroczynności, Żółkowski, doktór Ch., doktór B., jaki hrabia, lub jaki Rotszyld miejscowy, albo wreszcie „nasz znany bankier X", o którym tak często „Kuryer Świąteczny" opowiada ucieszne anegdotki. Zdaje się, żebyśmy się mylili. Miarą popularności może być ilość ludzi, występujących z oznakami współczucia w razie nieszczęścia, choroby, śmierci. A prawdopodobnie, gdyby którakolwiek z wyżéj wspomnianych osób legła na łożu boleści, nie otrzymała by tylu świadectw przywiązania i pamięci, co rabin lubelski Eigler. Według korespondenta „Kuryera Codziennego", duchowny ten, będąc niedawno chorym obłożnie, otrzymywał *codziennie* po *paręset* listów i po *kilkadziesiąt* telegramów. W d. 12 np. stycznia otrzymał *120* depesz! Specyalny sekretarz przygotowywał buletyny o zdrowiu pacyenta i *je-*

dnego dnia wysłał 450 listów otwartych do wielbicieli chorego rabina. Zapytania i depesze przychodziły z całego Królestwa.

Pierwsza myśl, pierwsze wrażenie, jakiego się doznaje, czytając o tym fakcie, jest: jak przerażająco, jak niesłychanie różni się od naszego ten świat naszych *współobywateli*; ocieramy się oń bokami, a ani okiem sięgnąć tam nie możemy, ani uchem pochwycić dźwięku żadnego, ani dotknąć się go nie jesteśmy wstanie. Ten rabin Eigler wywierał niewątpliwie wpływ duży; jeżeli wyzdrowieje, kierować będzie nadal siódmą niemal częścią ludności krajowéj; jeżeli umrze pozostanie po nim wpływ niezatarty, a my o tym potentacie, o téj sprężynie niejednego wypadku doniosłego wiemy mniéj niż o oberwańcu, który tém się tylko odznaczył, że wygrał wielki los na loteryi i poszedł do szynku, aby przepić i stracić zdobyte losem pieniądze.

Wyroki, rozporządzania i rady tego zakopanego w jakimś lubelskim zaułku rabina mogły były dotknąć każdego z nas, mogły były zrujnować lub ocalić niejedną znajomą nam rodzinę, wywołać drożyznę w dziewięciu gubernialnych i paru setkach małych miasteczek, a gdybyśmy go spotkali w atlasowym żupanie w futrzanéj czapce w dzień skwarny, z pejsami niedbale zwieszonemi za uchem, uśmiechnęlibyśmy się może pogardliwie lub z litością. Sprobujmy z nim się rozmówić—my jego, a on nas nie zrozumie. Może nawet nie mówi wcale po polsku.

Wieść o chorobie Eiglera rozleciała się po kraju całym—jaką drogą? Przyzwyczailiśmy się do tego, że drukowane słowo jedynie ma szerszy rozgłos, że prasa jest jedynym dziś zbiornikiem i roznosicielem wieści, obchodzących szerszy ogół; tymczasem żydzi do środka tego nie uciekają się i uciekać nie potrzebują. Może „Izraelita“ i Hacfiro“ podały wiadomość, ale chyba z nich téż dowiedzieć się nie można było dokładnie, co zacz jest naprawdę mistrz Eigler, boć inne pisma niewątpliwie byłyby powtórzyły ciekawą biografią.

Słowém, choroba rabina lubelskiego jest jeszcze jednym objawém, stwierdzającym doskonale zresztą znane zjawisko, że od wieków pleni się wśród nas i rozrasta życie obce nieznane i niekontrolowane. Taka jedna drzazga w organizmie wystarcza, aby każde społeczeństwo doprowadzić do niemocy i nawet do zupełnego upadku. Podobne więc fakty, choć nic nowego w gruncie rzeczy nie mówią, powinny być bodźcem, powinny nam przypominać, że się dla przedarcia tych osłon i połamania parkanów robi albo bardzo mało, albo nic. Wychowańcy byłéj szkoły rabinów i ich rówiennicy potrafili w sercu swojém zespolić miłość przeszłości dwu narodów i ukochać jedną wspólną przyszłość, krzątali się i zrobili wiele;

dzisiejsze pokolenie bodaj czy pamięta o téj ważnéj części *obowiązków.*

„Rola“ może pomyśli, że dmucham na skrzydła jéj młynka;— nie, nie należy pracy społecznéj rozpoczynać od urągania, a nawet krytyki, jeżeli się nie poznało dobrze zjawiska, jeżeli się *równocześnie* nie stawia programu i sposobu rozwiązania kwestyi. Znać zewnętrzne przejawy, nie znaczy znać społeczność ludzką; tymczasem pobudki, pragnienia, cele, cierpienia świata żydowskiego, są nam tak nieznane, jak budowa i ruchy systemów pozasłonecznych. Pan Hilary Nussbaum w kilku książkach, bardzo interesujących i ważnych ze względu na treść, próbował pokazać tajniki wewnętrznego życia naszych semitów; książki te jednak ani rozgłosu odpowiedniego nie znalazły, ani należycie rozpatrzone nie były, a niewłaściwe przycinki, jakie odezwały się o nich tu i owdzie, świadczą, że nie rozumiemy jeszcze dobrze ważności i fatalnego zabagnienia kwestyi żydowskiéj u nas, żeśmy nie dojrzeli do należytéj pracy nad jéj rozwiązaniem.

Sprawa ta ma jeszcze drugą stronę. Rabin Eigler w Lublinie nie jest zjawiskiem odosobnioném. Podobnie wpływowych osobistości posiadamy w Królestwie więcéj. O kilka mil od Warszawy, w Grodzisku, rezyduje rabin, mający niezmierne zaufanie wśród swoich. Wyznawcy zakonu Mojżesza płyną nieraz do niego po błogosławieństwo, nauki, rady i pomoc, jakby na odpust do świętego miejsca. Grodzisk nie ma gdzie pomieścić pobożnych, pomimo że zajęte bywają wtedy nietylko strychy i sutereny, ale nawet stodoły i chlewki. Tłumy pątników nie składają się wyłącznie z chałatowych zacofańców, jedzie tam wielu i takich mieszkańców Warszawy, którzy ubierają się krótko i mają wyższe aspiracye, niż powodzenie w handlu. Na czém się opiera wpływ i popularność rabina? Z książki p. H. Nussbauma („Z Teki weterana warszawskiéj gminy starozakonnych“) dowiedziéć się możemy, że: „rabin na czele duchowieństwa stanowi zwierzchność religijną dla wszystkich spraw wyznaniowych i obrządków rytualnych“; jednakże „duchowieństwo bez przewodnictwa rabina ma również prawo wyrokowania w tych sprawach“. Rabin jest jako brylant w sygnecie: stanowi piękną i pożądaną ozdobę, ale bez niego doskonale obejść się można. Są też gminy, nie mające wcale rabinów. Pomiędzy pytaniami, zadanemi w 1807 roku sanhedrynowi żydowskiemu, trzy tyczyły się władzy i stanowiska rabinów:

Pytanie 7-e. Kto mianuje rabinów?

Odpowiedź. Forma wyboru nie jest określoną.

Pytanie 8-e. Jaką policyjną jurysdykcyą wykonywają rabini między żydami? Jakim policyjnym rygorem prawnym posługują się?

Odpowiedź. Nie mają żadnéj władzy.

Pytanie 9-e. Czy ich wpływ polega tylko na zwyczaju tradycyonalnym?

Odpowiedź. Tak.

Mamy więc do czynienia z siłą moralnego czysto charakteru.

W czasach, kiedy znaczenie autorytetów, podkopane jeszcze w XVIII wieku, znikać niemal poczyna i coraz to mniéj widoczną odgrywa rolę w życiu społecznéın, a same autorytety są coraz rzadsze i coraz krócéj mogą cieszyć się zaszczytném stanowiskiem, byłoby niezmiernie ciekawém ze względów ogólnych i teoretycznych zbadać, co stanowi źródło potęgi i wpływów rabina. Rozstrzygać téj kwestyi nie mogę i nie mam zamiaru, ale pragnął bym zwrócić uwagę na niektóre jéj strony.

Rabina poważanego musi cechować zapał religijny, o wiele przewyższający pobożność pospolitego wyznawcy, powinien on być przytém biegłym w nauce tajemnic i zaciekań zarówno w Talmudzie, jak i w innych wcześniejszych i późniejszych księgach świętych. Prócz tego obowiązany on jest robić różne cuda, jak równie być rozjemcą sędzią i pośrednikiem w różnych sporach bądź familijnéj, bądź honorowéj, bądź ekonomicznéj natury.

Niewątpliwie pobożność i uczoność, cudotwórczość i mądrość sędziowska są jednakowo nieodzowne do zdobycia poważania wśród wiernych, ale, kiedy chodzi o rozgłos i wpływ, daleko przekraczający po za granice miasteczka, powiatu, a nawet gubernii, to znaczenie tych przymiotów i atrybucyj jest chyba różne.

Pobożność żydowska jest oparta na spełnianiu różnych przepisów, znanych, utartych, wynaleść tam coś nowego jest bardzo trudno; można się jéj nauczyć; wszyscy rabini potrafią być jednakowo pobożni i wszyscy téż niemal dochodzą do téj saméj doskonałości. Znający rzecz, świadczą, że nawet liberalni rabini, ktorzy na cztery oczy rozumują racyonalnie i wolni są od śmiesznego uwielbienia dla form, z których dawno już duch uleciał, pilnie jednakże przestrzegają spełnienia wszystkiego, co tradycya nakazała, a wyznawcy czczą. Na téj drodze trudno jest więc bardzo się wyróżnić i zasłynąć.

Każdy rabin siedzi w mądrości judaistycznéj po uszy, czyta, odczytuje, uczy się na pamięć. Jeden nie może umiéć o wiele więcéj od drugiego, gdyż wszyscy czerpią z jednego źródła. A że ksiąg jest dużo, więc dla zwyczajnego chałaciarza *każdy* rabin jest niewyczerpaną skarbnicą mądrości, i tak by mu trudno było wyszukać między nimi różnicę, jak zrozumiéć o ile jeden matematyczny symbol nieskończoności wyraża więcéj niż inny. Sama też czysta mądrość talmudyczna nie może stworzyć jasnéj, daleko widzianéj aureoli.

Następują cuda. Ponieważ żaden rabin cudu nigdy nie zrobił, więc też i to nie jest jedynem źródłem ani rozgłosu, ani potęgi. Mogą być sprzyjające wypadki, zbieg okoliczności, to prawda, ale trudno przypuścić, aby *zawsze* działał ślepy traf.

Pozostaje ostatnia rola—rozjemcy i sędziego. Tu już różnice mogą być olbrzymie. Taine w pierwszym tomie dzieła: „o Pierwocinach Francyi“, tłómacząc powstanie feodalnego ustroju, robi uwagę, że nikt za darmo nie został przybrany we władzę i powagę, lecz musiał oddać istotne usługi. To niewątpliwie da się zastosować do wielu popularnych rabinów. Człowiek, osłonięty opinią świętości, a przytém mający w głowie nietylko paradoksalnie wykrzywione zdania Talmudu, lecz także odpowiedni talent, znajomość serca i umysłu ludzkiego, jego słabości i namiętności, znajomość stosunków, może niechybnie zrobić wiele dobrego dla swoich współbraci, zażegnać nie jedną burzę, odwrócić nie jedną ruinę itd. Taki człowiek potrafi wyzyskać skuteczniéj swoją wiedzę książkową, jaśniéj zabłysnąć nią w oczach tłumu, częściéj mu się cuda udają,—chociaż sądzę, że daléj dochodzi sława sprawiedliwych wyroków, trafnych przedstawień spraw zawikłanych, niż naprzykład cudowne zaradzenie na bezpłodność, tém więcéj, że to ostatnie musi się rzadko zdarzać. Niejeden z nas słyszał w świecie chrześciańskim o wielkim talencie rabinów do mądrego rozstrzygania sporów. P. Nussbaum zwraca uwagę, że w gminach, gdzie rabin prezyduje duchowieństwu, mniéj jest spraw czysto żydowskich, wynikających ze stosunków handlowych, towarzyskich lub rodzinnych.

Wpływ rabinów, dzięki społecznéj ich mądrości—jeżeli przypuszczenie nasze jest słuszne—nie byłby zjawiskiem odosobnionem; wszędzie niemal u narodów wygasłych i obecnie żyjących w ich fazie ustroju teokratycznego, gdzie tylko widzimy duchowieństwo otoczone powagą i zaufaniem, tam oddaje ono realne usługi społeczeństwu, kierując jego życiem moralnem i zadawalniając jego potrzeby duchowe; odwrotnie też, prawdziwie, doczeście pożyteczne duchowieństwo otoczone jest czcią narodu. Socyolodzy znają to zjawisko i starają się odszukać i zbadać w niém pierwiastki, które wytwarzają siłę i autorytet moralny. W tym celu odbywają podróże za oceany, spędzają miesiące całe wśród dzikich, odczytują hieroglify, z mozołem niesłychanym badają każdy pyłek pozostały z przeszłości. My mamy podobny objaw pod bokiem, moglibyśmy go zbadać w przeszłości i w teraźniejszości; socyolodzy nasi mieli by doskonałe pole do pracy i do pozyskania nawet szerszego rozgłosu.

Prócz tego w zjawisku powagi rabinów tkwi jeszcze jedna osobliwość, którą bodaj czy gdzieindziéj spotkać można. Zwykle dla

duchowieństwa złoty okres trwa tylko przez czas ograniczony. Społeczeństwo coraz mniéj potrzebuje kapłanów, a przytém oni, jako organ, którego użyteczność zanika, demoralizują się, zamiast dawwnéj czci ściga ich teraz urąganie i złośliwe szyderstwo. Tutaj o ile my z zewnątrz widziéć możemy, powaga władzy duchownéj przekazywaną jest, lub przynajmniéj długo była, z pokolenia na pokolenie bez żadnéj straty.

Rzecz prosta, że wyjątkowość położenia żydów zmniejsza doniosłość ogólną zjawiska; były przyczyny szczególne, którzy zmuszały ich do większego skupiania się wierzeń, egzaltacyi itd., ale położenie *każdego* społeczeństwa jest wyjątkowe, a jednak z życia Egipcyan starożytnych może socyolog wyciągnąć niejedną pouczającą prawdę dla Francyi; wszelkie pierwiastki społeczne należy badać w różnych przejawach, przy różnych warunkach.

Zresztą, jeżeli były powody, które czyniły z żydów społeczeństwo podatniejsze i czulsze na wpływy moralne, to były i inne zobojętniające. Jako klasa kupiecka, grzęźli oni zawsze w zabiegach materyalnych i ciągle czcili potęgę cielca złotego.

Zjawienie się wśród nas jednego choćby, poważnego badacza, albo nawet badania społecznego, prócz bezpośredniego pożytku przyniosło by prawdopodobnie i uboczną, ale tém nie mniéj ważną bardzo korzyść, a mianowicie przyprowadziło by może do upamiętania tych naszych niedzielnych socyologów, którzy z wnioskan i i wywodami postępują sobie z taką śmiałością i tak bez ceremonii, jak gdyby żyli w epoce, kiedy jeszcze ani o jakichś pewniejszych wnioskach, ani o metodzie badań i rozumowania mowy nie było. Bardzo charakterystyczny przykład takiego socyologowania znaleść można w „Kuryerze Codziennym", w „Kronice" Prusa w nrze 22 z r. b.

P. P. Wołowski i Kotarbiński napisali pięknym stylem, udramatyzowaną deklamacyą p. t. „Nie wypada", a teatr warszawski wystawił ją w ciągu ubiegłego miesiąca. W sztuce téj podniesione są między innemi piękne cnoty, zdobiące t. z. postępowców warszawskich, konserwatyści zaś zostali pohańbieni. Prócz tego p.p. Kotarbiński i Wołowski „zachęcają jeszcze społeczność—przytaczam słowa Prusa—do niejakiéj pobłażliwości dla związków t. zw. nielegalnych i dzieci nieprawych". Sztuka została przez krytykę przyjęta nieprzychylnie, a p. p. Bogusławski i Choiński w dwu Kuryerach ostro zaatakowali tendencyą w imię obrony społeczeństwa od „najazdu antispołecznych instynktów." Prasa postępowa zgromiła znowu surowo dwu tych recenzentów, przyczém o rzeczy mówiło się bardzo krótko, a wiele o osobach krytyków. Prus gromi również, ale najzupełniéj przedmiotowo, za to rozumuje...

Socyalne wystąpienia Prusa odbywają się zwykle pod hasłem oryginalności i realizmu, a fundowane są na prostym bardzo racyonalizmie, który w XVIII wieku był modny, ale dzisiaj wychodzi zupełnie z użycia we wszystkich niematematycznych naukach.

Opowiedziawszy o co chodzi autorom „Nie wypada“ i krytykom, szanowny felietonista tak rozumuje:

„Otwieram statystykę i widzę: że dzieci nieprawe stanowią w Europie 10% nowonarodzonych, że stosunek ten, np. w Niemczech, olbrzymio (?) wzrasta i to już od roku 1826-go“.

„Fakta te uczą, że rozwój cywilizacyi i uspołecznienia nie cierpi *nic* na dzieciach nieprawych i związkach nielegalnych“.

Co za przedziwna i prosta niewybredność w gromadzeniu danych, jaka zadziwiająca łatwość wysnuwania wielkich prawd z maleńkich napozór ziarnek! Taka metoda doprowadzić może do niesłychanych rezultatów, sprobujemy jéj użyć:

W roku x padał grad n razy, w roku y zaś $n+5$ razy; w roku y urodzaj był większy niż w roku x,—więc grad nie szkodzi zbożu.

Albo: statystyka poborowa wskazuje, że od roku 1864 ludność Królestwa jest coraz wątlejszą, a więc bat ekonomski i pańszczyzna zbawiennie wpływały na zdrowie chłopa, wolność zaś mu nie służy.

Jeżeli przykłady moje nie przekonają Prusa, to niech się uda do pierwszego lepszego podręcznika bądź statystyki, bądź ekonomii politycznéj, w którym się mówi o metodzie wnioskowania. Cyfry statystyki są tylko drobną cząstką danych w każdéj kwestyi społecznéj, a Prus chce je poprostu odczytywać, jakby były magicznym kluczem, którym uczony badacz zapisuje słowa ostatecznéj prawdy.

Daléj Prus w bezimiennéj swojéj statystyce znajduje: „że dzieci nieprawe są, wogóle biorąc, wątlejsze od prawych i skłonniejsze do chorób umysłowych i samobójstwa“, to wywołuje znowu takie rozumowanie:

„— Dlaczego—pytam lekarzy—dzieci nieprawe są wątłe i zdenerwowane“.

„— Gdyż ich matki cierpią z powodu prześladowań przez opinią publiczną“ (a zmartwienie opuszczonéj kobiety i bieda nic nie znaczą?).

„— A dlaczego—pytam socyologa—zwiększa się ilość dzieci nieprawych“?...

„— A to, widzisz pan, coraz trudniéj jest żyć ludziom w związkach legalnych. Małżeństwo to rzecz kosztowna i nie dla wszystkich dostępna“.

Gdzie u Boga-Ojca znajduje Prus w Warszawie socyologa tak na zawołanie? W każdym razie można mu życzyć, aby zmienił doradcę, gdyż ten, którego w tym razie użył, bywa albo niezawsze przytomny, albo nie chce poważnie rozprawiać z autorem „Placówki". Naprzód, skąd on wziął, że od roku 1826 ze względów ekonomicznych *trudniéj* jest żyć ludziom w związkach małżeńskich? Wygląda to raczéj na zrzędzenie staruszka, wzdychającego za minionemi latami młodości, a nie na ścisłe rozumowanie, oparte poważnie na danych. O ile wiadomo, ogólnie biorąc, w zahaczonym okresie dobrobyt w Europie wzrósł, a przynajmniéj nie zmalał. Ale mniejsza z tém, jeżeli nawet ten punkt da się bronić, to w każdym razie pojąć trudno dla czego małżeństwo z dziećmi ma być kosztowniejsze niż związek nielegalny również z dziećmi. Nikt chyba nie słyszał, aby dla małżeństw legalnych cena mieszkań była wyższą, a produkty spożywcze na targach lub towary w sklepie—droższe. Sam akt ślubu, pomimo że w kancelaryach parafialnych w Warszawie panuje zwyczaj niewydawania reszty z rubla danego na zapowiedzi, nikogo jeszcze nie zrujnował. Cała różnica ekonomiczna związków dwojakiego rodzaju jest ta, że w legalnych mężczyzna myśli o zapewnieniu bytu rodziny, a w nielegalnych, w ogromnéj większości wypadków, na utrzymanie dziecka, lub dzieci pracować musi wątła, o wiele mniéj zdolna do zarobkowania, matka. W pierwszym wypadku ojciec przyjmuje obowiązki względem rodziny przed państwem i społeczeństwem, państwo téż i społeczeństwo mogą dopilnować wykonania, kiedy w drugim nie ma żadnéj gwarancyi, że strona słabsza nie zostanie skrzywdzoną. A więc opinia publiczna, broniąc pierwszy rodzaj związków i potępiając drugie, nie jest może tylko „wścibstwem" i „plotkarstwem" i należy jeszcze rozważyć czy godzi się w tym razie „walczyć z nią". Ale do pytania tego wrócimy jeszcze, tymczasem zaś rozpatrzmy dalsze wywody Prusa.

„Kwestya legalności związków—mówi on,—albo prawności urodzenia, nie istnieje w chwilach poważnych życia. Człowiek, który się udławił, nie pyta lekarza: za pozwoleniem! a może pan jesteś dzieckiem nieprawém?... Tonący, gdy mu kto podaje rękę, nie mówi: *Attendez*!.. dowiem się najprzód, czy pan nie pielęgnujesz związków nielegalnych"...

Czy, dławiący się kością pyta lekarza: może pan przy rewizyach poborowych bierzesz łapówki? Czy tonący zwraca uwagę, że—wyciągnięta doń ręka należéć może do mordercy, potwarcy, zdrajcy i t. d.? A więc i złodziejstwo, podpalanie, ojcobójstwo w *poważnych* chwilach życia nie istnieją, i one téż niezawodnie ujmy nie przynoszą, a opinia publiczna, ścigając je, popełnia „wścibstwo".

i „plotkarstwo“, należy przeto je zwalczać. Chyba w obu razach rozumowanie jest identyczne?

Dalej czytamy: „Kiedy w Warszawie literaci wołają: „trzeba odróżnić przyzwoitość światową od obrony zagrożonego społeczeństwa“, w Skandynawii (pracowitszéj i oświeceńszéj od nas) są literaci (jak zapewnia niepodejrzane *Słowo*), którzy zalecają... wielożeństwo!.. Jakiś p. Gejgersjam jeździ po Danii z odnośnymi odczytami—znakomity lekarz Nissen na podstawie medycyny i higieny twierdzi, iż w interesie rozwoju liczebnego ludności niezbędném jest wielożeństwo, a po ulicach Chrystyanii biega tłum wołający: niech żyje wolność, niech żyje wielożeństwo!“

„Proszę mi teraz powiedzieć—konkluduje nasz liberalny feljetonista, — gdzie jest „bezwzględna prawda“: w Warszawie, czy w Chrystyanii?“

Dziwna rzecz, Prus jest od lat tylu dziennikarzem a nie wié jeszcze, że gazeciarskich wieści tego rodzaju w poważnéj sprawie nie można wcale brać pod uwagę. W r. 1883 obiegła świat pogłoska, że manewrujący korpus francuski przez omyłkę zajął Genewę. Czytaliśmy opisy manifestacyj w Paryżu, które nigdy miejsca nie miały; świeżo gazety lwowskie udzieliły nam wiadomości o spoliczkowaniu tam na miejscu, we Lwowie, pewnego pisarza politycznego, co później zostało zaprzeczone. A u nas w Warszawie, co się nieraz nakomponują reporterzy o wypadkach miejscowych, a jeszcze bardziéj, co piszą najserdeczniejsi o nas w niemieckich naprz. gazetach. Kupy śniegu, wzięte na barykady, nie mają w sobie nic nadzwyczajnego. Cóż więc warta gazeciarska pogłoska o społecznéj rewolucyi w Chrystyanii, gdzie zapewne żadne pismo polskie naprawdę korespondenta nie ma, i o sprawdzeniu mowy być nie może.

Kto nam zaręczy, że „jakiś“ p. Gejgersjam, jeżeli wogóle istnieje, nie jest maniakiem. We Francyi bardzo długo podczas każdych wyborców stawiał kandydaturę swoją człowiek, propagujący ni mniéj ni więcéj tylko *antropofagią*! Należałoby dowiedzieć się, czy rzeczywiście p. Nissen jest „znakomitym lekarzem“; dodatek, iż swoje postulaty opiera na podstawie medycyny i hygieny nic nie dowodzi; nauka zna wiele kukułczych jajek, które jéj nieuctwo lub maniactwo podrzucało, trzeba by wprzód cokolwiek chociaż wiedzieć jakich mianowicie argumentów używa ta znakomitość

Pracowity i oświecony Paryż ma pannę Michel, pannę Barberousse i inne awanturnicze histeryczki; czemu by ich miéć nie mogła Chrystyania, i czemu nie miałyby one wykrzykiwać na ulicach różnych błazeństw. Dodatek o tém, że *wszyskie* kobiety stanę-

ły po stronie teoryi wielożeństwa, sam już czyni podejrzaną całą wersyą.

O wiele mniéj ryzykowne było by powołanie się na mormonów, jeżeli chodziło o przykład istniejącego wielożeństwa. Ale cóż to dowodzi? czy jedna anomalia tuła się po świecie? mormoni byli, wkrótce ich może nie będzie, a rozwój społeczny potoczy się koleją, jaką kroczył dotąd, utrwalając coraz mocniéj jednożeństwo i broniąc rodzinę, pierwszy fundament społeczny, od napaści rozpusty i anarchicznych teoryj.

Może za śmiałe wypowiedziałem twierdzenie, postaram się je uzasadnić świadectwem autorów, znanych lepiéj niż p. p. Gejgersjam i Nissen, autorów, których argumenty są nam dostępne, których badania przeszły przez analizę krytyki, również nam znanéj.

August Comte, fundator socyologii, uważał małżeństwo i rodzinę, uświęconą przez władze duchowe i świeckie, za tak ważny niezbędny warunek dobrobytu, ba, samego nawet istnienia społecznego, że nietylko surowo potępia wszelkie wykroczenia, nietylko jak najbardziéj stanowczo przeciwny jest rozwodom, ale zaleca nawet wieczne wdowieństwo, aby monogamia nie była niczém skażoną. W główném swém dziele, „*Système de politique positive*“, na wielu kartkach powraca do tegoż samego przedmiotu, szczegółowy zaś rozbiór społecznego znaczenia rodziny i warunków koniecznych dla jéj pomyślnego rozwoju znajduje się w tomie 2-im w rozdziale 3-im. Na str. 237 tomu 1-ego czytamy między innemi:

„Zasadniczy ten związek (małżeństwo), ażeby osiągnąć cel istotny, musi być jednocześnie wyłącznym (monogamia) i nierozwiązalnym. Te dwie cechy są mu tak właściwe, że nawet związki nielegalne dążą do ich ujawnienia. Tylko zupełny brak zasad moralnych i społecznych obecnéj chwili pozwala zrozumiéć, że się poważono postawić doktoralnie płochość i zmienność uczuć, jako zasadnicze rękojmie szczęścia ludzkiego“. A nieco daléj: „Zachodnie jednożeństwo stanowi jedną z najcenniejszych instytucyj, jakie zawdzięczamy wiekom średnim. Ono najbardziéj może ze wszystkiego przyczyniło się do uderzającéj wyższości wielkiéj dzisiejszéj rodziny.“

Drugi znakomity twórca nauki społecznéj *Le Play*, który wytworzył potężną szkołę badań pierwszorzędnych, gromadzącą od pół wieku biblioteki całe dokumentów, zebranych we wszystkich zakątkach pięciu części świata (do téj szkoły należą między innymi znakomitościami: Hipolit Taine, August Cieszkowski), dojrzał w rodzinie jeszcze ważniejszy pierwiastek bytu społecznego. „Cały system jego można zawrzéć w jedném słowie: „*przetworzenie społeczeństwa przy pomocy rodziny*“—powiada Ribot. W „*La constitution essen-*

tielle de l'humanité" sam Le Play mówi: „Organizacya rodziny (równie jak Comte nazywa ją zasadniczą instytucyą ludzkości) przeobraża się, to prawda, zależnie od miejsca, a w każdém miejscu skład osób przez narodziny i zejście ulega nieustannym zmianom. Cel jednak jest osiągnięty i społeczeństwo rozwija się pomyślnie, jeżeli zmiany te podlegają pewnym stałym zasadom. Jak tylko wkrada się niestałość, rodzina cierpi i natychmiast społeczeństwo upada (dépérit)".

A. Giraud-Teulon, profesor uniwersytetu genewskiego, autor wielu dzieł społecznych, którego jedna praca została przetłómaczona na język polski i dziwną ironią losu dała pochop i niby zasadę do różnych bluźnierstw przeciwko rodzinie, w drugiém wydaniu tegoż dzieła *(Les origines du mariage et de la famille)* powiada na wstępie: „W naszych oczach niema rodziny bez matki i *żony*, a bez rodziny społeczeństwo traci podstawę najbardziéj istotną, najbardziéj elementarną". W zakończeniu zwraca uwagę, że wszystkie badania nad ewolucyą rodziny stwierdzają, iż była ona nieustanną i główną dźwignią społecznego postępu, iż ona to wytworzyła właściwie człowieka ze zwierzęcia, iż rozwija się ciągle w jednym kierunku, szlachetnieje, staje się coraz stalszą i szanowniejszą. „Cywilizacya—mówi on—w ostatecznéj analizie spoczywa w naszych czasach na zasadzie rodziny jednożennéj, tj. na wierności małżeńskiéj."

Mógłbym ilość cytat pomnożyć bardzo, o ile wiem, żaden poważny socyolog nie negował nigdy pierwszorzędnego znaczenia rodziny dla pomyślności społecznéj. Nie mam zresztą zamiaru przekonywać Prusa—żyjemy w czasach, kiedy lekceważenie autorytetów i zdania ludzi kompetentnych stało się niemal obowiązującém. Liczę tylko, że chociaż szanowny feljetonista powołanie się swoje na statystykę, jak również świadectwo owych lekarzy i socyologa uważa za „fakty niezbite", to jednak zastanowi go może ta jednomyślność i stanowczość ludzi niepowszednich, należących do różnych kierunków, którzy badaniom socyalnym poświęcili całe życie, mieli tysiące danych sprawdzonych, zanalizowanych, umieli ściśle myśléć i nareszcie nie wypowiadali zdań swoich, nie pisali dzieł pod wpływem chwilowych wrażeń czy natchnienia, lecz oburącz trzymali się wypróbowanych w nauce metod. Argumenty ich mogą do przekonania nie trafić, ale powinny zachwiać pewność, opartą na tak kruchych podstawach, jak te, które Prus przytoczył, a to już powinno powstrzymać autora od występowania wprost czy ubocznie w popularnéj rubryce przeciwko świętości rodziny i od głoszenia, że „związki legalne i nielegalne są *kwestyą drugorzędną*" wobec próchnienia zębów u młodzieży radomskiéj.

Jeżeli ci uczeni mają racyą, jeżeli legalny związek małżeński jest warunkiem nietylko pomyślności, ale bytu nawet całego społeczeństwa, to może i prawodawcy *wszystkich* narodów (też zwykle nie pierwsi lepsi czciciele przesądów) i opinia publiczna, nazwana przez Prusa „wścibstwem i plotkarstwem“, mają racyą, ścigając wszelkie przejawy wykroczenia przeciwko rodzinie. Jeżeli nie uczeni się mylą, lecz nasz feljetonista, to należy wszczepić w duszę każdego wstręt i odrazę do występków, godzących w fundament naszego bytu—w ten tylko sposób powstają w nas pojęcia o tém, co złe i co dobre. Każde szlachetniejsze serce oburza się, widząc, że nietolerancya opinii ściga nieraz ludzi w gruncie niewinnych; pracować należy, aby humanitarne uczucia złagodziły wogóle obyczaje, ale gdzie tylko interes społeczny staje w sprzeczności z popędami egoizmu indywidualnego, tam indywiduum cierpieć musi. Jest to złe zapewne, ale złe nieuniknione. Żyjemy na ziemi, daleko od doskonałości, musimy więc dźwigać często bardzo dolegliwe brzemię mizernych losów naszego rodu.

Prus tak wziął do serca niewłaściwość szacunku dla legalnéj rodziny, że pragnął by nawet w téj sprawie przemówić na rynku.

„Mowy moje—powiada—odznaczały by się zwięzłością. Damy i panowie pozwólmy ludziom być szczęśliwymi wedle ich własnego uznania!... itd.“

Gdyby słuchaczami w takim wypadku były pensyonarki lub młodzież męska w wieku krytycznym, kiedy w wyobraźni kiełkować poczynają plany przekształcenia świata, to niewątpliwie mówca usłyszał by gorące oklaski i gromkie okrzyki uniesienia. Ludzie zaś znający rzecz przerwali by mu prawdopodobnie temi słowy:

— Kochany panie Bolesławie! Co nam tu będziesz prawił takie stare bajki. Rousseau już sto lat przed tobą (a przed nim pewnie i inni) zawracał podobną piosenką ludziom głowy. Uwierzyli mu i to było przyczyną wielu fatalnych prób politycznych i społecznych. Od tego czasu uczeni—filozofowie napisali wielotomowe dzieła, aby rozbić popularne, a fałszywe hasło, zatrzéć w umyśle ludzkim faktami i rozumowaniem formułkę genewskiego poety-filozofa. Wymyślić coś nowego—bardzo trudno, zbłądzić, zaufawszy zbytnio samemu sobie bardzo łatwo. Jesteś pan pisarzem, który umie czuć i myśléć, chwycić za serce, rozweselić i przekonać, zdobądź się pan na nieco sceptyczmu względem własnego natchnienia socyologicznego, a niewątpliwie i talent pański i dobre chęci staną się o wiele owocniejsze.

Ludwik Straszewicz.

Pojedynek i sądy honorowe. — Zajmowanie się dziennikarstwa sprawami ludu.

W jednym z organów naszéj prasy ogłoszono przed kilkoma miesiącami list, zawierający oskarżenie przedstawicieli pewnéj poważnéj instytucyi publicznéj o postępowanie niewłaściwe w sprawie, mającéj styczność z ich stanowiskiem urzędowém. Rezultatem tego listu była umieszczona w gościnnych dla jednéj lub drugiéj strony łamach pism peryodycznych polemika stron zainteresowanych, lub w jakikolwiek sposób sprawą dotkniętych. Był to rodzaj rozprawy adwokackiéj, w któréj każda strona część tylko prawdy, odpowiednio do swych widoków oświetlonéj, przed forum opinii publicznéj wytaczała. W powodzi produkcyi dyalektycznych, opinia sądząca zbyt mało miała złożonego materyału dowodowego, żeby mogła odbyć sumienną a dokładną „*enquête judiciaire*“ i wydać stanowczy wyrok. Dla tego też publiczność podzieliła się na obozy, kierując się stopniem „sentymentu“ raczéj dla téj lub drugiéj strony, niż opartém na faktach przekonaniem, a kwestya sama pozostaje właściwie nierozstrzygniętą i dotąd. Nie o saméj jednak kwestyi głównéj w chwili obecnéj mówić zamierzam, gdyż i ja żadnych nowych dowodów, rozstrzygających sprawę, nie posiadam. Gdyby to było możliwém, byłbym nawet rad, żeby czytająca publiczność nie wiedziała o jakiéj sprawie mowa. Ponieważ jednak po przeczytaniu trzech pierwszych w téj materyi wierszy rzecz się stała dla każdego „sekretem poliszynela“, o jedno więc tylko proszę czytelnika, żeby wraz ze mną kwestyę osób pozostawił na uboczu, a sprawę jedynie w treści sobie uprzytomnił. Rzecz szła o to, czy zarzuty czynione pewnéj grupie osób, a co najważniejsza przedstawicielom instytucyi publicznéj, były słuszne lub niesłuszne. Otóż w liczbie środków dowodowych, jakich strona, któréj zrobiono zarzuty użyła, było wyzwanie oskarżyciela na pojedynek.

Muszę się zastrzedz, że nie jestem bezwarunkowym nieprzyjacielem obyczaju pojedynkowego. Znajduję owszem, że są wypadki, w których pojedynek jest odpowiednią, może nawet jedyną — w obecnéj chwili rozwoju społecznego—drogą restytucyi pokrzywdzonych praw jednostki. Pomimo przypadkowości rezultatów pojedynku i zależności ich raczéj od specyalnych uzdolnień—znajomości fechtunku, celności strzału itp.—niż od tego po czyjéj stronie jest słuszność moralna, nie można jednak zaprzeczyć, że pojedynek jest jedynym środkiem, za pomocą którego rycerz, gentleman zmywa w oczach społeczeństwa plamę policzka, wogóle obrazy czynnéj,—odzyskuje dawne swe miejsce w towarzystwie i utrzymuje na wodzy tych, coby go nieraz dotkliwie pokrzywdzili, gdyby wiedzieli, że

krzywda ta ujdzie im bezkarnie. Takiéj satysfakcyi państwo pokrzywdzonéj na honorze jednostce dać nie jest w stanie, musi więc w pewnym stopniu stosować do pojedynkujących się teoryę o obronie własnéj. Dla tego też im nowsze prawodawstwo, tém łagodniejsze przeciw pojedynkującym się kary ustanawia. Jeżeli państwo coraz łagodniéj pojedynkujących się sądzi, to opinia publiczna nieraz nawet wprost wymaga pojedynku, jako dowodu, że pokrzywdzony umié swéj nietykalności rycerskiéj bronić.

Czy w tém stadyum rozwoju opinii publicznéj będziemy należyć do wielbicieli pojedynku, znajdując, że rozwija on cnoty rycerskie—odwagę, subtelność poczucia honoru,—czy też będziemy tylko znosić ten obyczaj, jako „*malum necessarium*“, wierząc, że kiedyś przyjdzie wiek złoty, w którym wojny, pojedynki i wszelkie gwałty ustaną, w każdym razie musimy się liczyć z istniejącym w obecnéj chwili obyczajem i powinniśmy się starać uregulować go przez odpowiednie wyrobienie opinii publicznéj tak, aby jak najmniéj niesprawiedliwości i szkody społecznéj sprawiał.

Z tego właśnie punktu widzenia chciałbym powołać czytelników do zastanowienia się wraz ze mną, czy w takiéj, jak wzmiankowana sprawie, pojedynek był środkiem rozstrzygnięcia w treści saméj i w sposobie wykonania odpowiednim. Wyżéj wzmiankowałem, że pojedynek jest względnie odpowiednim, t. j. prowadzącym do celu środkiem tam, gdzie chodzi jedynie o poskromienie krzywdziciela i o przekonanie społeczeństwa, że obrażony jest dość odważnym, by swojéj nietykalności — czynem lub brutalném słowem dotkniętéj— bronić, chociażby z narażeniem życia, jednéem słowem tam, gdzie zniewaga ma charakter formalny, t. j. zewnętrzny. Ale w tych wypadkach, gdzie nie o formę, lecz o treść zarzutu chodzi, gdzie zrobionym jest — ewentualnie w przyzwoitéj zupełnie formie — zarzut o spełnienie czynu hańbiącego, tam pojedynek do celu nie prowadzi, gdyż nie rozstrzyga kwestyi, czy zarzut był słuszny, czy niesłuszny. Można być odważnym, a jednak nieuczciwym. Znane są typy rycerzy przemysłu, awanturników, zuchwalców, którzy są jednocześnie oszustami, szulerami i t. p. Tacy odważni zresztą jegomościowie kwalifikują się wprost na ławę karną. Ale może być i inne położenie. Może być przecież komuś zrobiony zarzut o spełnienie czynu, niekwalifikującego do więzienia, do użycia przeciw niemu środków represyi państwowéj, a jednak nieszlachetnego, niehonorowego. Jaki jest najskuteczniejszy środek do rozstrzygnięcia, czy podobny zarzut jest słuszny, czy niesłuszny, czy plama na dotkniętym oskarżeniem ciąży, czy nie? Pojedynek kwestyi takiéj nie rozstrzyga. Sądy państwowe znów nieraz same uznają swą nie-

kompetencyę w sprawach podobnych i rzeczywiście mogą być kompetentnemi w bardzo rzadkich chyba i wyjątkowych tego rodzaju wypadkach. Jedną, jedyną drogą, którą kwestya słuszności lub niesłuszności takiego zarzutu honorowego może być rozstrzygniętą, to sąd honorowy, który albo kończy sprawę ostatecznie, albo też, rozstrzygnąwszy stronę wewnętrzną kwestyi, pozostawia następnie stronom załatwienie obrazy formalnéj — drogą pojedynku, przeproszenia, odwołania i t. d. i t. d.

Jeżeli zarzut, dotyczący spełnienia czynu nieuczciwego w życiu prywatném, domaga się niejako sądu honorowego, to zarzut, imputujący czyn podobny, spełniony jakoby na stanowisku publiczném, czyni sąd podobny wprost koniecznym. Człowiek prywatny może nie chcieć poddania swéj sprawy pod wyrok sądu honorowego z powodu, że jest osobiście niepopularnym, że pojęcia jego i czyny tak dalece odbiegają od przeciętnéj normy form społeczeństwa, wśród którego żyje, iż nie wierzy w możność znalezienia sędziów nieuprzedzonych do niego. Ale ten, kto został wybranym przez pewne koła społeczne do reprezentowania go, widocznie cieszy się uznaniem i sympatyą wielu. Z drugiéj strony ten, kto przyjął pewien mandat publiczny na siebie, już przez to samo poddał się pod kontrolę opinii publicznéj i obowiązany jest przed nią zdawać sprawę ze swych czynności. Jeżeli mu to niedogodne, niech złoży mandat i wraca do życia prywatnego. Ale skoro przyjął stanowisko i pozostaje na niém, to musi przyjąć i wszelkie jego konsekwencye. *Il faut se soumettre, ou se demettre.*

Skoro stojącego na stanowisku publiczném opinia ma prawo przed swój sąd powoływać, to naturalném jest, iż wezwanie przed ten sąd opinii nie jest czynem, któryby sam w sobie dawał prawo do potępienia oskarżyciela. Niejednokrotnie wprawdzie spotyka skarżącego — jeżeli zwłaszcza skarży głośno, *coram publico* — zarzut sformułowany w przysłowiu: „zły to ptak co własne gniazdo kala"; ale mojém zdaniem zarzut ten bardzo często pod fałszywym bywa kierowany adresem, t. j. nie pod adresem tego, który gniazdo zabrzydził, ale tego, który woła, że należy zabrzydzone gniazdo oczyścić. A jednak, jeśli ktoś spostrzeże płomień, to obowiązkiem jego krzyknąć „gore" i pobudzić sąsiadów. Tak samo i w sprawach społecznych. Jeśli spostrzegamy, że szkodliwa jakaś dla społeczeństwa zaraza szerzyć się zaczyna, to powinniśmy ostrzedz o tém społeczeństwo i zażądać przedsięwzięcia środków obronnych.

Powtarzam więc, że pociągnięcie winnych nadużycia funkcyonaryuszów publicznych przed sąd opinii nie tylko nie jest czynem nagannym, ale przeciwnie jest obowiązkiem obywatelskim. Ale

może się zdarzyć oskarżenie niesłuszne. Co ma czynić w razie podobnego oskarżenia dotknięty ciężko na honorze i dotknięty podwójnie: raz jako funkcyonaryusz publiczny, powtóre jako człowiek prywatny?

Ma on dwa obowiązki do spełnienia: jeden publiczny—to dowiedzenie ogółowi, opinii, że zarzut był niesłusznym; drugi prywatny — to obrona swego honoru osobistego. Z pomiędzy tych dwóch obowiązków (będących zarazem i prawem), który ma niesłusznie pokrzywdzony wypełnić wpierw?

Na to pytanie chyba nie może być dwóch odpowiedzi. Sprawa publiczna zawsze powinna iść przed prywatną.

Smutna jest przeto rzecz, gdy publiczna sprawa schodzi wobec prywatnéj na drugi plan, a jeszcze smutniejsza, gdy sprawa prywatna służy jako narzędzie do zakrycia, lub stronniczego rozwiązania sprawy publicznéj.

W ten sposób rozstrzygają sprawy publiczne doskonali może pojedynkowicze, wyborni bretterzy, celni strzelcy, wreszcie odważni awanturnicy, ale... źli obywatele kraju. Używam tak silnego wyrażenia nie w tym celu, żeby podać w podejrzenie czyjekolwiek uczucia obywatelskie. Można kochać kraj, a jadnak przynosić mu szkodę, jeżeli się prywaty nie umié poświęcić dla dobra publicznego. Ten zaś, kto zamiast wyświetlić sprawę, chce zakneblować usta opinii publicznéj za pomocą postrachów na wygłaszających nieprzyjemne fakta, lub zdania, popełnia względem dobra społecznego grzech nie do darowania. Jeżeli grzech ten wszędzie byłby ciężkim, to u nas, gdzie opinia publiczna jest jedynym nieomal przejawem życia publicznego i jedyną w wielu kwestyach dyrektywą dla społeczeństwa, grzech ten jest stokroć cięższym.

To téż nie tłumić, lecz rozwijać należy opinię publiczną, nie straszyć kulą lub szpadą rzeczników téj opinii — choćby nawet błądzących w swych zdaniach — i nie zmuszać do milczenia, lecz pociągnąć ich przed wspólny trybunał poważny, głośny, bezstronny. Wybrać jak najliczniejszy sąd honorowy, przed tym sądem sprawę wyświetlić i do wiadomości ogółu podać, a potém dopiéro dochodzić krzywd swoich prywatnych.

Ale postępować na odwrót — wymuszać podpisanie pewnego cyrografu, który ma być w następstwie, za pomocą naciąganych tłómaczeń, użyty jako narzędzie do pożądanego przez stronę skierowania opinii w sprawie publicznéj,—wymuszać taki cyrograf drogą wyjątkowo morderczych warunków pojedynkowych, to w moich oczach niedalekiém już jest od mordowania nieprzyjemnych prze-

ciwników przez najemnych zbirów, albo wymuszania pożądanych zeznań drogą tortury. Nie po rycersku, nie po obywatelsku i nie po ludzku!

Winienem się tu zastrzedz, że nie mam żadnych dowodów do twierdzenia, że odwołanie w danym wypadku nastąpiło pod grozą pojedynku. Mogło ono nastąpić, i według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpiło, wskutek przekonania wewnętrznego, wskutek dobrowolnéj chęci restytucyi. Nie o skutek jednak, jaki w tym razie nastąpił, mi chodzi. Mogło nastąpić odwołanie z tych lub innych przyczyn, mogło nawet nie nastąpić wcale, mógł nastąpić lub nienastąpić pojedynek, — to są szczegóły, osób pojedyńczych dotyczące. Mnie chodzi o zjawisko doniosłości społecznéj, o to, że sprawa publiczna, zamiast być oddaną pod sąd opinii, była sprowadzoną na drogę represyi prywatnéj. Daléj chodzi mi o to, że odwołanie, pojedyńczéj osoby dotyczące, zostało przez stronę interesowaną tendencyjnie rozszerzone i podane do prasy *(is fecit cui prodest)* w téj formie, że kwestya społeczna jest powikłana i zaciemniona.

Nareszcie chodzi mi o to, że wogóle ci, na których pewien słuszny, czy niesłuszny, zarzut dotyczący ich działalności publicznéj został rzucony, powinni poczuwać się do obowiązku wyświetlenia faktycznego sprawy przed społeczeństwem, zamiast stawiania na pierwszym planie prywaty i w dodatku zakrywania tą prywatą sprawy publicznéj.

Mogą mi powiedzieć, że zrobili to wprawdzie ludzie w bliskim stosunku pokrewieństwa i zażyłości do piastujących godności publiczne stojący, ale nie sami ci dygnitarze. W takim razie powinniśmy byli usłyszéć głos wyrzeczenia się solidarności z niefortunnymi obrońcami, którzy bronionym niedźwiedzią—jak mi się zdaje— oddali przysługę.

Tak więc publicznego sądu honorowego oczekujemy dla sprawy publicznéj, która dotąd niestety ciemną być nie przestała.

Jeżeli sprawa publiczna wymaga sądu honorowego, który miałby za zadanie rozpatrzyć, czy rzeczywiście ci lub owi członkowie instytucyi zgrzeszyli bądź niewłaściwém postępowaniem, bądź dopomożeniem, bądź nareszcie nieprzeszkodzeniem właściwemu postępowaniu innych,— to i osoby prywatne mogłyby z wielką dla siebie korzyścią poddać swój sposób zachowania w danéj sprawie rozpatrzeniu przez sąd honorowy. Obie strony robią sobie zarzuty co do winy zwłoki załatwiania sprawy honorowéj prywatnéj i co do niewłaściwych nad protokółem téj sprawy komentarzy. Wszystkie te kwestye prywatne — aczkolwiek na drugim dopiéro po sprawie

publicznéj planie stojące — mógłby sąd honorowy dodatkowo do kwestyi głównéj rozpatrzyć i zdanie swe wyrzec.

* * *

W korespondencyi p. Chrzanowsklego z Dzierżązna pod Zgierzem do *Wieku*, omówionéj potém w artykule wstępnym *Dziennika Łódzkiego*, znajdujemy bardzo ciekawe, pouczające i pocieszające szczegóły z bytu chłopskiego. Obyśmy takich korespondencyi i takich artykułów co najwięcéj spotykali w naszych dziennikach. Dotychczas gazety nasze zajmują całe szpalty wiadomościami politycznemi nie tylko mocarstw pierwszo- ale i drugo-rzędnych, bawią się w dawanie rad Bismarckowi, odgadują zamiary Kalnoky'ego, stawiają horoskopy na wypadek powrotu Andrassy'ego do władzy, ale o tém, co się dzieje u nas w domu, co robi nasz mieszczanin, nasz chłop, nie wiedzą i wiedziéć nie chcą. Studya nad obyczajami ludowemi, monografie dotyczące ich zwyczajów prawnych, religijnych, ekonomicznych, rolniczych, rodzinnych, korespondencye dotyczące pojedyńczych, ale charakterystycznych w tym kierunku faktów, wszystko to są rzeczy nieznane prawie naszéj literaturze i naszemu dziennikarstwu. Jakże daleko pod tym względem jesteśmy zdystansowani przez literaturę niemiecką, francuską, angielską i przez literaturę wszystkich nieomal narodowości słowiańskich. Mają wprawdzie zachodnie i wschodnie społeczeństwa europejskie obok powierzonéj interesom miejscowym i prasę polityczną, ale bo też one — jako stanowiące podstawę organizacyi państwowych — żyją innéni zupełnie niż my życiem politycznéni. Ale my!—my powinniśmy jeśli nie wyłącznie, to przeważnie zwrócić się do pracy mrówczéj na polu oświaty, wzmożenia dobrobytu i moralności, wogóle do pracy skierowanéj ku ukrzepieniu naszego organizmu społecznego. W tym zaś celu powinniśmy jak najmniéj wzlatać do stref nadobłocznych aspiracyi, a zacząć studyować nasz lud, nasze mieszczaństwo — wogóle siebie samych. Powtarzam, co najwięcéj takich obserwacyi jak p. Chrzanowskiego. (— X —)

— Nadesłano nam z Jass następujące „Sprawozdanie Biblioteki Polskiéj w Rumunii za rok 1887“:

W ciągu 22-letniego istnienia przechodziła Biblioteka rozmaite koleje, nigdy atoli nie doznała tak niepowetowanéj straty jak w r. b.; śmierć bowiem jednego z najczcigodniejszych mężów naszego narodu, zabrała jéj najczynniejszego opiekuna.

Kraszewski od lat 20 aż do ostatnich niemal dni życia, pamiętał o instytucyi naszéj, otaczał ją powagą swego imienia, wspierał

radą i czynem. To téż zarząd postarał się w miejsce banalnych wieńców i obchodów żałobnych uczcić pamięć nieodżałowanego opiekuna w sposób najgodniejszy przez rozdanie pomiędzy członków dzieł i portretów zmarłego.

Lecz na téj klęsce się nie skończyło. Śmierć zabrała nam drugiego opiekuna, który zwłaszcza w początkach istnienia Biblioteki wielkie oddał przysługi, późniéj zaś przez dłuższy czas wzbogacał książnicę naszę wieloma wyborowemi dziełami.

Biblioteka otrzymała w ciągu r. b. 108 dzieł w darze; przyczém szczegółowo Tow. Kasy Mianowskiego za 28 dzieł naukowych niepospolitéj wartości, serdeczne składamy dzięki.

Niemniéj wdzięczni jesteśmy Redakcyom: Tygodnika ilustrowanego, Słowa, Niwy, Roli, Gazety świątecz., Dziennika dla wszystkich, Wieczorów rodzinnych, Kroniki rodzinnéj, Prawdy, Ateneum, Gońca wielkopolskiego, Gońca świątecznego, Iskry, Ogniska domowego, Muzeum, niektóre wydawnictwa Księgarni katolickiéj w Krakowie, które otrzymaliśmy darmo; zaś za pół ceny: Kłosy, Biesiadę literacką, Bluszcz, Romans i Powieść, Głos, Przegląd tygodniowy, Przegląd pedagogiczny i Gazetę rzemieślniczą.

Obok tego zakupiliśmy 86 dzieł najnowszych, tak, że obecnie biblioteka składa się z 4443 tomów.

Pragnąc rozszerzyć zakres działania i wywołać wymianę myśli z podobnemi nam towarzystwami polskiemi za granicą, zawiązaliśmy stosunki tymczasem z trzema, którym też ofiarowaliśmy pewną ilość dzieł, a mianowicie: Towarzystwu „Jedność“ w Chemnitz 42, „Ognisku“ w Mittweida 26, Bibliotece polskiéj w Wiedniu 71.

Oprócz tego posłaliśmy do Warmii 56 dzieł. Oby przyczyniły się do wzmocnienia węzłów jedności i solidarności narodowéj rodaków, pozostających pod zabójczym wpływem niemczyzny.

Stan finansowy Biblioteki jest zadawalniający, mimo nieakuratności niektórych członków.

Dochód:

Składki 43 członków	331	fr.	— ct.
Odsetki od funduszu żelaznego. . .	638	„	75 „
Dochód nadzwyczajny	170	„	20 „
	1139	fr.	95 ct.

Rozchód:

Książki, czasopisma, druk katalogu .	430	fr.	10 ct.
Oprawa książek	134	„	60 „
Przesyłka paczek i listów	106	„	75 „
Pomieszkanie, opał i t. d.	423	„	50 „
Rozchód nadzwyczajny	45	„	— „
	1139	fr.	95 ct.

Fundusz żelazny wynosi 7444 fr. 20 ct.

Fundusz szkolny pozostały z podziału w dn. 1 Grudnia 1885 r. w sumie 1014 fr., urosł do dziś przez oprocentowanie do 1126 fr. 85 ct. Z tego dano w r. b. uczniowi jednemu, w zaborze pruskim, 100 fr. złotem jednorazowéj zapomogi.

Bez chełpliwości tedy powiedziéć możemy: *annum non perdidimus!*

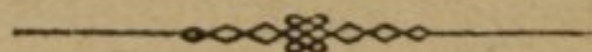
Jassy, 31 Grudnia 1887.

Zarząd Biblioteki Polskiéj w Rumunii:

Prezes *Dr. J. Łukaszewski.*

Członkowie:

ks. B. Chwała, Dr. C. Lippa, A. Gąsiorowski, K. Szulc, E. Beldowicz.



NEKROLOGIA.

† **Leonard Sowiński,** jeden z najznakomitszych epigonów romantyzmu, urodził się we wsi Berezówce na Podolu r. 1831 z ojca szlachcica, matki wieśniaczki. Nauki początkowe odbywał w szkole międzyboskiéj jednocześnie z Henrykiem Jabłońskim, znanym również poetą; gimnazyum skończył w Żytomierzu; czasy te opisał potém bardzo zajmująco we „Wspomnieniach szkolnych.“ W roku 1847 wszedł na wydział filozoficzny w uniwersytecie kijowskim i po 4-letnich studyach otrzymał stopień kandydata. R. 1852 przeszedł na wydział lekarski, lecz po czterech latach opuścił go i wrócił do literatury. Odbywszy w roku 1857 wycieczkę podróżniczą (Austrya, Włochy, Francya, Belgia, Saksonia i w. ks. Poznańskie), przemieszkiwał aż do r. 1862 już-to na Podolu, już-to w Kijowie. Do zawodu literackiego zachęcił go Kraszewski. Najpierw ogłosił w *Piśmie Zbiorowem* wileńskiém ustęp z poematu p. n. „Satyra“ (1859) i równocześnie w Kijowie zbiór 12-stu sonetów p. n. „Widziadła“, przedstawiających los poety na ziemi. W r. 1860 wydał w Wilnie „Studya nad literaturą ukraińską, a w następnym rozprawę o Tarasie Szewczence z przekładem jego „Hajdamaków.“ Pod koniec roku 1860 wyszedł w Warszawie najpiękniejszy jego poemat „Z życia“, który w przeciągu kilku miesięcy miał dwa wydania. Prócz tego w tym czasie (1860—1862) był spółpracownikiem *Kuryera Wileńskiego*, gdzie pisał stale korespondencye z Kijowa, oraz umieszczał

drobniejsze poezye i rozprawy. — Od roku 1862 do 1863 przebywał w gubernii kurskiéj, najprzód w Kursku, potém w Szczygrach. W r. 1868 przybył do Warszawy i został spółpracownikiem *Gazety Warszawskiéj*, potém *Wieńca* (r. 1872), *Gazety Polskiéj*, pisując do *Kłosów*, wreszcie *Tygodnika Powszechnego* i *Ilustrowanego* rozbiory literackie. Z poezyi wydał w tym czasie „Fragment powieści“ (1869), przekład „Najemnicy“ Szewczenki (1870), poemat „Satyra“ (1870), tragedyę „Na Ukrainie“ (1873), „O zmroku“ (1886), wreszcie niezupełny zbiorek swoich „Poezyi“ (Poznań 1875, 2 tomy). Pod koniec życia zwrócił się prawie całkowicie do prozy: dokonał 5-tomowéj kompilacyi p. t. „Rys dziejów literatury polskiéj“, ogłosił „Wspomnienia szkolne i 3-tomową powieść „Na rozstajnych drogach.“ W czerwcu r. 1887 opuścił Warszawę i pojechał na Wołyń do żony, z którą od lat wielu się rozłączył. Tu we wsi Stetkowcach pod Lubarem umarł 23 grudnia r. z.

† **Roman Wierzchlejski** urodził się 5-go sierpnia 1825 r. we wsi Karśnicach pod Sieradzem; nauki gimnazyalne pobierał najprzód w Piotrkowie, potém w Warszawie; gdzie téż przygotowywał się do zawodu sądowniczego na kursach prawnych. Dostawszy stypendyum udał się do uniwersytetu petersburskiego i tu w r. 1849 otrzymał stopień kandydata, napisawszy rozprawę o Żydach w Królestwie Polskiém. Potém odbył jeszcze wycieczkę naukową po Niemczech, a za powrotém zamieszkał w Suwałkach jako urzędnik sądowy i nauczyciel prawa w tameczném gimnazyum. Dawszy się poznać ze swych zdolności; wezwany był roku 1862 do Warszawy, ażeby wziął udział w pracach nad wygotowaniem projektu kodeksu i procedury karnéj. Został wtedy kolejno podprokuratorem przy trybunale cywilnym, potém przy sądzie apelacyjnym, wice-referendarzem Rady administracyjnéj, a następnie Rady stanu. W 1867 oddał się adwokaturze, a przez dwa lata wykładał w Szkole Głównéj prawo cywilne. W życiu społecznném nader czynny brał udział. Prac naukowych nie wiele po sobie zostawił. Główniejsze są: „O statystyce Królestwa Polskiego“ 1867, „O prawach kobiéty“ 1882, oraz krytyki dzieł z zakresu prawa. Zastrzelił się 29 grudnia 1887 r.

† **Wincenty Majewski** urodził się we wsi Miłkowicach w Sandomierskiém r. 1806; szkoły pijarskie skończył w Radomiu, uniwersytet w Warszawie. R. 1825 rozpoczął zawód sądowy i przechodził z kolei wszystkie wydziały sądów cywilnych i kryminalnych, biorąc równocześnie udział w wydawnictwie czasopism specyalnych *(Themis Polska)*, jak i dzienników *(Kuryer Warszawski*, *Kuryer Polski)*. W r. 1834 mianowany był adwokatem przy sądzie apelacyjnym, po-

tém zaś obrońcą przy departamentach rządzącego senatu. W roku 1841 należał do pierwszych założycieli *Biblioteki Warszawskiéj*. On téż wspólnie z Wysockim opracował pierwszą nomenklaturę kolei żelaznych; sam zaś zredagował taryfy i przepisy porządkowe. Po r. 1863 gdy hasło pracy organicznéj rozbrzmiało głośno w kraju, on głównie redagował ustawy fabryk, spółek, towarzystw, banków, biorąc udział w radach nadzorczych i zarządach tych instytucyi. Osobno w druku wydał tylko kilka prac ściśle fachowego znaczenia w r. 1843, 1867; w czasopismach zaś sporo było jego artykułów. Umarł w Warszawie 26 stycznia r. b.



Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**



STAN CZWARTY

I JEGO PRETENSYE.

Dobiega lat sto od czasu, gdy Sieyès wydał głośną książkę (1789) zatytułowaną: *Czém jest stan trzeci?* i odpowiadał w niéj sam sobie, że stan trzeci jest wszystkiém, samym narodem, a mimo tego nie ma żadnego udziału w rządzie, że państwo Francuskie podobne było do piramidy opartéj na swoim wierzchołku, potrzeba mu zatém nadać pozycyą naturalną i oprzéć je na narodzie. Ten stan trzeci, przemysłowcy, kupcy, kapitaliści dobił się we Francyi, a następnie w całéj Europie i po części w Ameryce przeważnego wpływu na bieg spraw publicznych, opanował najwydatniejsze stanowiska w rządzie, dyplomacyi, prasie, przemyśle: szlachta i duchowieństwo zeszły na plan drugi, monarchia została ograniczoną przez rozmaite ustawy konstytucyjne. Przebieg téj walki stanu trzeciego, czyli, jak dziś nazywają, burżuazyi, wypełnia dzieje Europy pod koniec zeszłego wieku i ciągnie się aż do naszych czasów.

Nie zamierzam przypominać czytelnikowi rzeczy dobrze znanych, a o szczególe tym nadmieniam jedynie dlatego, że zdaje mi się, iż ci, którzy na oznaczenie klasy robotniczéj użyli nazwy „stan czwarty“, mieli prawdopodobnie na myśli „stan trzeci“ Sieyès'a, i obiecywali sobie, że stan czwarty weźmie spadek po trzecim. Ktoby pierwszy użył wyrażenia „stan czwarty“, nie jest mi wiadomém; ale już przed dwudziestu laty spotykałem się z niém u pisarzy niemieckich. Zobaczymy następnie, jak wyrażenie to jest nieokreślone, jak trudno zdefiniować ów stan czwarty.

Daleko chętniéj, i już z powziętą naprzód dążnością, używają niektórzy autorowie nazwy „proletaryusze“ do oznaczenia warstw pracujących. I ta nazwa powstała widocznie pod wpływem remi-

niscencyi z dziejów rzymskich. Wiadomo, że król rzymski Serwiusz Tulliusz podzielił mieszkańców Rzymu i okolicy podmiejskiéj na 5 klas odpowiednio do wysokości posiadanego majątku w ziemi. Klasę 6-tą, dodatkową i bez znaczenia w sprawach publicznych, stanowiła ludność ruchoma, liczona tylko na głowy *(capite censi)*, pozbawiona mienia, ale zasobna w dzieci *(proles)* i ztąd zwana *proletarii*. Klasa ta, nie korzystając z praw przysługujących osiadłym i mniéj-więcéj majętnym obywatelom, była téż wolną od ciężarów, mianowicie od służby wojskowéj i podatku. Okoliczność godna uwagi ze strony tych, którzyby pragnęli ulżenia doli dzisiejszéj klasie pracującéj.

Wszystko to dzieje się na 6 wieków przed naszą erą i nie wymaga na ten raz więcéj szczegółów, jako rzecz znana; przypomnienie zaś podano dlatego tylko, ażeby wyjaśnić początek dwóch wyrazów i dwóch pojęć: *proletaryusze* i *klasa*, które za naszych czasów wzięto za hasła, jakkolwiek stosunki ekonomiczne dzisiejsze wielce są różne od tych, w jakich się one zrodziły.

Obecnie zatém, gdy mówią lub piszą o warstwach roboczych, nazywają je albo stanem czwartym, albo proletaryuszami. Być może, iż należałoby jednym terminem oznaczać inną grupę pracowników, a drugim znów inną, ażeby uniknąć nieporozumień; możnaby np. proletaryuszami nazywać ludzi nieznających żadnéj fachowéj pracy, żyjących z dnia na dzień, o ile ich ktoś najmie do roboty najprostszéj, zwyczajnych najmitów; a znów stanem czwartym określać pracowników uzdolnionych do wykonywania jakiéjś roboty mniéj więcéj fachowéj, zatrudnionych po fabrykach, warsztatach i w domowéj usłudze, o ile ta wymaga fachowego niejako uzdolnienia. Odróżnienie podobne i w teoretycznéni rozważaniu i w praktycznéni rozwiązywaniu problematu, który nas zajmuje, przyczyniłoby się do jaśniejszego pojmowania rzeczy, a może i uproszczenia dzieła reformy.

Pomimo takiego odróżnienia proletaryatu od stanu czwartego, czyli klasy robotniczéj, jeszcze dużo pozostaje wątpliwości co do pytania, kogo, jakie grupy pracowników do niego zaliczać. Rzecz ta nawet dla przywódców stanu czwartego nie była jasną. I tak, na pierwszym kongresie przedstawicieli stowarzyszenia Międzynarodowego, obradującym w Genewie (1866), poruszono między innemi i to pytanie, mianowicie, czy proletaryat umysłowy ma być zaliczany do klasy robotniczéj. Zdania się ważyły: francuscy delegaci nie chcieli ani słyszéć o tych robotnikach pracujących głową, przekonali się bowiem w domu, u siebie, co są warci „gębacze"; kładli prócz tego nacisk na różnice zachodzące między obu rodzajami

pracy, na niebezpieczeństwa grożące sprawie z dopuszczenia do towarzystwa pyszałków takich, jak adwokaci i dziennikarze. Przeciwni byli temu poglądowi delegaci angielscy i niemieccy, których opinia ostatecznie wzięła górę. Rozumowano, jak się zdaje, słusznie, że kapitał jednakowo gniecie pracę materyalną jak i umysłową (R. Meyer, *Der Emancipationskampf des vierten Standes*. I Band, 128 wyd. z 1882).

Wobec różnicy zdań pod tym względem dotychczas panującéj, poszukajmy kryteryum, któreby pozwalało na mniéj więcéj ścisłe określenie, kogo, jakie grupy pracowników zaliczać do stanu czwartego. Że za takie kryteryum nie może służyć ten lub ów rodzaj pracy, jest rzeczą jasną. Praca umysłowa podobnie jak i fizyczna zużywa substancyą nerwową i mięśniową; jedna produkuje chléb, odzienie i t. p., druga myśli, pomysły, wynalazki; jedna bez drugiéj obyć się nie może i dzisiaj robotnik zwyczajny rozumie dobrze, iż jak jemu należy się zapłata za zrobienie odzienia, tak znów lekarzowi, nauczycielowi, adwokatowi i t. p. należy się zapłata zwana pensyą lub honoraryum za ich usługi świadczone temuż robotnikowi. Być może, iż niejeden adwokat, lekarz, nauczyciel, urzędnik mają się za coś lepszego od krawców, stolarzy lub ślusarzy dlatego tylko, że praca ich jest, jak mówią, szlachetniejsza i drożéj wynagradzana; ale jest to złudzenie; etycznie, mogą się oni bardzo od siebie różnić i ztąd jako jednostki mogą stać wyżéj jedni od drugich; umysłowo, mogą być jedni od drugich wyżéj rozwinięci, więcéj łożyć na dojście do uzdolnienia w swoim zawodzie i ztąd różna ich zapłata: w gruncie przecież, *dobry* krawiec czy stolarz równie są cenieni, jak *dobry* adwokat lub pedagog. Jeżeli jeszcze nie wszyscy tak sądzą, widzimy jednak, iż świat dąży w tym kierunku: nie rodzaj pracy stanowi o wartości pracownika, lecz gorsze lub lepsze jéj wykonanie.

Tak więc poszukując charakterystycznéj cechy pracowników, liczących się do stanu czwartego, nie znajdujemy jéj w rodzaju ich pracy. Ale jest inna okoliczność stanowiąca, naszém zdaniem, tę cechę, mianowicie to, że pracują oni nie *dla siebie*, lecz dla tego, co ich najął i za pracę przyobiecał płacę, inaczéj dał im *zarobek*. Cecha ta jest powszechną, wspólną wszystkim pracownikom, bez względu na rodzaj pracy i uzdolnienie robotnika. Zachodzi wprawdzie wielka różnica pod względem ilości i jakości pracy, np. dyrektora fabryki a robotnika, niemniéj wielka różnica w zarobku obu; to jednak obadwa mają wspólnego, że nie pracują dla siebie, lecz dla przedsiębiorcy lub kapitalisty. Ztąd już wynika cała chwiejność tego stosunku. Albowiem zarówno dyrektor jak i robotnik są

całkowicie zależni od pracodawcy; mogą się mu nie podobać z téj lub owéj racyi, więc ich oddali—jednego za rok lub pół roku, drugiego jutro; mogą okoliczności zmusić go do zmniejszenia produkcyi, lub zupełnego jéj zaprzestania—zawsze pracownikom jego ten sam los grozi — brak zajęcia i czczość żołądka.

Różna jest nieco dola innych pracowników, np. urzędnika w prywatnéj lub publicznéj instytucyi, pobierającego stałą pensyą; adwokata, zależnego od klienteli; nauczyciela, dającego lekcye: ale i ci w tém są podobni do robotników zwyczajnych, że pracują dla innych, są płatni i w każdéj chwili mogą stracić pracę i zarobek. Z tego względu mogą też być zaliczani do stanu czwartego. Słowem, ramy stanu czwartego obejmują tych wszystkich pracowników, którzy pracują dla innych za zapłatę.

Tym sposobem z szeregów stanu czwartego należy wyłączyć rozmaitych darmozjadów, zarówno elegantów jak i obszarpańców, włóczęgów, więźniów, żebraków utrzymywanych kosztem dobroczynności prywatnéj i publicznéj. Czy ci obywatele utworzą z czasem stan piąty i jakie założą pretensye do stanów innych, trudno wiedziéć; ale przykłady są zaraźliwe.

Lecz chociażbyśmy chcieli utrzymać ramy stanu czwartego wedle powyższego kryteryum, nie będą one nigdy stałe i nieruchome; przesączanie się pracowników stanu czwartego do najniższéj grupy ludzkiéj, do proletaryatu w ścisłém znaczeniu, odbywa się ciągle. Warunki dzisiejszéj produkcyi ekonomicznéj, epidemie, wojny, nareszcie lekkomyślność powiększają coraz bardziéj szeregi proletaryatu. Wprawdzie pastor Malthus twierdził, że te destrukcyjne czynniki wyręczają Opatrzność w utrzymywaniu harmonii między nakryciami a biesiadnikami: jednakże dalszy rozwój ekonomiczny pokazał, iż śmierć dobrodziejka nie trzyma się tak ścisłego rachunku i zostawia coraz więcéj biesiadników bez nakrycia przy stole.

Ztąd też trudno myśléć o ile tyle godnéj wiary statystyce pracowników stanu czwartego; rzecz pewna, iż ich przybywa coraz więcéj. Jakim to zaś sposobem się stało i odkąd się poczęło, historya niezmiernie pouczająca i, nie figurycznie, łzami pisana. Jeszcze w tych dziejach pracy ludzkiéj dużo brakuje szczegółów; główne przecież jéj kontury są znane. Nie myślę tu powtarzać owych dziejów pracy niewolniczéj, pańszczyźnianéj i wolno-najemnéj; dość zapamiętać, że głównie ta ostatnia zrodziła najmitów, a z nimi i kurcze, w jakich się spółczesne pokolenie wije.

Przypuszczając, że się czytelnik godzi z nami na określenie stanu czwartego, jako klasy pracowników, zarówno miejskich jak

wiejskich, którzy dla innych i za zapłatę pracują; potrzeba się zastanowić, jakie są pretensye tego stanu, mianowicie, rozważyć jak on sobie wyobraża zmiany mogące los jego poprawić.

Odpowiedź na to pytanie przedstawia w sobie następujące trudności. Pracownicy zatrudnieni po fabrykach, warsztatach, kopalniach itp. są tak robotą przygnębieni i tak mało rozwinięci, że na obmyślenie i przemyślenie planu reform ani czasu, ani kwalifikacyi nie mają. Wprawdzie robotnik angielski, francuski i niemiecki wyżéj umysłowo stoi od hiszpańskiego, włoskiego lub tém bardziéj naszego; wprawdzie niektórzy z nich lepiéj rozumieją sprawy ekonomiczne od wielu nowelistów i literatów: jednakże nie są o tyle ukształceni teoretycznie, ażeby nam mogli wypowiedziéć swoje dezyderaty. Jedno wszyscy z nich rozumieją i pragną: krótszéj pracy, a większéj i nie tak chwiejnéj, jak dotychczas, płacy. Jak ten cel osiągnąć? Tu już odpowiedzi się różnią. Od téj więc grupy pracowników trudno się dowiedziéć, jakie są ich życzenia, a zwłaszcza, jaką drogą zadość im uczynić.

Druga grupa pracowników stanu czwartego, uprawiających sztuki wyzwolone *(artes liberales)* w przeciwstawieniu do pierwszych, zajętych sztukami, jak nazywano, niewolniczemi *(artes serviles)*, mniéj pożąda zmian w dotychczasowéj organizacyi ekonomicznéj, ponieważ wogóle (chociaż nie bez licznych wyjątków) lepiéj im się wiedzie. Bądź-co-bądź jednakże, tylko z téj grupy mogli wyjść ludzie utożsamiający swoje pragnienia z życzeniami klasy pracowników pierwszéj kategoryi. Od nich zatém powinniśmy się dowiedziéć o tém, czego pragnie stan czwarty.

Zwracając się tedy do wybitniejszych tłómaczów woli zbiorowéj; powinnibyśmy otrzymać bardziéj szczegółową odpowiedź. Tymczasem i tutaj spotykamy trudność nie małą, mianowicie, co do tego, czyje tłómaczenie jest prawowierne i autentyczne. Adwokatów stan czwarty liczy dzisiaj niemały zastęp, a chociaż po większéj części nie otrzymali pełnomocnictwa do stawania w obronie małoletnich, nie chcemy im z tego czynić zarzutu. Ileż-to spraw ludzkich i bez pełnomocnictwa było wygranych, gdy do rozwiązania dojrzały, i gdy je umiłowali bezinteresowni obrońcy! Słaba strona obrońców stanu czwartego leży w tém, iż nie są w zgodzie sami z sobą; dowiedziéć się zatém od nich, jakie są pretensye klienta, nie łatwo. Spotykamy się tu ze zjawiskiem pospolitém w dziejach sekt religijnych, szkół filozoficznych i partyi politycznych. W początkach wszyscy są zgodni i niby się rozumieją; ale już nazajutrz pokazują się różnice i obok szkół tworzą się przyszkółki, a obok zborów zborzyszcza. Czas, tylko mnoży te odrośle i wilki dziksze jedne

od drugich. Ubolewać nad tém zjawiskiem nie ma potrzeby—albowiem spory i wzajemna krytyka rozmaitych odcieni klaruje pojęcia i obcina wilki—a resztę pędów na owoc zachowuje.

Chociaż zatém obrońcy stanu czwartego rozmaitego są kalibru i rozmaicie tłómaczą życzenia mocodawców, jednakże mają pewną cechę wspólną, a jest nią metoda. Nie jest-to absolutna i nieomylna metoda nieboszczyka Hegla, posuwająca się w rozumowaniu przez tezę, antytezę i syntezę; jednak bardzo do niéj zbliżona. Metoda podobna prowadzi do wystawiania kontrastowo przeciwieństw, zachodzących już nie pomiędzy głuchemi pojęciami, lecz pomiędzy żywemi klasami społeczeństwa. Wprawdzie te klasy ujęte są także w pojęcia, bez których rozumowanie jest niemożebne—ale nie są-to byty i niebyty, lecz kapitał i praca, przywłaszczyciele i wydziedziczeni—wprawdzie nie Piotr i Jan, jednak nie Heglowskie cienie, jedno żywe i żywo czujące warstwy społeczne. Nie utrzymujemy, że obrońcy stanu czwartego nauczyli się téj dyalektyki w szkole Hegla, gdyż St.-Simon daleko wcześniéj przeciwstawił mieszczucha *(bourgeois)* robotnikowi; wszakże trudno zaprzeczyć i wpływu berlińskiego *Staatsphilosopha* na ich metodę, zwłaszcza, że sami się do tego przyznają. Pamiętając o tém, można rozumiéć, co w ich języku znaczy *klasa* i walka klas społecznych, stanowiąca treść dziejów rodu ludzkiego.

Drugą cechą metody, o któréj mowa, jest niezmiernie cięty, ostry jak brzytwa i wysoce plastyczny język. Oczywiście mamy na myśli koryfeuszów. Że taki język nadzwyczaj zapalnie działa i do szpiku się wrzyna, wiadoma to rzecz z dziejów wszystkich agitacyi. Bywa on niekiedy trywialny, ale najczęściéj sarkastyczny i wielce obrazowy. Co to za pyszne porównanie, gdy Marx powiada, że „właściwe narody handlowne siedzą tylko w międzyświatach *Intermundien)* starego świata jak bogowie Epikura, lub jak żydzi w porach społeczeństwa polskiego“ *(Das Kapital*, I; 57 wyd. z r. 1873). Albo: „kapitalista wie, że wszystkie towary, chociażby najbrudniejsze, najbardziéj śmierdzące, są i w wierze i w istocie obrzezanymi w sercu żydami, a do tego mają cudowną własność wytwarzania z pieniędzy jeszcze więcéj pieniędzy“ (Ibid. 138). Od innych porównań więdną uszy; należy to przecież do metody, która w nauce nie popłaca, ale do działania na masy jest dopasowana.

Krótkie to zboczenie o metodzie miało na celu pokazanie taktyki obrończéj, która polega na jaknajjaskrawszém stawianiu obok siebie przeciwieństw, uosobionych w klasach społecznych i na złorzeczeniu dotychczasowemu porządkowi czy też nieporządkowi w stosunkach ludzkich. Takiéj metody nie mogli używać kowale lub cieśle, jedno doktorowie co najmniéj filozofii.

Zauważono już nieraz w szeregach przeciwnego obozu, że obrońcy stanu czwartego mocni są w krytyce istniejących urządzen społecznych; jednak gdy chodzi o pozytywne i dające się urzeczywistnić reformy zwykle kończą negacyą i złorzeczeniem temu, co istnieje. Jest to poniekąd prawdą: do takich wniosków prowadzi studyowanie teoretycznych prac, ogłoszonych dotychczas zarówno przez głowaczów, jak i przez podrzędniejszych pisarzy tego kierunku. Jeżeli zatém chodzi o sformułowanie pragnień stanu czwartego, znajdujemy je wyrażane na rozmaitych kongresach, uzupełniane stopniowo, chociaż przy panującéj różnicy w opiniach niekoniecznie stanowiące *credo* wszystkich odcieni. Gdy bowiem jedni domagają się doraźnego obalenia istniejących urządzeń; drudzy umiejętniéj wyjmują cegiełkę po cegiełce z budowy społecznéj, licząc na trwalszy skutek takiéj roboty.

Otóż cofając się myślą do zjazdu genewskiego (1866), widzimy o co wówczas chodziło delegatom stanu czwartego. Najprzód tedy o zredukowanie godzin pracy do 8 dziennie. Co się tyczy dzieci, nie wyłączano ich od pracy zasadniczo, lecz życzono sobie, ażeby dzieci mające 9—12 lat pracowały w fabrykach i warsztatach tylko po 2 godziny dziennie; mające 13—15 lat po 4 godziny, a będące w wieku 16—17 lat po 6 godzin. Te ostatnie jednakże powinny mieć 1 godzinę odpoczynku. Na tym, kto używa dzieci do roboty, chociażby był krewnym, ciąży obowiązek myślenia o ich edukacyi, która powinna obejmować przedewszystkiém techniczne ukształcenie oraz wprawę do posługiwania się narzędziami; część kosztów za techniczne ukształcenie spada na rodziców. Daléj, życzono sobie zaprowadzenia podatków bezpośrednich, zniesienia stałych wojsk i t. p. Gdy francuscy delegaci poruszyli sprawy religijne, uznano je za obce i nie podległe dyskusyi. Roztrząsano téż pytanie, jakie kategorye pracowników, zaliczać do stanu czwartego, o czém jużeśmy wyżéj wspominali.

Były to życzenia jeszcze bardzo niewinne, dające się pogodzić z istniejącemi urządzeniami. Ale już następnego roku zjazd odbyty w Lozannie roztrząsał bardzo komunistyczne projekta: żądano zniesienia prawa spadkobrania, zaprowadzenia własności zbiorowéj zamiast indywidualnéj, tak dobrze ziemi jak i innych narzędzi pracy. Życzenia te nie wszystkim się podobały; odłożono ich rozbiór na późniéj, a tymczasem przyjęto rezolucyą, iż „narody powinny dążyć do tego, ażeby państwo stało się właścicielem wszelkich środków przewozowych.“ Co się tyczy wychowania dzieci, każdy ojciec powinien dbać o swoje i tylko w razie zupełnego ubóstwa, państwo ma dopomódz. Z planu szkolnego religia winna być usunięta.

Prócz tego budziła troskę delegatów perspektywa „piątego stanu“, który musi powstać, gdy się członkowie czwartego zwiążą w stowarzyszenia; pocieszano się wszakże tą myślą, iż drobne warsztaty upadną, a gdy weźmie górę wielki przemysł, ogarnie wszystkich pracowników i ujednostajni warunki ich bytu. Teraz, ponieważ płacy jeszcze nie można usunąć, należy godzić się z systemem zarobkowym i tylko dążyć do podwyższenia zarobków.

Dzieje późniejszych kongresów świadczą, iż pretensye stanu czwartego stawały się coraz dobitniejsze w formułowaniu, ale téż i radykalniejsze: ostatecznym ich wyrazem był komunizm i co innego być nie mogło. Zadziwia jedynie, że niektórzy adwokaci stanu czwartego chcą, ażeby im państwo pomagało do przeprowadzenia projektowanych zmian w dotychczasowym systemie produkcyi i zaprowadziło uniwersalne koszary; konsekwentniejsi z nich niczego się z téj strony nie spodziewają: państwo nazywa się u nich *Schmarozerauswurf*.

K.





PRZY KOŚCIELE.

NOWELA.

I.

Dawno już nie żyją ludzie, o których tu będę mówił. Wraz ze wspomnieniem przechowałem dla nich szczególny jakiś szacunek; postaci te występowały w mojéj wyobraźni tak często, że mię niewoliły, abym je urzeczywistnił w obrazku.

Po jednéj stronie Wiślicy stoją na wzgórzu Czarkowy, które sprawiają wrażenie fortecznego dominium średnich wieków; po drugiéj — może na wyższém jeszcze wzniesieniu widać Jurków. W tym Jurkowie był ubogi kościołek, który z góry spoglądał ku Wiślicy, patrzał na Nidę, na mnóstwo porozrzucanych dokoła wiosek, na łąki i błonia zdające się nie mieć granic. Pamiętam Jurków, widzę go wyraźnie niby kolumnę, która z ziemi wystrzeliła i wyniosłemi drzewami, kościołkiem swoim pnie się ku obłokom.

Dopóki byłem małym chłopcem, zawsze mi się zdawało, że Jurków codziennie podrasta.

Owego czasu kościołek był bardzo stary i niezmiernie skromny; dach jego stanowiła słomiana strzecha, zupełnie taka sama jak na chłopskiéj chacie; również i wewnątrz były tutaj sprzęty wielce ubożuchne.

Babka moja mawiała, że lubi się modlić w tym kościołku, ponieważ on przypomina Chrystusową stajenkę w Betleem.

Dzwonnica bynajmniéj nie była lepszą od kościoła; budynek ten chwiał się i trzeszczał w posadach swoich, ilekroć uderzono w dzwony. Na dachu jéj, także słomianym, corocznie gnieździł się bocian, który do poważnego jęku dzwonów dodawał nieraz swoje radosne klekotanie. Stary kościołek obsługiwali bardzo starzy lu-

dzie. Pleban tutejszy był biały od sędziwości, niski, pochylony, a jednak krzepki jeszcze człowiek. Mówiono, że miał blisko sto lat życia.

Podobno w młodych latach był on kapelanem przy wojsku i zapewne z powodu swoich wojskowych nałogów w sypialni nad łóżkiem, a pod krucyfiksem zawiesił na ścianie parę pistoletów. Nasłużywszy się w twardém rzemiośle Marsa, ksiądz Wincenty został proboszczem w Jurkowie, dokąd przyprowadził z sobą dwóch ludzi: Mikołaja, organistę głuchego i z jedną drewnianą nogą, oraz dzwonnika dziada, ślepego i bez ręki. Podobno organista miał lat przeszło siedmdziesiąt, a dziad przeszło ośmdziesiąt. Zresztą obaj ci ludzie nie posiadali ani umysłowéj, ani fizycznéj rzeźwości swego plebana; utracili pamięć i jak przez sen majaczyli o różnych wypadkach krajowych, które się dawno, dawno już odbyły, a oni je odnosili nieraz prawie że do „wczoraj, przedwczoraj.“

Proboszcz nazywał organistę „młokosem“, a dzwonnika „wiarusem.“

W Jurkowie oddawano cześć Panu Bogu bardzo skrupulatnie; ksiądz, organista i dzwonnik tylko nabożeństwem byli zajęci.

Ksiądz Wincenty modlił się dużo i msze święte odprawiał codziennie. Od ludzi nie chciał nigdy przyjąć pieniędzy za nabożeństwo, a kiedy spostrzegł, że ktoś szepła po kieszeniach, szukając dwuzłotówki, chwytał go zaraz za rękę i mówił:

— O nie, nie!.. Schowajcie sobie te groszaki na co innego! Pan Bóg odwróciłby się odemnie, gdybym ja za pieniądze zanosił modły do Niego.

Rano, skoro świt, przychodził codziennie organista na plebanią i zwykle zastawał już na nogach sędziwego proboszcza — niekiedy w wesołém, a niekiedy w smutném usposobieniu. Jeżeli ksiądz Wincenty był wesół, to się zaraz wdawał w rozmowę z organistą i wykrzykiwał mu nad uchem, w jakim kolorze ma się msza odprawić, a potém dodawał:

— Każ téż Tomkowi dzisiaj porządnie zadzwonić, niech wali, ile dzwony tylko wytrzymają!

A organista otwierał wtedy usta i ręką pocierał czoło, jakby sobie chciał przypomnieć, z jakiego to powodu ma się dzisiaj dzwonić głośniéj niż zwykle.

— Hę? — pytał. — Hę ?

— A cóż ty, młokosie, nie pamiętasz, jaka to dzisiaj rocznica?... Słyszysz, toż to dzisiaj....

Wtedy organista zdejmował klucze z gwoździa nad kropielniczką, a idąc z plebanii ku kościołowi, mruczał sam do siebie:

— Bodajże mię osła kartacze rozbiły! Jegomość ciągle gada, żem młody, a mnie widzę łeb grzybieje, tak z niego wszystko wywietrzało....

Ten Mikołaj ubierał zawsze jedyną nogę w but z długą cholewą, a za cały strój służył mu płaszcz z peleryną, zapięty pod szyją na jeden guzik, pochodzący widocznie od żołnierskiego munduru, ale już zupełnie wytarty.

Pod dzwonicą spotykał organista dziada i przemawiał do niego krótko:

— Tomek, wal we dzwony, choćby ognia miały skrzesać!...

Wtedy ślepy dziadowina, macając przed sobą i potykając się, właził wewnątrz dzwonicy i mruczał:

— Dobrze jemu młodziakowi rozkazywać: „wal we dzwony!..“ A mnie oto starego drze w łopatce, bo się ta jedna ręka ciągle upomina o tamtę, com ją uronił...

Z tém wszystkiém dziad pocił się, a dzwonił, dzwonił, aż bociany podskakiwały na gnieździe.

Nareszcie wychodził z plebanii proboszcz, pogodny, uśmiechnięty i wtedy zastawał już dziada przy wejściu do kościoła.

— Dzielnieś się spisał, Tomaszu! — mówił ksiądz Wincenty, klepiąc starowinę po ramieniu bez ręki. — Dzwony huczały jak sto tysięcy armat! Ale jak ty, taki fajtłapa, możesz jeszcze tak dzwonić jedną ręką?

— Proszę jegomości, toć ja się sznurem od dzwonu przepasuję wpół ciała, a potém się kłaniam i kłaniam, no, a tym całym kikutem ciągam znowu sznur od drugiego dzwonu.

— Toś ty jeszcze zuch, Tomusiu! Chwat stary wiarus! Przyjdźże po mszy świętéj na plebanią, to sobie łupniesz jałowcówki albo piołunówki; skrzepisz się jeszcze lepiéj! Widzicie państwo, jak on pysznie umié dzwonić...

Wówczas Tomek całował proboszcza gdziebądź — w rękę, w plecy, w ramię, gdzie mógł ustami popaść bez pomocy oczu i odpowiadał:

— Jegomościunio zawdy dla mnie dobry! A ten organista, choćby też raz był kontent z mojego dzwonienia; nie, on ciągle powiada, że nic nie było słychać, jakem dzwonił.

— Śmiéj się z tego, Tomusiu! Mikołaj to głuchoń, jemu możesz oba uszy na wylot przestrzelić, a nie będzie wiedział, co się stało.

Chociaż ślepy Tomek krzepił się na plebanii to jałówcówką, to piołunówką, niewiele mu pomagało takie wzmacnianie; z dnia na dzień słabł coraz więcéj. Siły starego wyczerpały się i nareszcie nie mógł już głośno dzwonić. Pocił się nieraz nieborak, podwajał

usiłowania, a dzwony, nawet w dni takie, kiedy proboszcz bywał niezwykle ożywiony, jęczały bardzo smutnie, jakoś rozpaczliwie, jakby chrapały...

Właśnie coś w początkach Maja polecił był ksiądz Wincenty organiście głośne bicie w dzwony, a tu na plebanią dolatywał tylko ów jęk smętny, żałosny, przeciągły. Zdawało się, że to nie jest dzwonienie, ale jakieś wielkie westchnienia z pod ziemi, czy skargi i wyrzekania. Na głos ten proboszcz wybiegł czémprędzéj z domu i pośpieszył do dzwonnicy. Tutaj zastał Tomka nadzwyczajnie zmęczonego; biedaczysko w bezsilności pasował się z dzwonami, ręka widocznie odmawiała mu posłuszeństwa, drżała i tylko od czasu do czasu żywiéj za sznur szarpnęła. Dziad ocierał połą siermięgi pot z czoła, a z oczyma swemi pokrytemi bielmem i załzawionemi podobny był raczéj do słabego niemowlęcia, niż do ekswojaka.

Ksiądz Wincenty stał nieruchomy i w milczeniu spoglądał na wysiłki Tomka; wzruszenie sędziwego proboszcza wzrastało; naraz twarz jego wykrzywiła się boleścią i łzy jak perły po niéj spłynęły z oczu. Przyskoczył do dziada, pochwycił go za rękę, mówił:

— Dosyć już tego, Tomaszu! Zestarzałeś się, mój ty wiarusie, kto inny musi cię przy dzwonach wyręczyć.. Widzę, że już i na mój pogrzeb nie ty mi zadzwonisz.

Ksiądz pochwycił sam za sznury, ale i on do dzwonów już nie miał siły. Na błonia nadnidziańskie poleciały jakieś dzikie dźwięki, aż się od nich bocian porwał z łąk i co tchu leciał do gniazda zobaczyć, czy się aby co złego z jego dziatwą nie stało.

— O, brzydko coś dzwoni! — mówili ludzie we wsi.

II.

Posada dzwonnika dziada przy kościele jest téż stanowiskiem społecznem, do którego niejeden biédak wzdycha. Kiedy się więc rozniosło po świecie, że w Jurkowie potrzeba człowieka do dzwonów, złazili się rozmaici żebracy, pragnący życie koczownicze zamienić na osiadłe. Jedni przychodzili tutaj od Gór i Węchadłowa, drudzy od Kazimierzy, od Czarków,— przybywali kandydaci nawet z pod Opatowca.

Atoli ksiądz Wincenty przebierał w dziadach jak w ulęgałkach; widać było ze wszystkiego, że jemu nie o samę siłę chodzi.

— Przecież lada kogo nie przypuszczę do dzwonów, taki dziad musi być człowiekiem, muszę miéć w nim przyjaciela...

Jednego dnia po południu proboszcz wyszedł na przechadzkę i, idąc przez wieś pomiędzy chatami, przystawał co chwilę, zawiązywał rozmowę już to z jakim gospodarzem, już z gospodynią lub dziećmi. Tak przebył całą wieś i znalazł się w polu za kołowrotem. Spojrzy i widzi przy drodze pod męką Pańską — klęczy kobiecina staruszka, istne chucherko, cień człowieka; szeptała pacierz, przesuwając w palcach różaniec.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł ksiądz swoim łagodnym cichym głosem.

Odpowiadając „na wieki wieków, amen“, kobiéta porwała się z pod krzyża, przybiegła do księdza Wincentego i złożyła mu ukłon do saméj ziemi, a potém poczęła mówić w te słowa:

— Zmiłujże się też jegomość nademną; umyślnie oto aż od Dębian idę, bo mi ludzie powiedzieli, że przy kościele w Jurkowie potrzeba kogo do dzwonów. A ja się tu urodziłam, tu w Jurkowie, i jakem tylko podbiegła pod tę mękę Jezusową, tom zaraz z radości padła na ziemię, żeby się w swojéj wsi najprzód pomodlić.

— Jakże się ty kobiéto nazywasz? — zapytał proboszcz.

— Śmiguska, a ze chrztu Rozalia.

— Toć tu są Śmigusy w parafii,—krewniacy wasi pewnie?

— Ja bez krewnych jestem, dobrodzieju; siérotą mię Śmigusy przygarnęli i od nich mię wieś Śmiguską przezwała. Ale tamci Śmigusy dawno pomarli, Panie świeć ich duszy... Poszłam-ci ja ze wsi swojéj na służbę, gdzie to tam, het za rzekę, na Chroberz, aż pod Busk, pod Chmielnik....

— Po służbieś między obcymi chodziła — a długo?

— A dziéwką młodą stąd wyszłam i stérałam tak życie w tęsknicy za wsią swoją. Dopiéro, jak mi powiedzieli, że tu ręki do dzwonów potrzeba, jużem wytrzymać dłużéj nie mogła i w dérdy prawie trzeci dzień lecę, a po drodze rozpytuję ludzi—może wiedzą, czy mię też jegomość do kościoła przygarnie.

— Cóż ci ludzie powiedzieli?

— Oj, narobili mi markotności! Powiadali, co jegomość do wyboru trudny i żaden mu się dziad nadać nie może, gdzież dopiéro baba! Alem sobie pomyślała: Czy to baba nie człowiek? Gdzieby też jegomość w Jurkowie nie okazał zlitowania nad kobiétą, co chce kości między swoimi położyć?.. I przyszłam, mój ojcze!

— Ileż ty kobiéto miasz lat teraz?

— O mój jedyny jegomość, jakem była młoda, to tyle roboty zawdy leżało na rękach, że czasu nie starczyło nigdy, żeby sobie lata porachować... No, a teraz nikt do służby wziąć nie chce; każdy mówi: starzyzna taka — ni na zagon ze sierpem, ni do roboty przy

chałupie, pléć mogłaby, kłóski zbierać; ale za to znowu żywić nie warto; więc sobie myślę, że już kopa latek dobrze z górą przejść musiała po mnie.

Ksiądz Wincenty słuchał bardzo uważnie tego opowiadania, widocznie podobała mu się ta do wsi swojéj stęskniona babina, miał atoli różne skrupuły:

— Czy ona to dzwonić podoła, taka słabizna?—powiedział w rozmyśle na głos sam do siebie.

— Cóżby nie? Sztuka to jaka wielka?..—odparła kobiéta.

Powracał tedy proboszcz ku plebanii, a staruszka podążała za nim; serce biło jéj z obawy, czy téż aby na starość znajdzie przytułek w rodzinnéj wiosce przy kościele.

Była to kobiéta nadzwyczajnie zbiédzona, zczerniała na twarzy, rękach, pomarszczona, odziana w liche i brudne łachmany. Co ciężko zapracowała w młodym wieku, to w kilka lat na starość przeżyła i nędza ją przysiadła.

Dobre serce miał ksiądz Wincenty i ta dobroć przemogła jego nadzwyczajny wstręt do kobiecéj obsługi przy kościele. Najprzód pożywił zgłodzone biédactwo, potém wyciągnął własną koszulę, dał kobiécie jakąś starą sutannę i zalecił, żeby sobie to przerobiła, bo przy kościele może być „ubogo“, lecz musi być „chędogo“—powiedział.

Uszczęśliwiona Śmiguska została tedy dzwonniczką w Jurkowie, a ksiądz proboszcz, organista i ślepy Tomek—wszyscy oni nazywali ją „panną“, ponieważ była najmłodszą.

Pytanie, czy umiała dzwonić? Podobno nikt przedtém, ani nikt potém nie sprostał jéj w owéj sztuce. Ksiądz Wincenty mawiał, że „panna“ formalnie gra na dzwonach, chociaż organista Mikołaj zawsze utrzymywał, że dzwonienie jest za ciche.

III.

Na owéj górze w Jurkowie życie upływało, niby fala Nidy, która spokojnie ciekła u dołu, kryształowo czysta a w czarném korycie, strojném po brzegach w zieleń i kwiaty. Bywało latem, gdy przed zachodem słońca puścisz się tu w pola, to zboża prawie całego z głową cię zakryją i wtedy niebo tylko widzisz nad sobą, a wokoło pełno różnych głosów się rozlega. Kłosy o kłosy biją, jedne na drugie się kładą, stąd szum, dzwonienie jakieś tęskne, długa pieśń niwy, jéj zbóż kłosistych, niby melodya miliona świerszczów. Znasz-li ten kraj, gdzie żyta i jęczmiona tak uroczo dzwonią?..

Ponad niwami szybują czteroskrzydłe szklarki, czasem która przysiada na kłosach, to zrywa się i znowu krąży; możnaby myśléć, że one sobie dla igraszki żyją na świecie. Pszczoły i trzmiele brzęczą na różne głosy; niebieskie motylki tułają się między kłosami, modrzą się jak bławatki, a na kłosach kołysze się spokojna biedronka. Czasem górą szybko przeleci ptak jaki, czasem zabrzmi w powietrzu chrząszcz wielki, który z sąsiedniego lasu wybrał się na wędrówkę po świecie. Dokąd on tak leci?..

Górką koło pola z kosturem w ręku, z fajką w ustach idzie oto polowy, rozgląda się po niwach, patrzy z góry, co się na dole dzieje; Coś spostrzegł, bo przystanął, fajkę z ust wyjął i krzyczy:

— „Hej, Naaastka!.. Nastka, bestyjo jedna!.. A odgoń tam bydlę od pszenicy“!..

Ten głos donośny posłyszała nietylko, Nastka, ale i wszyscy pasterze, którzy gdziekolwiekbądź paśli bydło w okolicy; każdy więc obejrzał swoje stado, czy téż aby wszystkie jego sztuki są w porządku z przepisami rolniczéj policyi.

Ale niedługo potém znowu przez rozległe pola huknął głos innego strażnika pańskiego mienia, głos ekonoma:

— „Baaartek, łajdaku jeeeden!.. A będziesz mi ty tam postawał przy pługu“!..

I tak w tém wielkiem zbożu, krwawym dorobku naszéj pracy na kawałek chleba, dolatują cię przerozmaite głosy ze świata ludzi i zwierząt.

Niekiedy z oddalenia, od błonia dolatuje cię głos:

— Muuu!.. Muuu!.. Muuu!..“

To krowa, nie wiadomo czemu, rozryczała się tak żałośnie i w przestrzeń ona także ryk swój posyła. A innym razem konie przy pługu rżeniem odpowiadają koniom na pastwisku. Brat brata wita, lub brata prześladuje... O przyrodo, jak cię ma zrozumiéć człowiek, skoro tylu językami do niego przemawiasz!

Od wsi pies chłopski bieży przez zagony, przystawa, patrzy, nasłuchuje, skowronki i motyle płoszy; w łąkach spostrzegł zdala bociana i pędzi ku niemu ze szczekaniem; bocian zerwał się na skrzydła i z żabą w dziobie uchodzi na dzwonnicę do gniazda, a czubate czajki z hałasem strasznym na psa wpadają, kozły wywracają w powietrzu i wrzeszczą: „Kuik-kuik!..“

Chłopskie dzieci na to wszystko patrzą, w przyrodę się wsłuchują, od niéj się uczą mądrości.

— Głupie to takie dzieciska, lada czemu się dziwią,—mówili starzy gospodarze i stare gospodynie, dla których już żadnéj nowości nie było na świecie.

A organista Mikołaj zawsze po staremu przychodził na plebanią rano po klucze od kościola i nieraz miał wielką chętkę do rozmowy; ale nigdy nie udało mu się złowić proboszcza na pogawędkę przed nabożeństwem. Więc dopiéro po mszy świętéj, gdy już kościół zamknął, znowu przychodził na plebanią, ażeby klucze zawiesić na zwykłém miejscu i do gawędy z proboszczem się skradał.

Ksiądz Wincenty sam sobie warzył kawę, a właściwie mówiąc, specyał przyrządzony z marchwi palonéj, kukurydzy i kilku zaledwie ziarnek kawy. Organista, jak mógł, dopomagał mu w tém zajęciu.

Stary pies Zagraj, jak tylko poczuł zapach dekoktu, wyłazil niespodziewanie z pod staréj kanapy, obitéj czarnym pokrowcem z włosienia, przeciągał się jako doskonale wyspane zwierzę i niebawem rozpoczynał umizgi o śniadnie. Mikołaj zaczynał od pogłaskania psa po karku, potém go klepał po bokach aż w Zagraju zadudniło, nareszcie przebąkiwał o potrzebie dészczu lub o niepewnéj pogodzie. Od tego przechodził organista do dowodzenia konieczności reparacyi dachu na kościele i pozłocenia dwóch apostołów, stojących przy wielkim ołtarzu.

— Straszne rzeczy — mówił jednego razu—żeby w domu bożym za każdym dészczem trzeba było podstawiać cebrzyki... Toć tam w tylu miejscach już kapie, że na całéj plebanii naczyń nie wystarcza do podstawiania... Jak kiedyś była ta ulewa, tom w karczmie balii musiał jeszcze dopożyczyć... A święci pańscy litościwie patrzą, żeby ich przyodziać, takie to wszystko poobdzierane.

Mówiąc to, Mikołaj od czasu do czasu chrząkał i o podłogę stuknął drewnianą nogą, a potém znowu daléj wyrzekał na opuszczenie kościoła.

— Siadajże, młokosie,—rzekł proboszcz;—przejdę, dziś oto po wsi, to tam który z gospodarzy dach jeszcze połata tymczasem... Cóż ja zrobię? Ludziska biédni, Pan Bóg wié o tém; niech się trochę zabiorą, a i dach z gontów zaraz stanie na kościele...

Organista odchrząknął, postawił sobie stołek w pobliżu drzwi i zasiadł; rozpogadzała mu się fizyognomia; widocznén było, że zaproszenie do siedzenia mocno go zobowiązało. Przechodził teraz do nowego tematu rozmowy.

— Proszę jegomości, czy téż kiedy będzie jeszcze co na świecie? Co téż gazeta mówi?..

— Jak to nie ma być?.. Już się przecie zaczęło!.. — huknął ksiądz Wincenty nad uchem głuchego organisty.

— Już?.. No widzicie państwo!.. Ja też sobie myślałem, że to wszystko długo nie wytrzyma... A kto téż kogo bije?..

— O, tam teraz gorąco we Włoszech, Francuz przysiadł Austryaka...

— A niechże mu też Pan Jezus da zdrowie!.. Te francuziki— zawsze chwaty, to cięte bestyjniki... Oni do ruchawki jedyni; jak tylko przyjdzie co do czego, już ich masz! A proszę łaski jegomości, czy oni się też kiedy wezmą do tego Prusa, bo to, psianoga, gorszy jeszcze od Austryaka?..

— Nie wzięliby się? Niech się tylko raz zakurzy, to poleci!.

— Juści będzie leciało, rozumiem; żeby tyla człowiek dożył.

— To już w rękach Boga...

— Pewnikiem przeciw szwabom sam cesarz francuski dowodzi? Napòlion, co?..

— A jakże, krewny tamtego.

— Widziałem go na kopersztychu, jeszcze mu z oczu lepiéj od tamtego patrzy. Co za mina, panie święty — wąs... Już krew u nich widać taka gorąca... A my tu tak siedzimy i o niczém się nie wié...

W tém ktoś zapukał do drzwi, ksiądz otworzył i weszła Śmiguska; miała oczy jakieś wystraszone i spoglądała niespokojnie.

— A to co, moja panno?—spytał proboszcz, patrząc na przerażoną kobiétę. Stało się co?.. Mówże!

Tu Śmiguska zaczęła opowiadać, że dziad Tomek zaniemógł, że, siedząc w kruchcie podczas mszy, uczuł w sobie brak sił i prosił jéj, żeby go wyprowadziła z kościoła, a przez drogę ciągle mówił, jako już ostatnia godzina dla niego nadeszła.

— Zrobił się taki cichuśki kieby baranek, prosił jeno, żebym jegomości rozpowiedziała, co już jego koniec...

Proboszcz natychmiast się zebrał i poszedł.

W jednym rogu staréj plebanii, która powierzchownie prawie niczém się nie różniła od chłopskiéj chaty, była dobudowana przystawka, ogacona w koło żérdziami i suchém liściem; znajdowały się tam dwie komórki: siedziby organisty i dziada.

Kiedy ksiądz Wincenty wszedł tutaj, zastał Tomka siedzącego na tapczanie i trzymającego w rękach różaniec. Starzec miał wyraz twarzy spokojny; ani cień bólu, ani nadziei, ani żadnego uczucia nie odbijał się w jego rysach. Była to powaga mogiły. Człowiek czasem tak powoli schnie, więdnieje, próchném się staje i najspokojniéj kona.

Proboszcz usiadł obok Tomka, a ten wyciągnął rękę, dotknął sukni księdza i rzekł głosem cichym.

— Nażyłem się już, mój ojcze... Wypraw duszę moją z Bogiem...

— No, no, wiarusie! Gadanie...

A Tomek zwrócił oczy swoje bielmem zaszłe w stronę księdza, chwycił go za rękę i urywanym głosem powiedział:

— Po-bło-go-sław!

To spojrzenie i te dźwięki sprawiły, że organista ze Smiguską uklękli w izbie pod drzwiami, a szept ich modlitwy za konających dziwnie brzmiał w ciszy.

Ksiądz pochylił głowę i dwaj biali starcy poczęli ze sobą coś rozmawiać cicho, poważnie; zdało się, że to nie jest żaden religijny obrzęd, ale szczéra potrzeba ludzka, tém szczersza, skoro ostatnia. Życie potrzebuje ulgi, aby się wyzwoliło lekko ze wszystkiemi swemi boleściami... Żyjcie na świecie piękne dusze, bo bez was ani żyć, ani umrzéć łatwo nie można.

To była spowiedź, skończyła się, a sędziwy kapłan miał łzy w oczach i do siebie tulił ślepego dziada. Tomek chciał się wyprostować, lecz głowa mu się trzęsła i spadała na piersi jakby zbyteczny ciężar; jednę drżącą rękę podniósł nieco i, jak żołnierz dający komendę, rzekł:

— Maaaarsz!...

Był to głos, podobny może do ostatnich dźwięków rozbitego dzwonu, gdy lecą w dalekie pola i coraz, coraz słabiéj drgają dla ucha, stają się głosem podobnym do szmeru liści, szumem skrzydeł przelatującego ptaszka.

I słychać było jeszcze w izbie, jak się żyjący bili w piersi:— „Boże, bądź miłościw“. Dziad konał bez walki, zupełnie przygotowany do przyjęcia śmierci, jako rzeczy przepisanéj przez nieodwołalne prawo. On już i oczu nie potrzebował zamykać.

— Nie wiécie wy, dla kogo to dzwony tak żałośnie huczą, jakby płakały, aż się w sercu coś dziwnego robi?—pytała we wsi jedna gospodyni drugiéj.

— A mój powiadał, że dziad Tomek pomarł, dawniejszy dzwonnik przy kościele.

— O, mocny Boże, niedarmo mróz po człowieku szyje!.. Starowina osobliwe różności pono w życiu przechodził.

— Wojakiem bywał na dalekim świecie—het, het... Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj świeci duszy jego.

IV.

Śmierć jednego człowieka, choć może zadać cios sercu drugiego, goi się atoli boleść jak rana i żyjący spokojnie idą w dalszym ciągu za głosem swoich potrzeb oraz nałogów życiowych. Tak było

i w Jurkowie po śmierci Tomka. Zajęcia przy kościele szły swoim trybem; tylko ksiądz proboszcz wkrótce jakoś potém zauważył, że do organisty Mikołaja potrzebuje mówić coraz głośniéj, a przychodzi mu to coraz trudniéj.

— Coś słabnę — mawiał sobie ksiądz Wincenty — kto wie, czy teraz nie ja z brzegu.

Mikołaj bo osowiał, ociężał, a stuk od jego kuli, zastępującéj mu nogę, był coraz cięższy. Kiedy przychodził rano po klucze od kościoła na plebanią, zdaleka już teraz słychać było jakby tętent kopyt końskich. Śmiguska nadała się najzupełniéj i nietylko bardzo starannie spełniała swoje własne obowiązki, lecz także w wielu razach wyręczała Mikołaja. Dawała się nawet słyszéć, żeby potrafiła za niego usiąść i grać na organach; bo „skoro taki głuch zagrać może, to cóż dopiéro człowiek słyszący.“

Jeżeli się odprawiała msza cicha, wtedy służył do niéj organista; w przeciwnym razie musiano sprowadzać syna kołodzieja, jedynego w Jurkowie chłopca, który umiał ministranturę. Otóż, Śmiguska utrzymywała, że onaby i do mszy potrafiła posłużyć, gdyby jéj tylko pozwolono.

W święta obchodziła z tacką po kościele, zapalała i gasiła świéce, zamiatała kościół, ściérała ze sprzętów kurze,—słowem, dużo rzeczy było na jéj głowie, a ona to wszystko wykonywała bardzo dokładnie.

Było to w samych początkach sierpnia, jednego z tych dni, które już od świtu zapowiadają pogodę; lazurowa barwa nieba jaśniała w całéj okazałości, a na niéj lśniło, jakby wykrojone, złote słońce. Śmiguska oczekiwała tylko na Mikołaja, dopóki od proboszcza nie wyjdzie z kluczami, a kiedy go ujrzała, że nareszcie już wychodzi, szła z nim pospołu, trzymając się pary. Organista walił w ziemię drewnianą nogą, brząkał pękiem kluczów i tak, oboje milcząc, przybyli pod kościół, otoczony wspaniałemi lipami. Naraz z dzwonnicy dał się słyszéć krzyk jakiś, na który babina zwróciła uwagę organisty, mówiąc:

— Święty Panie; a to widzę kociska gżą się po świętém miejscu!.. Słyszcie wy, panie Mikołaju?..

Organista się zatrzymał i niby to słuchał, lecz ponieważ nic nie usłyszał, przeto machnął tylko lekceważąco ręką i powlókł się, aby otworzyć drzwi świątyni. Śmiguska tymczasem wpadła do dzwonnicy i, o dziwo, zobaczyła tutaj maleńkie, nowonarodzone dziécię, które, zawinięte w białe szmaty, leżało w kobiałce, jakiéj się na wsi używa na kartofle podczas ich kopania. Dziecina wy-

grzebała sobie drobniutkie rączyny, tarła niemi twarz, nosek i mrużąc oczętami, pokrzykiwała.

— Czy zaś cud jaki, czy co? — pytała Śmiguska sama siebie. Królowo niebieska, a skądże się też tu wziął taki aniołek? Jacy bociany go przynieść musiały ze świata..

I czémprędzéj wzięła dziecinę na ręce, wyniosła ją na słońce, poczęła tulić, uspokajać. Malec usnął a babina bardzo się z tego cieszyła, chodziła wkoło kościołka, kołysała dziécię na rękach, nucąc mu nieustannie pod nosem: „Chyś, chyś! Luli, luli!“

W takiéj téż postawie spotkał ją ksiądz Wincenty; na ten widok zdaleka się już zatrzymał, wołając:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A skądżeś ty to znowu wzięła?

— Juści, proszę jegomości, pewnikiem z nieba taka opatrzność przy kościele!.. Musi święte jakie tak sprawiło, żebym onę dzieckowinę na wychowek wzięła...

— Jak to, znalazłaś dziecię pod kościołem?—pytał proboszcz ze zdziwieniem.

— Nie tak pod kościołem, jak w hań-téj dzwonnicy; leżało sobie niebożątko w opałczynie i powrzaskiwało nikiéj kocię...

— Tajemne są drogi Pana a niezgłębione Jego miłosierdzie!.. Niechże tam już i tak będzie... Będziemy musieli tę sierotkę ochrzcić, no i wychować.

— A jakie, on sobie téż imię przyniósł, mój jegomościńku? Spytała Śmiguska.

— Według dnia dzisiejszego, mamy czwartego sierpnia świętego Dominika, jeżeli to chłopak...

— Juści chłopak, chłopak!.. Umiałaby się to dziewucha drzéć tak na całą gębę?..—A potém dodała:—Mojeś ty milusieńkie, mój Dumin...

Jakoż tego samego dnia jeszcze ochrzczono znalezionego malca, a jego rodzicami chrzestnymi byli: Mikołaj i Śmiguska.

Chodziło teraz o to, jak wyżywić dziecinę, któréj życie widocznie na dni się dopiero liczyło. Śmiguska z malcem na rękach puściła się po wsi, żebrząc pokarmu z piersi kobiét, które miały maleńkie dzieci; skamlała, zaklinała, przedstawiała, że sam Pan Jezus sobie życzy, aby miéć litość nad dzieckiem, znalezioném przy kościele. Trudno to matce ogładzać własne dziecko, żywiąc cudze, więc sprawa była bardzo trudna do przeprowadzenia. Nareszcie po długich korowodach stanęło na tém, że trzy matki podjęły się zmieniać kolejno co tydzień, przypuszczając Domina do porcyi swoich niemowląt. W taki sposób chował się malec i wychował tłusty,

pulchny jak klusek. Po kilku miesiącach tego łaskawego chleba na koszt najmłodszéj generacyi Jurkowskiéj gromady, Śmiguska zabrała dzieciaka do siebie, sprawiła mu dwa garnuszki i z macierzyńską gorliwością zakładała dalsze fundamenta wychowania.

V.

Z górą trzy lata minęło od znalezienia Domina w dzwonnicy, kiedy w Jurkowie miał miejsce fakt, który zupełnie przeobraził dotychczasowy tryb życia przy kościele. Zjechał tu był i osiadł jako wikary młody duchowny, ksiądz Jan Górka. Podobno konsystorz Kielecki, mając na względzie podeszły wiek i słabe siły księdza Wincentego, dodał mu do pomocy tego wikaryusza. Z nadzwyczajną ciekawością wszyscy się przyglądali księdzu, zupełnie niepodobnemu do starego proboszcza; Mikołaj pocierał to czoło, to uszy wobec nowych rozporządzeń, a Śmiguska ogromnie się bała nowego kapłana. Był ksiądz Jan wysoki, szczupły, z orlim nosem, z zapadłemi czarnemi oczyma, nadzwyczajnie poważny, a tak obeznany z zasadami św. Teologii, że stary Jurkowski proboszcz wyglądał przy nim jak nic nie umiejący prostak. Przedewszystkiém zgorszenie wikaryusza było nadzwyczajne na widok zupełnie opuszczonéj świątyni; za najpierwsze téż zadanie uważał on sobie ulepszyć, o ileby się dało, stan domu bożego: dać nowy dach, wprawić okna, wypędzić wróble, myszy i sowy. Niższa obsługa kościelna, złożona z Mikołaja i Śmiguski, nie podobała się księdzu wikaremu, ponieważ jego kapłańska energia nie znajdowała żadnego poparcia w téj parze staruszków. Należało—zdaniem jego—usunąć niedołęgów, ludzi do niczego. Ale stanowczo oparł się temu ksiądz Wincenty, mówiąc wyraźnie, że „dopóki tylko będzie żył, dopóty stary organista i stara dzwonniczka pozostaną przy kościele.“ Wynikły z tego małe kwasy, które jednak trwały bardzo krótko, bo gdzież taki gołąbek dobroci jak proboszcz mógłby się gniewać. Za to nie miał on nic przeciw odnowieniu kościoła i zbieraniu na ten cel funduszów.

W pół roku po przybyciu do Jurkowa księdza Jana kościół zmienił się do niepoznania. Jesteśmy oto właśnie w chwili wprowadzania nowych zmian przed odpustem, przypadającym w końcu kwietnia; rwetes ogromny panował przy kościele.

Ten Jurkowski kościół był pełen dziennych i nocnych stworzeń, a owe żyjące w świątyni istoty jakoś szczególnie się odróżniały w oczach ludzkich od istot własnego gatunku, żyjących na świecie.

Tak nieraz latem podczas mszy świętéj wpadała tutaj przez wybite okno jaskółka; sama sobie widać się dziwiła, czy się może wylękła, bo zataczała po kościele kilka kręgów, krzyknęła trwożliwie: „Witek, witek“ i wylatywała przez przeciwległe także wybite okno. To się powtarzało; jaskółka czasami siadała na gzémsie, na wiérzchu ołtarza, często i na organach, a nie okazując żadnéj bojaźni, rozglądała się po kościele. Zdaniem Śmiguski, mogła to nie być zwyczajna, rzeczywista jaskółka—ptak i nic więcéj. Kto wie, czy taka jaskółka, zuchwale wpadająca do kościoła, nie była czarownicą, jedną z tych, które na błoniu nad Nidą przelatują tuż pod wymieniem krowy, skutkiem czego przy dojeniu gospodynie otrzymują czerwone mleko? W każdym razie, jaskółka była podejrzanym ptakiem.

Ale, oprócz jaskółki wpadającéj do kościoła, jak nam się zdaje—przypadkiem, było tu więcéj jeszcze mieszkańców z państwa zwierzęcego, a niektórzy stale przebywali. Do nich należały wróble, ptaki świegotliwe, z niczego sobie nic nie robiące, śmiałe do ludzi, małe a szkodne.

— Taki wróbel, to na nic uważa—mówiono w Jurkowie.—Cały dzień tylko świérka: „Cirk, cirk, cirk“. Spędzisz go z konopi, już go masz za dwa pacierze. Postawisz stracha i myślisz, że się boi... Gdzie tam! Taki się niczego nie boi.

Otóż, wróble to dobrały się do kościoła i mnożyć się tu poczęły pod opieką boską; pozakładały gniazda, wabiły się, piszczały, świegotały, wtórując niejako ludzkim nabożnym pieśniom, albo i muzyce organów. Z powodu tych ptaków kościół wyglądał jak wielka klatka. Ani uroczysty spokój w dni zwyczajne, ani natłok ludzi w święta, ani bicie we dzwony—nic a nic nie wpływało na owe wróble. Oddane one były zupełnie rozkoszom uczuć rodzicielskich i małżeńskich. Po głowach świętych i aniołów skakały tak samo jak po drzewach.

Śmiguska co do wróbli miała także swoją teoryą, „bo gdyby to były wróble zwyczajne, toby się gnieździły w stodole lub wierzbowych dziuplach—nie w kościele“. Nie nazywała ona ich czarownikami, jak jaskółkę, ale twierdziła, że to są „dyabliki“.

Daleko jeszcze śmielszemi od jaskółek i od wróbli były kościelne myszy, czworonogi swawolne i zuchwałe jednocześnie, bezczelne do tego stopnia, że nieraz w oczach Śmiguski i Mikołaja goniły się około wielkiego ołtarza z zadartymi ogonkami.

— Myszy!.. — mawiał wtedy Mikołaj, pokazując babie palcem podskakujące zwierzęta.

— Jakie one tam myszy! — odpowiadała Śmiguska. — Giziłyby się tak w bożym domu...

Mikołaj na jednéj nodze nie mógł ścigać myszy, a baba nie chciała, więc się zwierzęta ogromnie spoufaliły. Psotnikom nikt nie przeszkadzał. Myszy owe wszędzie się wścibiły; były one w zakrystyi, gdzie się dobierały do brewiarzy i ogryzały u nich grzbiety, biegały po konfesyonałach i między ławkami, a jedna nieustannie skrobała się w ambonie. Bywało nieraz w kościele, gdzieś tam za wielkim ołtarzem dawało się słyszéć ogromne chrobotanie, aż Śmigusce ciarki po ciele przechodziły; wtedy ona znowu palcem ukazywała Mikołajowi na ołtarz, ale organista wytrzészczał tylko oczy, bo nic nie słyszał, machał ręką koło ucha i robił swoje.

— Koniecznie coś takiego pokutuje w tym kościele... — mruczała baba.

Innym znowu razem także za wielkim ołtarzem słychać bywało: „szur, szur, szur, szur“, szmer zupełnie podobny do tego, jaki ma miejsce, kiedy się zasłonę u okna pociąga w górę na bloczki; widocznie „coś takiego“ wspinało się od dołu do góry i kto nie był głuchy, ten słyszał, że szybko lazło. Po niejakim czasie ni ztąd ni zowąd ukazywała się w górze na lichtarzu ołtarza myszka: siedziała zwykle w łuk zgięta, ogryzając coś w dwóch łapkach, a czarnemi oczkami zdała się ciekawie po kościele spoglądać.

— Byłaż to mysz? — Wielkie pytanie, które niepokoiło umysł Śmiguski.

Ona nie ośmieliłaby się stanowczo rozstrzygnąć tego pytania.

Czasem znalazł się w kościele i motyl, muchy także przychodziły tutaj w lecie z ludźmi; jednakże stworzenia te nie budziły jakoś żadnéj podejrzliwości.

Co się tyczy Mikołaja, to umysł jego, obniżony w swéj inteligencyi przez wiek i brak słuchu, był dosyć obojętnym na powyższe zjawiska i nie pozwalał sobie duchowéj przyjemności wyprowadzania stąd wniosków.

Jaskółki, wróble, myszy stanowiły zupełnie bezpośredni interes dla dzieci, które z rodzicami przybywały do kościoła i tutaj, równie jak na świecie, czerpały piérwsze pojęcia z zoologii. Kobiéty rwały się do upatrywania przyczynowego związku między pobytem zwierząt w kościele a życiem pazagrobowém ludzkiém. Mężczyźni po największéj części byli obojętni, co najwyżéj, gorszyło ich to, że marne takie zwierzęta napełniają świątynię, w któréj Jurkowscy parafianie zaspakajają najwyższe potrzeby ducha.

Kiedy znowu noc nastawała, wtedy zapewne myszy dokazywały w kościele jeszcze daleko więcéj, aniżeli we dnie; ale uwagę

Śmiguski od samego zmierzchu pochłaniała głównie sowa, która zasiadała na samym szczycie kościoła i ciągle kogoś ze wsi „na tamten świat wzywała.“

— Pó-ódź, pó-ódź! — słychać było nieraz daleko we wsi.

— Słyszycie, już się znowu drze!—mówiły baby. — A bodajżeś psianogo pypcia na języku dostała!...

— Nie bez tego, żeby kogo ze wsi nie wyciągnęła—powiadała ta i owa.

Dużo było w Jurkowie takich ludzi obojéj płci, co to żadne z nich nie poszłoby w nocy pod kościół, bo tam — mawiano — „coś jakby człowieka zdziérało.“ Nietylko że sowa wrzeszczała, ale dokoła latało jeszcze mnóstwo nietoperzy, przytém „buczały“ jakieś osobliwe chrząszcze, chrobotało się coś po dzwonnicy, kościół téż jakoś tajemniczo wyglądał w nocy; człowiek lękał się tu odgłosu własnych kroków. Jedna z bab upewniała nawet, że czasami wkoło kościoła „obchodzi coś ze światłem.“

— Musi dusza jaka pokutuje...— rozstrzygała Śmiguska z wielką stanowczością.

Szczególna rzecz, iż ksiądz Wincenty, jako kapłan zachowywał się bardzo biernie względem nadużyć tych wszystkich stworzeń w świątyni; jego więcéj obchodziła choroba na dzieci, zaraza na bydło, niedostatek po chatach, aniżeli ubóstwo i nieład w parafialnym kościele. Taki staruszek, to tam może i nie wiedział o różnych wynalazkach, dokonanych przez postępowych teologów, więc— nie dziw—zaniedbywał rzeczy główne.

Raz właśnie w obecności nowego wikarego pojawiła się na plebanii stara komornica Nastka, któréj zdechła krowa, jedyne bogactwo; baba zanosiła się od żałości, wołając, jakby z pretensyą do księdza:

— O mój ojcze, że mię téż Pan Jezus nawiédził tak ciężko i ostatnie bydlę zabrał...

— Co ty mówisz, Nastka?—zawołał proboszcz.—Pan Bóg nikomu nic nie zabiera!.. Masz tymczasem pięć złotych i nie wyrzekaj...

Ksiądz wikary wzruszył ramionami, ponieważ w jego przekonaniu Pan Bóg zupełnie był mocen zabrać komornicy ostatnią krowę, jedyną żywicielkę téj kobiéty i jéj trojga dzieci. Zdaniem księdza Jana, proboszcz gasił u ludu wiarę.

Ale powróćmy do kościoła.

Jaskółki, wróble, myszy i sowy obudziły w księdzu wikarym ideę prześladowania. Była to właśnie chwila przed odpustem, kiedy myszy zniszczyły grzbiety u dwóch brewiarzy, nadgryzły okładek, a gotowe były zabrać się do zjedzenia zawartości tych ksiąg święt-

tych. Zgorszony ksiądz Jan wydał najprzód rozporządzenie wytępienia myszy i wróbli; było to coś w rodzaju rzezi Albingensów. Śmiguska łaziła po wysokich drabinach, wyrzucała gniazda ptasie z jajami i bez jaj, wróble wyprawiały piski, a Mikołaj chodził po kościele z cieślą, pokazywał mu mysie dziury i obaj zabijali je klinami. Ksiądz wikary osobiście prowadził nadzór, zagrzewając do gorliwości. Wróble w ogromnym popłochu zmykały na wszystkie strony, niektóre zasiadły pod samym sufitem i z przerażeniem spoglądały na zniszczenie. Jednocześnie szklarz, izraelita z Działoszyc, wprawiał w okna brakujące szyby, a na dachu siedziało kilku chłopów i odrywając starą strzechę, pobijało świątynię nowymi gontami.

Bacznemu oku księdza Jana nic nie uszło; pod płaszczem drewnianego świętego spostrzegł on dziurę i póty badał, przyglądał się uważnie, aż wewnątrz odkrył mysz. Pewny teraz swego, począł świętego opukiwać i mysz wyskoczyła; zapalczywie rzucono się za nią w pogoń: uszła do zakrystyi, z zakrystyi wypadła znowu do kościoła, pobiegła między ławki; ale wszędzie już dziury w podłodze pozabijano i przeto mysz musiała zginąć. Wikary był przekonany, że to jest ostatnia z myszy w świątyni. Dnia tego kilku zabójstw dokonano w kościele.

Oprócz tego wszystkiego, Śmiguska i Mikołaj wymyli od stóp do głowy aniołów i apostołów; dwie baby zajmowały się praniem alb, komży i t. d., a mały Domin pilnował ornatów oraz kap, które porozwieszano na parkanie dla przewietrzenia.

VI.

Nareszcie nadszedł dzień odpustu w Jurkowie.

Z pobliskich parafii licznie, jak nigdy przedtém, zjechali księża, poprzywozili ze sobą organistów; naszło się téż mnóstwo dziadów z okolicy. Każdy podziwiał Jurkowski kościół, odświéżony w tak krótkim czasie, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiéj. Naturalnie, księdzu wikaremu w oczy i za oczy nie szczędzono pochwał. On był skromny, spuszczał oczy, twierdząc, że niewiele zrobił i że do zrobienia jest jeszcze bardzo dużo.

Program nabożeństwa odpustowego był téż niezwykły, a mogący zadowolnić człowieka najbardziéj nawet wybrédnego w nabożeństwie. Ksiądz Jan przygotował przed odpustem prywatnie chóry śpiewaczek; pojawiły się głośno odmawiane przez wiernych modlitwy, o istnieniu których niekażdy ksiądz nawet wiedział. Jedném słowem, w Jurkowie było ogromnie dużo ostentacyi ku chwale boskiéj.

Na odpuście panował ścisk wielki i, jak zwykle w takich razach, choć dużo okazałości, mało pobożności. W czci boskiéj każdy chciał miéć jakiś udział wobec narodu; krzątali się około obsługi ołtarzy nietylko organiści i różni reputowani dziadowie, ale także chłopi, gospodarze z Jurkowa. Tego dnia Śmiguska pracowała ogromnie; miała na sobie płaszcz galowy szary, z pelerynką i z czerwonym krzyżem na piersiach, przez co się wyraźnie manifestowała jako kościelna dostojniczka. Jako taka, od samego rana zwracała na siebie uwagę ludzką: dowodziła parobkami, którzy się pożądliwie rwali do dzwonów, to znowu chodziła z długą tyką i zapalała świéce na ołtarzach, wstępowała do zakrystyi, przebiegała wzdłuż cały kościół aż do kruchty, gdzie postawała, wdając się w różne rozmowy z ludźmi; niejedna jéj czynność zdawała się być bez celu— tak sobie. Niemniéj zwracało to uwagę ludzi na osobistość wpływową i nader zajętą. Ten i ów kręcił głową, myśląc:

— Że téż to Pan Jezus jednéj marnéj kobiécinie dał taki rozum na wszystko.

Tymczasem mały Domin siedział sobie w kruchcie pomiędzy dziadami; czasem wybiegał przed kościół, przypatrywał się szkaplerzom, gwizdkom, kozikom i kukiałkom, sprzedawanym po kramach i znowu powracał do kruchty. On był dziadowskiém dzieckiem przecież i nie wyobrażał sobie nawet, ażeby w jakiéjś innéj sferze mogło człowiekowi być lepiéj na świecie. Nieraz Śmiguska, przybywszy do kruchty, spostrzegła, że chłopak ma zanadto odgiętą koszulinę, to go usadziła w kącie jak należy, mówiąc:

— Będziesz ty gołém ciałem świtał przed świętymi Pańskimi?.. zbereźniku jakiś.

Domin siedział wtedy na ziemi po turecku, starając się obie nogi ukryć jak najbardziéj pod sobą.

Jeżeli zaś Śmiguska nie zastała Domina w kruchcie, wybiegała przed kościół, chwytała go za rękę i wprowadzała znowu z taką nauką:

— O każdéj rzeczy człowiek pamiętać musi, a ty raku będziesz mi się tu jeszcze zapodziéwał... A do paciérza!..

Do nauki czasem jeszcze dodawała szturchańca, zapewne dla lepszego utrwalenia mu jéj w pamięci.

Istotnie, ksiądz wikary tak wymusztrował Śmiguskę, że kobiéta musiała o wielu rzeczach pamiętać; musiała ona wiedziéć, kiedy przypadało kazanie, bo podczas kazania chodziła z torebką i dzwonkiem, kwestując na kościół; musiała również pamiętać o procesyi, o kropieniu ludzi przez księdza święconą wodą, o okadzaniu

ołtarza trybularzem; musiała wiedziéć, kiedy należy dzwonić w sygnaturkę i kiedy chłopi z gromnicami mają iść przed wielki ołtarz.

— U nas teraz w Jurkowie nowa moda — mówiła do dziadów, przechodząc przez kruchtę — na wszystko trzeba miéć głowę.

A dziady kiwały głową, odpowiadając:

— To téż nie żal przyjść do Jurkowa, narodu nasypało jak mrowia i dziad się tu dobrze pożywi...

Na odpuście podczas sumy ksiądz Wincenty spowiadał ludzi w konfesyonale należycie odmytym; tłumy wiernych garnęły się do niego, bo powszechnie utrzymywano, że Jurkowski proboszcz „jedyna dusza do spowiedzi“, że „tak jakoś roztrząśnie człowiekowi caluśkie sumienie, co się potém niejednemu chce zapłakać nad sobą samym.“

Staruszek nie gdérał, nie łajał, nie groził, prawił o dobroci Boga, o szpetności złych czynów, a kiedy się człowiek skruszył, to on go już rozgrzészał. Teraz oto usiadł, a chłopi spoglądają na niego z szacunkiem i szepcą między sobą:

— Niejednemu się zachce iść na spedaczkę, kiej nasz jegumość *słucha...*

Ksiądz Wincenty słuchał wyznania ludzkich grzechów, taki starzec musiał znać duszę człowieka wybornie i zapewne dlatego był pobłażliwy.

Ale cóż się to stało?.. Proboszcz zemdlał w konfesyonale, zwiesił głowę, opadły mu ręce i siedzi oto jak skamieniały. Zmęczony staruszek może i zasnął w tym ścisku, w gorącu?

W kościele zrobił się zamęt; chłopi niespokojnie spoglądają to ku księdzu, to jeden na drugiego, nikt się jakoś nie śmié przybliżyć do tego tronu, gdzie przed chwilą był sąd na ludzkie grzechy. Ksiądz Wincenty z zamkniętemi oczyma, blady, wyglądał jak posąg... Nareszcie Śmiguska przeciska się między ludźmi, wchodzi wśród gospodarzy poważnych, pokazuje im, co się dzieje, wzywa, ażeby nieśli ratunek dobrodziejowi. Rzuciło się kilku chłopów, dopadli, otwarli konfesyonał, a jegomość nieruchomy, spokojny zabrać im się pozwala...

Właśnie od ołtarza celebrujący ksiądz się odwrócił i zaśpiewał przeciągle:

— *Ite, missa est...*

Wynieśli proboszcza ludzie do zakrystyi, zléwają go święconą wodą, rzeźwią, ale jemu nic już nie pomaga.

Na wszystkie strony słychać:

— Jezus, Marya, Józefie święty — co się stało?

Stało się!.. Ksiądz Wincenty umarł w konfesyonale. Wysłuchał spowiedzi chłopa, powiedział mu naukę i właśnie miał dać rozgrzészenie, kiedy życia już na tę czynność zabrakło.

Ludzie ludzi zapytywali o przyczynę: „Z jakiego powodu umarł?“ Niektórzy podawali taką przyczynę nagłéj śmierci owéj:

— Spowiadał oto wielkiego zatwardziałego grzesznika, o którym wszyscy mówią, że zabił rodzonego brata... Ten chłop od dziesięciu lat chodził po świecie i wszędzie w różnych kościołach wyznawał swą straszną winę, a żaden ksiądz go nie rozgrzeszył... Przyszedł dziś do Jurkowa i już, już miał dostać rozgrzeszenie, lecz Pan Bóg na to nie pozwolił, bo więcéj niż sto lat pokuty wypada na takiego, kto braci zabija...

Tak mówili chłopi Jurkowscy.

Suma się skończyła i chór ludu zagrzmiał pieśnią: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie! Od nagłéj a niespodziéwanéj śmierci zachowaj nas Panie!...“

I każdemu po żyłach przebiegł dreszcz straszny, bo oto Pan Bóg nie zachował księdza Wincentego od takiéj nagłéj a niespodziéwanéj śmierci.

VII.

Już wiosna w całéj pełni rozbudziła życie na ziemi, kiedy przy Jurkowskim kościele zmienił się najzupełniéj tryb życia. Taki głuchy, kulawy, stary, niedołężny Mikołaj ostać się tu nie mógł jako organista; wprawdzie nikt go nie wypędzał, ale ksiądz Jan przyjął innego młodego do służby przy organach. Zaczęto pomiatać starym wojakiem, on tego przenieść nie mógł, mówił, że go już nic w Jurkowie nie wiąże, że darmo jeść chleba nie chce, więc się zabrał i w świat gdzieś poszedł ku Busku, ku Stopnicy.

Różę Śmiguskę tak bardzo znowu ograniczono w służbie, tak jéj poodejmowano wszystkie z kolei atrybucye, że się jéj teraz do niczego nie było wolno wtrącać; zabrała się przeto z Dominem, opuściła swoje stanowisko przy kościele, poszła na wieś, gdzie za „kąt“ i za „jadło“ zgodziła się pasać gromadzkie bydło.

Pamiętam ją jeszcze jako taką pasterkę. Widzę ją pod wierzbą, a Domin siedzi przy jéj stopach i coś sobie pośpiéwuje; ale śpiéwanie widać mu się sprzykrzyło, bo z kaprysem dziecka pieszczonego tak się napierał:

— Matusiu, opowiédzcie jaką bajkę.

— Dyć nie mam już co opowiadać, rozpowiedziałam wszystko com wiedziała — odrzekła baba.

— Jeszcze z jednę jaką musicie umiéć, tylko sobie dobrze wspomnijcie.

— Et, tobie tylko bajki w głowie, a tu ludziom biéda na świecie...

— Biéda? A to mi, matusiu, opowiédzcie o téj ludzkiéj biédzie.

— A czym ja ci to o biédzie nie opowiadała?

— Nie opowiadaliście ani jeden raziczek.

— Nie pamiętasz jacy, wiatr we łbie mający, musiałam opowiadać.

— Jako żywo, nie opowiadaliście nigdy, przenigdy! Opowiadaliście a to o dwunastu zbójach,—o dwóch bratach mądrych i trzecim głupim,—o czarowniku, co ludzi na zwierzęta zmieniał,—o Panu Jezusie, jak chodził po ziemi, — o pająku, co się Matce boskiéj sprzeciwiał.

— No, moi ludzie, to ten rak wszystko, widzę, pamięta...

Pod wierzbę poczęły się schodzić dzieci z całego błonia, zewsząd wołano:

— Śmiguska bajki opowiadają!

A baba tak zaczęła prawić:

— Było raz na świecie dwóch bratów—młodszy biédny, a starszy bogaty. I przyjechał ten biédny odwiédzić bogatego, a tam była uczta taka...

— Co oni tam, matusiu, jedli?

— Różności jedli, mój synu: mięso warzone i pieczone, rybę, a popijali to sobie nikiéj u ślachty. Ale temu biédnemu bratu, co to przyjechał, dali tyla kość do ogryzania.

— No, moiściewy, to ten bogaty brat nie był dobry człowiek.

— Bogać miał być dobry, kiej nie miał żadnéj litości dla swego! Choć ich obu urodziła jedna matka, to bogaty miał na sobie piękną kierezyą i obuty był jak się patrzy; siedział w białym dworze, miał siła służby i bydła, a robił mało. Biédny brat chodził w zgrzebnym przyodziewku i bez butów, a sam jeden musiał wszystko robić.

— Cóż się, matusiu, stało, jak biédny przyjechał do bogatego i kość mu dali do ogryzania? Pewnikiem ją cisnął w oczy bogaczowi?...

— Jak miał cisnąć, kiedy był głodny; wziął kość i wyszedł z domu, bo go przez pogardę nie posadzili przy stole. Na onéj kości nie było co ogryzać, można ją było tylko wyssać; tak się téż do niéj szczerze przyłożył, tak wysysał, jakby nigdy jedzenia nie widział... Ssie on i patrzy, a tu stoi przy nim biéda; ona się téż na kość zapatrzyła, o mało jéj oczy na wierzch nie wyszły, taka była głodna. I mówi mu ta biéda: Dałbyś mi, chłopie, odrobinę téj ko-

ści, bom okrutnie wygłodniała, przez całe życie nicem nie miała w gębie. — To i ja taki sam głodny — chłop powiada; ale widzisz przecie, że tu nie ma co ogryzać z wiérzchu, chybaby wléźć we środek... No, to jabym wlazła, bom chuda i brzuch u mnie taki jakbym była nitka. — Ha, kiéj chcesz, to właź! — powiada ten chłop biédny. I ona wlazła.

Kiedy się już biéda cała w kości schowała, wtedy sobie chłop pomyślał: Sprzykrzyło mi się strasznie z tą biédą na świecie; żeby ją téż tak w téj kości zamknąć na wieki. Jak sobie to pomyślał, tak wziął kołek, wsadził w kość i kamieniem twardo przybił, aż biéda zapiszczała, bo ją okrutnie przyparł. Potém podszedł do bruzdy i tam kość z oną biédą zagrzebał, a sam się zabrał i wrócił do domu.

Teraz mu dobrze było na świecie bez biédy, pełno miał szczęścia w domu naokoło. Zaraz sobie sprawił bieluśką sukmanę, nową magierkę i całe obleczenie; przyodział porządnie żonę a dzieci; u kołodzieja zamówił dwa śwarne wozy i kazał je sobie kowalowi okuć jak należy; na piérwszym jarmarku w Wiślicy nakupił bydła i był bogaty teraz.

Jak się o tém dowiedział brat starszy, tak zaraz w te pędy do młodszego pojechał i ogromnie się dziwił, że tyle majątku ma ten, co dawniéj był biédny. Zaczął on się wypytywać, jakim sposobem młodszy brat tyle bogactwa zdobył; czy może skarby jakie znalazł. Bo był ten starszy okrutnie zazdrosny i sobie tylko dobrze życzył. Więc mu młodszy szczérze wszystko rozpowiadał — po prawdzie i po sprawiedliwości. A ten sobie dopiéro pomyślał: Nie będziesz ty długo taki bogaty, bo ja chcę być sam tylko bogatym!—I poszedł wnetki do téj bruzdy, odkopał ówtę kość, a pytał:—Jest tu kaj Maćkowa biéda?.. A biéda jeno zaskrzeczała cieniuśkim głosem:—Juści jestem, wypuśćże mię miły człecze! — Zaraz cię wypuszczę — chłop mówi. I jak powiedział, tak zrobił. Ale co tylko kołek z kości wyjął, a tu biéda jak mu nie skoczy na szyję, poczęła go ściskać przez wdzięczność, a wykrzykiwała: — O mój ty miły, jedyny, już ja cię teraz całe życie nie opuszczę!... To ten bogaty brat zbiédniał potém do krzty, zmarniał całkiem, a biédnemu ciągle się wiodło, wielkim panem się stawał.

— Czy to tylko prawda, coście wy opowiadali? — zapytał Domin.

— Szczérzuchna, żywa prawda, mój synu: biédny brat w ziemi zakopał swoję biédę, a bogaty ją znowu na ziemię wygarnął.

Domin myślał nad tą bajką i inne dzieci zamyśliły się także, milcząc; ale milczenie przerwała im baba, mówiąc:

— Skocz no, synu i zażeń mi cielęta! Młode to i głupie gdziebądź w topiel zalezie.

Chłopak pobiegł, cielęta od topieli odpędził, lecz bajka o biédzie ciągle mu się snuła po głowie; to też kiedy znowu wrócił pod wiérzbę, pytał Śmiguski jeszcze:

— A czyście wy, matusiu, znali tych dwóch bratów: bogatego i biédnego?

— Dziś ja to żyję na świecie? — odrzekła babina.—Toć znałam takich. Choćby na ten przykład w Czarkowach: był ci tam dawnymi czasy bogacz setny, siedział w malowanym dworze, jadł a pił tylko, chyba jeno ptasiego mléka mu brakowało... Ale musiał on biédę na ziemię wygarnąć, bo na nic a to skapiał.

— I on też miał biédnego takiego brata?—pytały dzieci.

— Juści miał!.. Mieszkał tam we wsi u niego chałupnik, co jeno zagony odrabiał pod kapustą, a biéda go okrutnie dusiła; to on teraz paraduje w bieluśkiéj sukmanie i ma nowe kute wozy, a hań ten bogacz musi kaj na skraju świata z torbami po żebrach chodzi, kromki chleba u ludzi proszący.

— Widzicie wy, widzicie wy, jakie to dziwa!—mówiły dzieci.

— No, nie gadajcie teraz, nie wadźcie mi dłużéj, bo muszę odmówić koronkę do Przemienienia pańskiego...

— Na co wy się, matusiu, tak ciągle modlicie? — zapytał Domin.

— Bo tylko Pan Jezus może odjąć biédę od wszystkich ludzi.

Domin wstał zpod wiérzby, odszedł na bok, wyjął z zanadrza fujarkę i począł na niéj wygrywać.

VIII.

O, złoć się, święć się, luba wiosno w pięknym rodzinnym kraju!

Podobno cuda są nad Tybrem, Sekwaną, Renem; podobno szczęście do ludzi śmieje się tam z nieba, z ziemi... Ale są tacy, którym ojczyzna szeroki świat zamknęła, którzy nawet poprzez łzy swoje w niéj tylko szczęście dla siebie znajdują. Ci tęsknią za rodzinną wiérzbą, za sosną, za dziką gruszą na miedzy, za krzyżem znad drogi. Tacy bogate winnice świata oddaliby za jednę piędź ziemi zarosłéj na Powiślu wikliną; dla takich kurne, lepione chaty, z ich jaskółkami i wróblami są droższe niż rycerskie kędyś zamki, a pieśń ludowa dzwoni im a dzwoni w uszach i jeszcze na łożu śmierci jest dla nich sakramentem.

Wiosna! Pachnie od boru, w którym strumyki szemrzą, pierwiosnki, sasanki i konwalie kwitną, a ptastwo, jak lud siermiężny

pracowite, gniazda tam dla piskląt swych ściele. Po co chcieć księżniczek uśpionych w zaczarowanych pałacach pod wodą? Olbrzymy śpią w przyrodzie i w ludziach.

Wiosna! Błogosławionaś ty, złota pani!.. Przyleciała nad Powiśle, nad Ponidzie na skrzydłach jaskółek, miała szaty z wieńców białych lilii, ze stokrotek i żółtych kaczyńców. Przyleciało dobre bóstwo z gloryą rozśpiewanych skowronków u głowy, a miało swój orszak z bocianów i żórawi...

Wiosna! Brylanty światła na ziemię się sypią, cudne wonie w powietrzu płyną. Po błoniach w pląsy puścił się zefir i motylami pomiata; w tanach także pełnych wdzięku przelatuje pliszka. Ziemia rozesłała pyszne kobierce na przyjęcie bogini. Ludzie kraju, uczcijcież i wy ją, oddajcie jéj cześć taką, jaką odbierała od waszych pradziadów! Niech raźni parobcy ze świeżéj wiérzbiny fujarki utoczą i niechaj pieśnią swą zadziwią ptaki leśne. Kraśne dziewuchy niech wstążki wplotą w warkocze, niech się obloką w białe rańtuchy i do rąk wezmą palmy z młodéj wiérzby. Ku czci bogini wiosny święćmy niedziele palmowe, odwieczną rocznicę jéj poczęcia!

Wiosna! Stare matki gęsi wywiodły na błonie swój drobiazg pisklęcy, dziatwę miluchną, podobną do tych kotków złotéj wiérzby. Babka zpod kościoła pasie te gąski wraz z bydłem, przy nich się grzeje do słonka; skurczyła się, uwiędła, krzaczek z kobiéty się zrobił; jéj drżąca ręka sił nie ma już tyle, ażeby na mszę zadzwonić, więc pasa bydło, gęsi gromadzkie.

Wiosna! Białe i czarne owce w rozproszonéj gromadce strzygą szczypiór młodéj trawy; dwie sroki między niemi się uwijają i czasem owcom na grzbiety wyskoczą, a młode jagnięta wesoło przy matkach swawolą. Wszystko to hasa zawsze z chłopskiemi dziećmi, które się w matusine zapaski przyodziały, a każde gra, każde śpiéwa krakowiaka. Takie młode, skąd się to pieśni nauczyło? Z połową piosnki, to już na świat przyszły, a resztę z mlékiem od matek wyssały i teraz oto śpiéwają jak ptacy.

Zbiédzone bydełko wypędzone z chat na trawę; jakież to to nędzne, prawie się od wiatru przewraca. Ha, cóż—gospodarz przymarł w zimie głodu, więc i krowina jego musiała przychudnąć;—skrzepi się jeszcze na wiosennéj trawie.

— He, he! Sadula, a nie poléguj, paro jakaś! — woła jeden malec, pięciolatek może a mądry jak stary. — Takiéj dobréj trawy jeść nie chcesz? Może i mléka nie dasz na odwieczerz?.. Przezimowałaś, marcho, w izbie między ludźmi, to żyjże teraz jak się godzi! Mléka dawaj, bo biéda aż kwiczy u matusi w komorze: żyto już

wyszło na chléb, na kluski, a ziemniaki do kszty przemarzły w dole na mrozach!

Sadula, jak gdyby zrozumiała te słowa, powstała i wzięła się do zbierania trawy, ażeby w sobie wyrobić mleko do żywienia biédnych dzieci.

A tam daléj na błoniu słychać znowu głos innego malca:

— Kaj staa! Kaj staa! Smolicha, zatracona jedna! Do boru ci się zachciało? Cie-wy, bór jéj zapachniał! Moi ludzie, jaka to gadzina!.. A czy to ty nie wiész, że borowy zajmuje i potém płacić każą za zaimkę? Czémże tatuś za ciebie zapłaci we dworze, kiéj w chałupie okrutna biéda?

I tak się tu oto ludzie rozmawiają ze zwierzętami, jak gdyby z bliźnimi swymi ludźmi; biédacy utyskują na nędzę przed swoją gadziną i myślą, że gadzina te skargi rozumie,—może i rozumié.

Pobekują a podskakują cielęta, aż się chłopskim dzieciom dusza raduje od téj cielęcéj wesołości. W szybkiéj pogoni na wszystkie strony, niby przelatujące czarne strzały, krzyżują się jaskółki, ptaki święte, z różnych względów szanowane u ludu, prawie że domowe. Nawet leśne stworzenia nabierają ufności do tego towarzystwa na błoniu. Właśnie oto dudek przyleciał z boru, najeżył czuba, pomiędzy bydlem chodzi, a kłania się, a podryga. Istny komedyant!

Zdala od tego ruchu ludzi i zwierząt, pomieszanych z sobą widać niewielkie jeziorko, nakryte prześcieradłem zielonéj rzęsy, do połowy zarosłe sitowiem, chrząstką, rogoziną, tatarakiem i trzcinami. Tylko szkapa jakaś oddaliła się od całéj gromady i samotnie błądzi w pobliżu topieli, niekiedy ugrzęźnie w bagnie, a wtedy w gwałtownych ruchach wyskakuje, poczém brnie daléj, jakby ją niosły myśli samobójcze. Snadź tego konia nie boją się ptaki jeziora, bo dubelt spokojnie na brzegu żeruje, para cyranek w małżeńskiéj harmonii dokoła opływa, łyska koło trzciny się skrada.

Wiosno, urocza pocieszycielko, co ziemię szczodrze odradzasz i w milionach gatunków nowe pokolenia tworzysz, obdarz lud biédny darami swemi! Za największą modlitwę niechaj ci stanie ludzka niedola, jéj gorzkie łzy i czarne smutki.

Wiosna! A oto jasne niebo się ściemnia, słońce przez zasłonę mgły wzrok swój posyła na nasze błonia i w dali poważnie huczą pierwsze grzmoty. Jest to błogosławieństwo, którego ziemi udziela piękna bogini. To namaszczenie ziemi naszéj na płodność, na macierzyństwo.

Wszystko czuje uroczystą chwilę niebiańskiego zesłania, czują ją drobne trawki, wiérzby na błoniu i wszelka ludzka gadzina; wszystko oczekuje namaszczenia, poświęcenia wiosny.

Jeszcze raz poważny grzmot w chmurach się rozległ, a w kościele ziemi stawała się coraz uroczystsza cisza, coraz większe oczekiwanie na błogosławieństwo.

Stało się! Wielkie dyamenty już szumią w powietrzu, miliony łask bogini spadają na łono ziemi.

Z pod wiérzby wyskoczyły dwie małe dzieweczki, drużki, istne rusałki błonia, w spódniczkach, w koszulkach, na bosaka tańczą; nadstawiły główki pod strumienie ciepłego deszczu, wpół się ze sobą ujęły i przyśpiewują:

Kiej tą wodą głowę zmoczę,
Będęż miała ja warkocze —
Dana ino, dana!

IX.

Jednego dnia po południu pojawił się ksiądz Jan na Jurkowskiém błoniu wśród dzieci i bydła; szedł on poważnie z laską w ręku, ubrany w czarną, wąską a długą sutannę z pelerynką i w czarnym niskim kapeluszu z ogromném rondem. Pojawienie się księdza było niesłychaném zjawiskiem na pastwisku. Wnet téż cielęta i ich matki popodnosiły swe okrągłe, wielkouche głowy i spoglądały ze zdumieniem oraz z pewną podejrzliwością na tę czarną, uroczystą postać. Z całéj gromady wysunęła się naprzód jakaś krasa krowa o jednym rogu i z ciekawością poczęła się przybliżać do księdza.

Śmiałość zwierzęcia nie spodobała się widać nowemu proboszczowi, bo przystanął, podniósł do góry laskę i donośnym głosem krzyknął:

— Kto tutaj pasie to bydło?.. Hej, hej!

Ale Śmiguska siedziała zdaleka pod wiérzbą i ani widziała, ani nie słyszała, co się działo na drugim końcu błonia. Na głos księdza Jana chłopcy przestali grać na fujarkach, przestraszyły się małe dziewuszki i wraz z owcami poczęły uciekać, tylko krasa krowa z jednym rogiem szła ciągle naprzód, wpatrując się dziwnie w proboszcza swemi wielkiemi oczyma. Niekażdy może dotrzymać placu takiemu jednorogiemu potworowi, przeto ksiądz począł rejterować z pastwiska; wogóle bydło chłopskie nie dowierza czarno ubranym ludziom, więc i inne krowy zabierały się do naśladowania krasuli. Bóg raczy wiedziéć, coby się stało, gdyby się był nie nawinął w samę porę Domin. Na widok człowieka, choć małego, proboszcz odzyskał odwagę, poczuł swoje znaczenie, władzę i krzyknął rozkazująco:

— Rozpędź mi zaraz to bydło!

Domin poskoczył z witką w ręku, począł krowom sypać plagi, a kiedy bydło pierzchnęło, obejrzał się i z fizyognomią tryumfującą spojrzał w kierunku proboszcza; ten ostatni kiwnięciem palca przyzwał chłopca do siebie i zapytał:

— Kto tutaj na błoniu jest głównym pastuchem bydła?

— Matusia moja.. — odrzekł chłopiec, spuszczając oczy, jak gdyby mu skromność nie pozwalała się chełpić z wysokiego stanowiska matki.

— Idź no do matusi i powiédz jéj, żeby tu do mnie przyszła!— mówił proboszcz.

Malec między krowami pobiegł pod wiérzbę, gdzie Śmiguska przed chwilą właśnie opowiadała była jakąś historyą, a teraz klepała pacierze do Przemienienia Pańskiego. Wezwana przez Domina do księdza Jana, opuściła wiérzbę i spieszyła, o ile stać było na to jéj stare siły; przybiegła, objęła dobrodzieja najprzód nisko za nogi, a potém z namaszczeniem ucałowała jego rękę.

— Aaa!.. Śmiguska!.. To ty teraz pasiesz bydło? — spytał proboszcz.

— Juści ja, jegomościuniu, juści muszę, kiedy się tam przy kościele już zmieścić nie mogę. — I znowu babina po raz wtóry ucałowała rękę księdza.

— Moja kochana, najprzód pamiętaj sobie nie nazywać mię nigdy jegomością, tylko ojcem duchownym... Następnie, powiédz mi, co tu na pastwisku robi tyle dzieci?..

— Poprzyłaziło to ze wsi, głupie takie i ferta się, zwyczajnie, gdzież pójdzie...

— Słuchajno, Śmiguska, żeby mi tu noga żadnego dziecka ze wsi nie postała na błoniu!.. Ty mi będziesz za to odpowiadała, rozumiész?...

— Proszę jegomo...—tu Śmiguska ugryzła się w język, pomna, iż nowego proboszcza nie należy jegomością nazywać. — A cóż te dzieciska będą robiły? Na wsi się to porozpuszcza, a tu choć co nieco odemnie nieraz posłyszą.

— Dzieci będą miały inne zajęcie, będą chodziły na naukę do organisty. Tak być nie może, jak było dotąd... Ja nie chcę być pasterzem trzody, która się z bydłem chowa.

— Dziwności! — zawołała baba. — Mnie ta ów drobiazg nie wadzi, jacy pomaga; bo mam z tego wyrękę, jak przyjdzie bydło zaganiać... A tu w téj wsi, to utrapiona gadzina, takie nieusłuchane stworzenia, że jedno z drugiém nie chce kupy trzymać, jeno się rozłazi na okolicę, a moje nożyska, serdeczny ojcze, już stare...

— No, no, dzieci muszą się uczyć; inaczéj być nie może!—powiedział ksiądz z wielką stanowczością.

— Choćby ich się ta ze troje do nawracania bydła ostało, to niechby się reszta i uczyła — mówiła Śmiguska, nie myśląc, że mimowoli zakłada protest przeciw postanowieniom proboszcza.

Jednéj i drugiéj stronie chodziło o dobry gatunek pasterstwa.

— Ani jedno dziecko z Jurkowa nie będzie przebywało na pastwisku!—rzekł proboszcz tonem takim, jak gdyby przytaczał jedno z dziesięciorga przykazań bożych.

— Jeno mój Domin, to już przy mnie musi zostać, będzie mu się tu cniło bez drugich dzieci...

— On także musi iść do organisty na naukę!

— O mój złociuśki jegom..., niechże też choć on jeden ocaleje! Dyć mi jego podarujcie, skoro mi go na pociechę Przenajświętsza Panienka sama zesłała!..

— Nie można!—odparł krótko ksiądz Jan, a po chwili dodał:

— Powinnaś się cieszyć z tego, że organista nauczy twego syna służyć do mszy, że chłopiec będzie mógł z czasem modlić się na książce...

— Eee, kaj jemu niebożątku sieroteczce do takich rzeczy! Nałamie jeno po próżnicy głowy, namitręży i koniec! A ja się na nic bez niego zalabiduje...

— Dlaczegoż go nazywasz sierotą? Toż on twój syn przecie?...

— Syn nie syn, bo nie rodzony... Domin je najduch, tylo ja go we dzwonnicy nalazłam i na wychowek wzięłam.

— On jest podrzutek? — zapytał proboszcz, a potém się zmarszczył i mruknął jakby sam do siebie. — Jakaż to zaniedbana parafia... Ludzie dziczeją jak zwierzęta w chuciach rozpusty i bez znajomości Boga.

Powolnym krokiem oddalał się z błonia ksiądz Jan, a dzieci ciągle ścigały go swemi oczyma i krasa krowa z jednym rogiem także spoglądała za znikającą czarną postacią. Śmiguska tymczasem szeptała: — Kiej Panie nie dajesz zmiłowania i przemienienia, to ci ochfiaruję cierpotę swoję na większą Twą chwałę... — Przytém otarła łzę w zapaskę.

X.

Z górą dwa lata ubiegły od śmierci księdza Wincentego, a w Jurkowie przy kościele wszystko się zmieniło do niepoznania. Świątynię pańską przyozdabiano nieustannie wewnątrz i zewnątrz; oddawna zniknęły tutaj wróble, myszy i sowy; potém bocian tak-

że opuścił dzwonnicę i założył sobie gniazdo we wsi na chłopskiéj stodole. Plebania wyglądała teraz pięknie jak pałacyk, a organista miał także oddzielny domek przy kościele.

Dzieci uczyły się ministrantury i łacińskich śpiewów, za postępy odbierały nagrody, za niedbalstwo je karano. Słowem, wszystko się zmieniło.

Domin był to nadzwyczajnie niedbały i niepojętny uczeń; chłopak ten, ile razy mógł, uciekał do matusi na błonie: od nauki u organisty stronił jak od ognia. Raz i drugi otrzymał on surową karę, co mu ochoty wcale nie dodało.

Złożono teraz winę na matkę, a to tém bardziéj, że Śmiguska dawała na błoniu przytułek nietylko synowi, lecz i innym szkolnym zbiegom. Istotnie, ta kobiéta była zanadto pobłażliwą dla dzieci, niechcących się uczyć.

Ażeby zło w samym rdzeniu zniszczyć, odebrano staréj babie nadzór nad gromadzkiém bydłem. Ponieważ nie miała pracy, więc żyć nie było z czego. I gromada zmieniała się w Jurkowie—prawie wszyscy trzymali stronę księdza Jana, przeto Śmiguskę uważano za niedobrą kobiétę i z niechęcią znoszono ją we wsi jako ciężar.

Pewnego dnia po południu ksiądz Jan wyszedł na drogę za kołowrot, tutaj pod krzyżem z męką Pańską spotkał klęczącą staruszkę, a przy niéj chłopca w jednéj koszuli; była to Śmiguska i Domin. Baba żegnała wieś swoją, gdzie już nie było dla niéj schronienia; skończyła modlitwę, otarła łzy, ucałowała świętą rodzinną ziemię, podniosła jéj garść i wkładając ją w żebraczą torbę, rzekła do chłopca:

— Kiej umrę u obcych, to mi wrzucisz do grobu.

Wstali i w świat poszli.

Adolf Dygasiński.





ZAGADKA WNĘTRZA ZIEMI.

Mozolna praca człowieka nad odsłonięciem tajników przyrody stawia nam przed oczy i urzeczywistnia legendową walkę tytanów z synami Saturna. Walkę tę zuchwały ród Japeta zwycięsko prowadzi: wydarł już Jowiszowi niebo jego błękitne, a Neptunowi niezmierzone i niezgłębione morze. Niebo rozbił i w nicość je rozwiał, a złote gwiazdy rozrzucił w przestrzeń, zmierzył ich odległość, odcyfrował skład ich i budowę; morze przepłynął i z najgłębszych toni wydobył twory tajemne, dziwaczniejsze nad fantastyczny orszak Neptuna. I tylko Pluton, ponury bóg podziemi, urąga wszelkim zamachom, zawistnie broni dostępu do swego dziedzictwa i strzeże go od oczu ciekawych. Aż do nieskończoności rozejrzał człowiek przestrzeń ponad sobą, a tuż pod nim, w najbliższém jego sąsiedztwie, istnieje świat tajemny, na całą wieczność dlań niedostępny. Otwartym bojem nie zdoła on pokonać zagadki wnętrza ziemi, ale wezwał do pomocy matematykę i geodezyą, astronomią i fizykę, chemią i geologią, by na téj podstawie oprzéć gmach hypotetycznych domysłów. Gmach to wprawdzie wątły, ale tak położony fundament jego dosyć jest bezpieczny, by zachęcił do rozejrzenia szczegółów wzniesionéj dotąd budowy.

I.

Skoro do wnętrza ziemi sięgnąć mamy, uprzytomnić sobie przedewszystkiém należy odległość, jaka nas od środkowego jéj punktu dzieli. Gdy bezpośrednie wysondowanie téj odległości jest rzeczą niemożliwą, daje się ona obliczyć ze znanéj długości południka ziemskiego, jako koła wielkiego opasującego naszę planetę. Sprawa pomiarów ziemi, rozpoczęta przez Eratostenesa w Aleksan-

dryi na 200 lat przed nar. Chr., a dotąd bynajmniéj nie ukończona, łączy się w pewnym punkcie, jak to zobaczymy, i z kwestyą, która nas teraz zajmuje; odbieglibyśmy jednak od naszéj rzeczy zadaleko, gdybyśmy o tę kwestyą potrącać chcieli (1), przytoczymy więc tylko, że od bieguna środek ziemi oddalony jest prawie na 856½ mil geogr. Nie ze wszystkich jednak punktów powierzchni ziemi do jéj środka równie jest daleko,—ktoby tam zapragnął dotrzéć nie od bieguna, lecz od któregokolwiek punktu równika, musiałby przejść 859½ mil geogr. zatém o 3 mile więcéj. Te trzy mile stanowią to, co podbiegunowém spłaszczeniem ziemi nazywamy. Łatwo wszakże widziéć, że sama ta długość trzech mil nie może stanowić miary spłaszczenia ziemi, ani nawet o wielkości jego pojęcia nam nie daje. Jestto bowiem wielkość względna: gdyby ziemia była mniejsza, różnica trzech mil między promieniem równikowym a biegunowym miałaby znaczenie doniośléjsze; gdyby wzrosła do wymiarów znacznie większych, trzy te mile stałyby się drobnostką podrzędną. Stosunek tylko powyższéj różnicy do istotnéj wielkości ziemi, a raczéj do jéj promienia, wyrazić nam może wielkość spłaszczenia ziemi. Według tego wynosi ono zatém 3/859, tj. nieco więcéj nad 1/300; znaczy to, mówiąc językiem jak najzwyklejszym, że od bieguna do środka ziemi jest o 1/300 bliżéj aniżeli od równika.

Ułamek ten wszakże, jak to już z liczb wyżéj podanych wypływa, daje tylko przybliżoną wielkość spłaszczenia ziemi. Łatwo dziś wprawdzie powtarzać, że ziemia ma postać kuli pod biegunami spłaszczonéj, trzeba jednak było geniuszu aż takiego Newtona, by wnieść z pewnych objawów, że odstępuje ona od prawidłowéj formy kuli; a i dotąd jeszcze, pomimo niezmordowanych i długoletnich wysileń spłaszczenia tego z zupełną dokładnością oznaczyć nie zdołano, jakkolwiek nie poprzestano na bezpośrednich geometrycznych pomiarach ziemi, ale poradzono się i wahadła, które pod biegunem, już dla bliższego sąsiedztwa ze środkiem ziemi, kołysze się nieco prędzéj aniżeli na równiku, a nawet odczytywano wpływ spłaszczenia ziemi i w pewnych nieprawidłowościach w obiegu księżyca, który w ruchu swoim pod bezpośredniém wpływem planety naszéj zostaje. Trudności, z jakiemi zadanie to walczyć musi, pozwalają dziś z dostateczną pewnością tyle tylko powiedziéć, że spłaszczenie to nie jest większe nad 1/289 ani też mniejsze nad 1/294. Pytanie zaś o naturze wnętrza ziemi łączy się ściśle z wielkością jéj spłaszczenia.

---

(1) Metodę, historyą i stan obecny pomiarów ziemi opowiedział autor niniejszego artykułu w broszurze „O postaci i ciężarze ziemi“ (Warsz. 1885).

Podane wyżéj wymiary promienia ziemskiego już same wystarczają, by wykazać niemożebność bezpośredniego dotarcia daleko w głąb ziemi: dosyć powiedzieć, że największa głębokość, do jakiej człowiek dotąd przeniknął, czy to w kopalniach, czy za pośrednictwem otworów świdrowych, czy wreszcie przy wywiercaniu studni artezyjskich nie przechodzi 1300 metrów, a zatém pięciotysięczną ledwie część promienia ziemskiego. Kto zeskrobał ostrożnie cieniutką powłokę dyni lub pomarańczy, alboż wié cokolwiek o budowie tych owoców o układzie ich nasion? Taki nieznaczny naskórek ziemi odsłoniono dotąd ledwie tu i owdzie. A jednak, kto zwiedził choćby Wieliczkę tylko, już zrozumié łatwo ogrom pracy, jaki długie pokolenia łożyć musiały na przekopanie tych jam podziemnych, olbrzymich względnie do sił naszych, a mikroskopowo drobnych odnośnie do objętości całéj bryły ziemskiéj.

A nawet, pomimo całego rozwoju dzisiejszéj techniki, nie jest prawdopodobném, aby granice te człowiek mógł kiedykolwiek znacznie przekroczyć; coraz wzrastające ciśnienie, trudności dostarczania powietrza i tym podobne względy stawiają nieprzebytą tamę dalszemu posuwaniu się górnictwa do głębszych pokładów.

Niedawno obiegał pisma pomysł pewnego amerykanina, by wszystkie mocarstwa połączyły swe siły i nakłady na przekopanie szybu w głąb' ziemi, który by wreszcie do jéj środka sięgnął. Wartość takiego projektu łatwo ocenić, choć pomysłowy amerykanin miał na zawołanie i siłę dostateczną, pragnął bowiem by na ten cel wszystkie państwa zofiarowały swe wojska. Chciał on może tylko wszystkie armie w głąb' ziemi zakopać.

Bo chociażby mógł kto roić, że przeszkody, o jakich wspomnieliśmy, zdoła przezwyciężyć przyszły rozwój naszych środków technicznych, to zawsze nieprzebytą zaporę stawiać będzie wysoka temperatura, już w niezbyt stosunkowo znacznéj głębokości panująca.

II.

Wiadomo powszechnie, że wpływ promieni słońca, którym powierzchnia ziemi i otaczająca ją atmosfera wyłącznie ciepło swe zawdzięczają, w głąb' ziemi daleko nie sięga. Termometry zapuszczane w ziemię okazują w głębokościach coraz znaczniejszych coraz słabszy ruch roczny. Z licznych w téj kwestyi badań szczególniéj wymowne są rezultaty otrzymane przez Forbesa w Anglii, który w trzech miejscowościach, różniących się naturą gruntu, osadził termometry w głębokości trzech, sześciu, dwunastu i dwudziestu czte-

rech stóp ang.; przebieg roczny temperatury pomimo rozmaitości gruntu, okazał się wszędzie dosyć zgodnym,—w głębokości trzech stóp różnica między najwyższym a najniższym stanem termometru w ciągu roku wynosiła 8°C, w głębokości sześciu stóp 5,5,° w głębokości dwunastu stóp niespełna 3°, a wreszcie w głębokości 24 stóp termometr przez rok cały okazał przeskok ledwie o 0,8°.

W ogólności, już na kilka stóp pod powierzchnią ziemi ustaje różnica między temperaturą dnia i nocy, a w odległości nieco znaczniejszéj. kilkudziesięciu mniéj więcéj stóp, termometr nie okazuje już żadnéj zmiany nawet w ciągu roku całego. Czy to powierzchnia ziemi rozgrzewa się działaniem promieni letnich, czy to ścina ją mróz zimowy, w głębokich piwnicach temperatura panuje stale jednaka, bez względu na uderzające przeobrażenia, jakie następstwo różnych pór roku na powierzchni ziemi powoduje; promienie słoneczne, pochwycone i pochłonięte przez wierzchnie pokłady ziemi nie dochodzą już do téj „warstwy obojętnéj", któréj stateczna zawsze temperatura odpowiada mniéj więcéj średniéj temperaturze położonéj nad nią miejscowości.

Istnienie téj warstwy obojętnéj zdradził termometr umieszczony w piwnicy obserwatoryum paryskiego, w głębokości 28 metrów, który od stu lat z górą okazuje niezmienną temperaturę 11,82°; trudniéj jednak powiedziéć, w jakiém mianowicie oddaleniu od powierzchni warstwa obojętna przypada. Niewątpliwie, w różnych stronach ziemi mieści się ona w rozmaitéj głębokości; tam, gdzie w ciągu roku temperatura ulega słabszym kołysaniom, gdzie obszerność roczna jéj zmian jest mniejszą, czyli, innemi słowy, gdzie odskok między temperaturą lata i zimy jest niewielki, wpływ promieniowania słonecznego ustaje także w niewielkiéj głębokości; tam zaś, gdzie kołysanie roczne temperatury okazuje obszerność znaczną, chwiejność jéj ujawnia się w głębszych znacznie warstwach skorupy ziemskiéj. Wypływa już stąd, że w stronach równikowych warstwa obojętna znajduje się daleko bliżéj powierzchni, aniżeli w strefach biegunowych. Według Boussingaulta, w okolicach zwrotnikowych Ameryki południowéj już w głębokości połowy metra ustają wszelkie zmiany temperatury, według późniejszych wszakże dostrzeżeń i w tamtych nawet krajach zstępować trzeba o5 metrów, aby osiągnąć warstwę obojętną. Znaczna różnica obu powyższych danych wskazuje już, jak niepewne są jeszcze wiadomości nasze o przebiegu pod powierzchnią ziemi téj warstwy obojętnéj. W każdym razie obniża się ona coraz więcéj, w miarę, jak zbliżamy się ku biegunom, a tam, gdzie temperatura średnia opada niżéj zera, wierzchnie pokłady są do znacznéj głębokości zlodowaciałe.

Świadczy o tém wymownie słynny szyb Szergina, wybity w Jakucku w Syberyi. Robotę rozpoczęto w r. 1828, a w r. 1837 doprowadzono ją do głębokości 116½ metrów, nie dosięgnięto jednak jeszcze granicy zlodowaciałego gruntu, a temperatura wynosiła tam—0,6°. W r. 1844 temperaturę téj studni badał dokładnie Middendorff z polecenia akademii petersburskiéj i przekonał się, że średnia temperatura roczna Jakucka—10,15°C, występuje już w głębokości 6 metrów, odtąd zaś temperatura wzrasta statecznie, ale jeszcze na dnie studni wynosi—3°. Z rachunków, opartych na podstawie swych dostrzeżeń, wywnioskował Middendorff, że kres przemarzłego gruntu przypadać może dopiero w głębi 186 do 196 metrów; prawdopodobnie jednak jest to liczba zbyt wielka, inna bowiem studnia w tamtych stronach wykopana dotarła do wody w głębokości 126 metrów.

Zmiany temperatury, na powierzchni ziemi zachodzące, w głąb' jéj nietylko słabiéj, ale i poźniéj przenikają. W przytoczonych wyżéj obserwacyach Forbesa w gruncie ze skały porfirowéj utworzonym najniższa temperatura w głębokości 3 stóp zachodziła nie w styczniu, ale w połowie lutego; w głębości 6 stóp termometr zeszedł najniżéj w połowie marca, w głębokości 12 stóp około 20 kwietnia, a wreszcie termometr najdaléj zapuszczony, do 24 stóp, przeszedł przez stan swój najniższy dopiero w połowie lipca. Potrzeba było zatém aż półrocza, aby w gruncie tym chłód zimowy przeniknął warstwę 24 stóp ang. Tak samo bracia Aubel nad morzem Białém w początkach sierpnia 1873 r. w czasie dnia gorącego, w głębokości jednego metra pod gruntem pokrytym roślinnością napotkali warstwę lodową. Opieszałość ta ruchu ciepła tłómaczy się słabém przewodnictwem materyałów tworzących skorupę ziemską.

To jednak, co tuż pod powierzchnią ziemi zachodzi, jest raczéj jeszcze rzeczą meteorologii i nie waży zgoła w kwestyi, która nas teraz zajmuje; idzie nam raczéj o to, co się dzieje poza ową warstwą obojętną.

Już słynny jezuita Atanazy Kircher, autor osobliwych dzieł naukowych z wieku siedemnastego, dowiedział się od górników freiberskich, że przy schodzeniu w głąb' kopalni napotykamy gorąco coraz wyższe. Donoszą o tém i inni owocześni pisarze, a wkrótce potwierdzono należycie, że poczynając od warstwy obojętnéj, temperatura ku dołowi wzrasta. Dziś rzecz ta należy do najwięcéj rozpowszechnionych wiadomości naukowych, ale naprawdę po nad to ogólnikowe uzasadnienie samego faktu, wiele więcéj o nim nie wiemy, niepodobna zwłaszcza określić dokładnie, w jakim stosunku, albo raczéj według jakiego prawa wzrost ten zachodzi.

Przenoszenie termometrów do kopalń, zapuszczanie ich w otwory świdrami ziemnemi wiercone, albo rozmieszczanie ich w tunelach, nie powinnoby przedstawiać znacznych kłopotów, ale zachodzą tu różne okoliczności wikłające. Przedewszystkiém nasuwa się tu pod uwagę samo ukształtowanie czyli pochylenie powierzchni ziemi. Gdy bowiem przebijamy w ziemi otwór pionowy, to w ogólności nie posuwamy się w kierunku do powierzchni ziemi prostopadłym, w jakim przecież oddalanie się od niéj mierzyć należy; wzgląd ten okazał się zwłaszcza widocznym przy oznaczaniu temperatur w długich tunelach, które dla potrzeb dróg żelaznych pod wysokiemi górami przekopano. Przy porównywaniu daléj termometrów w różnych głębokościach potrzeba zważać, by termometry te przypadały na jednéj linii pionowéj, a z tego względu korzystnie się zalecają szczególnie obserwacye w otworach świdrowych.

Przy badaniach dawniejszych poprzestawano w ogólności na umieszczaniu termometru w powietrzu; temperatura jednak powietrza wypełniającego kopalnię dosyć znacznie odstępować może od temperatury jéj ścian, o którą przecież głównie tu idzie. Z tego względu nie można téż posługiwać się i wodami, które się w kopalniach napotykają, jakkolwiek na pozór dane tą drogą otrzymywane wydawać się mogą wiarogodne,— nie wiadomo bowiem, z jakiéj zbiegają one wysokości i przez jakie kanały podziemne przepływają, zanim na jaw występują. Tak np. w tunelu góry Cenis w odległości 500 metrów od bramy południowéj temperatura powietrza wynosi 10,5°, gdy skała posiada temperaturę 14,2°; starać się tedy należy o wprowadzanie termometrów w otwory wybijane w samych skałach. Ponieważ nie pomijano żadnéj okoliczności przyjaznéj, któraby nam dostęp do dalszych warstw ziemi otwierała, starano się téż korzystać i z wyświdrowanych studzien artezyjskich, sprowadzających nam wodę z dość znacznych głębokości; rezultaty jednak tych dostrzeżeń nie mogą dawać wskazówek zupełnie pewnych; woda bowiem gorąca, gdy się wzbija w górę, oziębia się, a tém samém staje się cięższą, po części zatém opada znów ku dołowi i miesza się niżéj z wodą wytryskującą; wskutek tego rozwija się pewien proces obiegu czyli cyrkulacyi wody, który nie pozostaje bez wpływu na temperaturę wody wypływającéj.

Aby rezultaty obserwacyi takich ująć w sposób wyraźny i jasny, najlepiéj jest oznaczać odległość, o jaką w głąb' ziemi wstąpić trzeba, aby temperatura wzrosła o jeden stopień Celsiusa. Odległość tę nazwano stopniem albo lepiéj gradientem geotermicznym. Na nieszczęście jednak dane otrzymane w rozmaitych miejscach okazują tak znaczne między sobą odstępstwa, że niepodobna wydo-

być z nich pewnéj liczby oznaczonéj, którąby mogła dać choćby przybliżone pojęcie o ogólném wzmaganiu się temperatury głębszych warstw ziemi, zadowolić się musimy tedy tylko przytoczeniem niektórych z osiągniętych rezultatów.

Z dawniejszych nieco prac zalecają się dokładnością badania Reicha w kopalniach saskich; z wielu szczegółowych oznaczeń, które się silnie między sobą różnią, wypływa, że średnia wartość stopnia geotermicznego wynosi tam około 40 metrów, aby zatém dostrzedz podwyżkę 1° C. trzeba tam schodzić o 40 metrów.

W kopalniach znów pruskich stopień geotermiczny wynosi średnio 54,25 m., ale waha się on w rozległych bardzo granicach, bo między 15,5 a 115,5 m. W kopalniach angielskich i amerykańskich stopień taki wynosi 53 m., przy chwiejności od 19 do 86 m. Według nowszych badań w Wielkiéj Brytanii, dokonywanych staraniem przyrodniczego „Stowarzyszenia brytańskiego", w kilku kopalniach stopień ten wynosi 26,6 m., 34,1 m. i 42,1 metry. Na Uralu wykazano 24,8, w studniach artezyjskich w Wiedniu, Rochelle i Epinay 25,4 m., 24,6 m. i 22,9 m. Ze starannych obserwacyi w tunelach gór Cenis i Św. Gotarda na stopień geotermiczny wypada 35 m.

Tę téż ostatnią liczbę podaje się zwykle jako średnią wartość tego stopnia geotermicznego, chociaż, jak widzimy, wielkiego znaczenia do niéj przywiązywać nie można i przyznać należy, że nie znamy zgoła prawa, według którego wzrost ciepła w ziemi zachodzi. Tak znaczną zresztą rozmaitość, jaka się okazuje z różnych obserwacyi, rzucać trzeba na karb rozmaitych wpływów lokalnych. Ujawnia się tu zapewne różna zdolność przewodnictwa ciepła skał rozmaitych, co dostrzedz już można nawet w położeniu warstwy obojętnéj. Tak np. w kilku kopalniach w Kornwalii znaleziono śród lepiéj przewodzących ciepło pokładów miedzi temperaturę wyższą, aniżeli w kopalniach cyny. Pewien wpływ przypada daléj i ciśnieniu, jakiém ugniatane są badane pokłady; gdzieindziéj na podwyższanie lub obniżanie temperatury kopalni oddziaływać może przepływająca w jéj pobliżu cieplejsza lub zimniejsza woda. Lokalne wzmożenie się ciepła w innych znów kopalniach może być następstwem pewnych działań chemicznych, dokonywających się w sąsiedztwie w łonie ziemi. Wogólności téż obserwacye prowadzone w kopalniach węgla wykazały tam stopnie geotermiczne mniejsze, aniżeli w kopalniach metali. Tłómaczy się to tém, że w formacyach węglowych zachodzi często zmiana różnych skał— łupków, piaskowców i gniazd węglowych; wszystkie te pokłady posiadają przewodnictwo słabe, a przy przejściu z jednego środka

do innego ciepło nowy jeszcze opór znajduje; ciepło zatém przenikające z wnętrza ziemi będzie tu okazywać gęstsze stopniowanie, aniżeli w pokładach jednostajnych, lepiéj je przeprowadzających.

Dla uzmysłowienia rozkładu ciepła wewnątrz ziemi możnaby użyć metody podobnéj do téj, jaką się posługuje klimatologia dla wskazania rozkładu ciepła na powierzchni ziemi, przez kreślenie na kartach dobrze znanych linii izotermicznych, t. j. linii łączących miejsca, które posiadają jednakową temperaturę średnią. Tak samo możnaby wyobrazić sobie, że poprowadzono powierzchnie przez wszystkie punkty, które w głębi ziemi jednakową wykazują temperaturę; powierzchnie takie jednakowego ciepła wewnątrz ziemi nazwano izogeotermami albo chtonizotermami, — ale na nieszczęście, jak to łatwo wnieść można z niedostatecznéj znajomości naszéj tych stosunków, posiadamy raczéj nazwę tylko, aniżeli rzecz samą. Jakkolwiek jednak nie znamy choćby z niejaką dokładnością przebiegu owych powierzchni chtonizotermicznych, tyle przynajmniéj powiedzićć o nich można, że biegną za załamaniami gruntu, czyli, innemi słowy, rozciągają się one mniéj więcéj równolegle do powierzchni ziemi, wraz z jéj wygięciami podnoszą się i obniżają, lubo i pod tym względem uderzające zachodzą odstępstwa. Krzywe te powierzchnie jednakowéj temperatury ziemi okazują wogóle słabsze wygięcia, aniżeli profil ziemi, pod znacznemi mianowicie wyniosłościami podnoszą się stosunkowo słabo tylko. Dokładne badania Stapffa w tunelu Ś. Gotarda wydały nawet rezultat niespodziany, że mianowicie właśnie pod najwyżéj wzbijającemi się szczytami chtonizotermy nie wznoszą się tu w górę, ale owszem obniżają się nieco, czyli innemi słowy pod szczytami górskiemi stopień geotermiczny posiada większą wartość; należy zagłębić się w ziemię daléj, aby dostrzedz wzrost temperatury o 1°; tak np. u północnego wejścia do tego tunelu stopień ten wynosi tylko 20,5 metrów, a pod szczytem Cima Loitamisura przenosi 62 metry.

Bardziéj jeszcze uderzające rezultaty okazały się w tunelu Mont-Cenis, gdzie pod najwyżéj sięgającemi zakrzywieniami powierzchni ziemi stopień geotermiczny dochodzi aż 300 metrów. W odległości mianowicie 5000 m. od bramy południowéj tunelu temperatura skał wynosi 27,5°, w odległości zaś 6450 m. 29,5°; piérwszy z tych punktów przypada w odległości 910 m., drugi w głębokości 1069 m. pod powierzchnią ziemi,— jakkolwiek zatém zakrzywienie profilu ziemi na téj odległości czyni blisko 700 m., temperatura różni się tylko o 2°. Objaw ten przypisać zapewne należy oziębiającemu wpływowi gór sięgających po za granicę śnieżną, a tém samém pokrytych wiecznemi lodami; aby tedy dostrzedz pod-

niesienie się temperatury podziemnéj, trzeba tu zstępować znacznie niżéj, aniżeli pod innemi miejscami powierzchni ziemi, które w normalnych warunkach pozostają.

Z tego zapewne powodu temperatura tunelów nie jest tak wysoka, jakby to odpowiadało znacznéj głębokości, w jakiéj one przypadają, w każdym jednak razie pod górami bardzo wysokiemi panowałoby już ciepło stosunkowo dosyć wysokie; według oceny przybliżonéj wnieść można, że w środkowéj części tunelu projektowanego pod górą Montblanc temperatura byłaby nieco wyższą nad 50°. Jakkolwiek zaś białko mętnieje czyli zaczyna się ścinać dopiéro przy 60°, a ludzie w spokoju znosić mogą bardzo wysokie gorąco, gdy przytém powietrze jest suche, to wszakże praca robotników w takim tunelu, gdzie nadto powietrze przejęte jest parą, byłaby już przy 40° zmudną i niebezpieczną. Wzgląd ten nie pozwala dobrze tuszyć o projektach tunelów w Szwajcaryi zachodniéj.

To tylko zaprzeczeniu ulegać nie może, że tuż pod samą powierzchnią ziemi chtonizotermy okazują wykrzywienia słabsze, aniżeli jéj profil, a ztąd wnosić wolno, że w głębokościach znaczniejszych wpływ powierzchni ziemi wraz staje się słabszy, a daléj jeszcze ku środkowi ziemi rozkład wewnętrznego jéj ciepła jest już prawidłowy i nie ulega zakłóceniu wpływów zewnętrznych. Tak daleko wszakże bezpośrednie dochodzenia nasze nie sięgają, bo, jak przytoczyliśmy już wyżéj, największa głębokość do jakiéj człowiek wedrzéć się zdołał wynosi około 1300 m. zaledwie. Najgłębsze studnie artezyjskie (Grenelle pod Paryżem, St. Louis) nie dochodzą 600 metrów; co do kopalń, to za najbardziéj pogłębione uważają się słynne kopalnie Kutnéj Hory w Czechach, schodzące obecnie do 1152 m. Nieco głębsze są otwory świdrowe; słynny otwór w Sperenberg w Marchii Brandeburskiéj sięga do 1272 m., głębszym jest jednak otwór wywiercony pod Lieth w Holsztynie do 1339 metrów. Względem załomów górskich niżéj jeszcze, jak widzieliśmy, przypadają tunele, ale tu téż warunki zewnętrzne najsilniéj wikłający swój wpływ ujawniają.

III.

O tém więc, co daléj wewnątrz naszéj ziemi się dzieje, możemy jedynie wnioskować na podstawie tego ubogiego żniwa, które zdołano zebrać w cieniutkiéj warstwie, badaniom naszym dostępnéj. Skoro zaś tu wszędzie napotykamy stateczny wzrost temperatury, nie trudno się zgodzić, że i głębiéj, przy dalszém posuwaniu się ku środkowi ziemi ciepło jéj również się wzmaga i dochodzi wreszcie

do wysokości bardzo znacznéj, dla któréj oceny wszakże brak nam jakkolwiek wiarogodnych skazówek. Olbrzymi ten żar wnętrza ziemi nie opiera się zresztą pojęciom, które skądinąd spekulacye naukowe rozpowszechniły i utrwaliły: mówimy tu o zasadach kosmogonii, która tworzenie się i rozwój ziemi tłómaczy w podobny sposób, jak i wszelkich innych brył światowych, w przestrzeni rozrzuconych, przez skupianie pierwotnéj materyi kosmicznéj, która stanowiła może mgławicę podobną do utworów, jakie w dalekich stronach nieba i obecnie teleskop obficie nam wykazuje. Pod nazwą Laplace'owéj teoryi tworzenia się światów hypoteza ta znaną jest wszystkim, a nowsze postępy nauki i wzmożone środki badań, chociaż namnożyły nieco trudności, jakie są jeszcze do pokonania, w ogólności wszakże przyczyniły się raczéj do jéj poparcia, aniżeli jéj ujmę istotną przyniosły.

Ciepło, wytworzone wskutek zagęszczania się mgławicy, z któréj się nasz układ słoneczny wyłonił, dotąd obficie nagromadzone jest w słońcu; podobnémże, lubo drobném słońcem płomiennem była i ziemia nasza, ale z powodu nieznacznych swoich wymiarów zastygła i dawno już na powierzchni zakrzepła, gdy tysiąckrotnie z górą od niéj większy Jowisz, jak się zdaje z pewnych dostrzeganych na nim objawów, przedstawia jeszcze ślady pierwotnego swego żaru, a olbrzymie słońce przez pierwsze dopiéro fazy tego procesu stygnięcia przechodzi. Twarda skorupa, utworzona z materyałów słabo tylko przeprowadzających ciepło, która ziemię ze wszech stron ujęła, chroni od dalszego ziębnięcia wewnętrzne jéj masy; żar zatém, który się dotąd w głębi ziemi kryje, a o którym nam opowiada wzmaganie się temperatury w kopalniach, jest ochronioną pozostałością tego ciepła pierwotnego, związanego z dziejami samegoż tworzenia się ziemi naszéj, zarówno jak i innych ciał niebieskich. Jedném słowem, tedy, olbrzymie ciepło wnętrza ziemi razić nie będzie stronników kosmogonii Laplace'a, przynosi im owszem poparcie poważne.

Pomimo to nie brakło nigdy i przeciwników ciepła wewnętrznego, którzy wprost zaprzeczali temu statecznemu wzrostowi temperatury w warstwach dalszych, bezpośrednim naszym obserwacyom niedostępnych. Najsilniejszy argument, jaki na poparcie swego zaprzeczania podają, polega na pewném dostrzeżeniu, o którém nie wspomnieliśmy wyżéj. Okazało się mianowicie, że stopień geotermiczny, czyli, powtarzamy, odległość, o jaką zejść należy, aby dostrzedz podniesienie się temperatury ziemi o 1^{0} C., w różnych głębokościach bardzo jest różny, a w ogólności w głębokościach coraz znaczniejszych coraz się większym staje. Okazują to zwła-

szcza obserwacye przeprowadzone w przytoczonym już wyżéj otworze świdrowym w Sperenberg:

Głębokość w metrach	Temperatura dostrzeżona	Stopień geotermiczny
26,7 . . .	9⁰ C.	
		20,2 m.
313,9 . . .	23,2⁰ . . .	
		32 „
627,7 . . .	33⁰ . . .	
		31,4 „
941,6 . . .	43⁰ . . .	
		64,1 „
1268,6 . . .	48⁰ . . .	

Poznano to i w niektórych innych zagłębieniach, a lubo pewne nieprawidłowości i zboczenia usprawiedliwiają poniekąd sceptycyzm, w ogólności jednak fakt ten jest niewątpliwym. Otóż wydawaćby się mogło, że okoliczność ta pozostaje w sprzeczności z pojęciem o rozpaleniu wnętrza ziemi, w miarę bowiem zbliżania się do ogniska centralnego wzrost temperaty winienby się dokonywać coraz szybciéj, stopnie geotermiczne winnyby coraz bardziéj maleć, nie zaś wzrastać. Nic tedy dziwnego, że przeciwnicy ogniowego początku ziemi, zwolennicy dawnego neptunizmu geologicznego, pochwycili ten szczegół, któryby mógł zwycięstwo na ich stronę przechylić. Ciągłe to powiększanie się stopnia geotermicznego przybrali nawet w formę algebraiczną i wydobyli stąd wniosek, że w pewnéj, niezbyt zresztą znacznéj odległości dalsze wzmaganie się temperatury wewnątrz-ziemnéj zakończyć się musi, że nawet daléj jeszcze nastąpić winien zwrot, a temperatura statecznie już ku środkowi ziemi spadać będzie. Ciepło zatém, które termometry zdradzają w kopalniach naszych, miałoby być jedynie objawem warstw wierzchnich naszéj bryły ziemskiéj; aby zaś wytłómaczyć zagadkowe jego pochodzenie odwoływano się do ciśnień i powodowanego przez nie tarcia, a więcéj jeszcze do działań chemicznych, wywiązujących się w sąsiedztwie powierzchni ziemi pod wpływem przedzierających się tam części składowych atmosfery.

Niedostateczność jednak takiego tłómaczenia źródła owego ciepła podziemnego łatwo było wykazać; mogą wprawdzie zachodzić, jakeśmy zresztą wyżéj już nadmienili, objawy lokalne, wikłające normalny przebieg zjawiska, ale nie wystarczają one do wyjaśnienia powszechnego i statecznego wszędzie wzrostu temperatury warstw głębszych. Język matematyczny wymowny jest wprawdzie i pewny, ale do rezultatów rzetelnych o tyle tylko prowadzi, o ile z dokładnych podstaw wychodzi; nie dosyć zaś znamy prawo przyrostu temperatury podziemnéj, by je w rzetelną formułę algebra-

iczną ująć się dało, a tém samém wnioski o dalszym przewrocie i obniżaniu się temperatury od pewnego punktu są zbyt wątpliwe, by zburzyć mogły pojęcie o olbrzymiém cieple wnętrza ziemi.

Postarano się nawet doświadczalnie odtworzyć proces stygnięcia ziemi. Znakomity geolog Bischoff odlewał kule ze stopionego bazaltu, mające 0,75 metra średnicy, a po upływie 48 godzin od chwili odlewu oznaczał rozkład temperatur w rozmaitych punktach wnętrza tych brył, skąd okazały się rezultaty następne:

1) w środku temperatura . . . . 193°
2) w odległości 0,114 metra od środka. . 170°
3) „ 0,185 „ „ „ . . 156°
4) „ 0,247 „ „ „ . . 137°

Widzimy ztąd, że różnica między punktami 1 i 2, na odległości 0,114 m. wynosi 23°, co czyni 0,0052 na 1°C.; różnica między 2 i 3 wynosi 14° na 0,071 m. czyli 0,0051 na 1°, wreszcie między 3 i 4 wynosi 19° na 0,062 m., czyli 0,0032 na 1°. Odległość przeto, o jaką od powierzchni kuli ku jéj środkowi posuwać trzeba, aby dostrzedz przyrost temperatury o 1°C., co odpowiada właśnie geotermicznemu stopniowi ziemi, wzrasta ku środkowi kuli, a mianowicie w stosunku liczb 32 : 50 : 52.

Nie dosyć na tém, William Thomson, jeden z tych mężów, którym Anglia przodownicze swe dzisiaj stanowisko w nauce zawdzięcza, stopniowe stygnięcie ziemi wziął pod rozwagę z punktu teoretycznego; przyjąwszy mianowicie pewien stan pierwotny rozpalonéj bryły ziemskiéj, wyprowadził, jakim być musi rozkład w jéj wnętrzu ciepła po upływie stu milionów lat od owéj chwili początkowéj,— w założeniu tém, które odpowiada mniéj więcéj prawdopodobnym warunkom rozwoju ziemi, okazało się również dobitnie, że w bryle takiéj tylekroć wspomniany stopień geotermiczny również ku środkowi wzrastać będzie. Ostatecznie zatém w dzisiejszym stanie wiadomości naszych nie mamy usprawiedliwionego powodu do powątpiewania o olbrzymiém cieple wnętrza ziemi.

Zresztą pogląd taki jest już bardzo dawny, bo chociaż filozofowie greccy niewiele o wewnętrznéj budowie ziemi spekulowali, napotykamy jednak wzmianki o ogniu centralnym, a kościelni znów pisarze średniowieczni w głębi ziemi także mieścili płomienie piekielne. W kierunku jednak naukowym, w wieku ośmnastym dopiéro zaczął się ustalać pogląd, że tylko najbardziéj zewnętrzne warstwy naszéj planety zastygły, a pod tą cienką zakrzepłą skorupą cała pozostała masa, znajduje się dotąd w stanie ognisto-płynnym.

IV.

Pojęcie to o ognisto-płynném wnętrzu ziemi dotąd najbardziéj jest rozpowszechnione; skoro bowiem zgadzamy się na tak wysoką temperaturę, to na podstawie najzwyklejszych doświadczeń przyjąć nam daléj wypada, że w żarze tym najtrudniéj nawet topliwe metale muszą już stopieniu ulegać. Wnioskowanie takie wszakże zbyt jest pośpieszne, gdyż zapominamy o odrębnych warunkach, w jakich ciała te daleko we wnętrzu ziemi się znajdują,— mówimy tu mianowicie o olbrzymiém ciśnieniu, jakie je tam ugniata. W sprawie topienia się ciał ciśnienie stanowi czynnik tak silnie wikłający, że dotąd dostatecznie rozgmatwać tego nie zdołano.

Gdy ciało stałe ogrzewamy, cząstki jego rozsuwają się a objętość wzrasta,—ciepło walczy ze spójnością, a gdy ją doszczętnie prawie pokona, cząstki zyskują swobodę, charakteryzującą stan ciekły. Przebieg taki pozwala wnosić, że przy przejściu ciała ze stanu stałego do ciekłego objętość jego ulega powiększeniu i najczęściéj może tak właśnie rzeczy się mają. Nie zawsze jednak, a najlepszy przykład takiego wyjątkowego zachowania się przedstawia nam lód w postaci kry po wodzie płynący. Skoro się na jéj powierzchni unosi, znaczy to, że jest od niéj lżejszy, że zatém woda przy marznięciu objętość swoję powiększa, a lód topniejący ściąga się, kurczy. Woda marznąca rozrywa nietylko tkanki roślin, ale i naczynia żelazne, w których jest zamkniętą.

Sądzono niezbyt jeszcze dawno, że lód jedynie w tak wyjątkowy zachowuje się sposób; poznano jednak, że i kawały żelaza pływają po stopionéj masie tegoż metalu, a zapewne i lawa podobnąż posiada własność. W kwestyi téj, która wymaga wielu jeszcze dokładniejszych badań, dziś przeto tyle powiedzieć możemy, że pod względem objawów swego topienia się ciała dają się podzielić na dwie grupy—jedne, przechodząc w stan ciekły, rozszerzają się, inne wtedy objętość swą zmniejszają.

Otóż na ciała jednéj i drugiéj kategoryi znaczne ciśnienie działać musi w sposób wręcz przeciwny. Ciało, które się przy topieniu rozszerza, gdy jest silnie uciśnięte, przechodząc w stan ciekły, walczyć musi z przeszkodami znaczniejszemi; ciepła potrzebuje nietylko do zniszczenia swéj spójności, ale i do wykonania pracy zewnętrznéj, do usunięcia przeszkód, tamujących mu możność większego rozprzestrzenienia się; dla tych przeto ciał ciśnienie powstrzymuje, opóźnia topienie, punkt ich topliwości podnosi się, topią się dopiéro w temperaturze wyższéj, aniżeli w warunkach normalnych. Zupełnie inaczéj dzieje się z ciałami, zachowującemi się na podo-

bieństwo lodu,—tu ciśnienie, sprowadzając ciało do mniejszéj objętości, wspiera niejako przechodzenie w stan ciekły, punkt topliwości się obniża, ciało topi się już w temperaturze niższéj aniżeli w okolicznościach zwykłych.

Jak powiedzieliśmy, bardzo niedostatecznie znamy dotąd zachowanie się pod tym względem różnych ciał, a pomimo całéj potęgi środków pomocniczych, jakiemi obecnie nauka doświadczalna rozporządza, niepodobna się zbliżyć do ogromu warunków, które w przyrodzie zachodzą. Czyż wiedzieć możemy, co się dzieje z ciałami, gdy ich temperatura wynosi dziesiątki tysięcy stopni, ale zarazem poddane są olbrzymiemu ciśnieniu ugniatających je warstw wierzchnich? W każdym razie polegając na wysokiéj temperaturze wnętrza ziemi, nie mamy jeszcze stanowczéj zasady do twierdzenia, że musi być ono utworzone z materyałów płynnych, — owszem, nie brak skazówek, które za stałym jego stanem przemawiają.

Sto lat niezadługo upłynie od chwili, gdy Cavendish, „najbogatszy z uczonych i najuczeńszy z bogatych", pierwszy planetę naszą zważył, albo, co na jedno wychodzi, średnią jéj gęstość oznaczył; kwestya ta odtąd zwracała zawsze uwagę badaczy, którzy bądź posługiwali się wytworną metodą Cavendisha, bądź też obmyślali metody inne, które nawzajem pożądaną stanowią kontrolę, a w ten sposób tak napozór niedostępne zadanie z zupełną nieledwie ścisłością rozwiązane zostało. Jakkolwiek rzecz ta w bezpośrednim jest związku z kwestyą tu roztrząsaną, opis tych metod i ich historya zajęłyby zbyt wiele miejsca, byśmy je tu rozwijać mogli i poprzestać musimy jedynie na nadmienieniu, że różnemi drogami oznaczona gęstość średnia ziemi wynosi 5,6, co w języku zwykłym znaczy, że jest ona 5,6 razy cięższą od równie wielkiéj bryły, utworzonéj z wody.

Liczba ta, chociaż sama przez się nie wydaje się zbyt wielkiéj wagi, prowadzi jednak bezpośrednio do ważnego wniosku co do materyałów składających wnętrze ziemi. Rzeczywiście, o ile znamy powierzchnię ziemi i tuż pod nią mieszczące się pokłady, widzimy, że pominąwszy już wodę oceanów, zajmujących $^3/_5$ części powierzchni całego globu, resztę stanowią piaski, gliny, wapienie,—wogóle materyały, których gęstość średnia względem wody nie przechodzi $2\frac{1}{2}$, — skoro zaś gęstość średnia całéj bryły ziemskiéj przenosi 5, wynika ztąd wniosek oczéwisty, że we wnętrzu jéj nagromadzone być muszą materyały cięższe, metaliczne prawdopodobnie. Wrócimy niżéj jeszcze do kwestyi rozkładu gęstości wewnątrz ziemi, a teraz zaznaczymy tylko, że właśnie to przeświadczenie o stopniowym jéj wzroście ku środkowi ziemi rzuciło domysł, iż jądro jéj

stałe i sztywne być musi. W bryle ciekłéj, jako w ciele złożoném z cząstek swobodnie ruchliwych, ciśnienia zupełnie inaczéj rozkładać się muszą, aniżeli w bryle zakrzepłéj, stałéj, gdzie mniejsza swoboda cząstek osłabia wzajemne ich ciśnienie. W walcu z cieczy utworzonym ciśnienie wzrasta coraz ku dołowi i łatwo być może obliczonéni; warstwa stała mogłaby się utrzymywać w sposób taki jak kopuła, nie ugniatając pokładów niższych. Przypuszczając zupełną płynność wnętrza ziemi, obliczyć można, że ciśnienie, jakiemuby w tym razie poddane były warstwy centralne, przechodziłoby półtrzecia miliona atmosfer, — sam ogrom téj liczby stanowić już może poniekąd szkopuł dla hypotezy, która do niéj prowadzi; w bryle stałéj natomiast warstwy mogą się równoważyć, nie wspierając wszystkiéj swéj masy na warstwach głębszych, skąd ciśnienie w środku ulega zmniejszeniu.

V.

Pierwszy wszakże istotny argument na korzyść stałéj przeważnie masy ziemi przedstawił geolog angielski Hopkins w roku 1840, odwołując się do dawno znanego astronomom zjawiska poprzedzania punktów równonocnych czyli precesyi. Punkty równonocne są to te punkty na niebie, w których równik niebieski przecina się z ekliptyką, czyli drogą, po któréj słońce w pozornym swym rocznym biegu sunie; w punktach tych znajduje się słońce w początku wiosny i początku jesieni. Już na 200 lat przed Chr. poznał Hipparch — a daje to dowód wysokiego stanu astronomii starożytnéj — że punkty równonocne nie zajmują na niebie niewruszonego stanowiska, ale posuwają się naprzeciw słońca o pewną drogę, bardzo zresztą drobną, wynoszącą bowiem niespełna jednę minutę miary łukowéj, 50,24″, wskutek czego każda następna wiosna rozpoczyna się o 20 minut wcześniéj, zanim słońce wraca do tegoż samego na niebie miejsca, jakie zajmowało w początku wiosny poprzedzającéj, czyli używając określeń pospolitych, rok zwrotnikowy jest krótszy od roku gwiazdowego. Jakkolwiek jednak szczegół ten od dawnych znany jest czasów, wytłómaczyć można go było dopiéro, gdy pozorny ruch słońca ustąpił miejsca ruchowi ziemi i gdy w ciążeniu powszechném Newton wykazał przyczynę wszystkich ruchów niebieskich. Według nauki Newtona tedy, gdyby ziemia była doskonałą i jednostajnie uwarstwowaną kulą, zjawisko podobne zgołaby nie występowało, wywołuje je zaś przyciąganie słońca i księżyca, wywierane na równikowe wypuklenie ziemi, stanowiące jakby otaczający ją pas, co ostatecznie powoduje osobliwy ruch osi

ziemskiéj, wskutek którego wykonywa ona obieg, przypominający stożkowate kołysanie się wirującego bąka. Ruch ten jest zresztą bardzo powolny, bo pełny swój obieg kończy oś ziemska ledwie w 26,000 lat, zdradza się to zaś pozornym ruchem bieguna niebieskiego a tém samém i przesuwaniem punktów równonocnych.

Otóż do tego zjawiska poprzedzania punktów równonocnych odwołał się Hopkins, by wykazać, że ziemia w przeważnéj przynajmniéj części stałą być musi. Dowiódł on mianowicie, że gdyby ziemia utworzoną była z masy ciekłéj, cienką tylko skorupą otoczonéj, precesya występowałaby inaczéj, aniżeli to rzeczywiście ma miejsce, i wniósł na podstawie swoich rachunków, że zesztywniała skorupa ziemi sięgać winna co najmniéj do $^1/_4$ lub $^1/_5$ części jéj promienia. Zaprzeczono jednak słuszności wywodów Hopkinsa, polegających zresztą na nieprawdopodobném przypuszczeniu, że między twardą powłoką a płynném wnętrzem zachodzi nagły przeskok, gdy raczéj przyjmowaćby należało, że przejście jest tu pośrednie, przez pewien stan wpółpłynny, lepki, ciastowaty; w tym ostatnim zaś razie cała sferoida zachowywałaby się jako jedna całość, gdy Hopkins przypuszczał zupełnie swobodną ruchliwość ciekłego wnętrza wzdłuż stałéj skorupy.

Okazało się wreszcie, że precesya sferoidy ciekłéj nie różniłaby się wcale od precesyi podobnejże sferoidy stałéj, że zatém całe to zjawisko do rozstrzygnięcia spornéj kwestyi, która nas teraz zajmuje, nadawać się nie może; natomiast inny matematyk, G. H. Darwin okazał, że do tego rozstrzygnięcia posłużyć mogą objawy nutacyi. Nutacya zaś polega również na pewném kołysaniu osi ziemskiéj, które występuje jako pewna nierówność w przebiegu precesyi, posiadające okres 18$^1/_2$-letni; jest ona wynikiem przyciągającego wpływu księżyca na spłaszczoną ziemię i sprawia, że oś ziemska nie opisuje w ciągu wieków prawidłowego stożka, jakby się to działo jedynie pod wpływem saméj precesyi, ale powierzchnię nieco pofalowaną. G. H. Darwin jest także stronnikiem poglądu o zesztywnieniu przeważnéj części ziemi, wogólności jednak mozolnych dochodzeń na téj drodze za ukończone uważać nie można; niedawno matematyk belgijski Folie w pewnych, drobnych zresztą szczegółach precesyi i nutacyi dostrzegł dowód istnienia jądra płynnego pod stałą skorupą ziemi.

VI.

Astronomia, która tak doskonale pod obserwacyą i rachunek pociągać może by najdrobniejsze ruchy i zboczenia, na szalę obcho-

dzącéj nas sprawy i inne jeszcze kryterya rzuca, a mianowicie spłaszczenie ziemi, oraz przypływ i odpływ morza, chociaż i oba te względy do stanowczego rozwiązania również doprowadzić dotąd nie zdołały.

Wspomnieliśmy już wyżéj, że pierwszy domysł spłaszczenia ziemi rzucił Newton, skoro dobiegła go wieść przyniesiona przez żeglarzy, że zegary przewożone na okrętach spóźniają się w okolicach równikowych. Znaczy to innemi słowy, że wahadła, które bieg zegarów regulują, w tamtych stronach dokonywają kołysania swe wolniéj, zkąd wynika bezpośrednio, że siła ciężkości działa tam słabiéj, aniżeli na biegunach. Ponieważ zaś siedliskiem niejako siły ciężkości ziemi jest jéj środek, wnieść wolno, że ku temu punktowi jest od biegunów bliżéj, aniżeli od równika. Ale i przyczyna tego odstępstwa od prawidłowéj formy kulistéj nie pozostała ukrytą. Jak kula gliniana, obracająca się na kółku garncarskiém, wskutek działania wzbudzającéj się przytém siły odśrodkowéj doznaje spłaszczenia, tak téż temuż samemu losowi uledz musiała ziemia, również dokoła swéj osi wirująca. Natężenie zaś siły odśrodkowéj zależy bezpośrednio od szybkości ruchu wirowego, znana przeto prędkość obrotu dziennego ziemi daje możność teoretycznego obliczania jéj spłaszczenia. Zanim więc jeszcze wysłannicy akademii paryskiéj, pobiegli do Peru i Laponii, by z pomiarów przeprowadzonych w tak odległych między sobą stronach spłaszczenie to wydobyć, Newton na zasadzie powyższych rozumowań i rachunków obliczył, że wynosi ono $\frac{1}{232}$. Inny znakomity matematyk i fizyk ówczesny, Huyghens podzielając pogląd Newtona, przeprowadził również podobne obliczenia, otrzymał wszakże liczbę bardzo od powyższéj odmienną, $\frac{1}{580}$. Różnica ta ztąd pochodzi, że Newton przyjmował ziemię jako bryłę jednorodną, Huyghens zaś wyobrażał sobie masę ziemi skupioną głównie koło środka, czyli gęstość jéj na powierzchni niesłychanie drobną w porównaniu z gęstością w środku.

Widzimy ztąd, że teoretycznie obliczane spłaszczenie ziemi prowadzi do wyników różnych, stosownie do tego, jak pojmujemy wewnętrzną jéj budowę, rozkład gęstości w jéj łonie. Obie powyższe liczby odstępują znacznie od istotnego spłaszczenia ziemi, które, jakeśmy wyżéj widzieli, z dostateczną znane jest pewnością; odwołać się przeto należy do innego rozkładu gęstości ziemi.

Rzecz jasna, że cząstki ciał uciskanych skupiają się, że gęstość ich wzrasta, w miarę, jak powiększa się wywierane na nie ciśnienie. W jakim jednak stosunku ścisliwość ta zachodzi, jaka istnieje zależność między gęstością ciał a ciśnieniem, wiemy to jedy-

nie co do gazów, które pod ciśnieniem 2, 3, 4 razy większém posiadają téż i gęstość 2, 3, 4 razy znaczniejszą, co znaczy, że gęstość jest do ciśnienia proporcyonalną. Dla ciał stałych i ciekłych, których budowa wewnętrzna jest zawilsza zależność powyższa nie łatwo da się uchwycić i poprzestawać musimy jedynie na domysłach, na przypuszczeniach. Gazy ulegają w jednakowy zawsze sposób ciśnieniu, ciała zaś ciekłe i stałe opierają się mu tém silniéj, im więcéj już są ściśnięte; dla tego téż Laplace, idąc śladem wielkich swoich poprzedników, Daniela Bernouilliego, Legendre'a, Biota, przyjął w swych rachunkach, że przyrost ściśliwości płynu jest proporcyonalny do kwadratu z gęstości, wywołanego tém ciśnieniem. Hypoteza ta dotąd najczęściéj służy za podstawę przy rozpatrywaniu gęstości warstw, składających bryłę ziemską. Nie zamyka jednak drogi matematykom do innych przypuszczeń, któreby mogły prowadzić do jak najzupełniejszéj zgody między teoretycznie obliczoném a rzeczywiście poznaném spłaszczeniem ziemi.

Zmarły w r. 1883 profesor w Montpellier, Edward Roche, który bardzo starannie przeprowadził ten szereg badań w ostatnich czasach, przyjmuje inny rozkład gęstości wewnątrz ziemi,—według poglądu tego uczonego gęstość maleje w stosunku kwadratów odległości od środka. Rachunki na téj zasadzie przeprowadzone uczyniły go stanowczym „rygidistą“ tj. stronnikiem stałego wnętrza ziemi, wykazały mu one bowiem, że hypoteza bryły płynnéj pod niezbyt grubą stwardniałą skorupą nie może się pogodzić z istotną wielkością spłaszczenia naszéj planety, znaną nam z dochodzeń bezpośrednich; jakkolwiek więc przyjmuje, że była ona niegdyś w stanie płynnym, to wszakże względy astronomiczne skłaniają do uznania, że obecnie stanowi już masę zakrzepłą.

Hypotezę te poddaje tedy Roche dalszemu rozpatrywaniu matematycznemu, przyjmując przytém, dla udogodnienia i umożebnienia swych rachunków, że w przeważnéj swéj części stanowi ziemia bryłę jednorodną. Hypoteza taka może się wydawać zbyt krańcową, zwłaszcza odkąd badania chemiczne ciał niebieskich nauczyły, że w skład ich wchodzą pierwiastki rozmaite; Roche wszakże uważa za rzecz prawdopodobną, że rozmaite okolice pierwotnéj mgławicy, z któréj się układ słoneczny wyłonił, przedstawiać mogły pewne odrębne, właściwe sobie cechy, że zatém w każdéj planecie materyały pewne mogą znacznie nad innemi przeważać. Według tego i ziemia byłaby utworzoną z jednéj, naczelnéj niejako substancyi, którąby właśnie stanowiła owo przypuszczalne jądro jednorodne, a rachunki, lubo nam jéj natury odsłonić nie mogą, pozwalają przynajmniéj gęstość jéj ocenić.

Bryła ta jednorodna otoczona jest powłoką, utworzoną z materyałów lżejszych, które się wydzieliły przy tworzeniu się ziemi, podobnie jak substancye cięższe zająć musiały miejsce koło samego środka ziemi. Natura warstwy zewnętrznéj nie jest dla nas zupełnie zagadkową; jak wspomnieliśmy wyżéj, gęstość jéj względem wody ocenia się zwykle na $2\frac{1}{2}$, najbardziéj jednak skrajna, cienka i zupełnie wierzchnia powłoka, utworzona z materyałów dobrze znanych ma gęstość z pewnością nie większą nad 2, pokłady zatém dalsze posiadać muszą gęstość nieco wyższą, około 3; można więc przyjąć że są one utworzone głównie z law i bazaltów, którym właśnie gęstość taka przypada.

Znajomość ta gęstości warstw zewnętrznych ziemi pomnaża liczbę czynników wiadomych, z których wysnuwa Roche gęstość swojéj hypotetycznéj, jednorodnéj bryły wewnętrznéj; inne dane do obliczeń tych stanowią spłaszczenie ziemi, w każdym razie większe od 1/295, oraz wielkość precesyi punktów równonocnych. Z rachunków tych wypływa tedy, że bryła rzeczona posiada względem wody gęstość 7,6, a stanowi kulę zajmującą 0,82 całego promienia ziemskiego. Zkąd znów wynika daléj, że warstwa zewnętrzna, któréj gęstość oceniono na 3, posiada grubość $^1/_6$ części promienia ziemskiego. Pomimo téj stosunkowéj cienkości, z powodu większéj rozległości zewnętrznych warstw kuli, objętość jéj czyni $^4/_9$, tj. prawie połowę całego globu ziemskiego i zawiera czwartą część wszystkiéj jego masy. Na bryłę wewnętrzną, która zajmuje połowę objętości ziemi, przypada tedy $^3/_4$ jéj masy; gęstość zaś jéj, wynosząca nieco więcéj 7, każe się domyślać że składa się ona z materyału metalicznego, a w szczególności z żelaza, którego gęstość najbliżéj liczby téj przypada. Wniosek ten ostatni razić nas nie może, gdy zważymy, że żelazo stanowi pierwiastek obficie występujący we wszystkich ciałach niebieskich; zresztą i magnetyczne własności ziemi są może ze składem tym w związku, żelazo bowiem, jak wiadomo, stanowi najsilniéj magnetyczną substancyą.

Koło samego środka ziemi, jak widzieliśmy, nagromadzone są, według hypotezy Roche'a, materyały najcięższe; rachunki jednak wskazują, że zajęty przez nie obszar zgoła jest nieznaczny, a o gęstości ich także niewiele powiedzieć on umie; przypuszcza wszakże, że prawdopodobnie wynosi ona około 10 lub 12, co stanowi wielkość pośrednią między gęstością srebra i ołowiu.

Aby wreszcie uzupełnić obraz wewnętrznéj budowy naszéj planety, tak odcyfrowany czy raczéj skreślony przez Roche'a, dodać należy, że nie upiera się on przy absolutnéj stałości zewnętrznéj powłoki bazaltowéj; owszem sądzi, że począwszy od pewnéj głębo-

kości może się ona utrzymywać w stanie ciekłym, czém tłómaczyć by się dały niektóre objawy geologiczne. Pozostaje wszakże znów niewiadomém, czy masa ta ciekła stanowi jakby warstwę oddzielającą powłokę skrajną od bryły środkowéj, czy téż nagromadzoną jest tylko w zbiorowiskach, w jeziorach po okolicy téj śródziemnéj rozrzuconych. Wewnętrzna ciężka bryła metaliczna zbliża się składem swoim do aerolitów żelazistych, powłoka zewnętrzna odpowiada meteorytom zwykłym kamienistym.

Hypoteza matematyczna Roche'a przedstawia pewną analogia do poglądów, jakie wyznaje znaczna liczba geologów dzisiejszych; zanim się im jednak przyjrzymy, należy nam załatwić się z jednym jeszcze argumentem porządku astronomicznego.

VII.

Argument ten stanowi zjawisko przypływu i odpływu morza. Wiadomo dziś dobrze, że przyczyną tego ruchu wód morskich jest przyciąganie słońca i księżyca, któremu ulega łatwo ruchliwa masa wody. Jeżeli jednak i stała skorupa bryły ziemskiéj również podobnemu ulega wpływowi, jeżeli i ona okazuje pewien przypływ i odpływ, to ruchy oceanów są słabsze, aniżeliby to miało miejsce, gdyby ziemia bezwzględnie sztywna była, dostrzegamy bowiem wtedy nie całkowity ruch wody, ale tylko różnicę między tym ruchem a ruchem lądów. Jeżeli mianowicie wnętrze ziemi jest ciekłe, jeżeli pod niezbyt grubą stałą powłoką rozlewa się masa ognisto-płynna, to przypływy jéj wywierałyby na skorupę nacisk potężny, wystarczający do jéj przełamywania i przedzierania, i już dawniejsi fizycy, jak Ampère i Poisson, dla ominięcia téj trudności przyjmowali, że bryła ziemska krzepnąć zaczęła od środka, że zatém musi już być w całéj swéj masie stała.

Dokładniéj okoliczność tę wziął pod rozwagę matematyczną William Thomson; obliczył on w szczególności, że niezbyt gruba skorupa ziemska, choćby posiadała zbitość stali, ulegałaby jeszcze ruchom, o których mowa, a wysokość przypływu wynosiłaby ledwie $^2/_3$ zmian, jakie rzeczywiście w poziomie wód dostrzegamy, naciskowi mas płynnych mogłaby się ledwie oprzéć skorupa zesztywniała, o grubości co najmniéj 200 lub 300 mil geograficznych, wynosząca zatém trzecią, mniéj więcéj, część całego promienia ziemskiego. Thomson nie poprzestaje jednak na tém i przyjmuje, że wszystka masa ziemi jest już zakrzepła, że stanowi nawet bryłę bardziéj zesztywniałą, bardziéj zbitą aniżeli szkło, tak oporną prawie jak masa stalowa; a chociaż już w niezbyt znacznéj głębokości

masy podziemne rozpalone są do białości, to pozostają jednak stałe, ciążące bowiem na nich olbrzymie ciśnienie podwyższa tak dalece temperaturę ich topliwości, że żar ten do stopienia ich nie wystarcza.

Ze zdaniem Thomsona nauka dzisiejsza liczyć się przywykła, ale na nieszczęście, na wysokość przypływu wód morskich działają okoliczności uboczne, które utrudniają dokładne zestawienie wywodów teoretycznych z istotnemi dostrzeżeniami, — wywiera tu wpływ najpierw niejednostajny na powierzchni ziemi rozkład lądów i mórz, a daléj—spadek deszczów, tajanie lodów, nacisk wiatrów, dla tego téż i Thomson sam oczekuje rozstrzygnięcia w dosyć odległéj dopiero przyszłości. Oprócz jednak przypływów zwykłych, które zgodnie z dziennym obrotem ziemi, dwukrotnie w ciągu doby po sobie następują, obrót księżyca naokoło ziemi powoduje również pewne przypływy i odpływy, a raczéj pewne nieregularności przypływów zwykłych, które się ujawniają dwukrotną w ciągu miesiąca peryodycznością. Tak samo wreszcie i zmiana położenia ziemi względém słońca w ciągu roku wywołuje znów inną, półroczną okresowość przypływów i odpływów. Oba te rodzaje przypływów, już z powodu dłuższego czasu, potrzebnego do ich wytworzenia, słabiéj daleko wikłającym tym zakłóceniom ulegać muszą, do nich przeto przedewszystkiém odwołać się trzeba w spornéj kwestyi co do stałości lub płynności wnętrza ziemi. W ostatnich latach prowadzono staranne badania wysokości przypływów w rozmaitych portach, ale jak twierdzi Zöppritz, który wszystkie ztąd otrzymane dane starannie zebrał, nigdzie nie zdołano dostrzedz owych półmiesięcznych lub półrocznych przypływów. Skoro zaś rozważania teorytyczne konieczność takich przypływów dowodnie wykazują, brak ich, jak sądzi Zöppritz, tém się tylko da wytłómaczyć, że i podłoże, na którém się wody oceanu rozlewają, że i dno morskie wraz z wodą podobnym przypływom ulega, że zatém daléj ziemia nie jest dosyć zesztywniałą, by oprzéć się mogła przyciągającym wpływom księżyca i słońca.

Zöppritz wnioskuje tedy, że zebrane przez niego szczegóły przywracają znów siłę dawnym poglądom o płynności wnętrza ziemi. Za stanowcze wszakże wywodów jego również uważać nie można, opierają się bowiem temu badania G. H. Darwina, który dowiódł, że choćby cała ziemia posiadała płynność stopionéj lawy, a była otoczona skorupą grubości około 100 kilometrów, ulegałaby przypływom równie silnym, jak i wody oceanów. Na powierzchni takiéj przeto bryły i dobowe, dzienne przypływy zgołaby uczuć się nie dawały. Skoro zaś przypływy takie niewątpliwie istnieją, to

chociaż przypływy półmiesięczne i miesięczne dostrzedz się nie dają, ziemię—mówi G. H. Darwin—za bryłę stałą uważać należy.

Tak więc i ten trzeci wzgląd astronomiczny do rozstrzygnięcia spornéj kwestyi dotąd doprowadzić nie zdołał, jakkolwiek z rozważań powyższych wynika, że powody astronomiczno-matematyczne za skrzepnięciem przeważnéj części ziemi przemawiają, a wielu wybitnych fizyków współczesnych poglądowi temu hołduje.

VIII.

Z zakresu tych prac zresztą wspomniéć nam tu jeszcze wypada o rozprawie d-ra Ludwika Birkenmajera („Studya z dziedziny fizyki teoretycznéj. I. O wewnętrznym ustroju ziemi.“ Lwów 1879), tém więcéj, że nasuwa ona pod uwagę naszą jednę jeszcze okoliczność, o któréj nie wspominaliśmy dotąd, mianowicie o działaniu siły ciężkości wewnątrz ziemi.

Punkt umieszczony zewnątrz ziemi ulega przyciąganiu wszystkiéj masy, jakby skupionéj w jéj środku. Jeżeli jednak wyobrazimy sobie punkt umieszczony wewnątrz kuli wydrążonéj, to przyciąganie całéj takiéj warstwy kulistéj na punkt ten wewnętrzny, jak to jeszcze Newton okazał, będzie żadne, przyciągania różnych jéj części bowiem nawzajem się znoszą. Punkt zatém materyalny, znajdujący się wewnątrz ziemi, ulega przyciąganiu téj tylko jéj części, która zamknięta jest w powierzchni kulistéj, przez tenże punkt przechodzącéj, cała zaś warstwa zewnętrzna działania nie wywiera żadnego, czyli krótko mówiąc, punkt znajdujący się wewnątrz ziemi ulega jedynie wpływowi jądra wewnętrznego.

Jakkolwiek więc zapuszczając się wewnątrz kuli, zbliżamy się do jéj środka, mimo to natężenie przyciągania słabnie, a w samym środku, w samém siedlisku całego tego działania, schodzi do zera. Przebieg tak prosty mógłby wszakże miéć miejsce jedynie tylko w kuli jednorodnéj, czyli utworzonéj z masy wszędzie jednakowéj. Wewnątrz ziemi stosunki być muszą bardziéj zawiłe, głębsze jéj bowiem warstwy utworzone są z materyałów gęstszych; gdy więc zagłębiamy się w ziemię, zatraca się wprawdzie działanie warstw skrajnych, ale natomiast znajdujemy się w odległości mniejszéj od mas gęstszych, wywierających działanie przeważne, co stratę z zyskiem wynagradza. Dlatego to siła ciężkości aż do pewnéj głębokości wzrasta wewnątrz ziemi, dopóki nie zajdziemy tak głęboko, że strata warstw zewnętrznych przeważać zacznie,— znajdziemy się wtedy w okolicy, gdzie siła ciężkości dochodzi najwyższego swego natężenia, swego maximum, by odtąd znów maléć, dopóki w samym

środku ziemi nie zejdzie do zera. W jakiéj zaś głębokości, w jakiéj odległości od powierzchni ziemi maximum to siły ciężkości zachodzi, zależy to oczywiście od tego, jak rozłożoną jest gęstość wewnątrz bryły ziemskiéj. Wiemy zaś, że kwestya ta jest zagadkową i że pod tym względem skazani jesteśmy na domysły tylko.

Otóż dr. Birkenmajer wyraża w pewien sposób ogólny zależność gęstości od ciśnienia i rozbiera szczególne przypadki, o ile się one do rachunku nagiąć dają. W każdym oddzielnym z takich przypadków głębokość, w jakiéj siła ciężkości osiąga swe maximum, będzie odmienną: gdyby przyrost gęstości wewnątrz ziemi zachodził w sposób, jak to przyjmował Laplace, miałoby to miejsce w odległości około 188 mil geograficznych, gdyby zaś działo się to według hypotezy Roche'a, odległość ta byłaby nieco mniejsza, około 157 mil geograficznych.

Z drugiéj strony dane astronomiczne, o których mówiliśmy wyżéj, pozwalają oceniać z pewném przybliżeniem grubość zesztywniałéj skorupy ziemskiéj,—z zestawienia zaś tak otrzymanych rezultatów okazuje się, że grubość téj skorupy jest dosyć bliską głębokości, w jakiéj siła ciężkości największe swe natężenie osiąga. Zbliżenie to, sądzi d-r Birkenmajer, nie może być przypadkowém i stara się je w następny wytłómaczyć sposób. Gdy krzepnięcie ziemi wskutek stygnięcia rozpoczęło się na jéj powierzchni, to bryły zakrzepłe stając się cięższemi wskutek zmniejszenia objętości, opadały w otaczającéj je cieczy, ale zejść mogły najgłębiéj do tych tylko warstw, gdzie działanie ciężkości jest najsilniejsze. Tu więc gromadziły się masy przeprowadzone w stan stały i od téj okolicy rozpoczęło się formowanie zakrzepłéj, zesztywniałéj skorupy ziemskiéj, któréj grubość wynosi tedy przynajmniéj 200 mil geograficznych.

Inni autorowie przyjmują ruch mas zakrzepłych aż do środka ziemi; d-r Birkenmajer zwraca tedy uwagę na pomijaną dotąd okoliczność, która wszakże prowadzi za sobą pewne trudności i wymaga dokładniejszego rozważenia. Skupianie się mas ciężkich dokoła środka stanowi bowiem podstawę zarówno i rozbieranych wyżéj teoryi matematycznych, jak i poglądów geologicznych, do których teraz zwrócić się nam wypada.

IX.

Bezpośrednim badaniom geologicznym dostępne są oczywiście wierzchnie tylko pokłady ziemskie, z których o ustroju warstw głębszych bardzo nieliczne tylko wskazówki wydobyć można; klucza zatém do odcyfrowania téj zagadki szukać trzeba w geogonii, w hi-

storyi tworzenia się i rozwoju ziemi, jakkolwiek dzieje te hypotetyczny jedynie charakter przedstawiać mogą. Początkowym punktem wyjścia tych dziejów, jak już wiemy, jest pierwotna mgławica Laplace'a i na téj téż podstawie opierają się domysły geologów, które tu przytoczymy pokrótce, według jasnego przedstawienia prof. Lasaulx. Możemy tu zresztą pominąć najbardziéj bajeczny wstęp tych dziejów, gdy ziemia jeszcze masę gazów jedynie stanowiła; uważmy ją w téj chwili, gdy przez ściąganie się i ciśnienie téj masy przeszła już w bryłę ciekłą, dokoła któréj szeroko rozlegała się jeszcze atmosfera rozżarzona, — stan ten odpowiadał mniéj więcéj okresowi, w jakim obecnie słońce pozostaje. Ciekła ta masa ziemi nie przedstawiała jeszcze wyróżnienia oddzielnych materyałów, była to jednostajna mniéj więcéj mieszanina, „magma" wedle przyjętego w ostatnich czasach terminu, z któréj dopiéro następnie wydzielić się i wyodrębnić miały oddzielne substancye chemiczne i mineralogiczne, stanowiące obecnie części składowe bryły ziemskiéj. Wyróżnianiu takiemu przeszkadzała poprzednio ruchliwość masy ciekłéj, ciągłe w jéj łonie prądowania; przy przejściu dopiéro ze stanu ciekłego do stałego dokonywać się mogło indywidualne grupowanie pierwiastków i ich związków, krzepnięcie zaś téj ognistopłynnéj sferoidy rozpocząć się mogło tam, gdzie temperatura najwięcéj się obniżała, zatém na jéj powierzchni, wciąż przez promieniowanie stygnącéj. Owa ciekła mieszanina wszelakich stopionych materyałów posiadać musiała ciężar właściwy pośredni, była cięższą od materyałów lżejszych, a lżejszą od materyałów cięższych, w skład jéj wchodzących; gdy stygła, ze wspólnéj téj masy wydobywały się najpierw te materyały, które mogą już w tak wysokiéj krzepnąć temperaturze, czyli, innemi słowy, substancye najtrudniéj topliwe.

Nie znamy wprawdzie warunków, przy jakich się cały ten przebieg dokonywał, a w szczególności nie wiemy, pod jakiém odbywał się on ciśnieniem, od czego właśnie ta temperatura krzepnięcia zależy, przypuścić jednak możemy, że wysokość tego ciśnienia w jednakowy mniéj więcéj sposób na wszystkie oddziaływała materyały, a zatém z płynnéj, ognistéj mieszaniny wyosabniać musiały się te ciała, które i ze zwykłych naszych doświadczeń znamy jako najtrudniéj topliwe. Do ciał zaś takich, jak wiadomo, należą najpierw metale ciężkie, jak iryd, platyna, nikiel, mangan, kobalt, miedź, żelazo, złoto, srebro, a daléj metale lżejsze: glin, wapń, magnez, oraz pierwiastek niemetaliczny, krzem, rozprzestrzeniony bardzo silnie na ziemi, w postaci krzemionki i krzemianów, czyli związków z ostatnio wymienionemi i niektóremi innemi pierwiast-

kami. Wszystkie zatém trudno topliwe substancye podzielić się dają na dwie grupy, na ciała ciężkie, metale, których ciężar właściwy przenosi liczbę 7, oraz na ciała lekkie, jak krzemionka i krzemiany, których ciężar właściwy wynosi około 3. Ognisto-płynnéj zaś mieszaninie przypisać wypada, jak już nadmieniliśmy, pewien pośredni ciężar właściwy, około 5½, co odpowiada właśnie znanéj nam obecnie średniéj gęstości ziemi. Gdy więc na powierzchni stopionéj masy gromadziły się żuzle zakrzepłe, jedne z nich, lżejsze, pozostawały w górze, tworząc wyspy, gromadzące się i zbijające zwolna w skorupę, która się właśnie z krzemianów składa; cięższe zaś, metaliczne bryły zatapiały się w głąb', dążąc aż do środka bryły ziemskiéj. Na drodze téj przybywały wprawdzie do okolic gorętszych, gdzie znowu stopnieć mogły, ale zarazem téż dostawały się i pod ciśnienie większe, które wogólności powrotowi do stanu ciekłego przeszkadzało, a bryły te zakrzepłe stopniowo gromadziły się koło środka.

Proces przeto krzepnięcia bryły ziemskiéj dokonywał się z dwu stron współcześnie, zarazem grubiała i skorupa na powierzchni i narastały bryły stałe u środka,—jakie wszakże zachodziły tu kombinacye, jak się ustanawiały stopy metaliczne i związki chemiczne, określić nie jesteśmy w możności. W miarę jednak, jak działanie to coraz daléj postępowało, gęstość pozostałéj mieszaniny zbliżała się coraz bardziéj do gęstości oddzielnych składowych jéj części, wydzielanie tych substancyi dokonywało się trudniéj, a proces krzepnięcia zachodził wolniéj.

W ten sposób nabieramy wyobrażenia, że między stałém jądrem a stałą skorupą ziemi przetrwała stosunkowo cienka warstwa pośrednia, a na podstawie doświadczeń geologicznych możemy nawet o jéj naturze wyrobić sobie pojęcie. W warstwie téj bowiem zawierać się muszą zarówno krzemiany i metale ciężkie, czyli ogniwa górnego i dolnego zakrzepu, i to w takiéj kombinacyi, aby ich ciężar właściwy zajmował miejsce pośrednie. Warunkom zaś tym odpowiada najbliżéj grupa minerałów oliwinowych, których ciężar właściwy wynosi od 3,2 do 4,3, a skład chemiczny również wymaganiom powyższym odpowiada. Tym sposobem dochodzimy do wniosku, że skały oliwinowe we wnętrzu ziemi odegrywają ważną rolę, jak to inną zupełnie drogą wywnioskował Daubrée, opierając się na budowie aerolitów i na zestawieniu ich z głębokiemi pokładami ziemi. W meteorytach mianowicie oliwin stanowi stateczną część składową, na ziemi zaś napotyka się w bazaltach i innych skałach wybuchowych, zajmujących dolne obszary skorupy ziemskiéj.

Z wywodów powyższych nie wypływa wszakże koniecznie, aby ta warstwa pośrednia między skorupą zewnętrzną a stałém również jądrem ziemi dotąd w stanie ciekłym pozostawać jeszcze miała, i ona bowiem z biegiem czasu zwolna zakrzepnąć również mogła. Zdawałoby się wprawdzie, że objawy wulkaniczne na powierzchni ziemi występujące, a ujawniające się przedewszystkiém wypływem płynnéj lawy, same już stanowią dowód istnienia pod wierzchnią powłoką ziemi roztopionéj dotąd masy. Dawno już jednak przebrzmiały te pierwotne poglądy plutoniczne, według których wulkany stanowić miały jakby klapy bezpieczeństwa, które dając ujście rozhukanym falom ognistym wnętrza ziemi, chronić miały okolicę sąsiednią od trzęsień. Obecnie wiadomo, że trzęsienia rozchodzą się z miejsc niezbyt pod powierzchnią ziemi zagłębionych i niekoniecznie wiążą się z działalnością wulkaniczną; lawa zaś, lubo w stanie ciekłym z wulkanów się wydobywa, niekoniecznie już w głębi ziemi ciekłą być musi.

Chociażby bowiem ziemia zupełnie już zakrzepła, to w każdym razie, według wywodów powyższych, pośrednia warstwa oliwinowa najpóźniéj w stan stały przeszła i składa się z materyałów najłatwiéj topliwych, które przez niewielki przyrost temperatury znowu w stan płynny przejść mogą. Nadto jednak do utrzymywania ich w stanie stałym przyczynia się i ciśnienie warstw górnych, co wogóle na utrudnienie topienia wpływa. Skoro więc w jakikolwiek sposób w pewném miejscu ciśnienie to ulega osłabieniu, masy przemocą niejako tylko dotąd w stanie stałym utrzymywane, rozpływają się znów i tworzą ciekłe lawy. Powód zaś do takiego przechodniego zmniejszania się ciśnienia nastręczają rozliczne fałdowania i przesuwania się górnych pokładów ziemi, co znów jest w związku ze ściąganiem się skorupy, z wytwarzaniem się gór na ziemi. Geologiczne te sprawy jednak bliżéj nas tu zajmować nie mogą; — szło nam tylko o wskazanie możliwości, że i hypotezy stwardniałéj zupełnie bryły ziemskiéj z objawami wulkanizmu nie zostają w sprzeczności.

Powrót zresztą téj lub owéj części warstwy pośredniéj do stanu ciekłego łatwiéj jeszcze pojmować możemy, jeżeli wyobrazimy sobie, że nie zakrzepła ona dokładnie, ale że pozostaje w stanie lepkim, ciastowatym, półpłynnym niejako, który poprzedza zupełne skrzepnięcie. Na stan ten przechodni nie zwracano dotąd wogóle dostatecznéj uwagi. Przechodzenie ciał ze stanu stałego do ciekłego przywykliśmy oceniać według najłatwiéj nastręczających się uwadze naszéj objawów topienia lodu; przejście to dokonywa się tu rzeczywiście dosyć nagle, trudno zauważyć jakiś stan przechodni

między lodem a wodą, między ciałem stałém a ciekłém. W innych jednak razach zachodzi tu wyraźne stopniowanie, ciało stałe nie zamienia się jakby jednym zamachem w ciecz swobodnie płynną, rozpływa się zwolna, przechodząc przez pewien stan lepkości, ciągliwości, jest jakby półpłynném; stan ten pośredni u różnych ciał trwa krócéj lub dłużéj, jak to dostrzedz można dobrze na siarce lub selenie. W szczególności, co nas tu głównie obchodzi, okazują to lawy płynące, które są tak spoiste, że opierają się wtłoczeniu w nie obcych ciał, a głazy stosunkowo od nich cięższe unoszą się na ich powierzchni; pomimo to płyną i poruszają się z pewną prędkością. Bardzo łatwo więc zgodzić się możemy na przypuszczenie, że pośrednia warstwa oliwinowa ziemi utrzymuje się w takim właśnie spoistym, lepkim stanie.

Na stan ten przejściowy, półpłynny niejako, fizycy w ostatnich dopiéro czasach bliższą nieco uwagę zwracać zaczęli. Werner Siemens, badając zachowanie się i pôwolne krzepnięcie szkła stopionego, rozpatrzył to powolne przechodzenie ze stanu doskonale płynnego w stan ciastowaty, który się utrzymuje pod najsilniejszém ciśnieniem; na podstawie zaś tych poszukiwań zarzuca on Thomsonowi, że w znanych nam już dochodzeniach matematycznych przyjmował nagłą i stanowczą granicę między twardą skorupą a płynném wnętrzem, gdy w naturze wogólności przejście to dokonywa się tylko zwolna i stopniowo.

Okoliczność tę należy tedy uwzględniać w hypotezach o wewnętrznym ustroju bryły ziemskiéj; rzeczywiście téż zarówno i rygidyści, jak i wiscydyści, jak Hennesy nazywa stronników stałości i płynności jądra ziemi, pod skorupą zewnętrzną mieszczą taką magmę, czyli warstwę masy plastycznéj, która dobrze się nadaje do wyjaśniania objawów wulkanicznych. Aż do granicy, w któréj się magma ta rozpoczyna, liczyć należy grubość skorupy ziemskiéj, dla obliczenia jéj jednak brak nam istotnych wskazówek geologicznych. Na podstawie nader słabo ledwie znanego prawa przyrostu temperatury podziemnéj obliczył Henrich, że w głębi 84,000 metrów panować musi temperatura 2500°, w któréj wszystkie już nam znane substancye ziemskie stopieniu ulegać muszą. Brano pod uwagę przewodnictwo materyałów, składających skorupę ziemską i niektóre inne dane geologiczne, a ztąd różni różnie oceniali jéj grubość, ale ocena taka dostatecznego uzasadnienia przedstawiać nie może.

Geolog kroacki Pilar, który całą naukę o objawach podziemnych objął oddzielną nazwą abyssodynamiki, przemawia za płynnością jéj wnętrza, przyjmuje, że grubość skorupy stanowi około $^1/_{50}$ do $^1/_{40}$ części całego promienia ziemskiego, co najwyżéj zaś

wynosi 120 kilometrów. Główny jednak nacisk w teoryi swéj kładzie na to, że grubość skorupy w rożnych miejscach zgoła nie jest jednakowa, czyli że powierzchnia lawy roztopionéj w różnych punktach niejednakowo blisko do powierzchni ziemi przystępuje. Powierzchnię tę, która przebiega przez najwyższe wyniesienia się tych mas ciekłych nazywa on ryakohypsą, a położenie jéj ma zostawać w związku z rozmaitém natężeniem działalności wulkanicznéj w różnych miejscach ziemi.

X.

Jakkolwiek mówiliśmy już o stałym, płynnym i półpłynnym stanie wnętrza ziemi, nie wyczerpaliśmy wszakże wszystkich możliwych domysłów. Pozostał bowiem jeszcze lotny, gazowy stan materyi.

Może się wprawdzie zupełną wydawać niedorzecznością przypuszczenie, że wnętrze ziemi wypełnione być może gazem, który przecież pod olbrzymim naciskiem, jakiby tam panował, lotności swojéj utrzymywać by nie mógł i musiał uledz skropleniu. Doświadczenia przecież Cailleteta, Picteta, Wróblewskiego i Olszewskiego przekonały, że najoporniejsze nawet gazy, które niedawno trwałemi nazywano, ulegają wreszcie przemocy i zamieniają się w ciecze,—jakżeżby oprzéć się mogły naporowi w łonie ziemi.

Cokolwiek jednak sądzilibyśmy o takiéj hypotezie gazowego jądra ziemi, tak pośpiesznie odpierać jéj nie można, skraplanie bowiem każdego gazu dokonać się może jedynie poniżéj pewnéj, oznaczonéj temperatury. Andrews mianowicie wykazał, że dla każdego gazu istnieje pewna temperatura krytyczna, powyżéj któréj żadne wysilenie, żadne, choćby największe ciśnienie, jakkolwiek znacznie mogłoby objętość jego zmniejszyć, nie będzie wszakże w stanie gazu tego w ciecz zamienić. Przyczyna tego osobliwego zachowywania się gazu na tém polega, że przez ściskanie go rozwija się ciepło, które się skraplaniu sprzeciwia; aby gaz zatém w ciecz zamienić, nie wystarcza samo poddawanie go znacznym ciśnieniom, ale potrzeba jeszcze koniecznie oziębić go poniżéj owéj temperatury krytycznéj, która zresztą dla każdego gazu jest inna. Dla gazów najwybitniejszych, jak dla wodoru, przypada ona bardzo nisko, koło 200^0 niżéj zera, dla gazów innych temperatura krytyczna jest wyższa, ale i pary wodnéj nie można skroplić, nie można jéj w wodę zamienić, skoro ogrzana jest wyżéj 580^0. Rozumié się, że dla ciał trudno topliwych i trudno lotnych granica ta sięga wyżéj jeszcze, zapewne jednak tak wysoka temperatura, jaka w łonie ziemi panować może, przewyższa punkty krytyczne wszelkich znanych nam

ciał;—z tego więc względu hypoteza gazowego jądra przeszkody nie napotyka.

Nie jest to nawet pomysł nowy, już bowiem Franklin wyobrażał sobie ziemię wypełnioną wewnątrz płynem sprężystym czyli gazem; do poglądu tego, który przyjął także i Chladni, skłaniał Franklina ten wzgląd, że na zasadzie prawa Mariotte'a o zależności między gęstością gazów a ciśnieniem, jakie znosi, obliczyć można, że już w niewielkiéj stosunkowo głębokości gazy przyjmować muszą gęstość przechodzącą gęstość platyny lub irydu, ściśnięta przeto taka masa gazu całą skorupę łatwo na sobie unosić może. Leslie znów, w duchu widocznie ówczesnéj fizyki, zastąpił gazy „płynami nieważkiemi", którym przypisywano większą jeszcze aniżeli gazom sprężystość, czyli siłę repulsyjną, co według świadectwa Humboldta w sferach nienaukowych dało powód do rojeń fantastycznych. Przypomniano sobie może dawny pomysł Halleya, że ziemia jest wydrążona i we wnętrzu swém mieści planetę, któréj ruchy powodują zmiany w natężeniu magnetyzmu ziemskiego.

Z pisarzy nowszych w podobnym duchu przemawia znany filozof angielski Herbert Spencer, który wypełnia wnętrze ziemi parami o wysokiéj bardzo prężności; mało wszakże zwrócono uwagi na hypotezę tę, aż wreszcie znalazła ona godnego przedstawiciela w osobie Rittera, który na zasadach teoryi mechanicznéj ciepła przeprowadził dokładne badania nad konstytucyą gazowych ciał niebieskich. Wiadomo, że gdy pewna ilość powietrza powiększa swą objętość, temperatura jéj opada, jak to się dzieje np. z prądami wznoszącemi się w górę w atmosferze naszéj. Ritter rozpatruje tedy kulę gazową, któréj temperatura maleje od środka ku powierzchni według tego samego prawa, jakby to miało miejsce, gdyby pewna masa tego gazu wznosiła się w tymże kierunku, oziębiając się wskutek samego rozprzestrzeniania. Kula taka stygnie przez promieniowanie, przez wysyłanie ciepła w przestrzeń, ale wskutek tego ściąga się zarazem, co znów powoduje przyrost temperatury, który ową utratę zewnętrzną ciepła pięciokrotnie wynagradza. W bryle takiéj, objętości naszéj ziemi, gęstość gazu około środka przechodzi 143 razy gęstość wody, panuje tam ciśnienie wyrównywające trzem milionom atmosfer, a temperatura dochodzi 100000°. Przypominamy sobie, że olbrzymie i przerażające takie ciśnienie stanowiło jeden z powodów, dla których wielu badaczy zarzuciło hypotezę wnętrza ciekłego i skłoniło się do pojęć o zupełném zakrzepnięciu ziemi. Zresztą o własnościach gazu, pozostającego w okolicznościach tak odrębnych od warunków, w jakich się obserwacye nasze obracają, nie umielibyśmy wiele powiedziéć; to tylko

twierdzić można, że zachowuje on zawsze zasadniczą własność gazów, to jest rozprzestrzenianie się, zdolność zapełniania wszelkiéj próżni, która mu się otwiera.

Pomysły Rittera zyskały rozgłos, gdy je rozwinął Zöppritz na zjeździe geografów niemieckich w r. 1882. Ritter zresztą w poszukiwaniach swoich nie wychodzi po za obręb gazowego wnętrza ziemi, Zöppritz uzupełnia te wywody i prowadzi aż do obecnéj powierzchni ziemi. W miarę, jak wydobywamy się z wnętrza téj ogólnéj masy gazowéj, jak temperatura jéj się obniża, wyosobniają się z niéj odrębne pierwiastki, utrzymując się jeszcze w stanie lotnym, dopóki temperatura nie opada poniżéj ich punktów krytycznych; wtedy obezwładnione dotąd ciśnienie władzę swą odzyskuje i roztacza się warstwa ciekła. Im bliżéj dochodzimy powierzchni, tém więcéj ciecz ta na czystości traci, staje się mętną, spoistą, ukazują się w niéj bryły zakrzepłe, i stopniowo, bez gwałtownego przeskoku, przechodzi wreszcie w skorupę zesztywniałą, któréj powierzchnię człowiek zamieszkuje. W przebiegu tym odnajdujemy znowu ową półpłynną warstwę pośrednią, która tedy, jak widzimy, równie dobrze pogodzić się może z wnętrzem gazowém, jak z jądrem ciekłém lub stałém.

Z przedstawienia powyższego widzimy, że obecna nasza znajomość wnętrza ziemi przedstawia się w zarysach bardzo skromnych, a daleka chyba dopiéro przyszłość zdoła wygładzić sprzeczności, któremi się jeżą poglądy dzisiejsze. Nie mniéjsze napotkalibyśmy też sprzeczności, gdybyśmy chcieli podjąć tu jeszcze kwestyą czasu, gdybyśmy zapytali, jak dawno istnieje ziemia w warunkach dzisiejszych, jaki okres upłynął od czasu wytworzenia się zakrzepłéj jéj skorupy. Gdy bowiem geologowie, rozważając powolny dziś przebieg przeobrażeń na powierzchni ziemi, dla wyjaśnienia stopniowego rozwoju skorupy wymagają całych setek milionów lat, Thomson udziela do ich rozporządzenia ledwie dziesięć do piętnastu milionów lat, a wskazówki do takiéj oceny wyczytuje znowu w niektórych objawach astronomicznych. Rzecz ta jednak pośrednio tylko wiąże się z kwestyą obecnego stanu wnętrza ziemi, a i tak już spotkać mnie może zarzut, że zbyt długo zatrzymywałem uwagę czytelnika nad sprawą, o któréj naprawdę nic nie wiemy. Niech mnie jednak usprawiedliwi to, że więcéj pisze się o rzeczach, których także nie rozumiemy lepiéj, choć dzieją się na powierzchni ziemi i w blasku dnia jasnego.

Stanisław Kramsztyk.



Z OKRESU ROMANTYZMU.

PUSZKIN I LERMONTOW JAKO BAJRONIŚCI.

(Odczyty miane w Petersburgu 27, 31 stycznia i 3 lutego 1888).

Odczyt pierwszy o Puszkinie.

1.

Przed kilku dniami, 22 stycznia bieżącego 1888 r. upłynęło stulecie od daty urodzenia się Jerzego Gordona Byrona. Wielką wziętość zyskał on dopiero mając lat 24, kiedy po wydaniu pierwszych dwóch pieśni Childe Harolda zapisał w marcu 1812 r. w swoim dzienniczku: „obudziłem się dnia pewnego i dowiedziałem się, żem sławny człowiek.“ Odtąd w ciągu następnych lat dwunastu sława jego wzrastała i doszła do szczytu w dobę zgonu 19 kwietnia w Missolunghi. Spółcześni nie zwrócili uwagi na to, że zgasł człek przeżyty, szukający tylko „żołnierskiego grobowca“ i piszący na ostatnią, 36-rocznicę swoich urodzin, „ogień co piersi mi pożera jest jak samotny wulkan—wyspa—nie płonie on jako pochodnia, lecz jako pogrzebowy stos“! (1) Wszystkich uderzył heroizm tego zgonu, umiejętność bohatera urządzenia i otoczenia tak życia swego jako i śmierci swojéj poetycznie. Po śmierci Byron zasłynął więcéj niż za życia, imię jego napełniało Europę, wyglądał on jak jaki Napoleon w poezyi; poezya jego budziła umysły, pewnych ludzi złościła, drażniła, innych podbijała i pociągała; dla nikogo nie była obojętną. Najbardziéj utalentowani ludzie na lądzie europejskim, gdzie

---

(1) The fire that on my bosom preys
Is lone as some volcanic isle,
No torch is kindled at its blaze—
A funeral pile.

Byrona wogóle ceniono więcéj niż na Albiońskiéj wyspie, otwarcie przyznawali się, że są jego stronnikami i naśladowcami. Poczynający, bardzo płodny poeta, Lamartine w ten sposób apostrofował Byrona (*Méditations poetiques*, 1820): *Toi dont le monde ignore le vrai nom: Esprit mysterieux, mortel ange ou demon*! Prawie w ten sam sposób wyraża się Puszkin w „Onieginie": „Utwór piekielny czy niebieski—ten anioł czy ten hardy bies, któż jest on?" W dzisiejszéj chwili utonęła w letejskiéj fali pamięć o Byronie jako o polityku, jako o antagoniście traktatów wiedeńskich 1815 i restauracyi monarchiczno-klerykalnéj, jako o chorążym ówczesnego liberalizmu; pozostaje jednak nieuszczuplonym fakt kolosalnego wpływu Byrona na współczesnych i na najbliższe pokolenia. Historya literatury zajmuje się wciąż nie opracowaną ostatecznie kwestyą co do odbicia się poezyi Byrona w utworach innych poetów, co do uskutecznionych przez nich zapożyczek i odtwarzania przez innych jego idei artystycznych, chociażby w odmiennych formach. Bajronizm wywołał bardzo liczne echa w literaturach europejskiego wschodu, polskiéj i rosyjskiéj. Badania nad bajronizmem w Rosyi prowadzone są systematycznie, począwszy od Bielińskiego; surowy materyał zebrano prawie wszystek, przedmiotu jednak nie wyczerpano. Badania dotąd zwykle trzymane są w ciasnych ramkach czysto-literackich. Zestawiano poetę z innemi poetami w ich utworach, a jednak potęga Byrona i wpływ jego tkwiły nietylko w talencie poetyckim, ale szczególniéj w jego osobie. Słusznie zauważył rosyjski krytyk Apollo Grygoryew (Soczynienja, I, 151), że bajronizm był rodzajem pożerającego namiętne natury powietrza, do tego stopnia, że sam Puszkin ulegał mu nie jako wzorcowi artystycznemu, lecz jako wielkiemu zjawisku historycznemu, jako „władcy dusz wieku swego", gdy pisał porównywając go z morzem: „On był, o morze, piewcą twym, Na twoje stworzon podobieństwo, jak ty bezdenny, potężny, mroczny—jak ty niepohamowan niczém".

Drugi brak dotychczasowych studyów nad bajronizmem polega na tém, że brana za punkt wyjścia poezya Byrona uchodzi za coś jednolitego, zaokrąglonego, niedającego się rozkładać na pierwiastki. Bezwątpienia jest ta poezya jednostajną, mistrzowstwo jéj jest jednostronne. Byron ma uczucie ogniste, ale ograniczoną wyobraźnię. Brak mu tego, co Taine zowie *l'ésprit sympathique*, zdolności czuć za drugich, albo jak się wyraził Dostojewski, wcielać się w drugich. Wszędzie i zawsze ma on do czynienia tylko ze swojém potężném „ja", chorobliwie czułém, piekielnie dumném, buntującém się i niepohamowaném. Po dokonaném przejściu swojém w upodobaniach od Byrona do Szekspira, Puszkin skutkiem właści-

wéj mu przenikliwości sądu uznawał, że ciasne są granice talentu tego, któremu hołdował, bożyszcza, Byrona, przynajmniéj w obrębie dramatu: *Ce Byron n'a jamais conçu qu'un seul caractère (et c'est sien). Ce Byron a partagé entre ses personnages tel et tel trait de son caractère; son orgueil à l'un, sa haine à l'autre, sa mélancolie au troisième et c'est ainsi que d'un caractère plein, sombre et energique il a fait plusieurs caractères insignifiants* (list do Rajewskiego r. 1825. Pełne wyd. dzieł P. pod red. Morozowa, VII, 158). Jakkolwiek jednolita jest ta poezya i mocno nacechowana w każdym wierszu osobistością autora; jakkolwiek wydatne są i ostre rysy téj poezyi, wszakże jest ich kilkoro i działanie ich było bardzo rozmaite, zależne od temperamentów, które ta poezya podbijała. W poezyi Byrona wyraził się przedewszystkiém duch wieku, uczucie panujące albo raczéj choroba tego wieku, to co Niemcy nazywali *Weltschmerz*'em, co dziś nosi miano pesymizmu, pojmowanie życia jako cierpienia a istnienia jako zła. Prócz tego poezya owa zawierała w sobie walkę z tém złém, oddziaływanie przeciwko niemu Prometeuszowe, tytaniczne, stosunek doń pogardliwy i podniosły. Nareszcie pod względem techniki forma téj poezyi była zachwycająca. Poeta doskonale wyrażał wszystkie uczucia bardzo wrażliwéj duszy od najdelikatniejszych do najmocniejszych i ponurych. Obrazowanie było plastyczne, bez żadnych niedomówień i najmniejszéj mglistości. Przekładał Byron nad wszystko rzeczy wspaniałe, kolosalne, kładł grubo jaskrawe barwy, był nieporównanym kolorystą. Idee, uczucia, technika—te były u Byrona środki działania, któremi wpływał na drugich poetów w najrozmaitszy sposób. Natury bardzo do siebie niepodobne, ludzie najprzeciwniejszych usposobień mogli się spotkać jednocześnie w obozie bajronizmu, pod jednym stojąc sztandarem. Ruch zwany bajronizmem można porównać do trąby powietrznéj, która zbiera do kupy z rozmaitych pól mnóstwo prochu, poruszającego się spiralnie z dołu do góry. Z szybkości ruchu i kierunku odrobinek prochu można wnioskować do pewnego stopnia o właściwościach i sile wiatru, podnoszącego te pyłki.

Taki rzut oka wstecz na bajronizm i na samegoż Byrona mógłby oświecić twórczość poety i charakter jego epoki. Zadanie to zbyt wielkie dla jednéj osoby, wymaga bowiem przestudyowania kilkudziesięciu albo kilkuset autorów; lecz jest to praca nęcąca; przytém, można składać się na dokonanie pracy, przygotowywać pojedyńcze cegiełki do budowy. Od dawnego czasu zajmowała mię myśl zaczęcia studyów porównawczych nad bajronistami od zestawiania dwóch par pierwszorzędnych poetów z dwu rasowo spokrewnionych narodowości, polskiéj i rosyjskiéj, pisarzy należących do

jednéj i téjże saméj epoki romantyzmu: Mickiewicza i Puszkina, Lermontowa i Słowackiego. Spełniłem dotąd tylko połowę zadania, wykończyłem tylko część pracy tyczącą literatury rosyjskiéj i mogę obecnie podać owoce moich spostrzeżeń, wydobyte z dzieł Puszkina, którego 50-letnią rocznicę zgonu obchodzono w styczniu roku zeszłego, i Lermontowa, którego również 50-letnią rocznicę obchodzić będziem, jeżeli dożyjemy, 15 lipca 1891 r.

Wchodzę *in medias res* i wprost zaczynam od Puszkina.

2.

Zwykle kładą jako początek znajomości Puszkina z utworami Byrona rok 1820, góry kaukaskie, pobyt w Jurzufie i w Kamionce u rodziny Rajewskich, w któréj znalazł ulgę niejaką po doświadczonych nieprzyjemnościach. Te spadłe nań udręczenia mocno usposabiały go ku przejęciu się uczuciami Byrona, nastrojem protestującym i gniewnym, właściwym temperamentowi Byrona. Puszkin jako osoba najmniéj odpowiadał ideałowi człowieka nakreślonemu przez jego przyjaciela, księcia Wiaziemskiego, w wierszu wziętym następnie przez Puszkina za epigraf do „Kaukaskiego Jeńca“ (II, 300): „wśród burzy losu—twardy głaz, w namiętném wrzeniu lekki listek“. Często w życiu ratowało go to tylko, że zaskoczony przez burzę losu, był on lekki i sprężysty, że mógł dopasowywać się do wszelkiego, w jakiém się znalazł, położenia. W tym razie jednak Puszkin był przybity i nad miarę rozdrażniony, doprowadzony do największéj złości, do wściekłości, nietyle przez zesłanie go na południe, dość łagodne w porównaniu z zaprojektowaném uprzednio zesłaniem do monasteru Sołowieckiego około Archangielska, ile przez bardzo rozpowszechnioną i uporczywie trzymającą się potwarzą, że za jego grzechy literackie, za liberalne wiersze i epigramy pozbawiono go „kilku szmat skóry“, jak wyrażał w oficyalnym o nim liście 17 list. 1824 jenerał policmajster 1-éj armii Skobelew (Russ. Starina 1871, N. 12, str. 673). Po wielu latach, będąc w roku 1825 na wsi, w Michajłowskiém, pisał Puszkin: *je deliberais si je ne ferais pas bien de me suicider ou d'assassiner... Je resolus de mettre tant d'indignation et de jactance dans mes discours et mes écrits, qu'enfin l'autorité soit obligée de me traiter en criminel: j'aspirais la Siberie ou la forteresse comme rehabilitation* (VII, 132). W liście z 1822 do brata swego Leona (VII, 85) Puszkin wspomina o *douleureuse experience* i o *jours d'angoisse et de rage*. W brulionowych zeszytach Puszkina (opis ich przez Jakuszkina w N. 12 czasopism Ruskaja Starina 1884) znajduje się następny niewykończny fragmencik: A w sercu

wrzały burzliwe uczucia—nienawiść, mary zemsty bladéj. Tyś mię poezyo okryła puklerzem—Tyś ocaliła jako anioł pocieszyciel.

Stan ten podrażnienia, nienormalny i nad miarę przedłużony, tłómaczy wiele rysów z życia Puszkina w Kiszyniowie i Odessie, namiętną grę w karty, skandale i zalecanki, psoty wyrządzane bojarom mołdawskim, pojedynki i włóczenie się po stepach z taborem cygańskim. Wybryki Byrona innego były rodzaju, Byron nie był karciarzem, ani napastnikiem. Nie ma powodu idąc śladami Annienkowa (Puszkin w aleksandrowskuju epochu. 1874 r. str. 149) tłómaczyć rozpasanie się Puszkina w ten sposób, jakoby to był bajronizm zwyrodniały przez przeniesienie go na grunt rosyjski i pomieszanie go z oryginalnemi, dzikiemi i nieludzkiemi szczegółami. Wiadomo, że Puszkin oddawał się szalonéj rozpuście kilka razy w życiu, co nie wpływało ujemnie na jego talent, bo właśnie w chwili kiedy powszechnie mniemano, że się ostatecznie pogrążył w uciechy zmysłowe i że na błahe rzeczy się zmarnował, poeta podnosił się znowu na niedościgłe wyżyny, nie zbrukawszy nawet skrzydeł; że otrząsnąwszy się od „bezwstydnego szału żądz“ (*bezstydnoje bieszenstwo żełanij*), sypał on ze swojego rogu obfitości utwory piękniejsze i głębsze od wszystkich poprzednich. Zmysłowość właściwą jest każdemu artyście, a przytém wielcy poeci są to ludzie dziwni, do których stosują się z pewnemi dość znacznemi wyjątkami przepisy powszedniéj, pospolitéj moralności. Kultura uczy ludzi zachowywać się jednostajnie, nie wzruszać się, nie roznamiętniać, dobro czynić bez wysiłku, naturalnie, prawie automatycznie; lecz dla poety taka proza—to śmierć sama. Poeta żyje tylko wzruszeniem i namiętnością, namiętność jest takimże niezbędnym dlań żywiołem, jak ogień dla mitologicznéj salamandry. Twórczość jego reprodukuje z uderzającą prawdą tylko to, co odczuł sam i przecierpiał. W dziejach można na palcach wyliczyć ludzi wyjątkowych, podobnych do Szekspira, twórców z genialnego domysłu. Najczęściéj poeta jest tylko żywém podobieństwem: „Żagla“ (*Parus*) Lermontowa (1832): „Pod nim świetlana toń lazurów, Nad nim lśni słońca promień złoty—Lecz on buntownik woła: burzy!—Jak gdyby burza była pokój!“

Poznajomienie się z Byronem nie zmodyfikowało w niczém trybu życia Puszkina w okresie jego rokoszowym (*Sturm und Drangperiode*), i w bardzo słabym tylko stopniu mogło przyłożyć się do zdziczałości, do pomiatania wszelkiemi światowemi warunkami i konwenansami. Wiadomém jest, że w późniejszym czasie Puszkin się ustatkował, spoważniał, i że ożeniwszy się, często powtarzał po 1830 r. słowa Chateaubrianda w Atali: *il n'y a de bonheur que dans les voies communes*. Przeciwnie, wpływ Byrona na twórczość poetyc-

ką Puszkina był olbrzymi. Puszkin spotkał w Byronie naturę, jak mu się zdawało, pokrewną, poezyą od serca a głównie punkt nowy oparcia się w nowym nastroju swoim, mocno przeczącym i opozycyjnym, nowy teoretyczny podkład dla systematycznéj negacyi. Zagustował on w pessymizmie Byrona, sterującym rdzeń bajrońskiéj poezyi. Zachodzi pytanie, które przed innemi podlega roztrząsaniu, azali Puszkin pojął należycie i przeniknął ów pesymizm, mózgową substancyą twórczości angielskiego poety?

3.

Pesymizmem wogóle zwiemy obrzydzenie życia doprowadzone do złorzeczenia, do wniosku, że człowiekowi ciąży samo istnienie. Pesymizm może służyć za źródło poezyi albo dać początek systematowi filozofii. Pojawia się zrzadka, śród najposępniejszych epok dziejowych i nosi charakterystyczną barwę krytycznéj chwili, w któréj powstał i rozszerzył się epidemicznie. Jakie były odrębne cechy pesymizmu Byrona? Wszyscy zgadzają się na to, że w swoich poglądach na świat Byron należy do wieku XVIII. Jest on humanistą, przekonanym, że człowiek oszpecony został i popsuty przez przesądy niedorzeczne i złe formy towarzyskie; wierzy on w moc rozumu, konieczność powrotu do natury, w wolność bezwględną i bez granic, w możność dojścia do powszechnéj szczęśliwości drogą przepisów prawodawczych i racyonalnego sprawowania rządów. Próbę zrobiono, próba nie udała się, skończyła się najniepomyślniéj w tragikomedyi wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Stary porządek zdruzgotany został i zdeptany, lecz wyzwoleni ludzie sprawowali się jak dzikie zwierzęta, grzęznąc w błocie i krwi kałużach śród rumowisk. Mnóstwo ludzi zwątpiło w rewolucyą poczętą pod hasłem praw rozumu. Główny prąd wieku zmienił się i zawrócił wstecz, zaczęto odbudowywać połamane trony i ołtarze. Cóż zostawało do robienia ludziom niechcącym wkładać szyi do dawniejszego jarzma? Zaiste, bronić wedle możności danych przekonań mimo zmianę okoliczności. Stronnicy humanizmu, wierni zasadom rewolucyi, zgłębiający przyczyny niepowodzeń rewolucyi musieli w końcu przyznać, że rewolucyoniści szli nie właściwemi drogami i że cele ruchowi wytknięte były fałszywe, że za rozkazy rozumu podawane były mylne rachuby, zdradzające grubą nieznajomość natury ludzkiéj i człowieka; inaczéj mówiąc, wypadło zająć to stanowisko, które zajmuje obecnie nauka historyczna, przy opracowaniu olbrzymiego wypadku dziejowego z końca ubiegłego stulecia. Było wszakże na razie inne z trudnego położenia wyjście, którego próbował dokonać By-

ron. Jeden z najcelniejszych krytyków rosyjskich po Bielińskim, Apollo Grigorjew (Dzieła, I, 155), twierdzi, że poezya Byrona cechuje się brakiem wszelkiego pierwiastku moralnego, że protestuje ona przeciw nieprawdzie, lecz bez świadomości prawdy, że ponieważ jest to poezya szczerego egoizmu bez maski, więc nie mogła być spokojnie przyjętą przez poetyczną naturę Byrona, a więc znalazła swój wyraz w bólu i szatańskim śmiechu, które stanowią poetycką aureolę tego ubóstwienia egoizmu. Najzupełniéj zaprzeczam temu określeniu bajronizmu i uważam, że zdanie Grigorjewa jest od początku do końca fałszywe i z prawdą nie zgodne. Wierny syn wieku XVIII, Byron nie wyrzekł się ani jednego ideału tego wieku, mimo że się zmieniły okoliczności; lecz ponieważ ideały te były już przed nim pospolitowane i błotem oszpecone, więc swoje stąd pochodzące oburzenie za sprofanowanie ideałów wylewa Byron na cały ród człowieczy, wyjąwszy tylko siebie samego i kilkoro z wyższych natur i najbliższych ludzi, których umiał serdecznie a gorąco miłować. Byron miał w temperamencie hart i dumę szermierza i doprowadził do mistrzostwa swoję pogardę ku całemu rodzajowi ludzkiemu. Ta nuta mocno dźwięczy we wszystkich jego utworach, począwszy od słynnego nagrobka nad psem newfoundlandzkim (1817—*Oh man! Thou feable tenant of an hour*, *Debased by slavery or corrupt by power*, *Who knows thee well must quit thee with disgust Degraded mass of animated dust*) (1) aż do potężnéj ostatniéj jego satyry, wymierzonéj przeciwko rodzajowi ludzkiemu—Don-Żuana. Po tysiąc razy kreślił Byron istoty wyższéj natury, stojące po nad nienawiścią tłumu (*must look on the hate of those below*. Ch. H. III, 45). Ludzie sprofanowali ideał, jest on już nie wszechludzki, lecz tylko osobisty, właściwy wybrańcom. Byron do tego stopnia jest mu oddany, że uważa zwyczajne, realne życie ludzkie, życie ludzi w towarzystwie pod ustawami jego, jako fałszywą twórczość (*Of own beauty is the mind diseased and fevers into fals creation*. Ch. H. IV, 122), jako podrabianą naturę i dysharmonię (Życie nasze to drzewo upas z śmiertelną trucizną i jadowitą rosą, Ch. H. IV, 126). W tych wyrazach przebija się niezawodnie pogląd, od J. I. Rousseau pożyczony, o konieczności powrotu do stanu natury, o konieczności otrząśnięcia się ze sztucznéj cywilizacyi. Błąd ten nie wiele waży w danym razie, bo mamy do czynienia nie tyle z utopistą, nawołującym ludzi do powrotu na łono natury, ile z idealistą, który całą wagę i wartość życia upatruje nie w rozkoszach zmysłowych, nie w do-

---

(1) Człowieku! słaba godzinę trwająca Istoto, upodlona niewolą lub zepsuta władstwem, kto cię zna odwróci się od ciebie z odrazą, nędzna ty maso ożywionego prochu!

brach tego świata, ani nawet w tém co nas czeka z agrobem, lecz w istotach metafizycznych, tylko w świadomości człowieka zamieszkałych, które dusza sama z siebie dobywa i wydziela: wprawdzie, w pięknie, w tworach umysłu i sztuki, żywotniejszych i prawdziwszych aniżeli płaska i pozioma rzeczywistość (Ch. H. III, 6; IV, 5). Ten pochop ku rzeczom idealnym stanowi mękę życia ale też i jego okrasę. Będąc bardzo młodym, skarżył się Byron w I pieśni Ch. Harolda w wierszu do Inezy na rdzę życia—demona-myśl (*The bligth of life*, *the demon Thought*). Późniéj, w 3 i 4 pieśniach tegoż Ch. Harolda mianuje się on włóczącym się zbiegiem od własnego posępnego umysłu (*The wandering outlaw of his own dark mind*, III,3. *I have thougth too long and darkly*, III,7.—W Onieginie wyraża się tak Puszkin: „I Byron—surowy męczennik“... jest to określenie nie pełne, nie całkiem słuszne. Do Byrona stosowały by się raczéj własne jego słowa o Rousseau: s a m s i e b i e m ę c z ą c y (*selftorturing*... ale nie *sophist*, III,7). Jednakże ten sam się męczący człowiek idzie na męki z dobréj woli, z obowiązku sumienia, nawet odrzucając środek, dopuszczany przez starożytnych stoików—s a m o b ó j s t w o, (Ch. H. IV, 21: Istnienie trzeba znosić, bo korzonki—Życia i cierpienia sięgają daleko wgłąb—Ścierpłych i opłakanych serc.—Bez skargi niesie największy ciężar wielbląd,—Wilk milcząc mrze... a my z delikatniejszéj gliny ulepieni mielibyśmy wzdragać się znosić co trwa zaledwie dzień). W Byronie objawiło się najenergiczniéj uczucie, które wyrażał natchniony duchem téj poezyi Puszkin w wierszu: lecz nie chcę ja, o druhy me, umierać—ja pragnę żyć bo myślić chcę i cierpiéć (*No nie chaczu ja druhi umirat'. Ja żyt' chaczu, sztob myslit' i stradat'*). Słowa te to niby oddźwięki cudnéj 127 strofy IV pieśni Ch. H.: Rozważmy śmiało, mamyż podle—zbywając się rozumu, wyrzekać się—prawa myślenia. Wszak to ostatni i jedyny—przytułek nasz. Bądź co bądź do mnie należy to schronienie (*Yet let us ponder boldly—'tis a base Abandonment of reason to resign — Our right of thought—our last and only place of refuge. This at least shall be mine*). Ma więc niezaprzeczenie Byron swój ideał, w naszym żelaznym wieku ideał ten przestał być towarzyskim i stał się osobistym tylko ideałem poety, a że poeta nieoddzielny jest od wieku, więc i ideałem jego wieku, porywającym ku sobie wybrane istoty. Byron z własnego doświadczenia podaje jak fatalne i z jak nie przezwyciężonego popędu odbywają bieg swój te silne istoty, druzgocąc wszystko po drodze. „Wiatr ich oddechem, a żywot ich to burza“ (IV, 44)... spokój im cięży piekielnie (III, 42). Malując ogień ich trawiący w krwi ich własnéj, męczącą ich gorączkę czynu, Byron zamyka rzecz takim wywodem: Toż to właśnie czyni waryatami ludzi,

którzy zarażali innych i kazali im waryować: zdobywców, królów, założycieli sekt i systematów, w dodatku sofistów, bardów, mężów stanu.... Jedna pierś taka, a otworzona, wyleczyła ludzi od chęci błyszczenia albo rządzenia (Ch. H. IV, 43). Dla uzupełnienia charakterystyki dodajmy, że tworząc nową filozofią historyi, budując teoryą wyższych natur fatalnych wielkich ludzi, dla których nie istnieje prawo, bo oni sobie prawem są, Byron nie wyróżnia poety, nie daje mu uprzywilejowanego miejsca i nie przypuszcza nawet, że poeta może być sam przez się małą i drobną istotą, olbrzymiejącą tylko w chwili zstępującego natchnienia. Byron nie analizował, jak to czyni dzisiejsza psychologia doświadczalna, początków tworzenia w stanie nieświadomości, przytém był on człowiekiem czynu, osobą pod każdym względem nadzwyczajną, raczącą czasem zajmować się pisarstwem. Takim był mistrz! Zachodzi pytanie co przejął uczeń od mistrza, którego wedle słów własnych upodobał do szaleństwa *(schodił ot Bajrona s uma)*.

4.

Po dniach „utrapienia i wściekłości", dusza zbolała Puszkina wsysała niby gąbka jedną właściwość charakteru Byrona: wzgardę względem rodzaju ludzkiego. Odczuwamy mimowolnie lodowate oziębienie, czytając następującą nauczkę złośliwéj odludkowéj moralności, którą podawał 23-letni młodzian w liście pisanym z Kiszyniowa (1822) do młodszego brata Leona Puszkina, wielkiego zresztą, co się zowie, sowizrzała: *commencez par penser des hommes tout le mal imaginable. Meprisez les leplus poliment possible. Soyez froid avec tout le monde. N'accepter jamais des bienfaits, ils sont pour la plupart une perfidie. Point de protection car elle asservit et degrade... N'oubliez jamair les offenses. Moins on aime une femme et plus on est sur de l'avoir, mais cette jouissance est digne d'un vieux sapajou du XVIII siècle* (VII, 85). Puszkin szczerze myślał jak pisał, kreśląc te wskazówki. Ich ostry kwas i ich nielicowanie do temperamentu poety każą przypuścić, że uczucia moralisty były przemijające, że sam logiczny podkład tych morałów był tylko naleciałością. Wiadomo, że wskutek powtarzania pewnego wzruszenia mimiczny wyraz tego wzruszenia może unieruchomić się i zastygnąć na twarzy człowieka, stać się trwałą zmarszczką albo wykrzywieniem końców ust od pogardliwego uśmiechu. Twarz każdego z nas jest rodzajem maski złożonéj z głębokich śladów całéj przeszłości naszéj. Śladami temi twarz nasza poorana, a po za niemi tylko tai się niepochwytne, zaledwo odgadywane psychologiczne „ja" obserwowanéj osoby.

Jako taki charakterystyczny rys na moralnéj fizyognomii Puszkina uważam przybraną wzgardę ku rodzajowi ludzkiemu, która pojawiła się wskutek doświadczonych cierpień i już go nie opuszczała, bo stała się nieodmienną odtąd cechą umysłową. „Kto żył i myślał, ten nie może nie gardzić ludźmi w głębi duszy“ — pisał P. w I rozdziale Oniegina, jak się zdaje w r. 1822. W V-m rozdziale, w strofie 22 odmalowany jest człowiek spółczesny „z duszą swoją niemoralną, oschłą, miłości pełną własnéj, tonącą w bezmiarze marzeń, z rozumem swoim rozzłoszczonym *(ozłoblennyj um)*, wrzącym śród próżni działania.“ Zestawmy z tym wypisem dwa wiersze z „Wodza“ (Barclay de Tolli), datowanego 7 kwietnia 1835 r. na Wielkanoc: „O ludzie, nędzny rodzie! łez godzien i śmiechu, kapłani chwilowego, powodzeń czciciele.“ *(O liudi, żałkij rod dostojnyj slez i smiecha! żrecy minutnawo, pokłonniki uspiecha!)*.

Mickiewicz, który był bardzo blizkim znajomym Puszkina, sądzi, że Puszkin sam się odmalował bardzo trafnie w wierszach „Oniegina“ (rozd. I, str. 45): „marzeniom wbrew woli oddany—nienaśladowniczo dziwny z ostrym oziębionym rozumem“ *(miecztam niewolnaja predannost'— niepodrażatelnaja strannost'—i riezkij ochłażdennyj um)*. Charakterystyka „rozzłoszczony“ albo „oziębiony“ nie ściśle logiczna, bo rozum zawsze pełni w życiu psychicznem funkcyą aparatu oziębiającego. Oczéwiście, chciał wyrazić Puszkin nawyknienie woli do hamowania wszelkich sympatycznych względem kogobądź uniesień za pomocą systematycznie poddawanego przypuszczenia, że wogóle wszyscy ludzie są to nędznicy i egoiści bez serca. Wystygnięcie Puszkina datuje nie od pierwszéj młodości i można rzec stanowczo, że nie było ono spowodowane widokiem wstrętnych politycznych stosunków europejskich albo krajowych, bo polityczne przekonania Puszkina były chwiejne w młodych latach, a nadzieje zawsze były różowe. Toć w wierszu „Wieś“ *(Dierewnia)* z 1819 Puszkin ujawnia się jako postępowy liberał, ale monarchista (...ma nadzieję, że niedola ludu padnie na carskie skinienie...). W wierszu „Wolność“, który najbardziéj przyczynił się do zesłania Puszkina na południe, górują konstytucyjne ideały grudniowców (...gdzie mocne jest z wolnością świętą—ustaw potężnych skojarzenie), pojęcia o wolności, jako o czémś niebyłem, nagle nadchodzącém i ustalającém się tylko w rewolucyjném otoczeniu (1822. *Tauryda:* gdzie ty o burzo, symbolu wolności?). W pierwszéj połowie 1821 r. napisany był bardzo znany „Sztylet“ *(Lemnosskij boh tiebia skował dla ruk bezsmiertnoj Nemezidy...)*, którego zakrój niecenzuralny i rewolucyjny tłómaczy się bardzo łatwo tém, że nie jest to bynajmniéj utwór oryginalny, ale tylko naśladowanie innego oprócz

Byrona bożyszcza, któremu hołdował Puszkin w swym czasie, a mianowicie Andrzeja Chenier (Ode à Charlotte Corday... *Et des coeurs sur la tombe en une sainte ivresse — Chanteraient Némesis la tardive déesse — Qui frappe le mechant sur son trône endormi!... O vertu, le poignard seul espoir de la terre Est ton arme sacrée alors que le tonnerre Laisse regner le crime et te vend à ses lois).* W 1823 r. Puszkin, który w liście do brata pozował na skończonego egoistę i odludka, entuzyazmuje się, wprawdzie za przykładem Byrona, i woła: „Powstańże, o Grecyo, powstań—kraju bohaterów i bogów—potargaj niewoli pęta—na głos promieniejących pieśni Tyrteusza, Byrona i Righi“ (I, 298). W grudniu tegoż 1823 roku z listu do Turgieniewa dowiadujemy się, że już poeta się otrząsł z liberalizmu *(liberalnyj bred)* i pod wrażeniem świeżego otrzeźwienia się pisany był wiersz o „Siewcy“, gorzki i ironiczny: „a pocóż stadom dar wolności — trzeba je rznąć albo też strzydz.“ Do samego końca życia Puszkin sprawował się jako nigdy nieupadający na duchu oportunista, rachujący na to, że rząd rad jego posłucha. Nie podlega więc wątpliwości, że rozgoryczenie i zrospaczenie Puszkina pochodziły nie od zawodu w życiu politycznem albo towarzyskiem, o które zresztą mało się troszczył Puszkin, bo uważał je jako rzecz postronną, w małym związku zostającą z głównem jego zajęciem (luty 1828. VII, 110: *Tout-ce qui est politique n'est fait que pour la canaille).* Rozczarowanie może czasami pochodzi z okoliczności całkiem prywatnych, zdrad w przyjaźni, w miłości, czegoś podobnego do wypadku, opisaniem którego Alfred de Musset rozpoczął swoje *Confessions d'un enfant du siècle*; lecz skądinąd wiadomo, że Puszkin kochał się często i nie bez wzajemności, że miał przyjaciół dobrych, oddanych mu i zaufanych, a liczących się do najlepszych ludzi, jakich wówczas posiadało społeczeństwo rosyjskie. Wypadałoby chyba przypuścić, że się Puszkin zrozpaczeniem zaraził od osoby, którą nazwał w wierszu z 1823 r. D e m o n e m (I, 292); ten demon miał go nawiedzać i „w duszę wsączać tajny jad“ złośliwemi mowami. Ten wiersz tak zaciekawiał ówczesną publiczność, że zaczęła doszukiwać się pod tą poetyczną postacią żywéj osoby i domyślać się, że owym demonem był znany sceptyk A. N. Rajewski. Skoro się Puszkin dowiedział o tych domysłach (strofa 12 rozdz. III-ci Oniegina) przygotowywać począł do druku refutacyę (bruliony—patrz Annenkowa: Puszkin, str. 153), w któréj tłómaczył, że chciał tylko upostaciować zwątpienie... „ducha przeczenia (podobnego do Mefista Goethego) ze smutnym wpływem jego na obyczajność wieku“, niszczącym „najszlachetniejsze, poetyczne przesądy duszy.“ Tłómaczenie się Puszkina ma wszystkie pozory wiarogodności. Jego De-

mon nie był, o ile się zdaje, osobą żyjącą, w każdym razie nie był to Byron, bo najprzód, do ognistéj poezyi Byrona nie stosują się wyrazy: „zimny jad, szyderca, potwarca Opatrzności, niewierzący w wolność", powtóre, że demon nawiedzać począł Puszkina w dziecięcych jego latach, poprzedzających znajomość z Byronem: „gdy dla mnie były całkiem nowe wrażenia, wszelkie życiowe—dziewicze oczy, lasów szum..." Jeżeli zechcemy szperać w latach dziecięcych Puszkina, przyjdziemy zapewne do wniosku, że ów bies-szyderca zamieszkiwał bibliotekę ojca Puszkina, z któréj młody Puszkin wykradał francuskie książki, całą literaturę XVIII w. i pożerał ją, ostrząc swój dowcip, lecz mocno brukając wyobraźnię. Bies ten towarzyszył Puszkinowi w liceum carskosielskiém i zapewne miał rysy twarzy osoby, o któréj Puszkin wyrażał się wtedy w ten sposób: „Fernejski zły krzykaczu, z poetów ty najpierwszy, zawsześ we wszystkiém wielki,—jedyny starowino!" (I, 40. *Gorodok).* Skoro Puszkin zamłodu był wtajemniczony w najbardziéj pieprzne utwory piśmiennictwa francuskiego z XVIII w., nie potrzebował już brać nowych lekcyi „czystego ateizmu w Odessie od głuchego Anglika", który, wedle słów listu Puszkina, „miał niszczyć słabe dowody nieśmiertelności duszy" (Stojunin: „Puszkin" str. 209, listu, który wpłynął na przeniesienie Puszkina z Odessy na wieś Michajłowskoje).

W młodym wieku przesiąkł Puszkin ciętym materyalizmem i nihilizmem filozofów francuskich, wszakże te doktryny nie przenikały aż do głębi jego umysłu. Broniło jéj uczucie piękna, uczucie estetyczne, o którém tak się on wyrażał: „Inną i lepszą mi nagrodę przeznaczył los: marzenia szczęścia nieziemskiego" (bruliony, I, 265). Szyderca z szydercami, marzyciel z sobą samym i w wierszach, Puszkin nie był usposobiony do zaciekania się, któremu z tych dwóch przeciwnych poglądów odpowiada rzeczywistość. Doświadczone cierpienia zmusiły go zaprzątnąć się ostro postawioną kwestyą nieprzyjemną. Puszkin zniewolony był wyznać, kończąc fatalny dlań list swój o ateuszu, że „ten system mniéj pocieszający niż zwykle sądzą, wszakże na nieszczęście podobniejszym jest do prawdy...", inaczéj mówiąc, że życie jest wogóle szkaradą i że badać je należy, wchodząc doń tylnemi drzwiami. (W jednym z waryantów 45 strofy I pieśni Oniegina: „Odkryłem życia skarb ubogi, zastępujący ćmy omamień — zastępujący wiarę i nadzieję — karm lekkomyślnych prostaków." III, 252). W przygotowanéj z powodu Demona refutacyi Puszkin dodaje: „wątpienia wywołane przez wieczne sprzeczności, uczucie męczące, chociaż nie długotrwałe." Pozostawmy do czasu bez rozstrzygnienia kwestyą, czy zwątpienie, za-

nim opuściło Puszkina, wyżarło z niéj najlepsze poetyczne przesądy duszy, w każdym razie nieusprawiedliwiało to zwątpienie téj względem ludzi pogardy, którą ujawniał on co chwila. Bajronizm nie polega wcale na tém, aby się babrać w błocie społem z innemi ludźmi, chociażby uznając czczość istnienia, lecz na tém, by występować do walki z całym światem, dzierżąc w ręku pochodnię ideału osobistego i świadcząc o wyższości tego ideału nad nędzną rzeczywistością. Taka tylko walka daje prawo do mianowania poezyi Byrona „dumną lirą Albionu“ (I rozd. Oniegina) i upoważnia szermierza do spoglądania z góry na istoty słabsze.

5.

Nie mógł Puszkin przejąć się całkowicie pesymizmem Byrona, bo temperamenty obu poetów—mistrza i ucznia—były niepodobne, nie jednako cierpiące, nie jednako oddziaływające na zewnętrzne wrażenia i na ukłócia losu. Obaj poeci cierpieli dużo, lecz organizm Puszkina był delikatniejszy. Od dzieciństwa wylewa się to cierpienie w rzewnym, przeciągłym jęku, w pieśni skarżącéj się, ale któréj nie towarzyszy zgrzytanie zębów. Mając lat 17, poeta pisał, będąc jeszcze w liceum: „a ścieżka moja smętna i pusta... żywot mój smętny mrok niepogody...“ (I, 130, do Gorczakowa). „Kiedyż się duszy przerwie chłodny sen? Kiedyż się zatli poezyi czar?“ (I, 500). Wszystkie te utyskiwania były tylko przeczuwaniem surowéj rzeczywistości, czémś niedoświadczoném, ale tylko wyczytaném (co poeta wyraził późniéj w I rozdziale str. 9 Oniegina: „Nas żar sercowy trapi zamłodu — nas kochać nie natura uczy — lecz Chateaubriand albo Staël. Poznania życia z młodu chciwi — my poznajemy je z romansów...“). Nadeszły wreszcie ciężkie istotnie próby, nie złamały poety, ale go przygniotły. Poeta wątpi o sobie samym: „Wytrwam-że w gardzeniu losem? Czyż się potkam z nim, chowając Nieugiętość i cierpliwość — Pięknych dni hardéj młodości?“ (Przeczucie I, 39), to jest te właśnie przymioty, które, mniemał on, że posiadał nim zasłynął między ludźmi — „burzami duszy méj, żądzą wolności i prześladowaniem“ (I, 265). Duszę jego napełnia gorzka tęsknota, ale ta się ściele niby dymek, niby lekka mgła, nie niszcząca pięknych jaskrawych barw, cechująca inne zdrowe, wesołe i ochocze wrażenia. Niezadowolnienie z siebie i z życia nie wygląda jak pesymizm, są to niby cienie od przesłaniających słońce obłoków, są to chwilowe wybuchy nieukontentowania. Trzymany w Michajłowskiém, samotny w dzień licealnéj rocznicy (19 października) w 1825 Puszkin chciałby „doświadczyć pijanego szału,

byle zapomnieć o mąk goryczy..... których nie wart świat..." Puszkin jest niezawodnie rozgoryczony, lecz ból to lekki, przelotny i pełen wdzięku nawet w najpoufniejszych wylaniach się poety. *Croyez m'en chère Madame Osipow* — pisze on do przyjaciółki— *la vie toute s ü s s e G o w o h n h e i t qu'elle est, a une amertume qui finit par la rendre degouttante et c'est un vilain tas de boue que le monde* (VII, 385 z 1835 r.). „Djabli mi nadali, że urodziłem się w Rosyi i z talentem! bardzoż wesoło, nie ma co mówić!" (pisał w ostatnim liście do żony 18 maja 1836 r., VII, 404). Większą część cierpień Byron zawdzięczał sobie samemu, sam brał siebie na męki, rozpamiętując nad swą przeszłością, operując nad wspomnieniami wrażeń, które się utrzymywały w nim w pełnéj świeżości po dziesiątkach lat. Męki te porównywał Byron (*Ch. Har.* IV, 28) do bólu od ukąszenia skorpiona, bo wraca wciąż za lada słówkiem, za lada napomknieniem.

Życie Puszkina dostarczało mu dużo materyi do takich-że bolesnych rozpamiętywań. „Murzynów brzydki potomek", pełen „bezwstydnego szału żądz" (1818 r. I, 188) — pisał on (Oniegin, rozdz. 8 str. 3) — „ja za prawo sobie stawię namiętności mych dowolność." Więc musiał dość często doświadczać, jak „samotnemu rozmyślań godziny—W ciszy leniwo się wleką— a ukąszenia serdecznéj gadziny bezczynnemu srożéj pieką", — jak „przypomnienie w milczeniu roztacza swe długie zwoje", jak mu stawiło przed oczy „lata próżno stracone śród uczt rozpustnych i w bezrozumie zgubnéj wolności." (Przypomnienie 1828 r. I, 37). Lecz i tym zgryzotom sumienia Puszkina brak tragicznego pierwiastku, bo momentalnie zniżają się do elegii. Czasami poeta podnosi kolosalne kwestye bytowe i formułuje te kwestye po bajrońsku w kształcie protestu przeciw Stwórcy: „Kto użyciem wrogiéj władzy—z niebytu mię powołał—duszę moję roznamiętnił — Rozum przez zwątpienie zmącił" (26-go maja 1826); lecz wnet potém lot myśli obniża się: „celu nie mam ja przed sobą, serce próżne, um bezczynny..."; innemi słowy, pojawia się uczucie, które wyraża Faust w napisanéj przez Puszkina (1826) lecz nie najszczęśliwiéj pomyślanéj scenie (III, 103): „nudzę się, bisie!" albo w innym fragmencie z 1821 (I, 238): „jedne cierpienia mi zostały, próżnego serca owoce." Przytaczałem ustęp z wiersza, w którym tkwi myśl niezaprzeczenie bajrońska: „Droga nużąca; trud mi i tęsknotę—wróży przyszłości zbałwanione morze, Lecz, druhy me, ach nie chcę ja umierać — Ja pragnę żyć, bo myślić chcę i cierpieć...." Wszakże moc wrażenia, które sprawiają te energiczne wiersze, słabnie we wdzięczném uśmiechniętém zakończeniu w guście anakreontyków: „a może smętny dni moich ostatek okrasi miłość zegnania uśmiechem" (1830 r. Elegia. II, 101).

Jeszcze jeden podamy przykładzik. Nie ma myśli bardziéj gnębiącéj, bardziéj trującéj życie człowieka, nad myśl o nieuniknionéj śmierci i zupełnéj obojętności, nie mającéj serca natury względem losu pojedyńczego żyjącego człowieka. Myślą tą na 6 wieków przed Chrystusem utrapiony indyjski król Siddartha, pojął nicestwo bytu, ujrzawszy trup człowieka, porzucił tron i żonę, stał się pustelnikiem i zasłynął jak Budda. Ta sama myśl nie dawała pokoju śmiertelnie choremu Turgieniewowi, gdy pisal dreszczem przejmujące swoje „poezye prozą“ *(Stichotworenija w prozie)*. Myśl o śmierci stanowi główny węzeł w najgłębszym i najbardziéj pesymistycznym utworze Byrona — Kainie. Nie był wolny od myśli téj i Puszkin (1829 r. II, 77). „Czyli ja krążę w buntowniczym tłumie, czyli ja w słodkim gustuję pokoju, Ściga mię myśl o śmierci nieodzownéj— zawsze obecna, zawsze tu! przy mnie!“ Myśl ta trująca, przykra, siada niby cień Banka między biesiadnikami śród uczty koronacyjnéj, lecz i w téj ciężkiéj chwili ponury mrok przerywa u Puszkina promień słońca złocisty, przez co płacz nad nieuniknioną śmiercią schodzi na wdzięczną i słodką sielankę: „Lecz niech u wejścia do grobowca z uśmiechem igra życie młode—A obojętne przyrodzenie niech świeci krasą wiekuistą.“ Na palecie Puszkina nie ma zgoła tych ciemnych barw, w których się lubuje aż do przesytu muza Byrona; lecz z drugiéj strony niewątpliwém jest, że wyobraźnia Puszkina była żywsza i bogatsza, że był to istotny Proteusz—tak go zwali współcześni,— że był on do najwyższego stopnia uzdolniony do oddzielania się w myśli od swego „ja“, do myślenia przedmiotowo, i osięgania tego niewzruszalnego pogodnego spokoju bogów, które było właściwe starożytnéj sztuce, czego dał dowód naprzykład w tym pysznym ułamku z 1829, pod którym by się chętnie podpisał sam olimpijczyk Goethe: „Przyjmcie mój hymn, o tajemnicze siły! Choć przez wygnanie długom był oddalon — Od waszych ofiar i cichych obiatów,—Lecz was miłować nie przestawałem, bogi!— Z jakiém-że wielkiém i świętém wzruszeniem—Odbiegłem niegdyś ludzkiéj trzody naszéj, By odtąd wciąż strzedz ogień wasz samotny I biesiadować z sobą tylko samym!... Godziny niewymownych uciech pełne! Uczą nas one głąb' serca poznawać. One w potędze, one i w niemocach Uczą nas kochać, uczą nas piastować Uczucia nieśmiertelne, tajemnicze — I nam wpajają z nauk wszystkich pierwszą: U c z c i j s a m e g o s i e b i e“ (II, 85). W późniejszym czasie, gdy przeszło u Puszkina upajanie się Byronem, sądził on trafnie i trzeźwo o jednostronności i brakach téj poezyi: „Wielki ale jednostajny“ wyraża się on w żartobliwéj odzie do księcia Chwostowa, a w 1 rozdziale Oniegina (str. 9) nie chce, aby sądzono, „że

swój ja portret nabazgrałem, Jak Byron, ów poeta dumny, Jak gdyby już nie można było Poemy pisać o kim innym, A nie o sobie tylko samym.

6.

Mimo zasadnicze przeciwieństwo dwóch różnych temperamentów, stało się jednak, że przez czas pewien Puszkin był opanowany przez Byrona. Wedle słów bardzo właściwego sędziego, Mickiewicza, Puszkin *tomba dans la sphère d'attraction de Byron et tournait autour de cet astre comme une planète éclairée par sa lumière. Dans les ouvrages de sa première manière tout est byronien, les sujets, les caractères, l'idée et la forme.* (Nekrolog Puszkina w *Globe* z d. 25-go maja 1837 r.). Lecz poeta, o którym sam Mickiewicz tak się wyrażał: *Si les compositions du poète anglais n'existaient pas, on aurait proclamé Pouschkine le premier poete de l'epoque*, nie mógł być prostym naśladowcą. Wedle Mickiewicza, Puszkin nie był bajronistą, ale *byroniaque*, to jest *possedé de l'esprit de son auteur favori.* Z natury łatwiéj było Puszkinowi naśladować Byrona w drobiazgach, w wybrykach i dziwactwach, w arystokratyzmie („nietylko pysznił się nasz lord Pieśniami swemi i natchnieniem, Lecz i przypadkiem urodzenia“—Waryant do Rodosłownaja mojewo gieroja, III, 554), w ćwiczeniach ciała, w symulowanéj chciwości do pieniędzy zarabianych piórem, w głośnych oświadczeniach, że swoję poezyą sprzedaje, aniżeli w saméj twórczości. Z jednéj strony ponieważ wyobraźnia jego była bogatsza i talent wszechstronniejszy, weszły do poezyi jego obce Byronowi pierwiastki; z drugiéj strony, ponieważ temperament jego był ruchawszy, miększy i delikatniejszy, więc gdy usiłował nakreślić postać w guście „Korsarza“, którego najwyżéj stawiał pomiędzy utworami Byrona (V, 49, art. z 1829 r.), wskutek braku zdolności do przeniknięcia nawskróś duszy posępnéj i surowéj, pojawiały się w takiéj postaci pewne plamy albo szczeliny. Z téj to przyczyny i pod względem treści i pod względem formy są pewne zasadnicze wady w utworach Puszkina, naśladowanych z Byrona, z któremi wypada zabrać bliższą znajomość przy studyowaniu bajrońskiego okresu w życiu poety rosyjskiego.

7.

Pierwszemi z kolei w szeregu tych naśladowań stoją „Szal czarny“ i przebrani Korsarz z Gulnarą w osobach Jeńca kaukazkiego i jego Czerkieski. Podanie głosi, że treść do „Szalu czarnego“ podała Puszkinowi uliczna śpiewaczka mołdawska, Mariula,

która recytowała w Kiszyniowie tę balladę w 1820 r. Mnóstwo jest szczegółów w tym utworze, przypominających wschodnie powieści poetyczne Byrona, zamordowanie niewiernéj kochanki i jéj spólnika, rzucenie ciał ich w nurty Dunaju, i mary trapiące krwią obryzganego zabójcę. Co do Kaukaskiego Jeńca, sam Puszkin ostro krytykował w późniejszym czasie utwór ten, o którym się odzywał, że go lubi nie wiedziéć za co, bo są tam — pisał — wiersze z serca wylane (1822 r. VIII, 30). „Jeniec jest niedojrzały, wszystko to słabe, dziecinne, niedomówione“ (Podróż do Arzerumu IV, 420). „Pyszne otoczenie z gór i górali jest właściwie jakieś *hors d'oeuvre*, jest to artykuł geografii, urywek z podróży“ (VII, 30, r. 1822). Jeniec wygląda jak jaka biała niedomalowana plama. Kpił z niego Puszkin sam wraz z Rajewskimi. Z charakterem jego z trudnością uporał się Puszkin (V, 121), albo właściwiéj mówiąc, nie umiał sobie poradzić. Zmuszeni jesteśmy na słowo wierzyć, że to człek, który przeszedł przez ogień i wodę, który w burzliwém życiu stracił nadzieje, radość i żądze, „odstępca od świata“, „niewolnik nieubłaganego honoru“, „w pojedynku twardy, zimny — przy spotkaniu się z śmiertelnym ołowiem.“ Nie wiemy, czy silnie grały w nim uczucia, skoro „chował je w milczenia głębi“, tak, że „na podniosłém czole nie odbijało się nic zgoła.“ Trudno zrozumiéć, jak mogli Czerkiesi podziwiać „niedbałą śmiałość“ jeńca, skoro w całym poemacie ani razu nie dał on dowodów ani śmiałości, ani wielkomyślności. Krytyk Stojunin zauważył, że jeniec mało interesuje i nawet staje się wstrętnym, że są w nim rysy obrażające moralne uczucie czytelnika, np. gdy przemawia do Czerkieski, która mu się duszą i ciałem oddała: „Widzę ja postać wiecznie miłą — Do niéj się rwę, ją przywoływam — W twych zapominam się objęciach — I drogie widmo obejmuję.“ Chociaż postać Czerkieski popsuta jest przez nadaną jéj romantyczną uczuciowość, lecz sposób malowania już zdradza mistrza przyszłego malarza Tatyany w Onieginie. Właściwym bohaterem powieści jest Czerkieska nie zaś mazgaj jeniec, wcale nie przedstawiający tego, co chciał w nim Puszkin przedstawić: „przedwczesną starość duszy, charakterystyczną cechę ludzi XIX wieku“ (VII, 25). Wskazując na niewłaściwość wiersza o jeńcu: „Wolności, on za tobą tylko gonił po szerokim świecie“, Stojanin słusznie pyta, po co z takim ideałem wolności udawać się w kraj daleki w celu, by podbijać i do niewoli zaprzęgać wolny naród czerkieski.

Po wielu następnych latach, po zwiedzeniu powtórném Kaukazu i poznaniu go nie ze szczytu tylko Besztau i innych miejscowości podgórza kaukaskiego, Puszkin wyraził swe pojęcia o dzikiéj

wolności plemion nieucywilizowanych w cudnym ułamku niedokończonego poematu „Gałub", ułamku, który może wytrzymać porównanie jeżeli nie z Iliadą, to przynajmniéj z najpiękniejszemi kawałkami hiszpańskiego Romancero. Syn czeczeńskiego księcia, Takit, wychowany po za domem ojca, ma cechy charakteru bardziéj ludzkie niż jego ziomkowie, zbliżone do chrzeciańskich. Nie zechciał obedrzéć na gościńcu bogatego kupca Ormianina, choć mógł bezkarnie to uczynić; nie pociągnął z sobą do aułu zbiega niewolnika na zarzuconym mu na szyję arkanie, a nawet zmiłował się nad mordercą swego brata i nie zgładził go, bo ów morderca był bezbronny i ranny. Takita wyrzekają się rodzina jego i całe plemię; lecz odrzucony w ten sposób, gra on rolę reformatora: misyonarza pomiędzy Czerkiesami. Ma się rozumiéć, że działa on tylko środkami moralnemi, a nie ucieka się do nieprzyjacielskich bębnów i bagnetów, on nawet ginąć miał w walce z Rosyanami, o ile można wnosić z przechowanego krótkiego streszczenia idei poematu. Pomysł poematu olbrzymi; w porównaniu z nim „Jeniec" był tylko ćwiczeniem dziecinném, okazującém tylko początkujący talent. By się przekonać jak niesłychanie szybko rozwijał się talent Puszkina, należy porównać „Jeńca" nie z „Fontanną w Bachczysaraju", wdzięczną zabawką, podającą kilka scen z chańskiego haremu i sylwetki Maryi Potockiéj i Zaremy (reminiscencye 5 pieśni Don Juana i sułtanki Gulbejhaz), ani z „Braćmi Rozbójnikami", pierwowzorem wszystkich późniejszych w literaturze obrazów więziennych i katorżnych, lecz z „Cyganami."

Wiadomo, że Puszkin układał swój poemat „Cyganie" w roku 1823 na południu i tylko go wykończał w Michajłowskiém. Przy ukazaniu się swém był poemat przyjęty z tak powszechnym aplauzem i spółczuciem, że podniósł sławę autora do wysokości, najwyższéj, jakiéj za życia swego u publiczności doświadczył. Były późniejsze utwory głębsze niż „Cyganie", bardziéj skomplikowane, piękniejsze, lecz zdania o nich były podzielone i względem nich Puszkin był w takiém prawie położeniu, jak Goethe po powrocie z Rzymu w 1786, gdy czytał przyjaciołom Ifigenią w Taurydzie i Tassa, dzieła wyborowe ze stanowiska sztuki, ale nie roznamiętniające publiczności. Poecie dało dużo do myślenia to ochłodnięcie publiczności; dziś tylko, w pół wieku po jego śmierci, nastąpił czas należytéj oceny utworów jego późniejszych i najbardziéj cennych. Lecz „Cyganie" do dziś dnia nie stracili swojego uroku i podobne są do niewielkiego ale dziwnie pięknego dyamentu o grze kolorów niezrównanéj. W obecnéj chwili zachwyca nas samo artystyczne piękno poematu, lecz ludzie spółcześni byli jeszcze inaczéj nim

przejęci. Był to *po pierwsze* utwór całkiém romantyczny, bardzo oryginalny, jedyny na wskróś romantyczny utwór Puszkina z życia i prawdziwego wypadku wzięty. *Powtóre* stawił poemat ów kwestyą stosunku osobnika do społeczeństwa i kreślił niby ideał społeczeństwa w kursującéj szeroko w one czasy formie powrotu do prostoty pierwotnych ludzi w stanie natury. Myśl o szczęśliwości ludzi w stanie poprzedzającym kulturę zawracała oddawna umysły i dawała początek niezliczonym sielankom. Jedna z najpiękniejszych komedyi Szekspira *As you like it* osnutą jest na tym właśnie temacie. Głównym w XVIII wieku apostołem powrotu ludzi na łono natury był Jan Jakób Rousseau, w duchu którego wychowały się jedne po drugich liczne pokolenia przed r. 1830. Jego utworami karmili się za młodu i Byron i Puszkin. Wielu ludzi marzących o stanie natury jeździło szukać go za Oceanem u Huronów lub Irokezów. Puszkin szczęśliwym trafem odkrył, czego szukano, między Odessą a Izmaiłem, pod szatrem koczowiska cygańskiego. Ludzi ówczesnych nęcił i pociągał ku sobie płomień rozłożonego na stepie ogniska, brała ich chętka „oświaty potargać pęta", żyć jak żyją nietroszczące się o nic ptaszęta, ocknąwszy się co rana „dzień cały zdać na wolę Boga", uciekać co najdaléj od miejsc, gdzie ludzie „gnębią myśl, miłości się wstydzą — Na frymark niosą wolę swą — Przed bałwanami czołem biją—I proszą kajdan i pieniędzy." Gdyby Puszkin miał mniéj nieco zmysłu poetyckiego, opracowałby on swój pomysł w rodzaju dydaktycznym i koniecznie by wstawił do utworu przygotowaną już pieśń Aleko, kołyszącego synka swego: „Ty nie zamieniaj prostych wad—Na wykształcony kwiat rozpusty—Niechaj cygana biedne wnuczę—Nie zagustuje w nauk czczości.—Być może, iż ja społeczeństwo—Pozbawiam dziś obywatela. — Cóż ztąd ? ja ratuję syna."

Do tego nic niewymagającego ośrodka, do tego małego świata ludzi wolnych jak ptaki, nie znających ani pracy, ani jakichkolwiekbądź ograniczeń, ani kar żadnych, ani władzy osoby nad osobą, wstępuje z dobréj woli Aleko, to jest Aleksander Puszkin we własnéj osobie, w krytycznéj chwili burzliwéj swéj młodości. Autor użył prawdziwie bajrońskiego sposobu: podał siebie samego, przytém niepodmalowanego na czarno, nie forsującego się, nie zamroczonego jakiemiś domniemanemi kryminałami, które go kwalifikowałyby na złoczyńcę. Czytelnik uprzedzony jest tylko, że Aleko rozmyślnie porzucił „zdrad falowanie, przesądów panowanie i ślepe prześladowanie tłuszcz", przytém, że jest to człowiek wrażliwy, namiętny, szczerze zdecydowany na przerodzenie się w tym właśnie

kierunku, to jest pragnący zbyć się téj wrażliwości, a na działanie innych ludzi zobojętniéć. Główne pytanie polega na tém: czy wytrzyma? jak oddawna? na jak długo zasnęły w nim namiętności? Czy się przebudzą? — zobaczymy.

Namiętności zbudziły się w fatalny sposób i objawiły się tém gwałtowniéj, im dłuższe było uśpienie. Do jednéj rzeczy nie mógł Aleko przyzwyczaić się w swym nowym stanie, a mianowicie by spólniczka jego w wolném małżeństwie cygańskiém mogła się związać z innym mężczyzną. Żadną miarą nie mógł przyswoić sobie Aleko zasady filozofii cygańskiéj, że „jest jak ptaszę młodość! Któż miłość pohamować zdoła?—Każdy z kolei się weseli,—Co było, to się nie odstanie". Jakkolwiek Aleko szczerze śpiewał, kołysząc syna: „niebądź ofiarą zdrady złéj—w duszy pałając żądzą zemsty",—w danym razie okazało się, że ten człowiek inaczéj kocha niż cyganie, bo nie „żartem" ale z „męką" (*gorestno i trudno*) i że nie może się w tym względzie przełamać. „O jam nie taki, ja bez walki praw się moich nie wyrzeknę". Tragiczne rozcięcie węzła odbywa się szybko dwoma pchnięciami sztyletu, z których jedno zabija rywala, a drugie Zemfirę, nieulęknioną i w chwili morderstwa, urągającą się zabójcy (Ja się nie boję—Groźby przéklinam twoje—Zabójstwem gardzę twém—Kochając umrę). Zauważmy nawiasem, że Puszkin znalazł wybornego na język francuski tłómacza „Cyganów" w osobie doskonałego znawcy języka rosyjskiego Prospera Merimée i że Merimée w swojéj własnéj noweli *Carmen*, wydanéj wraz z przekładem Cyganów w 1847 r., prawie skopiował scenę zabójstwa, bo okrasił ją tylko tém, co się zowie *couleur locale: Comme mon rom* (mąż) *tu as le droit de tuer ta romi* (żonę), *mais Carmen sera toujours libre. Calli* (cyganką), *elle est née, calli elle mourra. T'aimer encore est impossible. Vivre avec toi je ne le veux pas*". Na zabójcę wydaje potępiający wyrok starzec, pełniący u Puszkina funkcyą chóru tragedyi starożytnéj: „nie trzeba krwi nam ani jęków—Z zabójcą żyć my nie życzymy—Tyś nie dla dzikiéj stworzon doli—D l a s i e b i e t y l k o c h c i a ł b y ś w o l i.—Żegnaj, niech pokój będzie z tobą".

Komentatorowie Puszkina upatrują w tym wyroku moralne potępienie bajronizmu jako kierunku, nieodwołalne zdegradowanie Aleka i wstąpienie samegoż Puszkina na nowe tory, zbliżenie się do narodowości albo raczéj do ludu (Annienkow 241, Niezielonow 169). Nie mogę przystać na taki wniosek obracający poemat Puszkina w naukę moralną. Stanowczo nie chcąc moralizować. Puszkin wyrzucił z poematu pieśń Aleka nad kolebką syna. W 1825 r pisał Puszkin do Żukowskiego (VII, 131): „pytasz jaki mają cel Cyganie? Otóż masz! Celem poezyi—poezya, powiadał Delwig (jeśli od kogo

myśli téj nie ukradł)". Annienkow przytacza co słyszał od Pletniewa jako słyszane z ust Puszkina: „tylko pisząc Cyganów, uczułem powołanie moje do dramatu". Niepodlega wątpliwości, że począwszy od „Cyganów", Puszkin odznaczył się zdolnością, którą się zachwycał Merimée, zdolnością właściwą głównie dramaturgom, skupiania najpotężniejszego uczucia w najmniejszéj ilości słów (*je ne connais pas d'ouvrage plus tendu... pas un mot, pas un vers à retrancher et cependant tout est simple naturel*"; porównać Fague *Etudes litt. sur le XIX siècle*. 1887 p. 337). Dramat jest właśnie tym szczególniejszym rodzajem twórczości, w którym, śród fatalnego starcia się działających osób, serce widza dzieli się pomiędzy walczących przeciwników, tak że wahasz się pomiędzy niemi, spółczujesz bohaterowi, dostrzegasz jego błędy i godzisz się z jego upadkiem wobec niewzruszalności porządku wszechświata i jego praw pojmowanych rozumem. Komentatorowie Puszkina błądzą, gdy sądzą, że porządek wszechświata polegał wedle Puszkina na moralności cygańskiéj. Zdania, wypowiedziane przez starego cygana, malują tylko warunki bytowe otoczenia, do którego wstąpił Aleko. Jest to tylko podkład i scenarium akcyi tragicznéj. Wina Aleka nie zawiera się w tém, że nie zcyganiał aż do stopnia wspólności kobiet. Tkwi ona w tém, że będąc ucywilizowanym człowiekiem, wstąpił do środka, do którego całkiem nie pasował, do towarzystwa negującego i jarzmo ciężkiéj a codziennéj pracy i własność i osiadłość i miłość, jako uczucie wyróżniające się od chwilowego popędu płciowego, i czystość obyczajów domowych. Nigdy w rzeczywistości nie brał on sobie za ideał cygańskiego sposobu życia. W pieśni Aleko mógł przyśpiewywać synowi: „nie, nie będzie bić on czołem—Bożyszczu bezrozumnego honoru"... lecz sam osobiście był on czcicielem téj religii honoru najzawziętszym, żył i umarł jako niepoprawiony Aleko. Gotowem przystać na zdanie Apolla Grigorjewa, że Puszkina o zgubę przyprawił wydzielający się zeń żywioł Alekowski (243), to jest wrodzona naturze jego namiętność, lecz zasadnicza idea „Cyganów" jest wszakże całkiem inna. Jeżeli w człowieku wszystkie namiętności wymarły, jeżeli jest on w ten sposób okaleczony, jeżeli stał się on całkiem podobny do Cyganów, którzy o sobie mówią w poemacie: „myśmy lękliwéj duszy i łagodni", już on przestaje być co się nazywa człowiekiem. Takie obumarcie uczuć niepodobieństwem jest nawet pomiędzy Cyganami. Dziwię się, że nie zwrócono należytéj uwagi na zakończenie poematu, uchylające wszelką nadzieję zupełnego szczęścia ludzkiego nawet w stanie przed-cywilizacyjnym: „Lecz szczęścia brak i między wami—natury synowie ubodzy. I pod namioty koczowemi—mieszkają męczące sny.—Na puszczy wa-

sze koczowiska—nie zasłaniają was od bied.—Wszędy wrą namiętności zgubne—niema ratunku od przeznaczeń!“

Puszkin począł układać poemat z własnych doznanych wrażeń, niespodzianie pod piórem autora wyrósł w poemacie potężny dramat, o którym Puszkin pisał do księcia Wiaziemskiego: „zda mi się pisałem, że moi cyganie niczego nie warci—nie wierz mi: zełgałem! będziesz z nich bardzo zadowolony“. Dramat ten zaznacza wyjście Puszkina ze sfery wpływów Byrona, któremu jak wiadomo brakowało całkiem talentu dramatycznego, tak że i w dramacie reprodukował tylko własną osobę. Zwyczajnie biorą jako kres wpływu Byrona na Puszkina egzekwie, które 7 (19) kwietnia 1825 odprawił Puszkin we wsi Michajłowskoje za duszę *bojarzyna Jerzego*, w pierwszą rocznicę jego śmierci. Chwila ta odznacza się jeszcze wyłączném prawie zajęciem się Puszkina utworami Szekspira. Prawdopodobnie wpływ Byrona przetrwał jednak daleko dłużéj, chociaż powoli przygasał. W 1825 r. na wsi po przeczytaniu szekspirowskiéj Lukrecyi Puszkin zamierzył z parodyować ten epos w powieści: „Graf Nulin“. Gdy pisał tę powieść, miał niezawodnie przed oczyma Beppo i Don-Żuana i użył żartobliwego stylu, którym się posługiwał Byron w tych poematach. Mamy jeszcze jeden utwór Puszkina, przytém największy, pełen reminiscencyi bajrońskich, utwór w duchu Byrona poczęty: jest to „Oniegin“, do którego przechodzimy.

8.

4 listopada 1823 pisał Puszkin do księcia Wiaziemskiego (VII, 56): „piszę romans wierszami w rodzaju Don Żuana“. W przedmowie do wydanego w 1825 początku poematu powiedziano, że rozdział I przypomina Beppo, żartobliwy utwór ponurego Byrona. Wedle pierwotnego pomysłu, miał mieć ten romans podobieństwo do Don Żuana nietylko z formy lecz i z satyrycznéj treści: „duszę się od wylewu żółci—dwie pieśni już gotowe“ (1 grudnia 1823 do Turgeniewa VII, 62): „Rajewski szukał romantyzmu, znalazł cynizm i satyrę i nie rozkąsił się jak się należy—jestto mój utwór najlepszy (VII, 70, styczeń 1824 do brata Leona). W rok później (21 marca 1825, list do Bestużewa) już gniewało Puszkina upatrywane z Byronem podobieństwo i o Onieginie pisał on już całkiem coś innego: „Don Żuan nic nie ma wspólnego z Onieginem. Gdzie mnie brać się za satyrę? nie ma o niéj mowy. Zatrząsł by się bruk u mnie, gdybym zaczął satyryzować. Oniegin pod jednym względem może być porównywany z Don Żuanem: która z dwojga piękniejsza i wdzięczniejsza: Tatyana czy Julia?“ Oba oświadczenia mogą być prawdzi-

we i szczere. Beppo i Don Żuan przebudzili w Puszkinie myśl i chęć napisania czegoś podobnego z życia rosyjskiego. Ramy Don Żuana są szerokie, elastyczne i co chcąc mieszczące, nie krępowały autora w niczém i nie wymagały nawet jednolitości pomysłu, ściśle powiązanéj treści. Można było urwać poemat na pieśni dziesiątéj, dociągnąć go do dwudziestéj albo setnéj. Utwór rozrastał się swobodnie jak dąb albo sosna w lesie, które podnoszą się w górę grubieją i rozgałęziają się im są starsze, a odmieniają przytém do niepoznania swoję dawniejszą postać. Niepodobna wyobrazić w co by się zamienił Oniegin, gdyby autor posłuchał rad Pletniewa i przyjaciół jednogłośnie nalegających: „on żyje i nieożeniony—A zatém romans nie skończony—Toż dla autora skarb prawdziwy—W tę wolną i dogodną ramę—Wstawiaj obrazy, otwórz dyoramę“ (III, 422)... Łatwość pisania wpłynęła ujemnie na jedność pomysłu i zasadniczego planu utworu, jaki ostatecznie się sformował po obrachowaniu przez samegoż Puszkina czasu użytego na opracowanie poematu: 7 lat 4 miesiące i dni 17 (III, 42). Zasadniczy plan prosty i nawet aż do zbytku ubogi: młoda parafianka na prowincyi zakochała się w przybyłym ze stolicy lwie z wielkiego świata, który ją ostro zreflektował i dał jéj na odprawę bardzo surową nauczkę. W późniejszym czasie parafianka stała się damą wielkiego świata, dawniejszy moralista sam się w niéj rozkochał aż do szaleństwa, lecz dostał jeszcze gorszą odprawę z procentami, nieskończenie bolesną dla miłości jego własnéj. Pomiędzy obu lekcyami przewija się niby krwawa wstęga niepotrzebny, głupi, bezsensowny pojedynek pomiędzy serdecznemi przyjaciółmi, nieusprawiedliwiony nawet przez racyą, że stało się to gwoli „bożyszcza bezrozumnego honoru.“ Mickiewicz doszedł do następnego wniosku o Onieginie, wniosku który uważany za zupełnie uzasadniony (Kurs literatur słow.): *en écrivant les premiers chapitres Pouschkine n'avait pas probablement d'idée arrêtée sur le denouement, parcequ'il ne pourrait écrire avec tant de tendresse, tant de naïveté et de force les amours des jeunes gens pour les terminer d'une manière aussi triste et aussi prosaïque*“. Zamiast zamierzanéj początkowo satyry na obyczaje otrzymaliśmy niby to *fabliau*, niby nowellę Boccacia, niby komedyą albo *proverbe* z życia rosyjskiego *fashion*'u albo *high life*'u, błahy przedmiot przepysznie odmalowany, rzecz interesującą nie pomysłem, ale tém że jest dokładném odźwierciedleniem obyczajów pewnéj już oddalonéj epoki, czémś w rodzaju psychologicznego lamusu czy magazynu, do którego składano bez wyboru i systemu wszystko, co było przeżyte i pomyślane w ciągu siedmiu lat i pół najobfitszéj i najpotężniejszéj twórczości (1823—1831): „to pstre rozdziałków zbiorowisko—trochę zabaw-

nych trochę smutnych, — gminnych albo idealnych — niedbały owoc mych rozrywek—nocy bezsennych, lekkich natchnień—lat niedojrzałych albo zwiędłych—zimnych postrzeżeń rozumowych— i gorzkich wspomnień sercowych“ (Haneger w *Russische Litteratur und Cultur*, Leipzig 1880, protestuje przeciwko wyrazowi „idealnych“: *romantisch ist wohl die Dichtung aber ideal in keinem Zuge*). Romans ten jest więc autobiografią, rodzajem *Confessions* dla potomności, dziełem, w którém Puszkin tłómaczy nie obce fantazye i dziwactwa, ale prezentuje się sam w swéj własnéj osobie jako „syn Moskwy (*Moskwicz*) w płaszczu haroldowym“ (Oniegin VII, 24), co zwoje tego fałdzistego płaszcza odchylił i ukazał się w rannym ubiorze, w pantoflach, bucharskim chałacie i z cybuchem w ustach. Ma się rozumiéć, że tak odziany i tak pozujący Puszkin stał się celem pocisków dla egzercytujących się tyralierów literackich, dla wszystkich następujących po nim pokoleń, tak dla tego, które własnemi oczyma oglądał, a które się składało z ocalałych rozbitków 14 grudnia, z ludzi przechowujących uczucie obywatelstwa (... ledwie do przytomności przyszły młode pokolenia — Zbierające doświadczeń swoich późny owoc—już spieszą się z przychodem balansować rozchód—brak im czasu na żarty, na obiady u Temiry— na spory nad wierszami... Do ks. Jusupowa 1830, II, 93), jak i dla tego późniejszego, które w siódmym dziesiątku lat surowo potępiało przodków swoich z lat „czterdziestych“ za ich gadulstwo i estetykę, za ich zniewieściałość i nieprzyzwyczajenie do robót pospolitych a ciężkich, wymagających rąk grubych, muskularnych i wytrzymałości w pracy. Te sądy w rosyjskiém czasopiśmiennictwie zwykle wydawane bywają w formie ostréj i bezwzględnéj i nie wywołują na razie ani refutacyi, ani poprostu zaprzeczenia. Przeszły one bez śladu i nie przyćmiły sławy Puszkina, jaśniejącéj dziś blaskiem większym niż za życia poety. W tych połajankach z racyi Oniegina, wszystkich łających przewyższył Pisarew (3 część dzieł, wyd. 1871, str. 223), który doszedł do następujących herkulesowych słupów krytyki w duchu najbezwzględniejszego utylitaryanizmu: „Ogólną charakterystykę poezyi Puszkina stanowią—wewnętrzne piękno człowieka, pędzącego życie próżniacze i poświęcającego swoje wolne chwile trawieniu i oglądaniu marmurowych bogów, oraz łechtający duszę humanizm względem dzieci niebios, gardzących robakami ziemnemi i depcących je... Żaden z poetów rosyjskich nie jest w stanie zaszczepić takiéj bezwarunkowéj obojętności dla cierpień ludowych, takiéj pogardy dla uczciwego ubóstwa i takiéj odrazy do uczciwéj pracy, jak Puszkin“. Daleko wstrzemięźliwiéj, ale w równie ganiącym sposobie wyraża się o Onieginie bardzo skąd-

inąd godny uwzględnienia sędzia, Wodowozow (*Nowaja Russkaja Litteratura*, str. 159): „wczytanie się w Byrona i innych pisarzy spółczesnych wskazało Puszkinowi, że są jakieś nowe potrzeby życia... lecz będąc oderwany od swojego otoczenia, nie wstanie on jednak wyzwolić się od przyzwyczajeń tego otoczenia; porywany przez Byrona zatrzymał się tylko na f r a z e s i e“... Wszystkie te nagany były by właściwe i słuszne, gdyby poemat miał pewną tendencyą, gdyby wedle pomysłów autora poemat miał przedstawić potrzeby i wymagania życia. Tak nie jest jednak: poemat odzwierciedlił tylko samo to życie drzémiące i leniwe, całkiem czcze i próżne wszelkich zadań i zainteresowania czémkolwiek bądź. Gdy coranka Oniegin zdążał lekko odziany do płynącéj w dół rzeczki, by „Gulnary piewcę naśladując, przepłynąć ten Hellespont,“ nie może on być winiony za to, że jego próby i ćwiczenia w pływaniu odbywały się na powierzchni maleńkiéj rzeczki; gdyby mu dano Hellespont, może by on przepłynął i przez rzeczywisty Hellespont. W ówczesném życiu Rosyi nie było zgoła żadnych Hellespontów, żadnéj gorącéj i interesującéj roboty, społeczeństwo samo nie było do takiéj pracy i do takiego czynu usposobione. Człowiek napędzający innych do czynnéj pracy albo by rozbił, co się nazywa, o mur głowę, albo by musiał uciekać jak Czacki, w słynnéj komedyi Grybojedowa *Gore ot uma*, do miejsc „gdzie jest schronienie dla uczuć obrażonych“, uważany przez wszystkich za dziwaka i niebezpiecznego waryata. Ludzie nie-wojowniczych usposobień z konieczności słodzić sobie musieli nudy istnienia „oglądaniem marmurowych bogów i w téj jedynie możliwéj na owe czasy formie piastowania oderwanéj nauki albo czystéj sztuki podtrzymywali pewne związki z prądami myśli europejskiéj, pewne odczuwanie wszechświatowych zdarzeń i wypadków. Niesłusznie oskarżał Pisarew Puszkina i jego rówienników (III, 239), że „zatopieni w kontemplacyi drobnych osobistych wrażeń, stali się niezdolnymi do pojmowania i analizowania kwestyi społecznych i filozoficznych swojego wieku“.

Skoro nadeszła pora reform, znaleźli się ludzie, kwalifikujący się do rozwiązywania skomplikowanych i zawiłych kwestyi społecznych. Długie odosobnienie od świata i bawienie się w same abstrakcye pociągnęły za sobą nieuniknione szkodliwe skutki. Reformatorowie wybiegali na sto lat naprzód; instytucye robione były na wyrost, nie dopasowane do wieku społeczeństwa. Wyrzekano się estetyki i czystéj sztuki ze względu na potrzebę praktyczności, a dziś społeczeństwo źle zreformowane zatrzymało się i namyśla na rozstajnych drogach, nie wiedząc dokąd ma się obrócić. Talentów zu-

pełny brak, poziom umysłowy obniżył się i trudniéj podołać najprostszym zadaniom życia, bo ulotniły się ideały i estetyczne i etyczne, panuje sam nagi i aż do cynizmu posunięty egoizm, czy to osobisty, czy narodowościowy.

Stopniowo, w miarę jak się obniżał umysłowy poziom, restaurowała się reputacya przez czas długi zaniedbywanych ludzi z „lat czterdziestych“; ci umarli, z Puszkinem na czele, wyrastają po nad głowy żyjących. Na korzyść Puszkina świadczy i od zarzutów go oczyszcza ta okoliczność, że wszyscy wielcy pisarze następującego po nim okresu, który już się wcale nie zasklepiał w uwielbianiu marmurowych bogów, ale zajmował czynami,— wielcy pisarze, począwszy od olimpijczyka Turgeniewa aż do malarza nerwowych cierpień i histeryków, Dostojewskiego, wszyscy pochodzą od Puszkina i upatrują w nim swojego nauczyciela i mistrza. Co się tyczy strofowania Puszkina za epikureizm i kwietyzm, należy zaznaczyć, że tegoż rodzaju przygany stosowane były i do innych, naprzykład, do Goethego za jego indyferentyzm polityczny. Najdziwniejszą rzeczą jest ta okoliczność, że ludzie, wyrzucający Puszkinowi to, że był sybarytą i nie podniósł się do wysokości stanowiska Byrona, w pojmowaniu praktycznych wymagań wieku mają mu za złe te właśnie utwory, w których wyrażał wielkie przeznaczenie poezyi i kapłański prawie charakter poety, gdy to ubóstwianie poety przez Puszkina jest tylko reprodukcyą w innéj formie, zastosowanéj do osobistego temperamentu Puszkina zasadniczéj idei bajrońskiéj, stanowiącéj złą, wadliwą i do pewnego stopnia szkodliwą stronę jego poezyi, a mianowicie właściwego Byronowi kultu wielkich genialnych ludzi, których nie obowiązuje żadna ustawa, ani prawa stanowionego, ani moralna. Z konieczności musimy się zastanowić nad pojmowaniem przez Puszkina funkcyi i przeznaczenia poety w społeczeństwie.

9.

Puszkin był poetą od lat dziecięcych i z powołania, to jest wskutek mocnego odczuwania wrażeń poetycznych oraz upodobania w tworzeniu obrazków poetyckich i kojarzeniu dźwięków. Od samego liceum niczém się już zgoła nie interesował krom poezyi. Po tysiąc razy wołał: „jam poeta,—zrodziłem się na Helikonie, — rosłem pod cieniem róż wiosennych, — wyrosłem na poetę (1815, Do Batiuszkowa I, 77).—Spokojnych dźwięków słodycz chłopięciem jużem czuł i lirę wtedym posiadł“ (1817, do Delwiga I, 167). W znanym wierszu do Żukowskiego (1817 r. I, 163) Puszkin prosi

starszego wiekiem wieszcza o błogosławieństwo i dodaje: „Febulos za mnie ciągnął i lirę otrzymałem.“ Wszystko na świecie gotów był oddać Puszkin za poetycką sławę. — „Ach wié to dobry geniusz mój, że nad nieśmiertelność duszy przeniósłbym z wielką ochotą nieśmiertelność mych utworów“ (1817, Do Illiczewskiego. I, 177). Właściwie jednak nie tyle próżna sława pociągała go w dziedzinę poezyi, ile poprostu ta okoliczność, że poezya była dlań naturalnym żywiołem, w którym jedynie mógł żyć i oddychać. „Dusza ma pełna lirycznego wrzątku,— kipi i dźwięczy, szuka niby we śnie,— jak by się mogła wylać w wolnym arcytworze — zbiega tu ku mnie tłum niezliczonych gości—i myśli w głowie krążą niespokojne...“ (Jesień, 1830 r. I, 105).

W utworach Puszkina, pisanych przed katastrofą 1820 r., ileż znajdziemy jęków cierpienia, tęsknych i przeciągających się, chociaż panujący nastrój raźny i wesoły? jakże widoczném jest przywyknienie autora do izolowania się, do przepełniania się dźwiękami i do uciekania „na puste brzegi fal“, „w szeroko szumiące bory“ (III, 21). Do poezyi przyczepił się Puszkin wszystkiemi, że tak rzekę, korzonkami duszy, jako do jedynego swojego zajęcia, jako do kotwicy, jako do środka, leczącego go od namiętności i oczyszczającego od wszelkich brudów żywota: „Tak serce— błędów ofiara — chowa śród sprośnych upojeń — swój skarb jedyny a święty, jedno a boskie uczucie...“ Puszkin prawie nie opuszcza tych pól Elizejskich z umówionemi symbolami, z pogańską mitologią, z ulubionemi marzeniami i bohaterami, i do takiego stopnia sercem jest im oddany, że nie chce poznawać znoszącéj te marzenia prawdy, że odwraca się od rzeczywistości, o ile ta ostatnia różni się od poetyckiéj legendy. Od lat najwcześniejszych uwydatnił się w Puszkinie ten rys anti-historyczny. Jeszcze w liceum będąc, określał on w ten sposób przeznaczenie muz: „Odpędzajcie czarne smutki, czarujcie um zmyśleniem, Miłego życia jasne tło—Przedstawcie mu za mgłą.“ Przez całe życie Puszkin wytrwał w tym samym stosunku do wstrętnéj mu, niepięknéj rzeczywistości. W końcu r. 1830 w wierszu „Bohater“ *(Gieroj)*, to jest Napoleon, pod epigrafem: co jest prawda? pomieścił on następne myśli: „Przeklęte bądź ty prawdy światło, gdy służysz ty mierności zimnéj—zawistnéj, obrażenia chciwéj. Nad prawd poziomych cenię bez liku—droższe podnoszące zmyślenie *(T'my nizkich istin mnie dorożе Nas wozwyszajuszczyj obman)*.

Od lat młodzieńczych, znacznie poprzedzających wypadek 1820 r., do poezyi Puszkina wdzięcznéj, lekkiéj, przeważnie erotycznéj, to jest poświęconéj „nauce słodkiéj namiętności“, wsą-

czają się uczucia obywatelskie, mocno zabarwione polityką w duchu wieku. Na polityczne wychowanie Puszkina wpływał przeważnie Piotr Czaadajew, „przyjaciel jedyny", „uzdrawiający", „podtrzymujący niezmordowaną ręką" (Do Cz. 1824. I, 24): „Pod władzy fatalnéj ciężarem—ojczyzny słuchamy wołania—Z tęskném czekamy upragnieniem—nadejścia wolności świętéj" (1818 r. I, 190)—ma się rozumiéć, że wolność ta miała niewiedziéć skąd nadbiedz znienacka, jak huragan. Na tych wieczorach, w „proroczych sporach" pielęgnowane były wolnomyślne marzenia i nadzieje, które Puszkin oblekał w poetyczne formy, posługując się Andrzejem Chenier (Oda do Wolności: „Pokaż mi ty szlachetny ślad—owego podniosłego Galla—któremuś ty śród sławnych klęsk—hymny odważne dyktowała"). Wszystkie tego rodzaju utwory modelowane są wedle Chenier'a, wytężone i mocno napuszone. Godne zastanowienia, że Puszkin aż do końca życia główną zasługę swoję upatrywał w téj właśnie poezyi politycznéj, tak, że w początkowym układzie swojego „Pomnika" (1836 r., II, 19) wyraził, iż przeto właśnie będzie miły narodowi, że „w ślad za Radiszczewem" wychwalał swobodę (t. j. promował emancypacyą włościan) i „miłosierdzie opiewał" (to jest wstawiał się za grudniowcami). Wnet potém nastąpiły wygnanie, zapoznanie się z Byronem i przejęcie się nim. W brulionach Puszkina przechował się fragmencik z 1830 r. (I, 15), pisany tercynami na sposób dantejski (Danta studyował Puszkin podczas podróży do Erzerumu w 1828). W ułamku tym odmalowane są dwa złe duchy, które niegdyś pociągały ku sobie poetę: „Jeden z nich (delfijski bożek)—młoda postać, był gniewliwy i pełen dumy niesłychanéj—a cały pałał siłą nadludzką. Drugi był zniewieściały, sprośny — ideał to wątpliwy i kłamliwy — cudowny demon, piękny lecz fałszywy." Z ostatnim z tych złych duchów obcował Puszkin od pierwszéj młodości, pierwszém bożyszczem był prawdopodobnie w burzliwym okresie zesłania na południe Byron, króry pociągał Puszkina siłą woli, posiadaną przezeń w takiéj obfitości. Od Byrona zapożyczył Puszkin kult i teoryą bohaterów, którzy nieodmiennie gardzą ludźmi w swym nadludzkim majestacie, czy noszą miano Piotra Wielkiego czy Napoleona. Początkowe wiersze „Bohatera" świadczą, że w pełnym kwiecie było to nabożeństwo u Puszkina i są bardzo zbliżone do najpiękniejszych strof 3 pieśni Childe-Harolda: „Niby ognisty język sława—Po nad wybrańców lata głowy — po nad jednemi dziś przygasa—po nad drugiemi się zapala.—Pokornie goni za nowością—z nałogu ulegając tłum.—Lecz dla nas to już czoło święte,—nad którém zatlił się ów płomień.—Na tronie czy na krwawém polu — Obywatelskich rokowań — Z tych-to wybrańców

kto najbardziéj — podbija sobie duszę twą?“ W chwili, kiedy się wiersz ten układał (1830), naczelnym bohaterem był dla Puszkina Napoleon: „wciąż on, wciąż on—ów przybysz zbrojny — co królów upokarzać zwykł — żołnierz wolnością uwieńczony — co jak cień zorzy znikł.“ Bohater ten odmalowany w téj saméj postaci i temiż rysami, jakiemi przedstawiał go poeta w 1823 r. (Fragment), nawet prawie temiż słowami: „Ten jeździec, co od królów brał pokłony — zbuntowanéj gawiedzi *(wolnicy)* sukcesor i morderca — ów zimny krwiożerca — król, co znikł jak sen, jako cień zorzy!“ Nie mogę przypuścić by to ubóstwianie Napoleona przez Puszkina było zapożyczone od Byrona. Wszyscy czterej wieszczowie słowiańscy, których studyowałem, byli napoleonistami i są z tego względu podobni do Byrona, który był też napoleonistą, lecz mogli dojść do tegoż ubóstwiania różnemi drogami, a żyli i działali w okresie, na który padał olbrzymi cień od wielkiéj dziejowéj postaci. Wiadomo, że wielcy ludzie polityczni, jak naprzykład Napoleon, są niby krawcy wykrawający dusze i charaktery mnogich następnych pokoleń na swój obraz i podobieństwo. „Same z nas Napoleony — powiada Puszkin w 14 strofie II rozdz. Oniegina — dwunożnych stworzeń miliony, za narzędzia służą nam.“ Chociaż ów napoleonizm nie od Byrona pochodził, przykład Byrona mógł się przyczynić do jego rozwinięcia się w Puszkinie (Oda Napoleon, napisana przez Puszkina w lipcu 1820, w czasie najmocniejszego przejęcia się Byronem); sądzę jednak, że nie posunął się on w Puszkinie aż do świadomego lub bezwiednego naśladowania Napoleona. Między mną a osobą, którą naśladuję świadomie czy bezwiednie, powinno być jakie takie podobieństwo z natury, jednostajność mojego ja metafizycznego, jakim bym chciał być i idealnego ja mojego, to jest z wzorem moim, jak się on odbija w świadomości innych ludzi i mojém własném. W Byronie upatrywali współcześni ludzie pewne podobieństwo do Napoleona, nawet pod względem energii, siły woli, zaś Puszkin mimo swoje usposobienie namiętne i zapalne, był to człek miękki i lekki, który mimo powszechnie uznawaną genialność, nikomu nie imponował, bo go kochano gorąco, ale nie brano go na seryo. Puszkin z konieczności musiał swoje „ja“ idealizować, nie mógł nie naśladować Byrona w tém, że się uważał za wyższą i wybraną naturę, nie tylko dostarczającą publiczności pewne umysłowe rozkosze, ale też wpływającą na naród, biorącą udział w losach swojego narodu. Najłatwiéj mu przychodziło idealizować się w funkcyach poety. W każdéj twórczości jest pierwiastek pewien mimowolnego natchnienia, tego „tajnego dreszczu, który na czole jeży włosy“ (Do Żukowskiego. I, 193), téj tajemniczéj potęgi, która duszę

zaludnia obrazami i dźwiękami i każe jéj potém wylewać się w rymach. Setki razy korzył się Puszkin przed tém czemściś, nawiedzającém go, tajemniczém i boskiém, wobec którego on sam jest niczém, któremu służy tylko jako pozorny kapłan i jako naczynie (I, 30). „Demon jakiś mię opętał—dźwięki cudne podszeptywał“ (Rozmowa księgarza z poetą, 1824; Conf. II, 21 z 1827). W waryancie do Genealogii mojego bohatera z 1833 r. (III, 556) znajduje się następujący ustęp. „Czemuż się wicher w jarze kłębi?—Czemu od gór i mimo wieś—szybuje orzeł zły, ponury?—Czemuż to młoda Desdemona w murzynie rozkochana swym?—Czemu? bo prawu nie ulega—wicher, ni orzeł, ani serce.—I ty poeto dumnym bądź—bo i dla ciebie niema prawa.“

Szukając podstaw dla swego wybrannictwa, którego również jak i Byron był świadom, Puszkin znajdował je we właściwościach swojego temperamentu, w tém schodzącém na niego czasami i mimowoli natchnieniu, któremu służył on tylko za naczynie. Idąc po téj drodze, Puszkin potrącał o starożytne pojęcie o *sacer vates*, ocierał się téż o proroków starego zakonu. W Michajłowskiém w 1824 układał Puszkin naśladowania z Koranu (I, 322) i usilnie prosił, aby mu przysłano biblią, w któréj się odtąd pilnie rozczytywał, przynajmniéj do r. 1834 (list do żony. VII, 371), zachwycając się nad stroną pisma świętego poetyczną. Skutkiem tych ustawnych studyów nad biblią była poetyczna parafraza 6 rozdziału księgi Proroctwa Izajaszowego: „i przyleciał do mnie jeden z Serafinów; mając w ręce swéj węgiel rozpalony, który kleszczami wziął z ołtarza.“ Utwór ten nosi tytuł: „Proroka“ i posiada legendę. Krytycy nie mogą się z nim uporać i mają go nietylko za jedno z najpiękniejszych ale i z najgłębiéj pomyślanych dzieł wielkiego poety. Pozwólmy sobie zapisać się przeciwko téj legendzie i téj krytyce.

10.

Legenda twierdzi, że gdy przywieziono Puszkina z feldjegrem do Moskwy 8 września 1826 i stawiono wprost w Czudowym pałacu przed cesarzem Mikołajem, tak jak stał w ubiorze podróżnym, były przy nim niebezpieczne wiersze, które zgubił na schodach pałacu, ale znalazł powracając. Wiersze te nie mogły być orędziem do zesłanych na Syberyą grudniowców, bo ci ostatni byli dopiero w drodze do miejsca zesłania. Sergiusz Sobolewski powiadał komuś (Jefremow, Życiorys Puszkina. *Ruskaja Starina*, 1880, N. 1) i P. Piątkowski ze słów zmarłego senatora Wenewitinowa twierdzi, że wiersze, o których mowa, był to „Prorok“ w tym samym kształcie,

w jakim był wydany w r. 1828 w *Moskowskim Wiestniku* N. 3, lecz z dodatkiem końcowéj strofy, tylko w ustném podaniu przechowanéj: „powstań, o powstań, proroku Rosyi—Przyodziéj się w sromotne szaty, z powrozem na pokornéj szyi staw się przed rosyjskim Carem“ (*Wozstań prorok, prorok Rossii—Pozornoj rizoj oblekiś, I s werwijem w krug pokornoj szei—K cariu rossijskomu jawiś*). Wiersze te nie mogły być na razie podane, ponieważ podanie ich miało nastąpić tylko w przypuszczeniu niepomyślnego skutku audyencyi poety u cesarza (*Ruskaja Starina* 1880 N. 3), Brulion „Proroka“ nie znajduje się w rękopisach Puszkina przechowujących się w Muzeum Rumiańcowa w Moskwie (Opis tych rękopisów przez Jakuszkina w *Ruskoj Starinie* 1884 r.). Ponieważ Puszkinowi nie wolno było ze wsi własnéj wyjeżdżać, nie mógł on zatém nawet marzyć, że stanie wkrótce przed obliczem panującego. Ponieważ feldjeger powiózł go znienacka do Moskwy, nie mógł więc poeta przygotować się do podróży i ani się domyślał, że go powiozą do Czudowego pałacu. Strofa, w ustném podaniu przechowana, nie mogła być ostatnią, bo nie poucza czytelnika, po co miał stawić się i co miał rzec ten człowiek z powrozem na szyi, w swojém niezwykłém jak na nasze czasy ubraniu i ze swoją mało zrozumiałą mową biblijną. Jego zachowanie się w warunkach danéj chwili miałoby wszelkie pozory pomieszania zmysłów. Przytém Puszkin już wcale nie był liberałem, nawet gdy pisał „siewcę“ na południu, zaś w 1826 pragnął on szczerze pogodzenia się z rządem (VII, 174). Nad grudniowcami uboléwał, lecz ich przekonań już wtedy nie podzielał. Nie mógł on miéć na pogotowiu żadnego palącego słowa, skoro od miłościwych wyrazów panującego w jednéj chwili zmiękł i na cały wiek swój późniejszy stał się człowiekiem podzielającym program rządu i rządowi ufającym.

Co się tyczy treści saméj „Proroka“—w wierszu tym niéma żadnego słówka ani żadnéj aluzyi do tego, by pisząc go, Puszkin wyobrażał sobie pod tą nazwą poetę. Prorok Puszkina jest to prorok biblijny, nieco tylko zmodernizowany w tym względzie, że prorok starego zakonu miewał widzenia i otrzymywał bezpośrednio z ust samego Boga rozkazy, więc nie miał potrzeby odgadywać procesu przebiegu życia i praw natury; nie był on wcale obowiązany słyszéć „niebios drżenie, Skrzydeł anielskich szeleszczenie—I morskich gadów w wodzie ruch—i skromnéj trawki podrastanie“. Nie mogę przystać na to, aby szczęśliwie było obmyślane zastąpienie operacyi oczyszczania ust żywiołem ognia, węglem rozpalonym, przez dokonane u Puszkina wyrwanie języka i wstawienie na jego miejsce żądła wężowego, bo żądło kąsa i truje tylko, a nie oczyszcza,

przytém żądło węża, uważanego za chytre a więc i mądre stworzenie, uchodzić musi, ze stanowiska mitu, za bezporównania złośliwsze, aniżeli język ludzki, narzędzie. Nie godzimy się także z zamianą „drżącego", a więc czującego serca, na rozpalony węgiel. Nie ulega wszakże wątpliwości, że ów modernizowany prorok, nie oglądający już boskiego oblicza, lecz posiadający dar jasnowidzenia w naturze, pojmowania jéj tajemnic i mający przytém gorące serce, bardzo jest zbliżony do poety, z tą różnicą, że proroka przenika na wskróś wola Boga, któréj pełny idzie on przez lądy i przez morza „i serca ludzi słowem swém przepala", zaś na poetę zstępuje niewiadomo skąd i w jaki sposób natchnienie (Do poety 15 sierpnia 1827, III, 21) „nie dla wyzysku, nie dla bitwy—dla słodkich dźwięków i modlitwy" (I, 50). To zbliżenie i uznanie tego świętego charakteru obojga: kapłanów Boga i pomazańców natchnienia, wzmagają się w Puszkinie w miarę ostygania względem niego publiczności, w miarę jéj zawahania się w uznaniu go za dyrektora sumienia i moralnego wodza, to jest w miarę tego, jak się Puszkin odosobniał, zapuszczając się w krainę czystéj i oderwanéj od życia sztuki, a tworzył dzieła piękne i doskonałe pod względem techniki i formy, ale nie mające już związku z troską dzienną, więc mało interesujące publiczność. Puszkin wielce cenił swoję popularność, bolał, że ją traci, więc pełen uczuć gniewnych, właściwych monarsze względem zbuntowanych poddanych, strzelił do nich swym znanym „Jambem" albo „Czernią" (1828 I, 49), w któréj stawia on w niemożebnéj formie, w wiecznie otwartéj i nigdy nielikwidującéj się kwestyi tendencyjności w sztuce, następujący nierozwiązalny dylemat: albo moje bezwzględne prawo do panowania nad umysłami wskutek tego, że jestem wielkim poetą, albo moja bezwzględna wam uległość, poddanie się i schlebianie wszystkim waszym chęciom i zachciankom. Po jednéj stronie słychać szemranie tłumu: „jak wiatr tak wolna jego pieśń—lecz jako wiatr téż nie przydatna!—Użyj, na dobro nasze użyj twych darów, o zesłańcze boski! — Miłując bliźnich twoich szczerze—podawaj śmiałe nam nauki—a my cię chętnie posłuchamy!" Po drugiéj stronie wyższa istota, poeta nie posiada się z oburzenia i butnie się stawiając, nie naucza lecz łaje: „Bezrozumny zamilcz gminie! najęty na dzień niewolniku—potrzebujący i stroskany.—Precz stąd... nic do czynienia z wami—nie ma spokojny poeta.—Waszéj głupocie, waszéj złości—starczyły do dzisiejszéj chwili więzienia, bicze i siekiery.—Dość wam, o głupi niewolnicy!".. Poeta źle stawia kwestyą, rozumowanie jego jest sofistyczne i naciągane, bo nikt nie zmusza kapłanów, by porzucali ołtarze i całopalenia ofiarne, a szli z miotłami w ręku zamiatać ulice; ale nikt też nie

może zmuszać pospólstwa by brało udział w nabożeństwie, by tępém uchem rozkoszowało się w słodkich dźwiękach, albo by sprawiało ofiary może demonowi „pięknemu lecz fałszywemu“, może temu fenicyjskiemu Adonisówi, jednemu z dwóch bożyszcz, którym się kłaniał Puszkin za młodu. W „Jambie“ albo „Czerni“ Puszkin sam siebie odmalował w roli niejako króla Leara, gdy zstąpił z tronu i błąka się na pustém polu śród burzy. Krytyka zaś z siódmego dziesiątka lat wieku bieżącego, z Pisarewem na czele, w swéj utylitarianistycznéj gorączce sprawowała się jak konwent, sądząc Puszkina, niby Ludwika XVI, na ścięcie jednakim dla wszystkich śmiertelnych etycznym toporem. Od swych zbytecznych wymagań i hardych słów odstąpił sam Puszkin w 1830 r. (1 lipca. II, 95) w sonecie „Poeta“, w którym już nie wygląda jako gniewliwy król Lear, lecz jako książe wygnany, szukający schronienia z kilkoma wiernemi dworzanami w lesie Ardeńskim w komedyi Szekspira „Jak się wam podoba“, albo jako Prospero na swéj wyspie w komedyi „Burza“. Poeta z tłumem poszli do rozwodu, każdy odtąd istnieje sam przez się i sam dla siebie—„tyś królem o poeto!... niedbaj o miłość narodu... Żyj sam jeden, piastując lubych dum owoce... tyś sam twój sąd najwyższy... niech tłum na ogień twój wymyśla—niechaj na ołtarz plwa, na którym twój ogień gore—i niech trójnogiem trzęsie twym swawoląc.“

Sonet z 1830 r. nie podaje jednak ostatecznie skrystalizowanego u Puszkina ideału poety, to jest wyidealizowanego osobistego „ja“ Puszkinowskiego. Bywały chwile nawet w ostatnich latach jego życia, w których poeta otrząsał się z wszelkiéj napuszoności, całkiém porzucał ton uroczysty, zapominał o swojéj professyi i umysłowém wybrannictwie, swawolił jak dziecię i jak to się wyrażają francuzi *faisait l'école buissonière*. W tych chwilach nie dostrzegano w nim już żadnych cech pomazańca poezyi i kapłana, lecz natomiast osiągał on najwyższe dobro człowieka: pełną moralną swobodę i niezależność. Takim się pojawia Puszkin w „Taurydzie“ (1822 r. I, 288): „W uczuciach spokój, myśli jasne—ustało w duszy falowanie.—Wszędy dziś słyszę tajny głos.—Przed laty straconego szczęścia”... Takim on bywał i po ożenieniu się, gdy pisał do żony: „niema na świecie szczęścia, lecz pokój jest i wola!“ Takim jest Puszkin w cudnym wierszu oryginalnym własnym, aczkolwiek fałszywie wedle zwyczaju zatytułowanym obcem nazwiskiem: „z Pindemonte z VI“ (II, 187) wierszu, który należy do liczby najcenniejszych perełek w szeregu jego utworów (1). W tym najpóźniejszéj daty ideale

(1) „, nikomu Sprawy nie zdawać—Sobie tylko samemu—służyć i dogadzać—Dla władzy, dla liberyi—nie giąć sumienia, ni myśli, ni szyi—wedle fantazyi wałęsać się wszę-

poety, nie powiem, że najwyższym ale najbardziéj odpowiednim temperamentowi Puszkina, nie dostrzedz już najmniejszych śladów bajronizmu.

Streszczę w słowach kilku rezultat moich studyów nad obranym przedmiotem. Mimo przeciwieństwo organizacyi i temperamentów Byrona i Puszkina, wpływ Byrona na Puszkina był ogromny ale przemijający, niby kręgowe ślady rzuconego do wody kamienia, słabnące w stosunku oddalania się od środka. Całéj głębi bajrońskiéj negacyi nie pojął Puszkin, ale zewnętrzne cechy i maniery przejął. Z biegiem czasu wpływ Byrona krzyżował się z wpływami, podobnemi do podobnych pierwszym kręgom zmarszczek i pochodzącemi od innych poetów i wydarzeń, od Szekspira, od Danta. W końcu, ze wszystkich takich krzyżujących się wpływów połączonych, wynikło lekkie zaledwie dostrzegane falowanie powierzchni. Były chwile, gdy się poeta całkiem od tego wpływu wyzwalał i był swobodny, rześki, całkiem oryginalny, jak te fantastyczne lekkie twory ludowéj lub szekspirowskiéj fantazyi, jak lotny sylf, wesoły Puk albo nieporównany Ariel.

---

dy—by wielbić boskie piękności natury—milcząc się grążyć w bezdennych zachwytach—to mi to szczęście, to mi to są prawa!

W. Spasowicz.

Wrzesień 1887. Petersburg.





Z GALICYI.

D. 10 Lutego r. 1888.

Tegoroczna sesya sejmowa. — Dzieło Stanisława Szczepanowskiego p. t. „Nędza w Galicyi w cyfrach", jako zapowiedź nowego kierunku politycznego w Galicyi.

I.

Powoli doszliśmy do tego, że sejm przestał nas całkiem interesować. Nie domagaliśmy się zbyt natarczywie, by w r. 1887 koniecznie się zebrał; nie prosiliśmy wyborców, by nam pozwolili zająć w nim miejsce; gdy nareszcie posłowie zjechali się do Lwowa, nie pytaliśmy nad czém będą radzili, a podczas sesyi saméj tak nas mało zajmowały dyskusye, że gdyby nie głośna sprawa kulparkowska, niejeden byłby nawet nie wiedział, iż ojcowie ojczyzny, mimo 27-stopniowego mrozu, pocą się, o jego szczęściu myśląc. Co spowodowało tę ogólną apatyą, o tém pisałem obszernie na tém oto miejscu, jeszcze przed dwoma laty, za marszałkowstwa ś. p. M. Zyblikiewicza, nie będę więc powtarzał argumentów tam przytoczonych, a raczéj zapytam, co sejm zdziałał w tym roku. Właściwie bardzo niewiele, lecz że odkrył kilka ran na naszém ciele autonomiczném i przeszkodził kilku złym rzeczom, więc już dla tego samego zasłużył sobie na wdzięczne wspomnienie.

Sprawą najbardziéj przykrą, nawet wstrętną, która choć chwilowo zelektryzowała całe społeczeństwo galicyjskie, była sprawa kulparkowska. W zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie przebywał w miesiącu grudniu r. z. człowiek jeszcze młody a bardzo nieszczęśliwy, członek powszechnie szanowanéj i licznie rozrodzonéj w Galicyi rodziny, hr. Izydor Dzieduszycki. Po stracie majątku, wszystkich dzieci i żony, która przed sześcią laty zmysły postradawszy, przebywa dotąd w zakładzie dla obłąkanych w Poznaniu, biedny hr. Izydor zapadał w melancholią coraz czarniejszą i nako-

niec musiał być sam odwieziony do Kulparkowa. Umieszczono go w 1-széj klasie, gdzie od osoby płaci się 3 guldeny i gdzie każdy chory powinien mieć osobnego, porządnego dozorcę. Po kilkunastu dniach hr. Dzieduszycki nagle zachorował, a gdy lekarze zaczęli go opatrywać, okazało się, że nieszczęśliwy miał kilka żeber złamanych. I wtedy wyszło na jaw, że jego dozorca połamał mu żebra jeszcze przed ośmiu dniami, ale rzecz całą zataił. Nieszczęśliwy umarł. Sprawa w formie interpelacyi weszła do sejmu. Jeden z najdzielniejszych naszych posłów, p. Otto Hausner wykazał przy téj sposobności, że wypadek z hr. D. nie był odosobniony, że takich samych lub jemu podobnych było w ostatnich leciech 57, i opowiedział ku zbudowaniu swoich kolegów sejmowych, że dozorca, który hr. D. żebra połamał, był starym kryminalistą, bo nie mniéj i nie więcéj, jeno 9 lat w więzieniu przesiedział. Alarm powstał wielki: wszyscy zażądali ukarania winnych. Ale kogo tu karać? czy d-ra Hoszarda, który w wydziale krajowym jest szefem tego departamentu, do którego szpitale należą? czy inspektora szpitalów? czy dyrektora zakładu? czy prymaryusza, który powinien się był bezpośrednio chorym opiekować? czy tylko dozorcę?... Mniéj więcéj każdy tu zawinił, wszelako główna odpowiedzialność spada na sam sejm, który zainaugurowawszy przed kilku laty politykę oszczędnościową, obcinał budżet szpitalny do granic niemożliwych, skutkiem czego, w takim np. zakładzie kulparkowskim dobrych dozorców nie ma za co trzymać. Wydział krajowy, aby dać choć jakie takie zadość uczynienie opinii publicznéj, a może jeszcze więcéj dla uspokojenia rodziny Dzieduszyckich, wdrożył śledztwo dyscyplinarne, którego ofiarą padł najpierw prymaryusz szpitalny, a po nim, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pójdzie i sam dyrektor. Prócz tego d-r Hoszard miał także powziąć zamiar usunięcia się stanowczo z wydziału krajowego. Nie zaszkodzi, jeźli przy téj sposobności nadmienię, że dziennikarstwo krajowe już niejednokrotnie mówiło o wypadkach oburzających, których widownią, ze „względów oszczędnościowych“, bywały nasze szpitale, ale ponieważ tymi, których dawniéj jako chorych nieuleczalnych na ulicę wyrzucano, byli ludzie biedni i nieznani, więc w sejmie nikt się za nimi nie ujmował, dopiéro gdy nieszczęście hrabiego spotkało, alarm zrobił się powszechny. Zapytanie, czy w Galicyi wciąż zachodzi taka sama różnica między hrabią a zwykłym śmiertelnikiem, jaka panowała za czasów pańszczyźnianych, lub jeszcze dawniéj, za bezrządu rzeczypospolitéj? Niestety, różnicę tę widzimy wszędzie, Ale choćbyśmy Galicyą poczytywali za kraj najbardziéj zacofany na kuli ziemskiéj, tę jednak sprawiedli-

wość oddać jéj musimy, że co może czyni ona dla swego szkolnictwa. Nie powiem, żeby to były tradycye komisyi edukacyjnéj, która w prowincyi naszéj nie mogła korzeni zapuścić, ale jest to po prostu jakiś instynkt tajemniczy a poczciwy, który nam mówi, że bez oświaty zostalibyśmy najnędzniejszymi helotami. O szkoły dbamy też wszyscy, bez względu na obóz do jakiego należymy, nawet chłop nasz, mimo swego konserwatyzmu, streszczającego się w słowach: „Naj bude, jak buwało“, zaczyna godzić się ze szkołą i coraz częściéj można już spotykać wioski, nie tylko na Mazurach, ale i na Rusi, w których stoją blachą pobite budynki szkolne. Jeszcze ćwierć wieku temu, o takich rzeczach w Galicyi nikt nie słyszał. Na sesyi tegorocznéj mówiono wiele o częściowéj potrzebie zmiany ustaw szkolnych i poprawienia bytu nauczycieli ludowych, a chociaż przy téj sposobności pp. Popiel i Stadnicki popisywali się takiemi zasadami, o jakich politycznie wykształceni mężowie z obozu konserwatywnego nie chcą już słyszéć, mimo to wnioski dodatnie utrzymały się, bo nawet dwaj koryfeusze partyi krakowskiéj, d-r Bobrzyński i d-r Zoll przyłączyli się do tych, którzy pragną dalszego rozwoju szkolnictwa w duchu cywilizacyi nowoczesnéj. Przy téj sposobności sejm uchwalił rezolucyą wzywającą rząd do przedsięwzięcia rewizyi ustaw szkolnych w duchu autonomicznym.

Szkoły wydziałowe, mające u nas tę rolę odegrać, co niemieckie „*Bürgerschulen*“, nie przyjęły się w Galicyi, według mego przekonania głównie dla tego, że nie mamy zdrowego mieszczaństwa, żyjącego z handlu i przemysłu; sejm też był zmuszony polecić wydziałowi krajowemu, ażeby porozumiawszy się z krajową komisyą dla spraw przemysłu, o któréj w liście poprzednim obszerniéj pisałem, przedsięwziął starania, celem zaprowadzenia już w roku szkolnym 1888/9 przemysłowych szkół uzupełniających w tych miastach, w których szkoły wydziałowe męskie zostaną zniesione, a w których dotychczas szkoły przemysłowe uzupełniające nie istniały. Sejm zajmował się także szkołami średniemi i radą szkolną krajową, która w sprawach szkolnictwa jest naszym najwyższym organem autonomicznym. Przewodniczącym rady szkolnéj jest każdoczesny namiestnik, który nie rozumiejąc się najczęściéj nic na szkolnictwie, każe się zwykle zastępować przez jednego z radców namiestnictwa, nie mającego także o pedagogii należytego wyobrażenia. Że na tém cała instytucya cierpi, to rzecz łatwa do zrozumienia, bo pod takimi kierownikami rozwija się w niéj przedewszystkiém duch biurokratyczny, oddziaływający zgubnie najpierw na radę samą, przez nią na całe szkolnictwo. Okoliczność ta skłoniła sejm do żądania od rządu, aby na czele rady szkolnéj posta-

wił dyrektora fachowego, obznajomionego doskonale z potrzebami szkolnictwa galicyjskiego. Kraj mniema, że minister oświaty d-r Gautsch, który z taką sympatyą wyrażał się w czasie swojéj podróży po Galicyi o naszych gimnazyach i profesorach, nie powinien nam tego odmówić, zwłaszcza, że prowincya nasza daje brzęczące dowody, iż sprawa oświaty leży jéj na sercu. W ciągu ostatnich 4-ch lat, mimo ubóstwa powszechnego, fundusz szkolny podnieśliśmy o 202,950 guldenów, tak, że wydatki na cele szkolne wynosiły w roku ubiegłym 678,920 guld. Kończąc rzecz o szkołach, muszę jeszcze nadmienić, że w całém państwie austryackiém nie znajdziecie ani jednéj prowincyi, mającéj tyle co Galicya prywatnych stypendyów dla uczącéj się młodzieży. Prawie każdy człowiek bogatszy a bezdzietny, poczytuje za swój obowiązek zostawić coś dla biednych studentów. Więc mimo wszystkiego trudno nie przyznać, że dla oświaty Galicya robi bardzo wiele.

Sejm tegoroczny zastanawiał się także nad ustawą budowniczą dla naszych wsi i miasteczek, które dotąd zabudowywały się po dawnemu, bez względu na potrzeby zdrowotne i bez myśli o tém, że lada pożar mógł je odrazu w perzynę obrócić. Po miasteczkach stoją przeważnie domostwa z desek pozbijane, mające dachy połączone jedne z drugiemi, we wsiach zaś galicyjskich, z bardzo małemi wyjątkami, widać dotąd chaty bez kominów, nizkie, w ziemię zapadnięte, a w ich sąsiedztwie chlewy i gnojówki. Więc tak dla jednych, jak dla drugich racyonalna ustawa budownicza jest nieodzownie potrzebna. Ustawa dla miasteczek przyszła do skutku, lecz druga, dla wsi, zostanie uchwalona prawdopodobnie dopiéro w roku przyszłym, ponieważ ta, którą teraz wniosła komisya sejmowa, okazała się całkiem niepraktyczną. Izba wolała tedy poczekać, niż uchwalić ustawę niewykonalną. Uchwalono także ustawę o przymusowém ubezpieczaniu budynków od ognia, wszelako zdaje się być rzeczą pewną, że cesarz odmówi jéj swojéj sankcyi, głównie dla tego, że rząd centralny zajmuje się sam tym przedmiotem i prawdopodobnie wniesie w poszczególnych sejmach prowincyonalnych coś takiego, co całą monarchią będzie obowiązywało.

Ponieważ tak kraj, jak posłowie, oddawna narzekają na krótkość sesyi sejmowych, skutkiem czego prawie żadna ustawa nie może być należycie rozważona, przeto rząd postanowił tym razem sesyi nie zamykać jeno ją odroczyć. Korzyść ztąd będzie wielka. Każda nowa sesya musi się zaczynać od wyboru komisyi i wielu innych rzeczy, które niezmiernie dużo czasu sejmowi zajmują; przeciwnie, jeżli sesya jest tylko odroczona, natenczas komisye nie przerywają swoich czynności i po nowém zwołaniu sejmu, mogą

przed nim stanąć z gotowemi elaboratami. Że tego roku tak się stało, zasługa w tém głównie lewicy, składającéj się przeważnie z posłów młodych i inteligentnych, którzy złożyli dowody wielkiéj ruchliwości i troski o dobro powszechne. Ci, których jeszcze do niedawna arystokratyczna prawica z góry traktowała, zaczynają w sejmie coraz wybitniejsze stanowisko zajmować, przy rozprawie nad ustawą szkolną nawet część partyi krakowskiéj za sobą pociągnęli, krótko mówiąc, wybijają się coraz więcéj na wiérzch, i kto wié, czy już w przyszłéj kadencyi, która zacznie się w r. 1890 nie będą panami sytuacyi....

II.

Prawie w tym samym dniu, w którym sejm został odroczony, pojawiła się we Lwowie książka p. t. „*Nędza Galicyi w cyfrach*“, któréj autorem jest delegat do rady państwa, p. Stanisław Szczepanowski, głowa nafciarzy galicyjskich. Z powodu, że praca ta zrobiła w całym kraju wielkie wrażenie i mieści w sobie program energicznego rozwoju całego gospodarstwa krajowego, przeto muszę o niéj obszerniéj pomówić. Wpierw jednak słów kilka o autorze.

P. Szczepanowski po ukończeniu studyów i dziewięcioletnim pobycie w Anglii, gdzie nauczył się pracować i liczyć na własne siły, przyjechał przed sześciu laty do Galicyi, a przebiegłszy kraj pieszo, od Krakowa do Czerniowiec, i przypatrzywszy się z tą samą uwagą jego bogactwu, co i potrzebom, poświęcił się głównie nafciarstwu. Nie długo trwało, a Słoboda Rungórska, o któréj dawniéj nikt nie słyszał, dzięki jego pracy zrobiła się głośną w całéj Europie, obecnie zaś w Peczyniżynie, tuż obok Słobody, stoi olbrzymia rafinerya, co do wielkości druga w Austryi, którą p. Szczepanowski założył przy pomocy obcych kapitałów, gdyż w Galicyi nie byłby ich nigdy znalazł. Przed dwoma laty, obywatele obwodu stryjskiego, wybrali go delegatem do rady państwa, a że w tym samym czasie toczyły się w Wiedniu rozprawy nad kwestyą falsyfikatów kaukaskich, które groziły zupełną ruiną nafciarstwu galicyjskiemu, więc p. Szcz. jako delegat wziął w nich natychmiast czynny udział, a poruszywszy niebo i ziemię, ocalił nasz przemysł naftowy. Nie zaszkodzi, jeźli tu nadmienię, że wskutek jego niepospolitéj agitacyi, sam minister finansów, p. Dunajewski był zachwiany, gdyż jedynie z powodu wielce dlań przykréj sprawy naftowéj po dwakroć podawał się wtedy do dymisyi. Obecnie miasto zapraszać wyborców na sejmik relacyjny, jak to u nas jest w zwyczaju, delegat stryjski wolał wydrukować sporą książkę, którą tym dedykował, co mu

swe głosy oddali, aby ci zobaczyli, jakie są jego zapatrywania na sprawy krajowe. W słowie wstępném spotykamy się z wielu trafnemi uwagami, z których kilka w streszczeniu przytoczę: „Nasza gmina, nasze powiaty, nasz wydział krajowy, ani zakresem, ani rozmiarem juryzdykcyi nie odpowiadają dotychczas naszym potrzebom. Na każdym kroku napotykamy przykłady praw i przywilejów, nadanych ludziom, którzy nie umieją, lub nie chcą z nich korzystać."— „Biurokracya niemiecka, któréj stuletnie rządy w Galicyi są przykładem pomnikowéj nieudolności i oburzających eksperymentów *in corpore vili*, zaszczepiła tutaj zarazę biurokratyzmu i obłędu, który ogarnął część społeczeństwa, a który mówi, że ta sama biurokracya umundurowana po polsku i pisząca po polsku, może stać się dźwignią sprawy narodowéj, i że można jéj powierzyć pieczę polskości samemu ręce założywszy." „Trzeba się przedewszystkiém pozbyć fundamentalnéj iluzyi polityków niedojrzałych, którzy utrzymują, że w życiu polityczném rozchodzi się przedewszystkiém o materyalny rezultat usiłowań, a że mniéj ważną jest rzeczą, jakiemi środkami rezultat osiągnięty został. Ma się wprost przeciwnie; środki są zwykle ważniejsze od celu, do którego zmierzają. Duch łączności i ofiarności obywatelskiéj, zaufania we własne siły i wiary w przyszłość, wywołany przez system samorządu, stokroć jest ważniejszy od każdorazowego celu odosobnionego, na dopięcie którego te cele są użyte. Tak jak pomimo tożsamości chwilowego rezultatu zachodzi największa różnica w świecie pomiędzy szczęśliwcem, który wygra los kredytowy, a tym, który ćwierć miliona zdobył sobie własną, uczciwą pracą, tak téż największa w świecie zachodzi różnica między postępem, który społeczeństwo zdobywa własnym wysiłkiem, a tym, którym zostało obdarzone przez obcą administracyą." — „Nie bądźmy jednak niesprawiedliwymi ze zbytniéj, acz naturalnéj patryotycznéj niecierpliwości. Trzebaby nie miéć oczu, żeby nie dostrzegać, iż zasiew zdrowych myśli narodowych zaczyna wydawać plon i przemagać chwasty rozrosłe podczas stuletniego ucisku. Tak jak Towarzystwo krakowskie wzajemnych ubezpieczeń jest niezbitym dowodem, że tradycye samorządu nie wygasły u szlachty, tak Towarzystwa zaliczkowe dowodzą, że i nasz stan średni potrafił sobie przyswoić téż same tradycye." — „Od czasu średnich wieków Polska nie posiadała takiego żywego ogniska wiedzy powszechnéj, jakim jest obecnie uniwersytet Jagielloński. Jemu zawdzięczamy przedewszystkiém fakt nieocenionéj ważności w rozwoju politycznym narodu, to jest wytworzenie poraz pierwszy w naszych dziejach, konserwatyzmu opartego nie na ślepém zacofaniu i instynktowém „nechaj bude, jak buwało", ale na nowożytnych za-

sadach dziejowego badania i umiejętnéj krytyki stosunków obecnych. To téż stańczycy stoją o całe niebo wyżéj od przedpotopowych konserwatystów. Ci ostatni żyją w świecie urojonym i zgoła nie rozumieją dziś organizmu nowożytnego społeczeństwa, ani jego chorób, ani jego potrzeb. Z nimi wszelka dyskusya jest wręcz niemożliwą. Nie odczuwając uczuć swojego czasu, nie rozumieją téż jego języka. Te same słowa nawet nie mają dla nich tego samego znaczenia, jak dla synów XIX wieku. Całkiém inaczéj stańczycy. Nikt lepiéj nie znał, lub nie zna swojego wieku, jak Szujski, Kalinka lub Stanisław Tarnowski. Ale przeszłość nie da się zgalwanizować i nanowo do życia przyprowadzić. Stanowią téż oni na przyszłość bardzo cenny zawiązek umiejętnéj i trzeźwéj krytyki, ale za wiele byłoby od nich żądać twórczości. To téż cała ta szkoła jak powstała przez krytykę ujemnych stron rewolucyi francuskiéj za czasów De Maistre'a, tak téż od niego, aż do Stanisława Tarnowskiego, wydała cały szereg świetnych krytyków, *ale ani jednego męża stanu.*" — „Ani obecnie na całéj kuli ziemskiéj, ani w historyi przeszłych wieków nie ma najmniejszéj analogii do polityki ekonomicznéj obecnéj większości Koła polskiego, dziwoląga składającego się w równéj mierze z przedpotopowych tradycyi szlachty przedrozbiorowéj i z zardzewiałéj rutyny austryackiego biurokratyzmu. Obecna nasza polityka jest teoryą, utopią, na którą nie ma wzoru i przykładu, a oprócz tego potępia się sama zupełną prawie bezowocnością wieloletnich już zabiegów." — „Jednéj tylko rzeczy potrzebujemy do prawie natychmiastowego wydźwignięcia się z naszéj niedoli: niech ta sama odwaga, szlachetność i ofiarność, która cechowała nasze dawne daremne porywy do walki orężnéj, które tylko bezowocnie marnowały najcenniejsze siły narodowe, okaże się teraz na polu życia codziennego, na polu straszliwéj i nieubłaganéj walki o byt,— na polu wspólnych usiłowań około podniesienia dobrobytu krajowego i oświaty ludowéj." — Autor kończy przemowę temi słowy: „Wyjechawszy w roku 1867 za granicę, w celu obeznania się z przemysłem francuskim i angielskim, zacząłem pracować w r. 1870 w biurze d-ra Forbes Watson, w ministeryum Indyjskiém, szefa oddziału studyów nad płodami surowemi indyjskiemi i nad ich użytecznieniem tak przemysłowém, jak handlowém. Odnośne studya ekonomiczne, zatrudniały mnie przez 9 lat. Pracowałem nad przemysłem indyjskim, nad podatkowością dawnéj Persyi lub państwa Wielkiego Moguła, ale myślałem o naszéj Galicyi i każde świeże doświadczenie zastosowywałem do naszych krajowych stosunków. W późniejszych doświadczeniach i podróżach w Anglii, Francyi i Włoszech, miałem tę jednę myśl przewodnią,

obznajomienia się gruntownego z organizmem ekonomicznym narodów, opartego o ile można na naocznem studyowaniu sposobów, za pomocą których one się podźwigają z upadku. To też jeżeli w pracy mojéj pozwoliłem sobie rzucić kilka myśli o przędzalniach bawełny, to tylko dla tego, że sam przez 3 miesiące pracowałem w przędzalni eksperymentalnéj, którą rząd Indyjski utrzymywał przez pewien czas w Manchester; jeżeli mówię o przędzalniach lnu i konopi, to dla tego, że widziałem zakłady we Włoszech, które ze wszech miar nadają się jako wzory dla nas. Jeżeli wspominam o mleczarniach, to dla tego, że zwiedziłem sławną akademią mleczarską w Medyolanie i niejednokrotnie konferowałem ze znakomitymi profesorami téj instytucyi. Jeżeli tak często mówię o rozwoju węgierskim, to dla tego, że poznawszy Węgry w r. 1862, przed rozwojem ekonomicznym, a zwiedziwszy je ponownie w r. 1886, mogłem naocznie przekonać się o bajecznym postępie kraju w tym czasie. Jeżeli porównuję czasem biurokracyą austryacką z obcemi, to na podstawie osobistego doświadczenia administracyi angielskiéj, francuskiéj i pruskiéj. O wadliwościach administracyi austryackiéj pouczyły mnie doświadczenia jako przemysłowca naftowego. O nędzy naszego ludu przekonały wielomiesięczne piesze wędrówki po kraju. Żadnego innego czynnika nie przyniosłem, krom niezłomnego zaufania, że cokolwiek cudzoziemcy potrafią zrobić, to i my potrafimy. Doświadczenie sześcioletnie utwierdziło mnie w téj niezachwianéj wierze w wrodzony hart i energię natury polskiéj. Mam niezłomne przekonanie, że ten hart i ta energia, dadzą się wywołać na wszystkich polach naszéj działalności społecznéj.“

Po wstępie, z którego można poznać całego autora, następuje samo dzieło, obejmujące 218 stronic dużego formatu, przepełnione cyframi i tablicami statystycznemi. Autor podzielił je na 5 części, których tytuły są następujące: 1) Zasoby kraju; 2) Ciężary i potrzeby kraju; 3) Bilans gospodarstwa krajowego; 4) Fałszywe poglądy, ekonomiczne; 5) Konkluzye. Pójdziemy krok w krok za nim i z każdéj części to wybierzemy, co nietylko rzuca jasne światło na nasze stosunki, lecz może i powinno zainteresować także szersze koła po za granicami Galicyi. Przypatrzmy się najpierw zasobom Galicyi. Prowincya nasza należy do krajów najbardziéj zaludnionych, gdyż na jeden kilometr przypada 80 mieszkańców. Przewyższają ją tylko Anglia, Włochy, Belgia, Holandya i Niemcy. Pod względem ludności czysto rolniczéj, Galicya wiedzie prym w Europie, ponieważ ma na każdym kilometrze kwadratowym 60 osób poświęcających się rolnictwu. Pochodzi to ztąd, że inne działy pracy ludzkiéj są w niéj zaniedbane, bądź też całkiem nie istnieją. Według p. Szcz. tylko

Chiny i Bengalia mogą pod tym względem równać się z Galicyą, w pierwszych bowiem przypada na kilometr 83 rolników, w drugiéj 110. Lecz oba te kraje, jako zwrotnikowe, gdzie wielkie rzeki ziemię użyźniają, a cudowny klimat pozwala robić żniwa dwa i trzy razy do roku, znajdują się w zupełnie wyjątkowém położeniu i dla tego z Galicyą nie można ich wcale porównywać. Tak więc na całéj kuli ziemskiéj nie ma kraju, w którym każdy kilometr kwadratowy ma dać utrzymanie tak licznéj ludności rolniczéj jak w Galicyi. W Niemczech na kilometr przypada 37, w Węgrzech 33, a w Królestwie Polskiém 38 głów rolniczych. Zdawało by się, że gdzie jest tak liczna warstwa rolnicza, tam przynajmniéj produkcya rolnicza powinna świetne rezultaty wykazywać, tymczasem rzecz ma się wręcz przeciwnie. Z tablicy statystycznéj widać, że pod tym względem wyprzedziły nas Anglia, Niemcy, Francya, Belgia, Węgry, nawet Królestwo Pols., które z tą samą co my dziś ludnością w r. 1873, wyprodukowało znacznie więcéj niż Galicya, bo 25 milionów centnarów zboża i 37 mil. centnarów ziemniaków, podczas kiedy u nas produkcya przeciętna wynosi ledwie 16½ mil. cent. zboża i 30 mil. cent. ziemniaków. Co do obfitości bydła, stoimy między Anglią a Niemcami, a więc na miejscu honorowém, lecz pozycyą naszą wielce zaciemnia okoliczność, że jakość nie odpowiada u nas ilości. Podczas gdy we Francyi wół utoczony waży przeciętnie 500 kilo, a świnia 340 kilo, nasz wół w Wiedniu rzadko waży więcéj niż 340 kilo, a świnia ledwie 40 k. Krowy angielskie dają rocznie po 2,000 litrów mleka, galicyjskie ledwie po 650. Jeżeli całą produkcyę zboża, kartofli i mięsa, przedstawimy w ekwiwalencie samego zboża, to się okaże, że Królestwo Polskie produkuje o 40 procent więcéj niż Galicya. Wprawdzie Kongresówka ma o połowę więcéj powierzchni niż Galicya, ale uderzającym jest fakt, że 38 głów ludności rolniczéj, pracującéj tamże na każdym kilometrze, wytwarza prawie tyle, co 60 głów w Galicyi, albowiem produkcya roln. obrachowana w Królestwie na kilometr kw. wynosi 355 centnarów metrycznych zboża, a w Galicyi pomimo prawie dwa razy tak licznéj ludności rolniczéj tylko 414 centnarów. Każdy robotnik z krajów cywilizowanych produkuje cztery razy tyle, co galicyjski. Przedsiębiorca angielski Brassey, który w Galicyi budował koléj Lwowsko-Czerniowiecką, zauważył podobny stosunek wydatności pracy angielskiego i galicyjskiego robotnika. Chociaż galicyjski nie dostawał ani piątéj części zapłaty robotnika téj saméj kategoryi w Anglii, to jednakowoż roboty ziemne, obliczone na metr kubiczny tyle kosztowały w Galicyi co i w Anglii. Ten sam stosunek napotyka się na każdym kroku. *Wydatność pracy przeciętnego mieszkańca*

Galicyi wynosi zaledwie czwartą część pracy człowieka ucywilizowanego. „A przecie, mówi p. Szczepanowski, mogłoby być inaczéj. Robotnicy polscy w Pensylwanii, jako karniejsi i pilniejsi, prawie już wyrugowali robotników innych narodowości; w całych Niemczech północnych, mnóstwo Polaków jest zatrudnionych przy robotach publicznych, w Westfalii i prowincyach nadreńskich pół miliona Polaków pracuje przy kopalniach i hutach żelaznych, nawet w Galicyi można wskazać na dodatnie rezultaty. Warstaty kolejowe we Lwowie, Stanisławowie i w Stryju posiadają doborowych krajowych robotników. Jeszcze lepszy przykład nastręcza przemysł naftowy. Od czasu zaprowadzenia wiercenia systemu kanadyjskiego mamy prawie w każdéj kopalni sposobność porównania pracy najzawołańszych wiertaczy kanadyjskich a naszych własnych ludzi. I tutaj pokazuje się, że możemy wyrobić pracowników równie zdolnych jak zagraniczni, i tak téż mamy już cały szereg wiertaczy nie ustępujących w niczém kanadyjczykom."

Cała produkcya galicyjska przedstawia się w cyfrach następujących: Przychód z roli 190 milionów guldenów, z inwentarza żywego 98 mil., z lasów 5 mil., z górnictwa 8 mil., z przemysłu i rękodzieł 40 mil.; razem 341 milionów guld. a ponieważ w Galicyi mamy 6,400,000 mieszkańców, przeto na głowę wypada 53 guldeny. Po szczegółowém zestawieniu produkcyi Królestwa Polskiego okazuje się, że tam na głowę przypada prawie dwa razy tyle, bo 91 guldenów, w Anglii zaś 450 guld. Banki, kasy oszczędności i towarzystwa zaliczkowe mają obecnie 80 milionów guldenów, z czego przypada po 13 guld. na głowę. Postęp jest tu widoczny, ponieważ w ostatniém dwudziestoleciu majątek tych instytucyi powiększył się rocznie o 3 miliony guld., ale mimo to nawet i pod tym względem nie możemy się równać z żadnym narodem bardziéj rozwiniętym. W Galicyi wypada w instytucyach finansowych 13 guld. na głowę, we Węgrzech 34, we Włoszech 57, w Irlandyi 115, a w Anglii 200 guldenów. Wszystkiego razem t. j. kapitału w bankach i w akcyach można liczyć u nas 180 mil. a więc 28 guld. na głowę. w Anglii zaś blisko 48.000 mil. czyli 1300 guld. na głowę. Pod jednym tylko względem jesteśmy dosyć bogaci, gdyż stosunkowo do obszaru ma Galicya trochę nawet więcéj kolei żelaznych niż ościenne Węgry.

Daléj zastanawia się autor nad ciężarami i potrzebami kraju. Po przejrzeniu kilku tabel statystycznych dowiadujemy się, że w krajach eksportujących płody rolnicze, jak Galicya i Węgry, daleko mniéj przypada żywności na głowę pojedyńczego mieszkańca, aniżeli w krajach importujących, jak Francya, lub Anglia. Tak np. konsumcya zboża na głowę, wynosi we Francyi 284 kilogramy rocz-

nie, w Węgrzech ledwie 182 kilogr. Z wyjątkiem ziemniaków, w konsumcyi których Galicya stoi na czele wszystkich krajów, konsumcya przeciętna zboża i mięsa nie dochodzi u nas ani połowy konsumcyi w innych krajach, ponieważ wynosi na głowę tylko 114 kilo zboża i 10 kilo mięsa, gdy tymczasem we Francyi każdy pojedynczy człowiek zjada przeciętnie 284 kilo zboża i 34 kilo mięsa. Gdyby więc mieszkańcy Galicyi zechcieli żyć równie dobrze jak Francuzi, toby oprócz całéj własnéj produkcyi rolniczéj, *musieli jeszcze drugie tyle importować.* Jak pierwéj widzieliśmy, że praca rolnika galicyjskiego wydaje zaledwie czwartą część tego plonu, co praca rolnika w zachodniéj Europie, tak teraz widzimy, że jego pożywienie nie dochodzi ani połowy téj ilości, co pożywienie w zachodniéj Europie. *Każdy Galicyanin pracuje więc za ćwierć, a je za pół człowieka.* „Zajmując się przez wiele lat specyalnie administracyą Indyjską — mówi p. Szcz. — zawsze przypuszczałem, że niektóre prowincye Indyi angielskich były w takiém samém położeniu, ale po dokładném porównaniu przekonałem się, że w całych Indyach nie ma prowincyi, w któréj by na głowę nie przypadało do konsumcyi przynajmniéj dwa razy tyle zboża co w Galicyi. Nasze kartofle i kapusta pokrywają wprawdzie niedobór co do ilości, ale z pewnością nie co do jakości! Z powodu złego wyżywienia, śmiertelność w Galicyi jest nierównie większa niż gdziekolwiek indziéj. Przeciętna długość życia wynosi u nas dla mężczyzn lat 27, dla kobiet 28½, w Czechach 33—37; we Francyi 39—41, w Anglii 40 i 42 lata. Można przyjąć za pewnik, że z wyjątkiem niektórych kolonii na dziewiczych ziemiach Ameryki i Australii, ludność krajów czysto rolniczych wszędzie cierpi głód, a przytém co ma najlepszego, to jeszcze wywozi za granicę. Jeden i drugi w Galicyi sprzedaje przeważnie za granicę nie dla tego, iżby w domu nie było mnóstwa ludzi głodnych i niedostatecznie żywionych, ale z téj prostéj przyczyny, że ci krajowcy potrzebni nie mają środków pieniężnych na zakupno pokarmu.

Cały ciężar podatku wynosi w Galicyi około 60 milionów guldenów. Na głowę więc wypada tylko 9 guldenów. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że Galicya jest pod tym względem najszczęśliwszym krajem pod słońcem, Francuz bowiem składa w podatkach 48 guld., Anglik 46, Hiszpan 31, Włoch 29. Belg 19½, nawet Węgier 19 guldenów; wszelako jeźli zważymy, że z wartości całkowitego dochodu krajowego, przypada na głowę we Francyi 350, w Anglii 450, w Belgii 300, w Galicyi zaś tylko 50 guldenów, to się okaże, że galicyanin oddając w podatkach $^1/_5$ część dochodu, nie równie więcéj płaci niż Francuz, który daje $^1/_8$, albo Belg, który składa ledwie $^1/_{15}$

część dochodu. Galicya musi téż być uważana za kraj najbardziéj obciążony podatkami ze wszystkich krajów, z któremi ją porównać można.

Ciężary hipoteczne i długi tak się przedstawiają: większa własność tabularna jest winna 183,600,459 guldenów; miejska 57,813,927 guld.; górnicza 368,837 guld.; drobna własność 29,792,401 guldenów. Razem zatém mamy długów 271.570,624 guldenów. Ponieważ wykazy, na podstawie których cyfry powyższe zostały zestawione, są dawniejsze, przeto można przyjąć kwotę 300 milionów jako minimalne obciążenie nieruchomości galicyjskich w r. 1887. Długi trzystumilionowe, ciążące na kraju z sześciomilionową ludnością, byłyby drobnostką, gdyby ten kraj prawidłowo się rozwijał, na głowę bowiem nie wiele więcéj wypadnie niż 60 guld., a tymczasem w koloniach australskich same długi publiczne, prócz prywatnych wynoszą 600 guld. na głowę, a nie przeciążają ludności. Faktyczna wartość nieruchomości galicyjskich w ziemi i w domach wynosi najmniéj 1.452 miliony guldenów, na głowę przypada zatém 235 guld. Jestto bardzo mało, jeśli się zważy, że we Francyi wartość ta wynosi na głowę 1,600 guld., w Anglii 1,200, w innych zaś prowincyach Austryi przeciętnie 500 guldenów.

Czém są koleje dla Galicyi, o tém dowiadujemy się z następujących słów p. Szczepanowskiego: „Galicya po przyłączeniu do państwa austryackiego, znalazła się w niemożliwéj sytuacyi ekonomicznéj. W każdym kraju naturalny ruch handlowy idzie z biegiem rzek, najbliższą drogą do morza. Te naturalne i odwieczne komunikacye zostały przerwane. Handel galicyjski został od razu zwrócony w kierunku najuciążliwszym, tj. na poprzek wszystkich dolin i rzek. Kierunek ten zarazem przedstawiał dla wszystkich części kraju drogę możliwie najdłuższą, bo komunikującą z zagranicą nie w kierunku promienia, ale w kierunku obwodu, wąziutkim cyplem kraju przy granicy szląskiéj, która jedynie przedstawiała furtkę komunikacyjną z resztą świata, podczas kiedy wszystkie inne granice były dla naszego handlu prawie zamknięte. Kraj więc prawie przez 100 lat przedstawiał niejako ciało na pół zmartwiałe, w którém położono ligatury na wszystkie główne żyły i arterye, i gwałtem zatamowano w niém obieg krwi. Teraźniejsze zatrważające ubóstwo téj niegdyś najbogatszéj prowincyi polskiéj, jest w znacznéj części wynikiem téj zatamowanéj cyrkulacyi i tego przymusowego zastoju. Otóż sieć kolejowa, zamiast dawnych zatamowanych arteryi, stworzyła niejako nowe żelazne arterye, które w dogorywającém już ciele umożebniły na nowo obieg świeżéj krwi i wywołały słabe obja-

wy nowego życia ekonomicznego w organizmie już prawie bezżywotnym“.

Wywóz w Galicyi przyniósł w 1883 roku 85 milionów guldenów, przywóz zaś towarów 83 miliony guld. Nadwyżka zatém na naszą korzyść przedstawia się w kwocie 2 milionów guldenów. Jak na tém wychodzimy, że nie mamy własnego przemysłu, okazuje się najlepiéj z tego, że wywozimy za granicę 97,000 centnarów metrycznych lnu, wełny i konopi, a sprowadzamy ztamtąd 158,000 cent. metr. tkanin i wyrobów bławatnych. Wywozimy 9,000 cent. metr. skór, jako skóry, drugie zaś tyle w żywém bydle, a sprowadzamy 18,000 cent. metr. wyrobów skórzanych. To samo da się powiedzieć o wielu innych artykułach.

Autor zapytuje z kolei, jak wygląda bilans gospodarstwa krajowego. „Nasz materyał ludzki — mówi on — tak się ma do materyału ludzkiego w Anglii, Francyi i Niemczech, jak piasek, glina i słoma, z których lepimy nasze lepianki, mają się do ciosu i żelaza, z których wznoszą domy gdzieindziéj. W takich warunkach najlepsza sztuka polityczna nie może dopisać. Wraz z ludem cały kraj zchodzi na żebry. Nie praca i oszczędność, jak w zdrowych społeczeństwach, ale żebranina jest najwybitniejszém zjawiskiem ekonomicznem w Galicyi. Inteligencya żebrze o posady przy urzędach, stan średni i szlachta żebrzą o kredyt w bankach, kraj cały żebrze w Wiedniu, tylko najliczniejsza klasa ludności, chłop, nie ma już u kogo żebrać.“ Niedobór finansowy całéj Galicyi przedstawia się jak następuje: 1) zwyżka podatków wysyłana gotówką do Wiednia 12 milionów; 2) czysty zysk kolei galicyjskich, pobierany przez zagranicznych kapitalistów, 5 mil.; 3) oprocentowanie indemnizacyi galicyjskiéj i listów zastawnych galicyjskich, za granicą będących, 6 mil.; 4) sprowadzenie obcych fabrykatów 83 miliony — Galicya płaci zatém rocznie zagranicy 106 milionów, a że sama eksportuje za 85 mil., przeto jéj niedobór wynosi rocznie 21 milionów guldenów. Czém go zaś pokrywa? *Ziemią*.

Niedobór życiowy jest równie groźny. Skutkiem niedostatecznego wyżywienia i złéj opieki lekarskiéj, panują u nas najrozmaitsze epidemie. Autor zestawiwszy z kilkunastu lat wykazy statystyczne, dochodzi do téj smutnéj konkluzyi, że właściwie z głodu umiera u nas rok rocznie 50,000 ludzi.

Niedoborowi społecznemu poświęca on stosunkowo najwięcéj miejsca i dział ten jest, zdaniem mojém, najoryginalniejszy, rzuca bowiem jaskrawe światło na przyczyny naszéj niemocy moralnéj, co w dalszym ciągu odbija się na polityce galicyjskiéj. Kto jest biédny, jest zależny, a kto jest zależnym, tego nie można poczyty-

wać za dodatni czynnik w życiu narodowém. Chłopów mających od 40 do 50 morgów własnego gruntu, jest w Galicyi ledwie 7,000, a że są oni rozsypani w 6,000 gminach, przeto na resztę włościan żadnego wpływu nie wywierają. W Węgrzech przeciwnie gospodarzy równie zamożnych a nawet jeszcze bogatszych wykazuje statystyka 120,000 i ci przodują ludności wiejskiéj, liczącéj 2 miliony głów. Tam téż chłop już coś znaczy. Dzierżawców inteligentnych i zamożnych, którzy gdzieindziéj niepospolitą rolę odgrywają, brak u nas zupełny. Właścicieli tabularnych mamy razem 1930, ale że między tymi znajduje się obcych i żydów 380, przeto na autochtonów przypada tylko 1550. Dochód całéj téj warstwy wynosi rocznie 18 milionów guld., lecz gdy odtrącimy odsetki od długów bankowych i podatki, to okaże się w najlepszym razie, że całe obywatelstwo wiejskie nie ma rocznie więcéj niż 10 milionów guldenów. Dochód czysty z morga nie przynosi u nas więcéj niż 4 guld. 60 cnt. W Anglii przeciwnie daje on 37 guld. a więc ośm razy tyle. Autor jest zdania, że ziemia w Galicyi potrzebuje ogromnych nakładów, co gdy nastąpi, będzie się tak samo rentowała, jak gdzie indziéj. Przypatrując się bliżéj ekonomicznemu położeniu szlachty galicyjskiéj, dochodzi on do téj arcy-smutnéj konkluzyi, że obywateli majątkowo całkiem niezawisłych, nie mamy więcéj niż 400. Jest to więc cały zastęp siły politycznéj, któréj nasza warstwa rolnicza może dostarczyć. Jeźli szlachta galicyjska dotąd nie zbankrutowała, zawdzięcza ona swój ratunek jedynie podnoszeniu sie wartości ziemi, lecz to w nieskończoność ciągnąć się nie może.

Stan średni w Galicyi składa się z warstwy przemysłowéj, obejmującéj 5½ procent całéj ludności, i handlowéj z 3 i pół procentem. Cały stan tedy wynosi ledwie 9 proc. W każdym razie jest to zastęp dość liczny, żeby pokazać, iż wielki przemysł jest możliwy w Galicyi, lecz równocześnie jest on za słaby, by mógł stanowczo wpłynąć na losy ekonomiczne kraju. Mamy jednak najlepszy dowód zyskowności operacyi handlowych i finansowych przynajmniéj dla dość licznych jednostek w fakcie, że w ciągu lat trzydziestu klasa finansowa i kupiecka nabyła kilkaset majątków ziemskich.

Maszyna biurokratyczna liczy w Galicyi wogóle 43,000 osób i kosztuje przeszło 24 miliony rocznie. Oficerów i żołnierzy mamy prócz tego 35,000 z płacą około 10 milionów. Z wojskiem więc znajduje się w służbie państwowéj, krajowéj, powiatowéj, wiejskiéj i kolejowéj blisko 80,000 osób, z płacą około 34 milionów guldenów. W téj liczbie saméj inteligencyi jest zawartéj około 23,000 osób. Przeciwnie cała inteligencya niezależna, według ostatnich spisów, nie liczy więcéj niż 5,000 osób. Dochody warstwy średniéj przed-

stawiają się tak: 1) biurokracya 34 mil. guldenów; 2) handel 30 mil.; 3) rękodzieła i przemysł 30 mil.; 4) właściciele domów i kapitaliści 10 mil.; 5) propinatorowie i karczmarze 10 mil.; 6) właściciele tabularni 10 mil.; 7) inteligencya niezależna 6 milionów, razem—130 milionów. Jeźli do tego dodamy produkcyą włościan i robotników bliżéj nieokreślonych na 188 mil. a odciągniemy 23 miliony wysyłane za granicę, to całoroczny nasz budżet zawrze się w kwocie 341 milionów guldenów. Cyfry te zupełnie tłómaczą naszą niemoc polityczną. Jedyne warstwy przejęte zdrowemi tradycyami historycznemi i politycznemi, i jako tako uobywatelnione, t. j. właściciele więksi i inteligencya niezależna, liczą razem ledwie 7,000 rodzin i zbiorowo rozporządzają $^1/_{20}$ częścią dochodów krajowych. „Przy innych warunkach moralnych i umysłowych, to wobec bierności ludu wiejskiego, wobec opłakanego stanu ekonomicznego szlachty, stan średni, to jest niezależna inteligencya, z klasą mieszczańską i przemysłową, rozporządzająca razem dochodem 76 milionów, dawno byłaby przeważającą warstwą w kraju, pociągnęłaby lud wiejski za sobą i ujęłaby ster rządów krajowych w swoje ręce. Że tak się nie stało, jest jedynie wynikiem nie siły innych żywiołów, ale braku organizacyi, wykształcenia i charakterów. Szlachta więc została u steru, ale w poczuciu własnéj niemocy, wybrała ona jedyną drogę, która jéj pozostała, drogę pewną, nie wymagającą ani wielkiego wytężenia umysłowego, ani wielkiéj ofiarności obywatelskiéj,—drogę bez śmiałych przedsięwzięć, ale i bez ryzyka, bez nagłéj katastrofy, drogę stopniowéj abdykacyi własnéj i śmierci politycznéj, drogę oparcia się o najpotężniejszy, najlepiéj zorganizowany, najzasobniejszy żywioł w kraju, o biurokracyą. Idea autonomii otrzymała przez to cios śmiertelny. Tak samo, jak dawniéj, wobec obcéj i wrogiéj biurokracyi, mimowoli czepialiśmy się autonomii, jako jedynéj deski zbawienia, tak teraz, kiedy nie ma rodziny w kraju, któréjby liczni członkowie nie zależeli od karyery biurokratycznéj, gdzie każda krytyka urzędnika, dotyka nie obcego i obojętnego nam, ale może brata, stryja, kuzyna, naszych najbliższych znajomych — trucizna biurokratyczna przeniknęła cały organizm narodowy, stała się krwią z krwi naszéj, kością z kości naszych, tysiączne zapuściła korzenie w téj właśnie warstwie społecznéj, w któréj dawniéj przechowywały się nasze tradycye historyczne i polityczne, i o mało że ich nie przygłuszyła zupełnie. To téż gorszym od niedoboru finasowego i życiowego, gorszym jest niedobór społeczny, którego sygnaturą jest upadek niezależnego obywatelstwa i panowanie biurokracyi znajdującéj się pod obcym kierunkiem, niedobór objawiający się upadkiem ducha publicznego, apa-

tyą i martwotą całego społeczeństwa, utratą wiary we własne siły i nadziei w możliwość ratunku."

Jak Nordau poświęcił interesujące dziełko „Kłamstwom konwencyonalnym", tak i p. Szczepanowski w pracy swojéj omawia fałszywe poglądy ekonomiczne, które w szerokich masach utarły się jako prawdy niezbite. Według niego, emigracya ludowa nie jest żadném złem. Wolę, mówi, żeby lud do Ameryki emigrował, niż żeby w domu z głodu ginął. Emigracya jest dowodem rozbudzonéj energii, przedsiębiorczości ludowéj i większéj żywotności rasowéj. O to tylko trzeba się starać, aby emigranci nie zapomnieli o kraju. Rozprawiwszy się następnie z tymi, którzy niesłusznie skarżą się na brak ludności w Galicyi, przechodzi do podatków, i tu udowadnia, że tylko wskutek niesłychanie małéj rentowności gospodarstwa wiejskiego w naszym kraju, bardzo umiarkowany ciężar od dochodu brutto staje się już uszczerbkiem czystego dochodu. Przy innéj polityce ekonomicznéj podatki mogłyby być nierównie wyższe, a mimo to nikomu by nie ciężyły. Autor wykazuje, że gdyby nastąpiło zniżenie taryfy o 60 cnt. na centnarze przewożonego zboża, to wprawdzie dochód kolejowy zmniejszyłby się o 1,200,000 guld. rocznie, ale za to rolnicy zyskaliby na 8 milion. centnarów 4,800,000› czyli więcéj niż cały podatek gruntowy. Podatki można podnosić, ale pieniądze ztąd płynące należy obracać na podniesienie produkcyjności kraju. Skoro tak postępują wszystkie narody cywilizowane i dobrze na tém wychodzą, więc czemu tylko my jedni nie mielibyśmy pójść tą drogą. Kredyt osobisty, który miał nas zbawić—mówi autor—jest zły, bo my go prawie zawsze na rzeczy nieprodukcyjne używamy, zato należy starać się o kredyt publiczny, ponieważ kraj, powiaty i miasta, tylko przy jego pomocy mogą się dźwignąć. Gdybyśmy tyle pożyczali i na cele publiczne wydawali co Węgry, to w ciągu ostatniego dwudziestolecia bylibyśmy zrobili długów 900 milionów, czyli 42 miliony rocznie. Samo wykupno kolei Karola Ludwika zrobiłoby nas panami w kraju. Cła ochronne są — zdaniem autora — szkodliwe dla Galicyi, ponieważ ona wiele importując, płaci teraz o 15 milionów rocznie więcéj, niżby to czyniła przy wolności handlowéj. Nawet cło od zboża, które naszą produkcyą rolną chroni od importu z Rumunii, ma w jego przekonaniu wartość problematyczną. Socyalizmu nie boi się on, gdyż w społeczeństwie, nie mającém nic do dzielenia, nie może się socyalizm przyjąć, a co do antysemityzmu, to jest mu przeciwnym nie tylko ze względów humanitarnych, lecz także i ekonomicznych. Autora dziwi nawet zbyteczna trwoga przed żydami. Tych jest w Galicyi wprawdzie 686,000, lecz na głowę zarabiają oni w prze-

cięciu ledwie 100 guld. Żydzi stoją tylko oszczędnością, niczém więcéj. Drobna oszczędność, nie zaś umiejętność w pracy wytwórczéj, jest cechą ich zarobkowości. „Co to, ludność przemysłowo-handlowa, licząca blisko 700,000 głów, nie jest wstanie więcéj zaoszczędzić niż 7 milionów rocznie? I to ma być dowodem sprytu? Więc jakże nazwać Anglików, lub Francuzów, którzy oszczędzają rocznie blisko po 100 guldenów na głowę? Tylko w porównaniu z naszém niedołęstwem można to nazwać sprytem. Losy ludności 5½ milionowéj, posiadającéj całą rolę, mającéj w ręku rządy krajowe, piastującéj wszystkie urzędy i godności, mają być zagrożone dla tego, że żydzi rocznie oszczędzają 7 milionów! Jeżeli my, z wszystkiemi naszemi zasobami, nie potrafimy im wyrównać i ich nieskończenie przewyższyć, to warto, żebyśmy do szczętu wyginęli. Gdybyśmy mieli do czynienia nie z naszymi żydami, ale z narodem rzeczywiście sprytnym, energicznym i zaborczym, gdybyśmy to mieli obok nas i pomiędzy nami 700,000 Szkotów lub Yankesów, ludy pracy wytężonéj i śmiałéj przedsiębiorczości, dawno już ci przybysze byliby nas zjedli *mit Haut und Haaren*, ze skórą i włosami, jak Niemcy mówią.“ Autor jest za spolszczeniem żydów, wierzy nawet w ich powolną asymilacyą, nie podziela bowiem zdania antysemitów, którzy utrzymują, że odrębne właściwości rasy nigdy nie giną, ale że w chwili obecnéj nie widzi jeszcze takich żydów, jakich dopiero spodziewa się mieć w przyszłości, więc żeby ich zrobić nieszkodliwymi, radzi wprowadzać ustawy kładące tamę wyzyskowi i przemawia gorąco za wykupem propinacyi.

Konkluzya dzieła jest poniekąd jego rekapitulacyą, dosadnie wypowiedzianą. Autor udowadnia w niéj jałowość naszéj polityki we Wiedniu, tam bowiem możemy otrzymać w najlepszym razie zaledwie jaki podarunek, za co musimy się ministrom wysługiwać; radzi zwrócić całą uwagę na kraj, wzywa do oszczędności, do pracy, mówi o melioracyach, parcelacyi i kończy uwagę, że najważniejszym i najdonioślejszym wynikiem rzeczywistego samorządu, powinno być u nas wyrobienie narodowego systemu wychowania, aby każdy chłopiec był już w szkołach przygotowany do życia obywatelskiego.

III.

Chociaż dziełko p. Szczepanowskiego jest napisane z niepospolitym talentem i z wielką odwagą cywilną, w niém bowiem uderza on we wszystkie koterye, mimo to po jego przeczytaniu w głowie czas jakiś chaos panuje, a pochodzi to główniе ztąd, że

pod względem artystycznym nie jest ono równie doskonałe, jak pod względem informacyjnym. Gdzie autor statystyczne tablice zestawia, tam nie wiele można mu zarzucić; za to, gdy uniesiony ideą przechodzi na pole polemiczne, często powtarza rzeczy raz już powiedziane, różnorodne z sobą miesza, zbyt szybko od jednych do drugich się przerzuca, skutkiem czego całość robi wrażenie pośpiesznéj improwizacyi, która w umyśle nie pozostawia wykończonego obrazu. Gdyby część polemiczna była treściwsza, pod względem artystycznym lepiéj wykończona, wtedy i dla kwestyi ruskiéj znalazłoby się w niéj miejsce; za to ks. Bismark, który się tam dostał jak Piłat w *credo*, musiałby szukać dla siebie odpowiedniejszego schroniska. Nie jeden może by także wolał, aby p. Szczepanowski, jako delegat do rady państwa, był w swojéj pracy więcéj statystą a mniéj publicystą, mnie jednak zdaje się, że drugi ten kierunek dla tego w nim przeważa, że jemu przedewszystkiém idzie o wywołanie wrażenia, o obudzenie śpiących, o zwrócenie uwagi mas na to, co się w koło nich dzieje. Nie dziw też, że gdy rąbie w prawo i w lewo sztuką krzyżową, *in der Hitze des Gefechtes*, jak Niemiec mówi, popełnia niekiedy omyłki, które acz całości nie psują, zawsze jednak w książce, mającéj niepospolite znaczenie, nie powinny by się znajdować. Nie sposób iść krok w krok za autorem; ktoby to chciał uczynić, musiałby napisać drugą taką książkę jak on; zresztą nie będąc ekonomistą z zawodu, nie mam pod ręką równie bogatego materyału; mnie wolno dotknąć jeno tych usterek, które nawet nie ekonomistę w oczy biją, a jeżeli nie będę wszystkich wyszukiwać, to li dla tego, że listu niniejszego nie chcę zanadto przedłużać.

Autor zbyt często i z widoczném upodobaniem stawia nam za przykład Anglią, na któréj powinnibyśmy nasze życie ekonomiczne wzorować. Wcale nas to nie dziwi. Kto dziewięć lat w niéj mieszkał, pracował i myślał, ten musi miéć wielki szacunek dla pracy anglika a podziw dla mocarstwowéj potęgi W. Brytanii. Lecz czy można porównywać mysz ze słoniem jedynie dla tego, że oba te stworzenia są ssącemi? Mówiąc prawdę, Galicya nawet z ościennemi Węgrami, które tak samo jak ona nie są narodem kolonialnym, nie wytrzymuje porównania, ponieważ jako cząstka Przedlitawii, może tylko rozwijać się w szczupłych granicach naszéj autonomii, gdy przeciwnie Węgrzy tworzą już faktycznie państwo odrębne, mające ministrów i własną skarbowość. Nas w najlepszym razie można było porównywać z Królestwem Polskiem i autor wprawdzie to czyni, lecz szkoda że nie zawsze. Porównanie byłoby jeszcze stosowniejsze, gdyby nas był zestawił razem z Czechami. Obie prowincye są

lądowe i w środku kontynentu położone, obie mają ten sam klimat, obie są zamieszkałe przez ludność słowiańską, obie należą do jednéj monarchii, i obie rozporządzają tylko autonomią. Różnice między niemi jedynie te zachodzą, że jedna jest starsza pod względem kulturnym i ma w swoim organizmie dużo niemców: druga zaś jest kulturnie młodszą, i miasto niemieckiego mieszczaństwa ma żydowskie. Takie zestawienie byłoby racyonalniejsze, ale że i kontrasty nie były by tak wielkie, jak między Galicyą i Anglią, więc muszę chyba przypuścić, że autor uczynił to rozmyśnie, by czytelnika olśnić i ubezwładnić samą jaskrawością dat. Radbym, żeby mu się to w zupełności udało, chociaż nie taję obawy, że czytelnik przeciętny, przestraszy się niezmiernie wysokiéj miary, pod którą go autor postawił, a wiedząc że z karła nigdy olbrzymem nie będzie, zrazi się do dzieła i nie odniesie zeń należytego pożytku. Lękam się także, by przeciwnicy systemu ekonomicznego p. Sz. nie skorzystali z téj słabéj strony jego dzieła i zręczną polemiką nie osłabili wpływu, jaki ono może i powinno wywrzéć na nasze społeczeństwo.

Niewłaściwém w ustach statysty, takim zaś każdy delegat być powinien, jest nawoływanie, byśmy się zmienili do gruntu i żebyśmy w pracy mrówczéj złożyli dowody téj saméj energii, którą okazywaliśmy na innéм polu, bo inaczéj zginiemy. Prawodawca, mąż stanu, nie powinien nigdy żądać rzeczy przechodzących siły nasze; jego obowiązkiem z materyału, jaki ma w ręku, a wśród danych, jakie zastanie, przez wprowadzenie odpowiednich przepisów, praw i ustaw, bądź powoli nagiąć ów materyał do swoich celów, bądź téż przygotować jego doskonalenie. Przeciwnie, kto od razu chce zmienić naturę ludzką, ten zawiedzie się w swoich usiłowaniach. Że w dobréj szkole nawet z tchórza będzie bohater, to autor wié najlepiéj, skoro był we Włoszech. Żołnierze burbońscy wszędzie uciekali, pułki zaś Karola Alberta potykały się mężnie pod Nowarą. Lecz żeby materyał ludzki przerobić, na to trzeba czasu. Reforma narodu wymaga wieków całych. Autor powiada, że Anglicy byli niegdyś narodem rolniczym, a mimo to przeistoczyli się w kupiecki i przemysłowy. Prawda, lecz dla czego? Bo okoliczności takimi ich zrobiły. Puściwszy się tak samo jak ongi Fenicyanie za morze, i znalazłszy tamże niezmierne bogactwa, woleli oddać się eksploatacyi świata całego, niż żyć li z eksploatacyi własnéj ziemi. Ich takimi uczyniło nie nawoływanie publicystów, ale *la force des choses*. Żydzi także się niegdyś rolą zajmowali, a mimo to porzucili ją dla handlu, bo ten dla ich natury okazał się odpowiedniejszym. Nie wątpię, że nawet gnuśni Galicyanie zmieniliby swoję naturę, jeźliby się znaleźli w podobnych warunkach co Anglicy, ale ponieważ to nigdy nie

nastąpi, więc lepiéj mówić masom, iż powoli z nich coś być może, bo w to chętnie i łatwo uwierzą, niż nawoływać aby się odrazu do gruntu zmieniły, tego bowiem się przestraszą, za czém pójdzie nieufność i zniechęcenie do pracy około własnego odrodzenia.

P. Szczepanowski nigdzie jasno nie mówi, czy jest zwolennikiem, czy téż przeciwnikiem szkoły menczesterskiéj, chociaż ze słów jego, iż wolny handel jest właściwie „rozbojem“, możnaby wnioskować, że nie należy do zapalonych wielbicieli Smitha i Cobdena. W całéj jednak pracy jego czuć człowieka, który olśniony w Anglii sukcesami wolności handlowéj, nie może się wyzwolić z pod jéj uroku nawet tu, w téj biednéj Galicyi, którą stuletnia wolność handlowa do kija żebraczego przywiodła. Gdy mówi o cłach, wypowiada głębokie przekonanie, że nie są dla nas korzystne. Być może, że dziś są one nawet szkodliwe, z kraju bowiem wywozimy tylko materyał surowy, z zagranicy zaś sprowadzamy za drogie pieniądze artykuły zeń wyrobione, cło więc od tych artykułów musimy gotówką pokrywać; lecz czy bez ceł ochronnych obeszlibyśmy się i wtedy, gdybyśmy zaczęli własny przemysł rozwijać? Wszak sam Cobden, zapytany na kilka lat przed śmiercią, kiedy to sprawa ceł ochronnych wchodziła już na porządek dzienny, jakie jest jego zdanie o téj rzeczy, rzekł, że cła ochronne są tak długo *potrzebne*, póki artykuły, dla których zostały ustanowione, nie rozwiną się do tego stopnia, iżby z zagranicznemi mogły spokojnie konkurencyą wytrzymać. Że cła ochronne w pewnych okolicznościach są niezbędne, tego p. Szcz. doświadczył najlepiéj w sprawie naftowéj, gdy szło o falsyfikaty kaukaskie, które nasz przemysł naftowy byłyby doszczętnie zabiły; zresztą na inném miejscu mówi on wyraźnie: „*Węgrzy aspirują do stworzenia własnego przemysłu, a podwyższone cła znakomicie im to zadanie ułatwiają.*“ Więc co dla Węgier jest tak dobre, dla nas miało być niekoniecznie potrzebne? Skoro cała praca szanownego autora zmierza ku temu, by nas przekonać, że przy pomocy wielkich wkładów ze strony kraju, możemy całą naszą produkcyą podnieść a przemysł ugruntować, więc chyba na wysokie cła, które w danym razie mogą się do tego przyczynić, nie należy nam nawet teraz narzekać. Zasada ceł przedstawia się więc w gruncie jako rzecz dodatnia. Mówiąc o pszenicy rumuńskiéj, która jeszcze do niedawna bez cła do nas przychodziła, autor upewnia, że moglibyśmy ją i nadal wpuszczać w nasze granice, bez wielkiego uszczerbku dla produkcyi miejscowéj, bo gdybyśmy równocześnie uzyskali dla własnego zboża zniżenie bajecznych w Galicyi taryf kolejowych, to na samym transporcie więcéj byśmy odbili niż cło przynieść może. Dobrze, lecz w takim razie czy pszenica rumuńska

nie skorzystałaby wespół z naszą z taryf zniżonych i nie rozlałaby się po całéj Galicyi? Lecz może autor, aby temu przeszkodzić, kazałby jéj wtedy wyższą taryfę opłacać. W takim jednak razie byłoby to cło, tylko w innéj formie pobierane. Już to w kwestyi ceł ochronnych, dałoby się jeszcze nie jedno powiedziéć, lecz rzecz tę pomijam, wiedząc, że gdy autor zajmie się w Galicyi rozwojem przemysłu, nie raz sam westchnie do Boga, prosząc go, aby jakim cudem dał nam cła ochronne, skoro od Austryi nie możemy ich otrzymać.

Każdego, kto książkę p. Szczepanowskiego będzie czytał, musi i to uderzyć, że wciąż mówi on tylko o nas, jakbyśmy byli państwem oddzielném, mogącém swoim losem dowolnie rozporządzać, o Austryi zaś ani wspomina. Znów czuć w nim człowieka, zżyłego z instytucyami angielskiemi, które opierają się nie o rząd, lecz o zasadę samopomocy. Niemiec powiedziałby na to, że zrobiłeś pan rachunek bez udziału gospodarza. Najzupełniéj zgadzamy się w tém z autorem, że powinniśmy się zdobyć na wielkie nakłady dla dobra kraju, aby jego dochód podnieść o drugie tyle, lecz czy Austrya na to pozwoli? Czy w chwili, gdy na cele produkcyjne przyjdzie podwyższyć o kilka centów dodatek do podatków, lub zaprowadzić jakie nowe opłaty krajowe, czy wtedy, powołując się na dobro ludu, jakiéj innéj warstwy, lub téż na interes całéj monarchii, nie założy ona tak samo swego protestu, jak to dziś uczyniła, gdy sejm chciał zaprowadzić krajowe opłaty konsumcyjne? Zdaniem mojém, rząd centralny dopiéro wtedy byłby zdolnym do ustępstw, jeżliby stronnictwo, zmierzające do gruntownéj zmiany naszéj polityki ekonomicznéj, którego szanowny autor jest jednym z wybitniejszych przedstawicieli, jeżliby ono opanowało kraj od góry do dołu i mając większość w Kole polskiém, zaważyło na szali całéj polityki austryackiéj. Wtedy rząd licząc się z niém, nie jedno by dla kraju uczynił. A może p. Szczepanowski i cały zastęp młodszych posłów, nie godzących się na teraźniejszą, strusią politykę naszéj reprezentacyi w Wiedniu, marzą o czémś podobném? Jeżli tak jest, to z całego serca szczęścia im życzymy i z upragnieniem czekać będziemy na pierwsze objawy tak energicznéj działalności.

Książka p. Szczepanowskiego przypomina pod względem założenia i myśli przewodniéj dziełko d-ra Tadeusza Rutowskiego p. t. „W sprawie przemysłu krajowego“, o którém przed trzema laty w *Ateneum* obszerniéj pisałem. Jak jeden tak i drugi żąda nakładowego gospodarstwa krajowego, jak jeden tak i drugi jest głęboko przekonany, że takowe w Galicyi da się urzeczywistnić, jak jeden tak i drugi wierzy w zupełne odrodzenie Galicyi na téj drodze. Ale

podczas gdy praca Rutowskiego ma charakter studyum ekonomicznego, dzieło Szczepanowskiego jest raczéj broszurą polityczną, napisaną śmiało, dosadnie, z werwą, pełną trafnych uwag i dowodów przekonywających, a chociaż nie jest wolną od paradoksów i zbytniéj jaskrawości, mimo to, a może właśnie dla tego, trafi do przekonania wielu i umysły poruszy. I kto wié, czy autor nie zmierza przedewszystkiém do tego celu. Wszak nie raz i nie dwa naznacza on z naciskiem, że polityka, którą kraj teraz prowadzi, jest zgubna, że bez materyalnego i moralnego odrodzenia o lepszéj przyszłości nawet marzyć nie możemy, że stan średni w Galicyi powinien otrząść się z apatyi, zorganizować i wziąć się do pracy, słowem, że powinniśmy rozpocząć działanie pełne energii i wiary w powodzenie. Jeżeli dodam, że książka wydana w 1000 egzemplarzach, rozeszła się w ciągu dwóch tygodni, a teraz przygotowuje autor drugą edycyę w 10,000 egzem., które zamierza sprzedawać po 20 centów, aby nawet najbiedniejszy mógł ją przeczytać, to mimowoli nasuwa się pytanie, czy praca jego nie jest zapowiedzią nowego kierunku w naszéj polityce, którego wybitnym szermierzem był już dawniéj d-r Rutowski? O ile mi się zdaje, tak będzie istotnie, odkąd bowiem pp. Rutowski i Szczepanowski weszli do rady państwa, coraz częściéj dochodzą nas słuchy, że stronnictwo młodych, widząc jałowość polityki naszéj staréj gwardyi, postanowiło zawrzéć sojusz w kole szczuplejszém, potém przystąpić do organizacyi kraju, a właściwie stanu średniego, aby przy jego pomocy rozpocząć politykę ekonomiczną na wielką skalę, która w najgorszym nawet razie stokroć więcéj nam przyniesie, niż dziś w najlepszym przynoszą uśmiechy ministrów i kilkotysięczne prezenty budżetowe.

Czy broszura p. Szczepanowskiego jest w rzeczy saméj głosem zwiastującym przybycie zbawiciela, o tém prawdopodobnie będę mógł coś bliższego donieść w liście następnym.

Józef Rogosz.





KRÓLOWA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.

AKT PIĄTY.

JADWIGA.

OSOBY AKTU.

Jadwiga, Gniewosz, Pieś, Dymitr, Jędrek, Ofka.

Komnata w zamku.

Pieś (*w otoczeniu kilku dworzan*).

Kot gdzieś pod miedzą
Czy kpi, czy śpi?
Patrz — już go śledzą —
Kci kci! Kci kci!

Wzrok wybałuszy —
Nogami drga —
W grzbiet wciągnął uszy—
Heź ha! heź ha!

Ach! jakżeś ty gębę rozdziawił mości Dołęga!

Dołęga

Nic to. Ruszaj daléj.

Pieś.

Hej! kusą radą
Kusy się kuś!
Psy aż się kładą —
A tuś! A tuś!

Godziemba.

No cóż? Czy go aby dognali?

PIEŚ.

Co tchu, mknąc w haszcze,
Przesadził rów.
Koń tuż — bicz klaszcze —
Bywajże zdrów!

DOŁĘGA.

Ale kto? Kot, czy dojeżdżacze?

PIEŚ

Przodem, czy tyłem,
Ktoś zuch, ktoś fryc.
Ja tam nie byłem,
Więc nie wiem nic.

GODZIEMBA.

Idź ty do kata i powiédz mu odemnie, że cię ma powiesić.

DOŁĘGA.

Ani chybi — on o Wilhelmie gadał.

PIEŚ.

Zgadłeś. Ba—ba—czy to ty nie Dołęga? Tylko czego tak wrzeszczysz? Może, gdyby nie takie jak ty rozjechane gęby, mielibyśmy go w saku i wtedy modliłby się z właściwą sobie pokorą:

I odpuść mi moje winy,
Niech je sobie wspólnie zmażem —
Bom ja, z Mistrzem i z Cesarzem,
Jak ty, również w trzech jedyny.

GODZIEMBA.

Słyszę, ledwie z duszą uciekł z Morsztynowego dworca, gdzie się skrył w kominie.

PIEŚ.

Na to pewnie, ażeby mógł powiedziéć potém, że go oczerniono. Ale nie całkiém on taki, jak go malują. (*Do wchodzącego Gniewosza)*: A! a! w sam czas mości starosto. Gadają tu właśnie o Wilhelmie na ten przykład, że skąpy. A on koszulę tylko widzi Bóg wziął w drogę, a za to, konie, psy, sokoły, aksamity, pióra, łańcuchy, mydła i pachnidła, dał—słyszę—do wzięcia miłemu słudze, którego w pośpiechu głośno nawet pożegnać nie zdążył.

GNIEWOSZ.

Ponieważ zamku słusznie mu wzbroniono,
Gospodę u mnie obrał — bo gdzieś przecię
Mieścić się musiał. A zaś sprzęt wszelaki
Czasowo tamże zostawiwszy, wprędce
Zapewne zabrać zechce, skoro tylko
Ze strachu oraz z pustych żądz ochłonie.

PIEŚ.

Żartuj zdrów. Na tobie on tak wyszedł, jak ten, o którym powiada bodaj czy nie Jeśpan Boëtius w Rozprawie o pocieszeniach Filozofii:

Siadłszy sobie w rowie,
Garścią ryby łowię,
Aż tu rak przy rybce,
Wziął mi palec w szczypce.

GNIEWOSZ.

Mości Wesołku — odczep się, i proszę
Twe jasnowidztwo chować chciéj dla siebie.
Jam człek z sumieniem czystém, i rad wielce
Z sobą i z każdym żyć w przykładnéj zgodzie.

PIEŚ.

To zupełnie jak ja. Nawet i w tém jesteśmy zgodni, żem ja obecnie duszą i ciałem, tak jak ty, za Jagiełłą. Co? nie prawda? Powiem więcéj. Nie dając się w tém uprzedzić nikomu, przyszedłeś z téj przyczyny złożyć życzenia królowéj. I dobrześ zrobił. Bo inaczéj, spisałbyś się jak ja nieprzymierzając, który razu jednego tak sobie pomyślałem: — Jeżeli z małéj chmury duży deszcz bywa — to jakiż to ogromny bywać musi z żadnéj! — I zawsze wybierałem się rzecz tę sprawdzić. Ale cóż? Nigdy do tego nie przyszło, bom ile mógł do jutra odkładał. A teraz, pozwól, że spróbuję wyobrazić sobie twoją przemowę.

(Kłania się aż do ziemi przed pustym stołkiem).

Niech Bóg cię, pani, wiecznėm darzy zdrowiem!
Doprawdy, strach mię, godnie czy wypowiem
Blask, jakim wszędzie książę ten uroczy
Podbija serca i olśniewa oczy!
Pan to nad wyraz dzielny i wspaniały!
Zda się, w nim wszystkie naraz się zebrały
Doskonałości w jeden wieniec chwały!
W postaci wdzięku i w piękności twarzy
By mu kto zrównał, niechaj ani marzy
Słoneczne nasze w krajach tych podniebie!

(Wchodzi Jadwiga, zajęta rozmową z Ofką i Nawojką).

Lecz dość. Mów teraz waszmość sam za siebie—
Méj zaś pomocy niech twój dowcip ufa.

GNIEWOSZ *(przez zęby)*.

Bodajś pękł błaźnie, jak rozeschła kufa!

PIEŚ *(do siebie)*.

Gdy się wpatruję w tę królowę biedną,
To sądzę, że już wszystko jéj jest jedno:

Zkąd i kto przyjdzie wziąść jéj serce w dyby
Ślubów — i nawet myślę tak: że gdyby,
Przesądy wreszcie w kąt rzucając stare,
Sam Zakon przyrzekł się na dobrą wiarę
Dla niéj nawrócić — to ta smutna wdowa
Rękę i jemu oddaćby gotowa.

JADWIGA.

Panie z Dalewic — wielcem ci jest wdzięczna,
Żeś mię pożegnać przyszedł, — w twém starostwie
Mając, jak słyszę, zamiar niecofniony
Zamieszkać odtąd. W czém ci szczęścia życzę,
Oraz pomyślnéj w stronę twoją drogi.

PIEŚ.

Od pomyślności stronić chciéj mój drogi!...
Słysząc słodycze owych słów zwodnicze,
Słusznie, jak życzę, chylisz w dół oblicze.
Boś niby taki, co się wybrał wełnę
Strzydz, a sam z wełny został ostrzyżony.
Więc mów te słowa namaszczenia pełne,
Które ci poddam stając z twojéj strony:

Ciebie serce moje wita,
A zaś ty się żegnasz ze mną.
Więc, o pani nieużyta!
Gdy mi nie chcesz być wzajemną,
To z przyjaźni naszéj kwita.

A teraz się ukłoń i idź do kogo innego.

GNIEWOSZ *(zginając kolano).*

Królowo moja....

DOWOJNA *(wchodząc).*

Miłościwa pani,
Przesławny Dymitr, w sprawie znacznéj wagi
Pomówić z tobą pragnie. Czy przyjść może?

JADWIGA.

Powiedz mu, proszę, że jest pożądany.
Odejdźcie wszyscy. *(patrząc za Dowojną).*
Słowo tego człeka,
W którym oprawcę szczęścia mego widzę,
Wieść mi przynosi o tém, co mię czeka
U kresu złudzeń mych — i on Jadwidze
Wstrętnym jest, gorzéj drugich. Lecz królowa
Niech dla nikogo chęci złych nie chowa,
Widząc z nich w każdym Boskich rąk narzędzie.

Więc, jak po burzach Pańskiéj mojéj biedy,
Radabym sama spokój zyskać kiedy —
Tak dla nich pokój w sercu mém niech będzie!
(Wchodzi Dymitr w towarzystwie Jędrka, który zatrzymuje się w głębi).

DYMITR.

Pani! z układem zobowiązań, które
Rozkazał spisać Możny Litwy Książę,
Poselstwo jego świetne wyprzedzając,
Do stóp twojego majestatu dążę.
Z góry on wszystko życzy mieć spełnione,
Cobądź dorzucić zechcesz na twą stronę;
A jednak tyle sam już nam przyrzeka,
Jak trudno więcéj na jednego człeka.
Są tych przyrzeczeń poręczycielami:
Skirgiełł i Borys, księcia dwaj rodzeni —
Witołd stryjeczny — daléj Fiedor Łucki,
Michał Zasławski i Jan Bełzki — kniazie
Chrześciańskiéj wszyscy, chociaż ruskiéj wiary.
Wreszcie Piastowie możni: Janusz z Czerska
I książe Semko, Płockiéj Pan Dzielnicy.

JADWIGA.

Ci zaś, czy zechcą, jako zakładnicy
Być w rękach naszych?

DYMITR.

Tak jest. Aż dopóki
Zobowiązaniu zadość się nie stanie.

JADWIGA.

Więc proszę, czytać chciéj zobowiązanie.

DYMITR.

Jagiełło Święty Chrzest z narodem całym
Przyjmie, i tenże naród, oraz wszystkie
Dzierżawy ruskie, ziemie i obszary,
Na wieczne czasy i nieodwołalnie,
Wraz z bojarami tychże i książęty,
Równie jak wszelkie władców tych zdobycze,
W koronę naszą włączy....

JADWIGA.

Jeszcze życzę:
By także Halicz Węgrom z rąk był wzięty.

DYMITR.

Stanie się więcéj, niźli żądasz, pani.
Jagiełło wszystkie skarby swe i całą

Włożyć w to pragnie moc swą niezwalczoną,
Aby odzyskał, cobądź kiedykolwiek
Od téj Korony świetnéj odkruszono.

JADWIGA.

Więc i Dobrzyńską ziemię —

DYMITR.

Niewątpliwie.
On tylko żądzą dyszy, by z Krzyżaki
Mógł się rozprawić — i to w sposób taki,
By nikt i nigdy z niemi już rozprawy
Więcéj nie miewał!

JADWIGA.

Dzielny człek i prawy.
Czy to już wszystko?

DYMITR.

Jeszcze nie. W ostatku,
Zwróci nam wszystkie jeńce, kiedykolwiek
I kędykolwiek czy to wzięte w wojnie,
Czy téż w najazdach.

JADWIGA.

Oraz, bez wątpienia,
Prócz stosownego w drogę opatrzenia,
Wszystkie im krzywdy wynagrodzi hojnie —
Czy tak?

DYMITR.

W istocie. Jest tu zastrzeżenie:
Że cobądź, pani, jako ludu matka
Dla dobra jego zechcesz mieć w téj mierze,
Twéj słusznéj woli wnet się zadość stanie.

JADWIGA.

Widzę Rycerskiéj Cnoty w tém świtanie,
Które już wcześnie blask od Krzyża bierze.

DYMITR.

Pani, chciéj wierzyć, że szlachectwo duszy
Nie jest wyłączną tych własnością, którzy
Butnie i z wielkim wrzaskiem po przed sobą
Trąbić je każą. Jest téż Litwy książę
Chrystusa sługą wprzód już, nim na barki
Zdrój Święty przyjął. Ulubieniec matki
Rusinki z rodu, w miększych powijakach
Niż reszta braci, jak bądź siódmy z rzędu,
Swe niemowlęctwo miał, i z Krzyżą znakiem

Na czole wzrastał. Lecz, gdy z chęci szczeréj
Zapragnął żywéj Odkupienia Łaski,
Zollner mu nie chciał Chrzestnym być,

JADWIGA.

I słusznie.
Bo nie szatańska rzecz to!

DYMITR.

Lecz Anielska—
Tak—i królewska—gdyż uświęcająca
Swém poświęceniem własném. Stary Olgierd
Znał to, gdy wstręt miał téj, jak zwał, przeklętéj
Krzyżackiéj Wiary. On téż, póki życia,
Jagielle bronił Chrztu. Bo z wszystkich synów
W nim jednym Litwy widziéć chciał Władarza,
A oraz wrogów pogrom!

JADWIGA.

Dość. Bóg stwarza
Szranki do czynów, a zaś ludzkie chęci,
W miarę zasługi, spycha w dół, lub święci.
Więc snadź rzecz słuszna dać cześć ugodową
Tych czynów chęciom, które swą wymową
Wcześnie się Niebu modlą!

DYMITR.

Czy królowo—
Nim na tém piśmie zgody znak umieszczę—
Żądanie jakie chcesz objawić jeszcze?

JADWIGA.

Tak—i nie jedno. Naprzód, téj świątyni,
Zkąd niegdyś porwał Boskie Krzyża Szczęty,
Litewski władca hojny dar uczyni
W srebrze i złocie i w nadaniach wielu,
Tak, iżby przez to zyskał w Zbawicielu
Sobie i państwu w przyszłość pochód święty,
A téż, by przezeń, to naprawy dzieło,
W potomne wieki głośno zasłynęło.
Tego dla niego żądam. A dla siebie
Mieć chcę, niech niemniéj hojnie uposaży
Tę, która, Jasnéj Góry Swéj podniebie
Warowne krzyżem, w Boskiéj trzyma straży,
Gdyż ja pragnienia moich trosk dziewicze
Dziewicy tylko w zakład oddać życzę.
Więc Ta—co z Niebios zeszła do Łukasza—

Więc Ta, cudowna—więc przedziwnie nasza—
Więc Ta, tuląca do swéj piersi Boga—
Więc Ta nad wszystko sercu memu błoga—
Skoro doczesne moje królowanie
Do stóp Jéj Świętych cała w łzach przytulę,
Za mnie i wszystkie po mnie przyszłe króle,
Korony Polskiéj Panią niech się stanie!—
Tak niech z nas każde w Niebios chęć łaskawą
Ślubem się wkupi, by mu za to w łono
Spokój balsamem cichych cnót wsączono.—
A teraz, wspólną nas obojga sprawą,
Stać się ma jeszcze: by Uczelnię oną,
Któréj początek od Wielkiego Dziada
Dziedzictwem chlubném w dziale na mnie spada,
Tak silnie dźwignąć, i w tak zacnéj cenie
Przekazać wnukom dalsze jéj istnienie,
Iżby się mogła, równie dla biedaka
Jak i bogacza, wiedzy stać skarbnicą
Po świecie głośną, jak nie jedna taka,
Z któréj się ludy oraz wieki szczycą.
Tyle jest moich żądań, które życzę,
Byś w te układy wpisał pośrednicze,

(Dymitr zapisuje żądane warunki).

DYMITR *(po chwili)*.

Wszak wierzysz pani: że twe sługi stare
Twój naród wiernie ufny w pomoc Bożą,
Aż do ostatniéj kropli krew swą włożą
W serdeczny zakład za twą dobrą wiarę?—

JADWIGA.

Tak. Ztąd mą wolę słusznie mam na wodzy.
Bom tylko jedna już—a wyście mnodzy.
Bom już bezsilna—mocą mego słowa
Was wzbogaciwszy—lecz się z tą wymianą
Już oswoiłam.—Ale dość jest oto
Tych słów ofiary, co jak szczere złoto
W ogniu się czyszczą!—Teraz—jam gotowa
Poselstwo przyjąć, mając dłoń podaną
Jagielle, w którym uznać męża pragnę—
I przed nim skroń mą w imię wasze nagnę,
By ujrzéć jego skroń przed Bogiem zgiętą
Wprzód, zanim, w polskie bezprzykładne święto,

Tego narodu dawcę wam uwieńczę
Koroną Piastów....

DYMITR *(przyklękając)*.

Tam nam pomóż Boże
Wszystkim, co patrząc w Twéj światłości zorze
Wzrok jeden mamy!

JADWIGA.

Dość.
(zwracając się do Jędrka).
A ty młodzieńcze
Czegóż to żądasz?

JĘDREK *(przyklękając)*.

Pani—dwie mam prośby.
Z tych pierwsza, nie mnie tyczy, lecz rycerza,
Z którym tak ścisły sojusz mię sprzymierza,
Że to, co wspólnie w głębi serc nam pała,
Nawet przy życia nie ma zgasnąć kresie.

JADWIGA.

Któż to jest taki?

JĘDREK.

Izenburg on zwie się.

JADWIGA.

Izenburg? Czym ja dobrze usłyszała?

JĘDREK.

Tak pani. Tenże sam to, z którym wczora
Jak wróg żelazo moje skrzyżowałem.
Lecz snadź krzemieni była to wymiana—
Bośmy przyjaźni iskrę z niéj skrzesali.

JADWIGA.

Dziwne mi rzeczy prawisz. Cóż więc daléj?

JĘDREK.

Ślubem się związał: że miał Litwy księciu
Wyzwaniem niemem spójrzéć oko w oko—
Co gdy się stało, blaskiem tego Pana
Olśniony, uznać musiał, iż był w błędzie:
Sądząc go nie dość godnym zasiąść w gronie
Chrześciańskich władców, obok téj, co słusznie
W małżonku swoim pragnie pojąć Męża.
Więc w tém uznaniu winy swéj, przezemnie,
Kolano zgiąwszy, błaga Ciebie Pani:
By mógł, w orszaku księcia, za twym wpływem,
Na śmierć i życie wierność mu zaprzysiądz.

JADWIGA.

Powiédz mu proszę: iż nie mało cenię
Jego przysługę; moja zaś przysługa,
Ponieważ miłą, więc i nieskończenie
Łatwą mi będzie.—No—a prośba druga?

JĘDREK.

Druga z mém sercem tak jest silnie zrosła,
Że sam się w sobie zbyt trwożnego posła
Słusznie obawiam—choć mię w tém uzbraja
Zapału szczerość.—Oto, Pan z Goraja
Rękę mi córki przyrzekł. Cóż—gdy ona
Zdawna już matki nie ma, z któréj łona
Biorąc ją, w téj bym uczuć jéj miał świadka.
Bowiem rycerski ojciec, w swym wyborze,
Chcąc szczęścia córki, twardo zbłądzić może...
Więcże ty, Pani! coś nas wszystkich matka,
Czy raczysz z rąk twych dać mi ją, i w drogę
Pobłogosławić?—bo gdzież ręka czyja
Od twojéj świętsza?

JADWIGA.

Czy ci Ofka sprzyja?

JĘDREK.

Tak sądzę, Pani, choć się mylić mogę.
Lecz obym pewność miał! Bo, trudna rada,
Jeśli kto inny serce jéj posiada,
To się w milczeniu z mą pogodzę stratą.

JADWIGA.

Wybadam Ofkę—licz z ufnością na to.
Jeśli, jak sądzić mam niejakie prawo,
Dziewczę ku tobie żywi chęć łaskawą,
To, po rycersku, bo na śmierć i życie,
Wprędce przysięgi z sobą wymienicie.
Z serca wam szczęścia życzę.. (*do siebie*) i zazdroszczę...
A teraz—żegnam was. Odejdźcie proszę,

(tamci wychodzą).

Kobiecość moją Bóg aż do krwi chłoszcze!
Bo cóż mi cudze szczęścia czy rozkosze,
Skorom ja jedna z nich wydziedziczona?...

Nie wiem doprawdy, czy jest czas ten bliski,
Gdy się duch krnąbrny we mnie upokorzy?...
Ciernie mi w czoło wpija ta korona,

Dla któréj, tylko co, i tak uparcie,
Lichwiarski niemal wiodłam targ o zyski—
By choć, wypadkom zrządzeń, jak najdrożéj
Mą przyszłość sprzedać.—I—o gorzki żarcie!
W téj smutnéj doli, sama, cierpiąc dreszcze,
Osierocenia trwogi—muszę jeszcze,
Na nie-mojego szczęścia zapomogę
Być matką—kiedy córką być nie mogę!

I być zmuszoną, w sposób jaki taki
Mych uczuć złoto mieniać na miedziaki,—
I przytém spokój zmyślać i pogodę,
To jest, na jedno serce moje młode
Może już nazbyt wiele...
Niech odpocznę—
Choćby na chwilę... (*myśli*)
Nie. Na téj wyżynie,
Na szczycie któréj muszę stać—jedynie
Bóg wyjątkowych życzy mieć bogaczy.
Więc też i słusznie prawo to wyroczne
Płci ani wieku nie chce znać—to znaczy:
Że słabość chwiejnie wstrząsająca duszą
Tych, w których drudzy swoję ufność kładą,
Jest ich i siebie—nawet Boga zdradą.
Bowiem, zaprawdę, w późnych łez rozpaczy,
Tacy, na skroń swą grom niechybny kuszą,
Którzy się marnie w szponach zwątpień biedzą!

Precz! Wiem do czego dążę, i z tą wiedzą,
Tego, do czego dążę, chcę niezłomnie....—
Jużem spokojna. (*wołając*) Ofko moja! Do mnie!
(wchodzi Ofka)
Chodź no tu dziewczę. Powiédz moja biała—
Tęczyński Jędrek—on cię, słyszę, kocha?

OFKA.

Tak Pani.

JADWIGA.

Ten zaś, gdyby po twą rękę
Sięgnął, czy chętnie wziąść byś mu ją dała?

OFKA.

Tak Pani.

JADWIGA.

Czy go kochasz?

OFKA.

Ojciec, zdawna
Zięciem go swoim pragnie mieć.

JADWIGA,

Lecz pytam:
Czy ty go kochasz?

OFKA.

Ojca kocham, który
Kocha go, jestem pewna. Bo on przecię
Nie żaden pustak. Różni go rycerze
I ludzie różni już na karku mieli,
I on się wprzódy mężem stał, niżeli
Moim go nazwę. Więc ja jemu wierzę,
Jak w ojca wierzę.

JADWIGA.

Ofko—powiédz śmiało.
Tak chce twój ojciec. Ale ty—być może
Kogo innego w sercu masz?

OFKA.

Broń Boże!

JADWIGA.

Jakże? Nikogo? co? Bo mnie się zdało...
Izenburg... milczysz?

OFKA.

W sercu nie—lecz w głowie
Istotnie on mi gościł czas nie długi,
Ale zachcianki były to zwodnicze,
Bo ja jedynie pana sobie życzę
W małżonku moim wziąść—a nie chcę sługi.

JADWIGA.

On przecię Rycerz także.

OFKA.

Ale taki,
Którego tylko jedna myśl zaprząta
W świat biedz—dziś owdzie—jutro w inne szlaki—
Jakby własnego nie miał nigdzie kąta.

JADWIGA.

Lecz gdyby chętnie swego się błądzenia
Dla ciebie wyrzekł?

OFKA.

Rzeczy to nie zmienia.
Swych ojców córka, ani pokryjomu,

Ani obcemu, ani gdzieś po świecie —
Tylko swojemu, między swemi, w domu,
Z niepodzielnego serca, jak najszczerzéj
Swą wiarę oddać może. A ten przecię...

JADWIGA.

Niemiec? Tak. Wanda w naszéj ziemi leży....
Masz słuszność. Jesteś ojców twych, i prawa
Twéj Polski córka. Bóg przy tobie stawa
Przeciw pokusie tych znikomych rzeczy,
Których wartości własny blask ich przeczy.
Ja twój sąd zdrowy całém sercem dzielę.
Mą własną ręką włożę ci na czoło
Wianek, i huczne sprawię wam wesele,
Na którém sama może być wesołą
Będę, szczęśliwa cichem szczęściem twojém.
Kocham cię. Kocham twą wiośnianą cnotę—
Twój uśmiech — twoje słowa szczerozłote —
I myśl twą, która duszy tchnie spokojem.
Widzisz — bywają gdzieś po świecie nędze,
Obce dziewictwa duszy twéj potędze.
Jam jak ty czysta — tylko że mi dano
Dolę, nie całkiem od chmur zażegnaną.
Ja także umiem czuć jak ty rozumnie,
I kochać mądrze tak jak ty — a przecię
Walczyć musiałam... Idź już moje dziecię—
Dług szczęścia twego umieściłaś u mnie.

(Ofka całuje ją w rękę i wychodzi).

Jakże to szybko w chwilach, gdy pierś wdycha
Powiewy wstrząśnień, duch wyprzedza ciało
Swém dojrzewaniem! — Ta dziewczyna cicha
Jest równa ze mną co do lat, a znowu
Młodsza odemnie o różnicę całą
Monarszéj doli. Jednak dziś się stało:
Że w tém jak w tamtém jéj mądrości słowu
Starszeństwo przyznać muszę.

Wczora jeszcze,
Nie dbając, słońce lśni, czy wichrzą deszcze,
Jak dwie szalone pałki, wśród Krakowa
Zbijały bąki — ona i królowa —
I rzekłbyś, słysząc śmiech i pstrą ich mowę:
Że to dziewczyny dwie lub dwie królowe.

Czy tylko wczora? co? i czy nie raczéj
Sto lat już temu? — Niech mi Bóg przebaczy,
Lecz widzę, zmarszczki duch mój ma na twarzy,
I słucham, jakby bajki, kiedy gwarzy
Ofka o sobie, jakiéjś gdzieś Jadwidze —
I ja się dumnie méj młodości wstydzę.
I kiedy ona, w swą spokojną duszę
Spójrzéć mi daje — to się uczę od niéj
Sztuki rządzenia sobą — ja, co muszę
Drugiemi rządzić. Ona najpogodniéj
W swą przyszłość patrzy, troskę o wypadki
Zrządzeń, w ojcowskie ufnie zdawszy ręce.
Lecz ja, przez kogóż wolę mą uświęcę?
Ojca już nie mam, i nie wiedząc, matki
Gdzie szukać: w żywych, czy w umarłych grobie,
Nie tylko drugim, lecz i saméj sobie
Być matką muszę.... *(staje u okna).*
Tam, u stóp mych, wszędzie
Wre życie gwarne, aż gdzieś w kres daleki,
Za siódme góry i dziesiąte rzeki,
Po nad spiętrzone morskich skał krawędzie!
To lud — i lud ten mój jest! Kość mych kości,
Krew krwi, co w żyłach mych docześnie gości...
I prostoduszném będąc, ma wymowę
Przekonać zdolną, dziecko to zbiorowe,
Które i troski swe i przyszłą dolę,
Z ufnością całą, także na tych zdawa,
Co mu ojcami są z Boskiego prawa....
A jest zaś w sobie wielkiém to pacholę —
Tak wielkiém, że gdy słaba je niewiasta
Do piersi weźmie, to się w niéj rozrasta
Serce, jak w czyny bywa myśl bogata
Tych, którzy w ręku dzierżą jabłko świata
Z krzyżem u wierzchu... Do mnie ty! Dla ciebie
Siebie wczorajszą w żywy grób ja wgrzebię,
Łzy w sercu tając! — i choć nie z wesołem,
Ale z pogodném i wyniosłém czołem,
Tam idąc, kędy szczęście twe znachodzę,
Ani się cofnę ni zawaham w drodze!...

(Słychać w dali śpiew ślepego lirnika).

LIRNIK.

A gdy jeszcze byli w bramie,
To Lukierda ręce łamie.

A gdy weszli w jéj komnatę,
Targa sploty swe bogate:
— Przemysławie! ach mój luby!
Czyż ty możesz chcieć méj zguby?
Niech cię rzewny płacz rozczuli —
Puść mię żywą — choć w koszuli!—

JADWIGA.

Ta pieśń, ta smutna, z któréj brzmią mi dzieje
Nieszczęść sierocéj tak jak ja królowéj,
Zdrętwienia dreszcze w duszę moją zieje....
A nuż, traf zrządził, że wieszczemi słowy,
Ten śpiew prostaczy, tu, w podobnéj chwili,
Wczas już nademną swe współczucie kwili?...
(Osuwa się do stóp klęcznika).
Najświętsza Panno, Ty mię broń! Ja Tobie
Wyznawców nowych cały naród wiodę —
Ty serce moje weź w Twe ręce obie!

Wezbrało ono w dni te moje młode
Gorzkością żółci. Lecz Ty spraw, bym za nią
Niedoli cudzych mogła mieć osłodę.

Twém tchnieniem chłodząc ciernie, co mi ranią
Królewskie moje czoło — Ty bądź, proszę,
Sieroty matką i władczyni panią!

I zdarz, niech śladem Dziada, mam rozkosze
Pomnić, że władztwu równie ciężyć może
Krwią potniejący miecz, jak znój przy sosze....
(Słychać w podwórcu zamkowym dźwięk rogów i litaurów. Ona wstaje).
To on już! Tak mi chciéj dopomódz Boże
Ja się nie cofnę! Kto nie sobie służy
Ale wyrokom z Nieba — ten w pokorze

Skroń swą schyliwszy, wręcz ją podda burzy,
By mu grom na niéj raczył wyryć: chwała!...—
Więc, kto bądź jesteś Mężu ręki dużéj,

Święć mi się w tobie Myśli spotężniała!...
(wychodzi).

ZASŁONA SPADA.

Felicyan.





HISTORYA NA USŁUGACH POLITYKI.

Deutsche Geschichte im neunzehnten Jahrhundert von Heinrich von Treitschke. I Band 1879: Bis zum zweiten Pariser Frieden. II Band: Bis zu den Karlsbader Beschlüssen. III Band: 1885 Bis zur Juli-revolution.

Są niekiedy w życiu i rozwoju cywilizacyi wielkich społeczeństw drobne na pozór objawy, które, ocenione i opatrzone bliżéj przy świetle białego dnia, znamionują przewroty, zmiany, ewolucye, odbywające się w ich wnętrzu lepiéj, aniżeli najważniejsze wypadki zewnętrznéj dziedziny politycznéj. Niech nam nie będzie poczytano za paradoks, jeżeli do rzędu takich charakterystycznych drobiazgów w bieżącém, w spółczesném życiu narodu niemieckiego zaliczymy powyższe dzieło i osobę jego autora. Dla czego,—wytłómaczymy bliżéj.

Nie potrzeba zaiste być zbyt głębokim znawcą organizmu nowego cesarstwa niemieckiego pruskiego autoramentu, aby wiedziéć i widziéć, że treścią i dążnością jego jest upaństwowienie całego świata nie tylko materyalnego, ale nie mniéj moralnego, duchownego, umysłowego. „Upaństwowiają“ się koleje żelazne, towarzystwa ubezpieczeń, szkoły, „upaństwowia“ się wychowanie publiczne, ale, co więcéj, upaństwowia się cała dziedzina pojęć, cnót i przymiotów dziedziny moralnéj i duchowéj. Odwaga, dobroczynność, litość staną się w razie dalszego postępu na podobnéj drodze właściwościami, które także tylko będzie można praktykować w obrębie wskazanym przez państwo i w jego interesie. Do przedmiotów, ulegających „upaństwowieniu“ ku wyraźnéj swéj szkodzie, należy dziś w Niemczech—cała dziedzina nauki, w pierwszym rzędzie dziedzina nauki historycznéj. Już Ranke, pozostałość innéj epoki i innych pojęć, umiał, mimo wszelkiego talentu pisarskiego, mimo ogromnego, przez pracę długiego życia zebranego zasobu nauki, li-

czyć się bardzo z panującemi prądami i potrzebami otaczającego życia. Był jednakże ostrożnym, powściągliwszym w wyprowadzaniu ostatecznych konkluzyi, skoro te nie dawałyby się pogodzić z wymaganiami i nakazami etyki, a od konieczności formułowania ich bronił się środkiem niezawodnéj skuteczności. Była nim sztuczna obiektywność; opowiedział fakt, pozostawiał sąd o nim czytelnikowi. Tam, gdzie się historycy dawnéj szkoły, Rotteck, Schlosser, Raumer rozkoszowali cnotą i bohaterstwem, tam gdzie wypowiadali bez ogródki swe oburzenie z powodu zdeptania prawd i zasad etycznych,—ograniczał się Ranke,—„*wohlweislich*“, jakby powiedział Niemiec, na plastycznėm, artystycznie wyrzeźbionėm przedstawieniu faktu. Nazwalibyśmy to już w metodzie historyografii niemieckiéj pochyłością, która przecież ze względu na kroczącego po niéj mistrza, nie przedstawiała się ze strony zbyt ujemnéj. To samo powiedzielibyśmy o profesorze Syblu w jego „Dziejach epoki rewolucyjnéj“. Natomiast występuje owa tendencyjność nauki historycznéj mocno wyraźniéj, bez zasłony niemal, w Haüssera, „Dziejach Niemiec od zgonu Fryderyka II.“ Profesor heidelberski steruje już tutaj stanowczo ku przystani, do któréj zawija dziś ostatecznie historyografia niemiecka autoramentu pruskiego.

Specyminem przecież dopiero owéj dążności, najcharakterystyczniejszym jéj wyrazem miał się stać w epoce przesilenia Prus na dzisiejsze cesarstwo niemieckie profesor Jan Droysen w „Historyi polityki pruskiéj.“ Był to człowiek niewątpliwie obfitego zasobu nauki, korzystał z plonu przystępnych sobie archiwów pruskich, ale zużył je w kierunku tak jednostronnym, tak bezmyślnie często i niepamiętnie idealizującym politykę pruską, tam i wtedy nawet, gdzie i kiedy wchodziła w wyraźny zatarg z interesem niemieckim, że prawda historyczna wśród podobnego traktowania rzeczy traciła najzupełniéj wszelkie swe prawa. Najświetniejszym dowodem téj metody czy téj praktyki Droysenowéj jest przedstawianie Fryderyka II jako bohatera, walczącego dla dobra Niemiec, w tym samym tomie, w którym bez ogródki powiada, że król pruski dobył miecza po pierwszéj wojnie szląskiéj, aby ocalić Alzacyą i Lotaryngią d l a Francyi wobec niebezpieczeństwa inwazyi austryackiéj. Mimo to był przecież Droysen nie wątpliwie mężem wiedzy i nauki, zasługiwał na miano i stanowisko „historyografa“ państwa czy organizmu politycznego, który się bez urzędowych „historyografów“ obejść nie może a któremu kult historycznéj prawdy na podstawie naukowéj nie wystarcza. Zeszli jednakże z widowni żyjących, jeden po drugim, naprzód Droysen, po nim Ranke, po Rankem znakomity znawca średniowiekowéj przeszłości Niemiec, Waitz. Tytuł i stanowisko

urzędowego „historyografa“ pruskiego, dostały się po ich zgonie— profesorowi historyi uniwersytetu berlińskiego Henrykowi Treitschkemu, autorowi dzieła, z którego niniejszém zdajemy sprawę. *Habent sua fata libelli*, mówi znane przysłowie łacińskie, mają swoję osobną historyą w dzisiejszych Prusach stanowiska i tytuły urzędowych historyografów, a jak do nich p. Treitschke przyszedł, posłuchajmy.

Syn zacnego generała saskiego Treitschkego, pełniącego jeszcze w r. 1865 obowiązki plackomendanta Königsteinu, uczeń szkół drezdeńskich i uniwersytetu lipskiego, jeżeli się nie mylimy, wykształcił się raczéj na politycznego publicystę, aniżeli na historyka. Chciało przy tém jego szczęście czy nieszczęście, że wcześnie dość ogłuchł. Wszystko to razem złożyło się na smutne dla p. Treitschkego następstwo, że mimo wszelkich starań nie zdołał w Saksonii zyskać upragnionéj profesury uniwersyteckiéj, ani zrobić żadnéj innéj karyery. Ztąd wyrodziła się w nim niechęć do ojczystego kraju, nawet niechęć dla jego egzystencyi, a czego nie było można zyskać na drodze pokojowych usiłowań, postanowił zdobyć sobie na innéj drodze a czemużby nie gdzie indziéj. Było to w pamiętnych latach 1865 i 66. Henryk Treitschke porzucił widownią saską, przeniósł się do Berlina, zaczął do współki z narodowo-liberalnym publicystą Wehrenpfennigiem wydawać znane pismo miesięczne *Die preussichen Jahrbücher*. Pismo to zawierało wszystko istotnie, co namiętnemu i rozdrażnionemu pióru mógł podszepnąć najwybujalszy szowinizm pruski. Szczególnie odznaczały się tym duchem wychodzące z pod pióra samego p. Treitschkego artykuły. Przedewszystkiém zaś znał Treitschke d w i e nienawiści, pierwszą do ojczystéj Saksonii, drugą do Austryi. Czy pierwsza, namiętność, istnie Koriolanowéj, bez szlachetnego Koriolanowego końca, natury, była szlachetną i godną i czy było szlachetnie i godnie ze strony syna obsypanego dobrodziejstwami królów saskich generała saskiego domagać się wrzaskliwie w „Pruskich Rocznikach“ zagłady bytu Saksonii i zdetronizowania domu saskiego, nie pytajmy. Odpowiedź na to swego czasu przez innych postawione zapytanie dał ojciec p. Henryka Treitschkego, generał Treitschke, ogłaszając swego czasu w pismach publicznych fakt zerwania stosunków z synem. D r u g ą nienawiścią p. Treitschkego była Austrya. Uważał ją za trupa, z którym się nie warto sprzymierzać. „*Mit einem politischen Cadaver verbindet man sich nicht*!“ pisał swego czasu w *Preussische Jahrbücher*, frazes, na który nie zwracalibyśmy uwagi, gdyby dzisiaj wręcz przeciwnie p. Treitschke w dziele właśnie, z którego zdawać mamy sprawę, nie wyznawał się czcicielem téjże saméj Austryi i nie wznosił pobożnych westchnień za zdrowie i powodzenie przymierza prusko-austryackiego.

Wśród prowadzonéj w ten sposób kampanii Treitschkego przeciw egzystencyi Saksonii i Austryi, skończyła się tymczasem kampania pruska przeciw obu krajom, oszczędzając wbrew życzeniom i rachubom jego, istnienia tak jednego, jak drugiego. P. Treitschke nie miał wśród podobnych okoliczności wracać po co do Saksonii a w Austryi byłby naturalnie nadaremnie szukał szczęścia. Prusy przecież uznały za rzecz stosowną wynagrodzić jego zapał dla swéj sprawy a nie rozporządzając same chwilowo żadnym wakansem uniwersyteckim, wyjednały mu swemi wpływami stanowisko—profesora historyi w uniwersytecie heidelberskim. Nominacya ta nie pozostała bez pewnego wrażenia. P. Treitschke był znany dotąd jako publicysta polityczny, jako świetny stylista, ale nie stworzył dotąd nic takiego, coby mu było zdolném nadać odpowiednią kwalifikacyą w dziedzinie nauki historycznéj. Nie można téż twierdzić, aby działalność profesorska w Heidelbergu odznaczała się szczególném, naukowém powodzeniem. Ciągle i na profesorskiém stanowisku raczéj publicysta, aniżeli uczony, nie zwracał na siebie uwagi historyków, co nie przeszkodziło przecież, iż w kilka lat późniéj zyskał nareszcie katedrę historyi przy uniwersytecie berlińskim. Tutaj to znalazł się nareszcie nowo-mianowany profesor wobec nieuniknionego obowiązku spłacenia długu wdzięczności swym protektorom w dziedzinie historycznéj a w r. 1879 pojawił się pierwszy tom „Historyi Niemiec w XIX wieku“ ze stanowiska pruskiego i w interesie pruskim.

Jaką ta historya była w pierwszym swym tomie sięgającym do pokoju paryskiego w r. 1815, jak się przedstawia w dwóch następnych sięgających do rewolucyi lipcowéj zobaczymy niżéj. Na teraz dość powiedziéć ku charakterystyce jéj, że dzieło przyniosło autorowi po zgonie Rankego w zysku nominacyą na urzędowego historyografa pruskiego, jako nagrodę nie naukowéj zasługi, ale „patryotycznéj“ dążności. Nowemu cesarstwu niemieckiemu pruskiego autoramentu nie starczyła, nie mogła starczyć bardzo naturalnie dotychczasowa historyografia niemiecka. Nie starczyły ani uczciwy pesymizm Schlossera, ani liberalizm Rottecka, ani obiektywność Raumera, ani federalistyczny, często w zatarg z Prusami wchodzący patryotyzm Gerwinusa. Nowemu cesarstwu trzeba było nowéj historyi, nowéj i osobnego rodzaju moralności, nowych poglądów; trzeba mu było, jak parweniuszom stworzyć Prusom drzewo genealogiczne, nim się jeszcze pojawiły, w epokach nawet, w których im się o Niemczech i o niemieckiém posłannictwie nie śniło, stworzyć osobne miejsce w historyi n i e m i e c k i é j. Zadanie niezupełnie łatwe, bo jakże tu stworzyć niemieckie dążności i niemiecki patryo-

tyzm „wielkiemu“ elektorowi, będącemu na żołdzie Ludwika XIV i obowiązującemu się uroczyście głosować za królem francuskim lub jego synem na cesarza niemieckiego po zgonie Leopolda II; jakże trudno daléj przefarbować na patryotę niemieckiego Fryderyka II, gardzącego językiem i literaturą niemiecką, wchodzącego w związki z Francyą przeciw cesarstwu niemieckiemu. Jakże niełatwo również chcieć przedstawiać partykularny pokój bazylejski Prus z Francyą, pozostawiający to cesarstwo o p u s z c z o n e w zapasach z rzecząpospolitą francuską jako czyn patryotyzmu niemieckiego, lub przymierze z Włochami już za dni naszych przeciw Austryi i południowym Niemcom jako żywe świadectwo ofiarności Prus dla sprawy niemieckiéj. Dobra wola oficyalnéj historyografii czemużby jednakże wszystkich sztuk dokazać nie miała, czemużby nie miała doprowadzić do zupełnego rozkwitu teoryi, która zakiełkowała tak obiecująco w dziełach Haüssera i Droysena? P. Treitschke podejmuje się istotnie téj sztuki, owego *sprusaczenia* historyi niemieckiéj wbrew najoczywistszym świadectwom przeszłości, w któréj Prusy były równie obce Niemcom, jak Niemcy Prusom, a co może w podobném historyczno-literacko-polityczném przedsięwzięciu rzeczą ze strony autora najwięcéj uznania godną, to otwartość, z jaką do zadania swego przystępuje.

Rozpoczynając opowiadanie swe a raczéj poglądy na teraźniejszość niemiecką od połowy XVII wieku, od traktatu westfalskiego; potrąciwszy o torujące s o b i e drogi dzieło Haüssera, wypowiada z wszelką otwartością następne zdanie. „Z m i e n i ł o się stanowisko historycznego sądu. Kto dzisiaj za pomocą obrazu owéj epoki (XVII i XVIII wieku) chce u ś w i a d o m i ć z r o z u m i e n i e t e r a ź n i e j s z o ś c i, p o w i n i e n w y p r o w a d z i ć n a p i e r w s z y p l a n wewnętrzny rozwój państwa pruskiego i wielkie przemiany duchowego życia? Uzasadniwszy w ten sposób owo wyprowadzenie P r u s i pruskiego rozwoju na pierwszy plan n i e m i e c k i e g o życia i rozwoju w p r z e s z ł o ś c i, rzuciwszy śmiało aksyom bardzo obosiecznéj mianowicie dla siebie samego natury, „iż w historyi Prus niczego nie należy osłaniać, ani przemilczać,“ rozpoczyna autor istną kampanią przeciw cesarskości habsburskiéj i Austryi. A więc Austrya i cesarskość habsburska były po wojnie trzydziestoletniéj, według autora, wyrazami prześladowczości religijnéj, polityki, iż cel uświęca środki, kiedy Brandeburgia była siedliskiem wolności sumienia, kotwicą zbawienia dla sumień i ducha niemieckiego. Do jakiego stopnia przy téj sposobności frazesowemu publicyście służy rzeczywista znajomość historyi, niechaj dowodzi następny wykrzyknik. „Co tylko poczuwało się do n i e m i e c-

k i e g o ducha, a nie korzyło się pod obcém jarzmem, sta tysięcy najlepszych ludzi czeskiego narodu znalazły nową ojczyznę w krajach ewangelickich książąt Rzeszy. Ci, którzy pozostali, stracili w szkole jezuitów żywotność n i e m i e c k i e g o ducha...“

Trudno istotnie o większy dowód niewiadomości ze strony zwłaszcza historyografa wielkiego państwa cywilizacyi europejskiéj. A więc p. Treitschke nie wié, że ciężar reakcyi austryacko-katolickiéj po bitwie pod Białą Górą, nie spadł ani na Niemców, ani na ducha niemieckiego, ale zwalił się, wręcz przeciwnie, ze strony Niemców na Czechów i czeskiego ducha, że reakcya jezuicka nie znęcała się nad płodami niemieckiéj mowy, myśli i ducha, ale że tępiła płody ducha słowiańskiego i paliła na stosach całe biblioteki czeskie. Nowoczesny po Rankem, urzędowy historyograf pruski nie wié o tych wszystkich, dobrze znanych rzeczach i przekrzywia z dziwną czelnością prawdę historyczną dla społeczności, która jéj z własnéj inicyatywy prostować nie ma zapewnie powodu. Rozmachawszy się na Czechach i reakcyi austryackiéj, jedzie p. Treitschke wesoło daléj, w zadaniu swém — deptania Austryi i idealizowania Prus. „Cesarskość Habsburgów była dla naszego narodu panowaniem obcych...“; „w Rzymie (*nb.* tom I-szy p. Treitschkego pisany jeszcze w epoce niezagodzonego, Bismarkowego *Kulturkampfu)* jak w Wiedniu równa niezdolność zrozumienia prawa przeciwnika“, jak gdyby podobnego zarzutu, *on* właśnie, historyograf pruski, przy szczypcie uczucia sprawiedliwości, nie miał powodu w inną obrócić stronę. Rozumié się samo przez się, że podobnym inwektywom przeciw „cesarskości habsburskiéj“ i Austryi towarzyszą równolegle objawy zdawkowego entuzyazmu dla Prus. A więc ciągle frazesy o „*Cultur*“, „*Toleranz*“, „*Volkserziehung*“, uniesienia dla patryotyzmu niemieckiego „wielkiego“ elektora, mimo jego aż nazbyt dobrze znanych i płaconych usług dla Ludwika XIV; entuzyazmy dla kapralskiego kija króla Fryderyka Wilhelma I, zapały dla realistycznéj polityki i niemieckości *(deutsches Wesen)* Fryderyka II, podziwy dla biurokracyi i militaryzmu pruskiego, śmiało to wszystko i rezolutnie, bez względu na wypowiedziany wyżéj aksyomat, „że w historyi i polityce pruskiéj nie ma nic do zamilczania, ani osłaniania.“ Niechaj zaś autor rozprawia się z własną konsekwencyą i logiką, jeżeli wśród tych wszystkich uniesień i entuzyazmów na rzecz monarchii pruskiéj, przytacza zdanie słynnego w XVIII w. estetyka niemieckiego Winkelmanna, któremu się o Prusach Fryderykowych wyrywa następny mimowolny wykrzyknik: „Myślę ze wstrętem o tym kraju: gniecie go największy despotyzm, jaki sobie tylko pomyśléć można!“

Rzecz naturalna ze stanowiska autora, że Fryderyk zwany „Wielkim“, w dziele jego, czy wstępie doń idealizowany. Jest przecież pewna różnica między fałszywemi entuzyazmami Haüssera, choćby nawet Droysena dla Fryderyka, a cynicznemi fałszerstwami historycznemi p. Treitschkego, które rażą niewiadomo czém więcéj, czy śmiałością swą, czy nieznajomością rzeczy, a z którychby się zaiste nie ku zaszczytowi obecnéj historyografii i historyografów niemieckich budująca mozajka ułożyć dała. Trudno doprawdy ulepić sobie z Fryderyka dowolniéjszy ideał, obchodzić się bezceremonialniéj z prawdą historyczną. Jego zabór Szląska, dzieło, nawet według wyraźnego przyznania takiego historyka jak Droysen, gwałtu i podstępu, cynicznéj gry politycznéj, któréj jedyną zasługą wszystko rozgrzeszający sukces, figuruje wraz ze wszystkiemi wojnami Fryderyka przeciw Austryi, jako „walka niemieckiéj wolności przeciw despotyzmowi domu habsburskiego“, przeciw jego „zdradzie i obłudzie.“ „Król Fryderyk—powiada w innêm miejscu z najpoważniejszą miną w świecie — walczył doprawdy, jak to angielski poseł Mitchell powiedział, z a w o l n o ś ć r o d z a j u l u d z k i e g o!“ Cóż historyków w rodzaju p. Treitschkego mogą obchodzić takie fakta, ogólnie przecież znane, jak, że Fryderyk gardził językiem i literaturą niemiecką; jak, że tryumfy pierwszych szesnastu lat swego panowania zawdzięczał przymierzu z Francyą przeciw cesarzowi niemieckiemu; jak, że w roku 1744 zerwał pokój z Austryą i Rzeszą Niemiecką, by pośpieszyć na pomoc Francyi zagrożonéj utratą Alzacyi! P. Treitschkiemu trzeba, w interesie postawionéj przezeń z góry tezy, czego innego. Dalejże więc robić zeń patryotę niemieckiego *par excellence* i pisać np. takie rzeczy: „Szląsk został przez pruskie rządy o d z y s k a n y z n o w u *(sic)* dla żywiołu niemieckiego“; daléj prawić, że wszystkie wojny Fryderyka były przezeń podejmowane świadomie ku „zbudowaniu prawdziwie niemieckiéj potęgi.“ Jakież gromy późniéj na cesarza Franciszka I za wiązanie się jego kolejne z Francyą i Rosyą. Fryderykowi nie mają się podobne alianse *przeciw* Niemcom i legalnéj ich władzy za złe.

Nie dość na tém, odgrywa w całéj téj machaninie p. Treitschkego nie skąpą, jak się jeszcze niżéj przekonamy, rolę gruba niewiadomość. Tak np. mówi kilkakrotnie „o wypróbowanéj, prawdziwie niemieckiéj wierności mieszkańców Wschodnich Prus dla swego monarchy podczas strasznych doświadczeń inwazyi rosyjskiéj za wojny siedmioletniéj.“ Nie farbowana tymczasem, skreślona przez historyografa austryackiego Arnetha historya wojny siedmioletniéj, opowiada o wiernopoddańczych deputacyach szlachty

wschodnio-pruskiéj do cesarzowéj rosyjskiéj Elżbiety, do Petersburga, z prośbą o oszczędzanie kraju wśród zapewnień jak najżyczliwszych uczuć.

Naturalnie, nie skłóci autora z idealizowanym Fryderykiem II dokonany przezeń podział Polski, rzecz to ze stanowiska autora łatwa do pojęcia. Co natomiast trudniéj zrozumiéć, to, że p. Treitschke uważa ten podział nie tylko za tryumf patryotycznie niemieckiéj polityki przeciw Rosyi, ale nadto za wymiar odwetowéj sprawiedliwości przeciw Polsce saméj. „Było to (podział Polski)—mówi autor — zwycięstwem polityki niemieckiéj nad chciwą zaborczością Rosyi“, jak gdyby polityka pruska się kiedy odznaczała jakąś cnotliwą powściągliwością. O szlachcie zaś polskiéj w Prusach Zachodnich odzywa się: „Szlachta dokazywała tutaj z ową wzgardą obcego prawa i obcego żywiołu narodowego, jaka Polaków przed wszystkiemi innemi narodami Europy odznacza.“ Trzeba zaiste, powiedzielibyśmy na to, istnie Treitschkowéj tylko bezczelności, aby w obecnéj właśnie chwili i to ze strony niemieckiéj z podobnym zarzutem przeciw polskości wystąpić.

Nie mamy jednakże powodu gniewać się na nowo-kreowanego historyografa pruskiego, ponieważ tak jaskrawe właśnie, tak rażące nieznajomością lub fałszerską tendencyą wycieczki dają najlepsze wyobrażenie o wartości i dążności dzieła, które nazywa h i s t o r y ą Niemiec. Ckliwe to i tendencyjne fałszerstwo ciągnie się daléj i daléj, wskróś całego panowania Fryderyka II. Idealizowanie jego osoby i rządów praktykuje autor nie mniéj w dziedzinie, która dla samychże sumienniejszych historyków pruskich nigdy dotąd przedmiotem bezwzględnego uwielbienia nie była, w dziedzinie ekonomicznéj, administracyjnéj, sądowéj, — ale i w sferze polityki zagranicznéj. Tak np. podjęła Austrya czyli dom cesarski niemiecki, chcąc zagarnąć w r. 1778 Bawaryą, politykę, która za dni naszych doprowadziła Prusy do tak zwanego zjednoczenia Niemiec. Prusy stając na czele tak zwanego związku książąt niemieckich z r. 1780, wystąpiły w imię partykularyzmu, który dzieło jedności niemieckiéj pod egidą austryacką zwichnął. Tymczasem, co jest zasługą Prus, jest winą Austryi, a p. Treitschke, idealizujący unitarną politykę pruską w bieżącém stuleciu, uważa podobnąż politykę Austryi w przeszłym wieku za ciężki grzech, a oparcie się jéj partykularystyczne ze strony Prus za niezrównaną ich, patryotyczną zasługę. Taka to konsekwencya i logika historyografa pruskiego, dziedziczącego urząd po Leopoldzie Rankem.

Co w téj robocie rzeczą najpocieszniejszą, to, że rozkwit literatury niemieckiéj w drugiéj połowie XVIII w. policzony także na

poczet „patryotycznych zasług“ Fryderyka II, jakkolwiek dobrze wiadomo, do jakiego stopnia język i literatura niemiecka były dlań, co najmniéj przedmiotem wyraźnéj obojętności, jeżeli nie stanowczego wstrętu. Pominąwszy jednak fałszywą tę genezę, przypisaną literaturze niemieckiéj z XVIII wieku, należy przyznać, że stosunkowo jeszcze tak tu, jak i późniejsze w ciągu dzieła, literaturze i kulturze narodowéj Niemiec poświęcone, ustępy stanowią jeszcze najdodatniejszą jego stronę. Autor, zamknąwszy się w granicach historyi literatury i oświaty, a zapomniawszy o swych obowiązkach pruskiego historyografa, którego zadaniem „łamać, czego rozum żaden nie złamie“, mógłby stworzyć prawdziwy i zdrowemi poglądami odznaczający się obraz przeszłości swego narodu w téj dziedzinie. Jako też należy mu przyznać, że cała owa epoka duchowego życia Niemiec, w któréj jaśnieją pierwszorzędne imiona Klopstocka, Winkelmanna, Lessinga, Herdera, Goethego, Kanta, Schillera, skreślona barwnie, prawdziwie i żywo.

Na nieszczęście jednakże krótki to epizod tylko autorskiéj p. Treitschkego czynności, która spieszy czémprędzéj znów na swą gołoledź polityczną, aby na niéj wyprawiać coraz to nowsze i ciekawsze sztuki tendencyjności i nieznajomości rzeczy. Dzieje się to w całéj pełni w charakterystyce panowania następcy Fryderyka II, który, jak powszechnie wiadomo, choćby nawet u najenergiczniejszych entuzyastów przeszłości pruskiéj, nie zdołał sobie zyskać szczególnego uznania czy współczucia. Przyczyny, dla których autor darzy Fryderyka Wilhelma II swą sympatyą, są przecież równie oryginalne, jak powody, które mu owéj sympatyi wyznawać nie pozwalają. A więc uznanie zupełne dla interwencyi pruskiéj przeciw patryotom holenderskim w r. 1787, interwencyi taniéj i bezkrwawéj, mającéj na celu stłumienie ruchu narodowego przeciw kaprysom władzy stathuderskiéj; mocne niezadowolnienie z polityki pruskiéj, starającéj się z Austryą zachować dobre stosunki. Autor zdaje się żałować, że już wtedy nie zapraktykowała się ze strony Prus przeciw Austryi polityka z r. 1866. Jak zaś autorowi w téj historycznéj kampanii przeciw Austryi służy znajomość rzeczy, niechaj będzie dowodem następne twierdzenie: „W Polsce zyskała wtedy Austrya wkrótce (1790—1791) wpływ panujący.“ Pytamy, czy przy najpowierzchniejszéj znajomości naszéj ówczesnéj historyi, czy po przeczytaniu choćby tylko wydanych przez Viernota i Zeissberga dokumentów do „historyi cesarsko-niemieckiéj polityki Austryi“, p. Treitschke byłby z cieniem słuszności mógł wystąpić z podobném twierdzeniem! Następnie spotykamy się o kilka stron daléj z takim znów wykrzyknikiem p. Treitschkego: „Ani

w Wiedniu, ani w Berlinie nie nabyto naówczas świadomości, że państwo to (Polska) rozkiełznanéj szlachetczyzny już żyć nie mogło; że polska swoboda nie była niczém innem, aniżeli obcém panowaniem *(Fremdherrschaft)* sarmackich magnatów nad milionami słowiańskich, litewskich, niemieckich, żydowskich, wołoskich poddanych, którzy ze swymi okrutnymi *(grausamen)* panami żadnego prawa, ani uczucia wspólnego nie mieli.“

Monstrualne fałszerstwo historyczne współzawodniczy w tym ciekawym elaboracie ciągle z monstrualną do Polski, ale i do Rosyi nienawiścią, w dodatku też jednakże jeszcze z pocieszną czasem niewiadomością. Francuska rewolucya, wrażenia, nawiasowo powiedziawszy. korzystne dla siebie, niekiedy entuzyastyczne, jakie wywołała w Niemczech, są tu traktowane zimno i epizodycznie. Glównym w téj epoce dla autora przedmiotem pozostają podziały Polski, ale w jaki znów, pytamy, sposób. A więc ani słowa o znanym między Polską a Prusami traktacie przymierza z 29-go marca 1790, mocą którego Prusy obowiązywały się do czynnéj pomocy w razie jakiegobądź zagrożenia Polski; a więc ani słowa o znanéj pruskiéj nocie z luxemburskiego zamku Merl, z 25-go października 1792, która wbrew radom Ostermanna i Bezborodki w Petersburgu, dała inicyatywę drugiemu podziałowi Polski i starała się wciągnąć weń Austryą. Ale za to gromy na ces. Franciszka II, jako człowieka „bezmyślnego“, że się naówczas przynajmniéj do sprawy téj pociągnąć nie dał, brednie o Poznańskiém, jako już wtedy nibyto zupełnie zniemczoném, brednie niestworzone o sejmie grodzieńskim, o patryotach polskich, szukających wówczas (1791, 1792, 1793!) pomocy „u Jakobinów francuskich.“ Gdy zaś drugi podział Polski dokonany nareszcie, tryumfuje autor znów nad tym faktem, jako nad zwycięstwem „kultury niemieckiéj“ i niemieckiéj potęgi w walce przeciw słowiańskim żywiołom Polski i Rosyi razem. „Szeroka szczerba — woła historyograf pruski Bismarkowego autoramentu — w naszéj granicy wschodniéj została nareszcie zamknięta. Wszystka krzywda, jaką szlachta polska od wieków apostołom kultury niemieckiéj *(den deutschen Kulturbringern)* od wielu wieków wyrządzała, znalazła nareszcie swoje odpokutowanie.“ Jeżeli zaś jeszcze kto w sprawie téj grzeszny, to chyba tylko Austrya, to chyba tylko Thugut, że nie przyłożyli ręki do owego dzieła kultury niemieckiéj w drugim podziale, z którego korzystać jednakże samym nie byłoby dopuszczało uczucie sprawiedliwości niemieckie, piękna dewiza pruskiego państwa *suum cuique*.

Zbywając, rzecz dziwna, mimochodem akcyą pruską przeciw rewolucyi francuskiéj, trudni się p. Treitschke bardzo wiele sto-

sunkowo działaniem Prusaków przeciw powstaniu Kościuszki, ale w jaki sposób i z jaką znajomością rzeczy, niechaj znów dowodzą następne szczegóły. Tak np. jakkolwiek Kościuszko sam oszczędzany trochę przez autora, dowiadujemy się, że w przedsięwzięciu swojém „był wspierany z Paryża“ *(von Paris her unterstützt)*; tak znów dowiadujemy się w innéin miejscu, „że było po bitwie Szczekocińskiej zamiarem króla pruskiego wziąć P r a g ę szturmem“, ale że mu w tém przedsięwzięciu leniwa akcya generałów rosyjskich przeszkodziła. Historyograf pruski nowego autoramentu nie wié więc, że przedmieście Warszawy Praga leży po prawym brzegu Wisły, na który się armia pruska w swéj kampanii przeciw Kościuszce nigdy nie dostała. Tak wreszcie dowiadujemy się, „że S u w o r o w pobił wojsko Kościuszki“ pod Maciejowicami, kiedy owym zwycięzcą był Fersen, a Suworow jeszcze daleko od teatru wojny pod Warszawą podczas bitwy Maciejowickiéj. Owa nieznośna mieszanina jakichś idealno - moralnych afektacyi z najdowolniejszemi fałszami historycznemi ciągnie się nieprzerwanie daléj. A więc znów niezadowolnienie autora z rezultatów trzeciego podziału Polski, w którym „zła wiara koalicyi austryacko-rosyjskiéj przeciw Prusom, pozbawiła te ostatnie „ich dobrego prawa“ zyskania działu równego nabytkom polskim obu innych podziałowych mocarstw. Pretensya zaś ta pruska była naturalnie tém słuszniejsza, że Prusy spełniały przez zabór ów cywilizacyjne zadanie kultury niemieckiéj na wschodzie, kiedy Austrya i Rosya powodowały się jedynie tylko zamiarami zaborczemi. Ztąd téż tłómaczy autor jako rzecz bardzo naturalną i słuszną ze strony Prus porzucenie koalicyi przeciw Francyi i zawarcie w 1795 partykularnego pokoju bazylejskiego. Następnie zaś nie powiada autor ani jednego słowa o strasznéj gospodarce Goldbecka i Hoyma w Prusach Południowych, o ich marnotrawieniu grosza publicznego, o ich grzesznéin rozdawnictwie różnym, najnikczemniejszym figurom, faworytom ministrów i podstępnym intrygantom, ale za to rzuca między innemi taki np. frazes, „iż Warszawa pod panowaniem pruskiém przybrała z zadziwiającą szybkością charakter niemieckiego miasta.“ Słowem, traci autor, wręcz przeciwnie od mitologicznego Anteusza, równowagę i zdrowy rozsądek, ile się razy dotknie tylko polskiego gruntu. Ile razy go zaś opuści, staje się dlań jedyną busolą w pływaniu po „rozbujałych fluktach“ hyperpatryotycznego *ex officio* nurtu, obowiązkowy entuzyazm dla każdego, jakiejbądź wartości czynu i przedsięwzięcia pruskiego.

Mimo to wyznaje jednak autor w pewnym ustępie swego dzieła niezadowolnienie z t y c h Prus, jakie się wytworzyły z trze-

ciego podziału Polski, ponieważ nie zyskały przez to dobréj granicy strategicznéj, nie dość zaś na tém, przejęły w swój organizm zbyt wiele żywiołu słowiańskiego. Jedyny to zarzut, który autor wytacza polskiéj polityce Fryderyka Wilhelma II, nie mając żadnéj nie tylko już nagany, ale nawet uwagi dla obłudnéj i podstępnéj akcyi, która gabinet berliński najprostszą drogą od traktatu przymierza z 29 marca 1790 r. z Polską zaprowadziła do inwazyi w styczniu 1793 r. Płytszego pod względem wiedzy historycznéj, poziomszego moralnie elaboratu nie zdołała doprawdy wyprowadzić na jaw historyografia niemiecka.

Tendencyjna owa bezkrytyczność rozciąga się i na politykę Fryderyka Wilhelma II względem Francyi. Nie było dotąd historyka niemieckiego, któryby z dozą mniéj lub więcéj stanowczo odzywającego się oburzenia, nie spoglądał na odstępstwo Prus w owéj wojnie przeciw Francyi przez partykularny traktat bazylejski. Serwilizm pruski p. Treitschkego posuwa się tak daleko, że nie uważa za rzecz potrzebną z podobną tezą historyografii niemieckiéj rozprawić się poważnie i że zapisuje fakt traktatu bazylejskiego bez poddania go choćby najlżejszéj krytyce.

Przejście rządów z Fryderyka Wilhelma II na jego syna, nie wywiera szczególnego wpływu na stanowisko i metodę historyczną autora. Jeżeli nie znajdował ani jednego słowa nagany dla niemoralnéj polityki i sybarytyzmu dworu Fryderyka Wilhelma II, powoduje się względem osoby i rządów jego następcy bezwzględném bałwochwalstwem. Na szczęście powiedzieli inni a prawdziwi historycy niemieccy o Fryderyku Wilhelmie III to, czego o nim n i e powiedziéć nie można. Człowiek stworzony na poczciwego mieszczanina berlińskiego, na zacnego ojca rodziny, o ile temu predykatowi nie sprzeciwiały się od czasu do czasu liczne miłostki, wychodzi w opowiadaniu oficyalnego historyografa pruskiego na głęboko myślącego, daleko widzącego męża stanu, któremu zbywa na jednym tylko przymiocie, na łatwości wysłowienia. Wyidealizowawszy w ten sposób następcę Fryderyka Wilhelma II na wielkiego człowieka, kreśli autor charakterystykę rządów i ludzi, którzy tém, co robią, są choćby nawet według p. Treitschkego żywem zaprzeczeniem tego, co o wielkości Fryderyka Wilhelma III powiada. Mianowicie nie poświadczają owéj wielkości nowego monarchy pruskiego ani upadek armii, ani odgraniczenie celne jednych prowincyi monarchii od drugich, ani upadający stan administracyi wewnętrznej, ani wreszcie otoczenie królewskie. Radcy gabinetowi Mencken, Beyme i Lombard, adjutanci Zastrow i Köckritz nie upamiętnili się zbyt dodatnio w dziejach owéj epoki, a jeżeli autor

zapisuje przymus szkolny, niektóre reformy w dziedzinie handlu, rolnictwa i przemysłu w rzędzie zbawiennych czy zbawczych wypadków, jest to odkryciem, którego pierwotność jemu się należy. Co może w charakterystyce téj epoki dziejów pruskich rzeczą najlepszą, to obraz literatury i kultury współczesnéj niemieckiéj. Charakterystyki Steina, Fichtego, Jana Müllera są świetne pod względem stylistycznym; niekiedy nawet mogłyby być prawdziwe, gdyby tendencyjność, posuwająca się do ostatecznego zbytku, i na tém neutralném polu przedmiotowości opowiadania nie zatruwała. Co także szczegół zasługujący z owej epoki w dziele autora na uwagę, to do pewnego stopnia podziw dla osoby i akcyi Napoleona, tak długo naturalnie, dopóki polityka jego nie wchodzi w zatarg z interesem pruskim i dopóki faktyczny władca Francyi dopomaga Prusom do wykrawania sobie tłustych kąsków z ciała wspólnéj, wielkiéj ojczyzny niemieckiéj. „Bonaparte“ nie jest wcale w opowianiu autora owym przedmiotem nienawiści, owym kamieniem obrazy, dopóki powodzenia jego znaczą się traktatami w Campo Formio, Amiens i Lunewillu. Co więcéj, nie może nawet p. Treitschke, mimo wszelkiego swego szowinizmu niemieckiego, zaprzeczyć, że kraje niemieckie po lewym brzegu Renu, które się dostały pod panowanie Francyi, były ze związku z nią szczerze zadowolnione. Równocześnie zaś, kiedy l u d y Niemiec nie stroniły wcale od połączenia z Francyą, kiedy pierwszy konsul zdobywał sobie zręcznem postępowaniem ich życzliwość, oblegał rój książąt niemieckich przedpokoje, nietylko już Bonapartego, ale nawet Talleyranda i różnych generałów czy ministrów francuskich, byle tylko na ich dobrym humorze i drogo czasem okupywanej życzliwości wytargować dla siebie jaki szmat ziemi i dochodów po sekularyzowanych państewkach duchownych. Z tej też to epoki datują się berlińskie poselstwa Sièyesa i Duroca, z tej listy Bonapartego do Fryderyka Wilhelma III, pełne przyjaźni dla Prus samych i ich monarchy. Prusy z owej epoki przedstawiają zbyt ubogie politycznie i moralnie widowisko, aby módz pod piórem jakiegobądź historyka wyjść na przedmiot entuzyastycznego patryotyzmu niemieckiego. Autor czuje to sam mimowolnie, mimo szczupłego zapasu historycznej wiedzy, którą rozporządza. Nie chcąc jednakże idealizowanéj przez siebie kreacyi choćby nawet tylko najściślejszą prawdą historyczną ubliżyć, usiłuje winę bezczynności i pokory Prus wobec Francyi zwalić na Aleksandra I i grę, jaką pod jego zasłaniającą protekcyą ks. Adam Czartoryski praktykował w interesie przywrócenia Polski. Jeżeli zaś przy téj sposobności nazywa Francuzów *„die französischen Barbaren“*, jest to już śmieszną „li-

cencyą", która nie uchodzi, nietylko historykowi, ale któraby źle wyglądała nawet w ustach poety. Epitet podobny dany Francuzowi owej epoki ma tém mniej sensu, że Francuzi Chateaubrianda, Cheniera, pani Staël z pewnością barbarzyńcami nie byli a własna godność powinnaby powstrzymywać od darzenia tego rodzaju zelżywością tych, którym wówczas książęta niemieccy, nie wyjmując Prus, w natarczywy sposób schlebiali.

O historycznéj wiedzy i ścisłości w obrazie owéj epoki, nie ma ze strony autora wcale mowy. Nie zna lub nie chce znać licznych publikacyi bądź to niemieckich, bądź francuskich, które dzieje tego czasu do ostatnich rozświeciły głębin, ale które naturalnie nie dostarczają materyału do idealizowania Prus, jako przewodniej potęgi niemieckiej. W takich razach ma jednakże autor jeden stereotypowy środek, aby się usunąć od obowiązku wypowiadania przykréj dla jego tezy prawdy historycznéj. Przestaje traktować dział dziejów politycznych, daje, wyraziwszy się pospolicie, nurka i roztacza przed oczami czytelnika obraz współczesnej literatury wśród mnogich przytoczeń wierszowanych. Schiller i Goethe są bez wątpienia wdzięczniejszym tematem od sztuk polityki Lombardów i Lucchesinich a dzięki podobnej metodzie, prześlizguje się autor szczęśliwie wskroś wojny austryackiéj r. 1805, wskroś przysiąg u trumny Fryderyka II, wskroś zelżywości wyrządzanych Prusom ze strony Napoleona, do daty roku 1806 i wojny przypieczętowanej klęską Jeneńską. Klęska ta jest przedmiotem poświęconym choćby nawet przez najoficyalniejszą historyografią pruską najbezwzględniejszéj prawdzie historycznéj, nietyle może przez cześć dla téj prawdy, ile raczéj przez chęć wystawienia dla tego tém świetniejszego pomnika sławy regeneracyjnéj akcyi Prus i odwetowi lat 1813, 14 i 15. Z tego naturalnego bardzo powodu nie osłania i p. Treitschke Jeneńskiéj klęski, ale mści się za nią z jednéj strony z zapałem zwykłym u renegatów, na swéj ojczyźnie Saksonii, z drugiej na Polakach. Elektorowi saskiemu nie może darować, że nie poświęcał się za Prusy, kiedy Prusy opuściły się i opuściły same. Polakom przypina, z powodu ich powstania przeciw Prusom, za wkroczenie Napoleona, obelżywy epitet „wiarołomnych Polaków", *der traulosen Polen;* utworzenie Księstwa Warszawskiego przejmuje go istną zgrozą, jako akt najwyższéj krzywdy wyrządzony Prusom, jako czyn nieprzebaczonego przeciw nim występku ze strony Rosyi. Szczegóły wojny r. 1806 i 7 opowiedziane następnie nie zawierają wiele nowego i nie świadczą też wcale o jakichbądź głębszych studyach autora pod tym względem. Dzieła Haüssera a choćby nawet tylko Schlossera są nieró-

wnie w téj materyi ściślejsze i pełniejsze. Coby może tylko (rzecz znana zresztą z pamiętników Hardenberga, wydanych przez Rankego) zasługiwało na przypomnienie z dziejów politycznych téj wojny, a czego i autor nie pomija, to, że w głowie Antoniego ks. Radziwiłła zaświtała naówczas jako myśl zbawcza w interesie pruskiém formować osobną armią polską, ogłosić Fryderyka Wilhelma III królem polskim i odwrócić myśl restauracyi Polski, jako broń przeciw Napoleonowi. Sam król pruski nie był podobnemu projektowi tak zupełnie przeciwnym. Powzięty jednakże za późno, rozbił się równie o zwycięstwa Napoleona, jak o ogólną nieufność społeczeństwa polskiego. Autor sam zresztą zadowolniony szczerze w interesie pruskim, że pomysł ten, przekształcający najzupełniéj dotychczasową naturę monarchii pruskiéj, do skutku nie przyszedł. Że zresztą Napoleon myślał w swym czasie bardzo na seryo o restauracyi Polski, najlepszym dowodem, że zaproponował Austryi zamianę Galicyi na Szląsk, ale że gabinet wiedeński tę propozycyę odrzucił.

Wśród podobnych szczegółów dobija autor do faktu pokoju tylżyckiego, następnie do epoki noszącéj w historyografii niemieckiéj techniczną nazwę r e g e n e r a c y i P r u s. Zatrudniają go téż głównie dwie postacie Hardenberga i Steina, a charakterystyka ich, o ile nie jest zeszpecona „szowinizmem“ niemieckim, należy do szczęśliwszych ustępów Treitschkowego dzieła. Jeśli p i e r w s z y reprezentuje rutynowanego dyplomatę i oficyalnego męża stanu, któremu przecież nie są obcemi ani uczucia patryotyzmu pruskiego, ani świadomość obowiązku ich restauracyi ze stanu teraźniejszego upadku, — jest d r u g i śmiałym, rewolucyjnym, można powiedziéć, reformatorem, który zapożyczywszy się mocno u rewolucyi francuskiéj, dąży śmiałemi krokami do zastosowania jéj politycznych, ekonomicznych, administracyjnych i społecznych zdobytków na przyszły organizm państwa pruskiego. Powołany we wrześniu 1807 r. do Memla, gdzie właśnie król przebywał, rozpoczął wśród strasznéj ruiny kraju, wśród najzupełniejszéj dezorganizacyi wszelkich państwowych stosunków, dzieło reorganizacyi, która mając ogarnąć całą budowę państwa, rozpoczęła się od reformy stosunków włościańskich. Edykt z 9 października 1807 r. uświęcił nareszcie swobodę osobistą włościanina i swobodę jego własności ziemskiej. Przy téj sposobności zapisuje autor ciekawy szczegół, który właśnie pod j e g o piórem nabiera tém większéj wiarogodności i tém większego znaczenia. Autor powiada, że p r z y g o t o w y w a n o wprawdzie w otoczeniu królewskiém reformę stosunków włościańskich, ale że dzieło w y k o n a n i a jéj

byłoby się mocno przewlokło, gdyby nie odebrana z Księstwa Warszawskiego wiadomość, że tamże noszą się z podobną myślą (urzeczywistnioną, jak wiadomo, dekretem króla saskiego Fryderyka Augusta, kontrasygnowanym przez ministra sekretarza stanu Stanisława Brezę z 21 grudnia 1807 r.). Wobec téj wiadomości, zależało niezmiernie otoczeniu króla pruskiego, Steinowi, Hardenbergowi, Schönowi, Staegemanowi, Klewitzowi, na tém, aby w takiém emancypacyjném dziele nie być wyprzedzonymi przez prawodawstwo polskie, a tak przyszedł do skutku pamiętny w dziejach wewnętrznych Prus edykt z 9 października 1807 r. Fakt teń jest zarazem najlepszą odpowiedzią na samochwalstwa pruskie w sprawie „emancypacyi polskiego chłopa z pod samowoli szlacheckiej“.

Dodać należy, że co się tyczy szlachty niemieckiéj w Prusach, ta nawet, według niepodejrzanego zapewnie świadectwa p. Treitschkego, aktu emancypacyi włościańskiéj ze strony rządu wcale sympatycznie nie przyjęła a że opozycya jéj przeciw spełnionéj reformie odzywała się z wielką energią, mianowicie w saméjże Marchii Brandeburskiéj. Zresztą była owa emancypacya włościan, jak i zkądinąd wiadomo, a pod którym to względem autor nic nowego nie powiada, — pierwszym czynem na drodze podjętéj reformy. Następnym jéj aktem było ogłoszenie ordynacyi miejskiéj, daléj reforma armii pod wpływem i za wskazówkami Scharnhorsta, osobiście zaprzyjaźnionego z królem. Dalszym tego kierunku czynem była reforma oświaty publicznéj, któréj kierownictwo powierzono Wilhelmowi Humboldtowi, a któréj najpiękniejszym w owéj epoce pomnikiem pozostanie późniejsze utworzenie uniwersytetu berlińskiego.

Dziwnym nieco w dziele autora pozostanie pojawem, że gorsząc się spiskami i zamachami pośród innych społeczeństw, w podobnych pozostających warunkach, uważa nie tylko *Tugendbund* za stowarzyszenie wszelkiego uznania godne, ale, co więcéj, że uniewinnia wszelkie inne spiski i zamachy, jakie knowano naówczas w Niemczech na życie Napoleona. Był to, według autora, naturalny rezultat naprężonéj sytuacyi, roznamiętnienia, które znajdując podobny wyraz pośród młodzieży, miało poważniejszy a nierównie donioślejszego wpływu na naród w ludziach, jakiemi byli Blücher, Schleiermacher, Fichte, Jahn, Arndt, osobistości różnych stanowisk, różnych zatrudnień, różnych temperamentów, połączone jedném tylko, wspólném uczuciem miłości ojczyzny. Dla gburostwa i towarzyskiéj pospolitości, jakiemi się w téj plejadzie odznaczali czy to słynny turner Jahn, czy autor nie mniéj słynnéj pieśni *Was ist des Deutschen Vaterland?* Maurycy

Arndt, znajduje autor niezrównane, godne wiecznéj pamięci uniewinnienie. *„Der Germane ist ohnehin geneigt Grobheit und Wahrhaftigkeit zu werwechseln“* (Niemiec jest wogóle skłonnym brać grubiaństwo za szczerość). Brzmi to ironicznie a jednakże nie ma, według intencyi autora, być niczém innėm, aniżeli pochwałą téj cechy charakteru germańskiego.

Po takiéj pochwale, oddanéj podobnie charakterystycznéj stronie społeczeństwa niemieckiego, możnaby przypuszczać, że autor będzie się starał skreślić nie inaczéj od swych poprzedników Schlossera i Haüssera silnemi, wyrazistemi pociągami pióra historyą organizacyi pruskiéj. Nadaremno jednakże wyczekiwalibyśmy po autorze podobnego spełnienia swego zadania. Zrzucając z siebie niewygodny obowiązek, wplata autor w opowiadanie swoje znów obraz współczesnéj literatury niemieckiéj, który sam przez się mógłby być niezłym, gdyby się nie czuło i nie widziało mimowolnie, że to wybieg, *un expedient*, jakby Francuz powiedział, ku uwolnieniu się od konieczności przedstawienia obrazu politycznéj poważnéj treści. Konieczność tę czy potrzebę zastępuje autor zamaszystemi deklamacyami o skalistych brzegach i zielonéj wodzie Renu, o braciach Grimmach i Eichhornie, o Goethem i o Henryku Kleiscie, wśród przytoczeń dosłownych z różnych poetów niemieckich, wśród retorycznych wykrzykników, które ze strony krytyków nie mających czy nie umiejących nic lepszego do powiedzenia o dziele p. Treitschkego, zdobyły mu to przynajmniéj uznanie, iż jest pisane *„mit patriotischer Wärme.“* Polityka pruska owéj epoki zajmuje mocno podrzędne stanowisko w opowiadaniu autora a zajmowałaby może jeszcze mniejsze, gdyby nie dostarczała niekiedy paliwa do owego „patryotycznego ciepła.“ Znajdzie się więc bądź to westchnienie bądź przekleństwo dla materyalnego ucisku, pod którym wskutek pobytu Francuzów i kontrybucyi wojennéj kraj pruski stękał, znajdzie się gniew na Napoleona o zjazd erfurtski r. 1808, ale ani jedno słowo uwagi o Wielandzie i Goethem przyjmujących legią honorową z rąk Napoleona; znajdą się wreszcie słowa entuzyazmu dla powstańców hiszpańskich i oburzenie na Austryą z powodu podjętych o ustąpienie Szląska układów. Nie szukajmy jednakże w owéj mozajce spokojnie, normalnie, racyonalnie i przedmiotowo rozwijającego się obrazu społeczeństwa niemieckiego, które je użyzniło moralnie i przygotowało do późniejszego dzieła odwetowego.

Wspomniawszy epizodycznie o odwiedzinach króla pruskiego i małżonki jego w 1809 w Petersburgu, poświęca autor krótką wzmiankę wojnie austryackiéj z tegoż samego roku. Oficyalny historyograf nie ma zbyt entuzyastycznego uznania dla sprawy, która

dotąd zwykła była zajmować i rozgrzewać innych historyków niemieckich téj epoki, dla sprawy Schilla i księcia Brunświckiego. Oficyalizm pruski nie uczęstniczył w niéj, znalazł się nawet w konieczności potępienia tych, co przedwcześnie i bez upoważnienia rządowego wybuch spowodowali. Również nie zajmuje sama wojna austryacka z r. 1809 zbyt wielkiego miejsca. Co najwięcéj, oburza się autor poniżeniem dworu wiedeńskiego przez wydanie Maryi Ludwiki za Napoleona, oburza się nie mniéj gromkiém wystąpieniem władcy Francyi przeciw Steinowi, o którego usunienie z przewodnictwa w gabinecie pruskim postarał się podobnie, jak np. za naszych dni rząd niemiecki o usunięcie generała Boulangera z ministerstwa wojny we Francyi. Co przynajmniéj dla Prus wobec podobnie smutnéj konieczności było nie zaprzeczoną korzyścią, to że następstwo po nim objął Hardenberg, wierny zwolennik jego reformistycznych pomysłów. Dzieło zaś przeprowadzenia owéj reformy nie było wcale łatwém. Najprzód objawiała się, co i p. Treitschke najwyraźniéj przyznaje, opozycya szlachty przeciw ustępstwom na rzecz stanu włościańskiego. Opozycya ta doszła mianowicie w r. 1811, głównie w Prusach Wschodnich i w Nowéj Marchii swego zenitu i to do tego stopnia, że Hardenberg, jako mąż kierujący nawą państwa, znalazł się w konieczności posłać co głośniejszych oponentów, jak panów Marwitza i Finkensteina na pokutę do twierdzy Szpandawskiéj. Następnie była nieprzestannym dla kraju ciężarem kontrybucya wojenna francuska, w któréj okazała się zbawczą pomocą pożyczka holenderska. Jak wiadomo z wydanych przez Rankego przed kilku laty „Pamiętników Hardenberga,“ miał główną zasługę w zapośredniczeniu téj pożyczki brat Napoleona, ówczesny król holenderski Ludwik. Wydawca „Pamiętników Hardenberga“ wyraża się z tego powodu z pewną wdzięcznością o dobréj woli i życzliwości króla holenderskiego. P. Treitschke pomija milczeniem sam fakt, którego nie znać nie może. Nie inaczéj obchodzi się z osobą Hieronima króla Westfalskiego. Nie gorszy z pewnością od p. Treitschkego patryota niemiecki, Schlosser, ocenia w sympatyczny sposób tego lekkomyślnego, lubiącego rozkosze życia, ale obdarzonego najlepszém sercem i osłaniającego w krytycznych razach poddanych swych młodego człowieka. Treitschke robi zeń prześladowcę swych poddanych, jakąś czarną, złowrogą postać, z którąby się prawda historyczna nigdy nie zgodziła. W ogóle, jeżeli Prusy uczuły się dotkniętemi i upokorzonemi panowaniem Francuzów, jeżeli przygotowywały odwet, nie można tego powiedzieć o reszcie, Niemiec a prawda to tém więcéj zasługująca na uznanie, że przyznana choćby nawet przez Treitschkego. Bawarya, Wirtembergia, Sa-

ksonia, Badeńskie nie czuły się wcale niechętnemi dla panowania francuskiego; przeciwnie pociągała je osobistość Napoleona, liga Reńska znajdowała w ich władzcach, co więcéj w ich mieszkańcach, wzorowych zwolenników, tak że rozpoczęcie kampanii przeciw Rosyi nie zapowiadało bynajmniéj, aby niemieccy Francyi sprzymierzeńcy szli na tę olbrzymią wojnę w roli przymuszonych. O przymierzu Prus z Napoleonem przeciw Rosyi, o udziale Prusaków w téj wojnie nie dowiadujemy się nic nowego z dzieła p. Treitschkego. Inni téjże saméj epoki historycy, między innymi Haüsser, Beitzke, umieli opowiedzićć ten epizod nierównie lepiéj, ciekawiéj i dokładniéj. Tak np. skoro już mowa o udziale mocarstw i wojsk niemieckich w wojnie przeciw Rosyi, należałoby się słusznie spodziewać, że autor opowié kampanią inflancką posiłkowego korpusu pod dowództwem generała Grawerta, że równolegle skreśli kampanią wołyńską Schwarzenberga, poleską Reyniera dowodzącego Sasami. Szukajmy nadaremno tego wszystkiego w dziele Treitschkego, który opowiedziawszy wśród dość pospolitych wyzwisk i wycieczek przeciw Napoleonowi najwięcéj znane, najpowszechniéj wiadome rzeczy o bitwie Borodyńskiéj, o spaleniu Moskwy, o odwrocie Napoleona i jego klęskach, przystępuje od razu do opisu konwencyi w Tawrogach między generałem pruskim Yorkiem i generałem rosyjskim Dybiczem, konwencyi, która, jak wiadomo, postanawiała zawieszenie broni między korpusem wojsk pruskich a armią rosyjską, która nadto neutralizowała Prusy Wschodnie.

Z tą to chwilą rozpoczyna się powoli dzieło odwetu pruskiego przeciw długo zwycięskiemu Napoleonowi, ale szukajmy i tutaj nadaremno, prócz ogólników o zapale patryotycznym „pruskiego“ ludu, prócz deklamacyl przeciw klęsce panowania obcego, cokolwiek bądź faktycznie nowego, czego byśmy oddawna nie wiedzieli lepiéj i dokładniéj skądinąd. Przeciwnie, powiedzielibyśmy, że gdyby p. Treitschke był pierwszym i jedynym téj pamiętnéj w dziejach Niemiec epoki historykiem, nie mógłby czytelnik powziąć o niéj jasnego wyobrażenia, dzięki zamazywaniu faktycznéj strony wypadków przez ustawiczne i nużące przytaczania wierszy różnych poetów i gadaniny mające być ultrapatryotycznemi. Winniśmy jednak stwierdzić, że nie wiadomo nam dla czego, czy aby być oryginalnym, czy aby usprawiedliwić i uzasadnić „*de longue main*“ różne późniejsze wypadki w dziejach monarchii pruskiéj, autor uważa za rzecz stosowną zająć wręcz odmienne od wszystkich dotychczasowych téj epoki niemieckich historyków stanowisko względem Rosyi i Austryi. Dążnością dotychczasowéj historyografii niemieckiéj było rozkoszować się owym wyrosłym późniéj w święte przymierze

aliansem trzech północnych mocarstw, które według używanéj powszechnie dykcyi „oswobodziły Europę od ciężaru francuskiego jarzma.“ Oficyalny historyograf pruski zajmuje inne stanowisko. Cesarz Aleksander, pominąwszy, iż jest monarchą państwa niekoniecznie sympatycznego autorowi, jest mu nadto jeszcze mniéj sympatycznym z powodu swych planów co do Polski. Wobec kogo jednakże nienawiść jego nie nakłada sobie żadnego wędzidła, to wobec Austryi, wszystkiego i wszystkich mających z nią związek. Mniejsza, że przyzwoitość historyograficzna pozwala autorowi nazywać Maryą Ludwikę, małżonkę Napoleona „nikczemną kobietą“ *(das elende Weib)*, nie ma autor dość jaskrawych barw, nie znajduje dość obelżywych wyrazów dla poniżenia Metternicha, dla skarykaturowania jego charakteru i zdolności, dla wystawienia na wzgardę i pośmiewisko samego cesarza Franciszka. W charakterystyce jego, nie ogranicza się autor na szarpaniu charakteru, moralnéj wartości i inteligencyi, ale co więcéj, znęca się nad zewnętrznością fizyczną i nazywa cesarza Austryi „człowiekiem gruszkowéj twarzy (*Der Mann mit dem Birnengesicht)*“. Otóż to stanowisko, z jakiego autor zapatruje się na żywioły ówczesnéj koalicyi a jakie odbiera mu naturalnie możność, wszelką równowagę i pogodę sądu historycznego.

Powtarzalibyśmy się, tylko zaznaczając tu, że autor i w opowiadaniu epopei r. 1813, epoki tak zwanych „wojen o wolność niemiecką“ *deutscher Freiheitskrieg*, jest pod względem faktycznym, nierównie uboższym od wszystkich swych poprzedników. Powstanie ludu niemieckiego przeciw uciskowi francuskiemu wywołuje wprawdzie z jego strony także objawy zdawkowego entuzyazmu, mnóstwo dosłownych przytoczeń z najrozmaitszych utworów Kleista, Schenkendorffa i Körnera, jeszcze więcéj przekleństw na Napoleona i Francuzów, obelg przeciw cesarzowi Franciszkowi i Metternichowi, ale na tém wszystkiém nie zyskują nic ani opis bitwy pod Dreznem czy pod Lipskiem, ani obraz dyplomatycznych, tyle interesujących rokowań, które znalazły tak dokładnych sprawozdawców w historykach poprzednich, jak w Haüsserze i Onckenie. Co niekiedy przynajmniéj w opowiadaniu tyle namiętném, tyle gorączkowém, tyle wstrętném faktów, tyle skłonném do szumnéj deklamacyi, jest uwagi godném, to mimowolne wyrywy prawdy, świadczące, że nie całe Niemcy uważały owo panowanie Francuzów za tak straszną plagę a że mianowicie ludność Hessyi elektoralnéj witała z wielkiemi nawet obawami powrót rządów swego dawnego władcy. Rzadkie jednakże bardzo tego rodzaju ustępy ciekawéj a nie zawsze z ogólném stanowiskiem autora zgodnéj prawdy historycznéj. Główny prąd jego opowiadania o kampanii

lat 1814 i 15 toczy się wśród powtarzania powszechnie znanych rzeczy aż do wzięcia Paryża przez sprzymierzonych. Co najwięcéj, ale i to rzecz nie nowa podług historycznéj metody autora, znajdujemy i tutaj obelgi na niewdzięcznych i podstępnych sprzymierzeńców, na Rosyą, Anglią i Austryą, na niegodziwość Metternicha, księcia Schwarzenberga i cesarza Franciszka, których skryta i nieprzyjazna zmowa pozbawiły Prusy korzyści, jakie im dzielność ich oręża, męstwo i powodzenia Blücherów, Gneisenauów, Yorków i Bülowów wywalczyły. Co bowiem w całém tém opowiadaniu rzeczą dodatkowo jeszcze i osobno ciekawą, to że regulatorem wszystkich czynów, ruchów, obrotów i ruchów koalicyi jest, według autora, a przynajmniéj powinien być jedynie tylko interes p r u s k i. Wobec tego naczelnego względu winny milczéć wszystkie inne. Jeżeli się zaś tak nie stało, uważa w tém autor nietylko grzech polityczny, ale nawet i ciężki grzech przeciw moralności publicznéj, dającéj prawo Prusom, czyli identyfikowanym z niemi przez autora Niemcom, uważania się za ciężko pokrzywdzonych. Ztąd to tłumaczyć sobie należy nienawiść autora przeciw Anglii i Holandyi, że nie pozwoliły Prusom rozszerzyć się w stronach dolnego Renu, przeciw Austryi i Rosyi, że nie dopuściły Prusom zabierać Strasburga i Alzacyi, przeciw Francyi, że była przedmiotem podobnego dobrodziejstwa, przeciw Rosyi, że nie darowała Prusom Warszawy i Królestwa Polskiego, jako słusznéj ich przynależności. Ztąd też tłómaczmy sobie daléj apetyt autora na poddanie Napoleona wyrokowi jakiego sądu wojennego i skazania go na rozstrzelanie.

Łatwo pojąć, co za dziwolągi wybór podobnego stanowiska wywoła w ocenieniu kongresu wiedeńskiego. Czegoby tu wszystkiego chciał autor dla Prus i jaki gniew jego, że tego wszystkiego nie dostały! Powinny zaś były ku ukaraniu „*der treulosen Polen*“ dostać nie tylko Toruń, który istotnie dostały, ale Warszawę i Kraków, których nie dostały, mianowicie Kraków jako na odwiecznie niemiecką *Pflanzstätte.* Z tym apetytem na Warszawę i Kraków, z apetytem, którego niezaspokojenie wyrzuca autor głównie cesarzowi Aleksandrowi, Metternichowi i Talleyrandowi, łączy autor nie mniejszy apetyt na swój rodzinny kraj Saksonią. Podobnie, jak poprzednio w redagowanych przez siebie *Preussische Jahrbücher,* tak i w tém, co nazywa „Dziejami Niemiec w XIX wieku“, raczy autor dom panujący saski najobelżywszemi epitetami, mianem zdrajców ojczyzny niemieckiéj, znęca się na wstrętny sposób nad osadzonym naówczas w więzieniu Friedrichsfeldzkiém królu saskim. Chwali gubernatorstwo Repninowe w Saksonii, nie może się utulić w żalu, że bezpośrednia jego ojczyzna nie dostała

się już wtedy, cała i niepodzielna, pod panowanie pruskie. Jest to istotnie jeden z najwstrętniejszych, najobrzydliwszych ustępów tego i tak już nie zalecającego się żadnym dodatnim przymiotem dzieła, a gromy, że Saksonia nie dostała się, jak przecież było być powinno, pod panowanie pruskie, spadają znów obfitą miarą na Talleyranda, Meternicha i Castlereagha. Każdy czyn, spełniony we własnym interesie przez którebądź z mocarstw reprezentowanych na kongresie wiedeńskim, figuruje w dziele autora, jako równoczesna krzywda „dobrego prawa“ pruskiego a historyk, który miałby chęć windykować dla Prus połowę globu ziemskiego, ma czoło obwiniać biedną Bawaryą czy Wirtembergią o nienasyconą *Ländergier*, chciwość na nowe nabytki terytoryalne! Naturalnie nie może autor, zgorszony terytoryalném urządzeniem Europy na kongresie wiedeńskim, być zadowolnionym z nowéj organizacyi Niemiec, jaką zyskały w tak zwanym akcie związku niemieckiego 8 czerwca 1815. I pod tym naturalnie względem gniewy i żale, że Prusom nie dostała się już wówczas dyktatura nad Niemcami i że Austrya nie została z nich wyrzucona. Winien zaś i tego naturalnie znów nie kto inny, jak cesarz Franciszek „*mit dem Birnengesicht*“ i Metternich posługujący się wykrętami i podstępami przeciw umiejącéj walczyć samą tylko uczciwością i gołębią prostotą polityce pruskiéj.

W opowiadanie tych wypadków nie może naturalnie nie dostać się spowodowany powrotem Napoleona z wyspy Elby epizod kampanii roku 1815. Trzeba i tutaj sypać frazesami, o „świętéj walce Prus w obronie wolności europejskiéj.“ Nie przeszkadza to przecież, że choćby nawet historykowi miary i wartości p. Treitschkego nie jest rzeczą podobną ubić milczeniem wypadku, jaki się wydarzył w Liège, na klasycznym gruncie Belgii, wypadku, w którym ziomkowie autora właśnie złożyli przekonywający dowód, jak im przewaga pruska smakowała, w jak krwawéj upamiętniła się dla nich postaci. W Liège, gdzie sam Blücher miał główną kwaterę, stały na załodze pomieszane pułki pruskie i saskie. Sasi, których król znajdował się ciągle jeszcze jako pruski więzień na zamku Friedrichsfelde pod Berlinem, byli wystawieni na wszelkie możliwe brutalstwa ze strony pruskiéj, na wszelkie poniżenia godności ludzkiéj i żołnierskiéj. Nareszcie doszły rzeczy do owego krytycznego momentu, w którym dłuższa cierpliwość biednych Sasów stała się niepodobieństwem. Nastąpił z ich strony gwałtowny wybuch, tak groźny, że Blücher był zmuszony w szybkiéj ucieczce szukać swego ocalenia. Zemsta pruska była krwawa. Winnych podobnego występku przeciw dyscyplinie wojskowéj dziesiątkowano, karząc ich

rozstrzelaniem. Na bezbronnym królu saskim zemścił się Blücher bezprzykładnie grubiańskim listem, który p. Treitschke nieledwie jako akt bohaterstwa sławi. Takim to aktem rozpoczęła się ze strony pruskiéj kampania r. 1815, która niewiadomo dobrze dla czego, figuruje ciągle i nieprzestannie w nowoczesnéj historyi niemieckiéj, w książkach przeznaczonych dla użytku szkół jako ostatni akt „wojen wolności“. Opisu szczegółów kampanii od bitwy pod Ligny, aż do ponownego zajęcia Paryża, nie mamy powodu powtarzać za autorem, tém mniéj, że p. Treitschke, pominąwszy patryotyczne klątwy przeciw Napoleonowi i Francuzom, pominąwszy entuzyastyczne wykrzyki na cześć Blüchera i Prusaków, jest w téj części swego opowiadania nieskończenie słabszym i mniéj dokładnym od całego zastępu historyków niemieckich, francuskich i angielskich téj kampanii. Za to nie od rzeczy położyć przycisk na obłudne jeremiady, które autor zanosi z powodu „dotkliwéj krzywdy“, jaka spotkała ze strony dyplomacyi europejskiéj, w drugim pokoju paryskim z 20 listopada 1815 Prusy przez nieuwzględnienie ich zasług i politycznego interesu. Główne z tego powodu gromy padają na Rosyą i na cesarza Aleksandra, który w szlachetném oburzeniu przeciw wybrykom żołnierza pruskiego we Francyi i w zdrowém ocenieniu sytuacyi europejskiéj, występował z protestem przeciw uroszczeniom pruskim. Śmiesznemi i oburzającemi na przemian są „patryotyczne“ wykrzykniki i żale autora z tego powodu. „Pruskie państwo“, mówi „znalazło się w odosobnieniu. Jego wojsko poświęciło się bohatersko za wspólną sprawę naszéj części ziemi, aby ostatecznie dla własnego kraju nic nie zyskać“. Do tego fałszerstwa dziejowego, znajdującego dotykalne zaprzeczenie choćby tylko w mapie geograficznéj monarchii pruskiéj przed i po r. 1815, dodaje autor jako zaszczyt tylko cesarzowi Aleksandrowi przynoszący, smutną dla wojska pruskiego prawdę odsłaniający zarzut: „Gdy Hardenberg 15 lipca (1815) do Paryża przybył, był natychmiast zmuszony słyszéć ze strony cara gwałtowne zarzuty z powodu rozpustnego zachowania się wojska pruskiego (we Francyi)“.

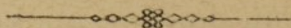
Co przy téj sposobności najlepsza, to że w zapale owego, mającego być patryotycznym zapału wszechpruskiego, wyrywają się autorowi mimowolnie wyznania prawdy, które świadczą najlepiéj, o ile jego pretensye, przeniesione w epokę r. 1815, odpowiadały potrzebom i życzeniom ówczesnego społeczeństwa. „Co zaś“ mówi, „najgłębiéj dolegało to, że same stracone kraje niemieckie, którym chciano przynieść swobodę, nie posiadały się z radości nad dyplomatycznem powodzeniem zagranicy“. Radość ta Alzacyi i Lota-

ryngii z pozostania w związku z Francyą, z uniknienia owéj swobody, jaką je już w r. 1815 pożądliwość pruska uraczyć chciała, nie jest wprawdzie nowiną dla nas, spoglądających na objawy miłości, jaką rządy pruskie „oswobodzonych z pod jarzma francuskiego braci“ darzą, na objawy wdzięczności, z jaką „oswobodzeni bracia“ swobodę swą przyjmują. Cokolwiekbądź, pozostanie charakterystyczném ten mimowolny wyryw prawdy z ust szowinistycznego historyka.

Z przytoczonych ustępów i szczegółów widzimy mniéj więcéj, jakie stanowisko zajmuje autor w obrazie dziejów prusko-niemieckich do r. 1815, w obrazie stanowiącym właściwie wstęp do rzeczy głównéj, do charakterystyki owego rozwoju, który od stanu stworzonego traktatami wiedeńskiemi, zaprowadził Prusy do przystani wychodzącéj i m na wyłączną korzyść jedności niemieckiéj. Do uzupełnienia obrazu epoki poprzedniéj, a raczéj do charakterystyki autora, trzebaby chyba dodać tylko wzmiankę o sposobie, w jaki się urzędowy historyograf pruski zapatruje na osobę i los Napoleona. Obcy przystępom ludzkości i przyzwoitości, nie pojmujący obowiązków winnych upadłéj wielkości, uważa kaźń Napoleona na wyspie Św. Heleny za zupełnie zasłużoną, postępowanie jego stróża, Hudsona Lowego za „może niekiedy pedanckie“, ale najzupełniéj odpowiednie położeniu rzeczy, zachowanie się zaś samego Napoleona za godne niefortunnego „oszusta czy złodzieja“ (*einers Gauners*). Taką to godną s i e b i e zaiste uwagą i takim frazesem kończy autor wstęp do dziejów teraźniejszości niemieckiéj, by dalszy ciąg ich, od r. 1815, rozpocząć od kwasu przeciw rywalizującéj z Prusami Austryi.

Doszedłszy do téj daty w naszém sprawozdaniu winniśmy się znów zatrzymać nieco i zapisać kilka spostrzeżeń ogólnéj, zasadniczéj natury ku tém lepszemu zrozumieniu faktów i faktycznego stanowiska, jakie p. Treitschke uważa odtąd za rzecz stosowną zająć względem Prus, Austryi i wszelkich innych członków tak zwanego związku niemieckiego, reprezentującego całość, jeśli nie jedność niemiecką w epoce między 1815 a 1866.

(D. n.) *Kazimierz Jarochowski.*





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Charles Henry: Wroński et l'esthetique musicale. Paryż 1887.

Wrońskim coraz więcéj zajmują się uczeni zagraniczni; dowód to, że w mesyanizmie jego znajduje się dużo cennych pomysłów naukowych. Miałem sposobność pisania już o tém w *Ateneum;* obecnie znów z okoliczności broszury, któréj tytuł podałem w nagłówku, wracam do tego przedmiotu i powtarzam, że w olbrzymiéj spuściźnie naukowéj Wrońskiego, obok spekulacyj czysto mesyanistycznych, które mogą być tylko cechą znamienną marzycielskiéj natury ich twórcy—znajduje się mnóstwo ważnych prac i pomysłów ze wszystkich niemal dziedzin wiedzy ludzkiéj, dotąd niespożytkowanych, a nam współziomkom zupełnie nieznanych.

W systemie swym zawarł Wroński i teoryą muzyki, pracy jego drukowanéj w tym przedmiocie, o ile wiem, nie ma, ale poglądy jego estetyczne w téj dziedzinie były znane kilku zbliżonym do niego artystom. Jednym z tych, którzy najbardziéj przejęli się nauką Wrońskiego, jest hr. Kamil Durutte, który w roku 1855 ogłosił pracę p. t. „*Technie ou les lois générales du système harmonique*“, napisaną dla użytku kompozytorów muzycznych. Praca ta nowością pomysłów zjednała sobie uznanie Gounoda. Tenże autor w r. 1876 ogłosił drugie dzieło p. t. „*Resumé élémentaire de la technie harmonique*“, oparte na tych samych zasadach, a więc na pomysłach Wrońskiego i przeznaczone już dla szerszego koła osób, mających wykształcenie muzykalne. Muzyk belgijski Croegaert pracuje również w kierunku, wskazanym przez Wrońskiego, w celu ujednostajnienia dyapazonu (*Mémoire sur l'unification du diapason.* Antwerpia 1885). Wreszcie Charles Henry, jeżeli się nie mylimy, bibliotekarz

Instytutu francuskiego, pracujący nad historyą i filozofią wiedzy ludzkiéj, ogłosił kilka rozpraw z dziedziny estetyki muzykalnéj, w któréj pomysły jego schodzą się, jak sam przyznaje, z pomysłami Wrońskiego.

Broszura: „*Wroński et l'éstethique musicale*“ zawiera przedruk listu Wrońskiego do Durutte'a, datowanego z Paryża w d. 3 stycznia 1850. W liście tym streszcza Wroński podstawy swojéj filozofii muzyki, którą, zarówno jak i filozofią każdéj innéj wiedzy i sztuki, wyprowadza ze swego *prawa tworzenia*, będącego kamieniem węgielnym „filozofii bezwzględnéj“ czyli mesyanizmu. Wszystkie prawa i teorye, to u Wrońskiego wynik dedukcyjny z tego najwyższego prawa wszechwiedzy; prowadzi do nauk nie zmudna praca doświadczenia, ale konsekwencya logiczna z prawa najwyższego. Kto jest w posiadaniu tego czarodziejskiego źródła, ten może z góry przewidzieć i wyliczyć wszystko, ten zna przeszłość i przyszłość, jeżeli kierować się będzie w swém dochodzeniu planem przenikającym prace Wrońskiego. Takie jest zdanie Wrońskiego o doniosłości jego filozofii, na które naturalnie nie możemy się pisać, wiedząc, że tylko drogą długiéj i ciężkiéj pracy pokoleń wzbijamy się na coraz wyższe stanowiska wiedzy. Nie lekceważymy przytém dedukcyi, a nawet pomysłów apriorystycznych, ale zawsze przykładamy do nich kryteryum zdobyte przez nagromadzone już doświadczenie. Nie można zaprzeczyć, że apriorystyczna budowa wiedzy może miéć wiele powabu dla filozofa, który czuje potęgę ducha ludzkiego w odtworzeniu i przewidywaniu procesów natury, ale ma i swoje niebezpieczeństwa, gdyż sprowadzić może umysł na manowce, wydając mu złudzenia za prawdę i rzeczywistość. Metoda taka byłaby bezwzględnie doskonałą, gdyby ludzkość była już na krańcach wiedzy, gdyby żadne doświadczenie nie mogło dać nic istotnie nowego, gdyby umysł ludzki był owym umysłem „Laplace'owskim“, dla którego ruch każdego atomu we wszechświecie w każdéj chwili może być znanym; ale w obecnym stanie wiedzy tak nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Stan wiedzy, pomyślany przez Wrońskiego, jest stanem idealnym, do którego co najwyżéj możemy się zbliżać asymptotycznie, bez nadziei osiągnięcia go; w każdym zaś faktycznym stanie wiedzy badanie i dochodzenie prawd odbywać się musi dwoma środkami: doświadczeniem i pracą dedukcyjną umysłu, wspomaganą przez wyobraźnią twórczą i opartą na wiedzy zdobytéj.

Możemy tylko w krótkości opowiedzieć tu, w jaki sposób „tworzy“ Wroński „filozofią muzyki“, t. j. wyprowadza ją z „prawa tworzenia.“ *Ton*, jako narzędzie materyalne sztuki muzycznéj, zawiera

w sobie właściwości fizyczne, stanowiące warunki fizyczne *smaku*, t. j. zdolności sądu estetycznego, a ten właśnie związek muzyki z warunkami logicznemi stanowi przedmiot muzyki jako *wiedzy*. Wiedza ta specyalna jest gałęzią estetyki ogólnéj, to jest wiedzy o pięknie i nazywa się *estetyką muzykalną*. Prawdziwym przedmiotem téj estetyki jest *rytm* drgań, a badanie wszystkich rodzajów rytmu wskaże wszystkie zjawiska muzykalne już znane i pozwoli przewidzieć nowe. Dedukcyi matematycznéj fenomenów muzykalnych próbowano już w głębokiéj starożytności (Pitagoras), ale próby te, ani nawet prace ścisłe nowszych uczonych Eulera, d'Alemberta, nie zdołały, zdaniem Wrońskiego, wyjaśnić wszystkich zjawisk muzykalnych. Przyczynę tego widzi Wroński w braku wszelkiego prawidła filozoficznego, w braku zasad podstawowych estetyki muzykalnéj, czyli, co na to samo wychodzi, w braku *idei architektonicznéj*, stanowiącéj określenie filozoficzne muzyki. Według określenia Wrońskiego, „muzyka należy do systemu realności zależnych od uczucia, a w szczególności do systemu, w którym ujawnia się celowość subiektywna tworzenia, stanowiąca *piękno*; piękno specyalne, polegające na prostéj *przyczynowości estetycznéj*, albo na ekspresyi uczuciowéj i ujawniające się *w ucieleśnieniu się inteligencyi w dźwiękach* — jest przedmiotem muzyki."

Niechaj czytelnik zechce sobie łaskawie to określenie Wrońskiego przetłómaczyć na język zwykły; my pójdziemy daléj w celu znalezienia podstawy konstrukcyi naukowéj Wrońskiego. Otóż istotą tonu muzycznego są drgania równoczasowe (izochroniczne), a czas trwania drgania stanowi jakość estetyczną tonu. Związek *systematyczny* tonów określa się związkiem ich drgań, a nie zależy od bezwzględnéj szybkości drgań tonu zasadniczego. Ten ton *zasadniczy*, według twierdzenia Wrońskiego, musi w sobie zawierać wszystkie tony, jakie z nim razem do związku wchodzą, ma być skupieniem tych tonów, one jego rozwinięciem. Ton więc zasadniczy jest zbiorem tonów, stanowiących system tonów *harmonicznych*, a wyrażający się szeregiem liczb:

$$1, \frac{1}{2}, \frac{1}{3}, \frac{1}{4}, \frac{1}{5}, \frac{1}{6}, \frac{1}{7}, \ldots,$$

z których pierwsza wyraża czas drgania, odpowiadający tonowi zasadniczemu, druga—oktawę, trzecia—duodecimę i t. d.

Istnienie tych tonów wespół z tonem zasadniczym wykazuje doświadczenie (badania Helmholtza), Wroński stawia powyższą teoryą czysto apriorystycznie, bo jak powiada, „gdyby cały system dźwięków nie był *a priori* zawarty w tonie zasadniczym, to nie byłoby rzeczą możliwą, by system ten mógł się wytworzyć, wyłonić

z tego tonu, bo nie istniałaby wtedy żadna podstawa, żadna zasada do tworzenia systemu tonów zależnych od tonu zasadniczego."

Czy muzycy i badacze zechcą zgodzić się na podobny wywód apriorystyczny?

Istnienie powyższego szeregu tonów w tonie zasadniczym jest, według Wrońskiego, *koniecznością* estetyczną; a na téj konieczności opiera się cała *podstawa* umiejętna muzyki. Z powyższego szeregu przechodzi Wroński do zbudowania *skali* czyli *gamy* muzycznéj i należy przyznać, że jego konstrukcya, w której szczegóły wdawać się nie mogę, jest bardzo interesującą. Polega ona na badaniu przestanków pomiędzy tonami powyższego szeregu i doprowadza do prostych wzorów matematycznych, z których tony gamy z należytą dokładnością wyznaczyć się dają. Nie może się jednak w nich Wroński obejść bez wyniku doświadczenia i to, co we wzorach odpowiada doświadczeniu, nazywa on warunkami *antropologicznemi;* pozostałe dane wynikają z warunków *metafizycznych.*

Przy sposobności wspomnę, że w roku zeszłym p. Wł. Witkowski ogłosił w Warszawie pracę p. t. „Zasady matematyczne muzyki", która do téj pory, o ile wiem, nie zwróciła na siebie uwagi żadnego z muzyków naszych. Nie będąc muzykiem, nie mogę ocenić wartości téj pracy i z wydaniem sądu o części matematycznéj powstrzymać się muszę. *S. Dickstein.*

= **Poezye J. I. Kraszewskiego** (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1888, str. 342). — Zamiarem było zmarłego olbrzyma pracy wydać poezye swoje ponownie za życia; jeszcze w lutym 1883 roku oddał je do druku nakładcom lwowskim, obiecując uzupełnić dawniejsze edycye utworami umieszczonemi po rozmaitych czasopismach od r. 1842. Brak atoli tych wydawnictw pod ręką, oraz uwięzienie, które niebawem nastąpiło, zniewoliły go do powierzenia wydania p. W. Bełzie, który obecnie dopiéro z przyjętego obowiązku się wywiązał. Stosownie do życzenia Kraszewskiego, nie weszły do tego zbioru utwory dramatyczne, ani też epopeja z dziejów Litwy. Natomiast oprócz przedruku tych pieśni, rapsodów, fantazyi i bajek, jakie się znajdowały w 1-szym tomie dawniejszych dwu edycyi „Poezyi", pomieszczono tu sielankę p. n. „Wioska" i „Hymny boleści", które-to utwory doczekały się tym sposobem trzeciego wydania; a nadto dodano od str. 290 do 342-éj 37 urywków, wyjętych albo z prozaicznych utworów Kraszewskiego, albo też z wydawnictw czasowych. I tak: przedrukowano z *Tygodnika Petersburskiego* głośny w swoim czasie wiersz „Do A. B. C. D. E. F. i t. d.", w któ-

rym młody ale już wsławiony autor ostro krytykom odpowiedział; z powieści „Poeta i Świat“ dano tu zawarte tam poezye: „O mój aniele“, „Czyja mogiła“, „Do poety“; z fantazyi dramatycznéj „Szatan i kobieta“ wzięto zakończenie p. t. „Dusza kobiety“; ze „Staréj Baśni“—pieśń Jaruchy i pieśń Słowana. Daléj znajdujemy tu jedenaście wierszy albumowych albo okolicznościowych, interesujących głównie ze względów biograficznych, oraz kilka utworów dłuższych. Z pomiędzy nich zwrócimy tu uwagę na szereg luźnych „Pieśni, piosenek i piosneczek“, podpisanych 11 listopada 1844 r., w których obok tonu skargi na obojętność ludzi względem poezyi, spotykamy się i z usprawiedliwieniem świata, obok obrazków cichéj wioski i uwielbienia dla kobiét, narzekanie na ich zmienność; wogóle wszakże przeważa nuta melancholijna, podobnie jak w innym wierszu p. t. „Żale i Łzy“ z r. 1845 i „Mój Śmiech“ z r. 1852. Ładny jest urywek naśladowany z kantyczek p. t. „Co ptacy robią“ (z roku 1870), a jeszcze ładniejszy p. t. „Szopka“, mianowicie zaś pieśń trzecia, gdzie poeta opowiada, jak rozmaite ptastwo się zlatuje, by obchodzić narodzenie Pana nad Pany. Pod względem pięknego wyrażenia tęsknéj zadumy i melodyjności wiersza najlepszą jest podobno pieśń z r. 1878 do muzyki A. Zarzyckiego p. t. „Gdzie jest szczęście.“ — O wartości poezyi Kraszewskiego wogóle nie potrzebujemy się tu rozpisywać; oznaczana już ona była niejednokrotnie, a najszczegółowiéj w obszernym artykule p. Przesmyckiego, pomieszczonym w „Życiu“ z r. 1887. Jest ona niewątpliwie o wiele mniéj doniosłą, aniżeli wartość i znaczenie działalności powieściopisarskiéj naszego autora, pominiętą jednak lekceważąco być nie może. Dobrze się więc stało, że wyszły te poezye na nowo w wydaniu piękném co do papieru i druku, szkoda tylko, że nie wolném od dość licznych pomyłek. Wydawcy spełnili należycie, jak się sami wyrażają „akt pietyzmu“ względem pamięci znakomitego pisarza.

= **J. I. Kraszewski. Wizerunki książąt i królów polskich.** *Z 39 rycinami Ks. Pillati'ego oraz inicyałami Cz. Jankowskiego. Zeszyt I.* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1888, str. 80). — Z bogatéj spuścizny literackiéj po niezmordowanym i zjawiskowo płodnym autorze zaczynają się już pojawiać dzieła, których przewidywany jest cały szereg. Rękopism „Wizerunków“ skończony był dnia 6-go marca 1883 roku, a zaznaczył je Kraszewski jako pracę podjętą jeszcze w r. 1860. Nie zamierzał nasz autor pisać historyi Polski, tylko wobec coraz wyraźniéj występującéj tendencyi przedstawiania w dziejach—głównie rozwoju mas z zatarciem osobistości jednostek, przedsięwziął właśnie uwydatnienie tych osobistości w sposób przystępny dla jaknajszerszych kół czytelniczych, z dołączeniem opisu portre-

tów czy wogóle rysunków, przedstawiających królów i książąt polskich. Za cel położył sobie Kraszewski dotarcie do rzeczywistości, odgadnięcie charakterów, wyświecenie pobudek czynów „z miłością dla przeszłości raczéj niż z bezmierną dla niéj surowością." O ile cel ten osiągnął, oceni krytyka po ukończeniu dzieła, którego dwa zeszyty mamy przed sobą. Mieści się tu 20 wizerunków, poczynając od Mieszka I do Ludwika Węgierskiego, skreślonych zazwyczaj krótko, żywo, ale bez subtelniejszego cieniowania. Niektóre tylko biografie, np. Kazimierza W. są szczegółowsze. Do każdego z tych wizerunków pisanych dołączony jest drzeworytniczy, przedstawiający u góry popiersie panującego, u dołu zaś jakąś scenę opowiedzianą w tekscie. Wydanie jest bardzo staranne, na pięknym papierze, a drukiem bardzo wyraźnym.

= **Józef Ignacy Kraszewski**, *zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski* (Kraków, Gebethner i S-ka, 1888, str. 534).—Skreślone tu zostało życie znakomitego powieściopisarza wraz z krótką oceną wszystkich dzieł jego zawsze w związku z ogólnym rozwojem literatury i stosunków społeczno-politycznych. Całość składa się z dziesięciu rozdziałów: 1) Wychowanie domowe i szkolne; 2) Wykształcenie uniwersyteckie, pobyt w Wilnie; 3) Osiedlenie się na wsi, dzierżawa w Omelnie; 4) Pobyt w Gródku; Kraszewski wobec zachowawców r. 1840 do 1845; 5) Pobyt w Gródku i Hubinie: Kraszewski wobec postępowców r. 1846—1850; 6) Pobyt w Hubinie i Żytomierzu. Czasy reakcyi r. 1851—1856; 7) Działalność publiczna Kraszewskiego na szerszą skalę w Żytomierzu i Warszawie r. 1857—1862; 8) Pobyt w Dreźnie; Działalność Kraszewskiego jako wychodźcy r. 1863—1872; 9) Pobyt w Dreźnie; całkowite oddanie się zajęciom literackim, r. 1873—1882; 10) Ostatnie lata życia, więzienie i śmierć, r. 1883—1887.

= **W sprawie komentarza rysunkowego do dzieł Adama Mickiewicza** *przez Konstantego Przeździeckiego* (Kraków, 1887, str. 11).—Autor zachęca „wszystkich posiadających wiadomości etnograficzne lub historyczne do epoki współczesnéj Mickiewiczowi", ażeby rysowali każdy kącik ziemi, pałac, dworek, cele więzienną, stroje męskie i niewieście, mundury, sprzęty domowe, oręże, typy ludowe i szlacheckie, portrety znanych osobistości, słowem wszystkie przedmioty charakterystyczne, o których wspomniał nasz poeta. Oprócz tego domaga się objaśnień o gospodarstwie, myślistwie, wojskowości i wszelkich innych zajęciach wraz z przytoczeniem nazw właściwych co do pewnych szczegółów, które w innych stronach kraju odmiennie się mianują. Myśl jest bardzo dobra i godna najszerszego i najszczerszego poparcia, szkoda tylko że dość chaotycznie wy-

powiedziana, stylem wielce zaniedbanym, a co gorsza językiem niepoprawnym; trzebaż przypominać, że nie mówi się dzisiaj: „nie wątpimy w dobre chęci ogółu“ (str. 10, 11), bo to zwrot obcy?....

= **Filozofia Jana Kochanowskiego**, *szkic literacki skreślił Józef Kallenbach* (Kraków, 1888, str. 15). Tytuł téj rozprawki jest za obszerny, autor bowiem nie usiłował nawet przedstawiać wszystkich poglądów filozoficznych, jakie się w pismach Jana z Czarnolasu znajdują, lecz tylko starał się zebrać ślady wpływu pisarzów klasycznych na niektóre jego pojęcia filozoficzne. Z tego względu praca p. Kallenbacha zupełnie jest podobna do dwu poprzednich: o elegiach i odprawie posłów. Zadając sobie pytanie, czy Kochanowski pozostał spokojnym w chwili, gdy „w kraju całym roznosiły się echa walk różnowierczych, gdy był czas prawdziwego zamętu ducha“, autor nie podejmuje wcale i nie roztrząsa przypuszczenia p. Chlebowskiego o wczesném zajęciu się Jana ideami reformy, chociaż rozbiór taki byłby zupełnie na miejscu;—lecz nadmieniwszy tylko o pobycie Kochanowskiego w akademii krakowskiéj przystępuje zaraz do wykazywania wpływów, jakie nań wywarła filozofia starożytna podczas studyów we Włoszech. Zaczyna od Platona, twierdząc, że ślady jego nauki są dość obfite w utworach Jana, dowodów atoli przytacza zaledwie trzy: wyrażenie: „szczyra istność wiekuistéj myśli“, teoryą oddziaływania muzyki na ustrój spraw publicznych i myt o Androginie. Co do czworakiego podziału cnoty, p. Kallenbach nie pozwala sobie na sąd stanowczy, o ile z Platońskich wypływał teoryj. Natomiast jako żartobliwe rozstanie się ze „sny Platonowemi“ poczytuje poemacik „Broda“. Po Platonie zajął się, zdaniem p. Kall. Kochanowski Lukrecyuszem, „kiedy krewkość młodzieńcza igrała miłością ku Lidyi i szydziła z formalności kościoła.“ Takie twierdzenie wcale się nie zgadza ani z ogólnym charakterem, jaki wpływowi Lukrecyusza autor przypisuje, ani z chronologią. „Czarna nić zwątpienia, nuta posępna“ w pismach Kochanowskiego ma być echem poematu Rzymianina; a toż przecie nie jest wyrazem znamiennym tych czasów, kiedy Kochanowski pisał o swéj miłości do Lidyi. Najsilniejszy zaś dowód przejęcia się Lukrecyuszem znajduje autor w *Trenach*, w znanym wykrzyku zbolałéj piersi: Gdzieśkolwiek jest, *jeśliś jest*—a to przecież czasy bardzo odległe od chwili, gdy się kochał w Lidyi. To zaś, co autor mówi o przeciągłości wpływu Lukrecyuszowego, nie da się uzasadnić. Że Kochanowskl znał poemat Lukrecyusza, że z niego niejednokrotnie korzystał, to wykazał autor dostatecznie w dawniejszéj rozprawie swojéj, ale ani ta rozprawa ani wątlejsze dowody obecnie przytoczone nie dozwalają na wniosek, żeby nasz Jan od studyów włoskich aż do Trenów

miał hołdować teoryom epikurejczyka rzymskiego. Przeciwko temu świadczy treść wszystkich niemal utworów w tym przeciągu czasu powstałych. Dodajmy, że wyrażenie Kochanowskiego „człowiek... z płaczem na ten nędzny świat przychodzi“, odniesione przez autora do śladów wpływu Lukrecyusza, daleko słuszniéj nazwane być może parafrazą znanego powszechnie zdania z ksiegi Hioba.—Najlepszą i najbardziéj przekonywającą jest druga połowa rozprawy, uwydatniająca ślady oddziaływania pism Cycerona i Seneki nie tylko na myśli lecz i na sposób ich wyrażenia u Kochanowskiego. Lecz ogólna uwaga do tych śladów doprawiona o zgubnym wpływie „filozofii abnegacyjnéj“ na umysły polskie XVI wieku, o „domatorstwie szlacheckiém“, jakoby z niéj wypływającém, pojawia się tu niespodziewanie, jak przesadny wykrzyk wśród suchych, mozolnie odbywanych robót. Ostateczny wniosek, że Kochanowski był eklektykiem nie zadziwia, bo takie było o nim ogólne zdanie, ale zadziwia dodatek, że u poety naszego zwycięstwo odniosła idea chrześciańska dopiéro pod koniec życia, gdy wiadomo, że takim chrześcianinem, jak w „Trenach“, był już Kochanowski nawiele lat przedtém w „Satyrze“.

= Przypadłą w roku bieżącym trzechsetletnią rocznicę zaprowadzenia w kraju naszym **hypoteki** uświęciła redakcya „Kłosów“, ogłaszając w dwóch numerach (1179—1180) wiązankę artykułów, wyjaśniających znaczenie téj starodawnéj a doniosłéj instytucyi prawnéj. P. *Kazimierz Julian Jasiński* zaznajamia czytelnika z zasadami „Ustawy hypotecznéj z roku 1818.“ Pióro *D-ra Oswalda Balzera* tłómaczy nam charakter „Zastawu użytkowego jako poprzednika hypoteki w Polsce.“ P. *Adam Niemirowski* w artykule „Hypotekaryusze“ skreślił wspomnienie o pięciu zmarłych a dwóch żyjących prawnikach cywilistach. Czém była „Ustawa o ważności zapisów“ poucza nas p. *Władysław Andrychiewicz.* Ważną kwestyę nowych „opłat alienacyjnych“ podniósł p. *Adolf Suligowski* i roztrząsnął krytycznie dziwną praktykę niektórych wydziałów hypotecznych. Podznaczony literami *A. P.* autor artykułu „O czynnościach hypotecznych w dawnych grodach“ przedstawia starą manipulacyą kancelaryjną. Wreszcie w krótkiéj notatce: „Magistratury hypoteczne“, znalazła się wzmianka o ludziach, którzy brali udział w czynnościach urzędowych przy wprowadzeniu instytucyi hypotecznéj w r. 1819. Redakcya „Kłosów“ przyozdobiła numera pamiątkowe widokami ruin grodów Rawskiego i Bobrownickiego, pałacu Krasińskich, mieszczącego obecnie Izbę Sądową warszawską i dwóch gmachów przy ulicy Miodowéj, które różnemi czasy dawały przytułek archiwum hypotecznemu, oraz sylwetkami siedmiu prawników.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Co słychać w prasie? — Nieumiejętność prowadzenia publicznéj dysputy i przedsięwzięcia wspólnéj pracy. — Kwestyonaryusze w sprawie chłopskiéj. — Ankieta „Wieku“. — List p. *K. Las*. — Zarzuty jego zrobione trzem nowelistom.—Rozwój rolnictwa. przemysłu i handlu wśród chłopów.—List z Suwalskiego.— Zestawienie Litwinów i Mazurów.— List trzeci.—Obrona reputacyi chłopów przez pasiecznika z gubernii kijowskiéj. —Wolna miłość i dzieci naturalne w prasie warszawskiéj.—Komu na co potrzebna polemika. — Czy słusznie złośliwość Prusa wystawiła kronikarza „Ateneum“ na pośmiewisko ludzkie.— Zadowolenie z dysputy z szanownym fejletonistą.—Czy Comte jest już Ptolomeuszem?— Dwa postulaty Prusa: opinie uczonych wobec faktów i statystyka jako najlepszy instrument socyologii.

Od czasu do czasu zdarza się, że pewien przyjeżdżający z prowincyi kolega zapytuje mnie: co słychać w prasie, jaka kwestya stoi obecnie na porządku dziennym? Chociaż udział mój w dziennikarstwie warszawskiém jest bardzo mały, poczuwam się jednak do pewnéj z niém solidarności i pragnąłbym przedstawić je w jaknajpochlebniejszych barwach komuś, co przy ołtarzu nie stoi. Pytanie jest najzupełniéj słuszne i uzasadnione. Prasa jest przecie *forum publicum* i to jedyném *forum publicum* do radzenia nad naszą dolą i niedolą; jeżeli charakter ten traci, to jest tylko jako pachołek miejski, ogłaszający przy dźwiękach bębna o zgubach i licytacyach, i jako teatr Mały w Warszawie, służący jedynie płochéj rozrywce. Kiedy więc usłyszę powyższe pytanie kolegi wysilam głowę: któryby to odosobniony artykuł najłatwiéj było podnieść do godności kwestyi, będącéj na porządku dziennym.

Bo jakże tu powiedzićć tak wprost: my zwykle nad żadną sprawą nie radzimy dla tego, że niepotrafimy przyzwoicie i uczciwie rozmawiać publicznie. Zdarza się czasem, raz na lat parę, że ktoś, nieświadom dobrze stosunków miejscowych, podsunie uwadze ogólnéj jakąś kwestyę ważną, w któréj można by było coś postanowić, — wtedy biada mu! Tak było ze sprawą dewastacyi dóbr naprzykład. Śmiałek—sponiewierany; pismo, dające mu przytułek — wyklęte! Każda mniéj więcéj sprawa społeczna jest dla

jakiegoś stanu, dla jakiéjś koteryi, dla pisma zresztą lub nawet dla pojedyńczego publicysty świętą i nietykalną. Niewolno nic przyganić szlachcie ani żadnéj sprawie jéj dotyczącéj, niewolno odezwać się krytycznie o chłopach, niewolno wątpić o najwyższéj społecznéj doskonałości studentów, niewolno niewierzyć w przyszłość emancypacyi kobiet, niewolno płakać nad żadną klęską przeszłości—nie wolno, bo każda rzecz ma swego urzędowego niejako obrońcę, który wszelkie zdanie, niezgodne z własną doktryną, obwoła za bluźnierstwo, a przeciwnikowi podsunie najniepochlebniejsze intencye. Do tego dodać należy nasz miły charakter i powszechne rozdrażnienie, które w gryzieniu się, szyderstwie, napaściach ulgę znajdują. Trzeba widziéć minę publicysty, zadowoloną, dumną, kiedy „zjeździł“ kolegę! Każdy, kto u nas podnieść się odważy jakąś sprawę publicznie, naraża się z prawdopodobieństwem $^9/_{10}$, że go spotka albo potwarz, oszczerstwo, obelga, albo—w najlepszym razie—wyśmianie przy pomocy przekręcenia i karykaturowania zdań jego. A więc myśl o stałéj wymianie poglądów i radzie wspólnéj, o debatach publicznych, któreby wszechstronnie oświecały publiczność i uczyły ją myśléć, jest złudną —myśmy do tego nie zdolni, celu się nie osiągnie, a za dobre chęci tylu spotkało już tak wiele przykrości, że nareszcie odpada ludziom ochota nastawiania zdrowéj głowy i honoru na szturchańce. Liczba też gazet, starannie unikających spotkania z kolegami na jakiejkolwiek bądź ścieżce, ciągle się zwiększa.

Nigdy pono nie umieliśmy pracować porządnie zbiorowo; zapalczywość, bezwzględność i brak przyzwoitości wadę tę potęgują nieustannie, nie pozwalając siłom skupić się w jakiémkolwiek wspólném ognisku. Odbija się to we wszystkich przejawach działalności, ale najwidoczniejszém jest w dziennikarstwie. Dzięki temu, pisma pojedyńcze podejmować muszą zadania, które dla całéj nawet prasy stanowiłyby jeszcze trudność nielada. Często, coraz częściéj podnoszoną jest przez ludzi najrozmaitszych klas i przekonań potrzeba badań nad stanem ludu. Ten i ów przystępował do zrealizowania planów, ale zawsze prawie odbywało się to na koszt i odpowiedzialność jednego pisma lub jednego człowieka. Naturalnie, Ś-go Gotarda jedna łopata nie przekopie, więc też jesteśmy jeszcze ciągle i długo będziemy jeszcze w fazie przekonywania się o potrzebie, o czém mniéj więcéj wszyscy są przekonani, w fazie zabierania się do pracy i utyskiwania, że tak długo nic nie zrobiliśmy. Przed laty wielu mówiono o ułożeniu kwestyonaryusza odpowiedniego; myśl tę popierał zacny i dzielny Filip Sulimierski; późniéj ktoś nawet ułożył kwestyonaryusz, można było tu i ówdzie napotkać o nim wzmiankę, ale dostatecznego poparcia

nie znalazł, nie był ani rozesłany szerokim kołom przy pismach ani przedrukowany nawet. Półtora roku temu nowopowstający „Głos“ ułożył kwestyonaryusz dla opisu gminy i nawet ogłosił konkurs na najlepsze wypełnienie takowego; na początku już nikt tego gorąco do serca nie wziął, a teraz głucho zupełnie o całéj sprawie. Następnie „Gazeta Świąteczna“ zażądała znowu od czytelników swoich wskazówek i danych jak się chłopi żywią. To jedno wywołało żywsze i prawie powszechne poparcie, ale przykładem na razie się nie stało i wszystko podobno odbyło się ostatecznie, jak zwykle, w parafii jednego pisma. Obecnie ankietę w sprawie chłopskiéj rozpoczął „Wiek“.

Zdaje się, że na samym początku bieżącego roku (daty dokładnie nie pomnę) wystąpił w piśmie tém p. Chrzanowski z artykułem w „Obronie włościan“, podnosząc pracowitość, gospodarność i zapobiegliwość chłopów pewnéj okolicy. Redakcya skorzystała ze sposobności i zwróciła się z prośbą do czytelników, aby dostarczyli wiadomości o bycie, charakterze i gospodarstwie włościan z różnych okolic kraju. Prośba odniosła — jak samo pismo oznajmia — skutek nadspodziewanie dobry. Do teki redakcyjnéj napływa coraz więcéj materyałów, które mają z czasem, gdy zostaną skompletowane, posłużyć za podstawę do odmalowania pełnego obrazu życia, pracy, zalet i wad chłopa polskiego „Wiek“ upewnia, że obraz ten będzie dokładny i rzeczywisty, bo w każdym najmniéjszym nawet szczególe kreślony z natury. Redakcya zwraca uwagę, że korespondenci jéj rekrutują się głównie ze sfery ziemiańskiéj, a nadesłane wiadomości pisane są przeważnie w sposób sympatyczny dla ludu i przedstawiają chłopów w świetle dodatniém.

Z pomiędzy kilku drukowanych już w „Wieku“ listów, trzy mianowicie zasługują na poznanie i uwagę. Pierwszy znajduje się w Nr. 26, podpisał go p. K. Las. O ile sądzić mogę, jest tam duża znajomość rzeczy, szkoda tylko, że autor nie powiedział, które okolice nam przedstawia i do jakich prowincyj ściśle stosują się jego wywody. List rozpoczyna się od zarzutu, wystosowanego do powieści na tle ludowém, iż zawierają zamało prawdy życiowéj. Szczegółowemi uwagami opatrzone zostały utwory pp. Dygasińskiego, Prusa i pani Konopnickiéj. Według p. K. Las. największą znajomość ludu spotkać można w nowellach p. Dygasińskiego, najmniejszą u pani Konopnickiéj. Autor listu żałuje, że pierwszy nie zakreślił swym obrazkom szerszéj miary, że zbyt jednostronnie podpatruje lud i widzi go jedynie „przy misce“, skutkiem czego czytelnik wyrobić sobie może fałszywy sąd o życiu, obyczajach,

zdolnościach i pragnieniach kmiecia. Prusowi również zarzuca p. Las. jednostronność i pewną idealizacyą, która ostatecznie szkodzi opinii chłopa, negując najbardziéj dodatnie przymioty ludu: rezygnacyą, z jaką przyjmuje najdotkliwsze ciosy, nieopuszczanie rąk w najkrytyczniejszém położeniu.

Autor listu wypowiedział także w dalszym ciągu zdanie swoje o parcelacyi majątków obywatelskich pomiędzy chłopów. Nie sądzi on, aby zanik większéj własności przynieść mógł korzyść rolnictwu krajowemu. Nadmierna kolonizacya stałaby się niezawodnie przyczyną moralnego i materyalnego upadku gospodarki krajowéj, obniżyłaby poziom umysłowy, cofnęłaby postęp nawet téj klasy, która dzisiaj, mając przed oczyma przykład, może go choć w pewnym stopniu naśladować. Ale zarzut, stawiany włościaninowi, że wyjaławia ziemię, uważa p. Las. za bezzasadny. Podstawą gospodarstwa rolnego jest i będzie jeszcze na długo mierzwa. Kto jéj więcéj produkuje, tém samém gospodaruje lepiéj. Mała własność, więcéj stosunkowo trzymając inwentarza, korzystając ze ściołek leśnych, co dla wielu większych majątków jest niedostępném, więcéj tém samém przysposabia na potrzeby swego obszaru materyałów użyźniających, pomijając nawet to, że nawozy nagromadzone po zajazdach i domach gościnnych małych miasteczek, chętnych i jedynych niemal nabywców znajdują w okolicznych włościanach. Wadliwość mechanicznéj uprawy wynagradza włościanin pracą rąk własnych, któréj zupełnie nie szanuje, jest to bezsprzecznie nieekonomiczne postępowanie, ale uszczerbku w płodności roli nie przynosi.

Następnie potrąca autor o sprawę przemysłu i handlu wśród chłopów. W niektórych miejscowościach dzieje się pod tym względem bardzo pomyślnie: w powiatach Olkuskim i Będzińskim, jak również w wielu okolicach gubernii kaliskiéj całe wioski trudnią się handlem trzody i gęsi; w lesistych okolicach gubernii lubelskiéj i siedleckiéj każda nieomal wioska przyswoiła sobie pewien przemysł, specyalnie uprawiany przez wszystkich jéj mieszkańców, są miejscowości zamieszkałe przez samych bednarzy, stelmachów, sitarzy (Biłgoraj), w wielu stronach bogatsi włościanie zakładają fabryki na małą skalę: w sandomierskiém — wiatraki, w okolicach Proszowic — olejarnie, około Wolbroma i Skały — krupiarnie. Obok tego jednak znaleść można całe powiaty pogrążone w zupełném odrętwieniu, a główną przyczyną takiego smutnego zjawiska jest brak porady, przykładu i zachęty. Autor twierdzi, że wszędzie niemal znalazłby się odpowiedni rodzaj przemysłu, któryby zużytkował pracę wioski i z małym lub żadnym nakładem stałby się źródłem dochodu.

W końcu p. K. Las. opowiada przykłady czynów szlachetnych w sferze chłopskiéj, przyczém poleca ofiarności publicznéj Wojciechową Wicińską z gminy Nagłowic, powiatu Jędrzejowskiego, która, utrzymując się z pracy rąk własnych, wychowała syna kalekę, otaczając go najtkliwszą macierzyńską czułością. Syn ten, głuchoniemy, ma połamane i wykrzywione ręce, wszystkie członki zupełnie bezwładne, szczęki nawet tak wadliwe, że matka karmić musi sama nieszczęśliwego i to z wielką trudnością. W ten sposób Wicińska poświęcała się dla spełnienia obowiązku przez lat *trzydzieści*! Redakcya „Wieku" przyrzekła pośrednictwo pomiędzy ofiarnością ogółu i udzieleniem pomocy zacnéj kobiecie. My również odzywamy się do serc czytelników naszych. Takie ciche a wytrwałe poświęcanie się, jeśli tylko można, bez nagrody przejść nie powinno. Uznanie, współudział i hołd ludzi odległych i nieznanych przyczynić się może do rozrostu cnoty.

W nrze 27 znajduje się korespondencya z gubernii suwalskiéj w któréj przeprowadzoną została niejako paralela pomiędzy sąsiadującymi z sobą chłopami *litwinami* i „*mazurami*". Litwini zajmują powiaty: Władysławowski, Wiłkowyszkowski, Maryampolski, większą część powiatu Kalwaryjskiego oraz część powiatów Sejneńskiego i Suwalskiego, reszta gubernii zasiedlona jest przez mazurów.

Osady włościańskie w powiatach, zamieszkałych przez litwinów, z małymi bardzo wyjątkami, urządzone są kolonialnie, mazury zaś dotąd mieszkają w gromadach wioskowych. Szczególnym dobrobytem odznaczają się litwini w powiatach: Wiłkowyszkowskim Maryampolskim i Władysławowskim, oraz w części powiatu Kalwaryjskiego, bo mają bardzo dobre grunta, a gospodarstwa kolonialne są daleko praktyczniejsze i bardziéj korzystne niż gospodarstwa w gromadach wioskowych. Litwini mają bardzo ładne wygodne i obszerne zabudowania, chowają piękny inwentarz, hodują konie, i biorą za nie po 200, 300, a nawet po 500 rs. Znaczna część kolonistów oddaje swoich synów do szkółek parafialnych i do gimnazyum w Maryampolu i Suwałkach; a ci po skończeniu kilku klas wychodzą na księży lub urzędników, albo też wracają do domu, wkładają siermięgi i pracują około roli. Do ostatnich czasów, to jest do początków kryzysu rolnego każdy z włościan posiadał pewne zapasy pieniężne. Oszczędni i pracowici dokupywali gruntów, a nawet brali się do kupna folwarków; tylko ci, którzy nie mieli własnych pieniędzy na uiszczenie całości szacunku, płacąc znaczne procenty, potracili i tę trochę, co mieli dawniéj.

Włościanie, posiadający po 3 lub 4 kolonie w jednym kawale, urządzają je na sposób folwarczny; sami jeżdżą bryczkami na reso-

rach, ubierają się lepiéj, szczególniéj młodsza generacya, a kobiety stroją się nawet w aksamity i jedwabie. W mieszkaniach mają meble; u wielu z nich znajdują się samowary, gości często winem traktują; niektórzy dają córkom po tysiąc i po parę tysięcy rubli posagu.

Wogóle—powiada autor—jest to naród zdrowy, czerstwy i pracowity i bardzo niewielu oddaje się nałogowi pijaństwa, a i to w ostatnich latach bardzo się zmniejszyło.

Mieszkając w bliskości dworów przypatrują się wprowadzonym tam ulepszeniom, aby podobne u siebie urządzić—to téż gospodarstwo w ich koloniach nie pozostawia nic do życzenia.

Niekorzystnie na byt włościan oddziałało prawo, dozwalające rozdrobniać gospodarstwa na części do 6-ciu morgów, czego dawniéj niewolno było. Przy działach familijnych gospodarstwa kolonialne i zabudowane już z ogrodami owocowymi dzielą się na cząstki, rozpadają się na coraz to mniejsze osady tak nieraz małe (6—15 morgów), że nie wystarczają na wyżywienie rodziny. Z krytycznego położenia takich małorolnych włościan korzystają zręczni przekupnie lub nawet sąsiedzi i odkupują osady, skutkiem czego tworzy się proletaryat. Przy większéj liczbie sukcesorów, gdy na każdego nawet 6 morgów nie przypada, sprzedają całe osady na licytacyi i tym sposobem praca wieloletnia spadkodawcy dostaje się zwykle obcemu, który, przy niskich obecnych cenach zboża, nabywa ziemię za bezcen.

Moralny charakter włościan-litwinów jest dobry, z małymi wyjątkami są to ludzie uczciwi. Stosunki z sąsiednimi dworami są pomyślne. Wogóle—twierdzi autor—kto chce zobaczyć porządnych włościan, niech przyjedzie do wymienionych powiatów.

Mazury mają się pod każdym względem gorzéj, o zamożności takiéj, jak u litwinów mowy być nie może.

Stan materyalny ich polepszyć może—według autora—tylko kolonialne urządzenie gruntów, bo dziś, przy gospodarstwie w sznurach i wspólnych patwiskach na ugorach, niepodobna myśléć nawet o płodozmianie i umierzwianiu gruntów, gdyż sznury ciągną się zwykle na długość 2-ch wiorst—i nawóz trudno tak daleko wywozić i zboże z pola w czasie zbiorów ściągać. Działy familijne sznur coraz bardziéj zwężają, aż nareszcie niepodobna go uprawić, a o hodowli bydła i koni niema już co mówić. W ostatnich czasach zauważyć się daje między mazurami większa troskliwość o uprawę gruntów: z dalszych nawet miast zakupują nawóz, rozrzucają go pod żyto, gdy dawniéj nawozili tylko pod kartofle.

Trzeci list, drukowany w 38-rze „Wieku“ nie zawiera danych żadnych, lecz ciekawy jest ze względu na autora, którym jest p. Jędrzej Średniowski, pasiecznik w dobrach Piotrówka u pani Zofii Rogozińskiéj, w gub. Kijowskiéj. Autor powiada, że „akademią“ jego była szkółka ludowa, ale widocznie późniéj sam się dużo uczył bez szkoły, bo z listu jego przegląda duża inteligencya, a nawet erudycya—cytuje Supińskiego. Jest to więc chłop wyjątkowy, ale że bezpośrednich stosunków ze stanem swoim nie zerwał, więc bardzo interesującą jest rzeczą posłuchać głosu jego, tembardziéj, że odpiera on ogólnikowe zarzuty, stawiane chłopom: okrucieństwa, pijaństwa, nieposzanowania cudzéj własności, lekkomyślnego wyrzekania się obyczajów itd. Nie żąda on zupełnego niedotykania wad chłopskich, ale wzywa do zachowania miary.

„Wszyscy przyznają—rozumuje p. S.—że człowiek jest stworzeniem towarzyskiém. Owóż chłopu za teatr, koncerta, kluby, podróże, gazety, książki itp. przyjemności służy karczma, gdzie znajduje jedyną rozrywkę i zarazem pokusę—wódkę, podsuwaną ręką chytrego szynkarza. Ale, jeżeli nie będziemy sądzili z pozorów, lecz przypatrzymy się bliżéj i zważymy, że we wsi żyją setki chłopów, a pan jeden,—zatém, chcąc sądzić bezstronnie, weźmy równą ilość ludzi, tak panów jak włościan, a podobno nie tak źle wyjdziemy z tego porównania.“ „Chłop pijany dla tego wala się w błocie, że, nie mając trunku w domu, musi iść do karczmy, zkąd go nie ma komu odwieść lub odprowadzić do domu.“

„Niewiele ludzi jest tak nikczemnych, ażeby, będąc w dostatku, pozwalającym na dogodne życie, kradli. Mało znowu ludzi tak dobrych, ażeby umierali z głodu i nie ruszyli cudzego. Otóż z tego wynika, że ludzie, żyjący w nędzy, prędzéj sięgną po cudzą własność, niż ludzie zamożni. Nie jest to wada chłopów, ale wogóle ludzi.“

„Daléj bierzecie nam panowie za złe, lekkomyślne—jak się wam zdaje—zarzucanie odzieży i obyczajów, ale gdybyście wiedzieli, ile to upokorzeń znosić trzeba w téj odzieży od każdego niemal biurokraty, kupca, mieszczanina, nawet żyda (pewnego, bardzo szanownego literata wyproszono z drugorzędnéj restauracyi w Warszawie dla tego tylko, że przyszedł tam z siermiężnym chłopem. *Przyp. kronikarza*). Mówię to z własnego a przykrego doświadczenia. Ażeby nie znosić tych upokorzeń, trzeba przebrać się za pana i wyrzec się zwyczajów. Co prawda, pod tym względem i panowie nie są bez winy, bo oddawna zarzucili śliczny strój narodowy, dla potwornych niemieckich fraków.“

Pasiecznik doskonale kwestyą postawił. W zapalczywości przeciwko chłopom, lub w gorącém uniesieniu miłości, gotowiśmy ich traktować jak odrębny gatunek zoologiczny. Jak powstało hasło: poznać chłopa, tak o mało, że nie robimy wypraw w tym celu z takiém usposobieniem jak do środkowéj Afryki, lub badań jak nad budową planety Marsa. W podręcznikach zoologii i w starém Tirocinium łacińskiem można się dowiedzieć, że wilk jest żarłoczny, lew szlachetny, lis chytry, zając trwożliwy. Podobnie bezwzględnemi określeniami starają się zwykle etnografowie dziennikarscy wyrazić naturę chłopa. Pomimo, że mowa o milionach ludzi, rozrzuconych na obszerném terytoryum, w różnych warunkach, różnéj zamożności, decyduje się ogólnie: złodzieje, albo przewrotni, pijacy, oszczędni, bogobojni. Naturalnie wśród milionów wszelacy znaleść się muszą. Bodaj, czy się kiedykolwiek okaże, że chłop polski jest czémś tak odrębném w rodzaju ludzkim, jak to jest uważaném przez wielu, — czy ma jakieś cechy sobie tylko właściwe. Są mniéj mądrzy od kandydatów praw lub matematyki, bo się mniéj uczyli; piją prostą wódkę, bo nie mają na wino; jaśnieją poczciwą prostotą, bo życie i praca koło roli nie mogły ich do niczego innego wprawić.

Pozwolę sobie jeszcze zrobić parę uwag co do sposobu zbierania danych o stanie ludu. Takie luźne korespondencye bez planu, jak te, któreśmy dotąd czytali, nigdy pewnego, ścisłego materyału do badań nie dadzą. Luźne uwagi i sądy muszą koniecznie być zmącone subiektywnemi złudzeniami, przesadą, pesymizmem lub optymizmem. Słowa wzięte ze słownika codziennego nie mają twardego sensu symbolów matematycznych, są giętkie i dwu ludzi może im dać dwa różne znaczenia. Przymiotnik oszczędny, trzeźwy, porządny może oznaczać najzupełniéj różne stany, nie mówiąc już o takich określeniach, jak „stosunek do dworu jest pomyślny.“ Ton korespondencyi, a więc i sens jéj będzie różny w różnych usposobieniach duszy i serca autora. Prawda będzie podmalowana na szaro lub na różowo odpowiednio do poglądów informatora, do tego, jak on uważa za właściwe poinformować opinię o sprawie chłopskiéj itd. Względów, obniżających wartość ciekawego pomimo to materyału, przez „Wiek“ zebranego, jest bardzo wiele. Najlepsze intencye pisma i korespondentów nie zaradzą temu. Czy więc dla zamiarów redakcyi nie było odpowiedniejszém ułożyć kwestonaryusz i żądać cyfr i danych faktycznych? To ujednostajniłoby wiadomości i uczyniło by je bardziéj przedmiotowemi. Dotychczas każdy prawie korespondent zaczepił o co innego, poznaliśmy więc różne strony życia w każdéj okolicy, co bardzo utrudni odmalowanie pełnego obrazu.

Wracam jeszcze do początku, t. j. do spraw wspólnie omawianych przez prasę. W ostatnich czasach zdarzył się wypadek bardzo charakterystyczny i godny zaciągnięcia do kroniki naszego życia publicznego, gdyż doskonale wykazał, jak my umiemy rozmawiać o rzeczach zasadniczych, które, jako takie, nikogo osobiście drażnić nie powinny. Prus — jak to wiadomo czytelnikom „Ateneum“ — wystąpił w jednéj ze swoich „Kronik tygodniowych“ przeciwko opinii publicznéj, rzekomo niesprawiedliwéj i dzikiéj względem związków nieprawych i dzieci naturalnych. Zdanie jego wywołało żywą polemikę, odezwało się kilka, a może nawet kilkanaście pism, ci i owi traktowali rzecz, nie tykając osób, broniąc i uzasadniając swoje zdanie, wedle sił i odpowiednio do poglądów. Wszystko niby dobrze, ale zaraz przy téj sposobności „Rola“ zelżyła Prusa, a obok tego znalazły się pisma, co skorzystały ze sposobności, aby ukłuć niemiłe sobie osoby imiennie i bezimiennie; znalazł się nawet ktoś, co ludzi, mówiących wyłącznie o sprawie, posądził o intrygi przeciwko Prusowi, o jakieś czarne machinacye w niewiadomym celu. Nikt tych panów nie zaczepiał, nie drażnił, nie wciągał do polemiki—uniemożliwiającéj dysputę przez miłość dla sztuki. No i pisać tu potém o sprawach publicznych. Gdyby nie było to smutne, toby było śmieszne, gdy się widzi kapłanów opinii, którzy zdanie swoje takie lub inne zależném czynią od tego, kto utrzymuje o danéj kwestyi to, a kto owo: lubiony czy nielubiony.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że i ja wziąłem udział w sporze o społeczne znaczenie wolnéj miłości i dzieci naturalnych. Wskutek tego Prus „przejechał się“ po mnie w kronice 43 numeru „Kurjera Codziennego.“ Przez trzy szpalty byłem ofiarą bardzo dotkliwego pastwienia się dowcipnego fejletonisty. Mówię to bez pretensyi żadnéj. Miałem już czas zahartować się na wszelkie urągania. Mili koledzy tyle już dokonali wiwisekcyi na czci mojéj, honorze, dobrém imieniu, przekonaniach i intencyach politycznych, że kolące, ale nieubliżające w niczém „besztanko“ Prusa jest, stosunkowo biorąc, poprostu miłą ochłodą. Żaden grzech przeciwko uczciwości polemicznéj popełniony nie był, ale czy porównanie osoby mojéj do *feldfebla*, a 250-ciu wierszy „Kroniki“ do 250 wiorst piasczystéj drogi było potrzebne przy omawianiu „jednéj z najważniejszych spraw społecznych“? Taka metoda ośmieszania bliźniego i stawiania go publicznie na tydzień, lub chociażby na dzień jeden, pod pręgierz szyderstwa, jest czasami bardzo skuteczna, i zawsze podoba się czytelnikom, ale, zmierzając ku rozdrażnieniu przeciwnika, uniemożliwia zwykle dyskusyę. Ogół zapomina o co chodziło, a pamięta tylko o dowcipie; przez tydzień, co najmniéj,

wszyscy (w Warszawie wszyscy „Kurjera“ czytają) znajomi witali mnie wyjątkami z „Kroniki“ Prusa: był tam i Comte i Ptolemeusz, i „zjełczała erudycya“ i „młode a już suche pojęcia moje“, i „socyologiczność“ *à la* „idzie luty, włóż ciepłe buty“; o co zaś chodziło, o sprawie związków wolnych nikt już nie pamiętał. Przytém może publiczne wyrzucanie mi, i to w formie takiéj urągliwéj, nieudolności dziennikarskiéj, nie było zupełnie sprawiedliwe. Brak talentu nikogo nie krzywdzi i nikomu wyrzucanym być nie powinien, chyba, że ten ktoś nie wié o tém i pnie się za wysoko; ja zaś nikomu zdolniejszemu miejsca nigdy nie zajmowałem. Złośliwym każdy być potrafi, skuteczniéj lub mniéj skutecznie; złośliwość łatwiéj wymyślić niż zbudować argument, przykro mi więc było, że do niéj się uciekł szanowny autor „Placówki.“

Pomijając ból od pokłucia, „Kronika“ Prusa sprawiła mi wielkie zadowolenie. Każdy literat i każdy zresztą działacz publiczny, słuchający wciąż pochwał lub nagan, przyzwyczajony, że o nim mówią, skłonny jest do przeceniania swego wpływu i do zarozumiałości. Nie chcąc się uważać za usuniętego z pod praw ogólnych, bliski jestem przypuszczenia, że się łudzę, ale mi się wydało, iż mój głos jeśli nie przekonał Prusa, to go w każdym razie zmusił do pewnych ustępstw. Najprzód, zamiast argumentować, ośmieszał mnie: tak robią zawsze ludzie zirytowani w sporze, czując, że racyi nie mają. Prócz tego Prus wyraźnie stanął w drugiéj swojéj kronice w innym stosunku do omawianéj sprawy niż w pierwszéj. W 22 numerze Prus powiada, że legalne i nielegalne związki są wśród innych spraw społecznych „drugorzędne“, w nr. 43 w odpowiedzi nazywa już te związki „jedną z najważniejszych“ kwestyi społecznych. W 22 numerze mówiło się: „rozwój cywilizacyi i uspołecznienia nie cierpi na dzieciach nieprawych i związkach nielegalnych“, a z 43 dowiadujemy się już, iż mała ilość dzieci nieprawych może „dowodzić moralności“ danego miasta. Ja mówiłem, że przyczyną związków nielegalnych nie są złe czasy, lecz rozpusta mężczyzn i że cierpi tu głównie „wątła, mniéj zdolna do zarobkowania matka“, że w wolnéj miłości „strona słabsza bywa zawsze skrzywdzoną.“ Prus w odpowiedzi powtarza toż samo, tylko energiczniéj i wymowniéj (*nb.* dzięki temu, że szanowny fejletonista przekonywał mnie o tém, co ja pierwéj podniosłem, wiele kobiét, co kroniki w „Ateneum“ nie czytało, potępiło mnie za barbarzyństwo i nielitościwość). Nareszcie w złośliwéj odpowiedzi znajduje się taki ustęp: „Mam honor oświadczyć mu (t. j. mnie), że kwestya związku pomiędzy mężczyzną i kobiétą w każdéj części świata, a nawet w każdém plemieniu ludzkiém rozstrzyga się inaczéj; w saméj zaś

Europie stanowi bardzo ciężkie pytanie dla statystyki, socyologii, pedagogiki, medycyny, a nawet dramatu, powieści i poezyi.“ Właściwie mówiąc, to ja wprzód podałem wiadomość o zmienności form rodziny, tylko ponieważ faktu tego ani odkryłem, ani nie sprawdzałem sam, więc honor oświadczenia zostawiłem Le Playowi, którego zacytowałem. Może Prus zrobiłby lepiéj, gdyby poszedł w tym razie za moim przykładem, gdyż formułując sam znany ten fakt, mocno owe nierozstrzygnięcie przesadził.

W 22 nr. pytał Prus o przyczynę wątłości dzieci nieprawych *lekarza*, w 43-cim każe mi o téj kwestyi poinformować się u *socyologa Bordiera.* W 22 nr. *socyolog* oznajmił, iż ilość małżeństw zmniejsza się z powodu złych czasów, z 43 dowiaduję się, że jeżeli zechcę coś się o tém nauczyć, powinienem zwrócić się do... *dojrzałego* kawalera (widocznie złośliwy przycinek, skierowany do tak niewinnéj rzeczy, jak wiek mój). Udzielenie tak poważnego adresu nie przeszkodziło późniéj Prusowi drwić ze spóźnionych przepisów mojéj socyologii i trzymania się maksym takich, jak owa przytoczona już wyżéj o „lutym i butach.“

Kwestyi związków legalnych i dzieci nieprawych nie poruszę już, ale muszę sprostować błędną jedną informacyę Prusa i, korzystając ze sposobności, omówić dwa postulaty, postawione przez szanownego fejletonistę w odpowiedzi.

Sprostowanie. Dla uspokojenia mnie — jak było powiedziane, to znaczy dla tém większego zgnębienia — Prus oznajmił, że poglądy Comte'a, na którego się powołałem, „dla dzisiejszéj socyologii są już tak stare, jak system Ptolemeusza dla dzisiejszéj astronomii.“ Innemi słowy, „pozytywizm“, w ścisłém słowa tego znaczeniu, został przez naukę (więc przez dowodzenie) obalony i nikt się dziś go nie trzyma — system Ptolemeusza nie ma ani jednego wyznawcy. Comte umarł w roku 1857, — do końca życia pisał i wydawał dzieła; dziwna, że kiedy w naukach ścisłych systematy wieki trwają, tutaj w gałęzi o wiele trudniejszéj dla istotnego postępu, tak szybko nastąpiło pogrzebanie nauki mistrza, któremu nawet przeciwnicy nie odmawiali geniuszu, którego tylu historyków myśli (między nimi Lewes) uznał za słup graniczny w filozofii. Prus popełnił błąd wraz z wieloma poważnymi mężami, którym się nie podoba Comte'yzm z wiérzchu i którzy przez to spieszą machnąć nań ręką. Takież same zdanie słyszałem z katedry uniwersyteckiéj w Genewie od profesora socyologii. Tém niemniéj jest to wiadomość błędna, comte'yzm ma zwolenników, którzy go rozwijają, zyskuje nowych i wcale znikać nie myśli. „Pozytywiści“ wydają pisma, piszą książki, wygłaszają odczyty i chociaż wiedzą o innych systematach, znają je, jednak nietylko ustąpić nie

są zmuszeni, ale wciąż mają nadzieję, że ich nauka powoli zupełny tryumf odniesie. O systemacie Ptolemeusza powiedzieć tego nie można. Patrzyłem na ruch pozytywistyczny własnemi oczyma, powołam się jednak na świadka innego, p. Goblet d'Alviella, deputowanego belgijskiego, i na jego książkę „L'évolution religieuse contemporaine", wydaną w r. 1884, więc niespełna 4 lata temu. G. d'Alviella nie jest wcale pozytywistą, podejrzywać go o przesadę nie można; ponieważ mówi w téj książce o wielu religiach, więc ma punkty porównania i stopnie najwyższe, jakich używa, nie są wcale rezultatem zapatrzenia się na jedną rzecz. Jak dalekim jest on od wyznawania pozytywizmu, świadczy takie zdanie: „Sam Comte był ni mniéj ni więcéj tylko wizyonerem, albo szalbierzem, a jednak nikt nie jest w stanie, poznawszy skromne i pracowite życie jego, nie poczuć prawdziwego szacunku dla tego pierwszorzędnego myśliciela, który pomimo swoich śmieszności i zboczeń, umiał istotnie oczarować otoczenie swoje. Zresztą — dodaje p. G. d'A., na co radzę zwrócić uwagę wielu ludziom łatwo lekceważącym rzeczy im nieznane — jeżeli są dane zasady filozoficzne pozytywizmu, to doktryna religijna wydaje się o wiele mniéj dziwną i mniéj dowolną, niż sądzić można na pierwszy rzut oka." O stanie zaś pozytywizmu tak mówi p. deputowany: „We 25 lat po śmierci twórcy, system ten jest jeszcze w *całości* przyjmowany przez grupę ludzi inteligentnych i przekonanych we Francyi, w Anglii, w Irlandyi, w Szwecyi, w Stanach Zjednoczonych, w Brazylii i t. d. W Anglii mianowicie liczy on nazwiska, które należą do pierwszego szeregu arystokracyi ducha w całym kraju." „Pozytywizm zawsze bronił się przeciwko wszelkiéj propagandzie pośpiesznéj (nic więc dziwnego, że nie mówią o nim tyle, co o socyalizmie, dajmy na to, który propagowano przez broszury, powieści, manifestacye, dynamit, pięści i t. p. — *przyp. kronikarza)*, co tłómaczy małą ilość, lecz wybitny *(distingué)* charakter jego zwolenników. W samym Londynie można *obecnie* znaleść pomiędzy nimi: jednego z najznakomitszych *(les plus brillants) essayistów* Anglii, Fryderyka Harrisona, którego nazwisko znane jest dobrze czytelnikom wielkich miesięczników angielskich; prof. *Beesly*, rektora kollegium *University Hall*; współpracownika *Fortnightly Review*, *Jamesa Cotter Morison*; utalentowanego, obrońcę spraw robotniczych *Henryka Crompton*,—nie licząc innych, których nazwiska figurują na liście odczytów cotygodniowych, jakie pozytywiści organizują w swoich lokalach." „Z Towarzystwa pozytywistów londyńskich wyszły w ostatnich latach protesty najbardziéj stanowcze przeciwko wojnie w Afganistanie, przeciwko zaborowi Transvaalu, przeciwko polityce gwałtu w Irlandyi, przeciwko wyprawie Egipskiéj i t. d."

Do wyliczonych nazwisk dodać należy najwybitniejsze może, które Goblet d'Alviella wspomina gdzieindziéj, d-ra *Congreve* i d-ra *Bridges.* Głowa pozytywistów świata całego, francuz, Piotr Lafitte, jest człowiekiem niesłychanéj wiedzy. Jest-to jedyny chyba francuz, który nieznając kraju naszego osobiście, potrafił mówić o nim przez 2 godziny z katedry, o jego geografii, historyi, o stosunkach politycznych, społecznych, religijnych i ani na chwilę nie urazil nieznajomością rzeczy obecnych Polaków (pomiędzy nimi był Jeż), lecz przeciwnie obudził rodzaj entuzyazmu trafnością sądu i serdeczną sympatyą.

Dlaczegoż więc i Comte i pozytywizm są tak lekceważeni u nas? Ha, Goethe zauważył, że najłatwiéj śmiać się z tego, czego się nie zna i nie rozumié; aby poznać „Religią Ludzkości", trzeba przewertować 6 tomów „Filozofii pozytywnéj" i 4 tomy „Polityki", a niektóre tomy mają po 800 stronic; na dzisiejsze czasy, kiedy miesięcznik jest już za poważną lekturą, a filozofowie piszą broszury okolicznościowe — to trochę za dużo.

Prus radzi mi się uczyć socyologii z książki p. Letourneau, zamiast z Comte'a. Dziękuję za radę, ale pójść za nią nie mogę. Przebyłem już fazę entuzyazmowania się takimi partyzantami naukowymi. Niegdyś w uniwersytecie tak gorąco pragnąłem szerzyć mądrość p. Letourneau, żem urządził aż szereg odczytów z téj właśnie książki: „*La sociologie, daprès l'ethnographie*", mam dotąd cały stos streszczeń. Dziś wolę jedną stronicę Comte'a niż wiele tomów biblioteki materyalistów. Zresztą niechaj Prus zobaczy, z jakim szacunkiem traktuje Comte'a i jego współczesnych uczniów przywódca téj szkoły, do któréj należy Letourneau, André Lefèvre w dwu swoich dziełkach: „*La Philosophie*" i „*La renaissance du matérialisme.*"

Pierwszy postulat Prusa wyrażony był w formie zarzutu i brzmiał lakonicznie a stanowczo: „P. Straszewicz nawet o tém nie wie, że w socyologii nie znaczą nic opinie Comte'a albo Le Play'a, ale—fakty". Gdyby podobna prawda rzucona została tłumom z mównicy, powitałyby ją grzmoty oklasków. Jestto ogólnik popularny oddawna i schlebia słabości ludzkiéj, która uważa swój własny sąd za szczyt madrości. Wartòść zaś jego niczém się nie różni od okrzyku kanclerza Bismarcka i Ks. Wilhelma, które słusznie Prus wyśmiał: „Brandeburczycy boją się tylko Boga!" Dźwięczy ładnie i okrągło.

W wiekach średnich używano i nadużywano powoływania się na autorytety. Descartes zaprotestował przeciwko temu w pierwszéj i najznakomitszéj ze swoich zasad dochodzenia prawdy. Ale recepta jego stosowała się, rzecz prosta, do uczonych jedynie,—każdy

uczony ma prawo poddać wątpliwości wyniki badań swoich poprzedników i sprawdzić takowe, jeśli tylko uważa, że w dowodach, przez nich wskazanych, istnieją jakieś skazy. Mistrzowie *raison raisonnante* XVIII wieku zasadę „niezależności sądów“ rozdęli bardzo mocno. Postulat Prusa: fakty—nie powaga uczonego decydują, jest tego najdoskonalszym wyrazem i bardzo powszechnie przyjętą zasadą.

Pisząc zresztą „kronikę“, wiedziałem o tém doskonale, że przekonywanie kogoś zapomocą powołania się na kompetentną powagę jest przeciwne duchowi czasu, jest... niemodne. Mówiłem też: „nie mam zamiaru przekonywać Prusa, żyjemy w czasach kiedy lekceważenie autorytetów stało sie obowiązującém“. Chodziło mi tylko o to, aby jednomyślność w téj kwestyi trzech poważnych uczonych, różnych biegunowo pod innymi względami, zachwiała pewność Prusa, szczególniéj wobec tego (co usiłowałem wykazać), że „fakta niezbite“ na które się powołał, były tylko złudzeniem logicznêm. (Nawiasem dodam, że Prus także rozumiał potrzebę odwołania się do rady rzeczoznawców, cytował więc doktora i socyologa).

Ale przejdźmy do saméj rzeczy. Jeżeli postulat Prusa obowiązuje w socyologii, jeżeli my wszyscy publicyści, artyści, urzędnicy kolei jednéj i drugiéj i t. d. mamy socyologizować na podstawie faktów i o zdanie uczonych nie dbać, to toż samo tém bardziéj stosuje się do fizyki, astronomii i t. p. nauk ścisłych; tu *fakty* zależą od mniejszéj ilości przyczyn, daleko mniéj przytém zagmatwanych. Ponieważ więc codziennie widzimy fakt, że słońce wznosi się w górę i zapada za linię horyzontu, a dowodzenia astronomii o nieruchomości słońca w naszym systemacie planet, ogół zrozumiéć nigdy nie będzie w stanie, więc czemu powtarzamy za Kopernikiem, za Laplace'em, że to ziemia się kręci. Gwałcimy postulat Prusa!

Niedosyć jest znać fakty z wiérzchu, aby módz wnioskować; trzeba je zbadać, opatrzyć ze wszystkich stron, trzeba prócz tego nauczyć się wnioskować, co także z natchnienia nie przychodzi. Owe fakty, to są tylko wrażenia niedokładnych zmysłów lub ułomnego umysłu ludzkiego—bez sprostowania, bez mozolnego roztrząśnięcia częstokroć mogą tylko w błąd wprowadzić. Historya każdéj nauki pełną jest przykładów do jakich dziwulągów doprowadziła, nawet badaczy poważnych, zbytnia ufność w oczywistość faktów. Uczeni lata całe, ba, życie całe poświęcają na to, aby zdobyć fakty dostatecznie przesiane do wyciągania z nich wniosków.

Zważywszy na zasadność, oględność i metodyczność prac poważnych mistrzów wiedzy, nawet uczony téj miary, co Comte

i Le Play nie może powiedzieć, że dla niego opinie ich nic nie znaczą. Jeden uczony ma prawo stosowania najbezwzględniejszego krytycyzmu względem drugiego uczonego; ale byłby lekkomyślnym, nie miałby pojęcia o ułomności umysłu, która najgenialniejszych ludzi doprowadziła do błędów i omyłek, grzeszyłby szkodliwą pewnością siebie, zdolną sparaliżować największe zdolności, gdyby na wyniki badań innych nie zwracał uwagi, gdyby odmienne rezultaty pracy poprzedników nie budziły w nim wątpliwości względem własnych dociekań (a mnie właśnie chodziło o obudzenie téj wątpliwości w Prusie). To da się powiedzieć o uczonym, w ustach zaś publicysty, który dane mógł zbierać z mało co większą dokładnością, niż obserwować ruch słońca na niebie, takie przeciwstawienie kilku pośpiesznie schwytanych faktów zdaniom uczonych znawców przedmiotu jest poprostu nic nie wyrażającym frazesem, co do wartości wewnętrznéj zupełnie godnym wykrzyknika: Brandeburczycy Boga się tylko boją!

Idźmy daléj. Publicysta, to zwykle (wyjątki wszędzie bywają) człowiek, który sam żadnych badań nad żadną gałęzią wiedzy samodzielnie nie prowadzi. Wié nieco mniéj więcéj o wszystkiém, wiele rzeczy zrozumié i potrafi prawdy, zdobyte, uzasadnione przez innych, wyrazić dostępnie dla ogółu. Jeżeli nawet nie pisze powieści i fejletonów, a ma wyłącznie z socyologiją, dajmy na to, do czynienia, to i tak zna się na tém o tyle, o ile go inni nauczyli, inaczéj nie byłby publicystą, lecz badaczem specyalnym. W dodatku jest to zawsze prawie człowiek wrażliwy, łatwo unoszący się, ulegający wpływom. Nasuwa się jakaś kwestya — stosunek opinii publicznéj, przypuśćmy, do związków nielegalnych — publicysta ma o niéj pewne zdanie, nie zupełnie własne, bo sam źródłowo nie badał, lecz od kogoś przejęte; prócz tego ma on szafkę z książkami, wśród których bywają i statystyki; jeżeli tylko zechce, zawsze znajdzie argumenty i dane, stwierdzające *jego* zdanie. Statystyka, to zwykle książka gruba, gdzie można znaleść wszystko, co kto zechce, a wrazie potrzeby sens ustawionych liczb wytłómaczyć jak się podoba. Proszę porównać teraz pracę publicysty w takiéj kwestyi z pracą uczonego, bezstronną, spokojną, niemającą na celu propagandy żadnéj, ani ukłucia przeciwnika, lecz prawdę, jedynie jasną, czystą prawdę. Argumenty publicysty, jeżeli nie zawsze, to bardzo często stanowią podrzędny dodatek do dawniéj istniejących, a teraz podrażnionych przekonań; czyż nie lepiéj i nie pożyteczniéj, że publiczność usłyszy w jakiéjś sprawie zdanie uczonego (Comte'a, lub Le Play'a np.), prócz, a nawet zamiast zdania publicysty.

Drugi postulat Prusa: „statystyka nietylko analizuje, ale nawet mierzy fakta społeczne, jest tymczasem najlepszém narzędziem socyologii".

Statystyka, jest to zbiór liczb, oznaczających ilość wypadków, faktów, zjawisk. Nauki ścisłe mają též swoją statystykę i swoje tablice, ale te tylko wtedy posiadają wartość, gdy fakty zostały wywołane przez jedną przyczynę, izolowaną od innych w laboratoryum. Inne liczby służyć mogą do skonstatowania zjawiska, nigdy zaś do budowania praw. W statystyce społecznéj każdy wypadek jest zwykle wynikiem algebraicznéj sumy: jeżeli nie wiadomo jakie były składniki, jaka była ich doniosłość, które miały charakter dodatni, które ujemny — to nic niewiadomo. Nawet w matematyce, mając sumę wielkości jednorodnych, z których ona wynikła, znaleść składników nie można. Zestawienie liczb z różnych rubryk z różnych czasów i z różnych krajów daje niejakie światełko, ale to nigdy nie może rozpalić pewności, co najwyżej jest w stanie dać jakieś wskazówki. Są czynniki moralnej natury, niezmiernie ważne, wpływające i na ilość zbrodni i na wzrost ludności, o których jednak w żadnej statystyce wzmianki znaleść nie można. Dla tego, kto zna rzecz skąd inąd dokładnie, wié zgóry jakie objawy w pewnych warunkach szerzą się i jakie znikają, statystyka jest nieocenioną wskazówką, pozwala ona powziąć dokładne pojęcie zamiast przypuszczalnego, i, co jeszcze ważniejsza, pozwala kontrolować uprzednie spostrzeżenia. Ale statystyka ani analizuje, ani mierzy. Spektroskop analizuje widmo świetlne, bo połączone barwy sam rozszczepia na części; ale w rzeczach społecznych zjawiska muszą być uprzednio znane, zanalizowane, ugrupowane, zanim się przystąpi do zapisania liczb w przygotowanych przedtém rubrykach. Analizę społeczną, już dokonaną przez umysł na podstawie innych badań, można sprawdzić cyframi statystyki, ale sama statystyka nie wykonywa jéj; są nawet tacy, co wątpią, czy cyfry, choćby ugrupowane (więc już na podstawie dokonanej analizy), mogą podsunąć sącyologowi jaki pomysł do dalszych badań. Statystyka nie mierzy żadnego czynnika po szczególe, zapisuje tylku ogólny rezultat zbiorowego ich działania.

Tak się ma z idealną statystyką, tak doskonałą, jaką w obecnéj chwili wyobraźnia stworzyć może. Statystyka realna, faktycznie istniejąca, mniej naturalnie zasługuje na zaufanie. W kilku tylko krajach cyfry są jako tako dokładne; we wszystkich państwach są rozmaite klasyfikacye zjawisk społecznych, rubryki noszą różne tytuły, jest rozmaity stopień w doskonałości liczb. Toż samo stosuje się do czasu.

Nie potrzeba nawet z góry wiedzieć o tém wszystkiém: pierwsze zastosowanie samo narzuci to każdemu. Prus doświadczył téj konieczności, pomimo swojéj teoryi, że statystyka jest najlepszém narzędziem socyologii. Cytuje on tu 10% dzieci nieprawych, tam 20, a w Londynie tylko 4% i dodaje: „to wcale nie dowodzi moralności tego miasta, ale — (dowodzi?) nowego (jakiego?) gatunku występków“. Tylko w ten sposób rozumując, można było ocalić swoje zdanie: wielki procent dzieci nieprawych oznacza rozluźnienie moralności rodzinnej, mały — *dowodzi innego* gatunku występków. Pominąwszy fantastyczną dowolność we wnioskowaniu, widzimy, iż sam Prus, cytując ten fakt, stwierdził, że nie można ufać niskiemu procentowi dzieci naturalnych w Londynie, a więc statystyce, i że są inne *narzędzia* widocznie doskonalsze, które decydują stanowczo. W obec tego wszystkiego, czy nie słuszny był mój protest przeciwko wyprowadzaniu takich wniosków:

Liczba dzieci naturalnych w Europie wzrasta, Europa się rozwija, więc związki nielegalne nie szkodzą cywilizacyi.

Za co mnie Prus wyśmiał i odsądził od wszelkiego pojęcia o statystyce i socyologii? *Ludwik Straszewicz.*

Jedną z najpoważniejszych instytucyi w kraju naszym jest Towarzystwo kredytowe ziemskie. Wiele się na powagę tego ciała składa przyczyn. Zadanie jego bezpośrednie, to jest wytworzenie i podtrzymywanie kredytu rolnego, jest rzeczą olbrzymiéj doniosłości. Do zarządu instytucyą wchodziło i wchodzi wielu ludzi wybitnych, szacunkiem otoczonych.

Towarzystwo było — ogólnie biorąc — tak dobrze rządzone, że nawet w epokach powszechnych w kraju przesileń rolniczych i ekonomicznych, listy Towarzystwa kredytowego uważane były i są za najpewniejszą niemal lokatę kapitałów. Wogóle przyczyny zasadnicze i historyczne złożyły się na otoczenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego szczególném uznaniem. To też nic dziwnego, że gdy przed niejakim czasem zjawiły się w prasie zarzuty, dotyczące działalności pewnéj grupy przedstawicieli Tow. kredytowego ziemskiego, wzburzenie nastąpiło w szerokich kołach społecznych ogromne. Niżéj podpisany, a raczéj podznaczony tylko kronikarz, chociaż śledził starannie polemikę oskarżycieli i obrońców Towarzystwa, do ostatecznéj w sprawie poruszonéj nie umiał dojść konkluzyi, lecz dwa wyciągnął co do metody polemizowania wnioski: 1) że polemika była z obu stron prowadzona gorączkowo i obfitowała w argumenta *ad hominem*, nie *ad rem* skierowane; 2) że obroń-

cy i oskarżyciele Towarzystwa właściwie jednéj i téj saméj używali metody przy oznaczeniu obszaru praw i obowiązków przedstawicieli instytucyi, a mianowicie patrzyli na jedne przez powiększające, na drugie zaś przez zmniejszające szkiełka.

Różnica była tylko w zastosowaniu szkiełek. I tak oburzeni zuchwalstwem instygatora obrońcy Towarzystwa żądali wyjątkowego prawa poszanowania dla członków instytucyi, tak ogólnie poważanéj i tak donośne nie tylko w życiu naszém ekonomicznėm lecz i w ogólnie społecznėm, mającéj znaczenie, a jednocześnie mówili, że instytucya ma charakter wyłącznie finansowy, a zatém jéj członkowie tylko o bezpieczeństwo sum przez T. kr. z. pożyczonych dbać powinni, ponieważ zaś te są bezpieczne nawet na zdewastowanych majątkach, przeto o dewastacyą troszczyć się nie mają obowiązku. Wprost przeciwnie, oskarżyciele Towarzystwa dawali przedstawicielom jego prawa li tylko członków zwykłego przedsiębiorstwa finansowego, a wkładali obowiązki, ciążące na przedstawicieli kraju. Spór, w taki sposób toczony, doprowadził do rezultatu, że nie wiadomo było do końca, o ile kto ma słuszność; to pewna atoli, że słów gorzkich i przykrych z obu stron zużyto niemało. Obecnie, gdy namiętności znacznie przycichły, może mi się uda powrócić do sprawy dewastacyi, nie wywołując rozdrażnień.

Bodźcem, który mię do podniesienia na nowo téj sprawy skłonił, był zbieg zakomunikowania mi z poważnego — jak mniemam — źródła wiadomości, iż w Towarzystwie kred. ziemskiém zapadła decyzya—by żadnych środków przeciw dewastacyom nie przedsiębrać—z przeczytaniem artykułu prof. Okolskiego o środkach prawnych zapobiegania dewastacyom. Niech nikogo nie dziwi, że wiadomość ustna, oficyalnie nie sprawdzona, daje mi asumpt do wznowienia kwestyi. Towarzystwo kredytowe ziemskie nie psuje publiczności łatwém komunikowaniem swych uchwał, a stąd sprawdzenie wiadomości u źródła bywa najczęściéj niemożliwe. Wiadomość zaś — powtarzam — otrzymałem ze źródła poważnego. Uchwała zaprzestania wszelkich środków, zapobiegających dewastacyom, miała się opierać na dwóch motywach: 1) że Towarzystwo do zapobiegania dewastacyom nie ma ani obowiązku, ani interesu; 2) że dla zapobieżenia podobnym nadużyciom Towarzystwo nie ma żadnych środków, gdyż ustawa obowiązująca daje mu w téj mierze atrybucye niewystarczające.

Pomówmy najprzód w krótkich słowach *ad 1-um.*

Gdyby nawet Towarzystwo—jako bank—nie miało bezpośredniego obowiązku zapobiegania dewastacyom, toć członkowie jego, jako obywatele kraju, postawieni z wyboru na wybitnych stanowi-

skach mają ogólny obowiązek obywatelski zapobiegać możliwymi środkami objawom choroby społecznéj. Interes ma w tém również Towarzystwo. Chociażby sumy Towarzystwa nie spadały przy sprzedaży zniszczonych majątków, to jednak zmiana stosunku sum pożyczkowych do wartości majątków pożyczką obciążonych, w znacz. néj ilości dóbr stowarzyszonych na niekorzyść posunięta, może wpłynąć na obniżenie kursu listów zastawnych. A przecież właściciele listów zastawnych mają prawo do opieki władz Towarzystwa. Wogóle Towarzystwo ma interes w tém, by jego listy były uważane za papiery „solidne" i żeby miały kurs możliwie wysoki. A teraz *ad* 2-um. Być może, iż byłoby pożądaném rozszerzenie, w drodze prawodawczéj, władzy Towarzystwa ku ukróceniu dewastatorów; aleć to rozszerzenie władzy bez starań samego Towarzystwa nastąpić nie może; powtóre zaś—jak wzmiankowany artykuł prof. Okolskiego wykazuje, Towarzystwo ma i dziś już zarówno w ogólném prawodawstwie obowiązującém, jak i w swéj ustawie specyalnéj, oręż do obrony przeciw dewastacyom. Mogą mi zarzucić, że ponieważ rzecz prof. Okolskiego umieszczoną została w piśmie, które gorący udział w polemice o dewastacyjach brało („Kraj"—dodatek noworoczny), przeto wyrażona w niéj opinie za stronne uważać można. Kto jednak przeczyta ten w obiektywnym zupełnie tonie napisany artykuł, a zwłaszcza kto zada sobie pracę przejrzenia powołanych źródeł, ten się niechybnie zgodzi, że Towarzystwo nie jest pozbawione i dziś już możności poskramiania niesumiennych bankrutów ziemskich. Niezależnie od art. 1180 kod. cyw., ma Tow. kred. ziem., na mocy art. 42 i 43 przepisów z dnia 10 lipca 1860 roku, prawo zaprowadzenia administracyi zachowawczéj nietylko w razie niepłacenia rat, lecz i pomimo ich płacenia, w razie upadku stanu gospodarczego i rozpraszania dochodów w sposób grożący bezpieczeństwu pożyczki Towarzystwa. Na mocy zaś art. 37 tychże przepisów, Towarzystwo kred. przy ustanowieniu administratora winno zwracać uwagę na kandydatów, przedstawionych przez właścicieli dóbr. A więc Towarzystwo ma możność, w pewnéj przynajmniéj mierze, zapobiegania dewastacyom, i ma obowiązek, z mocy własnéj ustawy, zwracania uwagi na interes wierzycieli prywatnych. Czy słusznie przeto postępują władze Towarzystwa, uchwalając zaniechanie zupełne obrony własnéj i obrony wierzycieli prywatnych przeciw dewastatorom?

Pozwalając sobie na interpelacyę władz Towarzystwa: jaka i na jakich motywach oparta zapadła uchwała w kwestyi zaniechania obrony przeciw dewastacyom, mam szansę otrzymania lakonicznéj odpowiedzi, że dyrekcya postępowała zgodnie z przepisami i że zatém zarzut nie ma żadnéj podstawy, a może nawet zbycia

mię milczeniem, gdyż władze Towarzystwa rozpisywać się w odpowiedziach na interpelacye nie lubią.

Czy by to miało być objawem poczucia godności własnéj, lub daniem do poznania interpelantowi, że zawysokie progi....?

Żeby przekonać władze Towarzystwa, iż obszerne i dokładne odpowiedzi na interpelacye prywatnych ludzi, bywają dawane przez osoby, piastujące wyb·tne stanowiska i żadnéj tym dygnitarzom ujmy nie czynią, powołam się na świeży przykład.

Właściciel przedsiębiorstwa pogrzebowego, p. Korpaczewski interpeluje p. Prezydenta miasta w kwestyi taryfy wodociągowéj i to za pośrednictwem wniosku, uczynionego na zebraniu Towarzystwa kred. miejskiego. Pomimo dziwnéj nieco formy interpelacyi, Prezydent generał Starynkiewicz odpowiada uprzejmym i bardzo szczegółowo rzecz rozstrząsającym listem (patrz NN. 38 i 39 Kuryera Warszawskiego, z dnia 7 i 8 Lutego roku bież., pięć szpalt) do pana K. zaadresowanym.

Nie mam ja wprawdzie téj popularności, co p. K., o którym często piszą pisma nasze codzienne, a którego korespondent „Kraju“ nazywa naszym znanym „abstrukcyonistą“, (chyba to niefortunna przeróbka zecera lub korrektora nazwy „obstrukcyonista“, gdyż pan K. rzeczywiście, jak obstrukcyonista z partyi *Home-rule*'u tamuje nieraz obrady różnego rodzaju zebrań nawałem swych wniosków); otóż nie posiadam — mówię — téj popularności obstrukcyjnéj, co p. Korpaczewski i z téj przyczyny nieznanego mego nazwiska nie podpisuję; skoro mi jednak redakcya *Ateneum* gościnności w piśmie swém nie odmawia, przeto i za interpelacyą moją odpowiedzialność bierze.

Z téj zatém uwagi, może władze Towarzystwa, składające się z wybranych z łona naszego społeczeństwa przedstawicieli, „kość z kości i krew z krwi naszéj“, zechcą naśladować urzędnika państwowego, który szacunku godny przykład daje, jak opinię publiczną poważać należy. Może zamiast zwięzłości Lakonii, zechcą też użyć wielomówstwa Aten, żeby w kwestyi uchwały o dewastacyach błądzących nawrócić, a ciemnych oświecić. (1)

(— X -)

---

(1) W pismach codziennych była umieszczona w tych dniach wiadomość, że na półroczném zebraniu członków Komitetu Tow. kred., które miało miejsce 10—21 Lutego, zapadła nowa decyzya w sprawie dewastacyi, a mianowicie uchwalonemi jakoby zostały przepisy, zabezpieczające Tow. kred. od dewastacyi dóbr ziemskich. Na wypadek jeżeli ta wiadomość jest prawdziwa, upraszamy władze Tow. o podanie treści tych po ądanych przepisów. O ile nam jednak wiadomo na zebraniu 10—21 Lutego odczytywano tylko korespondencyę władz Tow. kred. ziem. z wyższemi władzami administracyjnémi w sprawie dewastacyi, lecz żadnych nowych przepisów nie uchwalono. Kwestya więc po dawnemu śpi.

REGULAMIN PRZYZNAWANIA NAGRÓD

Z ZAPISU

JAKÓBA NATANSONA.

Profesor b. Szkoły Głównéj Jakób Natanson, jeden z pierwotnych założycieli Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém, zmarły 14 wrześnla 1884 r., testamentem spisanym w Warszawie w d. 10 lipca 1882 r. i 15 listopada 1883 r. zapisał:

„rubli trzydzieści tysięcy Komitetowi Kasy pomocy dla pracu-„jących na polu naukowém imienia D-ra Mianowskiego na na-„stępujący cel użyteczności publicznéj. Co lat cztery mają być „udzielane, z procentów od powyższéj sumy, dwie nagrody za „dwie największéj wartości prace naukowe w ciągu ostatnich „lat czterech, przez mieszkańców Królestwa Polskiego, w Kró-„lestwie urodzonych, dokonane i w języku polskim drukiem „ogłoszone. Jedna z tych nagród przeznaczoną być ma za naj-„lepszą pracę w zakresie nauk ścisłych, a druga za takąż pracę „w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, histo-„rycznych lub tym podobnych.“

Po zatwierdzeniu zapisu przez władzę, w d. 4 sierpnia 1885 r. wykonawcy testamentu złożyli do dyspozycyi Komitetu nie tylko sumę w zapisie wymienioną, lecz i procenty od dnia śmierci zapisodawcy, umożliwiając tym sposobem wcześniejsze wykonanie myśli w testamencie wyrażonéj. Za sumę powyższą Komitet Kasy w myśl Ustawy (§ 4) zakupił 5% Listy Zastawne Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

W myśl przytoczonych powyżéj warunków testamentu a zgodnie z Ustawą Kasy pomocy, Komitet zarządzający Kasą, w wykonywaniu woli zapisodawcy rządzić się będzie niżéj wymienionemi zasadami i przepisami.

A. Fundusz nagrodowy.

§ 1. Fundusz nagrodowy powstaje z procentów od kąpitalu rs. 30,000 z zapisu Jakóba Natansona.

§ 2. Z funduszu tego powstają co lat 4 dwie w równéj sumie nagrody pieniężne.

§ 3. Pierwsze nagrody powstaną z procentów zebranych od 14 września 1884 r. do 13 września 1888 r.

§ 4. Fundusz nagród każdego okresu, powstający z czteroletnich procentów od kapitału, zwiększa się nadto procentowaniem powstającéj w sposób powyższy sumy.

§ 5. Fundusz ten procentuje się aż do dnia wypłaty nagród.

§ 6. Z funduszu nagród pokrywane będą konieczne wydatki, z przyznawaniem nagród związane, a mianowicie: kupno prac drukiem ogłoszonych, o ile takowe Komitetowi złożone nie zostaną i koszty ogłoszeń w pismach, o ile takowe bezpłatnie zrobić się nie dadzą.

B. Przedmiot nagród.

§ 7. Dwie równe nagrody pieniężne, udzielane będą co lat cztery, za dwie największéj wartości prace naukowe, w języku polskim ogłoszone, w ciągu ostatnich lat czterech.

§ 8. Pierwsze nagrody przyznane zostaną za prace ogłoszone drukiem między 14 września 1884 r. a 31 grudnia 1888 r. Następne czteroletnie okresy odpowiadać będą latom kalendarzowym.

§ 9. Jedna nagroda przyznawaną będzie za pracę najlepszą z ogłoszonych drukiem w danym okresie, z dziedziny „nauk ścisłych“ (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi); druga za takąż pracę w zakresie „nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych.“

§ 10. Nagrody udzielone być mogą jedynie: *a*) poddanym rosyjskim (§ 2 Ustawy); *b*) mieszkańcom Królestwa Polskiego w Królestwie urodzonym.

§ 11. Za każde czterolecie przyznane być muszą dwie nagrody za prace, z ogłoszonych, najlepsze. Nie dopuszcza się odraczanie nagród dla braku prac znakomitszych, przenoszenie prac z jednego okresu czteroletniego do następnych, ani dzielenie którejbądź z obu nagród.

§ 12. Przeszkodą w otrzymaniu nagrody nie będzie: *a*) uprzednie nagrodzenie pracy przez inną instytucyą; *b*) zapomoga udzielona przez Kasę lub inną instytucyą na dokonanie lub ogłoszenie drukiem danéj pracy; *c*) rozmiary pracy.

§ 13. W razie nieprzyjęcia nagrody przez osobę, któréj przyznaną została, nagroda udziela się za inną, najlepszą z pozostałych prac danego okresu i działu.

C. Sposób przyznawania nagród.

§ 14. Do oceny przyjmowane będą prace składane przez autorów, wydawców, członków Kasy i wogóle osoby trzecie, a także zebrane staraniem Komitetu Kasy.

§ 15. Jakkolwiek Komitet Kasy starać się będzie, aby żadna z prac, kwalifikujących się do nagród, w sądzeniu pominiętą nie była, to jednak nie przyjmuje odpowiedzialności za przeoczenie prac, których autorowie lub osoby trzecie w terminie właściwym nie nadeszlą.

§ 16. Prace, czyniące zadość warunkom wymienionym w § 7 i 10, składane być mogą do Komitetu w ciągu całego czteroletniego okresu i w ciągu dwóch najbliższych potém miesięcy.

§ 17. Prace autorów, którzy w okresie na sądzenie prac przeznaczonym, są członkami Komitetu Kasy, do sądzenia przyjmowane nie będą.

§ 18. Rozpatrywanie i sądzenie prac dokonywać się będzie przez półrocze następujące bezpośrednio po upływie konkursowego czterolecia, a to porządkiem i sposobem w regulaminie wewnętrznych czynności Komitetu Kasy wskazanym.

§ 19. Przyznanie nagród nastąpi na pierwszém jesiennem posiedzeniu Komitetu Kasy, prostą większością głosów członków Komitetu, na posiedzeniu w prawnym komplecie (§ 13 Ustawy) obecnych.

NEKROLOGIA.

† **Ignacy Marczewski** zmarł w Paryżu dnia 29-go stycznia r. b. w 54-tym roku życia. Urodzony w Warszawie r. 1834, po ukończeniu szkół wstąpił do Komisyi Skarbu; po reformie administracyjnéj został starszym referentem w izbie skarbowéj piotrkowskiéj. Znany był jako autor prac historycznych pod nazwiskiem Gustawa Meinerta. W ostatnich latach *Przewodnik naukowy i literacki*, wycho-

dzący we Lwowie, pomieścił dwie jego rozprawy, na źródłach rękopiśmiennych oparte: „O wyniesieniu na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego“ i „Polacy w San Domingo.“ Był także korespondentem *Gazety Lwowskiéj* i czasopism poznańskich. Podobno pozostały po nim cenne rękopismy.

† **Augustyn Szmurło** urodzony w r. 1821, ukończywszy gimnazyum, udał się na koszt rządu do uniwersytetu moskiewskiego dla studyowania filologii klasycznéj. Za powrotem, mianowany nauczycielem łaciny w Warszawie, od r. 1849 był starszym nauczycielem przedmiotów klasycznych w gimnazyum gubernialném. Wtedy ogłosił po łacinie króciutkie dzieje literatury rzymskiéj: „Historia litterarum romanarum brevissime exposita“ (1851, str. 42). W r. 1854 został także nauczycielem łaciny w Instytucie szlacheckim, a od r. 1857 wykładał język i literaturę grecką i rzymską w akademii duchownéj. Wówczas bierze czynny udział w układzie Gramatyki łacińskiéj teoretyczno-praktycznéj, wydanéj w 3-ch częściach przez Okrąg naukowy warszawski; w części 3-ciéj mianowicie teorya składni łacińskiéj, w zupełnie nowy sposób przedstawiona, jest jego wyłącznem dziełem. Przy reorganizacyi wychowania publicznego za czasów Aleksandra Wielopolskiego zajmował ś. p. Szmurło wydatne stanowisko; wykładał przedmioty klasyczne w Kursach przygotowawczych, był adjunktem filologii w Szkole Głównéj. Wówczas wyszły jego rozprawki: „O dziejowém stanowisku starożytności klasycznéj i o ważności pedagogicznéj języków starożytnych“ (1862), „Mowa miana przy zamknięciu wykładu nauk w Kursach przygotowawczych do Szkoły Głównéj dnia 7 sierpnia 1862 roku“, „O Kulturze Grecyi, prelekcya wstępna miana w Szkole Głównéj“ (1863). W r. 1863 mianowany został rektorem gimnazyum I-go na Nowolipkach i wówczas ogłosił „Kilka słów o celu i kierunku gimnazyalnego nauczania wogóle“ (str. 27). Gdy gimnazyum na Nowolipkach uległo zmianie przy nazwaniu go III-ém, został w niém inspektorem i pełnił obowiązki do r. 1873, wykładając zarazem w klasach wyższych język grecki. Następnie założył czteroklasową szkołę prywatną z kierunkiem filologicznym przy ulicy Freta i prowadził ją przez lat 10. Zamknąwszy ją, oddał się wykończeniu dawno rozpoczętéj pracy, to jest tłómaczenia na język ojczysty Iliady wierszem miarowym; a dokonawszy jéj, wydał w r. 1887 w Warszawie z zasiłku Kasy imienia Mianowskiego. Ostatni raz zabrał głos publicznie w obronie swego przekładu przeciw zrobionym przez jednego recenzenta zarzutom w „Kłosach“, poczém zachorował i umarł dnia 11 lutego r. b.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIA.

Regulamin corocznéj wystawy konkursowéj w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém.

§ 1. Na zasadzie art. 2 lit e. Ustawy Tow. Zach. Sztuk Pięknych, w celu przyczynienia się do rozwoju i postępu w kraju sztuk pięknych, oraz dania możności wyróżnienia i nagrodzenia prac szczególnie na to zasługujących,—urządzaną będzie przez Komitet Towarzystwa corocznie, w m. Styczniu, poczynając od r. 1889, w lokalu Towarzystwa, lub innym, przez Komitet wyznaczonym, ***Wystawa Konkursowa*** Malarstwa, Rzeźby i Architektury, kolejno, w porządku następującym: w r. 1889 Wystawa ***Malarstwa***, w r. 1890 Wystawa ***Rzeźby***, w r. 1891 Wystawa ***Architektury***, i t. d.

§ 2. Wystawa trwać będzie od 3 (15) Stycznia do końca Lutego.

§ 3. Do przyjęcia na Wystawę kwalifikują się następnjące przedmioty:

a) Z dziedziny ***malarstwa***: obrazy olejne, akwarelle, pastele, kartony i rysunki.

Uwaga. Miniatury, emalje, malowanie na porcelanie, na fajansie, na szkle, staloryty, akwaforty, drzeworyty, liografie i t. p. dzieła reprodukcyi, ornamentyka i dekoracye, stanowié będą przedmiot oddzielnéj zupełnie Wystawy konkursowéj w czasie i miejscu przez Komitet Towarzystwa oznaczonym, przyczem podawane będą do wiadomości interesowanych i warunki konkursu przez Komitet przepisane.

b) Z dziedziny ***rzeźby:*** wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, bez względu na materyał, tudzież wyroby medaljerskie.

c) Z ***architektury***: wszelkiego rodzaju kompozycye w zakres jéj wchodzące, w planach lub modelach.

§ 4. Nie kwalifikują się na Wystawę: *a*) Wszelkie kopje. *b*) Dzieła artystów zmarłych na rok przed otwarciem Wystawy.

§ 5. Każdy z wystawców ma prawo wystawić jednocześnie dwa tylko swoje dzieła; za jedno dzieło uważane będą rysunki lub modele, ujęte w jednę ramę.

§ 6. Dzieła sztuki nadsyłane na Wystawę mają być w ramach z wyjątkiem rzeźb i planów architektonicznych.

§ 7. Na Wystawę przyjmują się dzieła, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się czy to na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, czy też na innéj Wystawie w Warszawie,

§ 8. Dzieła przeznaczone na Wystawę powinny być przesyłane pod adresem Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych nie późniéj jak 19 (31) Grudnia do godz. 6 wiecz.

§ 9. Przesyłający dzieło swoje na Wystawę konkursową, obowiązany jest nadesłać przed 3 (15) Grudnia pod adresem Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych deklaracyą, w któréj podać winien treść dzieła, cenę, swój adres, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia, obecnego pobytu i o tem, w jakiéj Szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Wiadomości powyższe posłużą do ułożenia katalogu dzieł, znajdujących się na Wystawie.

§ 10. Na każdéj deklaracyi Vice-Prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, lub Członek Komitetu tegoż zastępujący, zaznaczy datę otrzymania takowéj.

§ 11. Dzieło przyjęte na Wystawę konkursową, pozostawać na niéj będzie do czasu jéj trwania i przed upływem tego terminu nie może być z niéj wycofane.

§ 12. Do przyjmowania a następnie oceny dzieł sztuki, oraz przyznawania nagród Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych najpóźniéj do dnia 18 (30) Grudnia ze spółprzybranymi artystami utworzy Delegacyą konkursową.

§ 13. Do oceny dzieł sztuki w każdéj z trzech gałęzi: malarstwa, rzeźby i architektury, utworzone będą oddzielne Sekcye konkursowe.

§ 14. Sekcya malarska składać się będzie z Vice-Prezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, dwóch przez Komitet wybranych Członków Komitetu z grona miłośników, ze wszystkich malarzy będących Członkami Komitetu, a nie przyjmujących udziału w konkursie, oraz takiéj liczby artystów malarzy, zamieszkałych w Warszawie i wybranych większością głosów przez artystów malarzy, Członków Rzecz. Tow., aby liczba *artystów malarzy* w téj Sekcyi zasiadających wynosiła ośmiu.

§ 15. Sekcya rzeźby składać się będzie z Vice-Prezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, jednego przez Komitet wybranego Członka Komitetu z grona miłośników, ze wszystkich rzeźbiarzy, będących Członkami Komitetu, a nie przyjmujących udziału w konkursie, oraz takiéj liczby artystów rzeźbiarzy, zamieszkałych w Warszawie i wybranych większością głosów przez artystów rzeźbiarzy, Członków Rzecz. Tow., aby liczba *artystów rzeźbiarzy* w téj Sekcyi zasiadających wynosiła trzech.

§ 16. Sekcya architektury składać się będzie z Vice Prezesa Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, dwóch przez Komitet wybranych Członków Komitetu z grona miłośników, z wszystkich budowniczych, będących członkami Komitetu, a nie przyjmujących udziału w konkursie, oraz takiej liczby budowniczych zamieszkałych w Warszawie i wybranych większością głosów przez budowniczych, Członków Rzecz. Tow., aby liczba *budowniczych* w tej Sekcyi zasiadających wynosiła ośmiu.

§ 17. Z artystów zamieszkałych w Warszawie po nad liczbę mających przyjąć udział w pracach każdéj Sekcyi, wybranych będzie na każdą Sekcyą po 2-ch zastępców, którzy wejdą do Sekcyi wrazie piśmiennej deklaracyi wybranego artysty, iż udziału w pracach Sekcyi przyjąć nie może.

§ 18. Na posiedzeniach każdej Sekcyi prezyduje z urzędu Vice-Prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, lub Członek Komitetu takowego zastępujący. Decyzye zapadają prostą większością głosów. W razie niezgodności lub napotkanych wątpliwości, decyzye Sekcyi winny być przedłożone Delegacyi konkursowej pod rozbiór i ostateczną uchwałę.

§ 19. Do ważności decyzyi każdej Sekcyi wymagalném jest, by wszyscy Członkowie wezwani zostali na posiedzenie co najmniej na dni cztery przed posiedzeniem.

§ 20 W razie niestawienia się niektórych Członków Sekcyi, obecność co najmniej na oddziale malarstwa pięciu Członków, na oddziale rzeźby trzech i na oddziale architektury pięciu, będzie dostateczną do wydania decyzyi. Decyzye co do przyznania nagród w takim razie, to jest przy współudziale minimum głosów zapadłe, podlegać będą zatwierdzeniu przez Delegacyą Konkursową ogólną, która je zmienić władną będzie.

§ 21. Posiedzenia Sekcyi konkursowych tak w przedmiocie przyjęcia dzieł sztuki na Wystawę jak i oceny do nagród, zwołuje Vice-Prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

§ 22. Przyznanie nagród dopełnionóm będzie przed otwarciem Wystawy dla publiczności.

§ 23. Nagrody przyznawane będą nie za dzieła najlepsze z nadesłanych, lecz za dzieła bezwarunkowo odznaczające się.

§ 24 Umieszczenie dzieł przyjętych na Wystawę przez właściwe Sekcye, należeć będzie wyłącznie do Gospodarza Wystawy.'

§ 25. Na każdem dziele nagrodzoném umieszczony będzie napis „Dzieło nagrodzone“.

§ 26. Nagrody przyznawane będą z funduszów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych za dzieła z dziedziny malarstwa, rzeźby i architektury. W każdym z powyższych działów przyznawane być mogą po trzy Nagrody: pierwsza rs. 600, druga rs. 300 i trzecia rs. 200, płatne w biletach bankowych.

Oprócz Nagród pieniężnych, Sekcye mają prawo przyznawać odznaczenia czyli Listy pochwalne.

§ 27. Czynności przygotowawcze do urządzania czasowej Wystawy konkursowej jako to zebrania Delegacyi konkursowej, okólniki o czasowej wystawie do artystów bawiących za granicą, lub zagranicznych, nadsyłających dzieła swoje na Wystawę Towarzystwa, ogłoszenia w miejscowych pismach czasowych i tym podobne czynności, należeć będą do Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Adresować: Do Komitetu Tow. Zach. Sztuk Pięknych. *Warszawa*, Krak. Przed. 15.

Regulamin corocznéj wystawy konkursowéj sztuki ornamentacyjnéj i dekoracyjnéj w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém.

Na zasadzie art. 2 lit. e. Ustawy Tow. Zach. Sztuk Pięknych, w celu przyczynienia się do rozwoju i postępu w kraju sztuki Ornamentacyjnéj i Dekoracyjnéj, urządzaną będzie corocznie w lokalu Towarzystwa, lub innym, przez Komitet Towarzystwa wyznaczonym, Wystawa *Konkursowa* miniatur, emalii, malowania na szkle, porcelanie i fajansie, sztychów, akwafort, drzeworytów, litografii i wszelkich reprodukcyi ręcznych, niemniéj wszelkiego rodzaju ornamentacyi. Termin przyjmowania deklaracyi oznacza się do 1 Października, nadsyłania przedmiotów do 10 Października, otwarcie Wystawy 15 Października. Czas trwania Wystawy ustanawia Komitet Towarzystwa. Przedmioty przyjęte na Wystawę, nie mogą być wycofane przed zamknięciem Wystawy. Przyjmowanie i kwalifikowanie przedmiotów, oraz przyznawanie nagród należy do Komitetu Towarzystwa. Wystawa składać się będzie z trzech oddziałów:

Oddział 1. Miniatury, emalie, malowania na szkle, porcelanie i fajansie.

Oddział 2. Sztychy, akwaforty, drzeworyty, litografie i wszelkiego rodzaju ręczne reprodukcye.

Oddział 3. Wszelkiego rozaju ornamentacye.

W każdym z powyższych oddziałów przyznawane być mogą po dwie *nagrody*, pierwsza rs. 100, druga rs. 50, w biletach bankowych, za dzieła bezwarunkowo odznaczające się. Oprócz tego będą wydawane Listy pochwalne.

Adresować: Do Komitetu Tow. Zach. Sztuk Pięknych. *Warszawa*, Krak. Przedm. 15.

Komitet Tow. Zach. Sztuk Piękn. w Król. Pol.

ma honor podać do wiadomości pp. Artystów, iż w roku bieżącym urządzona będzie w *Monachium* Trzecia Wystawa międzynarodowa i jubileuszowa Sztuk Pieknych w pałacu kryształowym, która trwać będzie od dnia 1 Czerwca do końca Października. Na Wystawę przyjmują się: obrazy, rzeźby, plany architektoniczne, a także prace z zakresu sztuki graficznéj i reprodukcyjnéj i sztuki, zastosowanéj do przemysłu. Z tych ostatnich te tylko przyjmowane będą, które przez swe wykonanie zasługiwać będą na miano dzieła sztuki i co do których autorowie specyalne zaproszenia od Komitetu Wystawowego otrzymają. Obrazy winny być w ramach i obok tego opatrzone ramą bezpieczeństwa (Schutzrahme). Nie przyjmuje się: wszelkie kopije z wyjątkiem rysunków, przeznaczonych dla sztychów, fotografie i wszelkie repodukcye, otrzymywane sposobem mechanicznym, niemniéj prace bezimienne, oraz dzieła, które już kiedykolwiek w Monachium na Wystawach międzynarodowych wystawiane były.

Bliższe szczegóły, dotyczące pomienionéj Wystawy, interesowani otrzymać mogą w kancelaryi Towarzystwa.
